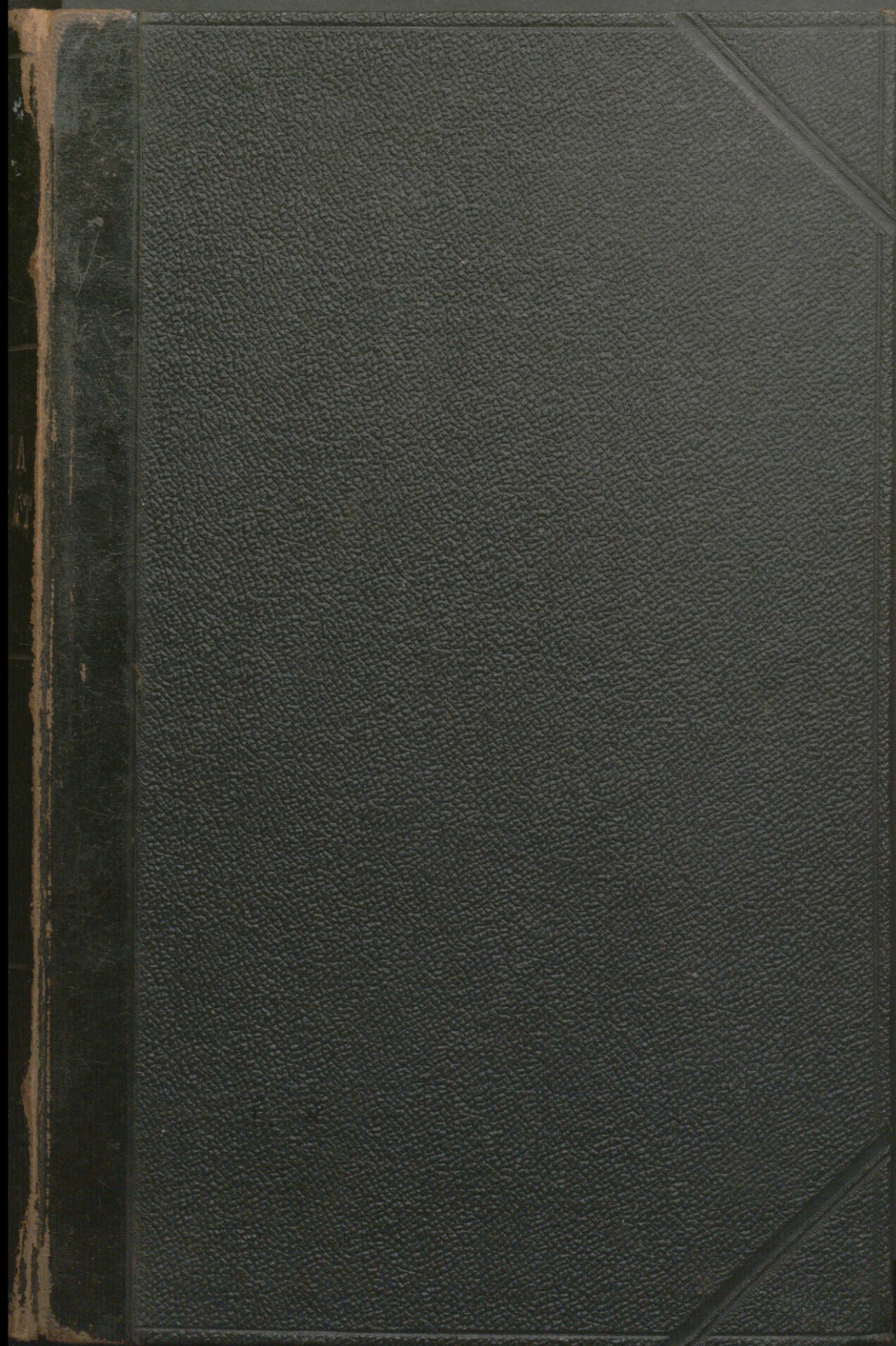
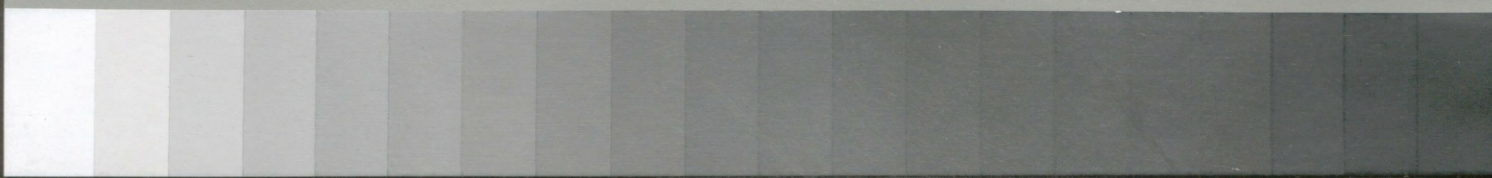


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

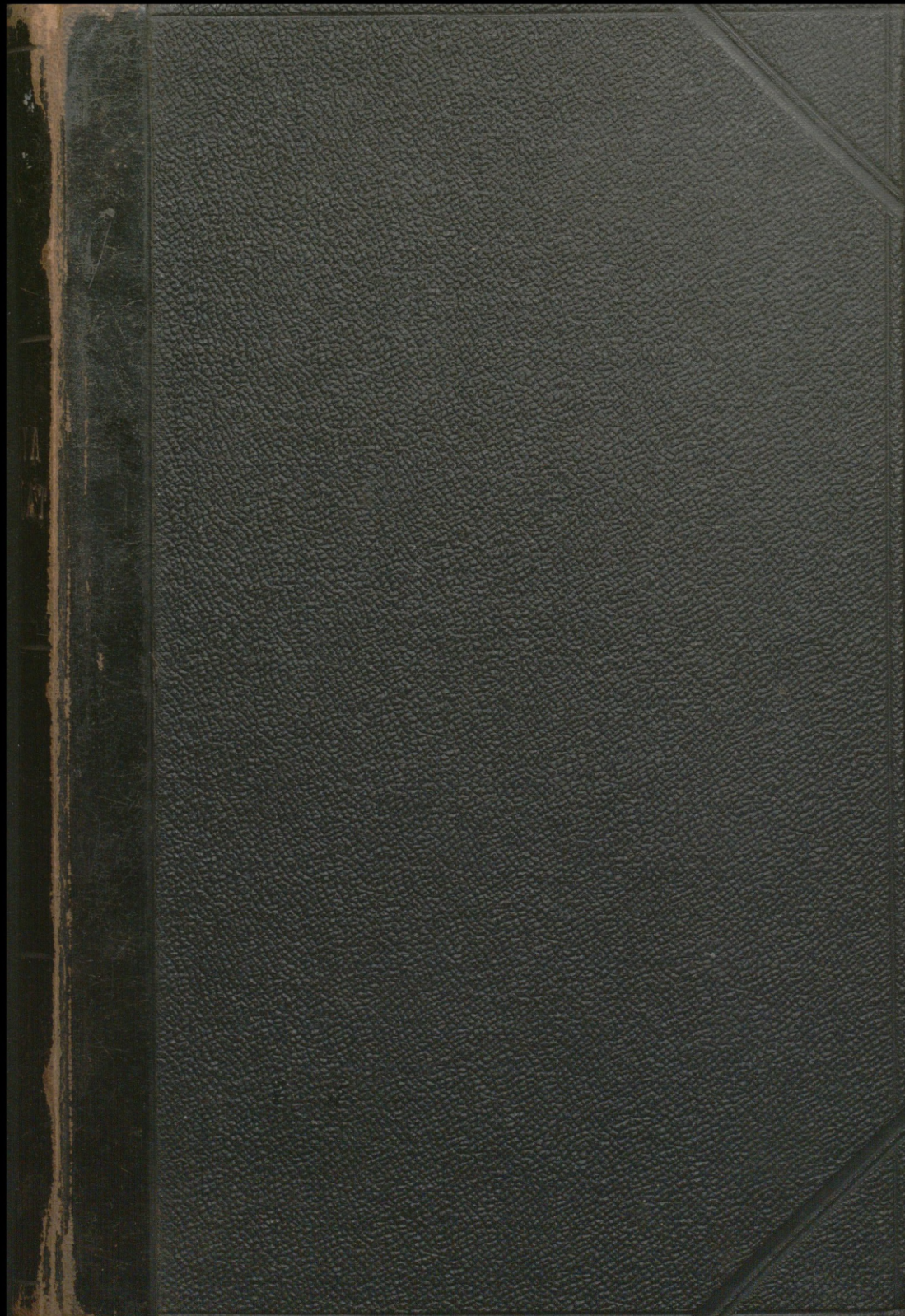


Colour Chart #13

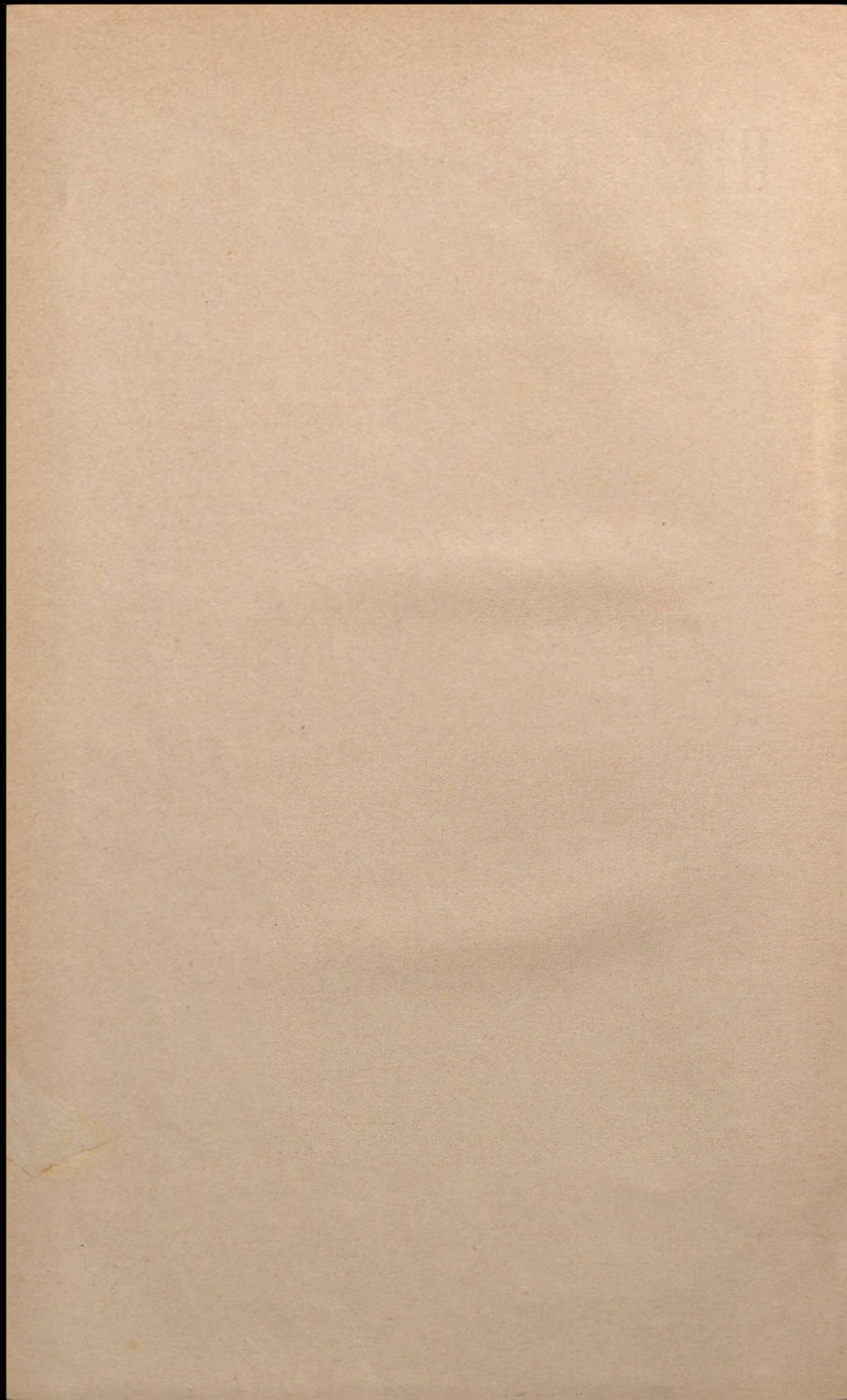
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





HISTORYA DWÓCH LAT.



HISTORIA DWÓCH LAT.

1861 — 1862.

PRZEZ

Z. L. S.

CZEŚĆ DRUGA.
Rok 1862.

TOM IV.
(Styczeń — Czerwiec).



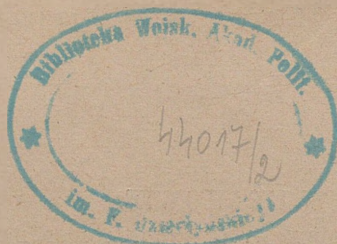
W KRAKOWIE.
NAKŁAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1895.

Ostrożnie o! Glaukonie, bo niebezpieczno jest podejmować się tego, czego nie umiesz. Zamiast pochwał mogą cię spotkać nagany, zamiast czci potępienie. Do kierunku spraw publicznych zabieraj się wtedy, gdy nauką i doświadczeniem postawisz się wyżej nad zwyczajnych ludzi.

(*Ksenofont „Memorabilia“*).

Rewolucya krajowa jest jak owa bajeczna u poetów Cyrce, która swoich dowódców przerabia w burzycielów porządku, gdy się nie uda, albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie.

(*Jan Śniadecki w „Żywocie H. Kollataja“*.)



ROZDZIAŁ XIII.

Nowy arcybiskup.

Wielopolski w Petersburgu. Wrażenie, jakie tam zrobił. Widzenie się z księciem Gorczakowem i audyencya u cesarza. Posiedzenia Rady stanu. Debaty nad projektem wychowania publicznego. Głos Lewińskiego. Równouprawnienie żydów. Projekt ks. Majerczaka. Śmierć Tomasza hr. Potockiego. Wielopolski i panna Błudow. Memoryał o rozdziale władzy. Sprawa ks. Białobrzeskiego. Poświadczenie ks. Czajewicza. Propozycya Wielopolskiego. Kandydaci na arcybiskupstwo warszawskie. Ks. Zygmunt Szczęśny Feliński, jego przeszłość i charakterystyka. Stosunek ze Słowackim. Wyprawa w Poznańskie. Śmierć Słowackiego. Życie w Petersburgu. Projekt Wielopolskiego o nuncyaturze. Narada cesarza z ks. Gorczakowem. Łubieński i Feliński. Pertraktacye z Rzymem. Konsystorz d. 23 Grudnia. Pośpiech w Rzymie. Dwa widzenia się Felińskiego z cesarzem i ich rozmowy. Prekonizacya. Wrażenie w Warszawie. Wieści i dzienniki. List papięski. Trzecie odwiedziny cesarza. Konsekracya. Wyjazd do Warszawy. Polityka rządu warszawskiego odnośnie do Felińskiego. Jego podróż do Warszawy. Pobyt w Częstochowie. Przybycie do Warszawy. Poznanie się z duchowieństwem warszawskim. Wizyta u Lüdersa i u p. Andrzeja Zamoyskiego. Wieść o otwarciu kościołów. Deputacya akademicka. Karykatury. Spór z Lüdersem. Kwestya ogłoszeń po dziennikach. Ceremonia otwarcia kościoła św. Jana. Mowa Felińskiego. Wrażenie tej mowy. Głosy prasy tajnej i urzędowego „Dziennika Powszechnego“. Mowa Felińskiego w Towarzystwie Dobroczynności. Paszkwil p. t. „Słowo narodu polskiego“. Ingres do katedry. Kazanie Felińskiego. Zakończenie.

Różni Polacy w różnych czasach przebywali w Petersburgu, a w większej części wypadków pociągały ich tam sprawy polityczne, losy ich nieszczęśliwej ojczyzny. Już od Katarzyny II-ej, która tak stanowczy i tak zgubny

wpływ wywarła na te losy, Polacy pojawiali się w stolicy caratu; i patryoci, i Targowiczanie, i niewolnicy Maciejowiccy, i zakładnicy wielkich rodów magnackich. Bawił tu jakiś czas Stanisław Poniatowski, szukający drogi do tronu przez umizgi do Messaliny północnej, bawił i hetman przyszły polski Ksawery Branicki, i Szczęsny Potocki, Kościuszko, Niemcewicz, i któż ich wreszcie zliczy? Tutaj to Michał Ogiński snuł nową kombinacją bytu politycznego ojczyzny, tutaj w cienistych alejach ogrodu Tauryckiego marzył o odbudowaniu Polski Adam Czartoryski. Ale choć w większej części byli to magnaci polscy i choć nosili na sobie jeszcze ślady niepodległości ojczystej, żaden z nich jednak nie wywarł na sfery polityczne i towarzyskie Petersburga tak ogromnego, tak potężnego wrażenia jak margrabia Wielopolski.

Położenie jego było jedno z najosobliwszych, jakiego trudno znaleźć w historii, i jakie wytworzyć się mogło tylko w Polsce, żyjącej życiem nienormalnem i skrzywionem. Margrabia przybywał nad Newę z rozkazu cesarskiego, jako krnąbrny poddany, oskarżony przez namiestnika o złe zamiary, jako nieuległy urzędnik, dla usprawiedliwienia się przed samowładnym imperatorem. A jednak, poza tym charakterem, wszyscy w nim widzieli przedstawiciela polskości, która przyszła tu, nad Newę, upomnieć się o swe prawa. Ta podwójna rola, jaką wypadki włożyły na Wielopolskiego, trudną była zaiste do odegrania, i jeżeli z niej wyszedł zwycięzko, to zawdzięczał to nadzwyczajnemu swemu rozumowi, zdecydowanej postawie i gorącej miłości kraju, jaką był przejęty.

Wyjechał on z Warszawy d. 3 Listopada, z synem swoim Józefem, w tem smutnem przekonaniu, że zapewne zabawi w Petersburgu najwyżej parę tygodni, że prawdopodobnie jego karyera polityczna jest skończoną, i że powróci jako człowiek prywatny do przerwanych swych zajęć i studyi ¹⁾. Udawał się do stolicy caratu nieznany tam ni-

¹⁾ *Lisicki*, *Le marquis II*, 246.

komu, prócz wicekanclerza księcia Gorczakowa, któremu był przedstawiony jeszcze w 1856 r. w czasie pobytu cesarza Aleksandra II w Warszawie. Ale była to znajomość przelotna i na nią wiele liczyć nie można było. Więcej natomiast rachował na dawny swój stosunek z baronem Piotrem Meyendorffem, z którym niegdyś kolegował na uniwersytecie w Getyndze, i z którym umiał zachować relacje. Meyendorff, jako członek Rady państwa, nie był bez wpływu na politykę rosyjską tej doby. Prócz tego margrabia zaoptażył się w pewne, że tak powiemy, rekomendacje. Znana nam już ze swych wpływów towarzyskich w Warszawie, pani Calergis, późniejsza Muchanowowa, z domu Nesselrode, bratanka kanclerza rosyjskiego hr. Nesselrode, poparła go u tego ostatniego. Ale pozatem, największe znaczenie miała samą osobą Wielopolskiego. W tym świecie „czynownictwa, lokajów i błaznów dworskich“, jak się wyraża historyk rosyjski ¹⁾, powszechną budził ciekawość człowiek, który nagle, z prostego szlachcica wiejskiego wyrósł na ministra i swą postacią olbrzymią rzucił cień na wszystko i wszystkich, nawet na dygnitarzy moskiewskich, tak zawsze potężnych w Warszawie. Jego walka z Suchozanetem, znana w ogólnych zarysach w Petersburgu, zdumiewała ten świat rosyjski, przywykły do karności i posłuszeństwa wobec generałów, przemienionych w wielkorządców, i budziła gorącą chęć przypatrzenia się bliżej tej postaci oryginalnej, tak niezwykle w państwie Piotra Wielkiego. Dzięki prądom liberalnym, przebiegającym przez serca i głowy ówczesnych sfer rządzących i rządzonych, sama ta walka z żołdakiem Sezostrysem jednała margrabiemu sympatyą powszechną. W szarem, bezbarwnem, urządzonem na jedną modłę towarzystwie dygnitarskiem petersburskiem, taka postać nawskróś nowa i oryginalna, z konieczności musiała wywołać zaciekawienie ogólne. Skoro więc dowiedziano się o przybyciu Wielopolskiego nad Nowę, wszyscy pragnęli go poznać i mieć u siebie, pochwalić się nim, jak rzadką osobli-

¹⁾ *N. Berg. Zapiski (edycja poznańska) II, 197.*

wością, i margrabia wkrótce miał się stać modnym bohaterem zimowego sezonu stolicy rosyjskiej.

Niemiejsze zaciekawienie budził on w kołach dworskich, nawet w samym cesarzu. Tutaj niebardzo wierzone w oskarżenia Suchozaneta, widocznie przesadzone, choćby z tego względu, że malowały margrabiego jako oczywistego buntownika, „po waryacku trwającego w nieposłuszeństwie“. Ale bądź co bądź, nie ulegało wątpliwości, że Wielopolski sztorcem stawał do namiestnika i pragniono przez ciekawość naturalną bliżej poznać tego „straszego“ margrabiego, który nikogo i niczego się nie boi. Przytem uważano, że jego pobyt w Warszawie jest niewygodny, choćby z tego względu, że przez swe stanowisko wysokie, przez swą wyraźną dążność do legalności, może on krępować i hamować działalność stanu wojennego, który miano za najlepsze i jedyne lekarstwo na gorączkę rewolucyjną Polski. Tuszono więc sobie, że gdy stan wyjątkowy ostatecznie uspokoi Polskę, wówczas będzie można na nowo margrabiego posłać do Warszawy i korzystnie go zużytkować. Teraz zaś lepiej było, by od zwulkanizowanej stolicy polskiej znajdował się zdaleka ¹⁾.

Wielopolski przybywając nad Newę, gdzie stanął dnia 7 Listopada, nic nie wiedział o tem wszystkiem, jak i o tem, że jego osoba wywołuje ciekawość powszechną. Wstępował on na ten grunt grzązki i zawsze niepewny dla nóg polskich, na którym tyłu znakomitych Polaków już się poślizgnęło, z uczuciem zupełnej jego nieznanomości i stąd pewnej niemocy. Przekonany był, że napotka mnóstwo nieprzełamanych trudności, że znajdzie nieufność i podejrzliwość na każdym kroku, i w takich warunkach, tracąc z konieczności wiarę w siebie, zdecydowany był podać się do dymisy i wrócić do życia prywatnego, z którego wyrwała go gwałtowna burza rewolucyjna ²⁾. Stanąwszy w hotelu Demouth na ulicy Michajłowskiej, udał się najprzód do ministra spraw zagranicznych, księcia Górczakowa. Przypoc-

¹⁾ *Lisicki*, *Le marquis II*, 247. ²⁾ *Loc. cit.*

niał mu swą znajomość z r. 1856, mówił o odrzuceniu swego adresu ówczesnego i twierdził, że gdyby ten adres był wtedy przyjęty, rzeczy prawdopodobnie całkiem by inny obrót wzięły. Minister przyznał, że stracono wiele drogiego czasu, lecz że w tej chwili idzie głównie o „przywrócenie powagi władzy“ (restaurer l'autorité de pouvoir); zapewnił wreszcie Wielopolskiego, że jego usługi znalazły zupełne u cesarza uznanie ¹⁾.

Najważniejszym jednak było widzenie się z samym cesarzem, który bawił w ulubionej swej rezydencji w Carskim Siole i z przyjęciem margrabięgo wcale się nie śpieszył. Wreszcie nazначył mu audyencyą na dzień 14 Listopada ²⁾, czyli w tydzień po przyjeździe Wielopolskiego do Petersburga. Tydzień ten minister polski przepędził wśród niepokoju bardzo naturalnego, w przekonaniu coraz bardziej się utrwalającym, że jego rola polityczna się skończyła ³⁾. Audyencyi tej zresztą nie nadawano żadnej szczególnej wagi; cesarz przybywał do stolicy dla prezydowania w radzie ministrów, i przy tej sposobności chciał obaczyć margrabięgo. Posłuchanie trwało prawie trzy kwadranse ⁴⁾. Cesarz przyjął go bardzo łaskawie, dziękował mu za poświęcenie, jakie okazał w chwilach nader trudnych i oświadczył, że pragnie, by go Wielopolski obznajmił z przebiegiem wypadków w Królestwie i z istotnym stanem kraju. Margrabia, korzystając z tego oświadczenia, wypowiedzianego z dobrocią, szczerością i prostotą, właściwą Aleksandrowi II, rozwinął swój pogląd na położenie, i jako jedyny środek zaradczy przedstawił swoją ulubioną i niezaprzecze-

¹⁾ Loc. cit., 248.

²⁾ Depesza z d. ^{31 października:}
12 listopada „Wielopolskiego uwizu poslie zawtra“.

³⁾ List Wielopolskiego do żony, cytowany u *Lisickiego*, Le marquis, II, 248, „Pendant la huitaine, qui avait précédé mon audience, je me berçais de l'espoir de vous revoir bientôt tout à Chroberz, où je comptais me rendre en droite ligne“.

⁴⁾ Szczegóły tej audyencyi opieramy na wspomnianym liście Wielopolskiego do żony.

nie rozumną myśl, rozdziału władzy cywilnej od wojskowej. Uważał, że bez takiego rozdziału porządek stały w Królestwie jest wprost niemożliwy. Ale tego rodzaju projekt nie mógł się podobać zwierzchnikowi państwa samowładnego. Odrzekł więc, niekoniecznie z dobrą wiarą, że o takim rozdziale wśród stanu wojennego nie może być mowy, że choć szczerze pragnie utrzymania autonomii w Królestwie, wszelako nie może się zgodzić na osłabienie władzy; wreszcie oświadczył, że życzy sobie, aby Wielopolski pozostał na dłuższy czas w Petersburgu dla wzięcia udziału w rozprawach nad projektami do praw, jakie był przygotował.

W gruncie więc rzeczy, pomimo nader łaskawego przyjęcia i słówek bardzo grzecznych, audyencya ta nie dała żadnych rezultatów stanowczych. Cesarz odrzucał wszelką myśl podziału władzy w Polsce, uwolnienia jej z pod rządów różnych dokuczliwych satrapów-jenerałów, odrzucał więc główny program Wielopolskiego, jedyny, według niego, środek ustalenia porządku w kraju. Natomiast z wielką zręcznością, z charakteryzującą go perfidią, zatrzymywał margrabiego w Petersburgu pod pozorem brania udziału w debatach nad projektami o oczynszowaniu, edukacji publicznej i równouprawnieniu żydów. Że cesarzowi o to branie udziału w debatach wcale nie szło, to nie ulega wątpliwości; jemu szło wprost o trzymanie Wielopolskiego zdala od kraju dla przyczyn, któreśmy już wyżej wyłożyli. Minister polski, zdaje się, zrozumiał to dobrze; wiedział, że pierwszą bitwę przegrał i wahał się, czy posłuchać cesarza i zostać, czy też zażądać uwolnienia zupełnego od służby. Ale ta dobra, zacna myśl patriotyczna, że jego obecność przyczynić się może do uzyskania sankcyi cesarskiej dla wymienionych wyżej projektów, oraz nalegania przyjaciół z Warszawy, spowodowały, że ostatecznie postanowił zatrzymać się nadal w Petersburgu ¹⁾. Powoli

¹⁾ Tomasz Potocki pisał do niego: „według mego najgłębszego przekonania, powinienes skorzystać z wezwania cesarskiego, byś ba-

począł nabywać przekonania, że jego program będzie przyjęty. „Zasada rozdziału władzy, pisał do żony, zyskuje tutaj coraz więcej zwolenników“. Były to oczywiście złudzenia, pochodzące stąd, że istotnie w pewnych sferach rządowych, albo bliskich rządu, wskutek nadzwyczajnego zaciekawienia, jakie obudził Wielopolski, jego projekta poczęto uważać za jedynie rozumne i zbawienne i obiecywano gorąco je popierać. Do rządu takich osób należał, wspomniany już przez nas, baron Meyendorf, z którym margrabia odnowił stosunki, mile był przyjęty i uzyskał przyrzeczenie, że może liczyć na pomoc. Tę pomoc znalazł także u starego kanclerza Nesselrodego i u wielu innych, mniej znanych i wybitnych, niemniej przeto wpływowych. Ale inna rzecz były pogawędki towarzyskie i obietnice salonowe lub uniesienia nad rozumem szlachcica polskiego, który nagle stał się gwiazdą zimowego sezonu Petersburga, a inna pogląd na tę sprawę rządu samego.

Rząd ten zresztą zwłóczył ze wszystkim. Cesarz dopiero d. 15 Grudnia, a więc akuratnie w miesiąc po rozmowie z Wielopolskim, zażądał telegrafem, żeby Płatonow przyjechał do Petersburga z projektami wspomnianymi, i żeby także przywiózł oryginalny projekt margrabiego o oczynszowaniu, po rozpatrzeniu go ostatecznym przez Radę stanu¹⁾. Rada ta właściwie zwołaną być powinna jeszcze w d. 16 Października, ale z powodu ówczesnych wypadków, z powodu wreszcie, że większość radców stanu, bojąc się batogów kozackich, heroicznie wzięła nogi za pas

wił tak długo dopóki prawa, przez ciebie projektowane, nie będą przedstawione do podpisu. Wiem, że od ogłoszenia prawa do jego dobrego wykonania jeszcze bardzo daleko, że leżeć może przez lata całe spokojnie, jak Statut organiczny, jednakże skoro raz już podpisane, to trzeba tylko czekać pomyślnej chwili, a któż może zaręczyć, że nam Bóg chwili takiej nie udzieli? Dlatego, zaklinam cię, nie daj się zrażać chwilowem niepowodzeniem“. *Lisicki*, Aleksander Wielopolski I, 273. List ten jest wyraźnym dowodem, że Wielopolski wahał się, czy ma pozostać w Petersburgu, czy też wyjechać.

¹⁾ Depesza z d. 3/15 grudnia 1861 r.

i wymknęła się z Warszawy, odłożono ją na trzy tygodnie. Ponieważ termin ten upływał z d. 6 listopada, więc Suchozanet pytał za pośrednictwem telegrafu, czy może otworzyć posiedzenia Rady i uważał to za „rzecz pożyteczną“¹⁾. Cesarz zgodził się na to, domagał się tylko przez swe stereotypowe „trebuj“, żeby przy otwarciu Rady „nie pozwolono na żadne rozprawy polityczne“. Jakoż ostatecznie zwołanie tej najwyższej w kraju magistratury przeciągnęło się do d. 12 listopada, w którym nakoniec mogła się ona zająć rozpatrzeniem projektów Wielopolskiego. Naprzód więc weszła na porządek dzienny kwestya wychowania publicznego, którego projekt wygotowany prawie wyłącznie przez Korzeniowskiego, Stronczyńskiego i Przystańskiego, został przedłożony teraz Ogólnemu zebraniu Rady stanu. Poprzednio już, zgodnie z przepisami, rozpatrywany był ten projekt przez wydział odnośny Rady, który wyraził o nim opinią bardzo przychylną. Przedewszystkiem więc szło o to, czy Rada podziela opinią wydziału i czy projekt odpowiada potrzebom i zamierzonemu celowi. Na tym punkcie zawiązała się bardzo żwawa dyskusya; Gruszecki nader logicznie i wymownie uzasadnił, że Rada powinna podzielić opinią wydziału, a Michał Lewiński zakonkludował, że nie tylko powinna się przyłączyć do opinii wydziału, ale kraj wkłada na Radę obowiązek przedstawienia cesarzowi, iż dobro ogólne tego wymaga, aby projekt ten jak najprędzej mógł wejść w wykonanie. Wszyscy do pewnego stopnia zgadzali się na to, tylko Heilman, uczony prawnik, doskonały zresztą Polak, ale Kalwin, twierdzić zaczął, iż pomieszczenie wyznania kalwińskiego w jednym ustępie wraz z wyznaniem żydowskim, ubliża pierwszemu, i że pastorowie nie znoszą, aby ich obok rabinów stawiano. Kwestya ta jednak przyjętą została obojętnie przez zebranych, więc Heilman widząc, że go nikt nie popiera, umilkł powtarzając z Katonem: *vitrix causa....* „Gdy już nikt nie zażądał głosu,

1) Depesza z dnia $\frac{25 \text{ października}}{6 \text{ listopada}}$ 1861 r.

opowiada świadek naoczny¹⁾, przydujący powtórnie zapytał, czy Ogólne zebranie podzieliła zdanie wydziału, co jednomyślnością i prawie *per acclamationem* przyjętem zostało. Ta jednomyślność była rzeczywiście manifestacją, przyznaniem, nawet na przeciwnikach uczuciem wstydu wydartem⁴. Słowa te świadczą, jak ciężkie musiała polska część Rady stanu staczać walki z jej członkami rosyjskimi.

Ta walka zarysowała się najwyraźniej przy rozpatrzeniu szczegółów projektu. Tu najprzód wystąpił przyszły dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, Aleksander Kruzenstern, z trzema arkuszami wniosków. Domagał on się w nich, aby w przyszłym programie wychowania publicznego, narodowości niemieckiej, jako licznie reprezentowanej w kraju, zapewniono stanowisko wyjątkowe; żądał by 285 istniejących wówczas szkół elementarnych niemieckich, pozostało pod zarządem konsystorzki protestanckich i żeby wykład w nich był wyłącznie niemiecki²⁾. Że to był wniosek zrodzony z nienawiści do Polaków, jest rzeczą oczywistą. Koloniści niemieccy nie byli ani zbyt liczni, ani zbyt dbali o swą narodowość, by im nadawano jakieś wyjątkowe przywileje; Kruzensternowi szło o to, by ich wychowanie nie polonizowało. Wnioski jego zbyt przejrzyście ukrywające myśl zdradziecką, wywołały w zgromadzeniu pewne, łatwo wytłomaczone rozdrażnienie. Zawiązała się gorzka dyskusya o kwestyi narodowości; Lewiński bronił języka, który jest „religią narodowości“, jak mówił; twierdził, że jeżeli pierwsze pokolenie kolonistów niemieckich nie znało mowy polskiej, to inaczej się rzecz ma z jego następcami, czego „dowodem jest znaczna liczba obywateli miasta stołecznego Warszawy, którzy choć nazwiska niemieckiego, sercem są Polakami“, i dlatego on nie widzi żadnej racyi, by nauki w szkołach protestanckich wykla-

¹⁾ Tomasz hr. Potocki w liście do Wielopolskiego, cytowanym u Lisickiego, Al. Wielopolski I, 289.

²⁾ Lisicki, loc. cit. III, 420.

dane były po niemiecku ¹⁾. Mówili i inni, i przy wotowaniu okazało się aż ośmnaście głosów przeciw wnioskowi Krusensterna. Przepadł on więc z kretesem. Wynik ten przekonał polskich członków Rady, że w Ogólnem zebraniu większość do nich należy. Nabyli oni przez to pewnej śmiałości i ufności do siebie, tak że w dalszej dyskusyi robili ustępstwa bardzo drobne, przyjmowali nic nieznaczające poprawki. W tych kwestiach zresztą kierowali się oni opinią Korzeniowskiego, który jako członek Komisji Oświecenia wprowadzał, że tak powiemy, projekt na posiedzeniu Rady. Tam gdzie Korzeniowski się upierał, Rada go nie odstąpiła; gdy zgadzał się na jaką modyfikacyą i ona się zgadzała. Zresztą żywiano to przekonanie i słuszne, że drobne poprawki lepiej przyjąć, niż narażać cały projekt na niebezpieczeństwo, a przytem opozycya uparta budzićby mogła podejrzenie, że Rada stanowi stronnictwo uorganizowane, czego w dobrze zrozumianym interesie kraju unikać koniecznie należało. Bądź co bądź zwycięstwo było zupełne i słuszną dumą mogło napełnić Radców stanu polskich i margrabiego, który też potem mówił, że „Rada stanu reprezentuje kraj lepiej niż sprawcy manifestacyi“. Wogóle członkowie polscy tej magistratury trzymali się silnie razem i stanowili ogromną większość 17 głosów przeciw 3 wątpliwym i trzem stale oponującym. Rozprawy nad kwestyą wychowania publicznego ukończono w ciągu trzech posiedzeń, d. 12, 13 i 14 listopada. Następną sesyą odbyła się d. 18 t. m. a przedmiotem rozpraw miał być projekt emancypacyi żydów ²⁾.

Nie ulegało wątpliwości żadnej, że przy ogólnym prądzie, jaki się wytworzył w ciągu ostatnich paru lat, przy

¹⁾ Mowa Lewińskiego obiegła współcześnie w licznych odpisach. Pomieszczamy ją w całości w dziale dokumentów pod Nr. 1-ym.

²⁾ Projekt ten wypracowany przez Komisją sprawiedliwości, gotowy już był we wrześniu, ale jego rozpatrzenie przez wszystkie inne Komisye, przeciągnęło się do pierwszych dni października. Potem przeszedł do wydziału skarbowo-administracyjnego Rady stanu, teraz zaś został przedstawiony Ogólnemu jej zebraniu.

pragnieniu koniecznego załatwienia kwestyi żydowskiej, przy dążności zasymilowania tej ludności licznej, ruchliwej i inteligentnej, przy aspiracyach wreszcie mieszczańskoliberalnych epoki, projekt równouprawnienia żydów bezwarunkowo znajdzie poparcie w polskich członkach Rady stanu. Wielopolski zresztą, pomimo przesądów rodnych, był pod względem przekonań synem ideałów mieszczańskich rewolucyi francuskiej i kodeksu napoleońskiego, który nie znał obywateli nierównych wobec prawa; to też projekt jego, będąc z jednej strony wyrazem jego własnych opinii, z drugiej zgadzał się w zupełności z dążnościami rewolucjonistów polskich. Przez szczególny zbieg okoliczności, ci „dwaj na swych słońcach bogi“, Wielopolski i czerwieńcy, na tym punkcie się schodzili i jednomyślnie działali, choć w różnych zaiste celach. Równouprawnienie żydów, a jak ich teraz stale nazywano „Polaków wyznania Mojżeszowego“, znalazło już wyraz w ustawie o Radach miejskich i powiatowych, do których wyborcami i wybranymi mogli być wszyscy obywatele, mający odpowiedni census i lat 25 wieku, „bez różnicy stanu i wyznania“. Jakoż widzieliśmy, że do wielu rad powołano starozakonnych, a w Radzie stanu zasiadał Matyas Rosen, co było najlepszym dowodem, że idea emancypacyi żydów rosnąc powoli wzmożła się i przyjęła potężnie. Projekt Wielopolskiego miał tej idei nadać teraz sankcyą prawodawczą, zakończyć szczęśliwie długo ciągnącą się powieść, „po zawilej próbie parę miłosną naostatek złączyć“, nie Chloe i nie Dafnisa, ale żyda i Polskę. Pisząc o tem, w gorącym pragnieniu urzeczywistnienia ideału mieszczańskiego, pewny był, że „obu ludów błogosławieństwo po Kazimierzu odziedziczy łaskawie panujący nam monarcha“, pocieszał się, że „z dokonaniem wskazanych tu reform, otworzyć się może pod wielorakim względem źródło poprawy naszego społeczeństwa; uzacni prawodawstwo, pozbywając się sprzeczności rozporządzeń rozmaitych szczegółowych z uznaniami głównymi zasadami, niezgodności bezustannych wyjątków z postanowieniami ogólnymi prawidłami, którato sprzeczność i nie-

zgodność uszanowanie prawa podkupuje; uzaćni się z jednej strony liczna część mieszkańców kraju, dotąd byt swój naprzeciwko surowości ustaw ciąglem prawa obchodzeniem ocalająca, z drugiej strony, klasa, której część znaczna frymarczy udziałem swobód i korzyści przez prawo odmawianych; uzaćni się sumienie publiczne urzetelnieniem głozonej tolerancyi; uzaćni się nakoniec w wyznaniu swem liczna część ludności krajowej, gdy dostępując równego udziału w prawach krajowych, odosobnienia od powszechnego prawa krajowego, pod ulepszym zarządem spraw swoich duchownych, rzetelnie się pozbędzie⁴⁾. Jakże się mylił, niestety!

Dzięki też tym pragnieniom, projekt po wędrowce w różnych komisjach i wydziałach przyszedł pod obrady Ogólnego zebrania Rady stanu prawie wcale nietknięty, w dziewiczej swej całości i niepokalaniu. Członkowie jej polscy uprzedzeni byli, że ze strony przeciwników wszelkich reform, spodziewać się mają silnych na projekt napści. Przygotowywano się więc do gorącej obrony. Ale po jego odczytaniu d. 18 listopada, pierwszy wystąpił niefortunny Heilman z wnioskiem kilkuarkuszowym. Twierdził więc on, że zgadzając się w zupełności z dążnością nowego prawa, uważa wszelako, że wprowadzenie go teraz w wykonanie byłoby nie na czasie. Utrzymywał, że do równouprawnienia żydzi jeszcze nie są przygotowani odpowiednio, że przez nowe prawo wcale nie zasymilują się z nami, że do tego potrzeba przedewszystkiem przekształcenia się ich życia rodzinnego, co wymaga dużo czasu i nie jednego pokolenia, że asymilacya może nastąpić tylko na drodze społecznej a nie prawodawczej, że trzeba, by duchowieństwo rzymsko-katolickie zezwoliło najprzód na małżeństwa między osobami religii katolickiej i wyznania mojżeszowego. Wywodził dalej uczenie, że ludność żydowska w naszym kraju dzieli się na różne sekty, i że każda z nich

⁴⁾ Dyrektora Komisji Oświecenia wykład powodów... względem równouprawnienia żydów. (*Liſicki*, Aleks. Wielopolski, III, 439).

oddzielnego potrzebuje prawa i t. p. Pominąwszy wniosek o małżeństwach, przez który przeglądał zacięty Kalwin, słowa Heilmana, jakkolwiek w ogólnej swej osnowie nosiły raczej charakter rozprawy uczonego, niż sądów męża stanu, miały jednak w sobie wiele prawdy. Wypowiedziane dość nieudolnie, dygocącym głosem starca, nie podobały się one nadzwyczajnie zebrany i podobać się nie mogły przy nastroju ogólnym epoki. Uważano je też wprost za absurdum¹⁾, słuchano ich niechętnie i przy wotowaniu przepadły zupełnie. Heilman przegłosowany schować musiał swą rozprawę do kieszeni, a gdy jego opozycja doszła do wiadomości publicznej, stał on się przedmiotem szyderstw i niechęci powszechnej, a nie mogąc go dotknąć w niczem innym, obgadywano jego życie domowe, tajemnice alkowy jego młodej i pięknej żony, nie mogącej kochać starego męża. Stał on się bijącym w oczy przykładem, do jakich niegodziwości posuwa się opinia tłumu, dla dokuczenia nie lubianym przez siebie ludziom.

Tym więc sposobem, gdy nikt w zebraniu Rady nie żądał więcej głosu przeciw ogólnej dążności projektu przeciw równouprawnieniu żydów, prezydujący wniósł, że projekt w zasadzie przyjęto, co zgromadzenie jednomyślnie potwierdziło. Teraz rozpoczęła się dyskusya nad szczegółami, przy których miał nastąpić ów zapowiedziany atak członków rosyjskich zebrania. Ale rozprawy były bardzo spokojne, i zgodzono się na niektóre zmiany, a najzwawsza dyskusya wybuchła przy artykule pierwszym, w którym powiedziano, że żydzi kupujący dobra ziemskie powinni umieć czytać i pisać po polsku. Słowa te postanowiono wypuścić, z uwagi że trudno obmyśleć taką formę, w którejby kupujący dobra dowieść mógł, że istotnie posiada umiejętność powyższą. Obostrzono dalej rygor, że żydom nie wolno kupować majątków pańszczyznianych, tylko czyn-

¹⁾ „Nie widziałem retora, pisze Tomasz Potocki w cytowanym liście do Wielopolskiego, który oparłszy się na absurdum, logiczniej i wymowniej z niego wyprowadzał wnioski, wiodące do koniecznej, logicznej konkluzji, do nowego absurdum“.

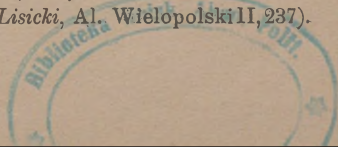
szowane, uważając przytem okup prawny za małą rękojmię, gdyż z niego można było jeszcze do pańszczyzny powrócić. Dotąd wszystko szło dobrze, gdy nakoniec wzięto pod rozpoznanie artykuł drugi. Artykuł ten znosił wszelkie ograniczenia co do zamieszkiwania przez żydów miast lub wsi, nie wszelako nie mówił o zakazie, mocą którego nie wolno było osiadać żydom w trzechmilowym pasie pogranicznym. Otóż wystąpił Kruzenstern, już teraz dyrektor Komisji spraw wewnętrznych, z uwagą piśmienną, że nie widzi żadnej przyczyny, dla którejby miał być nadal utrzymany ten zakaz, gdyż wszelkie w tym względzie ścieśnienia nie dadzą się logicznie umotywować. Wniosek ten, czyniący nagle z Kruzensterna bardzo liberalnego patryotę polskiego, zdumiał narazie zebranych, ale czasu do namysłu nie było, gdyż gubernator warszawski Łaszczyński, poparł uwagę powyższą. Dowodził on, że cel, dla którego ten zakaz zaprowadzono, wcale nie został osiągnięty, że zakaz ten ma najzgubniejsze skutki dla kraju, gdyż dzięki jemu nie żydzi są defraudantami w pasie granicznym, lecz włościanie, których szwarcunek odrywa od gospodarstwa, przyucza do życia włoczęgowskiego, do nieposzanowania władzy i t. d. Dowodzenia te, niewątpliwie bardzo słuszne, dozwoliły jednak pewnej części radców przyjść do siebie i ktoś z nich zrobił uwagę, że przedmiot ten nie należy do atrybucji rządu polskiego, ale wchodzi w kompetencją rosyjskiego ministra skarbu, a Enoch, jako sekretarz stanu, objaśnił, że Rada nie ma prawa dawania jakiegokolwiek opinii w przedmiocie, należącym do władz cesarstwa. Zdanie to wypowiedział on w tem przekonaniu, że wniosek Kruzensterna kryje jakiś podstęp, ostrzegął więc niejako Zgromadzenie, by się miało na ostrożności. Trudno dziś rozstrzygnąć, czy w rzeczy samej Kruzenstern działał z obmyślanym z góry podstępem. Może w istocie chciał on wprowadzić Radę stanu w kolizyą z władzą centralną rosyjską, a prawo wstrzymać przy pomocy ministra skarbu, w którym łatwo było obudzić przekonanie, że zakaz, broniący żydom mieszkania w pasie granicznym, zmniejsza kontrabandę. W każdym

razie było pewnem, że Kruzensternowi ufać nie można było, i niektórzy członkowie Rady wraz z Enochem, spostrzegli się dość prędko, ale inni, jak zwykle każde liczniejsze zgromadzenie, nie zorientowali się odrazu, tylko zdziwieni tak wnioskiem Kruzensterna jak i opozycją, poczęli głosować za zniesieniem owego zakazu. Jakoż zniesienie to przeszło prawie jednomyślnie i dołączono je do projektu, który całkowiec z drobnemi bardzo zmianami został zatwierdzony przez Radę stanu.

Tym więc sposobem, dwie bardzo ważne reformy społeczne, do których Wielopolski tak wiele wagi przywiązywał, uzyskały sankcją najwyższej magistratury krajowej. Ale najdonioślejsza, największe mająca dla kraju znaczenie kwestya włościańska, nie mogła tym razem wejść pod obrady Rady stanu z powodu, że projekt Wielopolskiego, dostawszy się do rąk Kruzensterna i Komisji spraw wewnętrznych, ugrzązł tam, ulegając najrozmaitszym przeróbkom, jakieśmy już o tem mówili ¹⁾. Zato zajęła się Rada w ciągu kilku pozostałych posiedzeń innemi sprawami drobniejszymi, przeważnie natury administracyjnej, ale które silniej, że tak powiemy, akcentowały autonomią Królestwa. Uchwalono więc uchylene cuchnącego bizantyzmem kodeksu kar głównych i poprawczych a przywrócenie tymczasowo kodeksu karnego polskiego z roku 1818; postanowiono, aby pożyczka, zaciągnięta na pokrycie kosztów budowy cytadeli, nie obciążała wyłącznie funduszków Warszawy, gdyż „urządzenie twierdz jest rzeczą całe państwo obchodzącą“ ²⁾; domagano się, aby inwentarz majątkowy

¹⁾ Patrz Tom III, 466. Wielopolski uskarżał się na to postępowanie ministrowi sekretarzowi stanu Tymowskiemu. W liście do niego pisał: „to postępowanie władz jest wyparciem się mnie“. „Sądzę, że na to nie zasłużyłem, a milczenie dowodziłoby, że się zgadzam na to. Koniecznem jest położenie końca tej anarchii administracyjnej, zalecając urzędnikom, którzy mię zastępują, ażeby nic nie zmieniali w biegu spraw w moim wydziale, nie porozumiawszy się wrzód ze mną“. (*Lisicki, Le marquis, II, 250*).

²⁾ Protokół 14-ty z d. 2 Grudnia (*Lisicki, Al. Wielopolski II, 237*).



skarbu Królestwa jak najspieszniej sporządzony został; aby przywrócono zwinięte trzy rządy gubernialne: podlaski, kielecki i kaliski (wniosek Kozłowskiego); oddano zarząd poczt pod zawiadywanie Komisji spraw wewnętrznych (czyli oddzielono go od zarządu centralnego w Rosyi); miary i wagi ruskie, na wniosek Kozłowskiego, usunięto, zastępując je dawnymi polskimi, czemu nawet Płatanow się nie sprzeciwiał; uznano potrzebę zaprowadzenia instytucji kredytowej miejskiej. Rozpatrzono budżet Królestwa na r. 1862, ustawę górnica, raport Komisji umorzenia długu krajowego o stanie majątkowym Banku polskiego za rok 1860 i t. p. Wreszcie na posiedzeniu d. 23 listopada przeszły jednomyślnie, bez żadnej już teraz opozycji, wnioski administratora dyecezyi kielecko-krakowskiej, ks. Majerczaka.

Dotyczyły one kwestyi nadzwyczaj drażliwej dla obu stron i dla obu stron mającej pierwszorzędne znaczenie polityczne. Szło o unitów i o zadośćuczynienie niektórym potrzebom kościoła. Majerczak domagał się, ażeby na przyszłość, we wszelkiego rodzaju aktach urzędowych, dotychczas używany termin „wyznanie greko-unickie“, zmieniono na „obrzędek greko-unicki“, i aby w następstwie tej zmiany w przyszłych sprawozdaniach wydziału wyznań, rubryka „obrzędek greko-unicki“, umieszczoną była bezpośrednio po rubryce „wyznanie rzymsko-katolickie; żądał dalej, aby przywrócono dawny zwyczaj, iż alumni seminarjum unickiego w Chełmie kończyli swe studia w akademii duchownej rzymsko-katolickiej w Warszawie¹⁾; aby wakujące katedry biskupie były rychle obsadzone²⁾, aby fundusz, przeznaczony na utrzymanie seminarjów, był powiększony; ażeby ułatwiono procedurę administracyjną w sprawie uzyskania pozwolenia na reparacyą kościołów; ażeby zabezpieczono los księży

¹⁾ Protokół z d. 17 grudnia 1861 r. Loc. cit.

²⁾ Oprócz kielecko-krakowskiej, gdzie właśnie administratorem był ks. Majerczak, dyecezya augustowska od lat 13 nie miała biskupa; Chełmska (unicka) „jakkolwiek innego obrządku, ale tego samego wyznania“ jak brzmi protokół, od lat 10, a Płocka od lat 9.

emerytów, którzy dotąd pobierali zaledwie po 400 złp. pensyi rocznie. Żądania te, powtarzamy, przeszły jednogłośnie w Radzie stanu, nie wyjmując nawet jej członków rosyjskich, co świadczyło jak epoka ta wstrząsała wszystkimi zasadami, stanowiącemi dotychczas politykę wewnętrzną rosyjską. Kwestya nazwy zamiast „wyznanie grecko-uniackie“ — „obrządek“, jakkolwiek drobna z pozoru, miała swe głębokie znaczenie; mówiła bowiem, iż unia nie jest osobnem wyznaniem, za jaką rząd rosyjski w Królestwie, w łatwo zrozumianym celu, ciągle ją uważał, ale tylko obrządkiem odmiennym jednego kościoła katolickiego. Niemniej ważną i kładącą koniec zamachom moskiewskim na unią, była druga uchwała, dotycząca wysyłania seminarzystów chełmskich do akademii warszawskiej. Zwyczaj ten praktykowany do r. 1842, został przerwany, a w dziesięć lat potem na rozkaz rządu wysłać musiano dwóch alumnów do akademii moskiewskiej, a w r. 1853 czterech do akademii kijowskiej, co oczywiście groziło unii schizmą. Z tych sześciu alumnów po powrocie z akademii schizmatyckich, trzech objęło katedry nauczycielskie w Chełmie (jeden wykładał język grecki, drugi filozofią, a trzeci nauki przyrodnicze), a jeden wygnany z dyecezyi, został urzędnikiem w Komisyi wyznań i oświecenia. Domagania się więc ks. Majerczaka, wobec tak opłakanego stanu rzeczy, dążyły najwyraźniej do nadania dawnej mocy unii, która pod straszną przewagą cerkwi urzędowej chyliła się widocznie do upadku, by w kilka lat potem, niestety! skonać wśród krwawych, alhunrykowych gwałtów. W tej chwili jednak przejście przez Radę stanu tego rodzaju uchwał, zapowiadało, że roztwiera się przed Polską horyzont jasny i widny wzmocnienia się jej organizmu wewnętrznego tak potężnie, że byle tą drogą szła dalej, to dojść musi do tak krzepkiego stężenia, że żadnych zamachów moskiewskich lękaćby się nie potrzebowała. Niestety! Polsce nieszczęśliwej własni jej synowie nie pozwolili na taki rozwój mocy wewnętrznej.

Tak obfite w owoce posiedzenia Rady stanu zakończyć się miały ze wszech miar smutnym i dla kraju nie-

powetowanie nieszczęśliwym faktem. Znany nam dobrze Tomasz hr. Potocki, szwagier Wielopolskiego, jedna z najwybitniejszych postaci tej epoki wogóle ubogiej w postaci wybitne, mąż wielkiego rozumu, gorąco miłujący kraj, umarł nagle w d. 12 grudnia 1861 r. Poprzedniego dnia był na posiedzeniu Rady, poczem do późnej nocy pracował nad przyspieszeniem rozbioru prawa o oczynszowaniu w Radzie, a nazajutrz, o godzinie 5-ej rano, znaleziono go martwym w łóżku. Wielopolski tracił w nim prawdziwą podporę i pomoc, kraj znakomitego obywatela, których nigdy u nas wielu nie było, a w owych czasach mniej niż zwykle. Oddawna chory i złamany, od chwili gdy pod Długosiodłem kula moskiewska zadała mu ciężką ranę, która na całe życie zrobiła go kaleką, gdy nie mógł jeździć już na posiedzenia Rady stanu, to kazał się w krzesło tam nosić, bo czuł, że dla ojczyzny trzeba stać do ostatka na wyłomie, pozostałej jej drzazgi bronić do ostatka. Z nim schodził w grób nietylko wielki obywatel, ale jeden z tych bohaterów, na czole których zdawał się czernić jeszcze pył bojowy z przed lat trzydziestu, drzeć nuta ostatniej ogromnej epopei, jaką wypisał na kartach dziejów bagnet i lanca polska. Żal też był powszechny w kraju; nawet przeciwnicy jego zacięci, czerwienicy warszawscy, różni Chmielenscy, Szachowscy, Frankowscy umilkli i schylić musieli czoło przed zwłokami tego, który bronił ojczyzny wszędzie, gdzie bronić jej mógł. Ciało jego, z posesyi, zwanej Foksałem, na Nowym Świecie, przewiezione zostały do grobów rodzinnych w Chrząstowie pod Koniecpolem.

Jeżeli śmierć ta napełniła żalem serca wszystkich lepszych i rozumniejszych obywateli kraju, a więc i margrabiego, to z drugiej strony cieszyć się należało, że dwie ważne reformy: wychowanie publiczne i emancypacja żydów (a to ostatnie uważano podówczas za równoznaczne z najdonioślejszemi sprawami kraju), przeszły przez Radę stanu. Szło teraz o to, żeby one uzyskały sankcyą cesarską, dla wyjednania której, dla obrony projektów przed licznemi ciałami zwierzchnich władz rosyjskich, Wielopol-

ski po części został w Petersburgu, kwasiał się w tem wielkiem, niezdrowem i niemiłym dla Polaka mieście. Z projektami temi miał jechać do stolicy caratu Płatonow, i cesarz d. 15 grudnia pytał się, kiedy on nakoniec przyjedzie i rozkazywał, by przywiózł także oryginalny projekt Wielopolskiego o oczynszowaniu ¹⁾. Margrabia nalegał także na swych przyjaciół, by przyspieszyli wysyłkę projektów, „dla skrócenia tutaj jego wygnania“ ²⁾. Tymczasem, jak zwykle, ostateczne przygotowanie papierów wlokło się leniwie i Płatonow wyjechał dopiero d. 19 stycznia 1862 r. wioząc ze sobą wszystkie projekta Wielopolskiego do Petersburga, gdzie miały wytrzymać ostatnią próbę ogniową.

Wśród tego wszystkiego margrabia nad Newą zyskiwał coraz szersze koło znajomych, stawał się coraz bardziej modnym. Z ciekawością, niepojętą dla tych, którzy nie znają towarzystwa petersburskiego, utworzonego na jedną modłę, przypatrywano się jego postaci olbrzymiej i ciężkiej, jego obejściu dumnemu, jego oryginalnemu sposobowi wzięcia się, jego rozmowie mądrej a pełnej inteligencji i dowcipu *sui generis*. Przytem sama dziwaczność jego położenia otaczała go pewnym nowym dla Petersburgczan urokiem. Przyjmowano go więc wszędzie w najwyższych i najlepszych towarzystwach, zapraszano na wieczory, bale, ucztę. Wielu chciało okazać przez to swe sympatyje ku ideom liberalnym, tak rozpowszechnionym w tej epoce, a których przedstawicielką była niejako Polska; inni znowu, przeciwni wszelkim gwałtom, ze szczególnego współczucia dla tej Polski tak nieszczęśliwej i tak długo gnębionej, z gorącym zapalem witali tego hardego szlachcica polskiego, który nieozdobiony żadnym tytułem, ani żadnym orderem, przyszedł do świata „czynownictwa“, upomnieć się o nieprzedawnione prawa swej ojczyzny. Robił więc mnóstwo znajomości, ale najosobliwszą, najdziwniejszą była znajomość z domem hrabiego Dymitra

¹⁾ Depesza z d. 3/15 grudnia 1861 r.

²⁾ *Lisicki*, Le marquis, II, 256.

Błudowa, prezydującego w Radzie państwa. Hr. Błudow, człowiek już przez swoje wysokie stanowisko bardzo wpływowy, wyrocznia w sprawach kościelnych, pierwszorzędną powagę w innych, był wdowcem i honory domu robiła córka jego, panna Antonina, Antoanetą z francuzka zwana, osobistość na wskrós oryginalna, możliwa tylko w społeczeństwie takim jak rosyjskie, entuzyastka z pewnym odzieniem mistycyzmu, właściwego tej rasie tak długo gnębianej, wykołysanej w niewoli, oddychającej szerokimi przestrzeniami pól bezbrzeżnych i melancholijnych. Przyjmowano tam co czwartek i Wielopolski chętnie bywał na salonach Błudowa, pociągany zapewne urokiem tej panny tak niezwyklej i tak wyróżniającej się od wszystkich. Nie młoda już bardzo i nie ładna, choć siwiejąca mocno nie przykrywała głowy niczem i chodziła „przetowłosa“, jakby powiedział stary kronikarz Bielski. Otyła, ciężka, mimo to nadzwyczaj gadatliwa, gotowa była „przeciwnika na śmierć zagadać“, jak się wyraża o niej ktoś inny¹⁾. Zrezygnowawszy z pola podbojów serc męzkich, rzuciła się z całym zapalem namiętnej duszy kobiecej w szalony wir tych idei, które wstrząsały ówczesnem społeczeństwem rosyjskiem. Miała ona pewien wpływ na ojca²⁾, a bywając u dworu, wskutek swej pobożności znalazła łatwy przystęp do cesarzowej, która jako nowonawrócona przesadzała w swej dewocyi prawosławnej. W zebraniach wieczornych w salonach tej ostatniej, panna powoli zaczęła zajmować pierwsze miejsce i z czasem uzyskała ogromną przewagę nad słabym umysłem tej Niemki, zmienionej w carową prawosławną. Teraz jednak panna Antoaneta nie tyle zajęta była prawosławiem, ile polityką i ideami chwili, które szerokiem, ale płytkiem i sztucznem korytem rozlewały się po pysznych salonach petersburskich. Niegdyś, w r. 1848 wielbicielka bana Kroacyi Jellaczica, wyznawała teorią, że przyszłość należy do młodego świata słowiańskiego, a ten świat przed-

¹⁾ *Lisicki*, Kwartalnik historyczny, zeszyt IV, z 1894 r., p. 743.

²⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 272.

stawiała sobie według pojęć słowianofilów moskiewskich i z całym zapalem broniła i propagowała te zasady. W tym koncercie majestatycznym, jaki kiedyś w dziejowym pochodzie ludzkości miała odegrać słowiańszczyzna, Polska musiała mieć swą rolę; świętą więc powinnością było załagodzenie teraz wiekowej rozterki, jaka panowała między dwoma przodowymi narodami słowiańskimi: Polską i Rosyą. Pojawienie się margrabiego w Petersburgu z misją niejako załatwienia tego sporu, musiało na siebie zwrócić uwagę takiej entuzyastki, jak panna Błudow. Przeczytała więc sławny „List szlachcica polskiego do ks. Metternicha“, i przejęła się niekłamanem uwielbieniem dla jego autora. Była to natura gorąca i kobieca; entuzjazm jej był płomienisty i wylewający się na zewnątrz. Mniej więcej w tym czasie ukazała się w „Journal de St. Petersburg“ korespondencya z Warszawy, streszczająca artykuł dziennika „Monde“, o dążnościach Rosyi skonfederowania pod swem berłem całej Słowiańszczyzny, i jakoby margrabia popierał tę dążność, artykuł zakończony słowami: „margrabia Wielopolski jest człowiekiem zbyt rozumnym i zbyt zasłużonym, by dał się porywać urojonym pomysłom kilku marzycieli“¹⁾. Te słowa dotknęły do żywego pannę Błudow. Przesłała ona do „Norda“ odpowiedź pełną uniesień duszy wierzącej w to, o czem pisze. „Żałujemy mocno, wołała, że margrabia Wielopolski porzucił ideę słowiańską, gdyż lubiliśmy widzieć w nim pojednawcę dwóch naszych narodowości, niepojednanych dotąd między sobą“²⁾. Ale gdy poznała

¹⁾ Lisicki, loc. cit. II, 417.

²⁾ Charakterystyczną jest dalsza jej odpowiedź, malująca wybornie tę duszę, pogrążoną w melancholii mistycznej: „czy idea, którą wyznawało kilku marzycieli, o których mówi Plinius w opisie rodzącej się sekty chrześcijańskiej, była także urojeniem? czy idea, którą śnił marzyciel Galileusz, mówiąc, że ziemia obraca się koło słońca, była także urojeniem? czy idea marzyciela Włodzimierza, wierzącego, że cerkiew prawosławna najlepiej odpowiada Rosyi, była także urojeniem? czy idea kilku marzycieli monasteru Troickiego, uzbrających Rosyą przeciw anarchii była urojeniem? czy idea ma-

margrabiego osobiście, w długich, nieraz poufnych pogawędkach wieczornych, ovladnął on zupełnie tym entuzjastycznym, ale chwiejnym umysłem i znalazł w pannie Błudow gorącą i niezmiernie czynną orędowniczkę swych dążeń. Popierała go ona u ojca, zaznajamiała z kim tylko mogła, a między innymi z Tiutczewem, „sławistą a nawet panslawistą, jak pisała, porywającym poetą ruskim“, który później skończył na ubóstwianiu Murawiewa Wieszatiela. Sądziła ona zresztą, że idee wygłoszone przez margrabiego w r. 1846, znajdują grunt w Rosyi i robią postępy. „Żadna wielka idea, pisała, nie pojawiła się nagle na świecie, prócz idei objawionych, które zresztą długo tłumila głupota i złość ludzka. Ale zaród innej jak wojna nieczysta przyszłości, innej jak ucisk jednych przez drugich, istnieje w Rosyi, a jak sądzę, dzięki panu istnieje on i w Polsce. Wierz mi pan, że ogromna większość w Rosyi byłaby szczęśliwą, gdyby mogła wierzyć w istotne pojednanie i w zupełne narodne zrównanie się między nami i wami, zwłaszcza, że wszyscy pragną zrzucić jarzmo moralne, jakie przewaga niemiecka włożyła na nas od dni smutnej pamięci Byrona“. „Jeżeli mówię panu jeszcze o rozwodzie (między Królestwem Polskiem a Rosyą), to dlatego, że widząc zbyt złe pożyte między nami aż dotąd, nie mogę wierzyć w zbliżenie i za zbyt długo żyję, by marzenia o szczęściu małżeńskim budziły we mnie wiarę. Niemniej przeto gorąco pragnę, ażeby prawdziwy pokój zastąpił skrytą lub otwartą wojnę, jaką prowadzimy od tak dawna. Być może iż nudzę pana memi naleganiami, ale nalegam i nalegać nie przestanę, byś przygotował mego ojca do lepszego zrozumienia całości twych planów; jest to tylko możliwem wtedy, gdy będziesz mówił szczerze i szczegółowo o nadziejach, jakie można oprzeć rozumnie na pewnym systemie działania,

rzyciela, wzniosłego męczennika prawa i narodowości, Hermogenesa, umierającego w więzieniu i podnoszącego myśl wyboru Romanowa, była urojeniem? czy idea marzyciela z Ham, idea napoleońska jest także urojeniem?

dla dojścia do celu pożądanego“. W mistycznym usposobieniu swego ducha, chodziła do soboru Kazańskiego, gdzie się znajduje obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, i przed tym obrazem Najświętszej Panny, myślała o Wielopolskim, „pragnąc z całego serca, by pod naszymi nogami mógł się kiedyś znaleźć grunt neutralny, na którym oba narody mogłyby się spotkać szczerze“¹⁾.

Wśród takich to warunków, wśród takiego prądu różnorodniejszych idei, Wielopolski pędził życie w Petersburgu, o tyle przynajmniej szczęśliwy, że rozszerzając krąg swych stosunków, nabierał przekonania, iż przy ich pomocy uda mu się przeprowadzić swą ideę zasadniczą. A z Warszawy tymczasem nadchodziły coraz gorsze wiadomości; reakcja brała tam górę. Nominacya Krzyżanowskiego i Krusensterna, świadcząca najwymowniej o tej reakcyi, postępowanie wreszcie w Komisyi spraw wewnętrznych z jego projektem oczynszowania zmusiło go podać się ostatecznie do dymisyi, która mu udzieloną została ze wszystkich urzędów, z wyjątkiem członka Rady stanu, d. 7 grudnia 1861 r. przyczem obdarzony został orderem Orła białego w nagrodę „za poświęcenie, jakiego dał dowody w trudnych okolicznościach“²⁾. Proszono go przytem, by pozostał nadal w Petersburgu dla wzięcia udziału w pracach prawodawczych. Do podania o dymisyą dołączył obszerny memoriał, dotyczący ulubionej jego myśli i jak sądził, jedynie w ówczesnych okolicznościach zbawiennej: rozdziału władzy woj-skowej od cywilnej.

W memoryale tym twierdził on, że rozdział dwóch rzeczonych władz, „konieczny dla utrwalenia autonomii Królestwa Polskiego“, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla władzy. Zresztą nie był on wcale nowością;

¹⁾ Loc. cit. 416.

²⁾ „Co o mnie mówią w Warszawie?“ pytał Wielopolski w jednym ze swych listów, cytowanych u Lisickiego (Le marquis II, 256). „Orzeł biały odebrał mi zapewne większą część mej chudej popularności, a pobyt przedłużony tutaj zabije jej resztę“.

przed wypadkami w 1830 r. namiestnik królewski nie miał żadnego udziału w komendzie nad wojskiem; wódz zaś naczelny, wielki książę Konstanty nie mięszał się do administracyi Królestwa, i jeżeli ruch 1830 r. nabył trwałości, to tylko wskutek tego, że wódz opuścił armię. Dziś w kraju jest tylko jedno wojsko rosyjskie, które wystarcza aż nadto do poskromienia wszelkich prób zbrojnego oporu, „nieprawdopodobnego“ wreszcie, przytem Warszawa znajduje się pod działaniami cytadeli. Komendę nad wojskiem dzierży oficer, obdarzony zaufaniem cesarza, i rozdział władzy nie może wywołać najmniejszej nawet obawy. Bez tego rozdziału wszelki rząd w Królestwie będzie tylko rządem militarnym, mniej lub więcej zamaskowanym. Złączenie dwóch władz w jednej osobie, praktyczne dawniej, dziś w obec nowych instytucyj, nadanych Królestwu, jest wprost niemożliwe; doprowadza ono, jak tego dowiodły wypadki ostatnie, do zamięszania i anarchii w łonie samego rządu. Zasada autonomii Królestwa, tylokrotnie wypowiedana, zaznaczoną została niedawno w reskrypcie cesarskiej do hr. Lamberta. Przez wzgląd na godność i interes tronu, obietnica ta nie może pozostać martwą, ale należy ją szeroko zastosować, a tym sposobem uniknie się żądań o nowe ustępstwa. Reformy społeczne i administracyjne zajmą umysły i wytworzą w łonie narodu zdrowe stronnictwo rządowe. Rządy wojskowe mogą tylko zniszczyć urok moralny władzy. Ważne prawa, które on, Wielopolski, przygotował na rozkaz monarchy, mają odrodzić społeczeństwo, otworzyć dlań nową erę i wzbudzić wdzięczność dla króla i cesarza. Reformy nadane w Marcu przyjęte zostały wprawdzie chłodno, ale to ztąd pochodzi, że w porównaniu z instytucjami 1815 r. stanowią one minimum reform politycznych; jednakże przy pomocy wielkich praw, wyżej wspomnianych, chciał on przekonać kraj o doniosłości i ważności nowych instytucyj.

Potem przechodzi do uwag nad stanem wojennym, który ostatecznie dowiódł, jak dalece rządy wojskowe nie są zdolne do uspokojenia kraju, i kończy takimi, niepo-

zbawionemi właściwej mu patetyczności i siły słowami: „jako lojalny i wierny poddany, winienem zwrócić uwagę i wysoką mądrość cesarza na przepaść, jaką wykopie między narodem i tronem przedłużenie do nieskończoności rządu wojskowego. Stan oblężenia z każdym dniem rozszerza swą podstawę, nawet wstecz sięga. Według mego skromnego rozumienia, należy jak najprędzej wrócić na drogę legalności i ustalić porządek przez rozdzielenie dwóch władz, nie dających się żadną miarą pogodzić. Od decyzji cesarza zależy rozstrzygnięcie kwestyi, czy Królestwo Polskie będzie dla Rosyi żywiołem siły i postępu wewnętrznego a przewagi zewnętrznej, czy też stanie się nieustannem źródłem kłopotów dla cesarza i dla jego polityki“¹⁾).

Uwagi te przyjmowano dość chłodno i na razie nie myślano widocznie zadość im uczynić. Rząd rosyjski, jak każdy wreszcie rząd despotyczny, był w gruncie rzeczy rządem militarnym i na wszelkie niepokoje społeczne widział zawsze jedyne lekarstwo w bagnecie i pięści. Cesarz Aleksander II wychowany w tej tradycyi, nie mógł się w żaden sposób pogodzić z myślą, by w Polsce wzburzonej i „buntującej się“, jak to mówiono urzędownie, osłabić siłę tego bagnetu i tej pięści, przez oddanie władzy w inne, a nie żołnierskie ręce. Mimo to w tej chwili nie myślał on schodzić z drogi ustępstw, na którą wszedł był w marcu; nalegał na Lüdersa ciągle, by przyspieszył wysyłkę projektów Wielopolskiego i na skutek domagań się tego ostatniego, zajął się załagodzeniem i ukończeniem kompromitującego w najwyższym stopniu, zatargu z duchowieństwem katolickim w Warszawie. Zatarg ten w tej chwili dochodził, że tak powiemy, do swego apogeum wskutek sprawy ks. Białobrzeskiego. Jak wiemy, został on przez sąd wojenny, pomimo gorącej prośby piśmiennej, skazany na śmierć; wiemy, że cesarz polecił Lüdersowi wykonanie wyroku powstrzymać i akta sprawy przesłać do Petersburga, co na-

¹⁾ Memoryał czytać można w całości u *Lisickiego*, *Le marquis*. II, 250 i następane.

miestnik spełnił w d. 19 grudnia 1861 r.¹⁾. Tutaj to zapadła decyzja ostateczna co do losu Białobrzeskiego: cesarz zmienił karę śmierci na więzienie jednoroczne w twierdzy Bobrujskiej. Decyzję tę ogłoszono we wszystkich gazetach warszawskich w d. 10 stycznia 1862 r. z opisem szczegółowym całego procesu i sformułowano ją w sposób nieco drażniący, co wkrótce naraziło rząd na mnóstwo nieprzyjemności i niepotrzebną wcale polemikę dziennikarską. „Naj. Pan, czytamy w cwem sprawozdaniu, po rozpoznaniu sprawy, uznał, że prałat Białobrzeski za nieprawne zgromadzenie w kapitule, i samowolne zamknięcie wszystkich kościołów katolickich w Warszawie, wyrokiem sądu polowego wojennego prawnie skazanym został na karę śmierci; lecz jednocześnie najmiłościwiej raczył zwrócić uwagę na długoletnie piastowanie przez Białobrzeskiego, z zupełnem uznaniem władzy duchownej i świeckiej, rozlicznych urzędów duchownych, nieskazitelne prowadzenie się jego w czasie rokoshu 1831 r. i podczas wszystkich innych zamieszek w Królestwie, niemniej także, że Białobrzeski w razie niedostateczności złożonych przezeń usprawiedliwień, odwołał się do miłosierdzia monarchy, ze względu przeto na powyższe okoliczności, Naj. Pan najmiłościwiej rozkazać raczył ograniczyć stopień kary, osadzeniem Białobrzeskiego w fortecy na rok jeden, nie pozbawiając go duchownej godności i orderu“.

Otóż słowa powyższe stały się kamieniem obrazy dla rozgorączkowanych głów warszawskich; wszyscy czuli się obrażonymi tem, że jakoby Białobrzeski miał się wyrazić, że kościoły przez hymny patryotyczne były znieważone, że „odwołał się do miłosierdzia monarchy“. Zaprzeczono temu, twierdzono, że to być nie może, że jest to kłamstwo „wynalezione przez zbirów moskiewskich na zohydzenie czcigodnego starca, duchowieństwa całego i narodu“. Odgłos tych zaprzeczeń znalazł się oczywiście zaraz w prasie

¹⁾ Depesza z d. 7/19 grudnia: „Kuryer wyjeżdża do Waszej Ces. Mości o godz. 5-ej, posyłam przez niego sprawę Białobrzeskiego“.

zakordonowej polskiej, a z niej powoli przeszedł do dziennikarstwa zagranicznego. „Jednym z najohydniejszych środków, jakich rząd rosyjski używa, pisano tam, jest rzucanie potwarzy i chęć plamienia charakteru i czynów ludzi zasłużonych i kochanych przez naród. Nie udaje mu się to jednak, bo mu nikt nie wierzy. Nie uwierzono również kilku niedorzecznym wyrażeniom, jakie włożono w relacyi w usta ks. Białobrzeskiego. Przekonania swe, uczucia i odwagę aż nadto stwierdził on czynami; stwierdził je nawet sąd polowy wydając wyrok śmierci“. Ze stanowiska rządu najlepiej było nie zwracać uwagi na te zaprzeczenia gazetarskie, nie wywoływać polemiki, gdyż każda władza w tego rodzaju walce na pióra musi być pokonaną i sama jej obrona przyczynić się może do wzmocnienia rozdrażnienia powszechnego. Najlepiej więc było pominąć milczeniem te napaści dziennikarskie, zwłaszcza, że na nie ciągle był wystawiony i nie odpowiadać wcale. Inaczej się jednak zapatrywano w Warszawie na tę sprawę. Lüders pod wpływem swego otoczenia, a głównie Kruzensterna, bo samby zapewne takiego projektu nie powziął, w d. 26 stycznia zatelegrafował do cesarza z zapytaniem, czy w obec tych zaprzeczeń nie należałoby ogłosić w pismach publicznych oryginalnego tekstu zeznania Białobrzeskiego? ¹⁾. Cesarz tegoż samego dnia dał odpowiedź, zgadzającą się na ten osobliwszy projekt i w parę dni potem, 30 stycznia, ukazała się w „Dzienniku powszechnym“ owa opłakana prośba Białobrzeskiego z 2 grudnia do sądu, w której w sposób tak poniżający dla siebie wypierał się wszystkiego i błagał o życie ²⁾. Ale w przypuszczeniu, że dziennikarstwo zagraniczne polskie, uzna tę prośbę także za akt sfalszowany,

¹⁾ Depesza z d. 14/26 Stycznia: „Gazety zagraniczne twierdzą, że w wydrukowanej przez nas sentencji o Białobrzeskim, jego zeznanie i odwołanie się do łaski W. C. Mości jest zmyślane. Upraszam o pozwolenie wydrukowania dosłownie w tutejszych gazetach oryginalnego jego zeznania z akt sądu wojennego. Jenerał-adyutant Lüders“.

²⁾ Patr: Tom III, 457 i następn.

rząd uciekł się do środka niepraktykowanego. Kruzenstern, który całą tę akcję prowadził, wezwał do Zamku w dniu 29 stycznia za pośrednictwem listu prywatnego, skreślonego przez Solnickiego, dyrektora wydziału wyznań, księdza Czajewicza, ówczesnego regensa konsystorza i przedstawiwszy mu oryginalny manuskrypt zeznań a raczej prośby Białobrzeskiego, kazał mu poświadczyć jej autentyczność. Położenie ks. Czajewicza było trudne, a nie był to człowiek, któryby miał odwagę cywilną stawienia czoła rewolucjonizowanej i chorej opinii publicznej. Przytem poświadczenie autentyczności prośby Białobrzeskiego, strącało z piedestału jednego z tych bożków, jakich sobie mnóstwo wówczas tworzono i bądź co bądź nie było na rękę stronnictwu rewolucyjnemu i mogło narazić ks. Czajewicza na liczne zarzuty i oskarżenia. W tak trudnem niezaprzeczeniu dla wszystkich słabych charakterów położeniu, regens konsystorza uciekł się do rozmaitych wybiegów. Zrazu stawiał opór, mówiąc że nie ma do tego od swej władzy upoważnienia, ale nastraszony i skrzyzczany z żołnierską gburowatością przez samego Lüdersa, ustąpił i działać zamierzył na zwłokę. Ponieważ forma tego poświadczenia miała być protokółarną, więc ks. Czajewicz podniósł kwestyą, skąd on się wziął w Zamku? „Wszak, mówił, to musi być zaznaczonem w protokóle“. Odpowiedziano mu, że przybył tu na wezwanie Solnickiego. „List prywatny, odrzekł Czajewicz, nie jest wezwaniem urzędowem“. Uznano słuszność tej uwagi i odłożono rzecz do dnia następnego, co dało możność regensowi obmyślenia dalszego swego postępowania. Nazajutrz, d. 30 stycznia, otrzymał urzędowe wezwanie i wtedy własnoręcznie napisał wymagane poświadczenie, które z wykreśleniem i zmianą kilku wyrazów opublikowano zaraz w dziennikach ¹⁾. Brzmi ono jak następuje: „z polecenia Komisji rządowej wyznań religijnych i oświecenia publicznego przez reskrypt z d. 18 (30) stycznia r. b.

¹⁾ Wszystkie te szczegóły z podań ustnych od osób wiarogodnych i świadomych rzeczy.

Nr. 1331/560, przybyłem do kancelaryi namiestnika Królestwa, gdzie mi okazane zostało pismo JW. ks. Białobrzeskiego, prałata archidyakona metropolitalnego warszawskiego, zawierające zeznanie jego w sądzie wojennym na dniu 20 Listopada (2 Grudnia) r. z. złożone, własną jego ręką napisane i podpisane, tudzież kopia tego zeznania, do mojego poświadczenia, a chociaż poznaję własnoręczność pisma i podpisu JW. ks. Białobrzeskiego prałata i jednozgodności okazanej mi kopii z oryginałem zaprzeczyć nie mogę, kopii wszakże bez upoważnienia mojej władzy duchownej poświadczyć nie mogę. Warszawa d. 18 (30) stycznia 1862 r. ks. Ludwik Czajewicz regens kancel. kons. J. W.⁴

Taki w ogólnych zarysach miała finał sprawa ks. Białobrzeskiego, która zyskała rozgłos ogromny w całej Europie, a w kraju burzyła i niepokoiła nadzwyczaj umysły. Białobrzesci wywieziony do Bobrujska, wszędzie po drodze aż do Słucka, witany był przez tłumy, przeważnie kobiety, głośno płaczące nad jego losem i domagające się jego błogosławieństwa, które chętnie udzielał, nie wdając się z nikim w rozmowę¹⁾. Nie wierzono jego upakarzającym zeznaniom w sądzie²⁾, a dwuznaczne poświadczenie ks. Czajewicza niewiarę tę wzmocniło, i rządowi cała ta sprawa żadnej korzyści nie przyniosła, a samo skazanie ks. Białobrzeskiego nie przestraszyło wcale duchowieństwa i na podstawie jego w niczem nie wpłynęło.

A jednak załatwienie sprawy zamknięcia kościołów, ich otwarcie, obsadzenie katedry metropolitalnej w Warszawie, było rzeczą nagłą i nieuniknioną. Wielopolski to

¹⁾ W Białej Podlaskiej, jeśli wierzyć doniesieniom czasopisma tajnego p. t. *Pobudka* (Nr. 2 z dnia 1 Lutego 1862 r.) „tłumy ludu wszystkich stanów i wyznań, na wieść o przejeździe ks. administratora, cisnęły się w ulicach, ażeby otrzymać błogosławieństwo. Kiedy zaś z rozkazu generała Mamajewa, kozacy napadli na lud pobożny, chłopki Rusinki poczęły wołać: „ne byjte nas za naszaho batka, bo was Boh wszech pokaraje za toi czarny sudy“.

²⁾ Taż *Pobudka* pisała: „rząd, dopełniając miary bezprawia, wysłał do fortecy czcigodnego ks. Białobrzeskiego, napelniwszy wpierw gazety kłamstwami, za które sam fałsz by się rumienił“.

doskonale widział i łudził się tem, że przyszły arcybiskup zdoła okiełznać, przez samą powagę swego zwierzchniego stanowiska, zbyt wybujałe duchowieństwo polskie. Przekonać się miał z czasem, że było to złudzenie, że prądu rwącego z siłą szaloną pojedynczy człowiek powstrzymać już nie mógł, że zrobić to mogło tylko zbiorowe działanie ludzi rozumnych i szczerze pragnących dobra kraju. Margrabia jednak już przez swój charakter, który sam na sobie zawsze się opierał i na siebie liczył, sądził, że swą olbrzymią postawą zawali koryto wezbranej fali; sam będąc niezwykłą, potężną indywidualnością, wierzył w moc i siłę indywidualną. Dlatego to wydawało mu się, że najlepszym środkiem na zrewolucjonizowane do szpiku kości duchowieństwo warszawskie, będzie postawienie na jego czele człowieka wybranego ostrożnie. To przekonanie starał się przelać w sfery rządowe petersburskie. „Trzeba, mówił, zażądać od Rzymu, by mianował wikaryusza apostolskiego, albo też obsadzić wakującą katedrę warszawską. Pierwszy z tych środków będzie miał zawsze charakter prowizoryczny, a wybór osoby, którą się zaproponuje Stolicy apostolskiej, napotka wielkie trudności, gdyż niepodobna będzie wybrać wikaryusza apostolskiego z poza sfery kapituły metropolitalnej warszawskiej, a przynajmniej poza duchowieństwem Królestwa Polskiego; a przytem obowiązki wikaryusza są niejako drogą prowadzącą do godności biskupa dycezyjalnego lub sufragana. Wobec złego stanu umysłów wśród wyższego duchowieństwa, nominacja arcybiskupa pod każdym względem jest lepszą. Kandydat na tę godność może być bez żadnych kwestyi wyszukany poza kapitułą warszawską i poza duchowieństwem Królestwa, a zatem poza zgubnym wpływem, jakiemu uległa większa część naszego kleru. Wybór zrobiony w takich warunkach, nie może napotkać trudności ze strony Stolicy apostolskiej, która od kandydatów na godność biskupią wymaga tylko konduity bez zarzutu, pewnej nauki, zdolności koniecznych dla rządzenia dyecezyą i znajomości języka wiernych, oddanych jej opiece. Nominacja zrobiona poza duchowieństwem

Królestwa będzie zbawienną nauką, gdyż pokaże ona, że rząd, mając na względzie jedynie dobro religii i moralności, zdecydowany jest wybrać swych kandydatów z pośrodku całego duchowieństwa katolickiego, byle łączyli w sobie wyimagane przymioty i zdala stali od intryg politycznych; rozetnie przytem szybko i skutecznie trudności wynikłe z wydalenia prałata Białobrzeskiego i zamknięcia kościołów¹⁾.

Słowa te potrafiły przekonać cesarza, uznał on konieczność załatwienia trudności powstałych z zamknięcia kościołów, i wołał obsadzenie katedry biskupiej, niż staranie się o wikaryusza apostolskiego, który, jak to słusznie zauważył Wielopolski, nie rozstrzygał kwestyi, dawał szerokie pole Rzymowi do mięszania się w sprawy wewnętrzne kościoła polskiego, co zawsze przeciwne było polityce rosyjskiej w Polsce. Niemniej zgadzał się cesarz na to, by kandydat wybrany był poza duchowieństwem Królestwa, a nawet stawiał to jako konieczny warunek przyszłej nominacji. Zdaje się jednak, że pomimo tego zasięgano wiadomości w Warszawie, kogoby tamtejsze sfery rządzące chciały mieć z pomiędzy kleru Kongresówki arcybiskupem. Lüders, do którego oczywiście to pytanie było wystosowane, chciał wybrać takich kandydatów, którzyby dobrze byli widziani przez Polaków, rząd i Rzym, i podał ich trzech: Marszewskiego, biskupa kujawsko-kaliskiego, niedawną ofiarę szkaradnej napaści w Łęczycy; Zwolińskiego, proboszcza praskiego, i ks. Kaczanowskiego, dziekana kapelanów wojskowych, mieszkającego w Warszawie. Z pomiędzy tych trzech kandydatów, Marszewski jako chory i jako powszechnie znieawidzony, był wprost niemożliwy; co do Zwolińskiego wątpliwem było, by go Rzym zaakceptował, zresztą od chwili gdy kościoła na Pradze nie zamknął, był krzywo widziany przez ogół polski. Margrabia zapytany o Zwolińskiego, stanowczo go odradził²⁾. Pozostawał więc jeden tylko ks. Kaczanowski, człowiek bardzo

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 254.

²⁾ *N. Berg*, Zapiski (edycya poznańska) II, 209.

poczciviwy, ksiądz wzorowy, ale cichy i nieznany nikomu. Lüdersowi więc zdawało się, że ten ostatni najlepiej odpowiada warunkom wyżej wyszczególnionym. Ks. Kaczanowski jednak zapytany, odmówił stanowczo: „powieście mnie, wołał, rozstrzelajcie, zesłijcie na Sybir, ale ja nie chcę“¹⁾. Wszystkie zatem kandydatury te upadły, zresztą nie były one traktowane na seryo; cesarz bowiem za nic nie chciał, by przyszły arcybiskup wyszedł z łona duchowieństwa w Królestwie.

W Petersburgu więc myślano zupełnie o kim innym i na razie rzucono okiem na ks. Żylińskiego, arcybiskupa mohilewskiego; wreszcie z porządku rzeczy zapytano się margrabiego, komuby radził oddać wysoką godność metropolitarną w Warszawie? Wielopolski podał trzech kandydatów: ks. Janiszewskiego z Poznania, ks. Prokopa Leszczyńskiego kapucyna z klasztoru warszawskiego²⁾, na koniec ks. Konstantego hr. Łubieńskiego, proboszcza z Rewla, znanego nam już ze swej akcji w sprawie otwarcia kościołów. Ponieważ jednak ks. Prokop należał do kleru w Królestwie i zakon Kapucynów przez swój czynny udział w manifestacjach, źle był widziany w Petersburgu, więc kandydatura ta zaraz upadła, stawiana zapewne przez samego Wielopolskiego w charakterze komparsa, obok głównej postaci, którą był Łubieński. Upaść także musiała wobec tego kandydatura ks. Janiszewskiego, nie budząca już przez to samo zaufania, że należał on do duchowieństwa polskiego zagranicznego, był obcym poddanym i wyrosłym w całkiem innych warunkach. Tym sposobem pozostał jeden Łubieński, jedyna poważna kandydatura. Był to ksiądz jeszcze młody, pochodzący z rodu o nazwisku historycznym, co nie małe zapewne miało znaczenie w arystokratycznej opinii margrabiego, czynny, energiczny, zaprawiony w intrygach politycznych, w których ród ten tradycyjnie się

¹⁾ „Żywot ks. Szczęsnego Zygmunta Felińskiego“. Rękopism, skreślony przez osobę bardzo blisko będącą arcybiskupa Felińskiego, znajdujący się w naszych zbiorach.

²⁾ Loc. cit.

odznaczał, nadzwyczaj zdolny, rozumny, ambitny, co było właściwością wszystkich Łubieńskich. Niewątpliwą było rzeczą, że potrafiłby on stawić czoło burzy, zbierającej się w Polsce, że zdołałby przywrócić karność wśród duchowieństwa, że może (jeżeli w historii należy robić przypuszczenia) popchnąłby na inną kolej nasze dzieje; ale z drugiej strony był nie lubiany przez ogół, rewolucyoniści go potępiali za jego, jak mówili, „intrygi“, za rządów Lamberta, umiarkowani uważali go za zbyt gorliwego, za ultramontanina¹⁾, i za zbyt oddanego rządowi. Bawił on podówczas w Petersburgu i zapytany przez Wielopolskiego, czy przyjąłby godność arcybiskupią, odmówił bezwarunkowo. Jakie względy nim kierowały, trudno odgadnąć²⁾, to pewna, że dobry patriota inaczejby postąpił, i kielich goryczy wypił do dna dla ojczyzny... Wszelako spytany o radę, kogoby w takim razie uważał za odpowiedniego do objęcia wysokiej, trudnej i politycznie niebezpiecznej godności metropolity warszawskiego, bez wahania wskazał na ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, podówczas profesora Akademii Duchownej petersburskiej³⁾, należącego do archidiecezyi mohilewskiej, znanego ze swych cnót, pobożności i nauki, ale skromnego, zagrzebanego w pracy, a przez to niezbyt głośnego⁴⁾. Łu-

1) *Lisicki*, loc. cit. 255.

2) *N. Berg*, loc. cit. przypuszcza, że Łubieński marzył o arcybiskupstwie i Felińskiego wysłał tylko na utworzenie mu drogi ciernistej.

3) Nie seminaryum, jak to powiada *Lisicki*, *Le marquis II*, 255.

4) *Stefan Prawdzicki* (ks. Polkowski) w swem dziełku p. t. „Wspomnienie o Zyg. Szczęsnym Felińskim“ (Kraków 1866) na str. 18 inaczej opowiada przebieg tej sprawy. Utrzymuje on, że Wielopolski wcale nie proponował ks. Łubieńskiemu arcybiskupstwa. Rzecz zaś, według niego, tak się odbyć miała: „przypadek zrządził, że w pewnym miejscu, przedstawiono mu (Wielopolskiemu) znanego niegdyś kapłana Konstantego Łubieńskiego, proboszcza z Rewla. Znany ze swej dumy margrabia, jakkolwiek rzadko z kim raczył na uboczu rozmawiać, znacząco zaprosił ks. Ł. i rozpoczął z nim badawczą rozmowę, wypytując nieznacznie o liczbę duchowieństwa w stolicy (Petersburgu?) o ich postępowaniu i t. d. w końcu zapytał go: kto tu ma największą wzięłość i imię? Czy ks. Ł. odgadł myśl margra-

bieński odmalował owego cichego księdza, zamieszkałego w skromnej celi akademickiej na wyspie Wasilewskiej, tak dodatnimi barwami, że Wielopolski zapragnął go poznać. Przytem uderzała obu ta okoliczność, dziwna zaiste! i jakby palec Boży zdradzająca, że kandydat na arcybiskupa warszawskiego, powołanego między innymi do usunięcia z kościołów pieśni „Boże, coś Polskę“ i innych, nosił to samo nazwisko i był bliskim krewnym twórcy tej pieśni, tak poetycznej i tak wstrząsającej nerwami współczesnych. W duchu mistycznym epoki, a duchowi temu nawet tak potężna organizacya umysłowa, jaką był Wielopolski, ulegała niekiedy, zdawała się ta okoliczność świadczyć o tajnych przeznaczeniach dziejowych i nie bez wpływu zapewne była na ostateczną decyzją margrabiego. Powtarzamy, okazał się chęć poznania ks. Felińskiego.

Jakoż, pewnego dnia, wieczorem, na herbatę przywiózł ks. Łubieński skromnego profesora akademii, do salonów, zajmowanych przez najdumniejszego z magnatów polskich. Było kilka osób i margrabia tak się urządził, że zostawiwszy Łubieńskiego z niemi, sam niepostrzeżenie zniknął z nowoprzybyłym i zamknął się w osobnym gabinecie. Rozmowa trwała dość długo i margrabia ukazał się nakoniec z twarzą dość zadowoloną i dziękował Łubieńskiemu, że mu „pozwoił zrobić tak przyjemną znajomość“ ¹⁾. Po tem oczy-

biego, czy nie — nie wchodzimy w to, dość, że w opisywaniu duchowieństwa petersburskiego wielce się rozwiódł nad pochwałami ks. Felińskiego, profesora Akademii duchownej“. Otóż podanie to jest błędne. Wszystkie relacye, jakie posiadamy o tej sprawie, jednogłośnie twierdzą, że przebieg wypadków był taki, jaki podaliśmy w tekście.

¹⁾ „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“, rękopism. Gdy wyjeżdżając od Wielopolskiego (opowiada tenże rękopism) wsiadali obaj księża do powozu, Łubieński, zwracając się do woźnicy, zawołał: „Wańka! ostrożnie jedź, bo wiesz arcybiskupa warszawskiego!“ Feliński usłyszawszy to, i przekonany, że tym przyszłym arcybiskupem jest nie kto inny tylko ks. Łubieński, począł mu składać swe powinszowania, Łubieński ciągle utrzymując nastrój żartobliwy, rzekł: „jeszcze niewiadomo, kto komu ma winszować“.

wiecie nic nie pozostawało, jak zasięgnąć bliższych wiadomości o tym księdzu dotąd nieznanym, którego gwiazda nagle z poza chmurnego horyzontu petersburskiego ukazywać się poczęła na niemniej chmurnem niebie polskiem. Wiadomości te były bardzo różnorodnej natury i bardzo dziwne i bardzo romantyczne.

W chwili gdy go powołać chciano do dźwigania ciężkiego zaprawdę krzyża, gdy miał wstąpić na wielką scenę akcji historycznej, był on w sile wieku męskiego, gdyż liczył zaledwie lat 40 (urodzony we Wsi Wojutynie (inni zwią ją Wojtunem) w powiecie łuckim na Wołyniu, dnia 1 listopada 1822 r.). Szczupły, jakby zawiedły w uniesieniach ascetycznych, o twarzy surowej i nerwowej zarazem, oczach błękitnych, rozmarzonych i niekiedy mających wyraz półbłędny i półsenny, był niejako wcieleniem tego pokolenia, które po wielkiej epopei 1831 r. w szeregu Rolandowych awantur, wśród rozkołysanych marzeń, wyśnionych „na pościeli granitów rzymskich“ i „oddychaniu różami Cezarów“, szło szukać wolności ojczyzny na setkach pól krwawych, na rusztowaniach, na szubienicach, w rzeziach kaukaskich, w kopalniach i tajgach sybirskich. Wszystkie bóle tego pokolenia dziwnego i jedyne w dziejach, wszystkie cierpienia i męki jego, wszystkie sny i marzenia, znalazły odbicie w duszy i sercu ks. Felińskiego. Należał on zresztą do rodziny, która stale niosła z siebie ofiarę dla ojczyzny. Ojciec jego Gerard umarł na wygnaniu na Syberyi, matka, słynna Ewa z Wendorfów Felińska, za spisek Konarskiego, zesłana na Sybir, na krańce jego ostatnie, do Berezowa, opisała swój pobyt tamże i urokiem swego stylu, podniosłością swej duszy, czystością myśli, więcej z tej książki, zyskała sobie odrazu piękną kartę w dziejach piśmiennictwa ojczystego ¹⁾. Strój, głosny w swoim czasie

¹⁾ Książka ta wyszła w 3 tomach w r. 1852 w Wilnie p. t. „Wspomnienia z podróży po Syberyi i pobytu w Berezowie i Saratowie“. W r. 1856 w tymże Wilnie wyszły niemniej ciekawe i niemniej pięknie napisane „Pamiętniki z życia Ewy Felińskiej“. Poprzednio jeszcze, w r. 1849 napisała powieść p. t. „Hersylia“ a współ-

poeta Aloizy Feliński, i pomimo hołdowania pseudoklasy-
cyzmowi niezaprzeczonego poeta, autor rozplamieniającej
współczesnych tragedyi „Barbara Radziwiłłówna“, stworzył
ów hymn, który tak doniosłą i tak potężną odegrał rolę
w ostatnich dziejach naszych nieszczęść. Siostra Alojzego,
Emilia, w 18 roku życia przez przekład paru poezyi Rous-
seau'a, uzyskała dość znaczny rozgłos, gdyż wówczas dość
tanim kosztem można było zdobyć sobie sławę literacką.
Jednym słowem w rodzie tym streszczała się niejako cała
działalność pokoleń ówczesnych, knowanie spisków, ciężka
za nie pokuta i praca literacka.

Gdy ojciec przyszłego arcybiskupa w r. 1838 umarł
na Syberyi, a matkę wkrótce potem wywieziono do To-
bolska za to, że udzieliła przytułku jednemu z emisaryu-
szów Konarskiego, dzieci w liczbie sześciorga, trzy córki
i trzech synów ¹⁾, pozostawione same sobie, znalazły schro-
nienie u sąsiadów, którzy uważali sobie za obowiązek oby-
watelski rozciągnięcia opieki nad dziećmi męczenników za
ojczyznę, jak to wtedy mówiono. Szczęsny, liczący w tym
czasie około 18 lat, zabrany został przez zamożnego szlach-
cica wołyńskiego, Zenona Brzozowskiego z Sokółki, który
bardzo gorliwie i uczciwie zajął się młodym chłopcem
i oddał go do uniwersytetu w Moskwie. Stąd Feliński
w czasie wakacji robił parokrotne wycieczki do matki,
którą przeniesiono już do Saratowa, pomagał jej ze swych
drobnych oszczędności (posyłał jej rocznie 1000 złp.), i po

cześciej z wyjściem wspomnień syberyjskich, które ogromnego rozgłosu
nabrały, pani Felińska, nagłona zapewne przez spekulacją księgarską,
napisała i wydała w r. 1852 w Wilnie powieść „Pan Deputat“, bar-
dzo słabą. W tym zakresie twórczości literackiej matka przyszłego
arcybiskupa nie miała zyskać sobie sławy. Siłę jej stanowiło spo-
kojne, równe opowiadanie, pełne słodkiej melancholii i poezyi głę-
bokiej. Talent jej twórczym nie był.

¹⁾ Córki: Paulina, Zofia i Wiktorya; dwie z nich wyszły za
mąż, jedna za Wincentego Wydzgę, zdaje się Paulina, i pojechawszy
z mężem do matki na wygnanie, zmarła tam wkrótce; druga była
za Adamem Poniatowskim. Trzeciej los nam nieznan. Z synów
dwóch poświęciło się stanowi duchownemu.

ukończeniu uniwersytetu, wywdzięczając się za pomoc swemu opiekunowi Brzozowskiemu, został nauczycielem jego dzieci. Były to czasy rozkwitu romantyzmu, epoka seraficznych marzeń, bajronicznych uniesień, roztkliwienia poetycznego. Dzieła trzech wielkich wieszczów tej doby, przedostając się kontrabandą do kraju, wywierały wrażenie olbrzymie na dusze tak melancholijne, tak poetyczne, wykołysane w bólu, wychowane w cierpieniu rodziny i ojczyzny, jaką była dusza Felińskiego. Poeci płynąc po wodach jezior szwajcarskich lub italskich, kontemplując „nad Alp śniegiem rozwieszone Włoch błębity“, „rwąc fiołki rosnące na grobach świętych i gladyatorów“, kochali się w mężatkach, mieli swe Beatrice, swe Delfiny Potockie, swe Bóbr Piotrowickie, swe Ludki i swe Eglantyny i kraszając tę nieprawą miłość wszystkimi urokami poezyi, stawiali ją na piedestale czegoś niezemskiego i czegoś wzniosłego. W życiu spaczonym i niezdrowym ojczyzny paczyły się najprostsze zasady moralności i uczciwości, i zdrożne stosunki wyrastały na ideały godne naśladowania, zatruiwały młode serca i głowy. Opowieści o tych kochankach, przysłonięte mgłą tajemniczą, ubrane w najcudowniejszą krasę poetycką, miały już przez swą tajemniczość wielki urok dla takich serc czułych i poetycznych jak Feliński. Opiekun jego Brzozowski miał żonę, Zamoyską z domu, kobietę podobno młodą jeszcze i bardzo piękną; nic dziwnego, że rozmarzony chłopiec zakochał się w mężatce. „I ja też miałem Beatricę moją“ mógł zawołać z poetą, ale miłość ta, choć podobno odczuwana przez drugą stronę¹⁾, napoiła go taką goryczą, takim uczuciem nieszczęścia i niedoli, że postanowił uciec od niej²⁾, i pod pozorem dalszego kształcenia się, w r. 1847 wyjechał zagranicę, za paszportem legalnym i z wiedzą swego opiekuna. Oczywiście udał się do Francyi, do Paryża i począł uczęszczać do Sorbony i Kollegium francuskiego na kursa historii i filozofii³⁾, zapoznał się z emi-

1) *N. Berg*, *Loc. cit.* II, 209.

2) „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“ rękopism.

3) *J. Jastrzębczyk*, *Krzyżowy charakter ruchu polskiego*, 40.

gracyą, zwłaszcza młodszą, która przybiegła tutaj z ciasnego i dusznego więzienia paskiewiczowskiego, rwała się do czynu i wołała, by jej szyto „trójbarwiste, chorągiewki czyste“. Emigracya starsza, niemniej gorąca i zapalna, ale zato o wiele silniejsza posiadająca charaktery, gotowała się także do stoczenia nowego boju o wolność i ojczyznę. W ten wir uczuć, podniesionych do najwyższego tonu, słów szumno-brzmiających, pobrząkiwania szabelkami i górno-lotnymi frazesami, wpadł młody Feliński z duszą rozgoryczoną bardzo, zwarzoną przedwcześnie, zbolełą i rozkochaną w kobiecie i ojczyźnie. Uważano go powszechnie w emigracyi za młodzieńca bardzo obiecującego. Pracował wiele i pilnie i bystro pojmował każdą rzecz. Miał, według tych, co go wtedy znali „umysł wrażliwy i podniosły, wielce skłonny do mistycyzmu, a nawet marzycielstwa, egzaltowany w niektórych sposobach zapatrywania się na sprawy ludzkie. Polak, gorącym sercem kochający kraj i przeszłość naszą. Tajemniczy, głęboko religijny i uczuciowy zarazem, lubiący wnikać w tajniki zasad moralnych i społecznych. Charakter słodki, duch miękki, niedość samoistny, rozpływający się w owej bezwzględnej miłości, którą to naród tak trafnie zwie żeńską miłością. Obyczajów surowych, sięgających do ascetyzmu. Wśród jednak nieudanej skromności i prostoty, w osobistości Szczęsnego, bliżej wglądnąwszy, dostrzedz było można trochę miłości własnej i pewności samego siebie. Powierzchnowości miłej, wzrostu miernego, szczupły, nerwowy, oczów niebieskich a włosów jasnych, trochę szepłeniący, lecz z łatwością słowa. Wogóle znać w nim było staranne i troskliwe wychowanie domowe, dane mu przez zacną matkę, o której zawsze mówił z wielką miłością synowską“¹⁾.

W Paryżu Feliński zapoznał się z Juliuszem Słowackim, głośnym bardzo poetą, z którym łączyły go wołyńskie może i krzemienieckie wspomnienia²⁾. Nie zajmowały

¹⁾ *Jastrzębczyk*, Loc. cit. 40.

²⁾ Matka Felińskiego, mieszkając w Krzemieńcu dla edukacyi dzieci, zapoznała się tam i zaprzyjaźniła z panią Becu, matką Juliusza.

go czeze teorye demokratyczne lub arystokratyczne, o które emigracya się żarła między sobą; on przylgnał do fantastycznego gieniuszu autora „Kordyana“, a przez niego do niemniej fantastycznej i mistycznej nauki, jaką głosił „mistrz Andrzej“ Towiański. Człowiek ten, który tyle głów u nas zepsuł, tyle talentów zmarnował, na chorą i tonącą już w mistycyzmie duszę Felińskiego oddziałał bardzo mocno, a pod żarliwym wpływem Słowackiego, który w swym gieniuszu poetyckim fantazyował na temat mętnej nauki Towiańskiego, przyszły metropolita warszawski został Towiańczykiem ¹⁾. W tym względzie oddziałał na niego zapewne wysoki nastrój Juliusza i jego życie surowe, prawie ascetyczne, jakie teraz pędził. Ze swej strony Słowacki polubił go bardzo. Poznali się w początkach 1848 r. i autor „Mazepy“ pisząc o tem do matki, nazwał Felińskiego „godnym kochania chłopcem“ ²⁾. Ten ostatni odwiedzał poetę co czwartek i wkrótce zawiązał się między nimi stosunek bardzo serdeczny; nie jedno dzieło poety przepisał mu Szczerśny. Słowacki zwał go teraz poufale „Felusiem“, „czystym brylantem i skarbem swoim“, wołał, że „prawdziwie mu takiego potrzeba było“.

Ale zbliżała się wielka burza 1848 roku. Dym barykad paryskich owionął emigracją polską, w głowach wrzeć zaczęło, serca rwać się do Polski kochanej, w snach marzycielskich szatą niepodległości odzianej. Rozpoczęły się narady co robić i jak robić. W mieszkaniu Chłędowskiego, wśród zebranych około trzydziestu Polaków, znalazł się Słowacki, znalazł się i jego „Felus“. Słowacki rozgrzany różnymi pomysłami, ze zwykłą sobie porywającą wymową, z zapalem iskrzącym, zaproponował skonfederowanie się całego narodu z przyjęciem dawnych form konfederackich i żądał natychmiastowego zawiązania się konfederacyi w Paryżu ³⁾. Pomimo silnego wrażenia, jakie mowa ta wywarła,

¹⁾ „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“ rękopism.

²⁾ „Listy J. Słowackiego do matki“ II, 188 (List z d. 22 stycznia 1848 r.).

³⁾ *J. Jastrzębczyk*, *Loc. cit.* 41.

chłodniejsi a może praktyczniejsi, uznali niepodobieństwo przeprowadzenia tego rodzaju aktu, co bynajmniej nie wpłynęło na Słowackiego i czterech bezwzględnych zwolenników tej myśli, t. j. Felińskiego, Józefa Czarnowskiego, Andrzeja Fredro i Kornela Ujejskiego. Spisali oni akt konfederacyi i odpowiednią odezwę ogłosili drukiem. Ale przeminęła ona bez wrażenia; zaproszony do naczelnictwa wojennego generał Kamiński odmówił, odmówił i pułkownik Różycki. Wobec tego, wobec wieści z Poznańskiego, gdzie się tworzyły pod Mierosławskim obozowiska polskie i brzmiała pobudka wojenna, Słowacki postanowił tam szukać gruntu dla swej idei i z trzema towarzyszami (Felińskim, Fredrą i Czarnowskim) wybrał się do Księstwa. Wszyscy oni trzej wstąpili w szeregi. Z tej wyprawy w duszy Felińskiego pozostał na całe życie żal niczem nieutulony, a na czole blizna od szabli dragona pruskiego, w krwawem starciu pod Miłosiawiem otrzymana.

Feliński raniony najprzód powrócił do Paryża w połowie czerwca, a po nim Słowacki i dwaj jego towarzysze. Zaszła krwawa represya Cavaignaca, i Feliński „doznał twardej nędzy, wodę nosił i jeść gotował“¹⁾. Dni te wraz z tem, co widział w Poznańskiem, głębokie wrażenie wywarły na jego umysł. Bolał serdecznie nad małością i nad namiętnościami ludzkimi, a stan egzaltacyi duchowej w połączeniu z mistycznymi teoryjami „mistrza Andrzeja“ doszedł w nim do swego apogeum. Słowacki wrócił niemniej rozbolewały, i dwie te dusze, rozumiejące się doskonale wzajem, coraz bardziej zanurzały się w przepaściste otchłanie mistycznych uniesień i marzeń. W takim stanie umysłu przyszłego arcybiskupa, nadeszła w lipcu 1848 r. wieść, że pani Zenonowa Brzozowska, chora na suchoty, bawi w Monachium. Pod pozorem starania się o przedłużenie pasportu, Feliński wyjechał do tego miasta. Co tam robił (prowadził podobno dalej swe studia akademickie), jak żył i jak cierpiał, nie wiemy, dość, że w ostatnich dniach marca 1849 r.

¹⁾ *Listy* II, 201.

na wieść o chorobie Słowackiego powrócił do Paryża ¹⁾, po to tylko, by być świadkiem zgonu jednego z największych poetów polskich i świata słowiańskiego. Umierając Słowacki wyrzekł do swego przyjaciela te pamiętne słowa: „wszak prawda? gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze, przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jak nieśmiertelnemu duchowi przystoi“. Zgon ten opowiedział Feliński i w opisie tym widać żal głęboki: „sił mi nie staje pisać dalej (kończy) o stracie, którą tak mocno uczułem; był on dla mnie więcej niż przyjacielem“.

Śmierć ta, zawiedzione nadzieje polityczne, choroba pani Brzozowskiej, która podobno przeniosła się do Paryża, by tu cicho skonać ²⁾, tak oddziaływały na rozbolełą, poetyczną duszę Felińskiego, że powróciwszy do kraju, decyduje się wstąpić do stanu duchownego i marzy o tem, jak kiedyś zostanie proboszczem w rodzinnym Wojutynie. Zapisuje się więc do seminaryum w Łucku, skąd po dwuletnim pobycie wysyła go ks. biskup Borowski do akademii duchownej w Petersburgu dla ukończenia studyów. Tu dogorywający już biskup Hołowiński wyświęca go w r. 1855 na księdza i przeznaczają na wikaryusza przy kościele św. Katarzyny, skąd po czterech latach wezwany zostaje na profesora logiki i filozofii moralnej w Akademii Duchownej. Odtąd w skromnej i cichej celi, przedzielonej przepierzeniem drewnianem i tworzącej przez to niby dwa pokoiki, umeblowane w kilka krzeseł twardych, szafę w kącie z książkami i kulawy samowarek, przepędzał młody ksiądz Feliński lata całe, pogrążony w ascetyzm prawdziwy, rozpłomieniający się w ciszy prawie klasztornej życia potężnym ogniem miłości ku tej Polsce, której nie przestawano krzyżować. Wykład jego włókl się dość leniwie i ospale, usy-

¹⁾ *S. Prawdzicki*, loc. cit. 258. List do Teofila Januszewskiego z d. 7 kwietnia 1849 r. „Przyjechałszy przed dwoma tygodniami do Paryża“.

²⁾ *N. Berg*, Loc. cit. II, 209.

piająco oddziaływując na słuchaczy, ale ilekroć profesor pośrednio czy bezpośrednio dotykał się losu narodu, oko jego zapalało się, twarz ożywiała, słowa płynęły z ust jak roztopiona i wszystko pożerająca sobą fala złota. Nie przestawał on ani na chwilę wpajać w swych uczniów gorącej miłości ku Polsce, radził jak mają postępować w przyszłości, gdy Bóg pozwoli im tam wrócić i zająć stanowiska rozmaite. Te rady, bardzo zresztą liczne i zapewne w różnych czasach i okolicznościach wygłaszane, jeden z alumnów spisał sobie w osobnym zeszycie i zachował zostawszy proboszczem gdzieś na Litwie. Tu wpadły one w ręce Murawiewa Wieszatiela i opublikowane¹⁾, stały się tematem niewyczerpanym dla ówczesnych karyerowiczów moskiewskich do głośnych krzyków na zgniliznę jezuicko-łacińskiej cywilizacji, na miejsce której oni powołani zostali do wprowadzenia zdrowej jakoby i młodej cywilizacji moskiewsko-prawosławnej. Pisał tutaj życiorys ks. biskupa Hołowińskiego, skreślony, mówiąc nawiasem, blado i stylem kościelno-kaznodziejskim, robił wycieczki w strony rodzinne do matki, odwiedził nawet J. I. Kraszewskiego w Gródku²⁾, a w Petersburgu swem życiem bogobojnem, ascytycznem i czystem powoli zyskiwać począł wpływ ogromny. Wśród zamętu, jaki nagle powstał w umysłach społeczeństwa rosyjskiego pod działaniem reform i prądów liberalnych nowego panowania, wiele dam z najwyższego świata petersburskiego okazywało skłonność ku katolicyzmowi³⁾ i szukało w nim ukojenia może nie tyle dla dusz swoich, ile dla żądzy odmiany i nowości. Wiele z nich w rzeczy samej potajemnie przeszło na katolicyzm i spowiadało się u skromnego, mnisze życie pędzącego profesora Akademii Duchownej. Przez to zyskiwał on niemałe wpływy i dzięki temu udało mu się w stolicy caratu założyć rodzaj zakonu żeńskiego pod nazwą „Towarzystwa polskiego sióstr miło-

¹⁾ W czasopiśmie „Wiestnik Zapadnoj Rossii“ z 1866 r. II, 168 p. t. „Rady przyjacielskie“ (Drużestwiennyja sowiety).

²⁾ „Książka jubileuszowa, ofiarowana J. I. Kraszewskiemu“, 41.

³⁾ „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“ rękopism.

sierdza“, zwanych w języku potocznym „Felinkami“, lub „Felicyankami“. Stowarzyszenia tego, które rozwinęło się odrazu bardzo silnie, był on opiekunem duchownym, a przełożoną była panna Florentyna Dyman, kobieta niemłoda, nieładna, ale nadzwyczaj zręczna w postępowaniu i pełna stosunków. Jednym słowem, Feliński przez kilka lat pobytu w Petersburgu, dzięki swemu życiu czystemu i ascetycznemu, dzięki swemu wykształceniu i podniosłości ducha, umiał sobie wyrobić znaczne bardzo wpływy ¹⁾.

Takim w ogólnych zarysach był człowiek, któremu Wielopolski zamierzył powierzyć trudne niezmiernie w tej chwili stanowisko arcybiskupa metropolity warszawskiego. Nie zważał, a może nie znał szczegółów z przeszłości tego księdza, który wykarmił się poezją romantyczną i romantyczną polityką polską, któremu nie przestał brzmieć w uszach żałośliwy „jęk Miłosławia i Wrześni“, który wreszcie w gruncie rzeczy był najognistszym, najzapaleńszym patriotą, jednym z tych ludzi, tak licznych w tej epoce, którzy dla ojczyzny gotowi byli iść na męczeństwo, dla których Polska była świętością, a myśl jedynie zwracała się ku republice o dwa morza i o dwie rzeki opartej. Może Wielopolski nie zdawał sobie sprawy z tego, może sądził, że mroźna atmosfera petersburska, widok naoczny potęgi caratu i tego granitowego miasta, jakby uosobionego w pomniku Piotrowym, co „leciał tratując po drodze“, tak oddziałał na Felińskiego, że zrzekł się polityki awanturniczej, że potrafi liczyć się z rzeczywistością i myśleć będzie nie o odzyskaniu utraconego, ale o utrzymaniu tego, co się jeszcze miało. Zobaczymy, że mylił się, jak może i sam Feliński się mylił w sądzie o położeniu rzeczy. Co innego bowiem było patrzeć na wypadki ostatnie z odległego punktu na wyspie Wasilewskiej, a co innego żyć wśród nich, oddychać gorącą atmosferą Warszawy i grać główną rolę na tragicznej scenie polskiej. Dlatego też kładąc ciężką infułę metropolitalną na głowę, kładł ją w dobrej wierze,

¹⁾ Loc. cit.

iż wykona swe zadanie uczciwie i że wykonując je tak, nie inaczej, dobrą służbę spełni ojczyźnie. Z czasem, w burzy szalonej, która się zerwała u nóg jego, przekonać się miał, że się mylił i heroicznie za tę omyłkę odpokutował.

Ale w tej chwili nie wątpił o sobie i o patriotyzmie najczystszymsj swej misyi. Nie wątpił i Wielopolski i przekonany był, że ten cichy ksiądz, o wyglądie mistyka i ascety, jakby żywcem wygrzebanego z pieczar Tebaidy, uspokoi duchowieństwo, ład i karność śród niego zaprowadzi i wzbierającej fali rewolucyi nałoży wędzidło. W tem przekonaniu wygotował memoryał, który cesarzowi przedstawił. W memoryale tym wszelkimi sposobami starał się za radą ks. Konstantego Łubieńskiego ¹⁾ uzasadnić potrzebę rezydencji nuncjusza papieskiego w Warszawie, lub w ostateczności w Petersburgu. Twierdził, że z nuncyuszem takim, rząd porozumiewałby się tu na miejscu, a ten wiele spraw mógłby sam załatwić i z niektórymi tylko odnosić się do dworu rzymskiego; „to zaś, na coby on (t. j. nuncyusz) się zgodził, z pewnością twierdzić można, zostałyby przez dwór rzymski zaakceptowane“. Do takich spraw, mogących być rozstrzygniętymi na miejscu, należało przedewszystkiem oczyszczowanie w dobrach duchownych; duchowieństwo bowiem, uważając oczyszczowanie włościian za alienacyą, potrzebującą upoważnienia Stolicy apostolskiej, wstrzymywało się z przystąpieniem w dobrach swoich do tego aktu. Do takich spraw dalej należało zwierzchnictwo nad zakonami, które w Królestwie nie podlegały władzy biskupów, ale swych jenerałów, w Rzymie mieszkających. Wskutek tego, jak twierdził memoryał, „zakony nie zachowują jak należy reguły swojej, dopuszczają się nadużyć, rozwolnienia w życiu i całym postępowaniu, a biskupi zaradzić temu nie są

¹⁾ Myśl nuncyatury nie wyszła wcale od Wielopolskiego, jak to utrzymuje Lisicki w obu swych panegirykach, ale od ks. Łubieńskiego, który w czasie swego pobytu w Rzymie w r. 1861 podsunął ją ambasadorowi rosyjskiemu hr. Kisielewowi. Dodać tu trzeba, że Kisielew ożeniony był z Potocką, Łubieński rodził się z Potockiej, stąd pewne powinowactwo ułatwiało stosunki wzajemne.

władni, jak tego były nawet przykłady w terażniejszych wypadkach krajowych, w których zakonnicy występowali to z nabożeństwami, to ze śpiewami politycznymi przez rząd wzbronionymi a nawet z przemowami do ludu, nieprzyjaznymi dla rządu⁴. Temu wszystkiemu powagą swoją mógłby nuncyusz zapobiedz, jak również nieporozumieniom, wynikającym z prawa 1836 roku o małżeństwach mieszanych. Utrzymałby, iż bytność na miejscu nuncjusza i osobiste z nim porozumienie się wpłynęłoby na usunięcie wynikłych z tego powodu rozdrażnień; mógłby też, według memoryału, z łatwością rozstrzygnąć raz na zawsze kwestyą diecezji kieleckiej, która z prawa należała do krakowskiej i biskupa osobnego mieć nie mogła, tylko administratora. Niemniej bytność w kraju nuncjusza usuwałaby potrzebę trzeciej instancyi w sprawach rozwodowych, która znajdowała się w Rzymie; łatwiejszą i nakoniec prędszą byłaby nominacya biskupów na wakujące katedry, gdyż „skoroby się nuncyusz zgodził na zaproponowanych mu ze strony rządu kandydatów, nie zachodziłaby u dworu rzymskiego w ich akceptacyi żadna przeszkoda“¹).

Memoryał ten nie pozostał bez wrażenia, jak niemniej niemale zdziwienie w cesarzu wywołała propozycya Wielopolskiego, by na archikatedrę warszawską powołać ks. Felińskiego²). Zdaje się, że coś wiedziano o jego przeszłości, w końcu jednak, wobec gorącego pragnienia ukończenia kompromitującego i nadzwyczaj niewygodnego sporu z duchowieństwem warszawskim, cesarz w zasadzie zgodził się na tę kandydaturę. Wielopolski w d. 14 grudnia wręczył cesarzowi notatkę z listą trzech kandydatów, jak tego wymagały przepisy konkordatu. Na liście tej był ks. Łubieński, Zwoliński, znany nam proboszcz z Pragi i ks. Feliński. „A czy on potępi duchowieństwo za wzięcie udziału w po-

¹) Memoryał ten czytać można w całości w dość niedołącznym przekładzie polskim u *Lisickiego*, Aleks. Wielopolski II, 215—224.

²) *Lisicki*, Le marquis II, 255.

litycznych wypadkach?⁴ — miał się spytać cesarz ¹⁾). Wielopolski odrzekł na to, że przyszły arcybiskup nie biorąc udziału w żadnych manifestacjach politycznych i kościelnych, zakazując hymnów patryotycznych, już tem samem potępi tych, którzy to dotąd robili. Cesarz przyjął tę uwagę, odebrał notatkę i nazajutrz miał naradę z wicekanclerzem państwa ks. Gorczakowem w tej kwestyi. Wiemy już jak dalece rząd pragnął załatwienia sporu z duchowieństwem warszawskiem, a nadewszystko otwarcia kościołów, gdyż kompromitowało go to przed całą Europą, a Rosya jeszcze wówczas czuła była na opinią Zachodu o sobie. Z Rzymem też stosunki były bardzo naprężone. Jeszcze w lecie 1861 r. jakieśmy o tem we właściwem miejscu wspominali, gabinet petersburski odniósł się był do Stolicy apostolskiej, by zakazała śpiewania po kościołach hymnów rewolucyjnych i dała upomnienie duchowieństwu polskiemu za branie udziału w manifestacjach politycznych. Papież wszelako odmówił, a teraz właśnie, w chwili gdy Wielopolski wystąpił ze swym memoriałem i kandydaturą ks. Felińskiego, dochodziły do rządu rosyjskiego niepokojące wieści z Rzymu, że papież na najbliższym konsystorzu zamierza pochwalić duchowieństwo polskie za jego postawę i za zamknięcie kościołów ²⁾. W takim położeniu projekt Wielopolskiego wydał się być bardzo skutecznym środkiem zapobieżenia nowemu wystąpieniu papieskiemu. Zdecydowano się na przedstawienie Felińskiego na arcybiskupstwo warszawskie i rozpoczęcie negocyacji co do stałej nuncyatury w Warszawie lub Petersburgu, według wszelkiego prawdopodobieństwa z tą myślą, żeby tych negocyacji do skutku nie

¹⁾ *S. Prawdzicki*, Loc. cit. 19. Wprawdzie broszurze tej bardzo wierzyć nie można, gdyż przytaczanie rozmów, których nikt trzeci nie był świadkiem i nikt nie notował, koniecznie musi budzić wątpliwości. Cały ton wreszcie książki, sposób pisania przypominający metodę kronikarzy średniowiecznych, długie rozmowy, liczne zresztą błędy i podania fałszywe, każą z pracy tej korzystać z wielką ostrożnością. Tu i owdzie jednak autor ma wiadomości dobre i źródłowe.

²⁾ Loc. cit. 20, oraz materyały rękopiśmienne.

doprowadzić. Wysłano więc natychmiast feldjegra Greya do stolicy świata chrześcijańskiego z odpowiednimi instrukcyami¹⁾.

Nie odbyło się to wszystko tak cicho i tajemniczo, by wieść o ostatecznej rezolucyi i wysłaniu instrukcyi dla posła rosyjskiego w Rzymie nie doszła do Wielopolskiego, a zwłaszcza do ks. Łubieńskiego, który pilną na te sprawy miał zwróconą uwagę. Tegoż samego wieczora przybył on do skromnej celi ks. Felińskiego, który właśnie kończył swój brewiarz, i domiósł mu o wszystkim²⁾. Podobno Łubieński przybył z krzyżem arcybiskupim, który w ciągu dnia kazał zrobić naprędce i wręczając go Felińskiemu, ukląkł przed nim i prosił go o błogosławieństwo³⁾. Zrazu skromny profesor akademicki nie chciał temu wierzyć, a gdy go Łubieński starał się przekonać o prawdzie słów swoich, zawołał: „niechże mię Bóg broni!“ Powoli jednak uległ dowodzeniom wymownym Łubieńskiego, który mu zarazem przedstawił warunki, pod jakimi rząd rosyjski pragnie go widzieć arcybiskupem warszawskim. Mówił więc, że „musisz otworzyć kościoły, każesz zaprzestać śpiewów patryotycznych i w liście pasterskim zgromisz tych księży, którzy się manifestują“. Warunki te nie podobały się ks. Felińskiemu, twierdził, że w takim razie nie go nie nagli do przyjęcia tego „strasznego ciężaru“. Ale Łubieński wy-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit. 21. Autor przytacza przy tej sposobności, na wzór Liwiuszowski, całą rozmowę, jaką prowadzili ze sobą obaj księża. Że mogli tak rozmawiać, że nawet rozmowa ta w swej treści może być prawdziwą, o tem nie wątpimy, ale mimo to nie jest ona ściśle historyczną. Najlepszym dowodem tego jest to, że ks. Łubieński miał powiedzieć: „od tygodnia bawi tu w Petersburgu margrabia Wielopolski“. Tymczasem sam *Prawdicki* na poprzedniej stronie zaznacza, że bytność margrabiego u cesarza z listą kandydatów odbyła się d. 14 grudnia 1861, a już nazajutrz t. j. d. 15 grudnia był Łubieński u ks. Felińskiego. Wiemy wszelako, że Wielopolski bawił w Petersburgu od miesiąca przeszło (przybył d. 7 listopada) a nie od tygodnia. W ten sposób traktowane są wszystkie szczegóły w książce *Prawdickiego*.

³⁾ „Żywot S. Z. Felińskiego“ rękopism.

tłomaczył mu, że tylko tym sposobem, robiąc to co rząd chce, będzie można w zamian zyskać ważne ustępstwa dla kraju; nazwał tych, co działali w kraju „szaleńcami“, odwołał się do jego uczuć polskich i zdołał tę duszę rozkochaną w Polsce, rozmarzoną o „matce sześćkroć przebitej“ przekonać, że przyjmując infułę metropolitalną, spełni akt wysokiego patryotyzmu. „Fiat!“ rzekł ks. Feliński i dodał: „jeżeli istotnie Pan Bóg cud ten uczyni, że mię na tak trudnem postawi stanowisku, to ufam, że nie odmówi też i drugiego cudu, łaski mianowicie do spełnienia tego posłannictwa“¹⁾, i prosił tylko gościa, by rzecz całą zachował w największej tajemnicy. A potem, gdy został sam w swej skromnej celi, zaniósł gorące modły w ekstazie mistycznej do Boga i do Panny Częstochowskiej, by go natchnęła mocą i dozwoliła mu umrzeć, jak trzeba będzie za Polskę...

Tymczasem gdy tutaj, w mroźnej stolicy caratu, rozgrywały się powyższe sceny niezwyklej doniosłości historycznej, w Rzymie, pod turkusowem niebem Italii, w dniu 21 grudnia, poseł nadzwyczajny rosyjski Mikołaj Kisielew, otrzymawszy przez Greya instrukcyę z Petersburga, w rozmowie z kardynałem Antonellim domagał się koniecznie, by Stolica apostolska przez encyklikę potępiła pieśni patryotyczne i naganę udzieliła duchowieństwu polskiemu. Był to wstęp do właściwych negocyacji, o rozpoczęcie których Kisielew otrzymał już polecenie; próbowano czy groźbą uznania królestwa włoskiego, a tem samem i jego nabytków, nie da się uzyskać upragnionej encykliki, bez przykrych dla Rosyi ustępstw, za jakie uważano nuncyaturę papieską w Warszawie. Tej ostateczności chciano uniknąć i uciekano się do groźby. Gdy ta jednak nie poskutkowała, gdy kardynał Antonelli wyrzekł „non possumus“, Kisielew szukał

¹⁾ Rękopism, skreślony przez bezimiennego, którego nazwisko jednak jest nam znanem, ale z powodów od nas niezależnych wymienić go nie możemy. To tylko zaznaczyć należy, że autor rękopismu miał zręczność dowiedzenia się z bezpośredniego źródła o działalności w tej porze ks. Felińskiego. Na pismo to w ciągu tej pracy często powoływać się będziemy.

poparcia u posła pruskiego Kaunitza¹⁾, i u pewnej grupy Polaków, którzy mieszkając albo stale, albo chwilowo w Rzymie, umieli sobie wyrobić niejaki wpływ w Kuryi rzymskiej. „Niecni Targowiczanie“, jak ich zwano w kołach rewolucyjnych, a między nimi Witold ks. Czartoryski, który w tej porze bawił w Rzymie i miał długą audyencyą u papieża²⁾, poskładali raporta, może nieco przesadzone, ale bądź co bądź prawdziwe o rewolucyjnem i niesforem usposobieniu duchowieństwa polskiego. Oczywiście nie działali oni tu wcale w zмовie z Kisielewem i bynajmniej nie mieli zamiaru robienia przysługi rządowi rosyjskiemu, znieawidzonemu przez wszystkich, czy oni byli biali, czy czerwoni, czy bezbarwni. Zdaje się, że i z Watykanu żądano takich informacji i informacye te dano, nie wiedząc wcale, że mogą one dopomódz akcji rządu rosyjskiego. Kisielew wiedział o tem i liczył, że wszystko to, w połączeniu z jego groźbą, wywrze wpływ na Stolicę apostolską, uzyska od niej to co trzeba i niebezpiecznej nuncyatury się uniknie. Oczekiwano więc z łatwo wytłómaczonym niepokojem Konsystorza, który był zwołany na dzień 23 grudnia 1861 r.

¹⁾ Kaunitz skarżył się kardynałowi Antonellemu, że ruch, ogarniający Królestwo Polskie, daje się także odczuwać i w Księstwie Poznańskiem, że odbiło się to na ostatnich wyborach do sejmu, że lud zaczyna śpiewać po kościołach hymny rewolucyjne, i że wogóle postępowanie duchowieństwa katolickiego jest nagannem i niczem nieusprawiedliwionem. Oświadczył przytem, że rząd jego zdecydowany jest karać surowo księży, biorących udział w ruchu rewolucyjnym, że zatem dla uniknienia przykrych dla obu stron następstw, najlepiej będzie, gdy Stolica apostolska potępi owe hymny i przywoła do porządku kler polski.

²⁾ *Prawdzički*, Loc. cit. 27, powiada, że do tych „niecznych Targowiczian“ należała Rozalia hr. Rzewuska; za nim powtarza tę plotkę A. Giller (Historja pow. nar. pol. II, 162) z tem dodatkiem, że kiedy pierwszy inicjałami oznacza „niecną Targowiczankę“, Giller nie krępuje się już niczem i całe nazwisko wypisuje. Nazwaliśmy to podanie plotką, choćby z tego względu, że w tej dobie hr. Rzewuska, wdowa po emirze Wacławie, była już kobietą bardzo starą i do polityki wcale się nie mieszała, mieszkając cicho i spokojnie w Warszawie. Była to kobieta bardzo rozumna, z wielkim charakterem,

Nadzieje te jednak zawiodły rząd rosyjski. Papież wogóle nie dotykał polityki, a co do Polski, jakkolwiek mocno ochłodzony ku niej, nie rzekł przecież ani jednego słowa potępiającego nieszczęśliwy kraj, szarpiący się w mękach nieziszczonych pragnień. Owszem, wspominając o gotującej się kanonizacji męczenników japońskich i Michała de Sanctis, i wydając polecenie, ażeby na tę uroczystość zaproszono biskupów całego świata katolickiego, dodał te znaczące słowa: „a o biskupach z Polski nie zapominajcie; wyprawcie do nich zaproszenia naprzód i to dwiema drogami, bo oni nieszczęśliwi, gorzej jak chińskim murem odgródnieni są od nas“¹⁾. Zdanie to świadczyło, że wszelkie zabiegi posłów rosyjskich (Kisieleva i przysłanego mu do pomocy Urusowa) chybiły zupełnie i trzeba było wystąpić z propozycją nuncyatury i obsadzenia archikatedry warszawskiej. Jednakże i tym razem nie chciano mówić o nominacji arcybiskupa, ale tylko administratora na miejsce uwięzionego Białobrzeskiego, i z taką propozycją, nazajutrz po Konsystorzu, Kisielew wystąpił do kardynała Antonellogo²⁾.

lojalna w swych przekonaniach, dobra Polka, nienawidząca wprowadzie rewolucyi i mająca przez zięcia swego, Włocha, jeszcze stosunki z Rzymem, ale to wszystko nie jest wcale dowodem, ażeby przez oskarżenie duchowieństwa polskiego dopomagała akcyi rządu rosyjskiego. Opinia zrewolucyonizowanej ulicy niecierpiała pani Rzewuskiej za to, że się nie kryła ze swemi przekonaniem, że cesarz Mikołaj I., ilekroć przyjechał do Warszawy, zawsze tej pani składał wizytę. Niewątpliwie p. Rzewuska niekiedy w swej lojalności za daleko zachodziła, jak np. prosząc Mikołaję, by jej syna po powstaniu w 1831 r. zesłał na Kaukaz, co się może tłómaczy stosunkami rodzinnymi, ale z drugiej strony faktem jest, że nie chciała przyjąć zwrotu skonfiskowanych dóbr jej męża, jak tylko pod warunkiem, że wszystkie konfiskaty będą zwrócone w całej Polsce dawnej. Jest to bez zaprzeczenia piękny rys charakteru i hr. Rzewuska nie zasłużyła na tę opinię, jaką o niej miano. O złej stronie tej pani wiedziano, o dobrych umyślnie zapomniano i przy każdej sposobności szkalowano ją. Echem tych oskarżeń jest podanie zarejestrowane przez Prawdzickiego i plotkarza Gillera.

¹⁾ *Prawdzicki*, loc. cit. 27.

²⁾ *Prawdzicki*, loc. cit. utrzymuje, że poseł rosyjski wystąpił

Wyraziwszy swe ubolewanie z powodu, że na wczorajszym Konsystorzu nie zostało spełnione gorące pragnienie rosyjskie, poseł oświadczył gotowość swego rządu do przyjęcia nuncjusza apostolskiego w Petersburgu, przyczem przedstawił kandydatów na administratora archidiecezyi warszawskiej, prosząc o możliwie najprędszy wybór. Kardynał z nieukrywaną radością przyjął wiadomość o nuncjuszu, oświadczył, że „Ojciec św. z niecierpliwością liczy będzie dni, dzielące go od urzędowego przesłania legata“, ale nie zgodził się na nominacją administratora, gdyż tym jest prałat Białobrzeski, wybrany przez kapitułę warszawską i nie przestanie nim być dopóty, dopóki albo sam nie zrzecze się dobrowolnie, albo dopóki arcybiskup nie obejmie stolicy osieroconej¹⁾. Wobec tego Kisielew ustąpił i listę trzech kandydatów nie na administratora, ale arcybiskupa złożył do rąk kardynała sekretarza stanu.

Kurya rzymska skwapliwie teraz zabrała się do rzeczy, by skorzystać ze szczęśliwego położenia. Co prędzej poczęto zasięgać wiadomości wśród kolonii polskiej w Rzymie o nowym kandydacie na arcybiskupstwo warszawskie. Nie wiele tam co prawda wiedziano o tym cichym, ascetycznym profesorze akademii petersburskiej, ale to, co wiedziano, dawało o nim jak najlepsze świadectwa. Zresztą, mieszkał tam wówczas brat Felińskiego, Julian, także ksiądz, uczeń Kollegium rzymskiego, „wzór pobożności i cnoty“, i ten do pewnego stopnia był najwymowniejszym dowodem, że arcybiskupstwo warszawskie w godne dostanie się ręce. Z drugiej strony kolonia polska przez swe stosunki nalegała usilnie na Kurya, by przyspieszono prekonizacją Felińskiego, z obawy, by rząd rosyjski, namyśliwszy się, nie cofnął swego szczęśliwego wyboru. Sam papież miał być bardzo zadowolony z tych jednobrzmiących pochwał, jakie słyszał o Felińskim. „Choć raz przecie, mówił, zapropono-

z tą propozycją wprost do papieża. Inne, pomniejsze informacye przekonywują, że przedstawił je naprzód kardynałowi Antonellemu.

¹⁾ Loc. cit. 29.

wała nam Rosya takiego kandydata, na którym żaden nie ciąży zarzut, a zewsząd same tylko pochwały odbiera¹⁾. Wobec tego, wobec słusznych uwag kolonii polskiej, że rządowi rosyjskiemu dowierzać nie należy, papież zapowiedział d. 30 grudnia, z niezwykłą w takich razach szybkością konsystorz nadzwyczajny na dzień 6 stycznia, na którym miał być ks. Feliński prekonizowany arcybiskupem warszawskim, oraz uwolniony od wszystkich przedwstępnych formalności kanonicznych.

Niemniej skwapliwie wzięto się w Rzymie do sprawy nuncyatury, która miała przywrócić zerwane oddawna stosunki międzynarodowe między Rzymem a Rosyą. Kardynał Antonelli widział w tem punkt oparcia dla swej polityki, zwłaszcza dla polityki jego włoskiej i pragnął wyzyskać postawę Rosyi względem nowego królestwa włoskiego, zrodzonego z rewolucyi czerwonej, zaborcy ziem Państwa kościelnego i czyhającego na samą stolicę świata chrześcijańskiego. Rosya dotąd zdobyczy tych nie uznała i Kurya liczyła, że przez wysłanie nuncjusza postawę tę Rosyi utrwali na długo. Zrazu myślano o wysłaniu jakiego prałata w misyi tymczasowej, któryby przygotował grunt dla przyszłego nuncjusza, ale potem nie bez wpływu kolonii polskiej w Rzymie, która nie przestawała nalegać o pośpiech i radziła nieufać rządowi rosyjskiemu, zmieniono to zdanie i na nuncjusza przeznaczono ks. Berardi, podsekretarza stanu, ucznia kardynała Antonellego, „persona grata“ dla rządu petersburskiego²⁾, i z pośpiechem udzielono mu potrzebnych święceń³⁾.

Wśród tego wszystkiego, w Petersburgu, nie bez zadowolenia dowiedziano się, że papież zaakceptował kandydaturę Felińskiego. I tu pragniono rzecz całą przyspieszyć, z innych oczywiście niż w Rzymie przyczyn, a mianowicie spodziewano się, że opłakane stosunki z duchowieństwem polskiem nowy arcybiskup załatwi szczęśliwie, kościoły

¹⁾ Loc. cit. 30.

²⁾ Rękopism bezimienny.

³⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 287.

otworzy, hymnów patryotycznych zakaże, i zrewolucjonizowanych księży weźmie w kluby. Tem przekonaniem i temi nadziejami brzmiały słowa cesarza, gdy przed nim stanął wezwany umyślnie ks. Feliński. Przeprowadzony przez mnóstwo sal, lśknących przepychem i zbytkiem, znalazł się w końcu w osobistym gabinecie Aleksandra, przed obliczem samowładnego cara Wszech Rosyi¹⁾. Dziwny zaiste! kontrast, rzadko w historii spotykany, tworzył ten ksiądz polski w swej skromnej sutannie czarnej, ze swą twarzą ascety i marzyciela, z blizną miłoślawską na czole, z ideałem Polski wielkiej i niezależnej w sercu, potomek wygnańców sybirskich, z tym „synem Wasilowym“, panem krajów „od chłodnych, fińskich skał do płomiennej Kolchidy“. Dziwniejszem niestety! i na zawsze bolesnem jest dla duszy polskiej, że to, czego chciał w tej chwili ten car moskiewski, było bezwarunkowo zbawiennem i dobrem dla tej nieszczęśliwej Polski, tak strasznie upadłej, że na żądanie jego zgodziłby się dziś bezwarunkowo najlepszy, najczystszy patriota polski.

„Witam was jako arcybiskupa warszawskiego“ (pозdrawiaju was archiepiskopom warszawskim), rzekł cesarz, poczem zaraz wypowiedział swe żądania i swe nadzieje. Słowa jego brzmiały łagodnie, pełne były obietnic²⁾. Feliński z pokorą przyjmował na siebie „ciężar arcybiskupstwa“, i w łatwo wytłómaczonej ekstazie, składając ręce i ze łzami, które wycisnęła gorąca miłość ojczyzny, błagał cesarza, by wytrwał w swej łaskawości dla Polski, by dał kościołowi katolickiemu swobodę zupełną. Cesarz na to odpowiedział, iż wszystko jest gotów zrobić, ale żąda, by kraj się wprzód uspokoił, by Feliński wszelkiemi siłami do tego uspokojenia się przyczynił. Rozmowa ta na rozpląkaną duszę Felińskiego, na jego serce przepełnione Polską i tęsknicą

¹⁾ *S. Prawdzicki*, Loc. cit. 31.

²⁾ *Prawdzicki*, zwyczajem swoim przytacza całą rozmowę, która oczywiście nie może mieć cechy autentycznej, ale przytem twierdzi, że cesarz był groźny i chmurny. Myśmy poszli za relacją rękopiśmienną „Życiorysu ks. S. Z. Felińskiego“.

za nią, tak oddziałała, że wprost z pałacu Zimowego udał się do kościoła św. Katarzyny i padłszy krzyżem przed ołtarzem, błagał Boga o siły i pomoc, i modlił się za Polskę kochaną, za Polskę nieszczęśliwą! ¹⁾). W parę dni potem, gdy przyszła z Rzymu wiadomość, że prekonizacya Felińskiego ma nastąpić w d. 6 stycznia, cesarz uwiadomił go o tem i dodał, że „papież na jego, cesarza, prośby usunął wszelkie formalności, dlatego jedynie, aby Feliński co prędzej mógł spełnić wolę cesarską na tym ważnym urzędzie“, co, jak wiemy, nie było prawdą, gdyż niezwykłego pośpiechu w Rzymie były całkiem inne powody. Przytem Aleksander II zapewniał, że „Feliński, wszelkie potrzeby, dla zachowania splendoru jego dostojenstwa, zaspokojone mieć będzie ze skarbu cesarskiego“ ²⁾).

Prekonizacya odbyła się według zapowiedzi d. 6 stycznia, w dzień Trzech Króli, wśród zwykłych w takich razach uroczystości. Papież wygłosił allokucyą, która głębokie wywarła wrażenie i niemiłym odbiła się echem w Petersburgu. „Słabe i niedołężne wybiera Pan Bóg, mówił papież, aby okazał moc swoją i chwałę swoją. Tej świętej prawdy stawię wam nowy przykład wielebni bracia moi. Cierpieniom tyle nieszczęśliwego, a tyle szlachetnego narodu polskiego ulitował się Pan, krótkie osierocenie po zmarłym zacnej pamięci arcybiskupie warszawskim Antonim nagradza Pan ubogim w duchu a bogatym w cnoty, młodym kapłanem. Chlubne o nim świadectwa, jakie nam zewsząd nadesłano, każą spodziewać się, że jak ona dzisiejsza gwiazda mędrców, tak on będzie przyświecać kościołowi w ojczyźnie swojej. Od niepamiętnych czasów nie uczyniliśmy tak śpiesznego wyboru; z tym jednakże nie wahamy się, przez wzgląd szczególnie na nieszczęśliwy stan Polski, spodziewając się zarazem, że gotowość, z jaką przyjęliśmy kandydata, skłoni cesarza rosyjskiego do łagodniejszego obchodzenia się z Polakami, i osłodzi przeto

¹⁾ Loc. cit. 34.

²⁾ Loc. cit. 36.

los cierpiących. Tym kandydatem jest ks. Zygmunt Szczęsny Feliński, profesor i ojciec duchowny Akademii rzymsko-katolickiej w Petersburgu. Czy zgadzacie się wielebni bracia, abyśmy go prekonizowali arcybiskupem warszawskim?« Gdy na to pytanie zebrani kardynałowie odrzekli: *placet* (zgoda!) Papież głosem uroczystym odezwał się: „zaczem powagą Boga wszechmogącego, świętych Apostołów Piotra i Pawła, tudzież naszą, ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego profesora Akademii Duchownej rzymsko-katolickiej w Petersburgu, mianujemy arcybiskupem metropolitą warszawskim i nadajemy mu paliusz, jako godło arcybiskupiej godności, a dyspensując go od wszelkich przedwstępnych formalności, rozkazujemy wysłać do niego wszystkie papiery, potrzebne do jego przywilejów“.

Wiadomość o tem posel rosyjski tegoż jeszcze dnia przesłał telegrafem do Petersburga, skąd w parę dni potem dostała się do gazet warszawskich, i tu najróżnorodniejsze, ale w gruncie rzeczy nieprzyjazne nowemu arcybiskupowi, wwołała sądy. Wieść ta wprawdzie nie była zupełną dla Warszawian nowością; od paru tygodni obiegały już o tem głuche pogłoski, które powtarzano, ale niebardzo im wierzone, nie chcąc przypuszczać, by jakiś nieznaną ksiądz i do tego z Petersburga, miał zasiąść na metropolitalnej stolicy polskiej, był prymasem polskim. Gdy się to jednak sprawdziło, niechęć wzrósć musiała. Niewiele wiedziano o nowym arcybiskupie, najrozmaitsze obiegały plotki, zawsze w ujemnem wystawiające go światle. Wprawdzie to usposobienie nieszczęśliwe chciała zażegnać prasa jawna warszawska. „Gazeta polska“ pisała: „syn najgodniejszej z niewiast, która wielkie przymioty serca łączyła z niepospolitymi darami umysłu, ks. Szczęsny odziedziczył po niej moc duszy i charakteru z wzniosłym połączone umysłem, które praca i znakomite wykształcenie podniosły. Całe jego życie dotychczas upłynęło w ciszy i zajęciu, zawsze sercem i rozumem pokierowanemu ku obmyślanemu celowi“. „Wezwany do dźwignienia ciężkiego brzemienia, z poświęceniem chrześcijanina bierze na ramiona. Nie będziemy mu win-

szować dostojęstwa, bo dostojność jego charakteru starczyłaby dlań, a dostojęstwo jest ciężarem, ale mamy nadzieję, że dla kościoła wybór ten prawdziwie opatrzny, będzie w czasach próby wielkim darem nieba“. Korespondent z Rzymu do „Gazety warszawskiej“, osobistość bardzo blisko będąca dworu papieskiego, stąd dobrze poinformowany, donosząc o prekonizacji Felińskiego, pisał: „ks. Szczęsny, syn Ewy Felińskiej, znanej literatki, a synowiec autora „Barbary“, jest bardzo młodym na godność, którą go Najwyższy Pasterz zaszczyca; liczy on bowiem tylko lat trzydzieści dziewięć i przechodzi bezpośrednio z katedry profesorskiej w Akademii Duchownej w Petersburgu na najwyższe kościelne w Królestwie Polskiem dostojęstwo. Wyniesienie jego ma otworzyć nową erę dla duchowieństwa katolickiego. Pius IX ogłosi nowego arcybiskupa warszawskiego w dzień, w którym cudowna gwiazda zabłysła dla ludów, siedzących w cieniach śmierci i powołała królów, a w nich wszystkie narodowości ziemi do stajenki leżącego w żłobie Dzieciątka; można tedy śmiało powiedzieć, iż ks. Feliński, szczęsny także z imienia, wstępuje na pasterską stolicę pod istotnie szczęśliwą gwiazdą. Oby jej promień opiekuńczy zawsze jemu przyświecał!“

Ale słowa te pełne nieskrywanej radości i ciężarne ukrytymi myślami, nie zrobiły wrażenia. Duchowieństwo, którego wpływ w tej dobie był ogromny, uczuło się mocno obrażonem w swej godności, a nadewszystko upokorzonem, że na archikatedrę nie powołano żadnego z pomiędzy nich, ale „jakiegoś tam profesorzynę z Petersburga“¹⁾. W ogólności z przekąsem wyrażało się o nowym metropolicie, „petersburskim księdzu“, i obiecywało sobie w duszy dać mu uczuć przy pierwszej sposobności, że jest intruzem i dzięki tylko „łasce moskiewskiej wlaźł na metropolią“. W niechęci i rozgoryczeniu swoim wyższy kler warszawski twierdził, że będzie to taki sam biskup, jakich widziały ka-

¹⁾ Wyrażenie to jak i następne zaczerpnięte ze źródeł współczesnych, głównie z „Życiorysu ks. S. Z. Felińskiego“, manuskrypt.

tedry polskie za Paskiewicza i Muchanowa, „duch moskiewski“, „służka carski“, we wszystkim uległy rządowi ¹⁾). Niższy kler, zwłaszcza na prowincyi, niemniej był zdziwiony i zrażony tą niespodziewaną nominacją. Zrewolucjonizowany do szpiku kości, najczerwieńszy z czerwonych, chciał widzieć na metropolii nowego Fijałkowskiego i Białobrzezkiego, jak mówiono, któryby dalej prowadził upartą walkę z rządem. Wszystkim niepodobało się nadzwyczajnie, budziło podejrzenie co do prawości zamiarów nowego arcybiskupa, że on pochodził z grona kleru petersburskiego, który nigdy nie cieszył się dobrą opinią wśród duchowieństwa w Królestwie. Mieszczaństwo na pół zżydźiałe i marzące o zdobyciu ostróg obywatelstwa w nowym ruchu rewolucyjnym, szlachta niechcąca w gruncie rzeczy powstania, ale mimo to biorąca udział w organizacyi tajnej i manifestacyach wszelkiego rodzaju, przeczuwała w przyszłym arcybiskupie pacyfikatora, i dochodząc w swej lekkomyślnej opinii do zbrodniczych kalumnii, wołała, że „będzie to nowy Siemaszko“ ²⁾). Jednem słowem opinia o ks. Felińskim była jak najgorsza, jak najbardziej mu nieprzyjazna, do czego z wiedzą czy bezwiednie przyczyniali się bardzo wiele różni dygnitarze polscy i rosyjscy. Jedni wygłaszali o nim głośno przesadzone, a tem samym nieszczerze pochwały, a na ucho szeptali każdemu, kto ich chciał słuchać, że nowy arcybiskup „uznaje z zasady istniejącą władzę, ale marzy o przeciągnięciu Rosyi na łono kościoła katolickiego“, że „pragnie powrotu Polski z buławami i infułami, lęka się powstania opierającego się na rewolucyi, a w pomoc Europy zachodniej nie wierzy“ ³⁾). Prawiąc te komunały, kiwali głowami, jakby się litowali nad nierozumem przyszłego prymasa polskiego i tym sposobem do reszty dobijali go w opinii tłumów, jak zawsze bezmyślnych i zawsze do owczego pędu skłonnych. Inni rozpuszczali tysiące uwła-

¹⁾ *Prawdzički*, loc. cit. 43.

²⁾ Loc. cit. 44.

³⁾ *Historya ruchu narodowego* I, 130.

czających ks. Felińskiemu pogłosek, którym niby nie wierzono, ale chętnie je powtarzano wszędzie. Twierdzili oni, że ks. Feliński zostawał przez długi czas przy poselstwie rosyjskiem w Paryżu, w jakiejś misyi bliżej nieokreślonej, tem podejrzawszej zatem, a wieść ta dostała się nawet do gazet zagranicznych i obiegała po nich długo, przedrukowywana z dodatkami zawsze uwłaczającymi polskiemu charakterowi arcybiskupa.

Dziennikarstwo warszawskie, mając usta zamknięte przez cenzurę, milczało zupełnie, ale już to milczenie samo, było bardzo wymowne; za to dzienniki galicyjskie nie szczędziły słodko-kwaskowatych rad ks. Felińskiemu. „Czas“ krakowski, zawsze nader wpływowy i czytany, na wieść o zamierzonej nominacyi pisał: „arcybiskup z wyboru rządu, nie z wyboru duchowieństwa, będzie sługą Moskwy, nieprzyjacielem kościoła i wiary katolickiej“. Później, gdy już nominacya przyszła do skutku wołał ze sztucznym, szumno-brzmącym, ale pozbawionym treści patosem: „oby ks. Feliński miał zawsze przed oczyma opatrne znaczenie dnia, w którym prekonizowanym został; oby nie dzielił nigdy sprawy narodowości polskiej, sprawy uciśnionej ojczyzny, od sprawy kościoła, który był dotąd jej przytulkiem i tarczą; oby nie zбочzył ani na krok z drogi wytkniętej przez wielkiego poprzednika swego i zawiódł całkiem nadzieję tych, którzy na niego, jako na narządzie przeciw Polsce liczyli; oby pamiętał, że jest wyniesiony w uroczystość narodowości i pieśni, kiedy aniołowie śpiewali na wysokościach, a pastuszkowie kolędownali Małemu, i że Ojciec św., jednocześnie z zatwierdzeniem jego, odmówił urzędownie potępienia hymnów polskich“. W tym samym tonie odzywa się korespondent warszawski „Czasu“: „w trudnej niezmiernie chwili obejmuje ks. Feliński godność arcybiskupa; lecz im trudniejsze jest położenie, tem większa dla niego zasługa, jeżeli wytrwa w kierunku wytkniętym przez Fijałkowskiego i Białobrzeskiego, jeżeli pójdzie śladem tych ludzi, którzy aż do męczeństwa bronili praw kościoła i kraju. Sprawa uciśnionego narodu jest ściśle złączona ze sprawą

kościół katolicko-chrześcijański. Kto rozłączy duchowieństwo od narodu, kto po wypadkach, które naród krwią oblały i podniosły go moralnie, zechce z uległością rządowi rosyjskiemu prowadzić sprawę, ten kościołowi i narodowi zada cios bolesny. Dla ks. Felińskiego niema innej drogi, prócz tej, którą szli jego poprzednicy; nią pójść powinien, odrazu wstąpić na nią obowiązany; inaczej postępując, poda rękę pomocną owemu bezprawiu i gwałtowi, który chce stłumić wszelką siłę moralną a z duchowieństwa zrobić sługę i narzędzie do gnębienia narodu“. Tak pisał „Czas“, jeden z najpoważniejszych dzienników polskich tej doby. W redakcyi, którą opuścił chłodny i ostrożny Mann i oddał ją na pastwę najróżnorodniejszych prądów, podsyconych sztucznie z Wiednia, przygotowywano adres do papieża. W piśmie tem dziękowano Stolicy apostolskiej za współczucie jej dla sprawy polskiej, a to w tym celu, by wzbudzić w masach przekonanie, że papież aprobejuje bez restrykcyi całe postępowanie duchowieństwa polskiego, a zatem, że nowy arcybiskup, działając przeciwnie, stanie w opozycyi z Rzymem i głową kościoła katolickiego¹⁾.

W tym chórze wszelkiego rodzaju wieści, insynuacyi i rad nieproszonych i przytem zbyt interesowanych, by miały być szczeremi, najprzyzwoiciej, że się tak wyrazimy, zachowali się czerwieńcy warszawscy i ich prasa tajna. Po większej części milczała ona bardzo dyskretnie o przyszłym arcybiskupie, lub odzywała się nader ostrożnie. „Z dobrego źródła wiadomo nam, pisała „Strażnica“²⁾, że papież, mianując arcybiskupa Felińskiego, stanowczo odmówił potępienia objawów życia narodowego Polski i oświadczył się na korzyść pieśni „Boże, coś Polskę“. Ksiądz Feliński nie ma więc upoważnienia Stolicy apostolskiej do wystąpienia przeciw narodowi, dlatego nie należy wierzyć pogłoskom przez szpiegów w interesie najazdu rozpuszczonym. Dość jeszcze będziemy mieli czasu do uregulowania stosunków z naszym

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 274.

²⁾ Nr. 2 z d. 25 stycznia 1862 r.

nowym arcybiskupem, gdy w pośród nas przybędzie i da się poznać swymi czynami“. W słowach tych nie widać przychylnego usposobienia, ale też niema tych rad ubliżających, jakimi przepelciona jest prasa galicyjska. „Pobudka“ niemniej ostrożnie i oględnie zapowiedziała w kilku słowach przybycie arcybiskupa. „Podług doniesień rządowych ks. Szczęsny Feliński prekonizowany został w Rzymie na arcybiskupa warszawskiego. Ważny to niesłychanie fakt dla kraju, dlatego też z niecierpliwością wyglądamy przybycia arcybiskupa w błogiej nadziei, że syn zacnej matki, której skrwawione stopy znać jeszcze na śniegach Sybiru, potrafi się z godnością utrzymać na stanowisku ojca ojczyzny i nie zawiedzie oczekiwań narodu“¹⁾.

Tak się odzywała prasa tajna rewolucyjna, takie sądy ostrożne wydawało czoło stronnictwa czerwonego. Zato wśród niższych jego warstw, w tym szarym motłochu, który na nieszczęście narodów stanowi opinią, oburzenie przeciw papieżowi i Felińskiemu wzrastało z każdą chwilą. Rewolucyoniści włoscy i francuscy po swych dziennikach twierdzili, że papież uląkł się pogroźek cesarza rosyjskiego, że interes wiary poświęcił interesowi politycznemu, a samą prekonizacją Felińskiego, niejaki Piotr Sterbini, dziennikarz drugorzędny i przyjaciel Mazziniego, nazwał „weselem w piekle“. Z ubóstwem fantazyi pisarskiej opowiada, jak Lucyper zwołuje wszystkich szatanów i ogłasza im nominacją Felińskiego uroczyscie, jako zwycięstwo piekła nad Rzymem. W ogólności twierdzono, że Feliński „przez Moskwę i Rzym zasadzony jest pospołu, aby ruch polski wydać carowi“²⁾. W Warszawie obiegać poczęły drukowane kartki, zwykle na ścianach domów przyklepane, w których jakiś domorosły agitator, nie tyle dowcipny ile złośliwy, pisał, że „do otwarcia kościołów przyjedzie z Petersburga ślusarz; jest nim ks. Feliński, biskup moskiewski“.

W takich to warunkach ks. Feliński miał wstąpić na

¹⁾ „Pobudka“ Nr. 2, z d. 1 lutego 1862 r.

²⁾ *Prawdzički*, *Loc. cit.* 46.

najwyższą godność duchowną w tej Polsce, którą tak gorąco kochał i dla której wszelkie ofiary ponieść był gotów. Szkalowano go, oplwano, zwano zdrajcą i biskupem moskiewskim, nie szczędzono mu żadnych obelg i żadnych ciosów. Jakież męczarnie musiała przechodzić ta dusza czysta, rozmarzona, zapatrzona w Polskę, rozkochana w niej jedynie! jak gorzko odczuwać największą z boleści, gdy własni bracia odtrącają od ojczyzny! Ale był to dopiero początek, pierwsze krople cykuty, którą pić miał z czasem pełnym kielichem.

W Petersburgu niemałe było zadowolenie, że tak szybko i bez wielkich trudności udało się załatwić w Rzymie sprawę arcybiskupstwa, a choć nie otrzymano potępienia hymnów patryotycznych i duchowieństwa polskiego, spodziewano się jednak, że przy ostatecznych układach o nuncyaturę, przy groźbie uznania królestwa włoskiego, cel ten da się powoli osiągnąć. Nie omieszkało też publicznie objawić tego swego zadowolenia, gdyż w dniu 13 stycznia, w sam Nowy Rok według kalendarza juliańskiego, radca tajny i poseł pełnomocny w Rzymie Mikołaj Kisielew otrzymał order orła białego. Oczekiwano także z niecierpliwością na kuryera ze stolicy rzymskiej, który miał przynieść potrzebne papiery i list Ojca św. do cesarza¹⁾. List ten jednak sprawił pewne rozczarowanie w Petersburgu. Papież, mówiąc zrazu o nuncyaturze i o nominacji Felińskiego, w końcu robi uwagę o hymnach polskich, że przeczytał je pilnie i potępić ich nie może, gdyż nie są przeciwne wierze i obyczajom²⁾. Goniec z listem, papierami i paluszem papieskim dla nowego arcybiskupa, stanął

¹⁾ *Prawdżicki*, loc. cit. 39, opowiada, że Kisielew, wysyłając kuryera, miał rzec: „ruszaj bracie, otrzymaliśmy wszystko, cośmy chcieli“ (stupaj bratiec, my wsio połuczili, czewo tolko chotieli). Wątpliwem jest jednak, by tak mówił, gdyż właściwie oprócz nominacji arcybiskupiej nic więcej nie otrzymał.

²⁾ Ustęp ten listu, według *Prawdżickiego*, loc. cit. 39, brzmi jak następuje: „co się tyczy pieśni polskich, których przekłady czytaliśmy pilnie, tych nie możemy potępić. Stolica albowiem apostolska

w Petersburgu w dniu 13 stycznia 1862 roku. Paliusz ten wraz z pierścieniem arcybiskupim, bardzo kosztownym, oraz infulą i pastorałem, który Aleksander jako dar od siebie ofiarował, otrzymał Feliński z rąk cesarza.

Teraz wobec zbliżającej się konsekracji, nominat arcybiskup zabrał się do pisania listów, do „prześwietnej“ kapituły metropolitalnej warszawskiej i do kapituły łowickiej, prosząc je, by przysłały delegatów na ten akt uroczysty. Ciągłe w stanie ekstazy na pół poetycznej, pół marzycielskiej, przewidując niejako ciężki zaiste krzyż, jaki mu przyjdzie dźwigać na purpurze arcybiskupiej, w asceetycznym uniesieniu odbył teraz sześciodniowe rekolekcye wśród modłów nieustannych i zupełnem odcięciu od świata ¹⁾).

Wśród tego wszystkiego powoli gotowano się w Warszawie i Petersburgu do konsekracji. Ukaz cesarski o „wyniesieniu do godności arcybiskupa warszawskiego“ księdza Felińskiego, ukazał się dnia 24 stycznia, konsekracja zaś naznaczoną została na niedzielę, d. 26 t. m. Obie kapituły: warszawska i łowicka, pozbawione najenergiczniejszych swych członków, otrzymawszy listy Felińskiego, wybrały na delegatów do Petersburga, pod wyraźnym naciskiem władz rządowych, dwóch kanoników: ks. Szczygielskiego z Warszawy i ks. Budziszewskiego z Łowicza. Prócz tego rząd polecił biskupowi sufraganowi Platerowi, aby także udał się do Petersburga dla asystencyi przy uroczystościach konsekracyjnych. Feliński delegatów tych oczekiwał z wielką i łatwo w jego położeniu wytłomaczoną, niecierpliwością. To co się działo w Warszawie, dochodziło doń w niezawodne pewnych, a częstokroć mocno skażonych kształtach, zwłaszcza w zakresie spraw kościelnych. Zresztą na wulkanicznym bruku Warszawy czas i wypadki biegly szalo-

to tylko potępia, co jest złem zawsze i wszędzie, co jest przeciwne wierze i obyczajom. W przedłożonych nam pieśniach polskich nic tego nie znaleźliśmy, te więc jako kwestye miejscowe zostawiamy biskupom do rozstrzygnięcia, wedle ich mądrości“.

¹⁾ Loc. cit. 40.

nym pędem, fizyognomia ich co chwila nieomal się zmieniała, i to co się działo przed tygodniem i co wymagało takiego a nie innego postępowania, dziś już było faktem przestarzałym, i wymagającym całkiem innych środków zapobiegawczych. Przybywający więc z Warszawy i kraju księża mogli go dokładnie objaśnić o najnowszych zwrotach i kierunku tego wichru, który szalał po Polsce. Nietety! przybyli nie chcieli, czy nie umieli tego uczynić. W części przez bojaźń, a może w zamiarach, by ten „intruz“, jak go nazywali, sam brał rozwścieczonego byka rewolucyi za rogi, nie powiedzieli mu prawdy, nie dali rady otwartej i serdecznej. Feliński odczuł to później głęboko; „nie potępiam ich, mówił, ale mam do nich żal szczery“¹⁾.

W wigilią konsekracyi, w sobotę dnia 25 stycznia, naznaczona została Felińskiemu audyencya u cesarza, który, jak sam powiada, dał nowemu arcybiskupowi „osobiście wskazówki postępowania“²⁾. Do posłuchania tego, trwającego przeszło godzinę, Aleksander przygotował się niejako przez długą konferencyą z Płatonowem, pomocnikiem ministra sekretarza stanu Tymowskiego. Płatonow obznajomił swego pana szczegółowo z bieżącymi kwestyami kościelnymi w Warszawie, tak że cesarz w rozmowie z Felińskim zdradzał dokładną znajomość stosunków tamtejszych. Posiedzenie zagał oświadczeniem kategorycznym, że postanowił zmienić dotychczasowe postępowanie z Polakami, że dążeniem jego jest szczere i trwałe pojednanie obu naro-

¹⁾ *Prawdzički* loc. cit. 48. Wiadomość podana, przez tego pisana na str. 47, jakoby Feliński nie mógł się swobodnie rozmówić z przybyłymi z Warszawy, gdyż „argusowa straż, przydana arcybiskupowi i gościom, nie dozwoliła mu, jak tego pragnął, szczerze i serdecznie rozpytać się o wszystko, co się dzieje w kraju“, jest pozbawiona prawdy. W kwestyi tej w *Rękopiśmie bezimiennym*, który zasługuje na zupełną wiarę, czytamy co następuje: „stosunek z nimi (z gośćmi z Warszawy) był zupełnie swobodny i wogóle ze strony rządu okazywano ks. Felińskiemu zupełne zaufanie“.

²⁾ Depesza do Lüdesza z 15,26 stycznia: „Felińskawo prinimał wczera i dał jemu licznyja nastawlenia“.

dów na podstawie uwzględnienia słuszych żądań jego poddanych polskich, którym nadał obszerną autonomię administracyjną. „Pragnę, powiedział, aby w kraju tym narodowość i religia mogły się rozwijać z całą swobodą, byle na drodze legalnej“¹⁾. Zaręczał, że nikt nie będzie prześladowany za swe przekonania religijne, jak również za swe uczucia polskie, byle jedno i drugie zamknięte było w szrankach ustaw, kraj cały obowiązujących. Twierdził, że od duchowieństwa katolickiego nic takiego nie wymaga, co by się sprzeciwiało jego sumieniu. „Macie prawo kanoniczne, mówił, bądźcie biskupami wedle jego wymagań, a znajdziecie z mojej strony opiekę i uznanie“. Na nieszczęście, ciągnął dalej, znaleźli się śród Polaków „wichrycyiele“, którzy postawiwszy sobie cele niemożliwe do urzeczywistnienia, a nawet „niegodziwe“, przy pomocy środków występnych starają się je urzeczywistnić. Potrafili oni obalać część duchowieństwa, używając księży za narzędzie do wciągania ludu ciemnego do „spisków buntowniczych“. „Rząd mój, mówił cesarz, ściga tych zapamiętałych szaleńców, bez współudziału jednak samego społeczeństwa zaraza ta wytępić się nie da. Ufam, że tam, gdzie interes rządu wspólny jest z interesem narodu, gdzie religia i cywilizacja na tę samą pokojowego rozwoju nawołują drogę, ufam, mówię, że w najwyższym zwierzchniku duchowieństwa polskiego znajdę szczerego i dzielnego pomocnika w pokojowych i dobroczynnych dla kraju moich usiłowaniach“²⁾. Na te słowa, brzmiące nutą łagodności i jak najlepszych życzeń dla Polski, ks. Feliński odrzekł, że jako Polak i katolik z niewymowną wdzięcznością przyjmuje program „wspaniałomyślnego monarchy“, że wobec „tak błogich zamiarów rządu dla kraju, uważa wszelkie dążności rewolucyjne za zgubne i że dołoży wszelkich starań, by tak duchowieństwo jak i lud mu powierzony odwieść od sideł, zastawionych na niedoświadczoną mło-

¹⁾ Rękopism bezimienny.

²⁾ Loc. cit.

dzień przez apostołów przewrotu". Był to pewien rodzaj zobowiązania się na przyszłość, którego cesarz wysłuchawszy, przeszedł do praktycznej strony działalności nominata. Oznajmił mu więc naprzód, że pierwszą sprawą, jaką będzie musiał załatwić w Warszawie, jest otwarcie kościołów. Na odpowiedź Felińskiego, że uczyni to niezwłocznie po dopełnieniu rekonyliacyi dwóch sprofanowanych świątyń, cesarz zauważył, że według telegramu namiestnika Lüdersa rozlewu krwi w rzeczonych kościołach nie było, rekonyliacya więc całkiem nie jest potrzebna. Na to odparł ks. Feliński, że nie był w Warszawie ani podczas wypadków, ani podczas śledztwa, że więc, kiedy tam przybędzie, oprzeć się będzie musiał jedynie na dokumentach, jakie znajdzie w konsystorzu; że wie, iż w sprawie profanacyi istnieje dokument, podpisany przez trzydziestu świadków, którzy jednozgodnie pod przysięgą zeznali, iż krew była przelana; że przewodniczący śledztwu w swoim czasie zażądał od generała Lüdersa, aby wyznaczył do składu komisji delegata rządowego, czego jednak namiestnik nie uczynił; że gdyby ów delegat zaprotestował był protokółarnie przeciw orzeczeniu komisji, wówczas, na podstawie tego protestu, ks. Feliński mógłby wytoczyć nowe śledztwo. Ponieważ jednak we właściwym czasie nikt nie protestował, więc on, jako człowiek nowy, nie może rozpoczynać rządów od zarzutu kłamstwa, „tylu zacnym i powszechnie szanowanym świadkom“, gdyż przez to zaufanie do niego zostałoby na samym początku zachwianem i wpływ całkiem udaremniony. Cesarz zdawał się uznawać słuszność tych uwag, gdyż rzekł: „a więc zostawiam tę kwestyą uznaniu pańskiemu; uczynisz, co uznasz za właściwe na miejscu“¹⁾. Następnie zapytał, kogo zamierza mianować oficyałem, a na odpowiedź Felińskiego, że ks. Rzewuskiego, cesarz odezwał się: „ależ to on właśnie prezydował w komisji, która zawyrokowała o sprofanowaniu kościołów!“ „Jestem pewny, odrzekł nominat, że osądził

¹⁾ Loc. cit.

wedle przekonania własnego sumienia, nie oglądając się na presyą ani ze strony rządu, ani ze strony ulicy, gdyż jest to kapłan mocnych zasad i niezłomnego charakteru; francuskie zaś przysłowie mówi: *on ne s'appuie, que sur ce qui resiste* (na tem tylko, co stawia opór, oprzeć się można)⁴. Snadź cesarzowi nie podobał się ten wybór, gdyż rzekł, że możeby lepiej było na to stanowisko powołać księdza Zwolińskiego, który „okazał niepospolitą siłę charakteru nie zamykając kościoła na Pradze, pomimo nacisku rewolucjonistów“. „Ks. Zwoliński, odpowiedział na to przysły arcybiskup, skompromitował się swą wenalnością w sprawach rozwodowych i najgorszej używa opinii tak w kraju, jak i w Rzymie; jego wybór i mnieby skompromitował w przekonaniu ludzi uczciwych“. „To powołaj ks. Siekluckiego, nalegał cesarz; był on wprawdzie uwięziony, ale stało się to przez pomyłkę i rząd niema nic przeciw jego nominacyi“. Ale Feliński nie myślał ustępować i odrzekł, że skoro cesarz postanowił zmienić system rządzenia w Królestwie Polskiem, to nie trzeba zużytych narzędzi stawiać na czele machiny rządowej, gdyż ogół narodu nie tyle zwraca uwagi na ustawy pisane, ile na ludzi powołanych do ich wykonania. Gdy bowiem ogół spostrzeże, że u steru władzy stoją te same znieprawione osoby, to nigdy nie uwierzy w szczerłość zamiarów rządowych. Cesarz przekonany tym argumentem i tym razem ustąpił, pozostawiając tę sprawę uznaniu arcybiskupa, poczem przeszedł do kwestyi udziału duchowieństwa w spiskach tajnych, w których księży ślubują posłuszeństwo jakiejś władzy nieznaney i bezbożnej i odbierają przysięgę od spiskowych, że władzy tej słuchać będą. Zapytał następnie, jakich środków zamierza użyć arcybiskup, aby podwładne sobie duchowieństwo od podobnych bezprawii powstrzymać? Ks. Feliński odrzekł, iż postępowanie podobne najzupełniej gani, jako sprzeciwiające się nauce kościoła i wyraźnie przez Stolicę apostołską potępione; że dla wydobywania tych księży z sieci, którzy już w nie popadli, zamierza zwołać synod diecezjalny, na którym odczytane będą bulle papieskie, odno-

szące się do tej kwestyi, tudzież unieważnione zostaną powagą arcybiskupią przysięgi tego rodzaju, jako niegodziwe. W celu ustrzeżenia zaś na przyszłość kleru polskiego od knowań rewolucyjnych, radził, żeby rząd starał się o umocnienie z Rzymem związku duchownego, który obecnie był prawie zerwany z powodu rozporządzenia, zabraniającego klerowi polskiemu wszelkich stosunków ze Stolicą apostolską. Tam bowiem tylko, mówił dalej, w tem ognisku jedności katolickiej przechowuje się nauka nieskażona dogmatów i moralności chrześcijańskiej, oczyszczona od wszelkich namiętności politycznych i socyalnych; tam przeto należy wychowywać czoło kleru polskiego, aby odrodzony w duchu kościelnym i współbraci też swoich na tę drogę naprowadzić usiłował. Radził przeto, aby założono w Rzymie kolegium polskie dla kilkunastu kleryków, którzyby uczęszczali do *Collegium romanum*, po ukończeniu zaś nauk objęliby katedry w seminariach krajowych. O fundusze niema się co kłopotać, gdyż sami biskupi dostarczyliby pieniędzy na pokrycie kosztów utrzymania, rząd tylko odstąpiłby na ten cel w Rzymie dom, należący niegdyś do poselstwa polskiego, obecnie zaś będący własnością rosyjską. Cesarz odpowiedział, że skłonny jest do zbliżenia się ze Stolicą apostolską, co się zaś tyczy proponowanego kolegium, to sprawa ta musi być wprzód dokładnie zbadaną i dlatego do arcybiskupa przyśle Płatonowa, który dostarczy mu objaśnień potrzebnych. Na tem skończyła się rozmowa; cesarz uprzejmie pożegnał ks. Felińskiego i przy rozstaniu dodał, że w Warszawie jednemu tylko namiestnikowi winien złożyć wizytę, wszyscy zaś inni dygnitarze, tak cywilni jak i wojskowi sami mu się przedstawiają¹⁾.

¹⁾ Rękopism bezimienny. *Prawdzicki* loc. cit. 40, utrzymuje, że cesarz w rozmowie tej wyraził życzenie czytania jeszcze tu, w Petersburgu, listu pasterskiego, że ks. Fel. miał odpowiedzieć: „nie wiem N. Panie, czy będę w możności kreślenia pasterskiego listu, w oddali od owieczek moich, zupełnie mi nieznanych, sędzę, że dopiero po przybyciu mojem do Warszawy będę mógł napisać odezwę

Jakoż wkrótce w skromnej celi ks. Felińskiego zjawił się Płatonow z ogromną teką pod pachą, i pomimo wyszukanych form grzeczności zewnętrznej, objawiał w każdej kwestyi niechęć i złą wolę wyraźną. W sprawie dawnego domu poselstwa polskiego w Rzymie, okazał dokumenta urzędowe, dowodzące, że budynek ten nabyty został za pieniądze przez Aleksandra I-go i stanowi własność prywatną rodziny cesarskiej. Tym więc sposobem projekt urządzenia kolegium polskiego w Rzymie upadł i konferencya z Płatonowem nie miała żadnych następstw praktycznych ¹⁾.

Wśród tego wszystkiego zbliżał się dzień naznaczony na konsekracyą, która miała się odbyć w kościółku, raczej kaplicy św. Jana Jerozolimskiego, mieszczącej się w podwórzu pałacu paziów na ulicy Sadowej. Pałac ten i kaplica, zbudowana niegdyś przez imperatora Pawła dla kawalerów maltańskich z wielkim przepychem, w poważnym stylu *empire*, uchodziła za modną, i zwykle w niej na mszę ranną, co niedziela zgromadzał się cały wielki świat petersburski polski. Teraz, w ową niedzielę, d. 26 stycznia 1862 r. miał się rozegrać akt wyniesienia na pierwszą godność duchowną w Polsce prostego księdza wikaryusza. Tłumy też napełniały poważną, błyszczącą od złotych krzyży maltańskich, od kolumn z różowego granitu, kaplicę. Cały świat wielki polski i niepolski Petersburga zbiegł się tutaj, by patrzeć na to niezwykle w stolicy caratu widowisko. Zauważono mnóstwo błyszczących mundurów wielkich dygnitarzy; był więc minister spraw wewnętrznych Wałujew, był Tymowski, minister sekretarz stanu Króle-

pasterską do duchowieństwa i wiernych archidyecezyi całej“. Kończy Prawdzicki tę błędną relacyą, że „zręczne to znalezienie się arcybiskupa, kiedy palusz miał już w rękę, nie podobało się carowi, bo wkrótce zakończył rozmowę i pożegnał arcypasterza kilka nie mającymi znaczenia frazesami“. Całe to opowiadanie jest zupełnie fałszywe. O liście pasterskim nie było mowy; kwestyą jego wyjaśnimy bliżej we właściwem miejscu i opowiemy, jak się z nim rzeczy miały.

¹⁾ Rękopism bezimienny.

stwa Polskiego, był jego pomocnik Płatonow, był minister skarbu, był wielki mistrz obrzędów dworskich hr. Borch, był hr. Sievers, dyrektor departamentu do spraw obcych wyznań, byli ambasadorowie różnych państw katolickich i niekatolickich, jak: hiszpański, angielski, austriacki, belgijski i bawarski. Kościół lśknął się od świetnych mundurów, świetniejszych jeszcze strojów kobiecych, a wśród tego błyszczącego grona, ponad głowami tego barwnego orszaku, tych postaci, jakby przez Veroneza malowanych, unosiła się olbrzymia figura Wielopolskiego w prostym, czarnym fraku. Wszystkie spojrzenia ku niemu się zwracały, gdyż widziano w nim twórcę tego uroczystego aktu, który za chwilę miał się odbyć, a podejrzowano o przygotowywanie wielu innych aktów... Zresztą, był on bohaterem sezonu petersburskiego, ogniskiem, w którym, mniemało wielu, że zestrzela się wszystko. Więc odwracano głowy od błyszczących mundurów i bardziej jeszcze błyszczących oczów kobiecych, by spojrzeć na tę ciężką, niedźwiedziowatą postawę magnata polskiego, który zdawał się w tej chwili, w swej potężnej dłoni, dzierżyć losy nie tylko Polski, ale i Rosyi...

Samej konsekracyi dokonał bardzo uroczyście, według ceremoniału odpowiedniego, arcybiskup metropolita mochilewski, ks. Wacław Żyliński, w towarzystwie biskupów sufraganów: Staniszewskiego, Bereśniewicza i hr. Platera, oraz dwóch wyżej wymienionych kanoników: Szczygielskiego i Budziszewskiego. Gdy wchodził do kościoła świetniejszego od mundurów złocistych, od koronek i jedwabi kobiecych, wszystkich spojrzenia zwróciły się na tego księdza, który wziął na siebie tak ciężkie brzemie i przed którym tak tragiczna leżała przyszłość. Na jego twarzy poważnej i nerwowej, w oczach zwykle tak rozmarzonych i jakby mgłą powleczonych, malowało się teraz uczucie głębokiej pokory, rezygnacyi i trwogi zarazem¹⁾. Zdawał

¹⁾ Korespondencya z Petersburga do *Gazety polskiej* z d. 30 stycznia 1862 r.

się widzieć, a może śnił tylko o drodze ciernistej, jaka go od chwili wyjścia z tego kościółka petersburskiego czekała. Gdy nakoniec wszystko się skończyło, gdy opuszczał progi świątyni, klerycy otaczający go mieli łzy w oczach, miało je wielu także obecnych. Całą resztę dnia tego, tak ważnego w życiu Felińskiego i w dramatycznych dziejach Polski, zachował on pewną poważną, wesołość i swobodę. Skromny obiad w zakładzie ubogich sierot, czyli t. z. „przytułku“, i wieczór spędzony w gronie alumnów Akademii Duchownej, zakończył ten dzień tak pamiętny. „Ciężkie to brzemię, które biorę na siebie, mówił już wtedy, odpowiedzialność straszna, ale tak jakoś po odbytych rekolekcyach dał mi Bóg myśli i natchnienia szczęśliwe, że zupełnie spokojny jestem i mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie“¹⁾. Niestety! przekonać się miał wkrótce, że złudne żywił nadzieje. Ale teraz był najlepszej myśli i śpieszył się, by jak najprędzej pojechać do Warszawy, w czym zgadzał się z wolą cesarza. Uważał każdy dzień przebyty w Petersburgu, zdala od tragicznej sceny swego działania, za stracony. Wyjazd swój naznaczył zrazu na czwartek, ale wyjechał dopiero nazajutrz w piątek, d. 31 stycznia²⁾.

Przed wyjazdem jednak, poskładał wizyty pożegnalne różnym dygnitarzom polskim i niepolskim. Był więc u ministra sekretarza stanu Tymowskiego, był i u Wielopol-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 276 twierdzi, że Wielopolski był przeciwny temu nagłemu wyjazdowi i radził odroczenie jego aż do zniesienia stanu obłężenia i ustanowienia rozdziału władzy cywilnej od wojskowej. Mniemanie to swoje opiera na memoryale Wielopolskiego, skreślonym, jak sam powiada d. 15 lutego 1862 r. (*Al. Wielopolski I*, 301), a więc w dwa tygodnie po wyjeździe do Warszawy Felińskiego, czyli *post festum*. Przytem w memoryale tym niema ani słówka o wstrzymaniu wyjazdu nowego arcybiskupa, jest tylko obawa, czy wobec ówczesnego położenia kraju „stanowisko Felińskiego nie stanie się straconym posterunkiem“, oraz rada powstrzymania ogłoszenia listu pasterskiego, przygotowanego w Petersburgu. O wyjeździe zaś niema ani słówka. Z czego zatem p. *Lisicki* wyciągnął swój fałszywy wniosek, powiedzieć nie umiemy.

skiego. Ten w rozmowie z arcybiskupem, nie wdając się w roztrząsanie sytuacji, wyrzekł jednak kilka słów znaczących, mogących służyć za pewną wskazówkę dla puszczającego się na burzliwe morze warszawskie Felińskiego. „Mnie tu, mówił margrabia, nazywają politycznym sfinksem, ale tym jedynie sposobem można coś zrobić“¹⁾. Znaczyło to, że i ty księże bądź takimże sfinksem w Warszawie, bądź chłodnym i spokojnym, gdyż tą tylko drogą dojsz możesz do celu. Minister spraw wewnętrznych Wałujew, gdy do niego nowy arcybiskup warszawski przybył z wizytą pożegnalną, ograniczył się na ogólnikach, wyraził tylko nadzieję, że w zbawiennych dla obu narodów reformach, przeprowadzonych przez „wspaniałomyślnego monarchę“, pójdą obaj, t. j. minister i arcybiskup ręką w rękę, do ogólnego zmierzając celu. Z jednym tylko wice-kancelerzem państwa, ks. Gorczakowem, rozmowa przybrała charakter praktyczniejszy i wyraźniejszy. Gorczakow mówił o stosunkach warszawskich i pokazał żegnającemu go ks. Felińskiemu list, jaki z powodu jego wyjazdu do Warszawy napisał do Lüdersa. W liście tym zaznaczał, że arcybiskup ma usposobienie pojednawcze i niezwykłą stałość charakteru. Przeczytawszy ten list uśmiechnął się zwykłym swym zjadliwym i pełnym ironii uśmiechem, i patrząc przez złote okulary na gościa, rzekł: „tak mi się stan rzeczy w obecnej chwili przedstawia, ale przyszłość dopiero pokaże, jakim on jest rzeczywiście“. Feliński poprosił go, by mu pozwolił pisywać do siebie bezpośrednio i nie drogą oficjalną, na co Gorczakow chętnie się zgodził. Dla arcybiskupa była to rzecz ważna, gdyż minister spraw zagranicznych cieszył się wówczas zupełnem zaufaniem cesarza i można było liczyć na to, że tym sposobem niejedna wiadomość, przesłana Gorczakowowi przez Felińskiego, dostanie się do rąk Aleksandra II-go. Na odchodnym już, Gorczakow ostrzegł dygnitarza kościelnego, aby nie zważał na

¹⁾ Rękopism bezimienny.

to, co w około siebie w Warszawie usłyszy i obaczy, nie tylko w obozie rewolucyjnym, ale nawet w sferach urzędowych, lecz aby w każdej wątpliwości przywołał sobie na pamięć słowa, jakie usłyszał z ust cesarza, gdyż one jedynie są wskazówką nieomylną¹⁾.

Z Petersburga wyjechał nowy arcybiskup w towarzystwie delegatów warszawskich, biskupa sufragana Platęra, kanoników: Szczygielskiego i Budziszewskiego, oraz ks. Feliksa Rakowskiego. Ponieważ kolej warszawsko-petersburska doprowadzona była wtedy tylko do Dynaburga, więc stąd puszczono się dwoma dyliżansami, które miały odwieźć podróżnych aż do samej Warszawy. Tymczasem spadły tak obfite śniegi, że droga kołowa od Kowna stała się całkiem niemożliwą. Już na pierwszej stacji za Kownem, sześć razy trzeba było zwoływać ludzi, by wydobyli ugrzęźnięte w przepaścistych zaspach śniegowych powozy. Kanonicy Szczygielski i Budziszewski, mało mając ze sobą rzeczy, przesiadli się na lekkie saneczki i podążyli wprost do Warszawy, ale Feliński, obarczony całą swą wyprawą arcybiskupią, nie mógł tego uczynić. W takim stanie rzeczy, nie widząc innej rady, Feliński zatelegrafował do Warszawy do namiestnika, prosząc o pozwolenie przejechania drogą żelazną przez Prusy, na co otrzymał odpowiedź przyzwalającą, bez żadnych warunków. Ruszył więc na Królewiec, Poznań, Wrocław, nigdzie się nie zatrzymując i nie wysiadając nawet z wagonu²⁾.

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit. Jakkolwiek doniesienia urzędowe, pomieszczane w dziennikach ówczesnych, zawiadamiały, że „zasy śniegowe i podobne przeszkody (sic), zwykle w obecnej porze, nie pozwoliły dostojnemu arcybiskupowi jechać, według zamierzenia, na Wilno i trakt Kowieński, tak że z Dynaburga pojechał na Prusy“, to nikt temu nie wierzył i co do tej podróży okolnej potworzyły się całe legendy, które nawet przeszły do dzieł drukowanych. *Prawdzicki* loc. cit. 49 utrzymuje, że „odgłos zabronionych po kościołach śpiewów przez ks. arcybiskupa lwowskiego, pociąga go (Felińskiego) do Poznania, by się przeświadczyć o tem na wolniejszej ziemi, by od patriarchy

Ta okolna droga z Petersburga do Warszawy dla publiczności, nieobznajmionej z jej powodami, wydała się bardzo dziwną, a dla prokonsulów rosyjskich, rządzących w Polsce, bardzo podejrzaną. Powoli wśród nich wytwarzał się program osobliwszej i złej polityki odnośnie do nowego arcybiskupa. Lękając się, by nie wyjednał sobie u narodu sympatyj, a tem samem by nie był popchnięty na drogę działań rewolucyjnych, postanowili mu wszelkimi siłami szkodzić w opinii ogólnej, by tym sposobem zmusić go do rzucenia się w objęcia niezbyt przyjemne różnych Krzyżanowskich i Kruzensternów. Może ten program nie był jasno i wyraźnie wyrozumowany i postawiony, ale był tak doskonale odczuty przez całą tę zgraję ludzi złych i zepsutych, jacy wtedy rządili krajem, że działali oni jednomyślnie i bezwzględnie w tym kierunku. W tym celu w „Dzienniku powszechnym“, który, jak się wyraził teraz Wielkopolski, „nie odpowiadał już dziś przeznaczeniu swemu oświecania opinii publicznej“, pomieszczono kilka artykułów o Felińskim, którego chwając w wyrazach przesadnych i niesmacznych, tem samem w dra-

duchowieństwa polskiego, najprzewielebniejszego arcybiskupa Przyłuskiego, usłyszeć słowo rady“. — „Krótko tu zabawiwszy, bo anioł opiekuńczy w moskiewskich szlifach dla honoru mu niby przydany a właściwie dla straży, był na każdym kroku jego, udał się dalej koleją żelazną przez Wrocław do Królestwa“. *N. Berg*, *Zapiski* II, 209, zapewnia, że na wycieczkę do Poznania Feliński otrzymał pozwolenie od cesarza i że miał się tam w sprawie zakazanych hymnów patriotycznych porozumiewać z arcybiskupem Leonem Przyłuskim, i nie dość na tem, chciał jeszcze jechać do Lwowa, by tam porozumieć się z Wierchlejskim, ale mu już na to nagła telegramy władz warszawskich nie pozwoliły i t. p. Wszystkie te podania są fałszywe. Powody okólnej drogi przez Prusy są takie, jakieśmy je w tekście opowiedzieli. W Poznaniu ks. Feliński z nikim się nie widział, bo naprzód nie uważał tego za potrzebne, mając w sprawie śpiewów wytknięty plan działania, a potem, żeby nie obudzać podejrzliwości rosyjskiej. O zbaczaniu do Lwowa nie myślał wcale i żadne telegramy do Warszawy go nie wzywały. Nie towarzyszył mu też wcale „anioł opiekuńczy w moskiewskich szlifach“.

źliwej opinii polskiej wywoływali przez to nieufność do arcybiskupa, tak gorąco przez rząd zalecanego. „Ks. Feliński, pisał „Dziennik“, jest uczonym teologiem i światłym mężem; znany jest z surowości obyczajów i pomiędzy kaskolikami zjednał sobie bardzo wielki i słuszny szacunek. Nie wątpią, że będzie dobrze przyjęty w Warszawie, że będzie wywierał tam na duchowieństwo i na lud wielki wpływ moralny, i nakoniec, że wpływ jego będzie miał bardzo dobre skutki“. Ale o wiele gorsze następstwa miał artykuł pomieszczony w piśmie petersburskiem „Pszczoła północna“, organie ministerjum spraw wewnętrznych, przedrukowany skwapliwie przez „Dziennik powszechny“, a zatem i gazety warszawskie. Nieznany autor tej niewczesnej i nadzwyczaj szkodliwej elukubracyi, opisawszy zaburzenia warszawskie i stan kościoła katolickiego w Królestwie, tak kończył: „na rządęcę dyecezyi potrzebny był człowiek z umysłem stanowczym i niezachwianym, człowiek oddany kościołowi i prawdziwym interesom narodu. Wybór cesarza padł na Felińskiego, gorliwego katolika i wiernego poddanego. W myśl 12 artykułu konkordatu zawartego z dworem rzymskim r. 1847, mianowanie biskupów rzymsko-katolickich w cesarstwie i Królestwie Polskiem dzieje się po uprzednim skomunikowaniu się z papieżem, który jako głowa rzymsko-katolickiego kościoła utwierdza kanonicznie wybraną przez rząd nasz osobę w godności biskupa. W zwyyczajnym biegu rzeczy Rzym działa w podobnych razach nadzwyczaj ostrożnie. Przewód tak zwanego procesu kanonicznego (zbadania przymiotów osoby podnoszonej (sic) na tę godność), prekonizacya nowego biskupa na konsystorzu tajnym, ułożenie bulli i przesłanie ich potrzebują wiele czasu, lecz na ten raz Jego Świątobliwość, uwzględniając stan dyecezyi warszawskiej, z opuszczeniem wszystkich formalności i z zupełnem zaufaniem w wybór naszego rządu, prekonizował ks. Felińskiego arcybiskupem warszawskim w konsystorzu, zwołanym nie w czasie zwykle na to przepisany. Cesarz Jegomość, pełen najmiłościwszych względów dla nowo wybranego arcybiskupa, raczył

mu osobiście wręczyć paliusz i prócz tego dać mu kosztowny pierścień, mitrę, pastorał i potrzebne na sprawienie szat pieniądze“. Niewątpliwie wszystko to było do pewnego stopnia prawdą, ale są prawdy, od których wygłaszania w pewnych okolicznościach rozumny i szczerze życzący krajowi polityk wstrzymać się powinien. Tutaj było to o tyle gorszem, że całe to, już samo przez się niezręczne opowiadanie, zaopatrzone w niesmaczny dodatek o podarunku pieniędzy „na sprawienie szat“. Wszystko to, w całej swej pozornej naiwności tonu, było rodzajem niedźwiedziej przysługi, czynionej ks. Felińskiemu. Prasa polska zakordonowa, prasa tajna rewolucyjna, opinia wreszcie publiczna niezmiernie ożywiona, nie omieszkała skorzystać z tych pochwał, by wykazać jak dalece Feliński jest „kreaturą moskiewską“ i jak mu ufać nie można. Powszechnie też wołano: „odpychamy go od serca i czci“, a wołano tem goręcej, że może przez zbieg okoliczności, a może w dalszym ciągu urzeczywistnienia swego programu, prokonsulowie warszawscy, w chwili gdy ks. Feliński wstępował w granice Królestwa, wywozili ostentacyjnie na wygnanie oprócz Białobrzzeskiego, księży: Wyszyńskiego, Steckiego, Działkowskiego, Chmielewskiego, Witmana, Zukowskiego z Łęczycy i wielu innych. Słusznie też wobec tego pytano się: czy to nie przyjazd arcybiskupa wywołał to prześladowanie? Byli tacy nawet, którzy twierdzili, że stało się to za jego wiedzą i wolą, by mu krnąbrni księża nie przeszkadzali w jego dążnościach pacyfikacyjnych¹⁾.

Pierwszem miejscem na ziemi polskiej, na którem się ks. Feliński dłużej zatrzymał, była Częstochowa, a raczej klasztor Jasnogórski. Postanowił tu parę dni wypocząć po długiej i męczącej podróży, i „w tem cudownem miejscu prosić Boga o łaskę podolania przechodzącemu siły jego zadaniu“²⁾. Późną porą w sobotę, dnia 9 lutego, zapukał wraz z sufraganem Platerem do furty klasztornej; zakon-

¹⁾ „Życiorys ks. S. Z. Felińskiego“ rkpsm.

²⁾ Rękopism bezimienny.

nicy przyjęli go dość chłodno, okazywali mu jednak przesadzone, choć nadzwyczaj zimne uszanowanie¹⁾. Zażądał, by go zaraz, tak jak był w ubraniu podróżnym, zaprowadzono przed ołtarz Matki Boskiej cudownej, gdzie chce się pomodlić. Uczyniono zadość jego woli i tu, wśród mroków szybko zapadającej nocy, w źle oświetlonej kaplicy, pełnej tłukących się po kątach cieniów, padł krzyżem przed ołtarzem i leżał tak przez godzinę, budując tem nadzwyczajnie proste natury zakonników. W modlitwie tej, w tej ekstazie tak osłabł, że go musiano podnieść i chwiejącego się na nogach zaprowadzono do celi przeora²⁾. Nazajutrz w niedzielę spowiadał się i w tejże kaplicy Matki Boskiej cudownej odprawił mszę św., pierwszą na ziemi polskiej. Zamierzał, jakeśmy rzekli, parę dni spędzić w murach klasztoru Jasnogórskiego, pełnego mistycznego uroku i wspomnień bohaterskich, gdy otrzymał od Lüdersa z Warszawy telegram naglący, wzywający go natychmiast do Warszawy³⁾. Feliński uległ temu wezwaniu i wyruszył zaraz do

¹⁾ *Prawdzicki*, loc. cit. 49: „zakonnicy przyjęli go jeśli nieserdecznie, to przynajmniej z uszanowaniem należnym“. *N. Berg*, loc. cit. II, 224, utrzymuje, że Paulini wzięli go zrazu za szpiega przebranego. Wiadomość ta jednak w innych źródłach, jakie znamy, nie znajduje potwierdzenia.

²⁾ *N. Berg*, loc. cit. II, 225.

³⁾ *Prawdzicki* loc. cit. 50 utrzymuje, że głównym powodem tego wezwania był pułkownik rosyjski, towarzyszący Felińskiemu od Petersburga. Dowiedziawszy się bowiem o zamiarze arcybiskupa pozostania przez niedzielę w Częstochowie, pułkownik ów „posyłał telegram za telegramem do namiestnika Lüdersa, aby ten koniecznie pragnał (sic) bezzwłocznego przybycia arcybiskupa do Warszawy, a odbierane odpowiedzi komunikując ciągle dostojnemu panu, którego konwojował, wymógł na nim, że nie zostanie do jutra, ale dziś jeszcze pojedzie“. Podobnie *Oczwiediec* (Posledniaja polskaja smuta. Russkaja Starina z 1874 r.) powiada: „Lüders zrozumiał do czego prowadzą te zwłoki i dnia 9 lutego posłał mu (Felińskiemu) zaproszenie (prigłuszenie) do natychmiastowego przybycia do Warszawy“. Inne źródła rękopiśmienne i drukowane szczegółu tego nie podają; *Berg* nic o tem nie wie. Owym pułkownikiem Prawdzickiego, był zapewne nie kto inny, tylko wspomniany w tekście generał Bagration.

stolicy kraju; tym razem towarzyszył mu wydelegowany przez rząd generał książę Bagration, który nie opuścił go już do samej Warszawy¹⁾. Wyruszył z nim także jeden z Paulinów, który powiózł ze sobą ofiarowany ks. Felińskiemu przez zakonników obraz Matki Boskiej, przeznaczony do kaplicy arcybiskupiej²⁾. W Częstochowie, w klasztorze, wśród zakonników przesiąkniętych jadem rewolucyi, ta uległość arcybiskupa nadzwyczajnie się nie podobała. Mówili oni, że powinien był oprzeć się „kozackiemu rozkazowi“³⁾, prokonsula warszawskiego, że gwałcił dzień Boży, jadąc w niedzielę i t. p. Tutaj nakoniec w Częstochowie, jak się zdaje, otrzymał wiersz bezimienny⁴⁾, bardzo miernej wartości literackiej, pełen frazesów pustych ale poetycznych. Zaczynający się od słów: „witamy cię ojcze bez kluczy (? ?), bez krzyża“⁵⁾. Nieznany autor wątpi, czy „młoda głowa“ nowego arcybiskupa podoła zadaniu, jakie ją czeka; że nie wie z czem on przybywa, „ale jeżeli, broń Boże, krzyż mu w rękę cięży“, to lepiej niech nie wchodzi w mury miasta, niech nie plami imion „Fijałkowskich, Białobrzeskich i wygnańców innych, przed carem potępionych, przed Stwórcą niewinnych“.

Był to przedsmak niejako tych trudności, jakie go czekały na ciernistej drodze, na którą wstąpił. Tu i ówdzie, dla zobaczenia jadącego do Warszawy arcybiskupa zbierały się na stacyach gromadki ciekawych, których on witał uprzejmie i błogosławił. W paru miejscach, już bliżej

1) Rękopism bezimienny. *Pawłiszczew*, Siedmicy II, 47 nazywa go naczelnikiem okręgu drogi żelaznej.

2) Rękopism bezimienny.

3) „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“, rkpsm.

4) *l'odwysockij*, *Zapiski* 100, twierdzi, ale nie napewno (kac utwierdził), że wiersz ten otrzymał jeszcze w Petersburgu. Relacya rękopiśmienna p. t. ks. „Żywot S. Z. Felińskiego“ powiada, że dostał go do rąk w Częstochowie. W każdym razie nie w Petersburgu, gdyż sama treść wiersza sprzeciwia się temu.

5) Wiersz ten z rękopismu współczesnego, podajemy na końcu tego tomu, w zbiorze dokumentów pod Nr. 2.

Warszawy, z tłumu odzywały się głosy: „prosimy o uwolnienie Białobrzeskiego!“, jak gdyby to uwolnienie zależało od arcybiskupa. Najtłumniej witano go w Piotrkowie i Skierniewiczach. W Piotrkowie spotkał go, między innymi, Władysław hr. Zamoyski, wysłany tu zapewne przez ojca p. Andrzeja, i wsiadłszy do jednego z arcybiskupem wagonu, towarzyszył mu do Warszawy. W samej Warszawie prokonsulowie rosyjscy, postępując zgodnie z pierwotnym swoim planem, rozpuścili pogłoskę, że czerwieńcy zamierzają powitać przybywającego Felińskiego kocią muzyką, wskutek czego nakazano policyi, ażeby użyła wszelkich środków dla uchronienia arcybiskupa od zuchwałej manifestacji¹⁾. Nie zanedbano przytem uwiadomić arcybiskupa o owej, rzekomo gotującej się kociej muzyce²⁾; łatwo więc pojąć, z jak bolesnym niepokojem wjeżdżał ten gorący syn Polski na dworzec warszawski kolei. Było to już dość późno, po godzinie 11-tej i noc zupełna. Na dworcu znajdowała się gromadka ludzi i gdy Feliński wyszedł z wagonu, zamiast kocią muzyką, powitano go okrzykiem: „niech żyje arcypasterz!“ co przez pewne indywidua (a jak podejrzewają niektórzy przebranych policyantów), przyjęte było sykaniem³⁾. Księży było niewielu, z regensem konsystorza ks. Czajewiczem na czele, co uderzać każdego musiało, a i ci, którzy byli, chłodno i obojętnie przyjmowali nowego swego zwierzchnika. Władysław Zamoyski poprosił do swej karety Felińskiego⁴⁾ i wyruszono do miasta. Noc była jasna, na ulicach wielka cisza zapanowała i na umysł Felińskiego, na pierwszym jego wstępie do Warszawy ta

¹⁾ *Podwysockij* loc. cit. 100, opowiada: „zdołali oni (t. j. czerwoni) wcześniej podburzyć opinią publiczną przeciw Felińskiemu, tak że w dzień jego przybycia do Warszawy, dnia 9 lutego, lękano się nawet zuchwałej przeciw niemu demonstracji, dla zapobieżenia której należało się uciec do silnych ostrożności policyjnych“.

²⁾ „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“, rkpsm.

³⁾ *Prawdziński* loc. cit. 51.

⁴⁾ Rękopism bezimienny.

posepna półcisa, latarki przechodniów, migocące po chodnikach, przykre i bolesne wywarły wrażenie. Na ogół zaś inna okoliczność, o której ks. Feliński nie wiedział, zrobiła o wiele przykrzejsze i gorsze wrażenie. Namiestnik Lüders wysłał był na dworzec kolei swą karetę po arcybiskupa, otoczoną żandarmami i kozakami, i karetą tą, gdy ks. Feliński pojechał z p. Zamoyskim, wracała próżną. Wszelako nikt o tem nie wiedział i sądzono powszechnie, że to arcy-pasterz polski i katolicki wjeżdża do stolicy polskiej z trzaskiem i hukiem, otoczony przez siłę zbrojną nieprzyjaciela, co mimowoli w umysłach budzić musiało podejrzenie, że rzeczywiście zwierzchnik kościoła przerzucił się na stronę rządową¹⁾.

Koło północy przyjechano do pałacu arcybiskupiego, gdzie przykre i posepność całej tej dniowej sytuacji o wiele wzrosła wskutek tego, że nikt z księży nie oczekiwał tutaj na przybyłego. Tłumaczył to sobie spóźnioną porą i przepisami policyjnymi, niedozwalającymi wychodzenia na miasto po godzinie 11-tej, mógł sobie tłumaczyć i innymi jeszcze względami, ale nie mógł temu zaprzeczyć, że widziany jest przez kraj niechętnie i że czeka go walka ciężka i straszna. Wielkie sale pałacu arcybiskupiego, po których zdawał się jeszcze ślaniać duch Fijałkowskiego, nieopalone, chłodne, źle oświetlone, w umyśle tak wrażliwym jak Felińskiego potęgować musiały bolesny smutek jego duszy. Czyż on, syn wygnanki sybirskiej, z nutą pobudki bojowej, grającej mu jeszcze w duszy od dni Miłosławia i Wrześni, spodziewał się, że będzie kiedyś tak przyjmowany w stolicy polskiej? Po wieczerzy spożytej w towarzystwie ks. Czajewicza, Wojny i Rakowskiego, wieczerzy smutnej i milczącej, rzucił się w ubranii

¹⁾ Wieść o tem, że ks. Feliński wjeżdżał otoczony kozakami, tak się rozpowszechniła, że wszystkie źródła współczesne o tem mówią. W istocie rzeczy tak nie było i ks. Feliński nie wiedział nawet o owej karecie Lüdersa.

na łóżko i tak przepędził pierwszy wieczór i noc pierwszą w Warszawie.

Nazajutrz, o świcie chłodnego poranku zimowego, odprawivszy o godzinie 5-tej rano mszę w kaplicy pałacowej, własnoręcznie napisał do dziekana warszawskiego, donosząc mu o swem przybyciu z grzecznem poleceniem zaproszenia członków kapituły metropolitalnej i duchowieństwa do sali konsystoryalnej, gdzie pragnie je powitać i zapoznać się z niem¹⁾). Jakoż, około godziny 11-ej rano, zeszli się wezwani licznie, a wchodzący do sali arcybiskup mógł widzieć na tych twarzach ciekawość, z jaką na niego patrzano i podejrzliwą nieufność, której wielu ukryć nie zdołało. Gdy mu ks. Szczygielski przedstawił wszystkich po kolei, arcybiskup począł mówić o swych zamiarach, że postanowił kościoły otworzyć, że ma uroczyste przyrzeczenie cesarskie, iż sceny takie, jakie w nocy z 15-go na 16 października się odbywały, więcej się nie powtórzą; że odprawi się rekonyliacya dwóch kościołów sprofanowanych t. j. św. Jana i Bernardynów, a inne otwarte być mają przez właściwych proboszczów. Potem przeszedł na kwestyą hymnów patryotycznych i wyraził nadzieję, że duchowieństwo zdoła wpłynąć na lud, aby tych śpiewów zaprzestał. Wreszcie, jakby chciał załagodzić przykrość tych nowin, tak wstrętnych zrewolucyonizowanemu klerowi, a może w chęci nawiązania jakiejś nici sympatyczniejszej między sobą i przyszłymi jego pomocnikami, zapytał: „czem mógłby im być użytecznym?“ Z grona zebranych odezwało się kilka głosów: „prosimy o uwolnienie ks. Białobrzeskiego i wszystkich księży, będących w więzieniu lub na wygnaniu!“ To uparte domaganie się uwolnienia Białobrzeskiego, brzmiące w uszach arcybiskupa nieomal od chwili, gdy stanął na ziemi Królestwa, niemile musiało uderzyć jego uszy, gdyż na tej ascetycznej, jakby sennej twarzy, ukazał się na chwilę wyraz niezadowolenia; stłumił

¹⁾ *Prawdziński*, loc. cit. 51.

je jednak szybko i rzekł łagodnie, że dwakroć prosił o to cesarza i prosić ciągle będzie dopóty, dopóki wszyscy kapłani wolni nie będą. Ale teraz między zebranych księżmi poczęły się zrazu pojedyncze i nieśmiałe, powoli coraz liczniejsze i coraz natarczywsze odzywać głosy, że do śpiewów, których arcybiskup zamierza zakazać, lud wielką przywiązuje wagę, że zakaz może wywołać to niepożądane wcale następstwo, iż lud nie usłucha rozporządzenia duchowieństwa. Taki zaś wynik szkodliwym ze wszech miar będzie dla kraju, jak i dla powagi kapłańskiej, gdyż lud uważać będzie duchowieństwo za nieprzyjaciół sprawy narodowej.

Tych uwag, tylokrotnie powtarzanych w tym czasie przez kler polski, arcybiskup wysłuchał w chmurnem milczeniu i w końcu rzekł tonem dość chłodnym, że czy znajdzie w tej sprawie pomoc w duchowieństwie czy nie, on pierwszy odezwie się w tym przedmiocie; że będzie to miało bardzo poważne dla przyszłych losów kraju następstwa; że zdecydowany jest dobrą i złą dolę dzielić z duchowieństwem, a resztę zdaje na Opatrzność Bożą. Przechodząc następnie do spraw wewnętrznych dyecezyi, zawiadomił obecnych, że na oficyała konsystorza zaprosił ks. kanonika Rzewuskiego i dodał, iż przyjmując na siebie odpowiedzialność za rządy dyecezyi, musi z jednej strony czuwać osobiście nad wszystkimi gałęziami administracyi, z drugiej otoczyć się ludźmi zaufania, którzy na własną rękę nie czynić nie zechcą. Dla dopięcia tego podwójnego celu, jeden tylko zamianuje konsystorz w Warszawie, całkiem zwinąwszy istniejący dotąd w Łowiczu, gdyż pragnie osobiście rozpatrywać wszystkie sprawy wchodzące do konsystorza, gdzie też codzień przewodniczyć będzie swoim współpracownikom. Akademią i seminaryum postara się też nawiedzać jak najczęściej, obsadzając je gronem profesorów, przejętych duchem kościelnym, którzyby wprowadzić usiłowali system naukowy pod okiem Ojca św. w Rzymie praktykowany. W tym tonie mówiąc o reformach, jakie zaprowadzi, zakończył, że „komu ten program nie trafia

do przekonania, winien zawczasu usunąć się ze stanowiska, nie czekając aż sama zwierzchność go usunie¹⁾. Dodając, że o rekonyliacyi kościołów uwiadomi ich przez dziekana, pożegnał zebranych starem polskiem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“.

Z tej rozmowy obie strony wyniosły źle wróżący na przyszłość zaczyn wzajemnego niezadowolenia. Feliński przekonał się, że to, co mówił w Petersburgu Łubieński o duchowieństwie warszawskiem, jest prawdą i odrazu stracił wiarę do tego kleru, na którego czele stanąć mu przyszło. Było to bezwąpienia bardzo złem, gdyż w charakterze arcybiskupa leżało, że jak raz stracił do kogo zaufanie, już mu go nigdy nie przywracał²⁾, a w takim położeniu, w jakim ówczesna Polska się znajdowała, mogło to mieć jak najgorsze następstwa i niestety! miało, jak to wkrótce obaczymy. Co się zaś tyczy zebranego w sali konsystoryalnej duchowieństwa, to wskutek swego usposobienia rewolucyjnego, wyniosło ono z powyższej rozmowy jak najgorsze wrażenie. W mieście wiedziano natychmiast o wszystkich szczegółach rozmowy i niechęć przeciw Felińskiemu wzrastała szybko i przygotowywano się przy pierwszej lepszej sposobności tę niechęć mu okazać. Oburzano się nań powszechnie za zamiar otwarcia kościołów i zakaz hymnów patryotycznych; duchowieństwo srodze było rozgniewane widocznymi zamysłami arcybiskupa samoistnego rządu archidiecezyą, gdyż sądzą, że jako nieobznajmiony z okolicznościami miejscowemi, musi im władzę oddać w ręce. A nawet nominacya Rzewuskiego oficyałem nie podobała się klerowi, i niektórzy księża ostrzegali arcybiskupa, że wątpliwą jest rzeczą, by prałaci zaszczytowi całkowitem zaufaniem ks. Fijałkowskiego, którego w trudnych pasterskich obowiązkach wyręczyli, zgodzili się na przyjęcie podrzędnej roli w konsystorzu³⁾. Za

1) Rękopism bezimienny.

2) Żywot ks. S. Z. Felińskiego.

3) Rękopism bezimienny.

to stronnictwo rewolucyjne nominacją ks. Rzewuskiego powszechnie chwaliło. Ksiądz ten, bardzo zacny, bardzo uczony, bardzo świątobliwy nawet, był przy tem wszystkim najczerwieńszym, najgorętszym patriotą. Wybór ten, uczyniony przez arcybiskupa wskutek zaleceń Łubieńskiego, jak wiemy, jeszcze w Petersburgu, w innych czasach i w innych okolicznościach byłby jak najlepszy, teraz zaś, gdy fala wzrastająca rewolucyi zalewała wszystko, gdy pożar rósł z każdą chwilą nieomal, oddanie tak ważnego urzędu jak oficyalstwo w ręce Rzewuskiego było dolaniem niejako oliwy do ognia. Już samo zadowolenie stronnictwa rewolucyjnego świadczyło, że wybór był zły i niewczesny.

Tak się też na tę sprawę zapatrywał za przykładem cesarza i namiestnik Lüders. Gdy nowy arcybiskup zaraz nazajutrz po swem przybyciu udał się z wizytą do wielkorządcy, ten powitał go bardzo grzecznie, wyszedł nawet na schody na jego spotkanie i zaczął od naiwnego nieomal przyznania, że nie jest ani dyplomata, ani politykiem, że zna się tylko na sprawach wojskowych i dał cesarzowi słowo, że nie dopuści do rozruchów w Warszawie, chociażby połowę miasta miał w gruzy zamienić. Mówiąc to, prostował się groźnie i powtarzał: „dotrzymam danego słowa! dotrzymam słowa!“ Przy rozmowie obecny był generał-gubernator Kryżanowski, który miał u Lüdersa opinią bardzo przebiegłego polityka, dlatego też zawsze, przy wszystkich widzeniach się namiestnika z arcybiskupem, był obecny, jeżeli nie Kryżanowski, to Safianos, naczelnik kancelaryi dyplomatycznej. Obecność któregośkolwiek z tych panów była tem konieczniejszą dla Lüdersa, że nie był on nawet w stanie zdać sprawy z żadnej poważniejszej rozmowy. Tym razem tak namiestnik, jak i Kryżanowski, uważając arcybiskupa za kreaturę rządową, rozmawiali z nim nader otwarcie i szczerze. Generał-gubernator, określając położenie ówczesne kraju, między innymi zaznaczył istnienie dwóch stronnictw: białych i czerwonych, przyczem wypowiedział te słowa charakterystyczne: „Czerwo-

nych się nie lękamy, ale ci łajdacy Biali są bardzo niebezpieczni“ (*nous ne craignons pas les Rouges, mais coquins de Blancs, voila ce qui est dangereux*). Gdy ks. Feliński zapytał Lüdersa, jakich kandydatów przedstawił do Petersburga na wakujące katedry biskupie w Płocku i Sejnach, ten odrzekł, że księży: Zwolińskiego i Topolskiego. Na uwagę Felińskiego, że pierwszy z tych księży ma jak najgorszą reputacją zarówno w kraju jak i w Rzymie, Lüders odrzekł z naiwną otwartością: „wiem, że to człowiek zszarżanego imienia, ale któż nam będzie służył, jeżeli przestaniemy wynagradzać nasze kreatury?“ (*je sais, que c'est un homme taré, mais qui est ce qui nous servira, si nous ne récompensons pas nos créatures?*) W sprawie rekonyliacyi kościołów i nominacyi na oficyała ks. Rzewuskiego, Lüders już był powiadomiony z Petersburga, choć więc kilku słowy dał poznać, że mu to nie po myśli, nie próbował jednak zmienić w tym względzie postanowienia arcybiskupa. Rozmowa w ogólności nie miała żadnego głębszego znaczenia; zapoznano się ze sobą i na tem się skończyło ¹⁾.

Wprost z Zamku, arcybiskup udał się do p. Andrzeja Zamoyskiego, którego nie znał wcale, ale któremu chciał ostentacyjnie złożyć pierwszą wizytę, „jako hołd należny cnotom jego i zasługom na polu pracy narodowej położonym“ ²⁾, a przytem chciał pokazać śledzącej go pilnie opinii publicznej, że nie jest niewolnikiem natchnień rządowych, lecz własną i niezależną drogą iść zamierza. Z drugiej strony powodowała nim zupełnie usprawiedliwiona ciekawość dowiedzenia się czegoś od p. Andrzeja, owego „pierwszego obywatela kraju“, jak go stale nazywano; wiedział, że ostatecznie nie kto inny, tylko p. Zamoyski kieruje

¹⁾ Rękopism bezimienny. *Prawdzički*, loc. cit. 56, utrzymuje, że rozmowa głównie toczyła się o rekonyliacyi kościołów i o nominacyi Rzewuskiego, i że Lüders wszelkimi siłami starał się odwieść arcybiskupa od jednego i drugiego. Naszą relacją opieramy na najautentyczniejszych podaniach.

²⁾ Loc. cit. Wyrażenie z rękopismu tego zaczerpnięte.

stronnictwem Białych, którzy tak niebezpiecznymi wydawali się Kryżanowskiemu. Ze swego stanowiska, wyobrażeń, przekonań i wyrozumowania, ks. Feliński należał do tego stronnictwa i gotów był z niem iść ręką w rękę, ale trzeba było wprzód zapoznać się z jego dążnościami i pragnieniami. Tę znajomość dokładną mógł mu dać tylko p. Andrzej, więc do niego jechał, bez względu na to, że krok taki miał pewien charakter śmiałości i w oczach rządu nie mógł być dobrze widziany. Ale zato na samego p. Andrzeja odwiedziny te wywarły bardzo przyjazne wrażenie; odrazu lody pękły i może po raz pierwszy szczerze i otwarcie wypowiedział się ze swych przekonań i nadziei. Przedewszystkiem więc starał się wyjaśnić i wytłómaczyć swe stanowisko polityczne, jakie zajął od chwili wybuchu dziwnych wypadków, rozgrywających się od roku przeszło. Stanowisko to, to zupełne usuwanie się od udziału w nadanych Królestwu instytucjach, których ważność uznawał, tłumaczył nieufnością do rządu. Twierdził, że rządowi temu w niczem i nigdy wierzyć nie można; wyraził przekonanie, że przy pierwszej lepszej sposobności nadane instytucje cofnięte zostaną; że on dopóty nie poprze rządu, dopóki nie będzie daną rękojmnia, wiążąca samowolę Rosyi wobec Polski. Jaką miała być ta rękojmnia p. Andrzej nie powiedział, ale te jego zwierzenia w zupełności wyjaśniły jego upartą abstynencyą od współpracownictwa w rozwoju rzeczonych instytucji.

Gdy w dalszym ciągu arcybiskup opowiedział swą rozmowę z cesarzem i ówczesne usposobienie ministrów, gdy wreszcie oświadczył, że zamierza pracować nad uspokojeniem umysłów, by je od szalonych projektów odwieść, p. Andrzej uznał niewczesność i szkodliwość ruchu, ale utrzymywał, że mało jest nadziei, by zbierająca się burza zażegnać się dała. Namiętności w kraju, mówił, są zbyt rozognione, a kierownicy ruchu są niedostępni żadnym wpływom, nie z obozu rewolucyjnego pochodzącym. Na dowód tego twierdzenia pokazał odezwę Mierosławskiego do organizacji czerwonej. W odezwie tej „urodzony dyktator“ rozkazywał, aby najpóźniej w końcu kwietnia 1863 r.

wszystko było gotowem do powstania, i żeby powstanie to w tym czasie koniecznie wybuchło, choćby rząd czynił ustępstwa najdalej sięgające, gdyż na ten termin przygotowana jest rewolucya w całej Europie i w samej Rosyi. Był to dowód oczywisty, jak dalece zaciętrzewione i jak lekkomyślne jest stronnictwo ruchu.

Następnie wyszła na stół kwestya listu pasterskiego. List ten ks. Feliński przygotował jeszcze w Petersburgu wyłącznie z inicjatywy własnej. A że nigdy przedtem nie był w Warszawie i nie znał ani duchowieństwa, ani narodu, ani jego układu społecznego, więc zasięgnął pod tym względem wiadomości od ks. Łubieńskiego. Ten, wielki pan z rodu, pełen przekonań szlacheckich, poinformował pytającego, że ruch polski ma charakter raczej socyalny niż narodowy. Tę cechę socyalnego wywrotu widział on zapewne w opinii powszechnej, domagającej się nie oczynszowania, ale uwłaszczenia włościan, opinii głośno i natarczywie wypowiedzianej przez stronnictwo ruchu; widział w teoriach Mierosławczyków, grożących rzezią szlachcie. Łubieński, nie wątpimy, że szczerze przekonany był, że ruch dąży do rzeczywistej burzy socyalnej. Dzięki tym fałszywym i błędnym informacyom, ks. Feliński w jednym z ustępów listu pasterskiego, wystąpił w tonie surowym i ostrym przeciw wszelkim tego rodzaju wywrotowym dążnościom, i zapowiedział, że walczyć z nimi będzie z całą stanowczością.

Otóż, kiedy obecnie ks. Feliński odczytał p. Andrzejowi swój list pasterski, snadź w celu uzyskania jego aprobaty, p. Andrzej był bardzo zgorszony powyższym ustępem, i oświadczył tonem zdecydowanym, że stronnictwo jego całkiem odmówi poparcia arcybiskupowi, jeśli pozostawi w liście ustęp o knowaniach socyalnych. Starał się przytem przekonać swego gościa, że ruch obecny w kraju jest ruchem czysto narodowym i jedynie niepodległość ojczyzny mającym na celu. Gdyby więc po kościołach poczęto z ambon głosić, że ruch ten, objawiający się dotąd głównie przez śpiewy religijne, ma zabarwienie socyalistyczne, obu-

rzyłoby to patryotów, usposobiłoby ich wrogo przeciw duchowieństwu, a rządowi dałoby broń przeciw aspiracyom narodowym, jako napiętnowanym cechą wyrotu społecznego. Uwagi te, świadczące, jak dalece w gruncie rzeczy p. Andrzej sprzyjał ruchowi i jak mu na sercu leżała jego dobra sława, ks. Feliński uznał za słuszne i inkryminowany ustęp obiecał z listu pasterskiego wykreślić¹⁾.

Rozmowa ta wogóle bardzo smutne zrobiła na duszy ks. Felińskiego wrażenie. Przekonywał się powoli, że naprawdę z nikim w kraju nie będzie mógł iść ręką w rękę; ani z rządem, który w osobie Kryżanowskiego i ograniczonego umysłowo Lüdersa widocznie był wrogi wszystkiemu co polskie; ani ze stronnictwem Białych, które pomimo wszelkich restrykcyi, wyraźnie dążyło do powstania. Postanowił więc zamknąć się wyłącznie w sferze spraw kościelnych, nie mieszając się do polityki²⁾, jak gdyby w tych czasach gorących, w tej burzy szalonej, taka abstynencya była możliwą dla Polaka, kochającego swój kraj. Ale w tej chwili zdawało mu się inaczej i myślał tylko o spełnieniu swych zadań kościelnych.

Pierwszem, najważniejszym takim zadaniem było otwarcie kościołów. Naradzał się w tym względzie z nowym swym oficyałem i postanowiono uroczystą rekonyliacyą dwóch sprofanowanych kościołów naznaczyć na dzień 13 lutego, na czwartek; ingres zaś do metropolii na nie-

¹⁾ Rękopism bezimienny. *A. Giller* w swej *Historji powstania II, 164*, podnosi z tej pory jeden poważny przeciw ks. Felińskiemu zarzut. Twierdzi on mianowicie, że arcybiskup zaraz po przyjeździe wszystkim generałom, nawet Chrulewowi „splamionemu krwią 8 kwietnia, poskładał wizyty“. Jest to fałsz. Arcybiskup, jak wiemy, miał wyraźne polecenie cesarza, by u nikogo, prócz u namiestnika, pierwszy nie był i jeżeli jeździł do generałów i Chrulewa, to tylko z re-wizytą, czego proste formy grzeczności towarzyskiej wymagały. Ale ulica, a za nią plotkarze historycy nie widzieli, lub nie chcieli widzieć wizyt jeneralskich w pałacu arcybiskupim, a za to szeroko mieli oczy otwarte na to co robi ks. Feliński i szkalować go nie przestawali.

²⁾ Rękopism bezimienny.

dziele, dnia 16 tegoż miesiąca. Jakoż nazajutrz duchowieństwo otrzymało odezwę od arcybiskupa, uwiadamiającą je o tem, przyczem Feliński donosił, że tego „smutnego aktu“ dopełni sam w kościele św. Jana, a w kościele Bernardynów ks. biskup Plater. W końcu polecał, żeby nazajutrz po rekuncyliacyi dwóch wymienionych kościołów otworzono wszystkie inne, dotąd zamknięte, przy rozpoczęciu służby Bożej przez czterdziestogodzinne nabożeństwo. Jednocześnie uwiadomił o wszystkim dyrektora głównego w komisji wyznań i oświecenia.

Wiść o odezwie do duchowieństwa z niezwykłą szybkością, właściwą tym czasom nerwowym, rozbiegła się po mieście, wywołując wszędzie niemałą sensacyą. Czerwono usposobione mieszczaństwo warszawskie przyjęło ją z osłupieniem, gdyż choć oddawna wiedziano, że arcybiskup zamierza otworzyć kościoły, jednakże niedowierzano temu, sądzono, że tego rodzaju ustępstwo okupione będzie jakimś szczególnym aktem łaski ze strony rządu, zwolnieniem tyranii, jaka od chwili objęcia namiestnictwa przez Lüdersa nad krajem się znęcała. Gdy tego nie widziano, a mimo to kościoły miały być otwarte, oburzenie było ogromne i opinia stanowczo oświadczyła się przeciw ks. Felińskiemu. Nawet ludzie spokojni nie mogli się pogodzić z tą myślą, żeby tak ważny akt odbył się bez żadnych rękojmi ze strony rządu i uważali za złe, za błąd nie do darowania, jeżeli nie za coś gorszego, że ks. Feliński takich rękojmi nie zażądał. Wśród Czerwieńców, w Komitecie miejskim Chmieleńskiego, a zwłaszcza w Kole, wrzenie dochodziło do ostatnich granic. Na szczęście chłodniejsi, jak Karol Majewski, zdołali przekonać różnych krwiożerczych Maratów domorosłych, że nim coś przedsięwzemy, należy się wprzód przekonać o istotnych zamiarach ks. Felińskiego. Uwaga ta wpłynęła uspakajająco na rozgorączkowane głowy i dla wyrozumienia arcybiskupa, dla przekonania się o istotnych jego zamiarach, postanowiono doń wysłać deputacyą. Oczywiście rzecz, że na deputata wybrano przedewszystkiem samego Majewskiego, a do pomocy do-

dano mu studenta akademii medycznej, Eugeniusza Sokulskiego, zwanego Robespierrem z powodu teorii krwawych, jakie wygłaszał. Sokulski miał raczej charakter dozorca Majewskiego, któremu niebardzo już ufano i podejrzrywano go, zupełnie zresztą słusznie, o „białą zarazę“. Prócz tych dwóch panów, do deputacyi weszło jeszcze trzech młodych ludzi, których nazwiska są nam nieznane, tak że w ogólnej liczbie pięciu, wyruszyli na ulicę Miodową do pałacu arcybiskupiego. Ks. Feliński w obecności swego kapelana ks. Potockiego, z pewnem łatwo wytłomaczonym zdziwieniem, mimo to nader grzecznie, przyjął tę osobliwszą deputacyą młokosów, grających rolę ojców ojczyzny, wysłuchał ich spokojnie, wypytywał o ruch cały, mówił dużo z wyraźną cechą ekstazy mistycznej, o Opatrzności czuwającej i kierującej losami narodów, ale o zamiarach swoich właściwie nic pewnego nie powiedział. Gdy w opowieści o charakterze ruchu młodzi deputaci wspomnieli o żydach, którzy tak wybitnie w nim zajęli stanowisko, ks. Feliński wygłosił oryginalne, ale na wzkrósł przejęte mistycyzmem religijnym zdanie. Żydzi, mówił, są przez Boga naślani do Polski, aby byli „rynsztokiem, odprowadzającym w epoce giełdy, handlu i szwindłów, wszystkie brudy, któremi czyste, rycerskie i do innych celów przeznaczone ręce polskie, kalać się nie powinny“ ¹⁾. Tego rodzaju opinia, która pomimo mistyczności swojej o rządach Bożych na ziemi, wyraźnie świadczyła, że ks. Feliński nie jest żydom przyjazny, że i na tym punkcie stoi na wręcz przeciwnym dążnościom narodowym, (jak mówiono), gruncie, nie mogła się podobać deputatom. Gdy wyszli, gdy przyszło zdawać sprawę ze swej misyi, postrzegli, że właściwie niczego się nie dowiedzieli, chyba tylko tego, że Feliński z ruchem ręką w rękę nie pójdzie. To też deputacya, w kołach Czerwieńców, zamiast ich uspokoić dołała oliwy do ognia i wrzenie przeciw „moskiewskiemu biskupowi“ wzrastało z każdą chwilą i nakoniec znalazła swój wyraz w czynie, który byłby bardzo brzyd-

) Relacye ustne.

kim, gdyby nie nosił cechy głupoty studenckiej. Na rogach ulic ukazały się plakaty, przedstawiające dość niedbale narysowaną karykaturę ks. Felińskiego na koniu, w kurcie i baraniej czapce kozackiej, z kluczami od kościoła w jednej a batem w drugiej ręce. Obok niego pomieszczono dwóch niewymownie szpetnych kozaków, którzy oświecają latarniami drzwi kościoła archikatedralnego św. Jana. Karykaturę tę przysłano także w liście arcybiskupowi, by wiedział, jak się opinia polska zapatruje na jego postępkę.

Niemniejsze niezadowolenie i przykre starcie wywołała sprawa otwarcia kościołów w sferach rządowych, jakkolwiek z całkiem innych przyczyn. Ks. Feliński, uwiadomiac o tem osobiście Lüdersa, żądał przede wszystkim, żeby policya i wojsko nie znajdowało się ani w pobliżu, ani w samym kościele. Twierdził, że przez nieszczęśliwe wypadki październikowe ludność tak jest rozżalona, że nie może ręczyć za jej spokojność w razie gdyby się policya ukazała nietylko w kościele, ale nawet w jego okolicy. Namiestnik bronił się tem, że policya dla zachowania porządku jest potrzebną, że wśród niej i wojska jest wiele katolików, którym niepodobna zakazać wstępu do kościołów; wreszcie napierany stanowczo milczeniem zbył tę kwestyą, nic nie obiecując ¹⁾.

Lecz nie na tem tylko miało się skończyć. Żywy opór napotkał ks. Feliński i wśród duchowieństwa, wśród urzę-

¹⁾ *Prawdzički*, loc. cit. 60, utrzymuje, że Lüders mówił także o rekonyliacji dwóch kościołów i był jej przeciwny, gdyż byłoby to, miał się odezwać, „uznaniem, że wojsko dopuściło się gwałtu“; że ks. Feliński podrażniony tym oporem, ani myślał ustępować; że tonem widocznego uniesienia rzekł do namiestnika, iż „w sprawach religijnych on jeden wie, co mu czynić należy“, że „od prawa kanonicznego nie odstąpi“, że jeżeli władza mu w tem przeszkodzi, to on „nakaze jeszcze raz śledztwo, śledztwu temu sam obecny będzie“ i pewny jest, że „sąd smutne dla rządu wynikną następstwa“; wreszcie wrócił do pierwszego swego żądania o policyi, że jeżeli co do tego odmowną otrzyma odpowiedź, to zatelegrafuje do cesarza, „bo to

dników własnego konsystorza. Arcybiskup całemu aktowi otworzenia świątyń chciał nadać charakter wyłącznie kościelny; stronnictwo zaś ruchu, nie mogąc zmienić samego postanowienia, dokładać poczęło wszelkich starań, by obrzęd religijny zamienić na manifestacją polityczną. Przy pomocy ówczesnego regensa konsystorza usiłowano prosto straszyć arcybiskupa groźbą rozruchów ulicznych, jeśli, jak mówiono, nie uwzględni wymagań ludu. Do rzędu tych mniemanych wymagań ludu należała przedstawiona arcybiskupowi przez regensa konieczność ogłoszenia w „Kuryerze Warszawskim“ i innych gazetach terminu otwarcia i rekonyliacyi sprofanowanych kościołów. Ks. Feliński odmówił stanowczo temu żądaniu i dodał, że sprawy kościelne jedynie przez kurendy konsystorskie ogłaszać będzie. Na uwagę zaś regensa, że mieszkańcy Warszawy przyzwyczajeni są do takich obwieszczeń, i że nie uwierzą w dokonaną rekonyliacją, jeżeli ta cichaczem się odbędzie, arcybiskup odpowiedział, że spełnia przepis kościoła a nie żądania ulicy, na którą w postępowaniu swoim wcale oglądać się nie będzie. Regens widząc, że na tym punkcie nie otrzyma żadnego ustępstwa, począł gorąco zaklinać arcybiskupa, aby w przemowie, jaką w czasie rekonyliacyi ten ostatni miał wygłosić, nie poruszał przynajmniej kwestyi hymnów państwowych, gdyż to oburzy tylko wszystkich, skutku zaś żadnego mieć nie będzie. I tu jednak otrzymał odpowiedź ks. Felińskiego, że „nie o popularność mu chodzi, ale o sumienne obowiązków swoich spełnienie, skutki zaś swych usiłowań Opatrzności pozostawia“. Stało się więc wedle roz-

pozwole nie otrzymał od Niego“. *N. Berg* (Zapiski II, 230), potwierdzając do pewnego stopnia tę ralicję, dodaje, że w końcu Lüders zgodzić się musiał na rekonyliację, pod warunkiem, że o tem nie będzie ogłoszone w gazetach. Obie te ralicje są błędne. Arcybiskup nie potrzebował się wdawać z namiestnikiem w rozprawy o rekonyliacyi, gdyż rzecz ta, jak wiemy, na audyencyi u cesarza była zdecydowana i namiestnik o wszystkim uwiadomiony. Co do ogłoszeń w gazetach, rzecz zupełnie inaczej się miała, i autentyczną historją tej sprawy podajemy poniżej w tekście.

porządzeń arcybiskupa, kurenda poszła do duchowieństwa i ogłoszeń po gazetach nie było ¹⁾.

Nakoniec dzień 13 lutego nadszedł, dzień chłodny ale pogodny i jasny. Olbrzymie tłumy od świtu nieomal samego dążyły ku ulicy Świętojańskiej, która już o godzinie 7-ej rano była przepełniona. Po mieście przebiegały liczne patrole piesze i konne, wojsko skonsygnowano po koszarach i rozdano mu ostre ładunki. Na ulicy Świętojańskiej

¹⁾ Rękopism bezimienny. Inny rękopism, tylokrotnie tu cytowany „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“, całkiem odmiennie tę sprawę przedstawia. Utrzymuje on, zgodnie z podaniem *Prawdzickiego* (loc. cit. 58), że arcybiskup, uwiadamiając Komisją wyznań i oświecenia o rekonyliacyi, zażądał, ażeby magistratura ta zawiadomiła o tem mieszkańców Warszawy przez pisma publiczne. Gdy jednak Komisya tego nie uczyniła, trzeba było samemu się tem zająć. W tym celu ks. F. wezwał do siebie regensa konsystorza i kazał mu tego rodzaju ogłoszenie do dzienników przygotować. Ale ksiądz Cz. nie spieszył się z tem wcale, owszem „zrobił wielkie oczy“ i oświadczył w końcu arcybiskupowi, że tak ważnego aktu, jakim będzie otwarcie kościołów, nie można dokonać bez przejrzenia akt konsystorskich, a raczej śledztwa przeprowadzonego w tej sprawie. Feliński, ciągle będąc w stanie rozdrażnienia, zerwał się i dość szorstko odrzekł: „a cóż mię to obchodzi!“ i jeszcze raz kazał mu napisać potrzebne ogłoszenie do „Kuryera Warsz.“, a do Kraszewskiego jako redaktora „Gazety Polskiej“, oświadczył, że sam osobiście pojedzie. Przy pomocy Rzewuskiego, ksiądz Cz. zdołał arcybiskupowi wytłumaczyć, że taka wizyta jest całkiem niepotrzebna, że będzie ona z ujmą godności arcybiskupiej (jak gdyby odwiedziny znakomitego pisarza polskiego mogły komukolwiek na świecie ujmę przynieść). Feliński uległ tym namowom, ogłoszenia przygotowano i posłano, ale cenzura wydrukować ich nie pozwoliła. Wobec tego arcybiskup kazał jakoby ustnie powiadomić proboszczów i wikaryuszów, aby ci wszelkimi możliwymi sposobami komunikowali parafianom swoim odezwę jego o rekonyliacyi kościołów.

Decydować nie będziemy, która z tych relacyi jest prawdziwą, my poszliśmy za opowieścią „Rękopismu bezimiennego“, jako pochodzącą ze źródła najautentyczniejszego. Dodać tu trzeba, że według *Prawdzickiego* (62) Lüders trzykrotnie przysyłał bliżej nieokreślonych jenerałów, którzy starali się wszelkimi siłami odwieść arcybiskupa od aktu rekonyliacyi. Wiadomość tę uważamy za bezwzruszowo klanliwą.

patrole się nie pokazywały, ale natomiast Lüders kazał po domach i sieniach poumieszczać mnóstwo policyantów ¹⁾, których lud poznawał i dobroduszenie palcami sobie wskazywał. Jednakże, w tem liczmem zbiegowisku, wśród którego znajdowało się mnóstwo najczernerwiejszych agitatorów, różnych Maratów-Szachowskich, Robespierrow-Sokulskich i im podobnych, porządek zachowany był wzorowy i cisza niczem niezakłócona. W tej półciszy rozlegały się tylko szepty głuche. Robiło to wszystko nadzwyczaj smutne wrażenie. Około godziny 9-ej ukazała się kareta arcybiskupia, która z trudnością zdołała się przedostać przez tłum. Patrzano na nią w milczeniu, tu i owdzie ktoś uchylił czapki. Tak zajechał ks. Feliński do zakrystyi od strony ulicy Kanonii, gdzie go oczekiwało licznie zebrane duchowieństwo świeckie i zakonne. Na jego to czele, otoczony kapitułą metropolitana i akademią duchowną, w długiej procesyi wyruszył ku wielkim drzwiom kościoła. Sam arcybiskup, ubrany w purpurę i infułę, szedł z głową kornie schyloną, z ascetycznym i rozmarzonym wyrazem twarzy; posuwano się w głębokim milczeniu, co niezwykłością swoją uderzało umysły ludu i nastrojało go posepnie. Gdy się procesya nakoniec zbliżyła do wielkich drzwi katedry, ks. Feliński zaintonował psalm pokutny, który podchwycony przez liczny kler, ponurością swego tonu, w tem ogromnem zbiegowisku ludu powtarzany echem przez odwieczne, średniowieczne domy ulicy, wydobywał z niej jęk jakiś okrutny. Potem cała procesya obeszła kościół zewnątrz dokoła. Gdy wrócono do drzwi głównych, arcybiskup uderzył w nie trzykroć pastorałem, podwoje się rozwarły i duchowieństwo, a za niem lud wszedł do świątyni od trzech przeszło miesięcy zamkniętej. Spostrzeżono, że wsunęło się także do kościoła kilkudziesięciu policyantów z komisarzami i oberpoliemajstrem Piłsudzkim na czele, wbrew domaganiom się Feliń-

¹⁾ *N. Berg* II, 230. Autor zaczerpnął tę relacyą, o której zresztą wszystkie źródła polskie mówią, z rękopiśmiennego dziennika miejsciego Kriwoszeina, pułkownika rosyjskiego.

skiego. Ale nie wiele zwracano na to uwagi. Po wszystkich zebranych powiał duch uroczysty i smutny, gdy spostrzeżono, że ks. Feliński wszedłszy do prezbiterium padł krzyżem i leżał tak blisko trzy kwadranse, aż ukończono śpiewanie grobowej litanii i psalmów pokutnych. Dalsza ceremonia polegała na trzykrotnej procesyi po wszystkich nawach kościoła, które arcybiskup kropił wodą święconą, pierwszy raz ściany, drugi raz ziemię, trzeci raz wiernych. To właśnie stanowiło akt rekonyliacyi. Tłumy ludu tymczasem napełniały świątynię, zwłaszcza kaplicę Matki Boskiej i cudownego Pana Jezusa norymberskiego, i z kaplic tych, w chwilowej ciszy, jaka teraz w starym gotyckim gmachu zapanowała, rozlegały się westchnienia żałośliwe, jęki, tłumione łkania...

Wśród tego wszystkiego, arcybiskup w purpurze swego metropolitalnego majestatu, nagle wstąpił na ambonę, co niemałe wywołało zdziwienie, a jeszcze większą oczywiście ciekawość. Była taka cisza, że zdawało się, iż tylko głuchy oddech kilku tysięcy ludzi napełnia żebrowane gotyckie mury kościoła. Ks. Feliński głosem silnie wzruszonym, drżącym widocznie nutą nieopisanego rozżalenia, wyrzekł staropolskie: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, na które z wielu piersi rozległo się przeciągłe: „na wieki wieków“. Po wstępie, wypowiedzianym nieco pośpiesznie, wyrzekł między innymi: „gdyby od nas żądano, abyśmy przestali kochać naszą ojczyznę, albo żebyśmy przestali modlić się o jej pomyślność, sambym was zaklinał, abyście nie słuchali rządu, gdyż wolałbym, aby matki nasze postradały płodność, niżby miały dać życie pokoleniu na losy ojczyzny nieczułem“¹⁾. Słowa te same przez się bardzo patetyczne i w swym patosie bardzo piękne, wypowiedziane z błyszczącymi łzami w oczach i głosem wzruszonym, dźwię-

¹⁾ Tekst tego przemówienia ogłoszony w ówczesnych dziennikach jest całkiem inny, ale Lüders, niezadowolony z mowy, prawdziwego jej brzmienia wydrukować nie dozwolił. Nasz tekst, przytoczony powyżej, zaczerpnięty z „Rękopismu bezimiennego“ jest autentyczny.

czącym żalem i bólem, zrobiły takie wrażenie w tych czasach nerwów, nastrojonych do najwyższego tonu, że cały kościół głośno lkać począł, kobiety z krzykiem się zanosily od płaczu. Scena była nadzwyczaj rzewna i piękna niezaprzeczenie, bo te wszystkie serca targała, te wszystkie lzy wyciskała miłość ku tej Polsce tak ukochanej, Polsce tak nieszczęśliwej i tak udręczonej, jak mało przykładów podobnych dzieje świata dają. „Uspokójcie się i nie płaczcie, rzekł po chwili arcybiskup sam do głębi wzruszony, ja was zapewniam, że żadna władza nie może nam zabronić i nie zabroni tej modlitwy, która się poczęła w sercach naszych i do której tak wielką przywiązujemy wagę. Ale kiedy wymagają dziś od nas jedynie zaniechania niektórych śpiewów, nie należących do liturgii kościelnej, w zamian zaś ofiarują nieocenione dla narodu korzyści, to czyż ta sama miłość ojczyzny nie nakazuje nam złożenia ofiary z tych bezowocnych już dziś manifestacyi? Powiecie może, że rząd nas oszuka i nie dotrzyma przyrzeczeń? Co do mnie ufam słowu monarchy i wam podobną ufność doradzam; lecz przedewszystkiem ufam rządowi Opatrzności, która pierwej czy później winnych zawsze dosięgnie; nie bądźmyż przeto winnymi!“ Mowę tę swoją arcybiskup zakończył słowy następującymi: „usłuchajcie najmilsi tego pierwszego do was pasterskiego głosu mego, a wierząc, że porówno pragnę dobra kraju naszego i kościoła świętego, ufajcie mi, a kto mi ufa i przyrzeka pójść za radą moją, niechaj przyklęknie, a ja udzielię mu moje pasterskie błogosławieństwo“. Feliński wymówiwszy te słowa spojrział po słuchaczach, ale nie wiele osób uklękło, zwłaszcza że gdzieś, z pośrodku tłumu rozległ się głos donośny: „niech nikt nie klęka!“¹⁾ Zaraz też tłumnie i z hałasem poczęto opuszczać kościół, a arcybiskup z duszą, zapewne do głębi rozdarta, wznosił błagalnie dłonie i błogosławił wychodzących. Po skończeniu mowy ks. Rzewuski odprawił mszę, lecz na niej niewiele osób było i przeważnie ze sfer najniższych.

¹⁾ „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“, rękopism.

Pierwsze więc wystąpienie publiczne ks. Felińskiego było całkowicie chybione i jak najgorsze wywarło wrażenie. Wśród ruchliwej sfery mieszczańskiej i rzemieślniczej głośno wygadywano na metropolitę i roztkliwiając się sztucznie, wołano: „niema Fijałkowskiego, niema Białobrzieskiego, arcybiskup stoi gdzieindziej, a naród z duchowieństwem gdzieindziej“. Tę samą myśl podniósł w kilka dni potem „Czas“ krakowski i, opisując otwarcie kościołów, dodawał: „arcybiskup mógł się przekonać, że stoi na innym od narodu stanowisku“. Mnóstwo karykatur¹⁾, plakat, odezw ponaklejano na murach pałacu arcybiskupiego, a nazajutrz, w piątek, rozrzucono po całym mieście drukowany świstek, wystósowany do Polek, w którym jakiś patriota pokątny oświadczał, że nie dla nas otwarte są kościoły, „w których czcić cara narównu z Bogiem wczoraj poseł moskiewski zalecał“, i zapewniał, że „trochę jeszcze cierpliwości, a przyjdzie czas, że w kościołach zabrzmi pieśń miła Bogu i narodowi“²⁾. Po mieście obiegała niezliczona ilość fałszywych pogłosek, przekręcano kazanie ks. Felińskiego, zwłaszcza zdanie końcowe. Twierdzono, że miał mówić: „ufaj ludu swemu wielkiemu monarsze, który cię otacza swą opieką. Uspokój się, a ktokolwiek z was czuje miłość dla swego króla i pana, niech klęknie, a pobłogosławię go“. W owych czasach powszechnego podniecenia uczuć i rozdrażnienia, tego rodzaju plotki, przyjmowane z dobrą wiarą, zwłaszcza przez ludzi niewykształconych, przynosiły skutki jak najgorsze. Nie wtajemniczeni w stan rzeczy, nieświadomi całego przebiegu sprawy otwarcia kościołów, mieli za złe Felińskiemu, że tego ważnego aktu dokonał potajemnie, bez uprzedzenia ogółu wiernych, bez ogłoszeń po pismach publicznych. Zarzuty te były bardzo bolesne dla arcybiskupa, jako pochodzące od swo-

¹⁾ Przyniesiono np. księdzu Felińskiemu obrazek z wyobrażeniem z jednej strony szubienicy, z drugiej aureoli, z podpisem: „wybieraj!“

²⁾ Odezwę tę, jako nigdzie niedrukowaną i bardzo rzadką, podajemy ze współczesnego druku w zbiorze dokumentów pod Nr. 3.

ich. Podawano bowiem w wątpliwość nie już tylko jego sumienie kapłańskie, ale i sumienie polskie nawet, szkolowano go bezlitośnie, obsypywano oszczerstwami. Prasa rewolucyjna tajna, dotąd dość wstrzemięźliwa, teraz poczęła się wyrażać z niechęcią, acz w formie dość przyzwoitej, o otwarciu kościołów. „Strażnica“, ciągle jeszcze zajmująca stanowisko najpoważniejsze wśród tego dziennikarstwa osobliwszego, pisała¹⁾: „przykrą jest rzeczą, że opinia o szlachetności i łaskawości cara, z ust ich (popieczników rządowych) przeszła w usta niektórych naszych przyjaciół, że ją ogłaszają z ambony ci, którzy wiedzieć przecież powinni, jaką ona ma rzeczywiście wartość. Nie! naród nie wierzy w szlachetne uczucia cara“. „Ks. Feliński (z boleścią to mówimy), poszedł inną niż ks. Fijałkowski i Białobrzęski drogą; chwycił się zasady uległości, mającej rozbroić zawziętość nieprzyjaciół i odemknąć wrota do wspaniałych łask cara! Otworzył kościoły, wstrzymał śpiewy i cóż zyskał? Ścieśnienie i niewola z policją, jak wprzód, tamują i przeszkadzają modlitwie po kościołach“. Drugie pismo tajne „Pobudka“, niemniej niechętnie acz krótko o fakcie tym się wyrażało²⁾: „obóz na ulicach, kościoły zamienione w koszary milicyi, w placówkę szpiegów i policyantów; w takich kościołach Duch Boży mieszkać nie może, Chrystus ucieka z pośród murów, które dziś z woli cara stały się mieszkaniem fałszu i zdrady“. Nakoniec trzecie tego rodzaju pismo, którego numer pierwszy właśnie w tej porze się ukazał, p. t. „Prawdziwy patriota“³⁾, wołało, że otwarcie przez ks. Felińskiego kościołów w obecnem położeniu, z pominięciem warunków przez dostojnego ks. Białobrzęskiego postawionych, jest ustępstwem tem niebezpieczniejszem, że grozi zerwaniem jedności narodowej i może wywołać inne jeszcze ważniejsze ustępstwa“.

1) Nr. 5 z d. 15 marca 1862 r.

2) Nr. 3 z d. 6 marca 1862 r.

3) Nr. 1 z d. 27 marca z napisem: „Kantor główny w Warszawie w drukarni Niezależnej. Cena egzemplarza gr. 10“. Mała kartka in 16^o, niedbale drukowana po obu stronach.

Ale jeżeli prasa tajna w ten sposób odzywała się o akcie otwarcia kościołów, to było bardzo naturalne i inaczej być nie mogło; i wobec powszechnej opinii słowa jej nie zaważyły ani mniej, ani więcej na szali popularności nowego arcybiskupa. Odezwanie się atoli urzędowego „Dziennika powszechnego“, w chwili tak drażliwej i przesiąkniętej rozgoryczeniem ogólnem, było prawdziwą niedźwiedzią przysługą dla ks. Felińskiego. „Dziennik“, dając opis¹⁾ ceremoniału otwarcia kościołów, skreślony stylem ckliwo-sentymentalnym i urzędownie nieudolnym, wołał: „rzewne te obrządki, dopełnione w duchu pokory i chrześcijańskiego namaszczenia, wielkie na obecnych sprawiły wrażenie, czego dowodem była cicha modlitwa po wstąpieniu w progi świątyni, przeplatana łzami i poważnym śpiewem kapłanów“. Donosząc następnie o nakazanem przez arcybiskupa czterdziestogodzinnem nabożeństwie we wszystkich kościołach warszawskich, w tymże samym czułościowym tonie pisał, że nabożeństwo to arcybiskup odprawiać polecił „tak dla uproszenia sobie błogosławieństwa Bożego w dzwiganii trudnych obowiązków pasterstwa ewangelicznego, jako też i dla dania sposobności wiernemu ludowi do wynagrodzenia tej długiej przerwy bolesnej, która mu nie dozwalała zaspakajać swych potrzeb duchownych i czerpać w tej drodze żywota zasiłek ze źródła łask sakramentalnych“. Ogromna większość czytając te słowa sądziła, że wyszły one jeżeli nie z pod pióra samego ks. Felińskiego, to przynajmniej za jego wiedzą i aprobatą, znajdowała w nich powód do nowej niechęci ku arcybiskupowi, do nowych oszczerstw i potępień.

Lüders, zdaje się, miał niezbyt dokładne wiadomości o tem, co zaszło w kościele św. Jana, gdyż w depeszy, wysłanej do cesarza tego samego dnia, pisał, że „po ukończeniu nabożeństwa arcybiskup wygłosił naukę, zgodną ze wskazówkami, danymi przez Waszą cesarską Mosć. Wszystko odbyło się przyzwocie i spokojnie, przy bardzo licznej

¹⁾ Nr. 35 z r. 1862.

zgromadzeniu ludu¹⁾. Feliński ze swej strony, jakeśmy to wyżej wspomnieli, nakazał odbywać nabożeństwo czterdziestogodzinne we wszystkich kościołach, które tym sposobem cały dzień były otwarte, ale po większej części puste²⁾. Prócz dewotek, żebraczek, kobiet ze sfery ludowej, nikt do nich nie zaglądał, co już nosiło wyraźny charakter protestu przeciw aktowi wczorajszemu. Sam arcybiskup zwiedzał kolejno wszystkie kościoły, wszędzie się modlił, wszędzie po drodze witał zebranych staropolskiem: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, na co mu półgębkiem odpowiadano. Pielgrzymka ta po kościołach znów złe wywarła wrażenie wskutek tego, że gdziekolwiek arcybiskup się ukazał, wszędzie pojawiała się tłumnie policya, kręciła się koło jego karety, jak gdyby strzegła go przed jakimś niewidzialnym niebezpieczeństwem i salutowała go po wojskowemu³⁾. Tłum, motłoch szary, przepelniający każde wielkie miasto, sądzący wszystko z pozoru, widział w tem zgodność arcybiskupa z rządem i nieufność jego do ludu, którego miał być pasterzem duchownym.

Na szczęście w tych dniach ciężkiego utrapienia i niepowodzeń, jakie otaczały ks. Felińskiego, zdarzyła mu się sposobność wygłoszenia mowy czysto politycznej, publicznej niejako obrony przeciw oszczerstwu i posądzeniom, jakie na niego rzucano. Odwiedzając w dniu 15 lutego, a więc w dwa dni po otwarciu kościołów, szpitale i ochronki, zajechał nakoniec do Towarzystwa Dobroczynności. Tutaj powitał go prezes Rady opiekuńczej, Eugeniusz ks. Lubomirski, i w mowie bardzo zręcznie zbudowanej, dał mu poznać, że wszystkich oczy są zwrócone na niego, że wszyscy wiele oczekują i wiele po nim się spodziewają, a głos narodu pragnie w nim mieć ojca. Na mowę tę, pełną aluzyi

¹⁾ Depesza z d. 1/13 lutego: „po skonczaniu słuzenia, archiepiskop skazał pouczenie w smysle nastawienia, daunawo Waszim Wielicestwom. Wsio proizoszło czynno i spokojno, pri mnogoczislenom sobranii naroda“.

²⁾ „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“.

³⁾ *Prawdzički*, loc. cit. 75.

do ówczesnego położenia, arcybiskup odpowiedział naprzód wyrazami radości, że w tak pożądanym stanie zastał wszystkie zakłady dobroczynne w Warszawie, wreszcie wyrzekł, żeby z sądem o nim samym wstrzymano się do czasu, dopóki nie będzie miał sposobności objawienia swych uczuć, dopóki nie przekonają się o jego sposobie myślenia i o najczystszych jego zamiarach. „Nieraz pozornie zdawać się będzie mogło, ciągnął dalej, że niejednakowo z wami patrzę na wiele rzeczy wzajemnie nas obchodzących, nie potępiajcie mnie za to, bo was upewniam, że równie z wami kraj mój kocham serdecznie, i życzenia moje dla ojczyzny naszej są równie gorące jak wasze. Zdanie moje i moje zapatrywanie się na stan nasz z otwartością wypowiem, i zawsze stać będę po stronie sprawiedliwości, a cokolwiek nastąpi, wierzajcie mi, dobre czy też złe losy kraju naszego, dzielić je z wami będę zarówno, a jakiegokolwiek byłyby skutki różniące się działania, ja nigdy od ogółu odłączać się nie będę i zawsze będę trzymał stronę narodu, bo tam, gdzie owczarnia, zawsze pozostać musi i pasterz. Dzisiaj jest taka moja polityczna wiara, ażebyśmy zbytniemi wymaganiami nie pogorszyli czasem położenia naszego, a więc wypada nam z drogi legalnej nie schodzić, gdyż to jest jedyny na teraz środek, który nas do celu naszego doprowadzić może, to jest jedyna droga, po której idąc, możemy być sędziami tych, którzy nas dzisiaj sądzą“¹⁾.

Mowa ta, nawskróś polityczna, w swem zakończeniu zdawała się zdradzać jakąś myśl Possewinowską owładnięcia Rosyą, stania się kiedyś „sędziami tych, którzy nas dzisiaj sądzą“, wywarła bardzo dobre w mieście wrażenie. W sferach rządowych zato nie podobała się zupełnie i różni Kryżanowscy i Kruzensterny głośno wołali, nie bez pewnej zresztą słuszności, że zawiera ona mnóstwo ukrytych myśli, że w osobie ks. Felińskiego zyskała sobie Rosya nowego Wallenroda, który pragnie „jak Samson jednym wstrząśnięciem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem“.

¹⁾ Mowę tę czytać można w całości u *Prawdzickiego* loc. cit. 76.

Że w tej duszy rozbolelej od cierpień narodowych, wykołysanej na romantycznych egzasperacjach poezji polskiej, pograżonej w mistycyzmie religijnym, chorej nerwową chorobą epoki i narodu, myśli takie mogły się rodzić i plenić, zaprzeczyć nie można, ale historia zatrzymać się winna wobec tajników serca ludzkiego...

Ale to dobre wrażenie, jakie wywarła mowa ks. Felińskiego, zadowolenie wewnętrzne, jakiego doznawać musiał, że mógł publicznie cześć swoją polską obronić, zatarło się jeszcze tego samego dnia. Otrzymał bowiem przysłany mu przez umyślnego list, zatytułowany szumnie „Słowo narodu polskiego do ks. Szczęsnego Zygmunta Felińskiego“¹⁾. Niegodny ten paszkwil, na inną bowiem nazwę nie zasługuje, zredagowany w tonie kaznodziejским, niewątpliwie wyszedł z pod pióra księźego (jak się zdaje ks. Karola Mikoszewskiego, wikaryusza przy kościele św. Aleksandra w Warszawie), oskarża zaraz z początku Felińskiego, że w przemowie do przedstawiającego mu się duchowieństwa i do ludzi przy otwarciu kościołów wyraźnie dał poznać swój plan, „właściwy wszystkim sługom carskiego nad nami ucisku“, i że plan ten pobudza „lud polski“ do protestacji. „Czy olśniony wysoką godnością, czy omamiony czczemi i bezzasadnemi obietnicami, czy nie zbadawszy dobrze wielkości zadania, leżącego w osobie pierwszego księcia Polski podczas interregnum, (woła autor paszkwilu w tonie patetycznym epoki) rzucać zdajesz się na stronę przeciwną godnych i uwielbianych od narodu poprzedników twoich, i ze zgubą własną, ze zwichnięciem wiary ojców naszych, ze

¹⁾ *Prawdzicki*, loc. cit. 102, utrzymuje, że paszkwil ten odebrał ks. Feliński d. 5 marca, po skończeniu nabożeństwa pasyjnego. Relacyi tej zaprzecza najprzód napis, umieszczony na końcu „Słowa narodu polskiego“, że „pismo to wręczone zostało arcybiskupowi w d. 15 lutego, t. j. w przeddzień uroczystego ingresu do kościoła św. Jana“; następnie, jak to zapewnia *Giller*, *Hist. powstania II*, 166, przesłał je Felińskiemu urzędnik Aleksander Zamojski, który będąc aresztowanym w d. 2 marca, w trzy dni potem nie mógł rozsyłać listów po mieście.

zniweczeniem prac krwawych, łzami okupionych, przez naród podjętych, nierozważnie stajesz się narzędziem oszukaństwa, dlatego tylko, że sam jesteś oszukanym“. Autor paszkwilu jest przekonany, że pismo to znane będzie całej Europie. W odezwie tej najważniejszym jest wyraźne wypowiedzenie, na czym właściwie stronnictwo Czerwonych w kraju opierało swe nadzieje, powołując ten kraj do rychle jako mającego wybuchnąć powstania. Pod tym względem „Słowo“ ma znaczenie dokumentu, gdyż nigdzie jeszcze Czerwieńcy tak otwarcie i szczerze nie ujawnili swej polityki fantastycznej, swych marzeń niepraktycznych i lekomyślności niesłychanej. Twierdzą oni tedy, że zbliża się już niechybny upadek jeżeli nie krajów Austrii i Rosyi, „to przynajmniej ich rządów kłamstwa i ucisku“, że „na gruzach wielkiej potęgi władców wznosi się budowa wolności i rozwoju dobra narodowego“. Mówiąc nieustannie i dużo o jakimś „świętem posłannictwie Polski względem świata katolickiego“, twierdzą, że Rosya „stoi na wulkanie narodowych niechęci“, i na te rzekome wewnętrzne niechęci różnych ludów, wchodzących w skład caratu, poczynają oni liczyć bardzo wiele. Nie pierwszy to przykład w historii, gdy rewolucyoniści nasi poczęli rachować na rewolucyonistów moskiewskich i z tego przymusowego, nieprawego związku spodziewali się zdrowego potomstwa; czas okazał, że związek ten był zawsze niepłodnym. Ale tego doświadczenia i tej nauki nie mieli ówcześni rewolucyoniści warszawscy, nie w ogromnej swej większości nie umiejący, i przekonani byli, że znajdą pomoc dla swych polskich aspiracyi „w łonie samej Rosyi“, że znajdą ją nakoniec na Zachodzie i wskutek tego, pewni tryumfu i zwycięstwa, nie chcą żadnych kompromisów z Rosyą i nic ich nie skłoni do układów, „żadne przebiegi i kłamstwa, i chociażby najprzewielebniejszy arcybiskup jawnie nam dał poznać swoje skłonności i chęci panslawistyczne i przychylność ku nowo nadać się mającym z konceptu cara i Wielopolskiego instytucyom, szerszy zakres rozwoju mającym, ominiemy cię jako błędzącego, a kosztem ofiar najświętszych sercu na-

szemu, do groźnej potęgi dojść musimy. Każdy zaś w pośrodku nas stojący, a nie oddany duszą i ciałem sprawie naszej, lub onę czy to przez błąd, słabość, lub poniżenie inaczej tłumaczący, uważany będzie za przeszkodę, którą usunąć potrzeba. Kto nie jest z nami, ten wrogiem naszym!“

Za takiego wroga paszkwil zdaje się uważać i Felińskiego; owszem, wpadając w zwykłą stronnictwom skrajnym ostateczność, z godną surowej nagany lekkomyślnością, miesza takich dobrze zasłużonych krajowi obywateli, jak: Karnicki i Enoch, z niecną zgrają łotrów i karyerowiczów, jak: Muchanów, Płatonow, Leichte lub Trepow; wychwała wysoko Fijałkowskiego i w tonie pełnym jadowitej złośliwości powiada, że nigdy „nie potrzebował on listów rekomendacyjnych z Petersburga do oprawców, ani poniżył swojej godności pierwszego księcia oddawaniem wizyt gubernatorom czy dygnitarzom carskim“, a co, jak wiemy, fałszywie poinformowana opinia publiczna przypisywała ks. Felińskiemu. W rezultacie „Słowo“ surowo ostrzega arcybiskupa, aby nie ufał obietnicom cesarskim, którym zdaje się wierzyć mocno i na nich nadzieje swe budować. „A czemuż, pyta, śledztwa sprofanowanych kościołów nie uznano, czemu przy otwarciu nie pozwolono napisać, że kościoły te zostały rekuncyliowane, ale tylko otworzone? Czemu nie przyszło ci na myśl zapytać się, gdzie lud, który był świadkiem zbrodni w kościołach popełnionej, czy sam nie przychodzi na świadectwo, czy go policya i kozactwo po ulicach wstrzymuje?“ Ostrzega dalej i słusznie arcybiskupa, że rząd umyślnie stara się go skompromitować w oczach narodu, i opowiada, z pewnem oczywiście umyślnie fałszywem oświeceniem, fakta następujące: „niewiadomo zapewne Waszej Ekscelencyi, że kiedyś miał przybyć do Warszawy pociągiem o godzinie 5-ej, dobroduszny lud gromadnie chciał cię powitać, chciał w niecierpliwości i zniekaniu z twarzy twej zaczerpnąć nową otuchę, ale nie dopuścili tego oprawcy, i telegram wysłany został, abyś się powstrzymał i przybył dopiero o godzinie 11-ej; że kiedyś już do Warszawy dojeżdżał, spotkać cię chcących z rozkazu Kryżanowskiego

i Piłsudskiego rozbijano i rozganiano batami, innych tłumnie w sali zebranych na klucz zamknięto podstępem, a chłopczynę, co okrzyk radości wydał, pokaleczonę do szpitala zaniesiono; że kiedyś jechał od kolei do pałacu, powóz twój oddział kozaków eskortował; że przed pałacem twoim, czego nigdy nie było, stawa kilku policyantów; po ulicy Miodowej wyłącznie, przechodzą tłumnie zbrojne patrole; że od Piłsudskiego wyszedł onegdaj rozkaz, aby komisarze policyjni pod najsurowszą odpowiedzialnością składali raporta kiedy i gdzie się oddalasz, kto do pałacu twego przybywa. Czyż z tego pojąć nie możesz arcypasterzu i ojczu, że carscy słudzy, którymi pogardzić nie umiałeś, chcą cię z narodem poróżnić, chcą ci pokazać, że lud cię uczyć nie potrafi, że nawet cię znieważyc ośmieliły się, gdyby nie ich obrona“.

Wreszcie „Słowo“ takie zarzuty czyni ks. Felińskiemu: „otworzyłeś arcypasterzu i ojczu, kościoły bez uznania krzywd narodowi (tak!) popełnionych, z naganą prawie dla tych, co one pozamykali; dalej podasz rękę przyjazną ciemiężcom narodu, którzy cię wokoło otaczają, a sprawa nasza na tem ucierpi i dobro kościoła poszwankuje“. W końcu, w zwykłym tonie epoki tak się odzywa: „najprzewielebniejszy arcypasterzu i ojczu! oto przed tobą otworem stoją dwie drogi: jedna, jak druga, ostrym nabita cierniem; na szczycie pierwszej jest święta wiara nasza, a zlane ona jest krwią męczenników, kapłanów i wygnańców naszych; na szczycie drugiej jest kłamana łaska carska i poniżenie. Pośredniej zaś, której wyszukać pragniesz dyplomatycznymi zwrotami, wcale niema i nie będzie; wybieraj tę, która ci prawdziwie pożyteczną i z obowiązkami pasterskimi zgodną być się zdaje“. Wyraża dalej nadzieję, że list pasterski postanowienie Felińskiego objawi, że listu tego oczekują z niecierpliwością, „a radziłyśmy go widzieć pisany nie pod natchnieniem policyjnych urzędników, ale prawych i świątłych kapłanów naszych“. Paszkwil kończy się tak: „niech wyziębione serce rozgrzeje się miłością ojczyzny, miłością ludu, z którego powstałeś, otrząśnij się z idei ułu-

dnych z Petersburga przywiezionych, a ręczymy sumieniem narodu, że dojdiesz do tej czci i uwielbienia, co i twoi najprzewielebniejszy arcybiskup przedziś (1).

Ks. Feliński szkaradny ten paszkwil odebrał w obecności Rzewuskiego, który, widząc list tajemniczy, wyrzekł, że jest to zapewne „cierń bolesny do krwawego wieńca, który Pan Bóg zgotował dla Waszej Ekscelencyi“ i głośno list odczytał. Tym razem gorzkie i, cokolwiekbyśmy powiedzieli, niezasłużone zarzuty, dotkliwie uczuł Feliński; w uniesieniu niezwykłym u tej duszy cichej i pokornej, oburzył się: „a więc mną chcą rządzić, a więc mnie chcą wskazywać drogę!“ wołał, i uskarżał się, że droga ta może doprowadzić tę ukochaną ojczyznę polską do zguby. Narzekał, że chcą, by był „bańką mydlaną, którą oni (czerwoni) jak malutkie dzieci bawić się będą, radując się gdyim zajaśnieje kolorami tęczy, smucąc się gdy pięknie i zniknie“; twierdził w poczuciu szczerzej i rozumnej miłości kraju, że on tego nie uczyni, że choć nie potępia ich życzeń, ku którym go może serce ciągnie, ale rozsądek, wiara w powolne, lecz na mocnej podstawie oparte reformy, nie pozwalają mu rzucić się, „w tę rozpaczliwą grę namiętności, w grę wygórowanej, olbrzymiej, ale źle zrozumianej miłości ojczyzny!“ 2). Niestety! nie wiedział w silnem zaufaniu w siebie, że i jego „ta rozpaczliwa gra namiętności“ kiedyś porwie, uniesie jak liść zeschnięty i rzuci w puste przestrzenie wygnania, gdzie, grzebiąc wszystkie nadzieje i wszystkie miłości, zmarnuje to życie, które był gotów ponieść w ofierze dla ojczyzny!

Nazajutrz, d. 16 lutego, w niedzielę, miał się odbyć solenny ingres nowego arcybiskupa do katedry świętojańskiej. Ogromne tłumy ludu zbiegły się na tę uroczystość, przepełniły sobą starą świątynię. Wielu, zwłaszcza ze sfer

1) „Słowo narodu polskiego“, jakkolwiek dość często spotykane w zbiorach pism z tej epoki, jednakże nieprzedrukowane nigdzie, podajemy w całości w zbiorze dokumentów, na końcu tego tomu pomieszczonego, pod Nr. 4.

2) *Prawdziński*, loc. cit. 102.

inteligentniejszych, z młodzieży зараżonej jadem rewolucyjnej czerwonej, szło na tę ceremonię kościelną nie z pobudek nabożnych, ale dlatego, że według wieści, ks. Feliński będzie miał mowę. Wiedziano już powszechnie o otrzymaniu przezeń „Słowa narodu polskiego“, i ciekawi byli dowiedzieć się, jakie nań wrażenie paszkwil ten wywarł i co powie¹⁾. Ceremonia rozpoczęła się, jak zwykle, od przysięgi nowego arcybiskupa, złożonej w ręce sufragana Platera, poczem ks. Rzewuski wstąpił na ambonę, odczytał cztery bulle papieskie i wystawił obraz cnót i charakteru Felińskiego. Mowa była gorąco wypowiedziana i miała w sobie ustępy bardzo patetyczne, bardzo nawet poetyczne, wysuwające się poza ramy pospolitej kaznodziejskiej elokwencji. „Słuchaj go cały ludu polski, wołał mówca, bo on twój prawy arcybiskup, bo on twoja duchowna władza, on obrona twoja, on pociecha twoja i radość twoja, on prawy syn kościoła św. i matki naszej ojczyzny, on prawy następca twoich biskupów, udarowany tą arcybiskupią godnością od Ojca św. Piusa IX, zasiadającego na nieśmiertelnym tronie papieżów“. Potem sam Feliński odprawiać począł mszę św. i po *credo*, z wzniesienia urządzonego w bliskości ołtarza, przemówił z wyraźnym drżeniem w głosie, od silnego zapewne wzruszenia, jakie nim owładło. Feliński nigdy nie był mówcą; poeta w czynach i myślach, nie był poetą słowa, i wszelkie jego utwory noszą na sobie cechę ciężkiej i mozolnej pracy. Lecz tym razem czy uroczystość chwili, a może wielki ból serca zranionego dotkliwie, włożyły mu w usta słowa naprawdę wzruszające i naprawdę piękne. Stanowisko swoje, mówił, uważa za walkę. „Nie przeto, bym koniecznie życie swoje spodziewał się poświęcić w obronie powierzonej mi trzody, lecz że walka musi być moim udziałem, bo nie sami męczennicy, lecz i wyznawcy też walczyć muszą, a jakże często bywa, że wyznawcy potrzebują więcej męstwa niż męczennikowi, bo temu dosyć chwili odwagi, gdy tamten nieraz musi przez długie lata

¹⁾ „Żywot ks. Szczęsnego Zygmunta Felińskiego“. Rękopism.

bój zacięty prowadzić“. Pocieszał się jednak, że kościół, któremu „żadne burze i walki nie zaszkodzą“, daje mu w swej wewnętrznej mocy, w swej organizacyi taki puklerz i taką siłę, że obawiać się niczego nie potrzebuje. „Dopóki się jego trzymamy, mówił, jesteście bezpieczni, bo na wszelkie niesłuszne wymagania władzy, możemy śmiało powiedzieć: nie możemy, bo nam prawo nie pozwala“. Twierdził, że „ofiara daje okup i zbawia. Od ofiary was bracia kochani nie powstrzymuję, ale czyńcie ją w czystości serca, cierpiąc dla sprawiedliwości z zaparciem siebie, z poddaniem się woli Bożej, ja sam, da Bóg, jak przyjdzie godzina, od niej się nie usunę“. Wreszcie zakończył temi słowy: „nie wiercie podszeptom fałszywym, które w was nieufność wzbudzić usiłują, ufajcie mi, przecie nie napróżno łaska Ducha św. zlaną jest na mnie. Módlcie się za mnie, aby mi Bóg dodał siły do wytrwania i zniesienia wszystkich przeciwności mężnie, jak tego pragnę. Polecam się sercom waszym, modlitwom waszym, słuchajcie głosu mego i idźcie za mną, a da Bóg, że ani pasterz od owiec, ani owce od pasterza nie będą odłączone na wieki“.

Gdy te słowa wygłaszał i gdy rękę podniósł, by błogosławieństwo dać słuchaczom, znać było na twarzy jego głębokie wzruszenie, które nie pozostało bez wrażenia na obecnych. Po ukończeniu ceremonii i nabożeństwa, gdy się znalazł w zakrystyi, zastał tam kilkunastu wybitniejszych obywateli miasta z p. Andrzejem Zamoyskim na czele, którzy przybyli złożyć arcybiskupowi swoje uszanowanie. Powitał ich radośnie i może śnił w ową niedzielę, że zdoła opanować rewolucyą, stłumić tlejący pożar i wichrom, dmącym z wzrastającą siłą, nadać inny kierunek. Był owego dnia wesół bardzo, rozmarzony jeszcze więcej, rozkołysany jakoś żałośliwie, ale z dobrotliwym uśmiechem na ustach, z nadzieją, że może przyszłość będzie jaśniejsza.

Jakoż bez zaprzeczenia w tej chwili, na chmurnem ciągle niebie polskiem, rozpalanem od czasu do czasu purpurą błyskawic i hukami rzadkich jeszcze gromów, gdzieś, w oddali błyszcziała jasna, widna zorza świtu lepszych na-

dziei i lepszej przyszłości, by zgasnąć wkrótce na długo i nocą czarną, nieprzejrzaną, nieprzespaną nocą pokryć ojczyznę polską. Tym uroczystym, płodnym w nadzieje, świtem dalekim, tą zorzą szczęśliwych dni, zaróżowić zdołał ołowiane niebo polskie jeden z jej najlepszych, najrozumniejszych i najdzielniejszych synów. Nad Newą, w granitowych murach Petersburga, w mroźnej jego atmosferze kielkować w tej dobie poczęły ziarna nadziei polskich. Tam więc po raz wtóry przenieść nam się wypada, iść w ślad za tą, słusznie przez historyka nazwaną „przedzą Penelopy“, rwącą w dzień osnowę w nocy utkaną, przypatrzeć się działaniu męża, który w złocistych salonach petersburskich nosił zagadkowe miano „sfinksa politycznego“.

ROZDZIAŁ XIV.

Sfinks polityczny.

Wielopolski w Petersburgu. Przyjęcie u cesarza noworoczne. Stosunki margrabiego z kobietami. Cesarzowa i widzenie się z nią. W. ks. Helena Pawłówna. Pani baronowa Meyendorff. Pani hrabina Keller. Zniesienie departamentu do spraw polskich w Radzie państwa. Kanclerz Nesselrode, Piotr Meyendorff i inni. Życie towarzyskie. Stronnictwa rosyjskie: Zapadnicy i Samobytnicy. Nihilisci i ich propaganda rewolucyjna. Stosunki Wielopolskiego z ambasadorami. Polityka Austrii względem Polski. Hr. Bismarck. Ambasador francuzki i angielski. Memoryał Wielopolskiego z d. 15 lutego. Stan wojenny. Rozdział władzy. Duchowieństwo. Historia listu pasterskiego ks. Felińskiego. Jego korespondencya z ks. Gorczakowem. Sprawa nuncyatury. Brewe papieżkie. Wrażenie w Petersburgu i skutki tego dokumentu. Dalsze pertraktacye i ich zakończenie. Otwarcie szkół publicznych i zdanie o tem prasy tajnej. Projekt wychowania publicznego w komisjach petersburskich. Szkoły wyznaniowe i kwestya przymusu szkolnego. Wahanie się w Petersburgu i propozycye czynione Wielopolskiemu. Jego powrót do Warszawy. Położenie ogólne. Aresztowania i ułaskawienia. Sprawa Aleksandra Zamoyskiego. Paweł Felkner. Żałoba i „Fijolki“. Widowiska teatralne. Rady miejskie. Rada w Krasnymstawie. Rady powiatowe i ich działalność. Zakładanie szkółek elementarnych. Postanowienie Rady administracyjnej. Nazimow i hr. Starzeński. Zachowanie się chłopów i ich denuncyacye. Brak monety zdawkowej. Rozbrojenie powszechne kraju. Położenie rzeczy w prowincjach zabranych. Projekt o oczyszczowaniu włościan z urzędu. Zwycięstwo Wielopolskiego w Radzie stanu. Postępowanie ks. Felińskiego z duchowieństwem.

Ks. Zygmunt Golian. Okólnik arcybiskupa o spowiedzi. Rocznica dnia 8 kwietnia. Wypadki dnia 10 kwietnia. Zarzuty gazet polskich zakordonowych i odpowiedź na nie ks. Felińskiego. Zakończenie.

Gdy się to wszystko działo w Warszawie, gdy ks. Felińskiemu powoli usuwał się grunt pod nogami, Wielopolski w Petersburgu zajmował coraz wybitniejsze stanowisko wśród sfer towarzyskich, a w kołach rządowych coraz staranniej krył się za nic niemówiącą, tajemniczą i zagadkową maskę sfinksa politycznego, jak go nazywano i jak on sam chętnie się nazywał. Położenie jego, jakieśmy rzekli, było jedno z najdziwniejszych, gdyż w tym świecie czynownictwa, z chwilą podania się do dymisji nie zajmował żadnej pozycji urzędowej, a tytuł członka Rady stanu Królestwa Polskiego, dla mnóstwa dygnitarzy petersburskich, był nic nie znaczącym i niezawsze zrozumiałym. Tem więc osobliwszym, tem bardziej niepojętym wydawać im się musiał jego wpływ i powodzenie niezwykle, jakie zyskał w Petersburgu. Stąd posądzano go o zamiary dalej sięgające, obejmujące większe niż Polska przestrzenie, a postępowanie, pełne tajemniczej zagadkowości, półsłówka, jakie czasem wygłaszał, zachowanie się całe, opinię tę do pewnego stopnia utrwalalo. Zdarzyło się, że na Nowy Rok, na wielkim przyjęciu w Pałacu Zimowym, ochmistrz dworski nie wiedział gdzie postawić Wielopolskiego, jakie mu miejsce naznaczyć w szeregu różnych dygnitarzy, którzy się zjechali, by złożyć swe życzenia cesarzowi. Wielopolski nie był już urzędnikiem, nie miał „czynu“, więc nie wiedziano, co z nim zrobić. Na niemałe zdziwienie wszystkich, margrabia przeszedł spokojnie przez całą salę i umieścił się tuż przy korpusie dyplomatycznym. Na uwagę mistrza ceremonii, że może to nie jest właściwe dlań miejsce, odrzekł nie ruszając się wcale: „wiem panie, gdzie jest moje miejsce“ (*je sais, où est ma place Monsieur*)¹⁾. Innym znowu razem będąc w pałacu cesarskim, usiadł sobie, gdy wszy-

¹⁾ Lisicki, Le marquis II, 267.

szy stali. Na zwróconą mu uwagę, że „tu siedzieć nie można“, miał odpowiedzieć: „to wam nie można, gdyż jesteście u swego cesarza, ja zaś u swego króla“¹⁾. Zachowanie się takie, zwracając na siebie, już przez samą swą oryginalność, uwagę powszechną, kazało przypuszczać wielu, że ten nowy sfinks polityczny nie tylko mnóstwo zagadek dźwiga w swej głowie potężnej, ale że będzie pożerał tych, którzy ich dość wczesnie nie rozwiążą.

W rzeczy samej tak nie było i Wielopolski znajdował się w tem położeniu, że sam nie jeszcze nie wiedział, jakie znajdzie rozwiązanie najbardziej i wyłącznie interesująca go zagadka przyszłości własnej ojczyzny. Jego postawa, milczenie, półsłówka, całe zachowanie się wreszcie, było wykonywaniem dobrze obmyślanego planu, by działać na wyobraźnię, zyskiwać sobie wszystkich w części przez tajemniczość, mającą zawsze urok olbrzymi, w części przez obawę i obracać to na korzyść Polski, boć jego nie innego nie obchodziło tylko ta Polska, która gdzieś tam, przyczepiona do skrajów olbrzymiego caratu, tak szalonych poczęła dostawać konwulsyi, że konwulsye te wstrząsały już samem cielskiem rosyjskiem. Głównie jednak działał przez kobiety, czynnik zawsze wpływowy we wszystkich sprawach ludzkich, we wszystkich państwach i czasach a może najwpływowwszy w Rosyi, która z wielu względów miała formy i obyczaje mocarstwa orientalnego. Olbrzymia postawa margrabiego, jego pyszna głowa, jakby skradziona z antycznego popiersia Fidyasza, jego oryginalna sytuacja w tem mieście czynownictwa, jego tajemniczość, rozum, dowcip niepospolity, magnackie wzięcie się i maniery najlepszego towarzystwa, powoli już zacierające się wśród mieszczańsko - demokratycznych prądów wieku, wywierały niepospolity urok na kobiety, a przez nie na ich mężów, ojców, braci i kochanków. Margrabia z wiedzą czy bez wiedzy, umiał ten urok wyzyskiwać odpowiednio. Mówiliśmy już o jego stosunku z panną Antoanetą Błudowówną,

¹⁾ *N. Berg. Zapiski, II, 199.*

o tem jak dalece potrafił wziąć przewagę nad tym umysłem mistycznym, i jak przez nią wpływał na jej ojca, zajmującego nader poważne stanowisko w rządzie rosyjskim; wiemy, jak dzięki pani Calergis warszawskiej zyskał sobie starego kanclerza Nesselrodego. Teraz krąg tych znajomości i tych wpływów znacznie się rozszerzył i sięgnął do sfer najwyższych.

Pewnego dnia, po audyencji, cesarz zaprowadził go do cesarzowej i przedstawivszy tej pani magnata polskiego, o którym zapewne dużo słyszała i ciekawą go była poznać, odszedł mówiąc: „teraz zostawiam was razem“ (*maintenant je vous laisse ensemble*). W ciągu rozmowy margrabia zacytował bardzo w porę jakiegoś poetę niemieckiego, co tej Niemce z rodu bardzo się podobało, i prosiła Wielopolskiego, żeby jej wiersz ten przyniósł na piśmie. Tym sposobem pierwsze lody były przełamane, a znajomość życia i literatury niemieckiej pociągały cesarżową ku szlachcicowi polskiemu. Zapewniała go ona, że usposobienie Mikołaja dla Polaków, nie „znajduje odgłosu w obecnym cesarzu“; przyrzekała, że opierać się nie będzie poddaniu pod władzę Komisji oświecenia zakładów naukowych dla dziewcząt, znajdujących się pod jej opieką, oraz, że posada dyrektorki instytutu w Puławach, nie będzie powierzana, jak to dotąd bywało, Rosyankom. „Nie widzę żadnej przeszkody, mówiła, by stanowiska tego nie miała zajmować Polka. Oskarżają mnie, dodała, o fanatyzm, ale Bóg mi świadkiem, że jestem daleką od myśli odbierania komukolwiek jego wiary lub języka“ ¹⁾. Takie łaskawe przyjęcie przez monarchinię, która nie była bez wpływu na dworze, musiało koniecznie oddziaływać na wszystkich; blask, padający od przyjaznego uśmiechu sułtanki, odbić się musiał dokoła.

Między innemi, w początkach 1862 r. Wielopolski przedstawiony został wielkiej księżnie Helenie Pawłównie. Jego sympatyje dla literatury, cywilizacyi i życia niemie-

¹⁾ *Lisicki, Le marquis II, 267.*

ckiego, z łatwością utorowały mu drogę do zyskania wpływu na tę drugą Niemkę na dworze cesarskim w Petersburgu. A wpływ ten mógł mieć poważne znaczenie. Wielka księżna była bowiem kobietą niezaprzeczenie wyższego umysłu, światła i skłonna do namiętnego adorowania idei liberalnych wieku. Otworzyła ona u siebie rodzaj salonu politycznego, gdzie zbiegali się wszyscy wybitniejsi ludzie epoki, i gdzie wiele reform, które zaznaczyły panowanie Aleksandra II-go, omówiono wprzód, nim weszły w życie w formie aktu prawodawczego. Gorące zajęcie się kwestyami polityki bieżącej stanowiło główny powab tych zebrań towarzyskich; to też bywał tu i Wałujew, minister spraw wewnętrznych, bywał i Milutyn, który, teraz w nielasce, bawił w Rzymie i Paryżu, skąd korespondował z Wielką Księżną. Wieść niesła, że łączyły ją z nim związki romantycznej natury. W salonach pałacu Michajłowskiego, prześląkniętych, że tak powiem, rozprawami politycznymi, znalazł się i Wielopolski, i odrazu zajął w nich miejsce wybitne. W zjednaniu sobie wielkiej księżny szło margrabiemu głównie o to, żeby przez nią wpłynąć na jej zięcia, księcia Meklemburskiego, który jako zwierzchnik naczelny wszystkich zakładów wychowawczych żeńskich, mógł się sprzeciwić zamierzonemu oddaniu instytutu panien w Puławach pod zarząd Komisji Oświecenia. A przytem bywanie w salonach Heleny Pawłówny należało w tej chwili w Petersburgu do najlepszego tonu, świadczyło o czynnym współudziale w polityce dnia. Wielopolski z właściwą sobie przenikliwością to zrozumiał i częstym był gościem w pałacu Michajłowskim.

Trzecią nakoniec kobietą, przy pomocy której Wielopolski spodziewał się to i owo zrobić, lub to i owo przeprowadzić, była pani baronowa Meyendorff, żona Pawła Meyendorffa, członka Rady państwa, z którym, jak wiemy, margrabia odnowił swą dawną, z Getyngi jeszcze pochodzącą, znajomość, i w którym znalazł szczere i uczciwe poparcie. Dopomagała mu w tym względzie wiele pani baronowa, która, jak wszystkie wyższe i wykształceńsze kobiety tej

doby w Petersburgu, stała się gorącą wielbicielką margrabiego. Niemka, a raczej Austriaczka z pochodzenia, hrabianka Bouol-Schaustein z domu, siostra owego Bouola, który przez jakiś czas dzierżył tekę spraw zagranicznych w państwie rakuskiem, katoliczka gorliwa, brała żywy udział za przykładem innych kobiet tej epoki w tych wielkich prądach politycznych, jakie przebiegały w tej dobie po Rosyi, a których przeznaczeniem było rozplątać się i utonąć z czasem w bagnistym trzęsawisku wsteczności staroruskiej partji Samobytników. Wpływy baronowej w Petersburgu nie były wielkie, ale z tych, jakie posiadała, umiała korzystać zręcznie i umiejętnie. Cieszyła się ona wielce z wyniesienia ks. Felińskiego, którego znała osobiście i ceniła bardzo ¹⁾, a tu i owdzie rzucone przyjazne słówko, pomijając już oddziaływanie na męża, nie pozostawało bez śladu.

W tej galeryi kobiet, które głośno uwielbiały margrabiego i które go, bodaj czy nie najskuteczniej, popierały, znalazła się także niejaka hrabina Keller, która z czasem w warszawskim i ostatecznym dramacie Wielopolskiego odegrała rolę nie bez pewnego znaczenia historycznego. Była to kobieta bardzo piękna, pełna, okazała, z biustem i ręką „białoramiennej Hery“ homerowskiej, z włosami jasnymi, przypominającymi swym kolorem bujne łany dojrzałego zboża. Karyera jej była zwykłą karyerą kobiety pięknej, niezbyt skrupulatnej co do moralności, lubiącej władzę, zbytek, zabawy. Córnka Serba, Riznicza, będącego w służbie rosyjskiej, i Polki, Rzewuskiej, została z czasem metresą wszechpotężnego generał-gubernatora kijowskiego, Bibikowa. Pannę skompromitowaną w tym stosunku trzeba było wydać za mąż i takiego męża z łatwością prokonsul kijowski znalazł. Był wówczas w Kijowie niejaki Keller, Niemiec, ubogi hrabia z prowincyi Nadbałtyckich, rudy, brzydki jak noc, zajmujący skromne stanowisko inspektora (nadziratiela) szkolnego, który, zeniąc się z kochanicą Bi-

¹⁾ *Lisicki*, Kwartalnik historyczny. Zeszyt IV z 1894 r.

bikowa, robił wielką karyerę, gdyż zaraz potem został gubernatorem w Mińsku litewskim. Tutaj, zdarzyło się raz, że w czasie jednego z przejazdów przez Mińsk cesarza Aleksandra II, pani gubernatorowa wyszła powitać monarchę na perystyl swego domu, i cesarz, który był wielbicielem pięknych kobiet, olśniony jej wdziękami, pocałował ją w rękę, co ogromnie jej znaczenie podniosło i najśłodsze nadzieje obudziło w tej kobiecie ambitnej, chciwej blasku i błyszczenia. Gdy się te nadzieje nie ziszczały, znudzona takim partykularzem, jakim był wówczas Mińsk, wybrała się pod koniec 1861 r. do Petersburga, odświeżyć się, zobaczyć krewnych, przypomnieć komu trzeba, wydobyć męża z nudów mińskich, a może popchnąć go na wyższe szczeble hierarchii urzędniczej. W tym celu, w czasie tego niezmiernie ożywionego sezonu petersburskiego, w którym jedną z najjaśniejszych gwiazd był dumny szlachcic polski, pani Keller kręciła się po wszystkich salonach, olśniewała swymi księżycowymi wdziękami, bawiła rozmową żywą, pozornie głęboką, ale w gruncie rzeczy ślizgającą się po wierzchu, i wyrobiła sobie opinią kobiety mądrej, zręcznej i ambitnej. W tych to salonach Wielopolski, spotykając ją ciągle, zwrócił na nią w końcu swą uwagę, zwłaszcza że mu przypominała jedną z wielkich przyjaciółek młodości, a przytem pani hrabina Kellerowa, słysząc ciągle pogawędki, że klucz do sytuacji obecnej, już nietylko polskiej ale i rosyjskiej leży w ręku „sfinksa politycznego“, wytłomaczyła sobie zapewne, że najrozumniej będzie losy swe związać z losami nowego Cezara polskiego, sama mu się rzucała w oczy i starała mu się podobać. Powoli dopięła swego i w zamian gorąco popierała gdzie mogła margrabiego i głośno nazywała się jego „polityczną aliantką“¹⁾.

Takie piękne i niepiękne, ale nadzwyczaj wpływowe i czynne miał pomocnice Wielopolski w trudnym swem zadaniu w Petersburgu. Ale i wśród mężczyzn liczył wielu przyjaciół. Mówiliśmy już o Błudowie, którego córka panna

¹⁾ Loc. cit. 744.

Antoaneta starała się jak najlepiej usposobić i donosiła margrabiemu, że ojciec jej „chce z nim poważnie się rozmówić o wielkich kwestyach, od których zależy przyszłość tyłu milionów pańskich i naszych współrodaków“¹⁾. Dzięki temu stary prezes Rady państwa, wychowany w innych warunkach, należący z tradycyi, przyzwyczajeni i wyobrażeń do dygnitarzy na modłę mikołajewską, nigdy się wprawdzie zupełnie nie nawrócił do idei Wielopolskiego, ale zmiękł i ustępował, gdzie tylko mógł ustąpić. Tak np. nie sprzeciwiał się wcale, gdy wyszła na stół usilnie przez Wielopolskiego popierana kwestya zniesienia departamentu do spraw polskich w Radzie państwa. Margrabia, korzystając z tego, że ostatnie obrady Rady stanu dobre wrażenie zrobiły w Petersburgu, w jednym ze swych memoryałów, przedstawionych cesarzowi, pisał: „Nakoniec dla zachowania Radzie stanu całego uroku stanowiska, nadanego jej wolą monarszą, czyniąc zeń organ samorządu Królestwa Polskiego, wydaje się koniecznem, ażeby żadna władza, a zwłaszcza żadna gałąź zarządu cesarstwa, nie pośredniczyła między Radą stanu i monarchą. Zniesienie departamentu Rady państwa do spraw polskich będzie najlepszym dowodem uznania dla pożytecznej i sumiennej pracy Rady stanu Królestwa“²⁾. Otóż Błudow temu się nie sprzeciwiał, dzięki wpływowi córki, która pierwsza pospieszyła powinnować Wielopolskiemu „śmierci pewnego departamentu“, jak się wyraziła³⁾.

Niemniej wielkiego przyjaciela znalazł Wielopolski, jakeśmy to już zaznaczyli, w starym kanclerzu Nesselrode.

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 416. ²⁾ *Loc. cit.* II, 259.

³⁾ Ukaz znoszący rzeczony departament, datowany jest 1 (13) stycznia 1862 r. i brzmi jak następuje: „ukazem naszym z d. 14 (26) marca 1861 r. rozkazaliśmy przywrócić Radę stanu Królestwa Polskiego, wkładając na tę Radę rozpatrywanie projektów nowych praw i ustaw, rocznego rozkładu dochodów i wydatków Królestwa, oraz sprawozdań głównie zarządzających rozmaitymi wydziałami rządów w Królestwie. Uznając zatem istnienie w Radzie państwa oddzielnego departamentu do spraw Królestwa Polskiego zbyt bezużytecznym, rozkazujemy znieść ten departament“.

Wprawdzie nie mięszał się on już prawie do niczego i bardzo rzadko był pytany o radę, wszelako gdzie mógł i jak mógł popierał margrabiego, naciskany przez listy synowicy pani Calergis i jej ojca, które zwykle były przedstawiane cesarzowi¹⁾. Baron Meyendorff, mąż wspomnianej powyżej hrabianki Bouol, nie potrzebował wcale, by go żona zachęcała do wspierania Wielopolskiego. Czynił to wszędzie gdzie mógł, a jako członek Rady państwa nie był bez wpływu. Cesarz często zasięgał jego zdania w sprawach polskich, dawał mu do czytania memoryały Wielopolskiego, i jak zobaczymy później, polecał zasiadać w komitetach, zwoływanych dla rozpatrzenia projektów margrabiego. „Jestem gorąco popierany, pisał Wielopolski w jednym ze swych listów do żony²⁾, przez wiele osób wpływowych, między innymi przez zacnego barona Meyendorffa, przez kanclerza Nesselrode, a to dzięki naszej kochanej i dobrej pani Calergis i jej ojcu“. Do grupy tych przyjaciół Wielopolskiego należał także wicekanclerz Górczakow, człowiek wykształcony i wyrobiony po europejsku, zwolennik cywilizacyi zachodniej, liberalny i postępowy; Wałujew, minister spraw wewnętrznych, wielki przyjaciel margrabiego i Polaków; hr. Borch, Sumarokow i wielu innych mniej wybitnych, niemniej przeto znaczących i wpływowych. Przyjmowano wszędzie Wielopolskiego uprzejmie, ciekawie i z wielką grzecznością. „Stosunki moje szerzą się, pisał w początkach stycznia; największą u wszystkich napotykam uprzejmość, w niczem niepodobną do sposobu, w jaki nas Zamek warszawski przez lat trzydzieści traktował“³⁾. Zapraszano go na wszystkie strony do domów rosyjskich i polskich, czasem jednego dnia miał dwa obiady i dwa wieczory proszone.

Ale wszyscy wyżej wymienieni dygnitarze byli to ludzie wysoko wykształceni na wzorach europejskich, admi-

¹⁾ *Lisicki*. Kwartalnik historyczny, 741.

²⁾ Cytowany u *Lisickiego*, Le marquis II, 249.

³⁾ *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 275.

ratorzy cywilizacji zachodniej, wyznawcy idei liberalnych, którzy sądzili, że zastosowanie niektórych urządzeń społecznych europejskich do Rosyi nie przyniosłoby tej ostatniej tak wielkiej szkody, jak się niektórym zdawało, a zastygłe ze starości arterye życia narodowego, utworzone jeszcze w dobie reform Piotra Wielkiego, mogłyby się tą drogą odświeżyć i odmłodzić. Dlatego też nie byli oni przeciwni autonomii polskiej, nawet jak najszerszej; owszem sądzili, że nadanie samorządu Polsce, przyczyni się bardzo wiele do rozwoju reform w Rosyi. Pojawienie się Wielopolskiego w Petersburgu, urok jaki wszędzie rozsiewał, wpływ jaki wywierał, był im bardzo na rękę, więc popierali go szczerze i gorliwie. Niezaprzeczeni patryoci rosyjscy w najlepszem tego słowa znaczeniu, w tem popieraniu zamysłów margrabiego widzieli przysługę, jaką własnej oddawali ojczyźnie, gdyż instytucye liberalne, nadane Polsce, z konieczności musiały wywołać nadanie ich Rosyi.●

Lecz obok nich istniało w tej chwili stronnictwo całkiem przeciwnych mniemań, niechętnie patrzące na Polskę i margrabiego, nie dość silne, by otwarcie do walki wystąpić, ale złe, warczące po kątach i gotowe każdej chwili skorzystać z przyjaznej okoliczności, by to, co robili „Zapadnicy“ (tak zwano stronników reform i cywilizacji zachodniej), wywrócić do góry nogami, zdeptać i zburzyć. W przeciwieństwie do tamtych, twierdzili oni, że Rosya nie potrzebuje nic pożytecznego z Zachodu, że ona ma własną cywilizacyą, odrębną, samoistną, narodową, i że starać się powinna o rozwój tej cywilizacji rodzimej i jakoby wielką przyszłość przed sobą mającej. Zwali się oni „Samobytnnikami“, i jak Zapadnicy głównie koncentrowali się w urzędniczym i kosmopolitycznym Petersburgu, tak Samobytnnicy dąsali się w Moskwie, w starej „białokamiennej“ Moskwie, matce wszej Rosyi, mieście czysto moskiewskiem, błyszczącym dziwną, pstrocizną, orientalno-tatarską, swych kopuł, cerkiewnych i odznaczającym się takąż orientalno-tatarską surowością i oryginalnością pojęć. W dziedzinie polityki Samobytnnicy byli panslawistami, ale na sposób specyficznie

moskiewski. Głosili oni wielką przyszłość światu słowiańskiemu, ale pod warunkiem, że się stanie moskiewskim; domagali się wydobycia ludów słowiańskich z pod jarzma tureckiego i niemieckiego, ale na to tylko, by je poddać pod stokroć gorsze jarzmo rosyjskie. Świat słowiański miał się rozpląnąć w morzu moskiewskim, wszelkie więc próby autonomicznego istnienia Polski, ożywienia jej odrębności narodowej, były to według nich zamachy na najświętszą ideę, zbrodnią wobec świata słowiańskiego. Marzyli oni o zdobyciu Carogrodu, o tem by w Warszawie polskiej i w Pradze czeskiej błyszczały różnokolorowe cebule cerkwi moskiewskich. W konsekwencyi więc ostatecznej domagali się, że nim to nastąpi, nim cały świat słowiański ubierze się w armiak moskiewski i brodę kacapską zapuści, należy w istniejącem już państwie rosyjskiem stworzyć jeden kościół państwowy, prawosławny, jeden język urzędowy, koncentracją administracyjną, zniesienie wszelkich przywilei, wszelkich stanów. Dla nich ideałem była Rosya, w której tylko miały być dwie olbrzymie przeciwwagi: car i chłop, Rosya „mużycka“, jak mówili. Twierdzili głośno, że w tym „muzyku“ leżą olbrzymie siły, że on przechował tradycyą najlepszych urządzeń społecznych i dzięki swym stronnikom: Milutynowi, Czerkaskiemu, Samarynowi i Sołowiewowi, zdołali przeprowadzić w reformie włościańskiej utworzenie gminy bez własności indywidualnej, i dumnie mówili, z krzyczącą nieznanomością dziejów, z zaślepieniem zdumiewającym, że taka „gmina rosyjska przejdzie świat cały“, i wszędzie się zaszczepi. Jednem słowem Rosya, Moskwa muzycka miała ludzkość odrodzić.

Poza temi marzeniami jednak, które wkrótce w praktyce rozwiać się miały, program Samobytników był z wielu względów groźny dla Rosyi i dla Polski. Ich najlepsze pióro, Samaryn, pisał właśnie swe sławne „Kresy“ (Okrainy), i domagał się, by w prowincyach Nadbałtyckich i w Finlandyi zniesiono wszelką autonomią i starano się je zrusyfikować zupełnie. Tak samo odnośnie do Polski; Samobytnicy nie pisali jeszcze tego tysiąca niegodnych i nikezemnych

pamfletów, jakimi w parę lat później poczęli plwać na Polskę, ale już teraz dość głośno domagali się, by w Litwie, na Podolu, Wołyniu i Ukrainie wprowadzono rosyjską gminę Wiejską, by odebrano Polsce, temu „ognisku feudalizmu i łacinizmu“ wszelką odrębność i zlano ją z Rosyą. Nienawidzili oni też szczerze Wielopolskiego i, gdzie mogli i jak mogli, starali mu się szkodzić. Na szczęście nie byli w tej chwili zbyt silni; Milutyn, najtęższa ich głowa, popadł w niełaskę, jako podejrzany o „czerwonosć rewolucyjną“, i błąkał się po Rzymie, przypatrując się bezpośrednio tej starej cywilizacji zachodniej, której jego stronnicy tak się zarzekali, a która mu się poczęła wydawać nie tak znów bardzo godną potępiania w stosunku do mniemanej, rodzimej cywilizacji moskiewskiej¹⁾. Nie mogli więc występować czynnie, nie przestali jednak pokątnie podbudzać różnych głupców, w rodzaju Sezostrysa-Suchozaneta, który przybywszy do Petersburga, nieprzyjazny Wielopolskiemu jeszcze z Warszawy, stał się narzędziem, co prawda nie bardzo skutecznem, w ręku Samobytników. Pewnego dnia odezwał się on do jednej z tych licznych aliantek politycznych margrabiego, których była teraz pełną stolicą nadnewska, że „woli sto razy mieć do czynienia z hrabią Zamoy skim, niż z margrabią Wielopolskim; hrabia przynajmniej wypowiada otwarcie co myśli, gdy tymczasem margrabia ma minę, jakby cię chciał oszukać“²⁾. Rozповідаł on wszędzie z najgłębszym przekonaniem, że Wielopolski dąży wyraźnie do objęcia co najmniej namiestnictwa, a może nawet pierwszego stanowiska w cesarstwie; rozpowiadali za nim inni, że miesza się do spraw rosyjskich, że wspo-

¹⁾ Charakterystycznym jest ustęp z jego listu, kiedy wezwany z Paryża do Petersburga, pisał do żony dnia 1 czerwca 1862 roku, użalając się nad nędzną wegetacją petersburską: „gdybyż tylko klimat był okropny! ale pustka, ubóstwo, brud, brak wszelkiego komfortu“. (*Leroy-Beaulieu: Un homme d'etat russe*). Zapomniał snadź, że wszystkie te braki były nieodłączną cechą rodzimej cywilizacji moskiewskiej.

²⁾ *Lisicki, Le marquis II, 268.*

mina o konieczności nadania Rosyi konstytucyi i wyznacza nawet osoby, które w tem przyszłem państwie konstytucyjnym mają z jego poręki objąć teki ministeryalne¹⁾ Mówiono dalej, że Wielopolski jest po prostu „zamaskowanym zdrajcą“ (*traître déguisé*), że utrzymuje nielegalne stosunki z zagranicą, zwłaszcza z emigracją polską, że wcześniej czy później przyjsć do tego musi, że trzeba będzie zrewidować jego papiery. Wszystkie te pogłoski, zbyt wyraźnie świadczące o źródle ich pochodzenia, nie znajdowały w sferach ludzi rozumnych ucha i margrabia też pisał, że „wstrętu tu się nigdzie nie spotyka ani uczuwa, prócz kliki Suchozaneta, która coraz więcej słabnie“²⁾.

Do osłabienia nie tyle tej kliki, która była tylko bezmyślnem narzędziem w rękach rozumniejszych, ile wogóle stronnictwa Samobytników, przyczynił się bardzo wiele ich odcień skrajny, noszący nazwę Nihilistów. Powstanie tej partyi, która mniej więcej w tej porze święciła swe narodziny, przypisywały sobie nawzajem oba stronnictwa, a żadne z nich do ojcostwa tego bękarciego płodu przyznać się nie chciało, wszelako wiele danych za tem przemawia, że wydali go Samobytnicy. Teorya ich, by w Rosyi był tylko car i muzyk, a wszystko inne winno być starte z oblicza ziemi rosyjskiej, rozwijana konsekwentnie doprowadzić musiała do zasady nihilistycznej, że wszystko jest złem w tej rzekomej cywilizacji rosyjskiej, wszystko więc zniszczyć należy, znihilować, a na tak przygotowanej karcie pisać nowe dzieje i budować nowe społeczeństwo. Objawy czynnej akcji nihilistycznej, dające znać teraz o sobie, czy to w wydawnictwie tajnego pisma, czy w zaburzeniach uniwersyteckich, czy nakoniec w literaturze, co doprowadziło do skazania do kopalń na lat sześć właśnie w tych czasach jednego z pisarzy nihilizmu, Michajłowa, wywołały w rządzie niechęć ku Samobytnikom, a tem samem popierały pośrednio działalność Wielopol-

¹⁾ *N. Berg*. Zapiski II, 267.

²⁾ *Lisicki*, Aleksander Wielopolski I, 275.

skiego. Niemniej przeto nie dali oni za wygraną i upartą walkę tocząc ciągle z Zapadnikami, powodowali te liczne i nagłe zmiany, jakie zachodziły co do sprawy polskiej w słabej, ulegającej wpływowi zewnętrznym, głowie cesarza Aleksandra II-go. W tych, bezwątpienia strasznych, starciach dwóch prądów, których widownią była wówczas Rosya, a głównie dwór cesarski, zawdzięczać tylko Wielopolskiemu należy i jego niezwykłemu rozumowi, że nie-szczęśliwa Polska już wtedy stratowaną i zdeptaną nie została ¹⁾.

W tej walce długiej, upartej, zaciętej, której rezultat ostateczny wypadł na niekorzyść Zapadników i której łupem stała się Polska, brały także udział, w tej chwili przynajmniej wpływy zagraniczne, udział skryty, tajny, ostrożny, ale niemniej przeto silny. Zjawienie się Wielopolskiego w Petersburgu, jego znaczenie tam rosnące z każdą chwilą, jego pewność siebie, urok jaki roztaczał, zagadkowe milczenie, sytuacja wreszcie na wskrós oryginalna i bezprzykładna w dziejach Rosyi, powszechną na siebie uwagę zwracała całego korpusu dyplomatycznego. „Z niejednego względu szczególne jest położenie moje, pisał do żony ²⁾; ciało dyplomatyczne bardzo się mną zajmuje, zdania i ruchy pilnie śledzi; łamię sobie głowę, czy jestem za Austryją, czy za Francją; nie wiem, co im tak na tem zależy“. Końcowa uwaga jest zbyt skromności, bo Wielopolski doskonale pojmował swą sytuacją i rozumiał dobrze, iż różnym dyplomatom wiele zależało na tem, by się dowiedzieć, ku któremu z rządów obcych okazuje on najwięcej

¹⁾ W broszurze „Ruch polski z 1861 r.“ wydanej pod natchnieniem Wielopolskiego, na str. 70 (edycja druga) czytamy: „Była chwila straszego starcia się stronnictw w Petersburgu, z których każde inaczej pojmowało interesa Polski, inaczej pojmowało jej stosunek do Cesarstwa i stanowisko w rodzinie ludów europejskich. Wszędzie jest straszna i niebezpieczna abdykacja starych systemów; tak samo ustępował w Cesarstwie zacięty i uporny system rządów militarynych“.

²⁾ *Łisicki*, loc. cit. I, 275.

sympaty. Ustalało się bowiem coraz więcej to przekonanie, niezaprzeczenie fałszywe, że margrabia ma wielki wpływ na cesarza, a jego milczenie i półsłówka kazały przypuszczać, że nawet w polityce zewnętrznej Rosji odegra rolę pierwszorzędą. W gruncie jednak rzeczy tak nie było. Wielopolski wziął sobie za zasadę, może w danym razie błędną, ażeby w swych stosunkach obecnych z ciałem dyplomacycznym i światem urzędowym zupełnie nie dotykać się kwestyi polityki zewnętrznej¹⁾. Mimo to jednak starał się o zawiązanie znajomości z ówczesnymi reprezentantami dworów europejskich w Petersburgu, i z niektórymi z nich udało mu się wejść w bliższą zażyłość; z innymi stosunki te były chłodne do samego końca. Do rzędu tych ostatnich należał ambasador austriacki, hrabia Fryderyk Thun, wielki pan z rodu i stanowiska, osobiście uznający niezwykle przymioty umysłowe margrabiego, ale jako Austriak z krwi i ducha, bardzo mu niechętny ze względów politycznych. Przedewszystkiem bowiem hr. Thun należał do rzędu tych dyplomatów starej szkoły meternichowskiej, którzy jedyne zbawienie nie tylko Austrii, ale całej Europy widzieli w świętem przymierzu trzech mocarstw rozbiorowych, a zatem w ścisłym związku Austrii z Rosją. Pogodzenie się zaś tej ostatniej z Polską, układ jakiś wzajemny dwóch narodowości, uważał za największe nieszczęście dla Austrii i stanowczo mu był przeciwnym. Ponieważ zaś Wielopolski całą swą kombinacją polityczną opierał na tej podstawie, przytem znany był ze swego wrogiego usposobienia dla Austrii, więc też hr. Thun bardzo krzywo a zarazem bardzo bacznie przypatrywał się wszystkim krokom margrabiego w Petersburgu. W tym względzie zgadzał się on zupełnie z polityką gabinetu Rechberga, austriackiego ministra spraw zagranicznych, odnośnie do ostatnich wypadków w Polsce. Gabinet ten bowiem, gdy wybuchły pierwsze rozruchy w Warszawie i gdy na te rozruchy inne gabinety patrzyły jak na wy-

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 268.

padki przelotne, nie mające głębszego znaczenia i łatwe do uspokojenia ¹⁾, wystosował do niektórych swych posłów depezę poufną, w której kładł nacisk na wielkie znaczenie i na wielką doniosłość manifestacji polskich. Uważał je jako posiadające „wysoką wartość moralną“, i mogące mieć „nieobliczone następstwa“ dla ogólnej polityki europejskiej. Oczywiście p. Rechbergowi nie szło tu wcale o Polskę, ale wobec „porozumienia się serdecznego“ Francji z Rosyą, wobec nierozstrzygniętej jeszcze zupełnie kwestyi włoskiej, nader miło było gabinetowi wiedeńskiemu, że Polska niepokoiła Rosyą i nie pozwalała jej na akcyę gdzieindziej, oraz że podnoszące się widmo tejże Polski, budząc stare sympatyje francuskie, mogło przyczynić się do zerwania owego „serdecznego porozumienia“. Dlatego też wynosząc „wysoką wartość moralną“ wypadków warszawskich, p. Rechberg, współcześnie był przeciwny wszelkiemu załatwieniu pokojowemu kwestyi polskiej, i jak się zdaje, nie był bez wpływu na ogłoszenie stanu wojennego przez Lamberta w Warszawie ²⁾, gdyż surowość tego stanu, wykonywana ze znaną brutalnością przez satrapów rosyjskich, mogła tylko obie strony podrażnić jeszcze więcej. Dlatego też wreszcie gabinet wiedeński, a za nim jego reprezetant w Petersburgu, hr. Thun, z wielką niechęcią patrzył na działalność Wielopolskiego w stolicy nad Newą, i trzymał się odeń zdaleka, a może gdzie mógł i jak mógł, to mu szkodził.

Posłem pruskim w tej porze, był od dwóch blisko lat, nie kto inny, tylko hr. von Bismarck, który właśnie rozpoczynał swą wielką karierę polityczną, a do której pierwszym stopniem miało być ciało zdeptanej Polski. Wzorem swej ojczyzny urósł on i utuczył się na historyczną wielkość krwią polską. Nikt go oczywiście nie mógł posądzać o przyjaźń dla nas, on też nie okazywał jej wcale, choć podobno uznawał wysokie zdolności Wielopolskiego,

¹⁾ *J. Klaczko. Études de diplomatie contemporaine, 36.*

²⁾ *Lisicki, loc. cit. II, 269.*

a nawet później miał się dziwić, że Polacy nie potrafili należycie ocenić tego statysty¹⁾. Teraz jednak, zgodnie ze swym rządem, który, jak wiemy, oddawna zachęcał Rosyą do „surowości zbawiennej“ względem jej poddanych polskich, tu i owdzie głośno i niechętnie, z cechującą go zawsze szorstką otwartością, która uchodziła u niektórych za przebiegłość, odzywał się o Polsce i o wypadkach warszawskich. Okazywał on przytem doskonałą, zdumiewającą dygnitarzy rosyjskich, znajomość ostatnich, porozbiorowych dziejów Polski, cytował daty i szczegóły z taką pewnością, jak gdyby nigdy niczem innym się nie zajmował, tylko studjami nad historią naszą²⁾. Twierdził bez ogródki, że przywrócenie niepodległości polskiej byłoby „najstraszliwszym błędem politycznym“ (*ein schrecklicher politischer Fehler*), i że każdy rosyjski mąż stanu, który choć cokolwiek dba o swą ojczyznę, musi przeciw wszelkiej samoistności tego kraju występować. „Gdyby nawet, mówił, ta niepodległość ograniczyła się tylko na samo Królestwo, ażeby postawić mur między Rosyą i Europą, jak to powiadają Polacy, to któż zaręczy, że oni tem się zadowolnią i nie będą sięgali po Poznań, Galicyą, Litwę, aż po Kijów? Samoistność Polski jest to pozbawienie Europy na długi czas pokoju. Tam, gdzie szlachta i księża rządzą, i gdzie każdy chce być pierwszym skrzypkiem w orkiestrze i myśli o postawieniu się na czele władzy, tam nie może być mowy o samoistności. Rosya musi Polskę tak samo zrusyfikować, jak Prusy zniemczyły Poznańskie“. Słowa te, wypowiedane głośno i bez obsłonek, miały przynajmniej tę zaletę, że były szczere. Margrabia też, o ile się zdaje, pomimo całej swej admiracji dla niemieczyzny w ogólności, a w szczególności dla Prus, które uważał za państwo reprezentujące „prawdziwą cywilizacyą“³⁾, trzymał się zdala od Bismarcka,

1) Loc. cit.

2) W. Aleksiejew, Erinnerungen des ehemaligen, russischen Lehrers des Fürsten O. v. Bismarck, drukowane w „Petersburger Ztg“ z roku 1894.

3) Lisicki, Le marquis II, 269.

choć w tej porze właśnie dwa gabinety: petersburski i berliński prowadziły co do Wielopolskiego między sobą korespondencją¹⁾, której treść jednak do dnia dzisiejszego pozostała tajemnicą. Zdaje się również, że posła pruskiego gniewały nieco marzenia panny Błudow o przyszłości rasy słowiańskiej, do której, jako prawdziwy Niemiec i Prusak, żywił głęboką pogardę.

Stanowisko ambasadora francuskiego zajmował wówczas pan Fournier, z którym Wielopolski był w wielkiej przyjaźni, jakkolwiek rząd francuski, jak wiemy, na kwestyą polską w tej chwili zapatrywał się dość kwaśno i wypadki warszawskie potępiał. Od czasu słynnej noty kwietniowej „Monitora“, radził on Polakom, by zachowywali się spokojnie i wszystkiego oczekiwali od „wspaniałomyślności cesarza Aleksandra“. Mimo to jednak opinia publiczna we Francji tak wyraźnie i tak głośno oświadczała się za Polską, że rząd Napoleona nie mógł się zachowywać względem niej zupełnie obojętnie. Zwłaszcza prasa francuska gorliwie, nawet namiętnie stawała w obronie Polski, po większej części dzięki zabiegom emigracyi, a cesarzowa Eugenia od czasu do czasu, z lekkością światowej i wielkiej damy, kilka słów, bez głębszego znaczenia zresztą, wygłaszała za Polską do posła rosyjskiego Kisielewa; księżę Napoleon zaś wyrzekał na „komedye katolickie“, których snadź dopatrywał się w ruchu polskim. Na balu zato w Tujleryach, w Nowy Rok 1862, cesarz Napoleon III zbliżył się do Kisielewa i wyraził nadzieję, że „wszystko, co do koła się dzieje, w niczem nie naruszy jego dobrych stosunków z cesarzem rosyjskim“²⁾. Wobec tego, postawa p. Fournier w Petersburgu względem Wielopolskiego musiała być bardzo ostrożna i baczna, wszelako zapoznali się oni i zbliżyli do siebie. Wkrótce zbliżenie to przybrało formy

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Z dziennika Kisielewa z dnia 2 stycznia 1862 (*Tatyszczew*. Russkaja diplomatia w polskom woprosie. „Russkij Wiestnik“ z 1886 roku).

serdecznej przyjaźni, margrabia często bywał u p. Fournier, gdzie pociągała go jego córeczka, dziecko jeszcze, ale przypominająca mu ukochanego wnuka. Ze swej strony ambasador francuski jak mógł popierał go, dawał rady i w dniach zwątpienia pocieszał¹⁾.

Śmielej zato i otwarciej występował ambasador angielski, lord Napier; okazywał on wielką admiracją dla margrabiego; głośno i gorąco trzymał jego stronę u swego rządu; do wybitniejszych członków emigracji polskiej, zwłaszcza do ks. Czartoryskich pisywał listy i wzywał ich o poparcie Wielopolskiego, „mego szlachetnego przyjaciela (mówił), męża znakomitego i uczonego, który pod pewnym względem przypomina mi dawnych kanclerzy francuskich“²⁾. Pomimo jednak osobistego uwielbienia dla Wielopolskiego, nie ulega wątpliwości, że polityka ta nie miała w sobie szczerości, że była tylko grą w celu zerwania „serdecznego porozumienia“ Francyi z Rosyą. Już w rok potem ten lord Napier „wziął sobie za zasadę nigdy nie mówić o Polsce“ i odzywał się, że go „Polska nudzi“³⁾.

Takiem w ogólnych zarysach było położenie margrabiego w Petersburgu, taką kanwa, na której miał on rysować gmach odbudowującej się Polski. Wieści z Warszawy wcale nie były pocieszające; kwestya zatargu z duchowieństwem, pomimo nominacyi arcybiskupa Felińskiego i pomimo otwarcia kościołów, nie zbliżała się do rozwiązania. Stosunki były mocno podrażnione i Wielopolski widząc to wszystko, w dwa dni po rekonyliacyi dwóch świątyń warszawskich, t. j. d. 15 lutego, w tej samej nieomal chwili, w której nowy arcybiskup solenny czynił ingres do katedry, wystąpił do cesarza z nowym memoriałem, w którym wyłożył swój program, swoje zapatrywania się na sytuacją i potrzeby kraju, oraz na stanowisko ks. Felińskiego, jeżeli ono niema się stać „straconym posterunkiem“.

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 272.

²⁾ *J. Klaczko*, Études, 46.

³⁾ *Loc. cit.* 36.

Lękając się, by „opłakane zajścia z duchowieństwem“ nie powtórzyły się, domagał się w memoryale, aby stan obłączenia został ograniczony do właściwego zakresu, „co znowu nie da się inaczej osiągnąć, jak ustanawiając regularny zarząd cywilny, zdolny miarkować i kierować czynnościami wszystkich gałęzi służby i wszystkie interesa zarówno ochraniać“. Stan wojenny, według Wielopolskiego, jeśli ma racją bytu w większych miastach Królestwa, to całkiem nie jest potrzebny na prowincyi, gdzie „jeżeli nie jest przyczyną, to pretekstem do nieporządków bez końca“, niema więc żadnych powodów do utrzymania go tam nadal. Twierdził, niezupełnie zresztą zgodnie z prawdą, że „w okolicach nieco oddalonych od Warszawy, umysły uspakajają się widocznie, trzeźwieją i poważnieją. Gdy prawa o oczyszczaniu i wychowaniu publicznem, otrzymawszy sankcyę monarchy, energicznie w życie wprowadzone zostaną, przed duchowieństwem wiejskiem i właścicielami ziemskimi otwory się źródło zajęcia i pracy dla kraju, a sumienne pełnienie obowiązków stąd płynących przyczyni się do zaniechania nieokreślonych marzeń, jakim w ostatnich czasach młodzież szczególnie oddawała się przez bezczynność“. Zato w stolicy i w większych miastach Królestwa (Radomiu, Kielcach, Płocku, Lublinie, Suwałkach i Kaliszu), stan wojenny utrzymany być winien, „aż do czasu przedsięwzięcia środków prawodawczych, dostatecznie zabezpieczających utrzymanie porządku publicznego“, wszelako domagał się, i słusznie, by wyjątkowe położenie ograniczono, określono i uregulowano, przedewszystkiem by nie karano za czyny popełnione przed jego ogłoszeniem, jak to się praktykowało w Warszawie; chciał, by przyspieszono bieg sprawiedliwości, „dzisiaj nadzwyczaj opieszale idącej“; by rozciągnięto ścisły nadzór nad policją tajną, by wreszcie skupiono śledztwa w jednej na cały kraj komisyi, w Warszawie zasiadającej. Stawiając takie postulaty, współcześnie memoryał poddał surowej i śmiałej krytyce działalność stanu wojennego: „rządy wojskowe się stępiły, pisze, ludność nawykła stawiać im czoło, odezwy rewolucyjne krążą liczniej

niż przedtem, agitacya szerzy się i coraz większy wpływ w Warszawie zdobywa. Postępowanie władz drażniące i niezręczne oswaja ludność z myślą zamknięcia w cytadeli lub deportacyi, a co gorzej, oszczędzając winowajców, dotyka niewinnych. Bez śledztw wstecznych komisye wojskowe nie miałyby zajęcia; ludzie umiarkowani więzieni są za czyny rządowi dawno wiadome i nawet przedsięwzięte z wiedzą władzy dla uspokojenia umysłów. Spisku nie wykryto, znani agitatorowie swobodnie prowadzą swoje rzemiosło, tajeme pisma wychodzą jak najregularniej, komitety rewolucyjne wydają rozkazy; tylko przed ogłoszeniem stanu wojennego rzeczy odbywały się jawnie, za przyczyną ludzi wszystkim znajomych, których ująć zaniedbano, teraz zaś Warszawa przyzwyczaiła się chować tajemnicę i tajna policya wojskowa miasto konspirować nauczyła. Myśl zbrojnego powstania jest ogólnie potępianą, lecz doktryna biernego oporu, powstała w łonie Towarzystwa rolniczego, doktryna nader wygodna, dręczy umysły. Ludzie polityczni ze szkoły Towarzystwa rolniczego bezwiednie złe niezmiernie wyrządzają krajowi, zaniedbując czynić dobrze w miarę możliwości, co przyszyłoby im łatwo, gdyby tylko zdobyli się na odwagę potępić publicznie to, co potępiają w duchu. Gdziekolwiek rzucić okiem w Warszawie, smutek ogarnia na widok postępów złego, postępów, których wina i odpowiedzialność spada na fałszywe wykonanie stanu wojennego. Gangrena rewolucyjna, z powierzchni surowością usunięta, toczy wnętrze ciała społecznego“.

Lekarstwo na to wszystko Wielopolski widział jedynie w rozdziale władzy cywilnej od wojskowej; myśl, którą dawno już podnosił i do której uparcie wracał. Utrzymał, że chwila potemu jest jak najlepsza. Po raz to pierwszy proponuje, ażeby główne dowództwo nad wojskiem w Królestwie powierzyć, „jak za czasów W. ks. Konstantego, księciu krwi cesarskiej“, władzę zaś cywilną naczelnikowi rządu cywilnego, którym winien być Polak, posiadający zupełne zaufanie monarchy“. Czyż myśl ta, oddania berła namiestnikowskiego w Warszawie któremu z wielkich

książąt, powstała wyłącznie w głowie Wielopolskiego, nie wiemy. To pewna, że w salonach W. ks. Heleny myśl ta była rozbieraną i gorąco popieraną. Sama W. księżna chciała, by stanowisko to objął jej zięć, książę Meklemburski, który nie miał co robić naprawdę w Petersburgu, nudził się w nieczynności, gdyż stanowisko naczelnika zakładów wychowawczych żeńskich niewiele mu dawało do roboty, a nadewszystko było nic nie znaczącem i niewpływowem¹⁾. Bądźcobądź, czyja była pierwotnie ta myśl, dość, że ona w tej porze już (w połowie lutego) istniała i znalazła swój wyraz w memoryale, o którym mówimy.

W memoryale tym Wielopolski domaga się dalszego rozwoju zamierzonych reform, ustanowienia Sądu Głównego, zatwierdzenia projektów o wychowaniu publicznem, oczyszczowaniu włościan i równouprawnieniu żydów. „W Królestwie Polskiem — pisał — monarcha zbierał dotąd same trudności i zawody, będące następstwem i wynikiem dawnego, zbyt długo utrzymywanego, zgubnego systemu. Chcąc kraj wynarodowić, demoralizowano na wszelkie sposoby młode pokolenia, i ostatnie wypadki są naturalną reakcją, wywołaną długoletnią niemocą. Mimo to historia mało przedstawia przykładów monarchy, któremuby Opatrzność udzieliła do rozporządzenia tak niezmierny skarb dobrodziejstw społecznych, zdolnych ukoić i uleczyć zastarzałe cierpienia“.

Co się tyczy stanowiska duchowieństwa i ks. Felińskiego w Warszawie, to memoryał zapowiada, że nowy arcybiskup będzie narażony na rozmaite przykrości tak ze strony ludności, jak i władz krajowych. „Władze obecne dowiodły, iż nie mają ani inteligencji, ani taktu potrzebnego, aby skutecznie wesprzyć arcybiskupa w dziele uspo-

¹⁾ Wieść o tem, że ks. Meklemburski ma być namiestnikiem w Warszawie w tej porze tak się rozszerzyła, że Pawliszczew w swych tygodniowych raportach, składanych cesarzowi, donosi o tem pod d. 26 lutego (Siedmicy I, 56), jako o pogłosce, obiegającej po Warszawie.

kojenia umysłów“, i widzi jedyną radę w przybyciu nuncjusza papieskiego do kraju. Niemniej radzi, aby list pasterski ks. Felińskiego, „tutaj przygotowany i aprobowany od N. Pana“, nie był ogłaszany teraz; „byłby on bowiem stosownym i dobrym w normalnym stanie rzeczy w Polsce; zasady i uczucia w nim wyrażone nie są jednak w harmonii z położeniem wyjątkowem kraju“¹⁾. Rada była dobra, i jak wiemy, ks. Feliński do takiej samej doszedł w Warszawie konkluzyi, po przypatrzeniu się ludziom i rzeczom na gruncie. Niestety! w tym czasie właśnie zaszły szczególnego rodzaju wypadki, które tę dobrą radę Wielopolskiego i konkluzyą samego ks. Felińskiego w niwecz obróciły. Ulegając warunkom położenia rzeczy i radom p. Andrzeja Zamoyskiego, któremu, jak wiemy, nadzwyczajnie się nie podobało oskarżenie ruchu polskiego o socyalizm, ks. Feliński postanowił w liście swoim pierwotnym liczne porobić zmiany. Tak zmieniony dokument przesłał, jak się zdaje, do Petersburga do zatwierdzenia cesarzowi.

Tymczasem, nim nowa ta redakcja doszła do Petersburga, nim zyskała zatwierdzenie, pierwotny list ks. Felińskiego, taki, jaki był zredagował w stolicy caratu, ukazał się najniespodziewaniej w d. 19 lutego w dzienniku francuskim „Le Monde“, organie stronnictwa klerykalnego. Zrobiło to nadzwyczajną sensacyą tak w Petersburgu, jak i w Warszawie; jakim sposobem, pytano się, i dlaczego dokument ten wprzód ukazał się za granicą, nim został na miejscu ogłoszony? Cesarz, słusznie tem rozgniewany, nakazał ks. Felińskiemu w d. 22 lutego za pośrednictwem ks. Górczakowa, ażeby „natychmiast ogłosił list pasterski w formie, jaką ostatecznie przedstawił do zatwierdzenia“²⁾,

¹⁾ Memoryał powyższy czytać można w całości u *Lisickiego*, Al. Wielopolski, I, 301—315.

²⁾ Telegram ten, nie znajdujący się w zbiorze depeesz, wydrukowanym przez „Russką Starinę“, brzmi w oryginale jak następuje: „Empereur m'ordonne d'informer V6tre Excellence, que Sa Majest6 d6sire la publication imm6diate du mandement tel, que vous l'avez soumis d6finitivement 6 n6tre Auguste Maitre“.

i uwiadomił o tej swej decyzji Lüdersa¹⁾. W trzy dni potem telegrafuje do tegoż Lüdersa w tej sprawie: „chcę wiedzieć, jakim sposobem list pasterski Felińskiego, nieogłoszony w Warszawie, mógł się ukazać w gazetach zagranicznych?²⁾ Lüders naturalnie zapytał o to ks. Felińskiego, który, o niczem nie wiedząc, bardzo był zasmucony całą tą sprawą³⁾, i potrafił przekonać namiestnika, że ukazanie się listu w gazecie „Monde“ wcale nie jest jego winą i że stać się to musiało jeszcze w Petersburgu. Tak też Lüders odpowiedział tegoż dnia cesarzowi, że „list przesłano za granicę prawdopodobnie z Petersburga. Tu, o ile wiem, nikt oprócz Felińskiego nie miał go w ręku“⁴⁾.

Jakoż w rzeczy samej nieszczęśliwy ten list, który w polskim tekście nigdy nie miał oglądać światła dziennego, dostał się za granicę z Petersburga. Ks. Feliński, gotując się do wyjazdu do Warszawy, zredagował list po polsku, a ponieważ trzeba go było przedstawić cesarzowi, który po polsku bardzo niewiele umiał, a może udawał, że nie umie, więc należało dokument ów przetłumaczyć na język francuski. Przekładu tego dokonał ks. Tadeusz Łubiński i poufnie zakomunikował go kilku osobom w Petersburgu, a między innymi niejakiej pani jenerałowej Southoff, katoliczce, znajomej ks. Felińskiego i, jak większość pań petersburskich, wielkiej jego admiratorce, urodzonej z księżniczki Broglie. Pani Southoff w najlepszej wierze, z lekkomyślnością prawdziwie kobiecą, przesłała ten dokument do Francji swemu kuzynowi, który nie miał nic pilniejszego

¹⁾ Cesarz pod tą samą datą (10 (22) lutego) donosi depeszą Lüdersowi co następuje: „Książ Gorczakow soobszczajet Felinskomu moju woliu na szczet publikacji jewo postanienia w tom widie, kak ono było skonczatielno mnie predstavlieno“ („Russ. Starina“ z 1883 roku p. 642).

²⁾ W oryginale telegram brzmi: „żelaju znat', kakim obrazom pastyrskoje poslanie Felinskawo, niepublikowannoje w Warszawie, mogło pojavitsia w zagranicznych gazietach?“ (Loc. cit.).

³⁾ S. Prawdżicki, Wspomnienie, 92.

⁴⁾ Depesza z dnia 12 (25) lutego (loc. cit.).

jak zanieść go do redakcyi „Monde'a“, nie domyślając się, że popełnia największą niedyskrecyą i stanowisko ks. Felińskiego naraża wobec rządu ¹⁾.

Cała ta sytuacya fałszywa, wypadki warszawskie, obelgi, jakimi go obrzucano ze strony Czerwieńców, zbyteczna i kompromitująca opieka władz warszawskich, nadużycia, jakich te władze w oczach jego nieomal się dopuszczały, rozdrażniły nadzwyczajnie ks. Felińskiego. W tem rozdrażnieniu, ogarniającem rozegzaltowaną duszę dawnego powstańca z pod Miłosławia, wprzód jeszcze nim sprawa niedyskretnego postępku „Monde'a“ weszła na drogę urzędową, ks. Feliński wystosował w d. 21 lutego długie pismo do ks. Gorczakowa, korzystając z jego pozwolenia, by we wszelkich wypadkach odnosił się doń bezpośrednio. Oczywiście niewątpliwą było rzeczą, że przyszły kanclerz państwa listy takie komunikować będzie cesarzowi, ale o to właśnie szło. Arcybiskup w piśmie tem przedewszystkiem zaznaczył, że położenie rzeczy jest całkiem inne w Warszawie, niż mu to przedstawiono w Petersburgu, że położenie to jest nie do wytrzymania. Kilka tysięcy obywateli wysłano bez sądu, tak zwaną drogą administracyjną do Rosyi, cytadela przepelniona więźniami, których liczba wzrasta codziennie, „gdyż aresztują za lada bagatelę, za ubranie żałobne, za orła białego lub krzyż otoczony cierniem. Wystarcza to, by dostać się do kazamatów, gdzie, wedle wyrażenia się samego generał-gubernatora Kryżanowskiego, słoma na posłaniu biednych więźniów rusza się od robactwa“. „Twardy charakter i żołnierski obyczaj generała Lüdersa zaostrza jeszcze zwykłą surowość stanu oblężenia do tego stopnia, że dość wyjść wieczorem na ulicę bez latarki, by ucuć brutalną rękę stróża porządku na ramieniu, wszelki zaś opór po kozacku jest strofowany ²⁾.

¹⁾ Rękopism bezimienny. List ten we francuskim przekładzie, tak jak się ukazał w „Monde“, podajemy w przedruku z tej gazety, w zbiorze dokumentów pod Nr. 5.

²⁾ Loc. cit.

W liście tym czuć tę palącą gorączkę bruku warszawskiego, to rozdrażnienie niczem nieukojone, jakie ogarniało nawet najtrzeźwiejsze głowy, najspokojniejszych i najchłodniejszych ludzi ówczesnych. To też wydawał on się dość dziwnym Gorczakowowi i z dobrotliwą, nieco ironiczną pobłażliwością, właściwą jego charakterowi, odpowiedział pod datą 24 lutego. „Doznałeś Wasza Ekscelencya przykrych wrażeń w Warszawie — pisał — czuć to w Twym liście. Do pewnego stopnia mogłem się tego spodziewać, gdyż zbyt wielu osobom zależy na tem, by Ci przedstawiać położenie kraju w ciemnych kolorach“. Z wyższością filozofa, który umie oceniać i usprawiedliwiać uniesienia ludzkie, z tą mądrością pobłażliwą, jaką lubiał niekiedy, naśladowując dyplomatów starej szkoły, przybierać przyszły kanclerz rosyjski, twierdzi on, że te wrażenia chwilowe rozprószą się wkrótce, gdy ks. Feliński nie będzie przywiązywał wagi do zewnętrznej strony rzeczy, ale pamiętać zechce o wspomnieniach, jakie wywiózł z Petersburga. Sądzi on, Gorczakow, zresztą, że w tych wszystkich rekrminacyach jest wiele przesady. „Podstawą zaś wszystkiego, od czego zależy dobro i przyszłość Królestwa Polskiego, są wspaniałomyślne uczucia serca cesarskiego, jego zamiary dobroczynne względem poddanych polskich, jakkolwiek na wdzięczność z ich strony dość długo już czeka, i stałe postanowienie naszego monarchy utrzymania i rozwijania tego, co jest prawdziwym interesem kraju“.

W tym tonie lekkiej i delikatnej lekcji, wygłaszanej przez chłodnego i doświadczonego męża gwoli uspokojenia rozgorączkowanej fantazy arcybiskupa warszawskiego, trzymany jest cały list. Ku końcowi jednak robi następujące, niepozabawione głębszego moralnego znaczenia, uwagi: „piękna rola przypadła w udziale Waszej Ekscelencyi. Znaczenie wysokie Waszych obowiązków religijnych nadaje Wam wielką przewagę nad Waszymi pomocnikami; zaufanie cesarza, czego mieliście wyraźne dowody, daje Wam możność działania dodatniego na szeroką skalę. Mam niewzruszoną nadzieję, że pozostaniecie wierni temu posłan-

nictwu, że zdołacie się oprzeć usiłowaniom tych, którzy chcą zrobić z Was narzędzie polityczne swych namiętności i poniżyć Was, korzystając ze szlachetnych uczuć serca ludzkiego. Zadanie Wasze jest trudne, przyznaję. Wszyscy bacznie patrzą na każdy Wasz krok; ale na ścieżce dobra niema zadań niewykonalnych. Bóg nigdy sił nie odmówił tym, którzy puszczają się na tę drogę“. „Nie wątpię, pisze dalej, że zwierzchnie władze Królestwa okazują Wam wszelkie względy i uszanowanie należne wysokiemu stanowisku, jakie zajmujecie i Waszemu osobistemu charakterowi. Mamy tego już dowody w przyjęciu niektórych Waszych żądań co do zmniejszenia kar osobom duchownym, a to co pisze generał Lüders o wrażeniu, jakie wyniósł w pierwszym swym stosunku z Wami, wydaje mi się jak najlepszą przepowiednią“. „Nasze stosunki ze Stolicą Apostolską są ciągle wyborne. Ojciec św. ciągle okazuje wiele wdzięczności za przyjazne usposobie N. Pana dla kościoła katolickiego. Wakujące katedry biskupie będą wkrótce obsadzone. Zajęci jesteśmy wyborem kandydatów, którzy będą konfidencyonalnie, jak to jest w zwyczaju, przedstawieni pod uprzednią aprobatę Papieża. Opóźnienie w naznaczeniu prałata, który zrazu będzie miał misją tymczasową przy naszym dworze, a która później zmienioną zostanie na stałą nuczaturę, pochodzi z usiłowań Ojca św., by wybór był korzystny i miły obu stronom“¹⁾.

List ten wybornie maluje stosunek przyjazny, jaki zachodził między obu dygnitarzami i daje zarazem miarę usposobienia, jakie względem Polski panowało na dworze rosyjskim. Gdy na skutek owej nieszczęśliwej historii z opublikowaniem listu pasterskiego w gazecie francuskiej, ks. Gorczakow przysłał rozkaz cesarski arcybiskupowi, by natychmiast ogłosił zaaprobowany przez cesarza dokument, ks. Feliński na to się nie zgodził i dnia 24 lutego przesłał do wicekanclerza nowe pismo, w którym usprawiedliwił

¹⁾ List ten jak i następny w całej rozciągłości i w tekście oryginalnym pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 6.

swą decyzją i domagał się, by mu dozwolono ogłosić list ze zmianami, jakie ludzie poważni w kraju mu zaproponowali; prosił, by mógł opublikować w dziennikach swą mowę, wygłoszoną u św. Jana w czasie uroczystego ingresu, na co Lüders zgodzić się nie chciał, oraz by z powodu zbliżającego się postu mógł wydać nowy list pasterski. Ks. Gorczakow wszystkie te prośby przedstawił cesarzowi, który zostawił arcybiskupowi zupełną swobodę ogłoszenia lub nie pierwotnego listu pasterskiego, zaakceptowanego w Petersburgu, nie zgodził się wszelako na publikacją tego listu w zmienionej formie, „gdyż dałoby to powody do przypuszczeń niezgodnych z prawdą“. Co się tyczy mowy, wypowiedzianej w czasie ingresu, cesarz nie mógł dopatrzyć się żadnego pożytku z jej ogłoszenia, jednakże, „jeżeli Wasza Ekscelencya (pisał Gorczakow) przywiązuje do tego wagę, cesarz niema nic przeciw temu, by mowa ta była wydrukowaną, tylko J. C. Mość sądzi, że byłoby odpowiedniejszem dla Waszego dostojenstwa, by jej nie poprzedzał żaden ustęp“. Co do listu pasterskiego z powodu postu, cesarz zgadzał się na jego wydanie, zastrzegał tylko sobie, by treść jego zamykała się wyłącznie w sferze interesów kościelnych. Wreszcie jeszcze raz ks. Gorczakow powracał do uwag, wypowiedzianych w pierwszym liście. „Starania, pisał, o utrzymanie karności wśród duchowieństwa i poszanowania przepisów kościelnych, zbyt często gwałconych w Warszawie w czasach ostatnich, przedstawia szerokie pole działania dla Waszego sumienia i dla Waszej inteligencji. N. Pan wie, że pan, Ekscelencyo, zdajesz sobie sprawę z całej wielkości swego zdania. J. C. Mość żywi ufność, że przez czystość Waszych zamiarów i podnosłość Waszych uczuć utrzymasz się na wysokości tego zadania i że potrafisz je wykonać, pracując nad oświeceniem i kierunkiem opinii, nad powstrzymaniem uniesień i nad przywróceniem wśród ogółu spokoju i ducha zgody, wygnanego przez namiętności polityczne. Na tej drodze Wasza Ekscelencya może liczyć na najserdeczniejszą pomoc rządu“.

Taki miała przebieg sprawa listu pasterskiego, który ostatecznie w kraju ogłoszony nie został, gdyż ks. Feliński, mając przez cesarza zostawionem do swej woli podanie do druku pierwotnego tekstu, nie chciał tego uczynić, a tekstu zmienionego znowu w Petersburgu nie życzono sobie wcale. Tym więc sposobem nowy arcybiskup znalazłby się w tym, rzadkim niezmiernie w dziejach kościelnych, wypadku, że wstępując na katedrę biskupią, nie uwiadomił o tem wcale swych owieczek. Poradził więc sobie inaczej. Zmodyfikowany list pasterski w odbitkach litograficznych rozesał wszystkim proboszczom archidiecezyi¹⁾. To się oczywiście przed okiem rządu ukryć nie mogło i stosunek wzajemny między władzą świecką i arcybiskupem stawał się coraz drażliwszy. Wogólności sprawy duchowne w kraju, które sądził Wielopolski, że zażegna przez nominacją Felińskiego, przybierały coraz niebezpieczniejszą postawę, a sprawa nuncyatury, do której tak wielką i słusznie przywiązywał wagę, i o której tyle słodkich słówek prawił ks. Gorczakow w cytowanym wyżej piśmie, weszła teraz właśnie na drogę jak najgorszą i wcale urzeczywistnić się nie miała.

Głównym powodem tego, ze wszecch miar smutnego rezultatu, była sprawa kanonizacyi męczenników japońskich, która to uroczystość miała się odbyć w Rzymie, w czerwcu 1862 roku. Papież, zapraszając na ten akt biskupów całego świata katolickiego, chciał, ażeby wśród nich znaleźli się także i biskupi polscy. Kardynał Antonelli jednak, uwiadamiając o tem życzeniu papieskiem przedstawiciela rządu rosyjskiego, wyraźnie zaznaczył, że „Ojciec św. przybycia biskupów polskich do Rzymu nie stawia za rzecz obowiązkową, lecz gdyby niektórzy biskupi otrzymali na to pozwolenie, uważałby to za dowód pewnych względów, za które byłby szczególnie wdzięczny cesarzowi. Jeżeli cesarz udzieli takie pozwolenie choćby jednemu tylko biskupowi, to papież w tem będzie widział świadectwo przyjaznego

¹⁾ Rękopism bezimienny.

usposobienia cesarza dla kuryi rzymskiej“¹⁾. Jakoż gabinet petersburski zrazu dość przychylnie zapatrywał się na tę, zawsze dla rządu rosyjskiego drażliwą kwestyę; postanowiono nawet, że pojedą do Rzymu dwaj biskupi: ks. Michał Marszewski, kujawsko-kaliski²⁾ i ks. Borowski, żytomirski. Wybór naturalnie padł na ludzi, których lojalności politycznej w żadnym razie podejrzyc nie można było.

Co się tycze nuncyatury, to mniej więcej w tym samym czasie, w którym tak szczęśliwie znalazła rozwiązanie kwestya pielgrzymki biskupów polskich do Rzymu, kardynał Antonelli, chcąc z góry wyjaśnić wzajemny stosunek nuncyusza do duchowieństwa, zapytał: czy prawo zabraniające klerowi polskiemu znoszenia się bezpośredniego z Rzymem, będzie także obowiązywało odnośnie do nuncyusza? W swej wiekuiestej nieufności i podejrzliwości rząd rosyjski odpowiedział tak, jak się tego po nim spodziewać należało t. j., że przepis ten będzie także obowiązywał duchowieństwo polskie w stosunku do nuncyusza, co naturalnie stanowisko tego ostatniego czyniło do pewnego stopnia nadzwyczajnie skrupowanem, a nawet bezużytecznem. W parę dni po wysłaniu tej odpowiedzi do Rzymu, dowiedziano się nagle, naprzód drogą denuncyacji tajnej, a potem z dzienników zagranicznych i oświadczenia samego ks. Felińskiego, że jeden z kardynałów, Caterini nazwiskiem, przesłał z Rzymu list biskupowi wileńskiemu, sam zaś papież wystosował brewe do arcybiskupa Felińskiego. Jakoż w rzeczy samej tak było. Powód do wydania tego brewe dał sam arcybiskup, uwiadomiwszy Ojca św. zaraz po przybyciu do Warszawy o objęciu przez siebie rządów dyecezyi. List taki wysłany został do Rzymu drogą prywatną, na ręce panny Cecylii Potockiej, siostry pani Andrzejowej Zamoykiej, i kuzynki księżny Odescalchi, która od dawna stała

¹⁾ *Lisicki*, *Le marquis II*, 287.

²⁾ Asystować mu w podróży tej mieli ks. Józef Pawlicki, profesor seminarjum dyecezyalnego w Włocławku i ks. Edward Schulz, sekretarz i kapelan biskupa.

była pośredniczką między Rzymem i biskupami polskimi. Tak też postąpił i ks. Feliński, i tą samą drogą otrzymał w d. 5 marca w zapieczętowanej kopercie wzmiankowane wyżej brewe ¹⁾.

Ks. Feliński, otrzymawszy kopertę i przekonawszy się, że pismo pochodzi od Ojca św., ucałował je i zaraz posłał karetę po ks. Rzewuskiego, by z nim się podzielić tą wiadomością. Brewe, datowane d. 20 lutego, zaczyna się od opisu, z jaką radością papież powierzył ks. Felińskiemu archikatedrę warszawską, znajdującą się w najsmutniejszych okolicznościach, i zalecał mu, aby „wsparty Bożą pomocą Tego, który z ciemności wywodzi światło, starał się pokonać wszelkie ścieśnienia i trudności“. Do rzędu tych ścieśnień i trudności zaliczał papież prawa obowiązujące w Królestwie, „które wręcz są przeciwne nauce, prawom i wolności kościoła katolickiego“. Nakazywał mu tedy, „aby starał się usuwać wszelkimi sposobami wszystko złe, jakie tej dyciezyi i polskiemu narodowi zagrażać może“. Wreszcie Ojciec św. pisał: „niczego zaś nie zaniedbuj, wielbny bracie, z całą duszy mocą o to przedewszystkiem się staraj, abyś w pełnieniu biskupiego twego urzędu zupełną wolność osiągnąć mógł. I dlatego my, z naszej strony nie zaniedbamy z największą usilnością ducha naszego na nowo domagać się i nalegać na najjaśniejszego i najpotężniejszego cesarza i króla, który nie małą rozbudził w nas nadzieję, iż najsprawiedliwsze i tyle razy ponawiane nasze domagania się otrzymają wreszcie skutek pożądany. Ten bowiem monarcha przez swego ministra pełnomocnego przy nas i przy tej świętej Stolicy przebywającego, oznaj-

¹⁾ Rękopism bezimienny. *Prawdzicki*, Wspomnienie, 97, twierdzi, że ks. Feliński otrzymał brewe od „nieznajomego mężczyzny, który się zameldował jako członek pewnej ambasady“. Podanie to jest błędne; p. *Prawdzicki*, mówiąc o owej „pewnej ambasadzie“, ma zapewne na myśli ambasadę austryacką, za pośrednictwem której istotnie komunikowali się zwykle z Rzymem biskupi, rezydujący w Petersburgu. Biskupi zaś z Królestwa korzystali w tym względzie z ofiarności księżny Odescalchi i jej kuzynek.

mił nam świeżo, że usunięte są zawady, które dotąd przeszkadzały przebywaniu tam naszego i naszej Stolicy legata, któryby, przy tym monarsze przedstawiając naszą i apostołską Stolicę osobę, dokładnie nas uwiadomiał o stanie naszej świętej religii w obszernych tych krajach i któryby usiłowania swoje zwrócił na ostateczne i dobre załatwienie spraw kościelnych, i któryby mógł być radą, pociechą i wsparciem tak tobie, jak innym wielebnym braciom biskupom, czy to w zarządzie ich dyecezyi, czy też w innych najcięższych stosunkach spraw i czasów, jakieby ciebie i innych wielebnych braci spotkać mogły.

„Życzeniem naszym jest także, wielebny bracie, abyś nie ustawał nigdy od najjaśniejszego i najpotężniejszego cesarza błagalnie domagać się, aby ten swoją łaskowość i ludzkość zwrócić raczył na tych tak duchownych jak świeckich mężów, którzy po ostatnich manifestacjach w Królestwie Polskiem jużto uwięzieni, jużto na inne kary skazani zostali. A jako wielce leży nam na sercu, iżby mąż duchowny, który piastował podówczas urząd wikaryusza kapitularnego w owej dyecezyi, a który na wszelkie zasługuje polecenie, został od wszelkiej przykrości i udręczeń uwolniony; przeto prosimy ciebie, abyś niczego nie zaniedbał, co tylko ku temu powiedzieć lub robić będziesz mógł, aby odzyskał swą utraconą wolność. Życzymy sobie, abyś wiedział, że wielceby dla nas miłym było, gdybyśmy ciebie w naszym mieście obecnego oglądać i uścisnąć mogli, kiedy w r. b. w uroczystość Zesłania Ducha św. wielu za pomocą Bożą, z radością zapisywać będziemy w poczet świętych niebieskich“¹⁾.

Arcybiskup otrzymawszy pismo powyższe, i sądząc (w czem się niestety! mylił), że niema w niem nic takiego, coby się sprzeciwiało wygłoszonemu przez cesarza programowi rządowemu, zalecenie zaś głowy kościoła, aby duchowienstwo zajęło się wyłącznie zadaniami swego powo-

¹⁾ Brewe to w całości czytać można w książce *Prawdzickiego, Wspomnienia*, 97—101.

łania, udzielało najskuteczniejszego poparcia usiłowaniam w tym kierunku w Warszawie podjętym, postanowił nadać tej odezwie jak największą jawność, „aby uprzedzone i niechętnie duchowieństwo przekonać, że nie petersburskim, ale rzymskim natchnieniem ulega w swej działalności pasterskiej“¹⁾. W tym celu rozesłał niezwłocznie kopie listu papieskiego wszystkim biskupom Królestwa, odpis zaś wierzytelny, wraz z przekładem dosłownym francuskim, zakomunikował Lüdersowi przy piśmie, w którym zwrócił uwagę wielkorządcy na zgodność wygłoszonych przez papieża zasad z zamiarami cesarza²⁾. W kroku tym ks. Felińskiego grała zapewne nie małą rolę chęć szczerego i otwartego postępowania z rządem, lojalność szlachetna i godna pochwały, która przez każdą władzę ucziwą byłaby uszanowana. Tego jednak po rządzie rosyjskim złym, podstępny, mściwym i bezwzględny spodziewać się nie można było, i arcybiskup, odkrywając swe karty, postąpił nieostrożnie na własną i kraju szkodę. Zrazu namiestnik Lüders, żołnierz w gruncie rzeczy i polityk nie głęboki, przyjął bardzo dobrze ten krok arcybiskupa i dziękował mu za jego szczerze i lojalne postępowanie, za to, że nie ukrywa przed rządem stosunków swoich z kuryą rzymską, jak to robił jego poprzednik; w końcu jednak uwiadomił o wszystkim Petersburg³⁾.

Wiadomość ta, jak również samo brewe papieskie, wywarła tam jak najgorsze wrażenie. Przesłanie tego dokumentu drogą tajną świadczyło wyraźnie, że kurya rzymska, jak się wyrażano, „postanowiła przyjazne usposobienie cesarza uważać za upoważnienie do podkopywania obowiązujących praw, regulujących stosunek duchowieństwa katolickiego do Rzymu“. Zaproszenie arcybiskupa na uroczystość kanonizacyi było w otwartej sprzeczności z umową, jaką poprzednio zawarto co do udziału biskupów polskich

¹⁾ Rękopism bezimienny.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Loc. cit.

w tym akcie; wreszcie zalecenie ks. Felińskiego, aby się starał o uwolnienie aresztowanych księży, wypowiedziane w tonie każącym się domyślać, że uwięzieni na karę tę wcale nie zasłużyli, obrażało rząd rosyjski. Jednym słowem brewe dowodziło, że w chwili gdy otwarcie toczyły się pertraktacje z rządem rosyjskim, kurya rzymska zdradzała nieufność do tego rządu i nie myślała wcale zrzekać się dawnych swych zwyczajów. Krok bądź co bądź, cokolwiekbyśmy powiedzieli na jego obronę, nie był poprawny. Wywołał on też ze strony gabinetu petersburskiego szereg uwag gorzkich, nieraz zjadliwych, ale tym razem niestety! zupełnie usprawiedliwionych. „Cóżby powiedział Ojciec św., mówił poseł rosyjski Kisielew do kardynała Antonellego, gdyby którykolwiek rząd obcy odwołał się do jego sprawiedliwości lub łaski i domagał się uwolnienia jego własnych poddanych, słusznie lub nie uwięzionych za proste podejrzenie polityczne, jacy zapełniają w tej chwili więzienia rzymskie? Niech mi wolno będzie, mówił dalej poseł, zaznaczyć nasze przykre zdziwienie i naszą zupełnie usprawiedliwioną drażliwość, skoro w dzisiejszych okolicznościach i wobec tylu niewątpliwych dowodów o szczerem pragnieniu cesarza utrwalenia dobrych stosunków z kuryą rzymską, Ojciec św. usiłuje bronić poddanych buntowniczych, tem winniejszych, że przykrywających się płaszczykiem religii, bronić ludzi na gorącym uczynku schwytanych, sądzonych i skazanych legalnie, z których zresztą większość odzyskała już swobodę z łaski monarszej“. Niemniej gorzko wyrażał się w tej sprawie ks. Gorczakow w piśmie przesłanem do Kisielewa. „Jest jeszcze jeden punkt w brewe papieskiem, na który zwrócić pańską uwagę jest moim obowiązkiem. Punktem tym jest zakres działania, jaki Stolica apostolska naznacza nuncyuszowi przysłemu. W żadnym razie nie możemy zezwolić na bezpośrednie mieszanie się nuncyusza do spraw kościoła katolickiego w Rosyi i Królestwie Polskiem, co brewe zdaje się temuż nuncyuszowi naznaczać. Nuncyusz posiada taki sam charakter reprezentacyjny, jaki i inni ministrowie, akredytowani przy dworze cesarskim.

Donosi on Ojcu św. prawdę, tak jak ona mu się wydaje i opartą na ścisłych danych, a nie na pogłoskach mniej lub więcej ze złą wiarą rozgłaszanych, i tem samem pozwala mu sądzić o położeniu kościoła katolickiego w Cesarstwie i Królestwie. Ale nigdy nie zezwolimy na to, jak tego chce pismo papieskie, by udzielał instrukcyi dygnitarzom i sługom tegoż kościoła w Rosyi i Polsce. Wyraziliśmy nadzieję i mamy to przekonanie, że zamykając się w sferze czynów powyżej wskazanych, nuncyusz może dużo dobrego zdziałać, śląc do Rzymu promień światła wśród ciemności, które starają się stworzyć i zgęścić umyślnie, gdyż nasz monarcha, powtarzam to jeszcze raz, nie potrzebuje ukrywać żadnego ze swych czynów. Jeżeli Ojciec św. jest innego zdania, jeżeli sądzi, że w granicach takich, jakie my pojmujemy, nuncyusz nie przyniesie pożytku, to niech sam osądzi, czy potrzeba go do nas wysłać¹⁾.

Słowa te były otwartem zerwaniem pertraktacyi i jak teraz, trzeba to przyznać, wyłącznie z winy Stolicy apostolskiej, która nietylko że brewe posłała arcybiskupowi Felińskiemu, ale ogłosiła je w dziennikach zagranicznych, przez co całej sprawie nadała charakter wyzywający. Kardynał Antonelli, otrzymawszy powyższy komunikat ks. Gorczakowa, wydawał się być mocno zmartwionym, oświadczył przytem, może niezupełnie zgodnie z prawdą, że Ojciec św. działał bez jego wiedzy; nie ukrywał żalu, że papież zrobił taki krok bez jego rady i obiecał donieść o wszystkim Piusowi IX. Wreszcie na komunikat odpowiedział, że „Ojciec św., nie będąc w możności zrzeczenia się swego prawa do porozumienia się listownego z wysokimi dygnitarzami kościoła katolickiego, protestuje jednak przeciwko wszelkiemu złemu wykładowi jego listu do ks. Felińskiego, który to list zawiera jedynie rady apostolskie. Jego Świątobliwość, zalecając arcybiskupowi warszawskiemu wstawiennictwo za księżmi zbłąkanymi lub winnymi, kierował się wyłącznie uczuciem ludzkości i miłosierdzia chrześcijańskiego;

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 289.

a co się tycze pragnienia, wyrażonego przez Ojca św., ujrzenia w wiecznym mieście arcybiskupa z powodu przyszłej kanonizacji męczenników japońskich, to jest ono tylko wyrazem przychylności Stolicy apostolskiej dla tego, godnego szacunku prałata, którego Jego Świątobliwość z takim pośpiechem prekonizował i konsekrował¹⁾.

Po zamianie tej korespondencyi nie było już prawie żadnej nadziei, by sprawa nuncyatury mogła być doprowadzona do szczęśliwego rozwiązania. Obie strony przyjęły teraz sobie za zasadę robić jak najmniej ustępstw; Kurya domagała się usilnie, ażeby duchowieństwo i wierni mogli się swobodnie komunikować z nuncyuszem, „gdyż w razie przeciwnym, pisał kardynał Antonelli do Petersburga, Stolica apostolska mimo woli nie będzie mogła korzystać z uprzejmego postanowienia Jego Cesarskiej Mości akredytowania przy sobie reprezentanta papieskiego, z uwagi, że w obecnym stanie rzeczy nie przyniosłoby to żadnego pożytku interesom religii katolickiej“²⁾. Wśród tego wszystkiego Kisielew jeszcze raz zaproponował, ażeby Ojciec św. wysłał kogokolwiek z misją tymczasową do Rosyi, w celu przygotowania tam gruntu dla stałego reprezentanta Stolicy apostolskiej. Kardynał Antonelli uznawał pożytek z takiej misyi tymczasowej, jednakże dodawał, że Ojciec św. wolałby wysłać od razu nuncjusza stałego, byle tylko wprzód wyjaśniono i ułożono się co do kwestyi spornych. „W interesie porządku i spokoju, motywował kardynał swe żądanie, Rosya winna się starać, ażeby czyniąc zadość prawom kościelnym i szanując atrybucye duchowieństwa, odjąć tym sposobem katolikom wszelki pretekst okrywania się płaszczykiem religijnym przy zaburzeniach porządku publicznego. Nie trzeba, by burzyciele zyskiwali dla siebie opinią, mieszając namiętności polityczne z niezadowolonymi uczuciami religijnymi narodu, pozbawi ich się przez to potężnej korzyści, z której użytkują wobec świata katolickiego i wobec

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

mniej lub więcej szczerych przyjaciół Polski¹⁾. Kisielew zapewniał, że ks. Berardi, przeznaczony na nuncjusza, będzie przyjęty w Rosyi bardzo uprzejmie. „Nie będziemy mu przeszkadzali w jego stosunkach ze swymi współwyznawcami, mówił, ale nie możemy się zgodzić na to, by miał urzędowe i bezpośrednie stosunki z duchowieństwem katolickiem“. Na to kardynał Antonelli pytał się posła, co rozumie pod zdaniem „urzędowe i bezpośrednie stosunki z duchowieństwem? Jeżeli bowiem idzie o sprawy polityczne lub kwestye obce religii, rząd wasz będzie miał zupełne prawo nie pozwalania na podobne stosunki i nuncyusz z tego powodu nie będzie mógł rościć sobie żadnych pretensyi. Lecz idzie tu wyłącznie o sprawy duchowne i tego rodzaju stosunku nie zabrania żaden rząd, i sądę, że i wasz nie zabroni. To nasze jedyne żądanie, i powinnością jest nuncjusza w niczem nie naruszać przepisów obowiązującego w kraju prawa. Chcemy tylko wiedzieć, czy dozwolonem będzie u was nuncyuszowi prowadzenie korespondencyi specyalnej bezpośrednio z katolikami i wyłącznie w sprawach sumienia, w kwestyach karności i przedmiotach religijnych, a ksiądz, który taką korespondencyą prowadzi, nie będzie ulegał karze wyznaczonej przez wasze prawa. Oto co chce Ojciec św. wyjaśnić wprzód, nim wyśle swego reprezentanta do Rosyi“. W odpowiedzi na to gabinet petersburski, powołując się „na prawa zasadnicze cesarstwa“, pisał: „uczucia papieża Piusa IX, niemniej niepospolity rozum i zasady tolerancyi jego wysokiego ministra są gwarancyą mądrości i prawości obecnej polityki Kuryi rzymskiej, ale nie zawsze takim było postępowanie Stolicy apostolskiej względem Rosyi, jak o tem świadczy postawa jej, odnośnie do poddanych i duchowieństwa zbuntowanego Polski, przed dwudziestu zaledwie laty; i jeżeli obecnie możemy mieć zupełne zaufanie co do przyjaznych zamiarów Stolicy apostolskiej względem nas, niemniej prawdą jest, że przeszłość nakazuje nam ostrożność mądrą

¹⁾ Loc. cit.

i przewidującą co do przyszłości, która, dostawszy się w inne ręce, nie będzie nam mogła dać gwarancyi i pewności, jaką dziś spotykamy. A przytem musimy zachować ostrożność względem religii panującej w naszym kraju, ilekroć idzie o stosunki nasze ze Stolicą apostolską; i jakiegokolwiek są uczucia i życzenia cesarza dla jego poddanych katolickich, jak niemniej jego szczere pragnienie utrzymania ze Stolicą apostolską jak najlepszych stosunków, to jednak nie zawsze mu wolno nie liczyć się z podejrzliwością pięćdziesięciu milionów jego poddanych prawosławnych i duchowieństwa, które kieruje sumieniem tychże¹⁾.

Na tem należy uważać pertraktacye za skończone. Wlokły się one jeszcze czas jakiś, zamieniano między sobą uwagi i korespondencye, ale rzecz już była stanowczo przepadłą, i jak powiadamy, tym razem w znacznej części z winy Kuryi rzymskiej. Tym sposobem jedna i, bodaj czy nie do najważniejszych należąca, strona programu Wielopolskiego, z którym pojechał on do Petersburga, nie urzeczywistniła się i o urzeczywistnieniu jej marzyć nawet nie można było. Nie lepiej działo się z innymi sprawami, dotyczącymi wewnętrznej reorganizacyi Królestwa. Z tych jedno z pierwszych miejsc zajmowała kwestya edukacyi publicznej. Poleciwszy w roku przeszłym, by w szkołach wcześniej rozpoczęto wakacye, które zrazu skończyć się miały, jak zwykle, w jesieni, a w rezultacie przeciągnęły się do Nowego Roku 1862, trzeba było raz je przerwać, szkoły otworzyć i próżniaczącej się młodzieży, stanowiącej żywioł najliczniejszy w demonstracyach, dać zajęcie. Gdyby nawet nie było demonstracyi, gdyby w kraju panowała spokojność, to jednak tego osobliwszego i jedynego w swoim rodzaju widowiska, jakie przedstawiało Królestwo, nie posiadające w tej chwili wcale szkół publicznych, dłużej przeciągać nie podobna było. W kraju powszechnie sarkano na te zbyt długie ferye, na to pozbawienie młodzieży nauki szkolnej i sarkania te były zupełnie usprawiedliwione.

¹⁾ Loc. cit. 294.

Wobec tego, nie czekając aż projekt reorganizacji szkół, przygotowany w Komisji oświecenia pod przewodnictwem Wielopolskiego, przejdzie przez krytykę różnych ciał urzędowych w Petersburgu, co przy znanej powolności w działaniu tych ciał, mogło się przewlec bardzo długo, ówczesny dyrektor wzmiankowanej Komisji, Hube, postanowił szkoły otworzyć według dawnego programu z małemi, choć wiele znaczącymi zmianami. Zmiany te polegały przede wszystkim na wzmocnionym wykładzie języka ojczystego, oraz języków starożytnych i historii; wykłady rosyjskie niektórych przedmiotów całkiem usunięto; w trzech szkołach realnych t. j. w Warszawie, Kaliszu i Kielcach, cztery pierwsze klasy urządzono według planu gimnazyów filologicznych. Mundury pozostały te same (ciemno-zielone z czerwonym kołnierzem), a nauki miały się rozpocząć d. 20 stycznia i przeciągnąć, „dla zapewnienia większej korzyści uczącej się młodzieży i podania jej możności wynagrodzenia tego, co straciła“, bez przerwy (oprócz 10 dni feryi na Wielkanoc), aż do 30 lipca. Wyjednano w tym celu odnośne pozwolenie cesarza ¹⁾, i jakkolwiek wszystko to miało znamię tymczasowości, wszelako zrobiono co można było i jak można było. Namiestnik ze swej strony przez rozkaz do wszystkich naczelników wojennych z d. 2 lutego (21 stycznia v. s.) polecił, ażeby w razie zaburzeń w szkołach, nie przeprowadzać wcale śledztwa formalnego, ale po przekonaniu się o istocie rzeczy, domagać się od władzy szkolnej natychmiastowego relegowania winnego ucznia; co się tycze nauczycieli, to o nich należy składać namiestnikowi raport, w razach zaś nagłych naczelnik ma prawo nauczyciela zawiesić w jego czynnościach ²⁾.

Na szczęście ogół o tym rozkazie, zdradzającym samowolne aspiracye satrapów rosyjskich, nic nie wiedział.

¹⁾ Depesza cesarska z d. 4 stycznia 1862 (23 grudnia 1861 r.): „zakłady naukowe dozwalam (rozrieszaju) otworzyć na zasadach przedstawionych w pańskim memoryale (zapiskie).

²⁾ *Pawliszczew*, Siedmicy I, 45.

Poprzednio, gdy szkoły były zamknięte, sarkano na rząd, teraz publiczność wobec ich otwarcia zachowała się zupełnie obojętnie¹⁾. Prasa warszawska o tym fakcie milczała jak zakłeta, z zakordonowych zaś dzienników polskich jeden tylko „Czas“²⁾ pochwalił ten krok rządu, nie omieszkawszy przy tej sposobności obrzucić zarzutami Wielopolskiego, który „bez żadnej potrzeby zamknął szkoły“ i naraził młodzież na niepowetowaną stratę czasu. Za to prasa tajna, trzymając się stale systemu bezwzględnego potępienia co rząd Królestwu robi, odniosła się do faktu otwarcia szkół publicznych bardzo nieprzyjaźnie. „Strażnica“ pisała³⁾: „naród nasz wie, z kim ma do czynienia i w zamknięciu szkół przed ośmioma miesiącami, do czego przyłożył rękę osławiony Wielopolski, nie środek konieczny z powodu reorganizacji, lecz nowy zamach na oświatę narodową, jak niemniej dokonanie zemsty na młodzieży za to, że się nie dała spodlić i ogłupić⁴⁾ Muchanowowi, widział“... „Z powodu zamknięcia szkół kraj poniósł niemałą stratę, a poniósłby jeszcze większą, gdyby dzielna młodzież nasza nie szukała była w ukryciu nauki, jako zakazanego owocu. Dzisiaj otwierają szkoły, ale otwierają według dawnego programu, dodawszy kilka godzin łaciny i greckiego języka. Te kilka godzin nie zmieniają w niczem dawnego systemu, ale mogą, jak się Hube i Lüders spodziewa, zasłonić rząd od zarzutu, że przez kilka miesięcy reformując szkoły, dotąd nic nie zrobił prócz napisania projektu. Ograniczenie uczniów w klasach, upozorowane brakiem miejsca, przekonają jeszcze więcej może tych, co gotowi ludzi się nadziejami, pod względem kłamliwych obietnic najazdu moskiewskiego, iż dobrej woli nigdy niema, iż trwa dalej, pomimo wszystkich tak szumnie głoszonych projektów, system da-

1) Loc. cit. I, 35.

2) Nr. 8 z d. 11 stycznia.

3) Nr. 2 z d. 25 stycznia 1862 r.

4) Uczni redaktorowie „Strażnicy“, stale drukują „ogłupić“, mniemając zapewne, że można pisać tyraady pseudopatriotyczne, nie znając wcale ortografii.

wny, dążący do ogłupienia narodu i zakrywania obłudną dłonią słońca oświaty, a tem samem szczęścia narodowego“.

Że w takim twierdzeniu, jakoby rząd, a właściwie Wielopolski, „przez kilka miesięcy reformując szkoły, dotąd nie nie zrobił prócz napisania projektu“, było dużo złej wiary, o tem sami zapewne autorowie tego zarzutu nie wątpili. Kwestya tak ważna i tak doniosła, jak reforma wychowania publicznego, nie improwizuje się na wzór artykułu dziennikarskiego, ale wymaga wielkiej znajomości rzeczy i poważnego zastanowienia; wreszcie, jeżeli projekt margrabiego dotąd nie wszedł w wykonanie, to nie z jego winy, ale z powodu tej leniwej i ospałej procedury, jaka istniała w komisjach rządowych petersburskich, które nigdy się nie śpieszyły i uważały, że wszelkie reformy społeczne tem są lepsze, im dłużej się odleżą w ich kancelaryach. Projekt reorganizacji wychowania publicznego, wygotowany pod prezydencją Wielopolskiego jeszcze w jesieni 1861 roku, przedyskutowany i przyjęty przez Radę stanu w grudniu, dostał się nakoniec do Petersburga. Tu zrazu rozpatrywany był przez Radę państwa, ale potem postanowiono go oddać do zbadania komitetowi specjalnemu, który istniał od dawna. Było to z oczywistą szkodą dla projektu z tego względu, że komitet nie znał spraw polskich i w gruncie rzeczy przychylny im nie był. Margrabia bronił się przeciw takiej manipulacji. „Projekt edukacyjny, mówił, jest czemś więcej, niż prostą pracą biurową; uległszy rozbiorowi Ogólnego zebrania Rady stanu Królestwa, stał się dziełem zgromadzenia znamienitości krajowych, wybranych przez monarchę, w celu reprezentowania życzeń i interesów narodu; nie powinien więc podpadać pod szczegółowe roztrząśnienie, a być rozważanym jedynie ze względu na zasady i podstawy“¹⁾. Uwagi te, bardzo słuszne i bardzo sprawiedliwe, nie były wcale wysłuchane. Projekt odesłany został do Komitetu, w którym na szczęście prezydował

¹⁾ *Lisicki*, Aleksander Wielopolski I, 295.

przyjaciela margrabiego, wspomniany już przez nas baron Meyendorff¹⁾, i zapewne w obronie projektu kierował się wedle wskazówek, dawanych mu przez Wielopolskiego. Zresztą w decyzjach tych nie stanowiła wewnętrzna wartość projektu, ale prąd polityczny, jaki w danej chwili przeważał na dworze cesarskim. Wśród ścierających się tam stronnictw raz brała górę partya reform, partya przyjazna Polsce, to znów jej przeciwnicy, i stosownie do tego traktowano projekt margrabiego²⁾. W chwili właśnie kiedy ten projekt przyszedł na stół, stronnictwo nieprzyjazne nam wzięło górę i starało się wszelkimi siłami jeżeli już nie o obalenie zupełnie samego projektu, to przynajmniej o zepsucie go do możliwych granic. Należy tu dodać, że do Petersburga przyszedł projekt już po dokonaniu na nim licznych operacji i „poprawek“ w Warszawie, a teraz oddany komitetowi specjalnemu, miał uleść jeszcze jednej i to najważniejszej zmianie. Ponieważ projekt uznawał w Polsce i słusznie jedną tylko narodowość polską, choć mogącą wyznawać różne religie, więc wszystkie szkoły elementarne urządzał na jedną modłę, robił je szkołami polskimi. Widzieliśmy już w debatach Rady stanu, że takie urządzenie nie podobało się Kruzensternowi i Kalwinowi Heilmanowi, których myśli znalazły obecnie oddźwięk w Komisji petersburskiej. Chciano więc szkołom elementarnym w Królestwie nadać charakter konfesyjny; obok szkół katolickich utworzyć osobne szkoły luterskie i żydowskie, co

¹⁾ *Łisicki*, *Le marquis II*, 285.

²⁾ *Łisicki* nie trzyma się w pracy swej ściśle chronologicznego przebiegu spraw i częstokroć, gdy mu potrzeba, miesza rzeczy i czasy. W dziele swem „*Le marquis*“ II, 285, powiada, że na projekt o edukacji źle wpłynął pobyt margrabiego w Warszawie, dokąd był pojechał w d. 23 marca. Ten zły wpływ rzeczzonej podróży odbić się miał głównie na domaganiu się urządzenia szkół konfesyjonalnych; gdy tymczasem w polskiem wydaniu panegiryku Wielopolskiego I, 318, autor przytacza własne margrabiego pismo, w którem powiada, że kwestya ta załagodzoną została jeszcze przed wyjazdem tego ostatniego do Warszawy. Wyjazd ten zatem, przynajmniej w tej kwestyi, nie wpłynął wcale na przebieg rzeczy.

oczywiście wymierzone było na szkodę narodowości polskiej w celu utrzymania odrębności kolonistów niemieckich i żydów. Wielopolski jednak uparcie bronił pierwotnego projektu i na posiedzeniu Komisji, d. 7 marca ¹⁾, zwyciężył, choć musiał poczynić poważne ustępstwa, a mianowicie, że szkoły ewangelickie w Kaliszu, Zgierzu, Pabianicach, Łodzi i innych miejscach, miały pozostać jak przedtem pod zarządem swego Konsystorza, i nauka religii miała być wykładana, jeżeli tego odnośne gminy domagać się będą, w języku niemieckim, oraz, że nauka czytania i pisania po niemiecku może wejść do planu przedmiotów wykładanych. Tym sposobem przy pomocy powyższego ustępstwa zdołał on obalić zakrój na utworzenie osobnych szkół niemieckich, a co zatem idzie i narodowości niemieckiej, mającej swe przywileje. Wielopolski starał się wyjaśnić Komisji, że „prawdziwe zadanie Niemców w Królestwie jest: przymiotami swymi wzmocnić nasz stan trzeci, a znaczenia tego nie dostąpią, zamykając się w sobie, jako oddzielna, od krajowej stroniąca narodowość“. Wychowany w tradycjach mieszczańskiego liberalizmu epoki, sądził jak wszyscy ludzie tych czasów, że t. z. stan trzeci, czyli mieszczaństwo, stanowi prawdziwą siłę narodów i państw, i uważał, zgodnie z teoryami wieku, że jedną z przyczyn upadku Polski był brak owego stanu trzeciego, który miał być lekarstwem na wszelkie niemoce społeczne i mieścić w sobie tajemnicę siły rodzajnej. Dlatego to, gdzie mógł i jak mógł, wyraźnie okazywał i wypowiadał chęć stworzenia takiego stanu i w Polsce, która go właściwie nie miała i która przez tysiąc lat doskonale się bez niego obchodziła. Elementem do wytworzenia owego mieszczaństwa polskiego mieli być Niemcy, zamieszkali w Królestwie, a głównie Żydzi, naturalnie przy odpowiednim jednych i drugich spolonizowaniu. W motywach przeciw utworzeniu osobnej szkoły elementarnej niemieckiej, wyżej przytoczonych, myśl ta bez

¹⁾ *Lisicki*, Al. Wielopolski, I, 316.

żadnych obsłonek jest wypowiedziana; wypowie on ją jeszcze wiele razy w ciągu swej działalności politycznej.

Skoro w Komisji petersburskiej projekt odrębnych szkół wyznaniowych niemieckich upadł, upaść także musiał taki sam wniosek co do szkół elementarnych żydowskich. Wielopolski przedstawił zebranim tam panom, że „przywilej Niemcom odmówiony, tem mniej może być przyznany Żydom“, że „oddzielność dla nich instrukcyi elementarnej sprzeciwia się zasadzie zlania ich z ludnością krajową, przyjętej za podstawę prawa o emancypacyi“¹⁾. Uznano słusność tego zdania i zgodzono się na nie. Najcięższą jednak walkę musiał margrabia stoczyć o projekt nauczania przymusowego. Wielopolski i tu, jak w pojęciach o stanie trzecim, zgodnie z wyobrażeniami epoki, uważał wykształcenie szkolne za jedną z dźwigni nietylko postępu społecznego, ale i uobywatelenia, za jedną z najgłówniejszych podstaw szczęśliwości ziemskiej. Wskutek tego w artykule 24 swego projektu stanowił: „wszystkie dzieci bez wyjątku do szkoły uczęszczać powinny pod rygorem kary pieniężnej, która się do funduszków szkoły przyliczać będzie“. Karę tę oznaczał na dwa grosze za pierwszy dzień nieprzybycia dziecka do szkoły, zwiększając każdodziennie tę nawiązkę o dwa grosze, tak że aż ósmego dnia rodzice lub opiekunowie musieliby już płacić groszy 16. Po ośmiu dniach, gdyby kara ta nie skutkowała, projekt groził opornym rodzicom lub opiekunom aresztem policyjnym od jednego do ośmiu dni; wreszcie gdyby i to nie pomogło, sąd gminny ma prawo, według swego uznania, wymierzyć karę jeszcze dotkliwszą. Rada stanu, przy rozbiorze tych paragrafów projektu, zmodyfikowała wysokość kar o tyle, że nie uznała za stosowne karać rodziców lub opiekunów więzieniem, ale „po 8 dniach nieusprawiedliwionej w szkole nieobecności, kara po 16 groszy dziennie wynosić ma“; samą zaś kwestyą przymusu szkolnego przyjęła bezwarunkowo. Otóż w Komisji petersburskiej nie podobało się to

¹⁾ Loc. cit.

bardzo. Uważano, nie bez słuszności zresztą, że projekt ten ma charakter wyłącznie polityczny i z właściwą sferom rządzącym rosyjskim niechęcią do wszystkiego tego, co choćby pozornie przyczynić się mogło do stężenia wewnętrznego społeczności polskiej, wystąpiono przeciw niemu. Nie mówiono jednak tego, ukrywano istotne motywa, a natomiast uciekano się do zarzutu, że w obecnej chwili przymus szkolny mógłby zniechęcić lud wiejski ¹⁾. Meyendorff dopomagał jak mógł Wielopolskiemu w obronie projektu, a choć z początku nie tracili oni obaj nadziei, że się utrzymają przy swoim, w końcu wszakże przekonali się, że trzeba porobić pewne ustępstwa, by zasadę prawodawczą ocalić. Margrabia więc postanowił przygotować na najbliższe posiedzenie wnioszek, „aby przymus, jako zagrożenie, o co głównie chodzi, zostawić w prawie, lecz w rozwinięciu polecić władzom Królestwa, aby był zaprowadzony tylko w miarę istnienia lub zakładania szkół po gminach, i żeby władza szkolna miejscowa mogła dyspensować od uczęszczania dla ważnych przyczyn, co od dobrego wykonania przez Komisją oświecenia, równie jak cały dalszy los prawa zależeć będzie“ ²⁾. Pomimo jednak tego ustępstwa, kwestya przymusu szkolnego stanowczo i kategorycznie przez Komisją petersburską odrzuconą została i do prawa on nie wszedł. Nie stając w obronie przymusu szkolnego, gdyż doświadczenie dziś przekonało, że nie wiele on przynosi korzyści a jest jednym z najuciążliwszych ciężarów społecznych, zaznaczyć wszelako wypada, jak dalece sfery rosyjskie były nieprzyjazne Polsce i jak uparte walki staczać musiał margrabia, by uzyskać sankcyę dla swych projektów, by choć w części je ocalić.

Walki te nużyły go i niekiedy tysiące nowo powstających przeszkód w chwili gdy zdawało się, że już wszystkie usunięte zostały, zniechęcały go mocno. Na jego potężną konstytucyę fizyczną, potrzebującą ruchu i świeżego

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

powietrza wiejskiego, do którego przywykł przez swe życie ziemianina, ciepłarniana atmosfera salonów petersburskich, natężenie wszystkich nerwów w tem nieustannem parowaniu ciosów, źle nadzwyczajnie oddziaływała. To też w tym czasie, gdy stronnictwo przeciwne mu znów na chwilę wzięło górę u dworu, myślał o powróceniu do życia prywatnego. „Z bliską rocznicą wstąpienia mego do rządu, pisał do żony, wyglądam z upragnieniem powrotu do Chrobrza, gdzie niedługo słonki nad brzeziwą ciągnąć zaczął“¹⁾. Jakoż w Petersburgu osobliwsze co do niego miano zamiary. Ponieważ wiedziano, że sprawy rządowe w Warszawie źle idą, że Lüders jest nieudolnym i niezdatnym, zwłaszcza co do spraw cywilnych, do czego otwarcie się przyznawał i zajmować się niemi nie chciał, zgadzano się na wysłanie do Warszawy na stanowisko wielkorządcy kogoś z rodziny cesarskiej, i jak się zdaje, ciągle miano na myśli księcia Meklemburskiego, o co czynnie zabiegała wielka księżna Helena Pawłówna. Ale i pod tym względem cesarz wahał się i nie był zdecydowany na krok stanowczy. Przeciwnicy tego rodzaju kombinacyi przedstawiali mu, że taki książę krwi może się łatwo w tej szalejącej Warszawie zużyć i skompromitować; w oczach Rosyan będzie uchodził za nadto „polskiego“, w oczach Polaków znowu za nadto „rosyjskiego“, i tym sposobem nikomu nie dogodzi i biegu spraw nie poprawi²⁾. Wreszcie, gdy nie było innego wyjścia, gdy margrabia nie ustawał w swych zabiegach, myśl o wysłaniu na namiestnika w Warszawie księcia krwi, przybrała formy ostatecznego postanowienia, a z nią i tak upragniony przez Wielopolskiego, rozdział władzy cywilnej i wojskowej, gdyż uderzający przykład niedogodności połączenia tych obu władz dawał w tej chwili Lüders³⁾. Szło

¹⁾ Loc. cit. I, 318.

²⁾ Lisicki, Le marquis II, 281.

³⁾ Cesarz już pod datą 11 marca (27 lutego) donosił Lüdersowi: „o utworzeniu przy panu zarządu cywilnego przygotowuje się tutaj projekt i będzie panu zakomunikowany“ („Russ. Starina“ loc. cit. Tom XXXVII, 643).

teraz tylko o to, komu powierzyć zarząd cywilny kraju. Oczywiście Samobytnicy, przegrawszy grę o księcia krwi, za nic w świecie Wielopolskiego nie chcieli i ciągle twierdzili, że jeżeli już podział władzy w Warszawie jest koniecznem złem, to złe to trzeba uczynić jak najmniej niebezpiecznem i na stanowisko naczelnika administracji cywilnej należy posłać Rosyanina. „Będzie to najpewniejszy środek zużycia uroku księcia krwi, zajmującego stanowisko namiestnika, robił uwagę Wielopolski. Niemniej będzie to bijącym w oczy dowodem, że nigdy żaden Polak nie zdoła sobie zyskać zaufania monarchy, wobec czego nic mi nie pozostaje jak wszystko rzucić i powieść swą zakończyć“¹⁾. Nie chciano jednak margrabiego zupełnie się pozbyć, a to z wielu względów, między którymi były także natury politycznej. Naprzód mógł on się jeszcze przydać, więc na wszelki wypadek chciano go sobie zachować na później, a przytem jego obecność w Petersburgu świadczyła przed Europą, a szczególnie przed Francją o jak najlepszych zamiarach rządu rosyjskiego względem Polski²⁾. Odpowiadano mu więc, że wysyłka do Warszawy członka rodziny cesarskiej z pomocnikiem Rosyaninem będzie tylko „pierwszym aktem“ tej tragikomedyi dziejowej, i dawano mu przez to niejako poznać, że w drugim jej akcie, jemu przyjdzie odegrać pierwszą rolę, jako naczelnikowi administracji cywilnej. Ale Wielopolski znał dobrze Rosyą i jej rząd, i odpowiadał, że ten „drugi akt“ nigdy nie nastąpi, gdyż kombinacya taka stanowczo powieść się nie może, i zaraz z samego początku spowoduje podanie się do dymisji wszystkich członków Rady stanu. Doradzał więc, by cesarz powierzył zbadanie spraw polskich jednej osobie, obdarzonej całem zaufaniem monarchy, a to dlatego, by raz położyć koniec tym nieustannym i zabójczym wahaniom.

Wszelako myśl o wysłaniu do Warszawy kogoś z rodziny cesarskiej, popierana usilnie przez wielu interesowa-

¹⁾ *Lisicki* Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

nych, zbyt mocne już zapuściła korzenie, by ją porzucić miano. Z drugiej jednak strony znów podniosła głowę opinia, że jedną z przeszkód do uspokojenia kraju jest sam Wielopolski. Opinią tę potwierdzali sami Polacy, dość liczni w Petersburgu, należący w większości do stronnictwa ruchu i nienawidzący szczerze margrabiego. Zabiegi ich, starania, plotki rozpuszczane umyślnie a zrećnie, nie pozostawały bez skutku, na chwilę nawet zrodziła się w rządzie myśl usunięcia go całkowitego z Warszawy i kraju. Zrazu chciano mu oddać sekretaryat stanu Królestwa Polskiego, który to urząd zajmował dotąd Tymowski, człowiek słaby, o lichej głowie, niedorośli pod żadnym względem do wysokości wypadków, jakie się obecnie rozgrywały. Stary był przytem, zużyty, rutynista i osobiście niechętny Wielopolskiemu, jak wszelka mierność względem człowieka umysłu wyższego. Usunięcie Tymowskiego w obecnych okolicznościach było koniecznem, ale z drugiej strony szkoda było marnować na takim stanowisku, czysto urzędniczy mającym charakter, człowieka tej miary co margrabia. To też odrzucił on propozycją tę stanowczo. „Odmówiłem tego urzędu, pisał do żony, któryby zrobił ze mnie pocztyliona bez inicjatywy, i któryby mię zmuszał do prowadzenia nieustannej wojny z władzami warszawskimi“¹⁾ Gdy się to nie powiodło, zaproponowano mu, aby udał się do Rzymu, nawiązał rwące się nici umowy z Kuryą i ułożył się o nowy konkordat. Ale i na to przystać nie chciał. „W Rzymie, pisał, nikomubym nie dogodził, a wątek rzeczy krajowych z ręki wypuścił“²⁾.

Wśród tego wszystkiego, ponieważ w dniu 26 marca rozpoczynały się w Warszawie posiedzenia Rady stanu, na których miał być rozpatrywany projekt margrabiego o oczynszowaniu włościan, postanowił on tam koniecznie się udać. „Przy zachodach warszawskich przeciwko mojemu

¹⁾ Loc. cit. II, 281.

²⁾ *Lisicki*, Aleks. Wielopolski I, 317.

projektowi oczynszowania, pisał do żony¹⁾, wiele mi na tem zależy, abym był obecny dla jego obrony w Radzie stanu⁴. Wyjednał sobie koniecznie w tym względzie pozwolenie cesarza, który w dniu 22 marca telegrafował do Lüdersa, że „Wielopolski na własne żądanie i za mojem pozwoleniem wraca do Warszawy, dla wzięcia udziału w Ogólnem Zebraniu Rady stanu, poczem powinien tutaj znowu powrócić“²⁾. Jakoż, w parę dni potem, bo dnia 24 marca, puścił się po przeszło czteromiesięcznej nieobecności do Warszawy przez Prusy (kolej warszawko-petersburska ciągle jeszcze nie była ukończona), z uczuciem pewnego niezaprzeczonego tryumfu, z nadzieją lepszej przyszłości w sercu. Niestety! położenie, jakie tu zastał, zupełnie odmienne od tego, jakie opuścił, nadzieję tę czyniły już wtedy bardzo wątpliwą i niepewną.

W Warszawie pozornie panowała niczem nienaruszona spokojność i cisza. Namiestnik Lüders, żołnierz surowy, ale ograniczony umysłowo, o jednym tylko pamiętał i jedno miał na uwadze. Przyrzekł cesarzowi, że nie dopuści do żadnych zaburzeń w Warszawie i o to się starał i groził, że słowa dotrzyma, choćby mu przyszło w kupę gruzów stolicę polską zamienić. Na administracyi krajem wcale się nie znał i zajmować się nawet tem nie chciał, zdając wszystko na Kruzensterna i Kryżanowskiego. Sam oddany jedynie wojsku, wielki zwolennik życia towarzyskiego, nudził się ogromnie w pustych salach Zamku, których ożywić nie mogła ani bawiąca przy nim córka, oraz słynna z piękności siostra jego, generałowa Daragan, ani częste, tajemnicze odwiedziny nocne ładniejszych przedstawiolek baletu warszawskiego, których był niekłamany i zawsze gorącym wielbicielem. Po Warszawie przez długi czas teraz

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Oryginalny telegram brzmi: „Wielopolskij po jego zobstwiennomu żelanju i s mojego razrieszenia, wozwraszczajetsia w Warszawu, dla uczestwowania w obszczem sobranii gosudarstwienno gosonietu, poslie czego, on dołżen wnow jawitsia siuda“.

i później obiegała w odpisie arcyciekawa jego korespondencya z chórzystką opery warszawskiej, panną Rycerkiewiczówną, co nadzwyczajnie ośmieszało wielkorządcę Polski¹⁾. Mimo tej, widocznej dla wszystkich nieudolności wielkorządcy polskiego, cesarz zdawał się obdarzać go szczególnem zaufaniem i miłością. Przez ukaz cesarski z dnia 15 marca 1862 r. dostał on donacją dóbr Chełma w gubernii lubelskiej „na dziedzictwo wiecznymi czasy“, i „z należącymi do nich folwarkami, wsiami, użytkami i przynależnościami“ z dochodem rocznym rs. 2925²⁾.

Te okazywane Lüdersowi względy, zalecania wreszcie cesarza, by bądź co bądź spokojność w Królestwie utrzymał, utrwały go w przekonaniu, że system surowości żołnierskiej, przyjęty przezeń w Warszawie, jest najlepszym i najskuteczniejszym. Aresztowania więc na wielką skalę odbywały się ciągle, aresztowania z tego względu nadzwyczaj drażniące, że pociągano do odpowiedzialności według przepisów stanu wojennego za przestępstwa popełnione przed ogłoszeniem tegoż. Cytadela, więzienie karne, zwane „Pawiakiem“, przepełnione było mnóstwem osób winnych i niewinnych, nad którymi rozmaite drugorzędne figury, pragnące okazać swą gorliwość, jak Rożnow, Skowroński, Kozaczkowski, Podwysocki i inni, dopuszczali się krzyczących nieraz nadużyć. Więzienia były brudne, cuchnące i zaniedbane tak dalece, że jak się sam Kryżanowski wyraził, „słoma na posłaniu więźniów od robactwa się

¹⁾ *Teobald*, Wspomnienia V. 24.

²⁾ Lüders jeszcze za namiestnictwa Paskiewicza dostał był w Królestwie Polskiem majorat Mąkolin w gubernii płockiej położony, z dochodem rocznym rs. 2250, którego się zrzekł i pobierał za to ze skarbu Królestwa takąż samą sumę w gotówce. Ponieważ majorat ten komu innemu danó, więc obecnie ofiarowano Lüdersowi Chełm. *Anuczin* w opowiadaniu swem p. t. „Graf Fedor Fedorowicz Berg“, drukowanem w „Russkiej Starinie“ z r. 1893 (T. LXXVIII, 154), myli się, oznaczając dochód z tego majoratu na rs. 4500. Ogółem Lüders teraz większy miał dochód, z sumą bowiem wypłacaną mu ciągle przez skarb Królestwa, pobierał rocznie rs. 5175.

ruszała⁴. Utrudniano nadzwyczajnie widzenie się z aresztowanymi ich krewnym i znajomym, a nie mogąc przez resztę uczuć ludzkości zabronić tych odwiedzin zupełnie, urządzono w cytadeli kratę tak gęstą, że wizytujący nawet wzrokiem przeniknąć jej nie mógł¹⁾. Ludzie najgorszego charakteru, jak oberpolicmajster Piłsudzki, łapownik bezenny i rabuś najprostszy, korzystali z tysiąca sposobności, jakich im nastęrczał stan wojenny, by kieszenie swoje krwawym groszem polskim napełniać. Z latarek, bez których nikt z zapadnięciem zmroku wieczornego nie mógł wychodzić na ulicę, urządził on sobie dochód przez to, że u pewnych fabrykantów, którzy mu się opłacili, nakazywał je kupować. Żywiąc uwięzionych źle, dając im na posłanie słomę „ruszającą się od robactwa“, a pobierając ze skarbu Królestwa na ich utrzymanie przyzwoite sumy większe, kradli je bezczelnie. Rozpuszczono po mieście mnóstwo szpiegów, którym przyrzekano nagrody, opłacano ich sówicie, karano za brak gorliwości, gdy nie dostawiali ofiar do cytadeli i przez to zmuszano niejako do najszkaradniejszych nadużyć. Surowe, częstokroć nieludzkie obchodzenie się z aresztowanymi przy śledztwie, wywoływało u słabych zeznania kompromitujące, które powodowały nowe aresztowania i nowe prześladowanie, zwłaszcza że znalazło się wielu złych lub nikczemnych, którzy częstokroć przez zemstę prywatną dopuszczali się niecnych denuncyacji. Doszło do tego, że „Strażnica“²⁾ ostro karciała ogół za małoduszność, za słabość charakterów i za tę niepotrzebną gadatliwość. „Denuncyacje nikczemne, pisala, tchórzostwo do podłości prowadzące, słabość i strach zepsutych lub głupich, pomaga gwałtownej zawziętości Lüdersów, Kryżanowskich, Rożnowów, Skowrońskich, Płatonowów, Kozaczkowskich, Piłsudzkich, Podwysockich i innych tym podobnych potworów, za każdą ofiarę otrzymujących łaski carskie, ordery, awanse i pieniądze. Car dobrze płaci, więc

¹⁾ *Pobudka*, Nr. 2 z dnia 1 lutego 1862 r. i relacye ustne.

²⁾ Nr. 2 z dnia 25 stycznia 1862 r.

też oni więżą, łupią i męczą. Jesteśmy świadkami najokropniejszego prześladowania, ale nie dopomagamy im przez nieroztropne zeznania i tłumaczenia się przed komisjami i sądami moskiewskimi“. „Milczeć potrzeba i milczeniem dać świadectwo mocy i prawdzie narodowej. Niechaj się znęcają nad wami, grożą knutem, szubienicą, Syberyą, kopalniami, wojskiem; wy bądźcie jedni i ci sami, niezłomni w milczeniu. Nie mówcie o swoich czynnościach, nie mówcie o znajomych, bo łatwo się poślizgniecie i nie wiedząc o tem poniżycie się w oczach narodu“. „Naród potrzebuje ofiar, choć się o nie nie stara, nie pomnażajcie więc ofiar, ale kiedy na was tak padło, że macie być ofiarami za naród, to pamiętajcie, że naród dowie się o was, pomimo tajemnicy waszego więzienia i badania, i szczyścić a podnosić się sprawa będzie, jeżeli w boleściach i mękach więzienia przetrwacie nieugięci, nieupokorzeni, w godność milczenia, jako w niezdożytą twierdzę, zaopatrzeni“.

Niewiele to jednak pomagało. Obietnica, że o cierpieniach więźnia i jego słabości „naród się dowie“, nikogo nie zachęcała, a słowa potępienia nie odstraszały wcale tych natur poziomych i nizekzemnych, które za pośrednictwem denuncyacji chciały się pomścić na kimś, lub szukały za swój czyn nagrody pieniężnej. Liczba więźniów rosła ciągle i dochodziła do niebywałych rozmiarów¹⁾. Młodzież, przeważnie skazywaną przez sądy do szeregów wojska, konsystującego na Syberyi lub w gubernii Orenburskiej, zwykle krewni, znajomi i nieznajomi tłumnie odprowadzali. Weszło w zwyczaj, niejako w modę odbywać spacery na dworzec kolei petersburskiej na Pradze, odprowadzać, jak mówiono, więźniów stanu. Zwykle zgromadzano się o świcie, w ogromnej liczbie nieraz do kilku tysięcy osób, i przy płaczu kobiet, przeklinaniu rządu, żegnano się z wygnańcami. Jednej z takich partyi, wysyłanej w styczniu towa-

¹⁾ *Pawliszczew*, *Siedmicy* I, 43, powiada, że w ciągu jednego tygodnia, między 21 a 29 stycznia areszowano w samej Warszawie 269 ludzi, w tej cyfrze 138 za nieposiadanie latarek.

rzyszyło aż do Pułtuska trzydzieści sanek, wypełnionych przeważnie kobietami. W chwili gdy partya ta opuszczała Pułtusk, całe miasteczko wyległo za nią i szło przez kilka wiorst wśród płaczu, jęku, przeklinania Moskali i posępnego odgłosu dzwonów kościelnych. Sceny takie, powtarzające się nieustannie na całej drodze wygnańców, rozdrażniały ludność nadzwyczajnie i najchłodniejszych usposabiały gorąco.

W przeddzień rocznicy wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II, Lüders czy sam z siebie, czy też namówiony przez kogoś, a najprędzej wskutek insynuacji siostry swej, generałowej Daragan, kobiety zarówno pięknej jak i dobrej, udał się z prośbą do cesarza, ażeby pozwolił na darowanie kary lub też jej zmniejszenie niektórym już przez sąd skazanym, a nawet wysłanym na wygnanie¹⁾. Gdy cesarz się na to zgodził, uwolniono zupełnie od kary 41 osób, zmniejszono zaś karę 33 osobom, razem 74. Wśród zupełnie ułaskawionych znalazło się dwunastu księży, z których siedmiu, wysłanych do różnych gubernij cesarstwa, powrócono do ojezyny. Do rzędu tych ostatnich należał ks. Feliks Pyzalski, który w dniu 15 października 1861 roku, w chwili gdy wojsko wtargnęło do kościoła św. Jana, namawiał lud do oporu. Czterech księży: Władysława Magnuskiego, wikaryusza ze Skierniewic, który w czasie pogrzebu arcybiskupa Fijałkowskiego przewodniczył chłopom skierniewickim, Wojciecha Żukowskiego, proboszcza z Łęczycy, który w mieście tem zamknął kościół, oraz kanonika Kacpra Witmana i Franciszka Chmielewskiego, wikaryusza przy kościele Śto-jańskim, uwolniono od kar za wstawieniem się ks. arcybiskupa Felińskiego, co w ogłoszeniu po

¹⁾ Depesza Lüdersa z dnia 8 marca (24 lutego): „Mam szczęście upraszać o pozwolenie jutro darowania i zmniejszenia kary niektórym ukaranym przez sąd, nie wyłączając i wysłanych do cesarstwa. Spisy będą przedstawione“. Odpowiedź cesarza z tegoż dnia: „pozwalam (rozrzeszaju) Panu postąpić w myśl telegramu pańskiego“.

gazetach wyraźnie zaznaczono. Wszyscy inni, tak ci, których zupełnie ułaskawiono, jak i ci, którym zmniejszono kary, należeli przeważnie do średnich i niższych klas mieszczańskich, lub też byli to drobni urzędnicy, kanceliści, komornicy, woźni i t. p.

Ułaskawienie to 74 osób nie zrobiło żadnego dodatniego wrażenia. Wśród powszechnie rozbudzonych namiętności politycznych, wśród nerwowego natężenia umysłów, obiegało po kraju tysiące najróżnorodniejszych plotek, które przydługi pobyt Wielopolskiego w Petersburgu, głuche i zawsze przesadzone wieści o jego wpływie tam na sfery rządowe, podsycaly i dodawały materiału. Mówiono też powszechnie, że w rocznicę wstąpienia na tron przywrócona będzie w Królestwie konstytucya z przed 1831 roku, i gdy się skończyło na amnestyi dla garści księży i różnych nieznanych osobistości, uważano to za „szyderstwo z cierpień narodowych“¹⁾. Gdy przytem surowy i żołnierski system rządów w niczem się nie zmienił, gdy porównano listę ułaskawionych z listą skazanych, ogłoszoną w styczniu, a zawierającą ogólną cyfrę 143 osób, o uspokojeniu umysłów mowy być nie mogło. Zaszło właśnie w tym czasie areszowanie kancelisty Aleksandra Zamojskiego i powstałe z tego powodu wieści przyczyniły się bardzo wiele do powszechnego wzburzenia.

Jak wiemy, Zamojski aresztowany został za to, że wydrukował znany nam już paszkwil p. t. „Słowo narodu polskiego do arcybiskupa Felińskiego“. Był to młody człowiek, zajmujący skromne stanowisko archiwisty w biurach komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Syn drobnego mieszczanina z Lubelskiego, w r. 1855 zagrożony wzięciem do wojska, emigrował za granicę, ale schwytany przez Prusaków, został wydany w ręce rosyjskie i osadzony w twierdzy Zamościu. Uwolniony nakoniec stamtąd, otrzymawszy posadę archiwisty, rzucił się w wir manifestacyjny i rewolucyjny, a nadewszystko poświęcił się drukowaniu

¹⁾ Pawliszczew, Siedmicy I, 63.

i rozpowszechnianiu wszelkiego rodzaju odezw i proklamacji. Pojawiające się w tej porze nowe piśmko tajne p. t. „Sternik“, zdaje się, że przez niego było wydawane ¹⁾. Zapewne dość nieostrożnie się zachowywał, gdyż policya poczęła na niego zwracać uwagę. Wśród tej policji znajdował się teraz człowiek, z natury niegodziwy, przytem zmuszony rozpaczliwem położeniem materyalnem do nadzwyczajnych wysiłków zręczności, by zyskać sobie przychylność swych zwierzchników. Człowiekiem tym był Paweł Felkner, pół Niemca, pół Żyda, osobistość niejasna, pochodzenia niewiadomego. Poprzednio był on inspektorem szkolnym w Lipnie, następnie w Łodzi, i popierany przez Muchanowa jako człowiek bardzo zły, bardzo zręczny, obdarzony z natury zmysłem szpiegowskim i policyjnym, znalazł się nakoniec na urzędzie inspektora szkoły pięcioklasowej w Warszawie. Na tem stanowisku zastał go Wielopolski i, oczyszczając zgangrenowane mocno ciało nauczycielskie z tego rodzaju indywiduów, dał mu w lipcu 1861 r. „dla dobra służby“ dymisya. Felkner obarczony liczną rodziną, mając przed sobą raz na zawsze zamkniętą drogę do służby w wydziale szkolnym, postanowił zostać członkiem policji tajnej i, rozpoczynając teraz swoją nową karyerę, starał się wszelkiemi siłami o to, by się czemkolwiek odznaczyć. Kiedy ukazało się w licznych odbitkach na mieście „Słowo narodu polskiego do ks. arcybiskupa Felińskiego“, i kiedy paszkwil ten powszechną na siebie zwrócił uwagę i uzyskał rozgłos ogromny, policya tajna otrzymała surowy rozkaz wysłedenia autora i drukarza tego pisma. Felkner, chwytając oburącz sposobność odznaczenia się, wziął się gorliwie do dzieła i w ciągu paru tygodni przekonał się, że „Słowo“ odbite zostało na małej prasie drukarskiej, ukrytej w mieszkaniu Aleksandra Zamojskiego,

¹⁾ Jest to tem prawdopodobniejsze, że od chwili aresztowania Zamojskiego, „Sternik“ przestał wychodzić. O ile wiemy, wszystkiego ukazały się tylko trzy numera. Piśmko to dziś jest istotną rzadkością bibliograficzną.

na ulicy Marszałkowskiej¹⁾. W nocy więc z dnia 2 na 3 marca, zaszła policya do mieszkania Zamojskiego, a gdy drzwi nie otwierał długo, wyważono je siłą. W pokoju, maleńkiej izdebce kawalerskiej, zastano biednego archiwistę bladego i mocno zmieszanego, otoczonego kłębamii dymu, który wydobywał się z całego stosu papierów, palących się tak w piecu jak i na podłodze. Gdy ogień ugaszono, spostrzeżono, że Zamoyski palił nieszczęsne „Słowo“, którego kilkaset egzemplarzy jeszcze znaleziono, a na ich większości był dopisek „drukowano w drukarni Sternika“. W piecu natrafiono na tłące się, mokre jeszcze, widocznie świeżo odbite arkusze „Sternika“, a szczegółowa rewizya wykryła znaczny zapas papieru, ręczną prasę drukarską i czcionki. Wszystko to zabrano, a samego Zamojskiego osadzono w cytadeli. Fakt ten nie miałby żadnego znaczenia, byłby arcypospolitym wypadkiem tych czasów, gdyby nie ta okoliczność, że była to sprawa sama przez się bardzo przykra dla arcybiskupa Felińskiego, oraz że po mieście, w kilka dni po aresztowaniu Zamojskiego, rozeszła się wieść, powtórzona przez prasę zakordonową polską, a z niej przez wszystkie dzienniki w Europie, że więźnia przy śledztwie, dla przymuszenia go do wydania współników, tak niemiłosiernie bito różgami, iż ciało kawałkami zeń odpadało i życiu jego poważne zagraża niebezpieczeństwo. Wieści te tak się rozpowszechniły, tak wielkie przybrały rozmiary, że poruszono je nawet w parlamencie angielskim; i wobec tego rząd widział się zmuszonym do publicznego im zaprzeczenia, w formie osobliwszej, ale kładącej kres wszelkim pogłoskom. Mianowicie wskutek rozkazu generał-gubernatora Kryżanowskiego, wezwano dnia 28-go marca komendanta Warszawy kniazia Bebutowa, ażeby razem ze znanym lekarzem Tytusem Chałubińskim, fabrykantem Karolem Minterem i naczelnii-

¹⁾ Że Felkner wysłedził Zamojskiego, świadczy czasopismo tajne „Ruch“ Nr. 5 z dnia 17 kwietnia 1862 roku, gdzie czytamy: „Felkner były inspektor szkół, ten sam, który Zamojskiego wysłedził..“

kiem wydziału w Towarzystwie kredytowym ziemskim Aleksandrem Preysem, udał się do cytadeli i tam protokółarnie ściągnął z Zamojskiego zeznanie, czy istotnie się nad nim pastwiono. Jakoż delegacya ta, tak ją bowiem urzędownie nazwano, stanawszy w cytadeli, wezwała przed siebie więźnia, który na zapytanie, czy był bity, odrzekł, że „od chwili aresztowania nie tylko cielesnie karany, ale nawet ręką dotknięty przez nikogo nie był i słowem honoru to potwierdził“; a gdy Bebutow zapytał, czy postrachem do takiego zeznania nie jest zmuszony, Zamojski odparł, że „gotów jest rozebrać się dla usprawiedliwienia tego, co mówi“. Protokół ten, podpisany przez członków delegacyi, ogłoszony został zaraz w „Dzienniku powszechnym“, z którego przedrukowały go inne gazety. Nikt jednak temu nie wierzył, powszechnie mówiono, że Zamojski zagrożony męczarniami musiał dać takie zeznanie, i cała ta sprawa, możliwa tylko w czasach takiego wzburzenia umysłów, jakie wtedy w mieście panowało, rozdrażniła jeszcze bardziej ogół przeciw ks. Felińskiemu, którego uważano za pośrednią niejako przyczynę niedoli Zamojskiego ¹⁾.

Do tych wszystkich zarzutów, którymi obarczano nowego arcybiskupa, przyłączyły się jeszcze i inne. Pewna grupa kobiet, należących do sfer arystokratycznych lub zamożnego mieszczaństwa, oddanych przez modę, przyzwyczajenie, a może i przez potrzebę duszy nabożeństwu, a raczej dewocyi, stała się gorącymi wielbicielkami Felińskiego i znudzona żalobą, lub, jak niektórzy utrzymują, nakłoniona do tego przez arcybiskupa ²⁾, poczęła naprzód do

¹⁾ Zamojski już za rządów W. ks. Konstantego skazany został przez sąd wojenny na 12 lat ciężkich robót. Karę tę namiestnik zmniejszył do połowy.

²⁾ W jednej z relacyi rękopiśmiennych z tej epoki, relacyi, którą posiadamy w naszych zbiorach, znajduje się taki ustęp: „co Wielopolski od cesarza nagadał Felińskiemu o żalobie, niewiadomo, to wszelako pewna, że arcybiskup od niejakiego czasu perswaduje pannom po pensyach, żeby czarnych sukien nie nosiły, a nawet z ambony publicznie nagania noszenie żaloby“.

czarnego stroju przypinać kokardy fioletowe, a potem całym fioletowo się ubierać. Widok tych dam, uderzających oczy niezwykłym w tej porze strojem, wielu drażnił niesłychanie, inni szydzili głośno, zwali je „fiołkami“, i ta nazwa utrzymała się na długo. Motłoch uliczny zato obrzucał je obelgami i wołał: „oto idą żony Felińskiego“, albo „córki ks. Felińskiego“, co one znosiły z godną istotnie admiracyi spokojnością i powagą. Prasa tajna milczała o fakcie nienoszenia żałoby przez pewne kobiety, lub też wspominała o tem, jak o pogłosce niewiarogodnej i niemożliwej. „Pobudka“¹⁾ raz tylko, w tonie dyplomatycznej ostrożności, odezwała się o tem: „zaczęły chodzić wieści, (łatwo się domyślić, z jakiego źródła), że Warszawianie porzucają zwolna żałobę i z utęsknieniem patrzą na upływający smutno karnawał, a nawet pozwalają sobie niewinnej rozrywki w teatrze. Najkategoryczniej temu zaprzeczyć musimy. Przy tak ciężkim żalu w sercach zachowuje się i żałoba w szatach, a o zabawie nikt nie pomyśli nawet. W teatrze nie widziano jeszcze Polaka, bo ani garstki podłych renegatów, ani rodziny Wielopolskich, pilnie uczęszczających na wszystkie widowiska, szlachetnem mianem Polaków nazwać się nie godzi“.

Tymczasem w istocie tak nie było. Pominąwszy już to, że „fiołki“ coraz częściej i coraz gęściej poczęły się pojawiać na ulicach Warszawy, a za nią i innych miast Królestwa, to i twierdzenie, jakoby „w teatrze nie widziano jeszcze Polaka“ pozbawione było prawdy. Rzeczy się przeciwnie miały. Lüders, znudzony posępnością Warszawy, którą znał dawniej jako bardzo wesołą, i która ustaloną miała opinią, jako „Kapua rozmiękczejaca surowych moskiewskich synów północy“, sam wielki zwolennik zabaw, postanowił przynajmniej pozornie nadać Warszawie cechę weselszą i radośniejszą. W tym celu w Zamku odświeżono niektóre sale, mocno zabrudzone przez wojska, które w nich za Gorczakowa kwaterowały, i wkrótce na-

¹⁾ Nr. 3 z dnia 6 marca 1862 r.

miestnik wydał bal, poprzedzony przez widowisko teatralne amatorskie. W przedstawieniu tem wzięła udział córka namiestnika, siostra generałowa Daragan i druga jakaś kuzynka Lüdersa, oraz adjutanci. Dano sztukę francuską i rosyjską. Liczba zaproszonych była znaczna; w pysznych salach królewskich znalazła się cała kolonia rosyjska w Warszawie, znalazło się i Polaków nieco. Jeden z adjutantów namiestnika, Ammosow, do sztuki rosyjskiej dorobił kulety, osnute na wypadkach współczesnych, które gorąco oklaskiwano. Sam bal przy czarujących dźwiękach orkiestry teatralnej Lewandowskiego, miał się świetnie udać ¹⁾, jak twierdzili goście rosyjscy; w rzeczy zaś samej nie był on ani świetny, ani nie bawiono się na nim ochoczo. Na wszystkich zdawała się ciążyć ponura atmosfera czasu.

Mimo to Lüders zamierzył nie ustępować. Jeszcze w połowie grudnia ogłoszono, że wkrótce rozpoczną się przedstawienia teatralne, co oczywiście tak w kołach Czerwieńców, jak i we wszystkich umysłach, cierpiących nad niedolą ojczyzny i uważających żalobę narodową za rzecz bardzo poetyczną i bardzo właściwą, wywołało niekłamane oburzenie. „Czas“ krakowski wystąpił z artykułem, wzywającym, by żadna „dobra Polka“ nie chodziła do teatru. Dnia 7 stycznia, w drugi dzień Bożego Narodzenia, według kalendarza Juliańskiego, otwarto teatr Wielki operą Mercadantego „Bravo“. Sala była pełna, ale świeciła tylko mnóstwem mundurów wojskowych. Z Polaków nie było nikogo ²⁾; z osób cywilnych zauważono tylko redaktora niemieckiej „Warschauer Zeitung“. Kobiety Rosyanki ukazały się w ciemnych sukniach, same jedynie panny Kruzenstern, córki dyrektora Komisji spraw wewnętrznych, wystąpiły strojno i jasno. I tu nie bawiono się wesoło; gmach teatralny z zewnątrz otoczony był mnóstwem żandarmów, a wewnątrz napełniony policją, co nawet naj-

¹⁾ *Oczewidiec*. Posledniaja polskaja smuta („Russ. Starina“ XII, 140).

²⁾ *Pawliszczew*, Siedmicy I, 29.

obojętniejszych na sprawy polskie natchnąć swobodą umysłu nie mogło. Prasa warszawska, prócz jednego „Dziennika powszechnego“, wstrzymała się zupełnie od podawania jakichkolwiek sprawozdań teatralnych, co każdego, znającego jej zwyczaj namiętnego zajmowania się sceną, uderzać musiało i miało cechę wyraźnej manifestacji. Zrazu nawet nie pomieszczano wiadomości, co będzie jutro granem, dopiero w kilka dni po pierwszym spektaklu, z rozkazu cenzury krótkie wzmianki o tem czyniono. Dnia 10 stycznia przyszło z powodu tych przedstawień do ulicznej awantury. Wychodzących z teatru gromada młodzieży rzemieślniczej i szkolnej powitała przeraźliwym gwizdaniem, wskutek czego licznie rozstawiona policja aresztowała kilkanaście osób, co wywołało jeszcze większe rozdrażnienie. To też powoli, sala teatralna, pełna pierwszego dnia, pustoszała straszliwie, gdyż sami Rosyanie, nie zbyt liczni w Warszawie, oficerowie, nie bardzo obfitujący w pieniądze, napęłnić jej codzien nie mogli. Nad garstką widzów, rozrzuconych po sali, unosiła się ponura atmosfera smutku i nudy nieskończonej. W sferach rządowych usiłowano temu zapobiedz przez pogłoskę, że sprowadzoną zostanie operetka francuska i tym sposobem opera polska upadnie ¹⁾, ale i to nie pomogło. Z Polaków, wbrew twierdzeniu „Pobudki“, nikt a nikt do teatru nie chodził.

Jednakże Lüders uparł się przy prowadzeniu polityki rozbawienia Warszawy. Dnia 12 marca z jego rozkazu rozpoczęto dawanie przedstawień w Teatrze Rozmaitości komedya, niby na dziejach narodowych osnuta, właściwie przerobioną z francuskiego przez Dmuszewskiego p. t. „Barbara Zapolska“, w tym zapewne zamiarze, by ściągnąć publiczność polską. Jakoż zamiar ten w części się powiódł. Połowa salki zapełnioną była widzami polskimi, którzy we wszystkich ustępach komedyi, mówiących o królach polskich, dawnej chwale i wielkości narodowej, zachowywali się manifestacyjnie, oklaskując je sowicie. Zato inne przed-

¹⁾ Loc. cit.

stawienia świeciły przygnębiającymi pustkami, choć Lüders stale uczęszczał do teatru, zwłaszcza Wielkiego, przeważnie na balet i bacznie z cesarskiej łoży przypatrywał się i admirował piękne nóżki warszawskich tancerek, zaglądając dość często za kulisy.

Takie w ogólnych zarysach było położenie Warszawy, taka pośepna i mroczna w niej panowała atmosfera. Na prowincyi nie było lepiej. Rząd, w dalszym rozwoju udzielonych koncesyi, postanowił wstrzymane wskutek ogłoszenia stanu wojennego Rady miejskie i powiatowe w czyn wprowadzić. Myśl była bardzo dobrą. Umysłem rozdrażnionym przez manifestacye, żądnym działalności politycznej, nadawało się pewien kierunek, zajmowało się je akcyą, bardzo co prawda ograniczoną, ale mającą cechę obywatelską i społeczną, wprowadzało się je na drogę legalną. To też projekt ten nadzwyczajnie się nie podobał Czerwieńcom. Ich prasa tajna poczęła występować przeciw Radom miejskim to w tonie szyderskim, zwąc je „śmieszoną komedią reform“, to znów poważnym. Najstarsza z tych pism „Strażnica“¹⁾ wołała: chcą teraz, żebyśmy okazali się zadowolonymi, żebyśmy chodzili do teatrów, na zabawy, zrzucili czarne suknie, abyśmy pod bagnetami, w stanie wojennego prześladowania, wzięli udział w Radach miejskich i powiatowych; a gdyby to wszystko otrzymali (Moskale), powiedzą: już teraz nie im dać nie trzeba, gdyż nie mają żadnej potrzeby i są z nas zadowoleni. Ostrzegamy o tym planie i wykazujemy pochyłość, po której najazd i ci z narodu, co nie obejmując ogółu sprawy, prowadzą naród do uległości. Ostrzegamy o tej pochyłości i przypominamy konieczność wytrwania w biernym oporze, którego charakter już dawniej staraliśmy się określić. Najobszerniej atoli sprawę tę komentowało nowe piśmko, które właśnie w tej porze ukazywać się poczęło p. t. „Prawdziwy patriota“. W numerze pierwszym²⁾, „Patriota“

¹⁾ Nr. 5 z dnia 15 marca 1862 r.

²⁾ Z dnia 27 marca 1862 r.

powiada, że doskonale rozumie powody, dla których Moskale „w czasie represyi chcą otworzyć Rady, ale zrozumieć nie możemy głosu tych, którzy doradzają członkom wzięcie w nich udziału teraz, gdy nikt bezpiecznym nie jest, gdy w więzieniach mordują, gdy wywożą naszych braci, gdy najmniejsze słowo, wykazujące uczucie polskie, jest w ich oczach dostatecznym do skazania na męki; aby dać represyi pozór łagodny, cechę normalnego położenia, nie potrzeba nic więcej tylko otworzyć Rady. One swoją egzystencyą rzucają zasłonę na popełnione gwałty, bo dadzą wiele na obronę ciemnizy argumentów. To też Moskale namiętnie otwarcia Rad pożądatają, gdyż czczemi obietnicami nie potrafili żadnej podstawy sobie wyrobić, ani też zjednać ufności głoszeniem swoich dobrych, nigdy nie urzeczywistnionych chęci“. „Jeżeli bowiem w Radach zapadnie pożyteczna dla kraju uchwała, to albo zniesioną ona zostanie przez nieograniczonej władzy naczelnika wojennego, albo też z powodu istniejących przepisów wojennych będzie niewykonalną, a oponenti do Syberyi bez sądu wysłani. Nic więc Rady dobrego nie zrobią, ale na zewnątrz, w Europie będą dowodem przyjaznego dla nas usposobienia, będą znakiem skuteczności represyi, cechą ufności, czyli innemi słowy: usunięciem wszystkich skarg na ohydne gwałty rządu, potępieniem zeszlorocznych wypadków i odstąpieniem od ich zasad. Wszakże w adresie 27 lutego 1861 r. powiedziano, że ufność do rządu starganą została i że represyą odbudować jej nie można. Czyż więc zgodzenie się na Rady nie będzie zaprzeczeniem adresu, czyż nie będzie wotum zaufania dla rządu, i to powstałego przez represyą? Nie! to niepodobna nam przypuścić, ażeby ludzie, którzy do wzięcia udziału w Radach namawiają, byli ludźmi dobrej wiary, żeby nie widzieli szkody, jaką sprawie narodowej wyrządzają i plamy, jaką na czoło narodu sprowadzają. Cisnąć się z dowodami ufności do rządu, jest to samo, co wytwarzać stronnictwo, na któremby rząd najezdniczy oparł się, jest to pomagać mu w prześladowaniu, bo dotąd nic nie zrobił, coby było dowodem zmiany

systemu, dowodem usunięcia prześladowania. Nie jesteśmy przeciwnikami Rad, bo są to skromniutki administracyjne instytucje, pozbawione charakteru politycznego, a mogące po usunięciu panowania wojska drobne korzyści dla kraju wyrobić. Nie będą one kierować narodem, nie będą legalnym organem, nie będą więc mogły legalizować (sic) Moskali, a mogą być, jak każda magistratura, z porządnych ludzi złożone, pożyteczne, ale pożyteczne tylko po zniesieniu stanu oblężenia. Otwarcie ich albowiem w obecnym położeniu jest tem, czem było otwarcie przez ks. Felińskiego kościołów, z pominięciem warunków przez dostojnego ks. Białobrzeskiego postawionych, byłoby ustępstwem tem niebezpieczniejszem, że grozi zerwaniem jedności narodowej i może wywołać inne jeszcze ważniejsze ustępstwa. Prócz wyłuszczonej tu politycznej korzyści, jakieby Moskwa odniosła z otwarcia Rad w stanie oblężenia, chce ona przez zwalenie na nie poboru wojskowego, już nakazanego, odwrócić od siebie oburzenie, jakie zwykle ściąga na rząd branka wojskowa. Nie bądźmy więc ślepi i nie gubmy się własnymi rękami! Przeciwno otwarciu Rad w stanie oblężenia przemawia pożytek sprawy i godność narodu. Spodziewamy się więc, że wybrani do Rad oświadczą, iż w stanie oblężenia udziału w Radach nie wezmą, a gdyby się znaleźli pomiędzy nimi gotowi do ustępstwa rządowi, wszyscy inni powinni złożyć mandaty“.

Pomimo jednak tych wezwań i grózb, poczucie potrzeby legalności i przyjęcia reform było tak silne w kraju, że Rady miejskie wszędzie się prawie ukonstytuowały, gdzie tylko rząd je wprowadzić dozwolił. Na początek, jeszcze w dniu 11 grudnia 1861 r. zarządzono wybory do pięciu Rad, a mianowicie: w Łodzi, Zgierzu, Siedlcach, Pułtusku i Krasnymstawie. Wybrano te miasta dlatego, że je uważano za „najmniej zarażone duchem nieładu“¹⁾. W Łodzi i Zgierzu otwarcie posiedzeń Rad miejskich, według rządowego naznaczenia, nastąpiło zaraz 11 grudnia bez

¹⁾ Pawliszczew, Siedmicy I, 24.

wszelkich trudności, co przypisać należy przewadze żywiołu niemieckiego, nieprzyjaznego aspiracyom polskim¹⁾. W Siedlcach także bez manifestacyi Rada się ukonstytuowała dnia 26 stycznia 1862 r.; w miesiąc potem w Pułtusk; w jednym tylko Krasnymstawie rzeczy nie odbyły się tak gładko. Zrazu nie chciano przystąpić do wyborów, ale gdy te nakoniec uskutecznilo, radni podali prośbę o odroczenie przysięgi do ostatnich dni stycznia. Chcieli się oni bowiem przekonać wprzód, jak wogóle Rady przyjmą się w kraju i jak sobie poczynać będą. Prasa tajna pochwaliła ten krok. „Pobudka“²⁾ pisała: „radni kierując się zdrowym rozsądkiem nie złożyli dotąd przymusowej (więc nieważnej) przysięgi i do czynności nie przystąpili, raz dlatego, że Rady ustanowione zostały dla całego kraju, niema więc powodów i racyi, dla jakichby w pewnych tylko, uprzywilejowanych miastach miały być otwarte; powtóre, że przepisy stanu wojennego najsurowiej zabraniają wszelkich zebrań, które w przystępie złego humoru lub pijaństwa komendanta placu mogą być rozpedzone (jak wybory (do Rady powiatowej) w Ostrołęce), a radcy bez sądu i apelacyi wprost na Sybir wysłani“. Te pochwały snadź tak oddziaływały na radców krasnostawskich, że z szesnastu wybranych, trzynastu podało się do dymisyi i tym sposobem miasto ze szkodą własną pozbawione zostało instytucyi, która, jak czas pokazał, bardzo dodatni i korzystny wpływ wywierała na gospodarke i dobrobyt miejski.

Mimo to rząd nie cofał się. Przez postanowienie Rady administracyjnej Królestwa z d. 7 marca 1862 roku

¹⁾ Loc. cit. 27. W obu tych miastach, jak twierdziła „Pobudka“, (Nr. I z dnia 1 stycznia 1862 r.), „udało się rządowi omylić łatwowiernych, czy też pod bagnetem osadzić wybranych w magistratach“. W rzeczy samej inaczej było. Wybory odbyły się spokojnie i bez nacisku rządowego. Na pierwszym posiedzeniu nowych Rad sprawdzono ważność wyborów, wykonano przysięgę, oznaczono termin posiedzeń peryodycznych. Na trzymających pióro wybrano w Łodzi, p. Tomasza Sudra, w Zgierzu żyda, Szymona Waldberga.

²⁾ Nr. I z dnia 1 stycznia 1862 r.

zadekretowano utworzenie Rad w Łowiczu, Wieluniu, Hrubieszowie i Kalwarii; przez także postanowienie z dnia 4 marca t. r. w myśl, agitującej się właśnie w opinii publicznej i na drodze prawodawczej, emancypacji żydów, dozwolono „w razie zachodzącej potrzeby“ wybrać jednego ławnika honorowego, „z pomiędzy mieszkańców wyznania mojżeszowego“. Lüders przez cyrkularz do władz wojskowych i żandarmeryi zabronił im jak najsurowiej mieszać się do wyborów, czynienia jakiegokolwiek nacisku na wyborców, lub zwiększania kontyngensu wojskowego tam, gdzie się wybory odbywać mają¹⁾. Jednym słowem w tym razie rząd postępował uczciwie i trzymał się ściśle przepisów prawa. Powoli Rady wszędzie się konstituowały; przystąpiono do wyborów w Suwałkach d. 6 marca, w Radomiu d. 15 marca, w Lublinie d. 1 kwietnia, we Włodawku, Kaliszu, Kielcach, Piotrkowie i t. d. W Lublinie, pomimo protestacyi i grózb stronnictwa ruchu, nadsyłającego obywatelom listy bezimiennie, zabraniające przystępowania do wyborów, wybory te jednak przysły do skutku. Każdy z wybranych miał za sobą od 700 do tysiąca kilkuset głosów. Ponieważ prawo nakazywało, aby każdy z radców był posesyonatem, więc wyborcy życząc sobie niektórych, nie posiadających majątku nieruchomego, sporządzali na ich rzecz akta rejentalne symulacyjnego nabywania domu i tym sposobem zadość czynili przepisowi²⁾. Gdy z początku z pewnem ociąganiem się, z pewną obawą czy krok ten nie zaszkodzi interesom kraju, przystępowano do wyborów, teraz, gdy przykład raz był dany, gdy przekonano się, że Rady miejskie nie tylko w niczem nie naruszają tych interesów, ale owszem przez rządność i ład dopomóż im mogą, z wielką ochotą zabierano się do wyborów. Po miastach, w których według ustawy nowa instytucja mogła istnieć, rozwijano nadzwyczaj czynną agitacyą, formo-

¹⁾ Pawliszczew, Loc. cit. I, 64.

²⁾ J. W. Notaty do lat 1860—1861. Wspomnienia z pamięci. (rękopism).

wano listy wyborcze, dyskutowano, spierano się, i w całym kraju na chwilę zapomniano o manifestacjach, o wielkich zadaniach, które nie zawsze możliwe, zato zawsze bardzo trudne są do spełnienia, a natomiast myślano o drobniejszych, pospolitszych, że tak powiemy, niemniej przeto nader ważnych i znaczących. Wybrani radcowie, ojcowie miasta, obdarzeni zaufaniem ogółu, z dumą zasiadali na kurulnych krzesłach rajcowskich po magistratach, gdzie dotąd rządził samowładnie burmistrz lub prezydent, rządził zwykle źle i nieuczciwie. Odtąd rozpoczął się prawdziwy ład, prawdziwa sferność w tym zarządzie. Z nadzwyczajną gorliwością, jaką spotkać można tylko w ludziach, których pozbawiono oddawna pełnienia jakiejś przyrodzonej funkcji, zabierano się wszędzie do porządkowania miast, do restauracyi gmachów publicznych, pamiątek przeszłości, do wydobywania funduszków ukrytych, do zwiększania dochodów miejskich. Wszędzie dała się odrazu uczuć ręka czynna, troskliwa, obywatelska, ręka Polaka umiającego cenić i czczyć swą przeszłość, dbać o jej pamiątki i pomniki, ręka obywatela szanującego grosz publiczny. Przeglądano dawne akta i przywileje, odbierano nielegalnie nieraz, prawem kaduka lub za łapówkę zabrane grunta miejskie, lasy, pastwiska; rozmyślano jak i na co użyć znacznych częstokroć funduszków, które miasta nasze według starej, ale dobrej ustawy, jeszcze z czasów Królestwa konstytucyjnego, składały do depozytu w Banku polskim; wszędzie zwiększano fundusze szkółek miejskich, podnoszono pensye nauczycielom i odwoływano się do uczuć patryotycznych mieszkańców, by dzieci swoje do tychże szkółek posyłali. Jednem słowem Rady miejskie, podobnie jak ich siostrzyce: powiatowe i gubernialne, odrazu się tak silnie i tak dobrze przyjęły, tyle niosły w sobie zacnych i obywatelskich chęci, że wszelkie nateraz próby przeszkodzenia ich rozwojowi nie udawały się zupełnie. Napróżno stronnictwo ruchu domagało się, że kiedy już przystąpiono do uformowania Rad, to niechże z tego faktu wyciągnięte zostaną możliwe korzyści: chciało więc, by Rady jednogłośnie na pier-

wszcych swych sesjach zażądały zniesienia stanu wojennego (tego rodzaju żądanie nie wchodziło wcale w atrybucye Rad), a gdyby im odmówiono, żeby się podały do dymisyi. Domagań się tych jednak nie posłuchano i żądań nie wykonano wcale.

Niemniej gorliwie brały się do rzeczy Rady powiatowe, dając na sobie świetny przykład, jak nawet w szczupłym zakresie rządów reprezentacyjnych Polacy umieją być czynni, sforni, rządni i zapobiegliwi. Sądziłoby można, że odżyła stara tradycya Komisji porządkowych, ustanowionych przed kilkadziesiątu laty przez sejm czteroletni, tradycya ładu, ofiarności i cnoty. Nie mamy pod ręką dokładnego obrazu działalności tych Rad, ale przytoczymy tu parę przykładów, dowodzących, jak świetnie one prosperowały i jak się rozwijały. W powiecie stopnickim każdy z radców powiatowych wziął pod swój nadzór jedno miasteczko, badał, jak i czem podnieść jego dobrobyt, jakie zaprowadzić oszczędności, jak zapobiedz nadużyciom. Projektu jego, przedstawiane Radzie, po jej zatwierdzeniu wchodziły dopiero w wykonanie. Jakkolwiek czynności te spełniane były honorowo, wytworzyło się jednak wśród radców tak wysokie poczucie obowiązku, że wykonywano go gorliwie, częstokroć ze szkodą własnych interesów. Że tego rodzaju postępowanie doprowadzało do znakomitych rezultatów, za dowód może posłużyć Wiślica. Kilkumiesięczna zaledwie opieka jednego z radców, powiększyła coroczny dochód miasteczka o kilka tysięcy złp. z pewnej tylko części łąk miejskich, fikcyjnie przez lat kilka w magistracie licytowanych. Jeden folwark miejski, wierzycie wydzierżawiony, pociągnięto do renowacyi praw i w dwójnasób prawie podwyższono dochód z niego. Samo miasto przyprowadzono do porządku, spaloną dzwonnice odbudowano, cuchnące kałuże, pozostałe po dawnym kanale, doprowadzającym wodę z Nidy, oczyszczono i t. p. ¹⁾ W Kielcach staraniem Rady wyrestaurowano bardzo kosztownie

¹⁾ Z notatek współczesnych, rękopiśmiennych.

z zachowaniem skrupulatnem wszelkich pamiątek. t. z. Zamek biskupi, piękny zabytek budownictwa z XVII wieku, zrujnowany przez zamienienie go na koszary, a później nawet na lazaret wojskowy. Nie oszczędzono również grosza na utrzymanie innych zabytków przeszłości narodowej, zwiększono dochody miasta, uporządkowano ogród publiczny i t. p. W Lublinie staraniem Rady położone zostały chodniki asfaltowe; ustawiono gęsciej latarnie, podwyższono etat urzędników magistratu, wypracowano projekt straży ogniowej, restaurowano pomniki przeszłości¹⁾. Nie wszędzie jednak, co prawda, Rady powiatowe trzymały się ściśle granic swej kompetencji, częstokroć za nie wychodziły, ale przyczyna tego leżała nie w samej instytucji i ludziach, ale w czasach pełnych palącej gorączki, w ogólnem podburzeniu umysłów, w zatraceniu, dzięki rządowi rosyjskiemu, poczucia tego, co jest prawnem a co nieprawnem. Władza mądra i dobrze życząca krajowi byłaby na te przekroczenia, jako na złe w początkach nieuniknione, patrzyła przez palce, jedne karciała lekko, innych udawała, że nie widzi, i samą maszynę, z konieczności skrzypiącą zrazu mocno, pchała dalej. Ale takiego postępowania od prokonsulów warszawskich i niewarszawskich spodziewać się nie można było, i wkrótce zobaczymy, jak za przewinienia częstokroć mimowolne, rozwiązywano Rady i rozdrażniano niepotrzebnie ludzi, którzy przez zaakceptowanie reform, przez okazanie ich żywotności i korzyści dla kraju, najskuteczniej przyczynić się mogli do jego uspokojenia. Teraz jednak, w tej chwili, Rady tak powiatowe, jak i miejskie gorliwie zajęte były swymi obowiązkami i rzadko bardzo wchodziły w kolizyę z władzą. Bardzo poważny żywioł stanowili w nich żydzi, których w myśl braterstwa i asymilacji chętnie, może nawe za licznie w stosunku do ludności polskiej, wybierano. W ogólności na 615 członków Rad powiatowych, wybrano 53 żydów, czyli blisko

¹⁾ J. W. Notaty do lat 1860—1861.

11⁰/₀. Do Rad miejskich na 180 ich członków, wybrano 68 żydów, czyli więcej jak $\frac{1}{3}$ ¹⁾.

Jeżeli formujące się Rady zajmowały w tej chwili dość żywo społeczeństwo prowincjonalne polskie, odciągając szczęśliwie umysły od polityki, a nadewszystko od szkodliwych manifestacyi, to były jeszcze inne przedmioty, które, absorbując mocno rozwiniętą działalność duchową kraju, nadawały mu w tej porze charakter bardzo ożywiony i ruchliwy. W poczuciu koniecznej potrzeby uobywatelenia chłopca, a pośrednio w chęci wciągnięcia go do ruchu, a w następstwie do przyszłego powstania zbrojnego, rozpowszechniło się mniemanie, oparte na mieszczańsko-liberalnej teorii, że najlepszym środkiem po temu jest nauczanie tego chłopca czytania i pisania. Mówiono sobie, głoszone po dziennikach, że oświata jest najskuteczniejszą siłą do obudzenia w ciemnej duszy Maćka polskiego uczuć rodzimych, pojęć o szerokiej ojczyźnie, sięgającej poza granice kopców parafialnych. Wiemy dziś, że się mylono, że teoria ta, jak większość teorii, wyrosłych na gruncie liberalizmu mieszczańskiego, okazała się złudnem marzeniem, nieosiągniętem nigdy złotem jabłkiem baśni ludowej. Ale w tej chwili takie miano przekonanie, przekonanie, w które gorąco i bezwzględnie wierzono, i do urzeczywistnienia tego ideału wzięto się z tym ognistym zapałem, jaki cechuje te chwile, jedyne w historii. Po miastach i miasteczkach Rady miejskie i powiatowe uchwalały znaczne fundusze na zakładanie szkółek elementarnych, a w braku pieniędzy odwoływały się do ofiarności publicznej, która nigdy nie zawodziła. Po wsiach dziedzice i proboszcze nie szczydzili grosza na ten cel, i pod wpływem nacisku opinii publicznej, uczuć patryotycznych, wszechwładnej zawsze i wszędzie mody, cały kraj roić się począł od tego rodzaju szkółek. Córki, żony, siostry ziemian, synowie ich, wałęsający się po domu z powodu długich wakacyi, zgromadzali w izbach czeladnych dzieci wiejskie, a nawet starszych parobków

¹⁾ *Pawliszczew*, Siedmicy I, 71.

i dziewczki, i uczyli ich tego czytania i pisania, które niby średniowieczne panaceum, miało być lekarstwem na wszelkie niedostatki, wynikające z braku obywatelskości w chłopie polskim. Różni pisarze powołani i niepowołani, wydawali mnóstwo tanich książeczek, które miały ułatwić tę naukę, a księgarze warszawscy tysiące egzemplarzy tych dziełek wysyłali na prowincyą. Zakładano wszędzie biblioteki, czytelnice, pochłaniano dzieje przeszłości, tak pełnej chwały i majestatu, i rozżarzano w sobie gorący już mocno patriotyzm wspomnieniami tej chwały, wielkiej zaiste! i pięknej, tej „ojczyzny nieśmiertelnej, mimo działów niepodzielnej“. Tu i owdzie dziedzic i proboszcz, w dni świąteczne i niedzielne, zgromadzali u siebie starszych gospodarzy wiejskich i młodzież dorosłą, i odczytywali im dzieje tej Polski przebóstwionej, wskazywali im tę gwiazdę, która, jak mówi poeta, „drzemie, lecz nie zgasła w dniu rozbicia“. Wychodzące w tej porze pismo ludowe „Kmiotek“ miało licznych prenumeratorów i zwykle na tych wieczornych zgromadzeniach pilnie było odczytywane. Niewątpliwą jest rzeczą, że w tem wszystkim nie szło wcale o istotną oświatę, ale o cele patriotyczno-polityczne, gdyż nieszczęściem jest Polski, będącej w niewoli, zwłaszcza w jej zaborze rosyjskim, że każdy czyn, każde zamierzenie, mające dobro ogólne na celu (mniejsza o to, właściwie, czy nie, pojęte), musi nosić charakter polityczny.

Cały ten ruch gorączkowy, wykwitły samodzielnie, zrazu niepostrzeżony przez rząd, który nie zawsze wiedział, a nadewszystko nie zawsze umiał zdać sobie sprawę z tego, co się koło niego dzieje, rozwijał się potężnie, niczem niehamowany. W końcu jednak ruch ten przybrał tak szerokie rozmiary, brzmiał tak rozgłośnie po kraju, że musiał na siebie zwrócić uwagę różnych tępogłowych ale zato podejrzliwych kacyków rosyjskich. Posypały się więc ze wszędy strony raporta do Kruzensterna, Kryżanowskiego i Lüdersa, a ten odwołał się, jak to zresztą uczynić był powinien, do Komisji oświecenia. Ponieważ jednak ta ostatnia nie mogła znaleźć żadnego przepisu w prawach obowiązujących

w Królestwie, któryby zakazywał zakładania szkółek i uczenia młodzieży, więc Rada administracyjna wydała do Komisji postanowienie, datowane d. 1 kwietnia, polecające, ażeby „każdy, kto już otworzył szkołę początkową, doniósł o tem Rządowi gubernialnemu w ciągu dwóch miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia“. W dalszem swem wyjaśnieniu, Komisya zawiadamiała, że wprawdzie zakładanie szkółek początkowych, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie dotąd szkoły elementarnej rządowej niema „nie jest wzbrownionem“, ale odtąd każdy właściciel ziemski lub proboszcz, mający zamiar założenia takiej szkółki, winien o tem donieść rządowi gubernialnemu, wymienić przytem nauczyciela i przedmioty, jakie będą wykładane. Rozporządzenie to miało ten skutek, że odtąd akcyja szkolna odbywała się po większej części skrycie, dla uniknienia kontroli rządowej. W wielu miejscach oficjalnie szkółkę zamknięto, co nie przeszkadzało, że w dworach u córek lub żon dziedziców zgromadzały się wieczorami dzieci chłopskie i uczyły się lub słuchały ognistych opowiadań o Polsce i jej sławie minionej. Świąteczne zgromadzenia wieczorne, których nikt skontrolować nie mógł, przybrały teraz szersze i tem niebezpieczniejsze rozmiary, że miały urok i smak owocu zakazanego. Weszło przytem w zwyczaj, że w gorącej chęci zyskania sobie chłopca, dziedzice i dziedziczki bywały na weselach i uroczystościach domowych chłopskich, trzymali im dzieci do chrztu, obdarzali podarunkami, lekarstwami w razie choroby i t. p.

Na Litwie ze sprawą nauczania chłopca rzeczy się o wiele lepiej miały. I tu bowiem przeniknął ów prąd zakładania szkółek wiejskich, zbliżania chłopca do dworu. Tak samo jak w Królestwie, żony, córki, siostry możnych panów litewskich, uczyły osobiście dziatwę wiejską, oczywiście po polsku, i sprowadzały dla niej książki polskie. Ówczesny kurator okręgu naukowego wileńskiego, Sziriński-Szachmatow, zwrócił na to uwagę i wpłynął na Nazimowa, że ten wydał cyrkularz do policji ziemskiej, w którym polecał jej pilną baczość na to, by obywatele nie urzą-

dzali w swych majątkach szkół ludowych z wykładem w języku polskim ¹⁾). Nie małego znaczenia używał wówczas na Litwie marszałek gubernialny grodzieński, hr. Starzyński, bodaj czy nie takiego samego, jakie miał w Królestwie pan Andrzej Zamoyski. Starzyński, wielki przyjaciel tego ostatniego, zręczny, rozumny, gorący patriota, o przeszłości burzliwej i romantycznej, służył jako prosty żołnierz na Kaukazie i ozdobiony był krzyżem wojskowym św. Jerzego za waleczność. Posiadał on rozległe i wpływowe stosunki w sferach rządowych petersburskich, zwłaszcza był w przyjaźni z ministrem spraw wewnętrznych, Wałujewem. Gdy więc ukazał się cyrkularz Nazimowa, zabraniający zakładania szkólek po wsiach, Starzyński wpłynął na Wałujewa, który w organie swego ministeryum „Poczcie północnej“ (Siewiernaja poczta), pomieścił obszerny artykuł, pochwalający działalność pedagogiczną niektórych pań polskich w powiecie dzisneńskim. Gazeta donosiła, że panie te w swych majątkach pozakładały szkółki wiejskie i osobiście nauką czytania i pisania się zajmowały, i działalność tę stawiała innym za przykład, godny naśladowania. Artykuł ten wywarł silne wrażenie na sfery rządowe wileńskie; obywatele polscy, niezadowoleni z Nazimowa i Szirińskiego-Szachmatowa, wskazywali nań, jako na dowód zacofania administracyi miejscowej, która wbrew woli rządu stawia przeszkody zbawiennej działalności szlachty litewskiej. Nazimow, z natury dość tępy i leniwy, zrazu oburzył się, pisał do ministra Wałujewa, ale nie otrzymawszy odpowiedzi, zostawił rzeczy ich biegowi. Dzięki temu szkółki ludowe na Litwie rozwijały się potężnie i swobodnie, aż do chwili, gdy krwawy Murawiew Wieszatiel pojawił się w Wilnie.

Chłop polski wobec tych zabiegów zachowywał się ze zwykłą sobie podejrzliwością i milczącą pokorą. Na żądanie dziedzica i proboszcza posyłał dzieci swoje do szkółki,

¹⁾ „Russkaja Starina“ z 1885 r. w artykule „Władimir Iwanowicz Nazimow“.

lub do „panienek do dwora“, zwłaszcza, że dzieci te, obsypywane tam dla zachęty podarunkami i przysmakami, ohotnie same biegły; chodził na wieczorne czytania, wsłuchiwał się w „wieniec wspomnień purpurowy“, potakiwał temu, co mu mówiono, wzdychał żałośliwie, gdy mu prawiono o nieszczęśliwej ojczyźnie polskiej, ale swoją nieufność do wszystkiego, co od dworu wychodziło, zachował w całości. Ze swym zdrowym zmysłem natur prostych i podejrzliwych, widział on w tem akcyą polityczną, trzymał się bardzo ostrożnie i, gdy się znalazł wśród swoich, mruczał pod nosem: „oj źle, źle, panowie coś znowu machlują!“.

W ogólności ten szal gorączkowy ku uobywateleniu chłopca za pośrednictwem oświaty, nietylko nie osiągnął skutku, jakiego oczekiwano, ale wydał wręcz przeciwne rezultaty. Wobec tysiąca głuchych wieści, dochodzących w formie mocno skażonej do ludu o oczekującej go blizkiej swobodzie, wieści usprawiedliwionych ostatnimi rozporządzeniami rządowemi o zniesieniu pańszczyzny i o gotującym cię oczynszowaniu, wobec zabiegów stronnictwa rewolucyjnego o zyskanie sobie „mas ludowych“ przez podburzanie ich przeciw „panom“, te nagle, dotąd nigdy niebywałe usiłowania szlachty do zbliżenia się do ludu, do życia z nim po sąsiedzku, wyrodzić musiały w posępnej duszy chłopca to mniemanie, że się coś niedobrego gotuje i że tu idzie o jego skórę. Trzymał się więc odpornie i przy każdej nadarzonej sposobności okazywał swą nieprzejednaną nienawiść do dworu. Władze rządowe w tej porze otrzymywały niestanne skargi i denuncyacye chłopskie na panów. Tu donoszono, że dziedzic nie chce się zgodzić na okup; ówdzie, że domaga się pańszczyzny lub darmocho, lub też, że przy ostatecznem rozgraniczeniu gruntów folwarcznych od chłopskich, te ostatnie wydziela na pustkach lub nieużytkach, nie daje łąki i lasu¹⁾. W Sandomierskiem zwłaszcza, to domaganie się łąk i lasów było na porządku dziennym; w Kaliskiem chłopci skarżyli się na wysoki czynsz i w na-

¹⁾ *Pawliszczew, Siedmicy I, 13.*

dziei lepszych czasów, nie chcieli przystąpić do regulacji. Te skargi są jeszcze do pewnego stopnia wytłomaczone, ale liczne denuncyacye chłopskie na swych panów świadczyły o nadzwyczaj oplakanych stosunkach między chatą i dworem. We wsi Guzowie w powiecie Stanisławowskim, chłopci oskarżyli drogą tajnego doniesienia dzierżawcę Mazowieckiego, że ma u siebie skład broni i 13 rycin podburzających¹⁾. Włościanie gminy Radoszyckiej w Opoczyńskiem, oskarżyli niejakiego Białczewskiego, urzędnika górniczego, że podburzał ich przeciw rządowi; podobnaż denuncyacya przyszła do władzy od chłopów z Kotkowa w powiecie Łęczyckim, na rządcę, który miał ich zachęcać do obrony wiary, znieważonej w kościołach warszawskich przez Moskali. Nawet księża nie byli wolni od tego potoku denuncyacyi; w kwietniu 1862 przybyli wysłańcy kilku wsi ze Stanisławowskiego do Warszawy do namiestnika, i ryczałtem oskarżali dziedziców, wójtów i proboszczów o „bunt“²⁾. Możnaaby do nieskończoności przeciągnąć tę posepną listę denuncyacyi, tego wstrętnego objawu nienawiści natur prostackich do dworu i wogóle do klas wyższych, ale i te wystarczą, by przekonać, na jak kruchym gruncie opierali się ci, co myśleli i głośno zapowiadali, że olbrzymia czarniawa ludowa zerwie się na ich głos z taką siłą, iż za jednym zamachem wymiecie Niemca i Moskala za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę...

Do tej powszechnej i rosnącej ciągle niechęci chłopca do szlachcica i wogóle do każdego surdutowego „ciaracha“, przyczyniał się bardzo wiele zły stan ekonomiczny kraju, którego źródło chłop widział w „buntach“ panów i „łyków“ miejskich. Ciągłe manifestacye, uroczystości narodowe, nabożeństwa, odrywały ogromną większość ludności miejskiej od pracy stałej i systematycznej, i wywoływały konieczną nędzę, której zapobiedz nie mogła doraźna pomoc, jaką klasy zamożniejsze od czasu do czasu niosły. Przytem w tej

¹⁾ Loc. cit. 21.

²⁾ Loc. cit. 69.

chwili zjawił się fakt osobliwszy, który z wielu względów przyczynił się do pogorszenia stanu ekonomicznego, fakt, którego wina leżała wyłącznie na rządzie. W kraju okazał się nadzwyczajny brak drobnej monety zdawkowej, co klasie uboższej, operującej drobnymi sumami, dotkliwie uczuć się dawało i narażało ją na wielkie straty. Istniejący w Królestwie bilon, w ilości około trzech milionów rubli, nie mógł uczynić zadość potrzebie zamiennej, zwłaszcza, że żydzi wycófywali go powoli w celach spekulacyjnych. Przyszło do tego, że za zmianę rubla papierowego na srebro lub miedź, żydzi pobierali 7%, a często i więcej¹⁾, co oczywiście głównie odbijało się na kieszeni ludzi ubogich. Rząd, który, jak się zdaje, pragnął nieznacznie zniszczyć samoistność finansową Królestwa i uczynić ją zależną od rujnującej i wiecznie deficytami żyjącej skarbowości rosyjskiej, nic nie przedsięwziął, by zapobiedz oplakanemu temu brakowi. Wybite w mennicy warszawskiej 300.000 rs. bilonu miedzianego było, że użyjemy przysłowiowego wyrażenia, kroplą wody w oceanie. Wobec tego, wobec gwałtownej potrzeby monety zdawkowej, poradzono sobie w ten sposób, że rozmaite stowarzyszenia handlowo-finansowe, jak gubernialne Domy zleceń rolników, zaczęły wypuszczać znaczki papierowe na okaziciela, na drobne sumy dwóch, trzech i pięciu złotych polskich. Za przykładem tych instytucji, które bądź co bądź przedstawiały jaką taką gwarancją, poszły różne stowarzyszenia, a nakoniec osoby prywatne. Kupcy zamożniejsi po miastach i miasteczkach emitowali tego rodzaju znaczki papierowe, częstokroć na poważne sumy. Spekulacja żydowska, jak zwykle, skorzystała z tego szczególnego i zaiste, niesłychanego w żadnym ucywilizowanym państwie położenia, i poczęła także wypuszczać swe znaczki, mające charakter solawekslu. Była to istna plaga, która przeważnie na prowincyi doszła do niebываłych rozmiarów. Ilość tego rodzaju znaczków obli-

¹⁾ *Łisicki*, Al. Wielopolski, III, XIX.

czano w przybliżeniu na cztery miliony rubli¹⁾; Towarzystwo dobroczynności w Lublinie wypuściło ich przeszło na 130 tysięcy złotych polskich, Dom zleceń rolników Hrubieszowskich na 70.000 złp. W samej gubernii Płockiej obiegało około czterystu gatunków monety prywatnej. Wypuszczali ją właściciele ziemscy, kupcy, propinatorzy, aptekarze, często ludzie bez żadnej odpowiedzialności majątkowej²⁾. Doszło do tego, że właściciel sklepiku z tytoniem lub guzikami, posiadający całej fortuny złp. 300 lub 400, wypuszczał nieraz różnokolorowych znaczków papierowych na tysiąc i więcej złotych, zaciągnął tym sposobem pożyczkę bezprocentową od publiczności, pożyczkę w większości wypadków nigdy nie zrealizowaną. Zdarzało się niekiedy, że w danym miasteczku jeden kupiec ze względów osobistych lub konkurencyjnych nie przyjmował znaczków drugiego kupca; żydzi umyślnie bankrutowali, by uniknąć wypłaty za puszczone w obieg papierki. Wszystko to wywoływało zamęt niesłychany w stosunkach ekonomicznych i handlowych, a zamęt ten zwiększały bardzo często samowolne ogłoszenia policyjne po różnych miastach i miasteczkach, zakazujące przyjmowania znaczków, czyli, jak je zwano, „kwitków“, kupca Z. a pozwalające kursować kwitkom kupca X., w czem upatrywano, nie bez słuszności, przekupstwo.

Taki stan rzeczy najdotkliwiej dawał się uczuwać ubogim klasom ludności, a nadewszystko chłopu, dla którego strata kilku złotych była poważną stratą i rozdrażniała go mocno. Szlachcic, wypłacając mu kwitkiem za robotę, kwitkiem, którego nikt zrealizować nie chciał poza granicami wsi, a w jej granicach realizował żyd arendarz i zwykle wódka, pobierając przytem procent lichwiarski, budzić musiał w chłopie poczucie głębokiej niechęci i oburzenia. Lud brak monety zdawkowej przypisywał „buntom ciarachów“, i wszystko składało się na to, by wiekową, historycznie

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

wytworzoną nienawiść chaty do dworu rozżarzyć i doprowadzić do stanu zapalnego. Wypadki ostrego stawienia się dworowi, gromadnych nań napaści, jakkolwiek sporadyczne, nie są w tej dobie rzadkością, co nie mały popłoch rzucało na szlachtę. Popłoch ten tem więcej wzrastać musiał, że rząd właśnie w tym czasie, w obawie zapowiedzianego głośno przez czerwieńców powstania, nakazał powszechne rozbrojenie kraju. W końcu stycznia 1862 r. rozbrojenie to zostało ukończonem z zupełnem zadowoleniem rządu i bez żadnego oporu ze strony ludności. Podniesiono tylko kwestyą, czy ono ściśle i sumiennie było dokonaniem przez władze prowincjonalne. Okazało się bowiem, że w całym kraju odebrano zaledwie 7388 strzelb, wyłącznie prawie myśliwskich i 221 pistoletów; broni siecznej zgromadzono około stu sztuk¹⁾, co wogóle wydawać się musiało liczbą bardzo drobną. Jakoż w rok potem przekonano się najoczywiściej przy wybuchu powstania, że zaledwie mała cząstka broni została złożona władzom, i że umiano ją ukryć starannie przed poszukiwaniem policyi, jak to zwykle w takich razach bywa. Bądź co bądź, czy odebrano broń czy nie, szlachcic mieszkający na wsi, wobec ponurej niechęci chłopą, nie czuł się bezpiecznym i ogólny niepokój w kraju przez to wzrastać musiał, to nerwowe natężenie, które jak prąd elektryczny przebiegało po całej Polsce i dreszczem ją przejmowało.

Nie lepsze było położenie w t. z. prowincyach zabranych, t. j. na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Ogłoszenie stanu wojennego stłumiło głośne i publiczne manifestacye, ale wrzenie w umysłach trwało ciągle, było ono nawet tem silniejsze, że tajone i ukrywać się zmuszone. Rząd, rozbroiwszy zupełnie, podobnie jak w Królestwie, szlachtę, zostawił jednak broń chłopom, co tem było niebezpieczniejszem, że skrycie podburzał ich przeciw „panom lachom“. Na Podolu w ostatnich dniach 1861 r. naczelnicy okręgów, t. z. „stanowi przystawi“, otrzymali od guberną-

¹⁾ Pawliszczew, Siedmicy I, 37.

tora cyrkularz, w którym między innymi było powiedziane: „staraj się pan zwrócić szczególną uwagę na stosunki posiadaczy ziemskich z włościanami im poddanymi. Masz pan pilnie przestrzegać, by te dwie klasy nie zbliżały się ze sobą, by do zbratania między nimi nie przyszło. Owszem, często należy włościanom przypominać, że jedynie Jego Cesarska Mość myśli o polepszeniu ich bytu“¹⁾. Tego rodzaju rozkazy gorliwie wykonywali podrzędniejsi urzędnicy, którzy chociaż w większej części byli Polakami, jednakże demagogicznie usposobieni, nienawidzący szlachty, która w tych prowincjach dumnie się nosiła, chętnie się brali do podburzania chłopów. Na Litwie Nazimow starał się wszelkimi sposobami dokuczyć szlachcie, w najprostszych rzeczach widział spiski i niebezpieczeństwo dla rządu i zasypywał władze centralne w Petersburgu doniesieniami i projektami, zwykle nie mającymi za grosz sensu²⁾. Postępowanie to dochodząc do uszów szlachty, bo nie się wtedy ukryć

¹⁾ Kronika wypadków w r. 1861/2. (Rękopism).

²⁾ W lecie 1861 r. szlachta litewska wobec podrażnionych stosunków z chłopem, a stąd braku rąk roboczych, poczęła z Zaborów austriackiego i pruskiego sprowadzać całe rodziny wiejskie i osadzać ich na swych ziemiach. Nazimow, dowiedziawszy się o tem i „podejrzewając (opowiada jego biograf w „Russkiej Starinie z roku 1885), że sprowadzanie to ma zupełnie inny cel (?), kazał zebrać o tych ludziach dokładne wiadomości, i okazało się, że wszyscy są z dawnych dziedzin Rzplitej t. j. z Poznania i Galicyi, sami Polacy i katolicy, mało obeznani z gospodarstwem rolnem i pod wielu względami, zwłaszcza co do pracowitości i moralności, niżsi od włościan miejscowych. Nazimow, uznając tego rodzaju kolonizacyą za szkodliwą, i zwiększającą tylko liczbę osób niełojalnych (niebлагонადіежных) w kraju, w celu położenia temu końca, doniósł o wszystkim raportem z dnia 11 listopada 1861 r. w Nr. 1304 i 1305, ministrowi spraw wewnętrznych i szefowi żandarmów, w tem przekonaniu, że na słowa jego będzie zwrócona baczną uwaga. Ale zawiódł się srodcie. W kilka miesięcy później, w Nr. 35 „Siewiernej Pocztty“ z roku 1862 ogłoszoną została Najwyżej (sic) zatwierdzona opinia Rady państwa na przedstawienie ministra spraw wewnętrznych, mocą której każdy ziemianin miał prawo bez żadnego pośrednictwa rządu, zawiązywać stosunki z obcymi poddanymi, którzy chcą zamieszkać w Rosyi, i pozwolono im przybywać do Rosyi po zaświadczeniu

nie mogło, drażniło ją mocno, a nadewszystko zdzierало urok z władzy, którą reprezentował człowiek tak śmiesznie nierozumny, że władze petersburskie nawet nie odpowiadały na jego projekta. Pod tym względem dorównywał Nazimowowi gubernator wołyński, generał Drucki-Sokolniński. Głośnym był w tym czasie jego okólnik do naczelników policyi, ogłoszony przez dzienniki rosyjskie ¹⁾, w którym, zwracając ich uwagę „na rozbudzenie się umysłów w narodowości polskiej“, i na wyrzuty, jakich doznaje policya od Polaków, „nawet od osób zajmujących wyższe stanowiska społeczne“, poleca, aby każdy urzędnik policyjny, który dozna podobnych wyrzutów, nie wchodząc w żadne spory, w ten sposób odpowiadał: „łaskawy panie!

przez nasze ambasady, że do tego niema żadnych przeszkód. Nazimow rozgniewany musiał uleść w milczeniu“. Niemniej charakterystyczną jest historia następująca: Budująca się naówczas kolej żelazna warszawsko-petersburska nie była u Nazimowa w łaskach. Mniej więcej w tym czasie zwrócił on uwagę głównego zarządu dróg i komunikacji na „bardzo zagadkowe czyny (opowiada tenże biograf) rzeczonyj kolei, w składzie której przeważał żywioł obcy i różni awanturnicy polscy, wrogo dla Rosyi usposobieni. Szło o to, że Towarzystwo kolei, swe obszerne warsztaty, przy których pracowała bardzo poważna cyfra robotników, oraz większą część taboru kolejowego, umieściło w zupełnie pustej, głuchej miejscowości, przy uroczysku (sic) Łapy, już w Królestwie Polskiem, na granicy gubernii Grodzieńskiej. Pierwszorzędną zaś stacją urządzono nie, jak należało, w Grodnie, ale w Porzeczu, o 30 wiorst od miasta gubernialnego. Nazimow wskazywał na ten fakt, jako na manewr strategiczny, ułatwiający zagarnięcie całego taboru kolejowego przez bandy zbrojne, których pojawienie się już w tych czasach uważano za bardzo prawdopodobne. Przytem Nazimow prosił Zarząd główny komunikacji, ażeby zwiększył dozór rządowy nad budującymi drogę i nad władzami kolejowemi, które zuchwale pozwalają sobie pomieszczać napisy polskie na wszystkich stacyach od Białostoka aż do granicy gubernii Pskowskiej. Cały ten raport generał-adjutant Czewkin zostawił bez odpowiedzi; napróżno Nazimow depeszą telegraficzną d. 16 stycznia 1863 r. prosił o to szefa żandarmów Dołgorukiego, ażeby mu dopomógł w tej sprawie; i to zostało bez skutku. Dopiero Murawiew zmienił owe napisy“.

¹⁾ Między innymi w „Telegrafie Kijowskim“.

łatwiej panu, dogodniej i pożyteczniej dla kraju, zaprzestać działań nie mających sensu i bezprawnych, aniżeli nam urzędnikom, zostającym w służbie, naruszać dla dogodzenia panu przysięgę, obowiązek służby i przytem narażać się na odpowiedzialność, a nawet na utratę miejsca. Naruszać porządek prawny i żądać, ażeby osoby urzędowe, obowiązane do pilnowania go pod osobistą odpowiedzialnością, patrzyły na to przez szpary, wcale nie jest szlachetnie. Zaprzestańcie nieprawych, nie mających sensu manifestacyi, a my nie będziemy zmuszeni do smutnego obowiązku donoszenia o was władzy“. Tego rodzaju śmieszne odezwy nietylko nie mogły wpływać kojąco na umysły, ale przeciwnie wywoływały pogardę dla władzy, która nie umie zachować godności i w sposób prostacki traktuje ludzi i wielkie zagadnienia polityczne.

Takie było w ogólnych zarysach położenie zaboru rosyjskiego, gdy Wielopolski, po czteromiesięcznej blisko nieobecności, zjawił się w Warszawie, by obronić w Radzie stanu projekt swój o oczynszowaniu włościan. Z tego, cośmy powiedzieli wyżej o usposobieniu chłopą, łatwo zrozumieć, jak doniosłe, jak ważne znaczenie miał ten projekt nietylko dla samej ludności wiejskiej, ale dla kraju całego. Wielokrotnie już zaznaczyliśmy, że opinia publiczna wcale nie była zadowolona z tego projektu, gdyż w uwłaszczeniu tylko widziała jedyne słuszne i sprawiedliwe rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej. W Komisji skarbu nawet, jeden z jej wyższych urzędników, niejaki Ignacy Dąbrowski opracował był projekt uwłaszczenia z inicjatywy władz petersburskich, które uważały nie bez słuszności, że tym sposobem podetną nogi rewolucyi i raz na zawsze zyskają chłopą dla rządu rosyjskiego. W tym celu, do pomocy Dąbrowskiemu przysłany został niejaki Protopopow, demagog ze szkoły Milutynowskiej, pierwowzór późniejszych komisarzy włościańskich i na wspólną z Dąbrowskim pracował nad tym przedmiotem. Ale robota szła im dość opieszale, tak, że gotowi byli ze swą pracą dopiero we wrze-

śniu 1862 roku¹⁾. Tymczasem Wielopolski, który, jak się zdaje, wiedział o tych zamysłach, i w obawie przed „zmorą zaboru“, jak nazywał uwłaszczenie, starał się przyspieszyć wprowadzenie w wykonanie swego projektu. Właśnie teraz miał on być wniesiony na Radę stanu i przejść tam pierwszą próbę ogniową.

Kwestya włościańska tak żywo interesowała ogół ówczesny polski, że wszyscy z niezmierną, nerwową rzec można bacznością śledzili debaty Rady stanu, która miała rozstrzygnąć jedno z najważniejszych i najzawilszych zagadnień społecznych tej doby. Wiedzano, że pierwotny projekt Wielopolskiego, wypracowany połączonymi siłami Komisji sprawiedliwości i sekcji rolnej przy Komisji spraw wewnętrznych ustanowionej i złożonej z najwybitniejszych mężów kraju, został nieco zmieniony naprzód przez Radę administracyjną Królestwa, a następnie uległ silnej krytyce ze strony Komisji spraw wewnętrznych; wiedzano wreszcie, że dyrektor główny tej ostatniej, Kruzenstern, gotuje się do upartej walki w Radzie stanu w obronie swych zmian. Jakkolwiek sam projekt Wielopolskiego nie znajdował uznania w ogromnej większości narodu, uważano go za korzystniejszy dla szlachty jak dla włościan, jednakże wobec nienawiści, jaką odczuwano do Kruzensterna, wszystkie życzenia były za tem, by projekt przeszedł, by margrabia pokonał tego Niemca, bardziej moskiewskiego, niż sami Moskale.

Posiedzenia Rady stanu rozpoczęły się dnia 26 marca w Zamku. Otworzył je namiestnik Lüders mową, w której zaznaczył, że głównym przedmiotem debatów ma być projekt o oczynszowaniu z urzędu, że Rada winna wyrzec „swe zdanie w kwestyi tak ważnej dla kraju“. Nie było wątpliwości żadnej, że wszyscy polscy członkowie Rady staną tym razem po stronie margrabiego; sam zresztą był

¹⁾ Projekt Dąbrowskiego posłużył później za osnovę dekretu Rządu narodowego z dnia 23 stycznia 1863 r. i ukazu z d. 2 marca 1864 roku.

szermierzem niełada, mistrzem w prowadzeniu dyskusyi, w argumentacyi, w zwalczaniu zdań przeciwnych. Nie trzeba więc było lękać się, by go taki Kruzenstern mógł pokonać, zwłaszcza w atmosferze niechętniej dla siebie, jaką większość Rady dlań stanowiła. Przytem margrabiego poprzedzały wieści z Petersburga, donoszące o jego wielkich tam sukcesach i o wpływie, jaki wywierał na sfery rządzące. Wszyscy rosyjscy dygnitarze warszawscy widzieli w nim nowe słońce wschodzące na horyzoncie państwowym Rosyi, słońce, które zapowiadało, że długo świecić będzie, więc gięli się przed nim i nie uważeli za rzecz możliwą, a nadewszystko rozsądną, stawać z nim do walki o przedmiot, który w gruncie rzeczy nie wiele ich obchodził, i jeżeli skłaniali się do opozycyi, to jedynie z myślą otrzymania za to nagrody i dla zadośćuczynienia swej nieprześlągananej, instynktownej, że tak powiemy, nienawiści do Polaków i Polski. Taką nienawiść czuł i Kruzenstern, jako Niemiec z krwi i kości, skórą moskiewską pokryty. Wreszcie Wielopolski, wiedząc, jakie o nim obiegały wieści, umiał je z właściwą sobie niekiedy zręcznością wyzyskać na swą, a raczej na rzecz nowego prawa korzyść. Zachowywał się wobec Kruzensterna i opozycjonistów z pogardliwą wyższością, z tą magnacką dumą szlachcica polskiego, która do niepohamowanego gniewu doprowadzała różnych karyerowiczów rosyjsko-niemieckich, którzy przychodzili obławiać się w Polsce pieniędzmi i zaszczytami. Bądź co bądź, dzięki tym wszystkim okolicznościom i konjunkturom, projekt o oczynszowaniu włościan z urzędu, przeszedł przez Radę stanu z małemi bardzo zmianami, które zasadniczych jego podstaw w niczem nie zmieniły.

W tak decydujący sposób Wielopolski zużytkował swój pobyt w Warszawie. Jednakże poza tą jawną przyczyną jego przyjazdu do stolicy polskiej, opinia publiczna, zwłaszcza ta jej ogromna większość, która nie wiedziała, jak ciężkie ciosy gotował Kruzenstern projektowi o oczynszowaniu, twierdziła, że inną jest przyczyna tego pobytu, usiłowała wszelkimi sposobami ją odgadnąć i snuła naj-

rozmaitsze przypuszczenia. Utrzymywano więc, nie bez pewnej słuszności, co nawet znalazło wyraz w korespondencji z Warszawy do francuskiego „Journal des Débats“ (z d. 25 kwietnia), że główny i najważniejszy powód tego przyjazdu całkiem gdzieindziej się kryje. Mówiono, że margrabia, dzięki poparciu Wielkiej księżny Heleny, która koniecznie chciała, by jej zięć, książę Meklemburski został namiestnikiem w Warszawie, oraz ambasadora angielskiego lorda Napiera, Wielopolski zdołał sobie stworzyć nad Newą bardzo silne stronnictwo, które go forytuje na stanowisko naczelnika administracji cywilnej. Przeciwnicy jednak tego rodzaju kombinacji utrzymują, że jest ona niemożliwą, gdyż margrabia jest nadzwyczaj niecierpiany przez swych współrodaków, że zatem taka nominacja jak najgorsze wywrze w Polsce wrażenie. Wielopolski więc dlatego głównie przybył do Warszawy, by zyskać sobie opinią publiczną i tym sposobem wzmocnić się niejako wobec opozycjonistów petersburskich ¹⁾).

Że tego rodzaju opinia miała pewne podstawy, że była logiczną, to nie ulega wątpliwości. Niepopularność margrabiego w kraju szkodziła mu bardzo wiele w Petersburgu, była to jego pięta Achillesowa, w którą przeciwnicy ustępstw dla Polski zwykle i skutecznie jak dotąd mierzyli. Przytem pogłoska ta i w tem znajdowała potwierdzenie, że Wielopolski w czasie swego pobytu w Warszawie widywał się z wielu osobami, starał się być uprzejmy i łaskawy, co tej twardej, żelaznej naturze nie zawsze się udawało. Usiłował obok tego wzmocnić arcybiskupa Felińskiego w jego taktyce postępowania, taktyce uplanowanej w Petersburgu, a która na wulkanicznym gruncie Warszawy chwiać się nieco poczęła. Nie wszystko się jednak margrabiemu udało, a położenie arcybiskupa mocno się pogorszyło wskutek fatalnego zbiegu wypadków, wskutek zdarzenia, którego sceną był kościół św. Jana, a ofiarą ks. Feliński. Katastrofa, bo tak się ją godzi nazywać, która

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 282.

teraz zaszła, była koniecznym wynikiem z jednej strony działalności rewolucyjnej Czerwieńców, z drugiej, bezwzględniego niekiedy i nieliczącego się z okolicznościami i z usposobieniem ogólnem, postępowania arcybiskupa. Właśnie rozpoczął się wielki post doroczny, z którego ksiądz Feliński postanowił skorzystać, by w rozgoryczone i roznamiętnione dusze ludu warszawskiego, w schorzałe jego serce wlać nieco kojących pociech religijnych. Sądził, że tym sposobem zdoła wpłynąć na uspokojenie umysłów. W tym celu postanowił urządzać po kościołach rekolekcyje dla ludu. Gdy się jednak z tym swoim zamiarem zwierzył duchowieństwu warszawskiemu, znalazł w niem niechęć wyraźną i opozycyą. Mówiono, że przedsięwzięcie to całkiem się nie uda i narazić tylko może na szwank powagę arcybiskupa i duchowieństwa ¹⁾, i w sposób jak najbardziej stanowczy odradzano mu chwytania się tak niebezpiecznych i wątpliwych zamysłów.

Ale ks. Feliński należał do rzędu tych rzadkich u nas niestety! ludzi, którzy jak sobie raz co postanowili i postanowienie to swoje uznali za dobre, to wykonać je musieli. Wobec opozycyi duchowieństwa warszawskiego, które wprawdzie mógł zmusić, ale przez to samo naraziłby na niepowodzenie swój zamiar, zdecydował się poszukać gdzieindziej pomocników i wykonawców swej woli. W tym celu sprowadził z Krakowa uczonego księdza Wojciecha Morawskiego, księdza Wiktora Ożarówskiego, kapłana wielkiej świątobliwości, i nakoniec ks. Zygmunta Goliana. Ostatni wybór, jakkolwiek pod względem duchownym mógł być bardzo dobrym, pod względem jednak politycznym przyniósł wielką szkodę sprawie i ks. Felińskiemu w szczególności. Golian, ksiądz bardzo gorliwy, uczony, kaznodzieja niepospolity, był w tej porze proboszczem w okolicach Wielunia i miał jak najgorszą reputacyą w kołach Czerwieńców. Jeszcze w styczniu, jedno z pism tajnych oskar-

¹⁾ Rękopism bezimienny.

żało go wprost o denuncyacyą¹⁾, co oczywiście w oczach ogromnej większości kraju, wierzącej mocno w relacye pism tajnych, okrywało ks. Goliana mianem prostego zdrajcy i zaprzańca. To też, gdy wieść o sprowadzeniu do Warszawy znienawidzonego księdza się rozeszła, poczęła po mieście obiegać karykatura, którą rozpowszechniono w tysięcy odbitkach fotograficznych, przedstawiająca arcybiskupa z koszem gałganów na plecach, szukającego zdobyczy pod szubienicą i podnoszącego gałgan z napisem „Golian“. Pod spodem zaś wydrukowano: „widzicie bracia, że szukam godnych siebie kandydatów“. Karykatura była zjadliwa i nieuczciwa, ale była ona oznaką tego roznamiętnienia, jakie owładnęło umysłami, i z roznamiętnieniem tem należało się liczyć, zwłaszcza, że dało ono znać o sobie szczególnego rodzaju wypadkiem. Razu pewnego, ks. Golian miał u św. Jana zwykle swe wielkopostne kazanie i mówiąc o czytaniu złych książek, a mianowicie romansów, zakończył swe uwagi słowami: „Wolałbym, żebyście raczej czytali żywoty mężów pogańskich, bo z nich nauczylibyście się wielu cnót, jakimi oni się wsławili, jak np. męstwa, waleczności, ofiarności, stałości, wierności i t. p.“ Zaledwie kaznodzieja zdanie to wypowiedział, gdy ze środka nawy głównej, prawie na wprost kazalnicy, rozległ się cieniutki głosik kobiecy, mówiący: „nie czytajcie żywotów mężów pogańskich, ale czytajcie Pismo św. O Boże! nacoś nam dał takich fałszywych proroków!“ W kościele zrobiła się wielka cisza. Ale jeszcze oratorka nie skończyła drugiego zdania, kiedy rozpoczęło się sykanie i to sykanie bardzo głośne, dające poznać, że to odezwanie się nie podoba się zebrany. Usłyszawszy owa gorąca patryotka to sykanie, a może przestraszywszy się, tego co zrobiła, zaczęła głośno

¹⁾ „Pobudka“ Nr. 1, z d. 1 stycznia 1862 r. pisze: „Donoszą nam z Wieluńskiego, iż ksiądz G. przez złożenie władzy anonimów, którymi był upominany o przestanie siania fałszu pomiędzy ludem, zadenuncyował swego parafianina, za co, również jak i za inne tego rodzaju postęпки, wspólnie ze swym sąsiadem księdzem B. polecony został szczególnym względem władzy wyzszej“.

szlochać; wówczas dwóch mężczyzn wzięło ją pod rękę i wyprowadziło z kościoła bocznymi drzwiami. Ks. Golian po chwilowym milczeniu rzecz swoją dalej ciągnął¹⁾.

Do tego rozdrażnienia przeciw ks. Felińskiemu przyczyniły się w tym czasie jeszcze inne okoliczności. Duchowieństwo warszawskie mocno było rozgniewane na arcybiskupa, że, mając poddostatkiem księży w Warszawie, sprowadza ich jednak z prowincyi i z za kordonu, że do konsystorza zamierza także wprowadzić obcych. Było kilku księży, którzy mieli stosunki ze stronnictwem Czerwonych i z ich komitetem miejskim, i tam, jak to mówią, szyli buty arcybiskupowi. Każde jego rozporządzenie, każdą odezwę, choćby ta wyłącznie dotyczyła rzeczy kościelnych, wydawali na miasto, komentowali i łatwowieerne tłumy podniecali przeciw temu „petersburskiemu biskupowi“, jak go nazywali. Zdarzyło się, że właśnie w tym czasie, w pierwszych dniach kwietnia, z powodu zbliżającej się spowiedzi wielkanocnej, ks. Feliński wydał do duchowieństwa swej diecezyi okólnik, w którym zakazywał dawać rozgrzeszenia katolikom, służącym u żydów. Wiemy już z rozmowy, jaką po swem przybyciu do Warszawy miał ks. Feliński z wysłańcami Czerwieńców, o wstępie, jaki żywił do żydów i osobliwszej zaiste teoryi, jaką sobie co do tej bardzo starej i bardzo zepsutej rasy wyrobił. Okólnik więc powyższy, opierający się zresztą na ustawach kościelnych, był wyrazem tej niechęci; ale w tych czasach, gdy ogół, a w tym ogóle najlepsze serca i najlepsze głowy marzyły o asymilacyi żydostwa, gdy z tem żydostwem bratano się przy każdej sposobności, okólnik taki wydać się musiał dysonansem w harmonii powszechnej, a jego auter odstępca od sprawy narodowej. W każdym razie akt ten zdradzał w nowym arcybiskupie człowieka, który z opinią ogólną, jeżeli ją uznał za złą, nigdy się nie zgodzi.

Nakoniec zaszła jeszcze jedna okoliczność, która, że

¹⁾ Ks. W. Smoczyński, w „Przeglądzie kościelnym“ (Poznań), zeszyt styczniowy 1894 r. p. 70.

tak powiemy, przepeliła miarę oburzenia publicznego. W dniu 8 kwietnia przypadła pierwsza rocznica strasznej rzezi kwietniowej, obfitego rozlewu krwi na ulicach Warszawy, i w tych czasach rozbujającego patryotyzmu dzień taki z konieczności musiał być obchodzony uroczystie. Już na kilka dni przedtem obiegały po Warszawie i kraju całym karteczki drukowane, wzywające „Polaków wszystkich wyznań, aby tę pierwszą rocznicę męczeństwa pomordowanych braci uczcili spokojnem nabożeństwem żałobnem“. Umiano trafić do arcybiskupa, domagając się, by w katedrze świętojańskiej osobiście odprawił takie nabożeństwo. Odmówił jak najkategoryczniej. Nie pomogło to wcale, bo nabożeństwa we wszystkich kościołach się odbyły, z wystawionymi katafalkami, z żałobnem pokryciem ścian, z uroczystym nastrojem ludności, a na ks. Felińskiego całe miasto oburzone było do głębi. Obiegało tysiące plotek, mówiono, że na jakiejś pensyi doradzał dziewczętom zrzuć żałoby, a ukazujące się coraz liczniej na ulicach kobiety w fioletowych sukniach, „fijołki“, nadawały temu twierdzeniu pewne prawdopodobieństwo.

Tymczasem, gdy się ta burza przygotowywała na ks. Felińskiego, on sam zajęty był mocno owemi postnemi rekolekcjami ludowemi. Rekolekcyje te sprowadzeni do Warszawy trzej księża nietylko wzorowo urządzili w katedrze, ale tak pociągnęli do tych ćwiczeń pobożniejszą część ludności, że tłumy całe przychodziły i, gdy nie można ich było pomieścić u św. Jana, musiano też i w innych świątyniach zaprowadzić tego rodzaju nauki. Arcybiskup, ze względu na niepospolitą wymowę ks. Goliana, zamianował go stałym kaznodzieją katedralnym, sam zaś przyjął na siebie, na wzór biskupów francuskich, kazania pasyjne wciągu wielkiego postu, które miewał co czwartek. Oczywiście zwykłym tematem tych kazań była ojczyzna, nieszczęśliwe jej położenie i wypadki bieżące. Raz mówił, że miłość tylko buduje i odradza, nienawiść zaś więcej szkody wyrządza prześladowcom, niż prześladowanym, że przeto w żadnym razie nie należy używać niegodziwych środków

choćby dla dopięcia najszlachetniejszych celów; to znów rozpuszczonemu mocno duchowieństwu warszawskiemu rysował przed oczami ideał prawdziwego kapłana polskiego. „Nie wystarczy, wołał, rzucać kwiatami, raz w tydzień dobranemi na słuchacza słowami, nie wystarczy głaskać ucho perorą na dwie części podzieloną, ze wstępem i parenezą, ubiegać się o pochwałę piśmiennych, a romansami popsuć tych pań i panów; nie wystarczy powtarzać co chwilę do znudzenia, że Polska katolicka, o narodowej wierze, o prawowiernych ojcach; bo nie tem łowił apostoł narodów dusze ludzkie, że Żydom Abrahama, Grekom Platona, Rzymianom Scypionów przypominał, ale opowiadać mamy Jezusa Chrystusa i to ukrzyżowanego i królestwo niebieskie a reszta dodana nam będzie. Niezdrożnie jest opowiadanie słowa Bożego zabarwić miłością ojczyzny, ale pierwszym i najważniejszym jest słowo Boże, a nie słowo ziemskie i ludzkie“¹⁾.

Takie przemowy w czasach gdy ojczyznę stawiano ponad wszystko na świecie, gdy zgodnie z chorymi poetami polskimi robiono z niej Chrystusa narodów, za odkupienie tych narodów ukrzyżowanego, nie mogły się podobać i nie podobały się nadzwyczajnie. Podrażniły one wszystkich, a stronnictwo ruchu, obok powyżej opisanych zdarzeń, rozjątrzyły do najwyższego stopnia. Otóż na parę dni przed zwykłym kazaniem czwartkowym, które miało przypaść d. 10 kwietnia, rozbiegła się wieść, która doszła i do uszów ks. Felińskiego, że młodzież, w chwili gdy arcybiskup wejdzie na kazalnicę, zamierza urządzać demonstracją t. j. tłumnie opuścić kościół i lud za sobą pociągnie. Otaczający arcybiskupa księża radzili mu, ażeby dnia tego nie miał kazania i żeby dał się zastąpić przez kogo innego. Ale Feliński nie chciał się na to zgodzić; nalegającemu nań ks. Czajewiczowi odrzekł, że „żołnierz chrześcijański umrzeć powinien na swem stanowisku“, i zgodnie ze znaną teorią natchnienia, którą wszczepił weń, za młodu jeszcze, mistrz

¹⁾ *Prawdzicki, Wspomnienie, 105.*

Towiański otworzył na chybił trafił brewiarz i wyczytał psalm Dawidowy o tych, co „Boga nie wzywali, i tam drżeli, gdzie nie było strachu“, śmiało i spokojnie pojechał do katedry.

Policya także wiedziała o gotującej się manifestacyi i wiedzieć musiała, gdy wszyscy o niej mówili ¹⁾. Wskutek tego tak przed katedrą, jak i wewnątrz niej znalazło się mnóstwo policyantów, z których większość przebrana była po cywilnemu i co gorsza, w demonstracyi samej czynny brała udział, co świadczyło, że była ona rządowi na rękę. Bądź co bądź do kościoła zeszła się znaczna liczba pobożnych, dochodząca do 4000 osób, i zaraz z początku nabożeństwa zauważono kilkunastu młodych ludzi, kręcących się wśród tłumu i podających na różne strony hasło. W chwili kiedy arcybiskup w towarzystwie ks. Czajewicza i jeszcze jednego kanonika wszedł na kazalnicę, w tłumie młodzieży, przeważnie studentów, poczęto poruszać czapkami, kaszlać, szemrać, a nawet świstać. Zaraz też rozległy się głosy: „wychodzić z kościoła! wychodzić!“ i młodzież, tworząc zbity szereg, zaczęła pchać przed sobą zebranych ku wyjściu. Wiele osób nie wiedziało, o co idzie, i w nerwowym nastroju chwili, lękając się jakiego zaburzenia, szybko opuszczało kościół. Z pomiędzy wychodzących policya, która baczne miała oko na manifestantów, aresztowała ich 15 już na ulicy, bez najmniejszego z ich strony lub tłumu oporu ²⁾.

Scena ta bolesna i przykra wywarła silne wrażenie

1) W relacyi urzędowej, pomieszczonej w „Dzienniku powszechnym“, i powtórzonej przez wszystkie gazety, czytamy: „władza została wczoraj uprzedzona, że pewna liczba źle usposobionych zamierzała uorganizować demonstracyą przeciw Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Felińskiemu...“ Niemniej w depeszy, jaką nazajutrz wysłał Lüders do cesarza, znajduje się doniesienie: „zamiar zrobienia demonstracyi był wcześniej wiadomy i policya była przygotowana“.

2) W cytowanej relacyi urzędowej i depeszy jest mowa o 14 aresztowanych, ale później przy uwiadomieniu o ich losie okazuje się, że było ich piętnastu.

na ks. Felińskiego, jakkolwiek był do niej przygotowany. Gdy poczęto zbiorowo opuszczać kościół, pobladł mocno i stał przez chwilę niemy i oczami szeroko rozwartymi śledził tłum hałasujący. Ale zmieszanie to trwało bardzo krótko. Arcybiskup, oprzytomniawszy, przeżegnał wychodzących i rzekł: „Panie! odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią“, poczem ze zwykłą sobie płynną wymową wygłosił kazanie o miłości ojezyny i o środkach, jakich używać należy, w celu przyścia jej z pomocą. W czasie tego kazania, opustoszały kościół począł się znowu napełniać powracającymi i nabożeństwo zakończyło się spokojnie. Podniecenie umysłów było jednak tak silne, że, gdy ks. Feliński szedł po kazaniu do zakrystyi, niejaka pani Cw., gorąca patriotka, w prawdziwie histerycznem uniesieniu, przedarła się do arcybiskupa i głosem podniesionym rzuciła na niego jako na zdrajcę sprawy narodowej przekleństwo „aż do czwartego pokolenia“¹⁾.

Wiść o tej manifestacyi piorunem rozeszła się po mieście i we wszystkich ludziach poważniejszych wywołała dość żywe oburzenie. Nazajutrz o godzinie 3-iej po południu Rada stanu w całym swym komplecie, z Wielopolskim na czele, złożyła kondolencyjną wizytę arcybiskupowi; składali ją i inni, co w tych dniach utrapienia mogło być pewną pociechą dla smutnej duszy ks. Felińskiego. Wszak najznakomitsi obywatele i przedstawiciele kraju solidaryzowali się z nim niejako i potępiali nieprzyzwoity i szalony krok młodzieży, która, zamiast się uczyć, wzięła się do polityki i kierowania nawą narodową. Część prasy też z tego stanowiska potępiła powyższą manifestacyą. Kraszewski w „Gazecie polskiej“, nazwał awanturę 10 kwietnia „przykrym i upakarzającym nas obłędem“. „Wypadek 10 kwietnia, mówił dalej, jest całkiem bezprzykładny w dziejach naszego kraju, niezgodny z jego charakterem, niepojęty dla nas ze stanowiska przeszłości, mniej jeszcze teraźniejszości“. „Dziennik poznański“, którego nikt nie mógł już

¹⁾ *Epsilon*. Żywot i czyny Wielopolskiego, 46.

posądzić, że pisał pod naciskiem cenzury rosyjskiej, jeszcze ostrzej, choć w kiepskiej polszczyźnie, się wyraził: „nie można, jak tylko najmocniej potępić zamienianie świątyni Pańskiej na teatr ukartowanych, hałaśliwych i cześć miejscu świętemu, zawdy i wszędzie bezwarunkowo należą, w najnieprzyzwoitszy sposób naruszających objawów“. „Oto najgorsza, wołał dalej, i najnieznośniejsza ze wszystkich form rządzenia społeczeństwami: demagogia i do tego nie demagogia ambitnych a wytrawnych i genialnych trybunów jak Peryklesy, Grachowie, Mirabowie, Dantony, O'Connell, O'Brieny, Zebrzydowscy, Mochnacy, ale demagogia gorącego i poczciwego serca, ale zupełnie niejasnej jeszcze głowy młodzieniaszków, którzy nie wykształcenia politycznego, a mało co zdrowej jakiejś tradycji politycznej przyswoić sobie mogli“. W tem wszystkim jednak to było najboleśniejzem, że, jak do sprawy archiwisty Aleksandra Zamojskiego przyczepione było nazwisko ks. Felińskiego, tak i do losu aresztowanych 15-tu młodych ludzi za manifestacją w kościele świętojańskim był pośrednio wmieszany także arcybiskup. Dziennik urzędowy, donosząc o wyroku sądowym, zawsze wymieniał przytem nazwę ks. Felińskiego, co z jednej strony dla niego było bardzo przykrem, z drugiej oburzało wszystkich zapaleńców w kraju, którzy wprost niedolę skazanych przypisywali arcybiskupowi¹⁾.

To też nie szczędzili oni obelg Felińskiemu i po gazetach polskich zagranicznych cały szereg zarzutów mu stawiali, wytaczali mu formalny proces o zdradę kraju. „Czas“ krakowski i „Dziennik poznański“ rozpisywał się szeroko o tych zarzutach, a przez zwyczaj zły i niczem niesprawiedliwiony, „Gazeta policyjna“, wychodząca w Warszawie, stawała w obronie arcybiskupa i powtarzając owe zarzuty i zbijając je niezręcznie, niedźwiedzią mu zaprawdę wyrządzała przysługę. Jakże bo śmiesznie wyglądało, gdy

¹⁾ Z pomiędzy 15 aresztowanych dnia 10 kwietnia oddano jednego pod sąd wojenny, 12 do wojska, dwóch zaś skazano na paromiesięczne więzienie w twierdzy Modlińskiej.

świstek, w którym mieściły się rozkazy do policji i opis bójki dwóch szweców lub dwóch przekupek miejskich, stawał w obronie najwyższego dostojnika kościelnego w kraju! Taką samą niedźwiedzią przysługę wyrządzał mu i „Dziennik powszechny“, chwając go przy każdej sposobności, obdarzając ekliwymi epitetami, podnosząc jego „ewangeliczną cierpliwość“ i ubolewając nad zaślepieniem Polaków. Kruzenstern i Kryżanowski działali tu zapewne z planem z góry obmyślanym, by tą drogą zaszkodzić niebezpiecznym dla nich zamiarom arcybiskupa; o wypadku 10 kwietnia doniesiono natychmiast z Warszawy drogą telegraficzną zagranicę, by pokazać, jak Polacy są niepoprawni i jak arcybiskup jest niepopularny.

Zarzuty, które teraz czyniła prasa zakordonowa polska ks. Felińskiemu, dają się streścić jak następuje: że nie chciał odprawić nabożeństwa w rocznicę 8 kwietnia, że w dni dworskie osobiście celebrytuje w katedrze, że we wszystkim ulega namowom Wielopolskiego, że duchowieństwo traktuje jak urzędników rosyjskich, że namawia do zrzucenia żałoby, że zakazał dawania rozgrzeszenia tym, którzy służą u żydów, że żyje z jenerałami moskiewskimi i wszędzie milicją jest otoczony i t. p.¹⁾ Zarzuty te powtarzane były tak nieustannie pod najrozmaitszą formą, że podrażnionego już mocno ks. Felińskiego zmusiły do kroku nie zupełnie dobrze obmyślanego, a nadewszystko całkiem niepotrzebnego. Usprawiedliwia się on tylko tą odurzającą atmosferą, jaka wtedy, niby mgła niezdrowa i gęsta unosiła się nad Warszawą i mąciła najzdrowiej myślące głowy.

Otóż w dniu 25 kwietnia ks. Feliński wystosował list do redaktora „Gazety Warszawskiej“, w którym powiada, że „póki rozszerzane przeciw mnie zarzuty były uliczną tylko baśnią, nie uznawałem za stosowne odpowiadać na nie, ale dzisiaj, kiedy krajowe nawet dzienniki w dobrej wierze je powtarzają, winienem, dla wyjaśnienia prawdy,

¹⁾ *Prawdzicki*, loc. cit. 113.

również przez publiczne organa się odezwać“. Listu tego, jak się spodziewać należało po słynnej głupocie cenzury warszawskiej, nie pozwolono wydrukować, co nie przeszkadzało, że list sam obiegał w licznych opisach po Warszawie, a wkrótce ogłosił go „Tygodnik katolicki“, wychodzący w Poznaniu, dokąd posłał go sam arcybiskup. Z „Tygodnika“ przedrukowały go wszystkie dzienniki polskie zakordonowe i obce¹⁾. W piśmie tem ks. Feliński zaprzecza jak najkategoryczniej, by kiedykolwiek i kogokolwiek namawiał do zrzucenia żałoby, że „jako kapłan o tyle mam prawo wtrącania się do ubioru niewiast, o ile obowiązkiem jest moim przestrzedz je, aby skromnie i uczciwie się ubierały; jako Polak zaś, bardzobym został upokorzony przywdzianiem przez nie wesołego stroju bez żadnej słusznej przyczyny, gdyż dowodziłoby to lekkomyślności, o którą nas i bez tego tak często oskarżają“. Zaprzecza dalej, by miał zabraniać nabożeństwa żałobnego w dniu 8 kwietnia, sam zaś nie celebrował „nie dlatego, żebym narodowego smutku podzielić i uszanować nie chciał, lecz żebym stanowczo przekonał naród, że na ubliżającą niezależności kościelnej drogę manifestacyi, gdzie świeccy prawo gospodarowania w kościele sobie przywłaszczają, najszlachetniejszymi nawet pobudkami wyprowadzić się nie dam“. Co się tyczy okólnika o żydach, to „żadnej w tej mierze innowacyi nie wprowadziłem, idąc przez tyłu świętych biskupów utworowaną drogą uszanowania kanonicznego prawa i synodalnych postanowień“. Kończy temi słowy: „...jeżeli przeto podoba się komu za zbrodnię mi to poczytać, że, będąc stróżem chrześcijańskiej tradycyi, poniewierać jej nie chcę, to niech pamięta, że wraz ze mną potępi też Woroniczów, Fijałkowskich i wszystkich innych biskupów naszych“.

List ten w rezultacie żadnego wrażenia nie zrobił i skutku nie wywarł. Oskarżenia w dalszym ciągu na arcy-

¹⁾ List ten można znaleźć we wszystkich pismach polskich zakordonowych, oraz u *Prawdzickiego*, Wspomnienie, 118.

biskupa spadały i spadać musiały, bo dla stronnictwa Czerwonych, które rosło w siłę i znaczenie, wszelkie przeszkody jego zamiarom, wszyscy ludzie innych przekonań i wyobrażeń, musieli się stawać celem pocisków i obwinień. Stronnictwo to w tej dobie przybiera cechę wojującą, charakter namiętnej partii politycznej, która jak mnichy średniowieczne, jak inkwizycya święta, każe w to jedynie wierzyć, co sama uznaje za prawdę i przeciwników obrzuca nietylko obelgami, ale skazuje na stos, na potępienie wiekuiste. To rozkiełznanie się namiętności politycznych, ta bezwzględność w sądzeniu ludzi i rzeczy, dochodzi teraz do swej pełni; Czerwoni w poczuciu własnej siły, którą niestety! posiadli bezwarunkowo, druzgoczą wszelkie przeszkody, stające na drodze do ich oplakanego i zgubnego celu. Biada tym, którzyby im się oprzeć śmieli, biada narodowi, który stał się w rękę garści zapaleńców narzędziem własnej zguby! Dlatego też obraz powolnego, ale nieustannego rozwoju stronnictwa ruchu, o ile boleścią przejmując serce polskie, o tyle jest jednym z najciekawszych i najbardziej pouczających przykładów dziejowych. Ten obraz, ten szereg strasznych scen, burz tajemniczych, w których łamały się gdzieś w mrocznym półcieniu wiązania przyszłości polskiej, roztoczyć nam należy z kolei rzeczy przed czytelnikiem.

ROZDZIAŁ XV.

Łokietek.

Komitet miejski i jego program. Zapowiedź powstania zbrojnego. Zebrania komitetu. Projekt organizacyi spisku. Komitet akademicki i jego działalność. Przysięga i składki. Reorganizacya Komitetu akademickiego. Jarosław Dąbrowski. Kółko wojskowe petersburskie. Wysyłka Dąbrowskiego do Warszawy. Panna Pelagia Zgliczyńska. Narady w Kole petersburskiem. Powtórny wyjazd Dąbrowskiego do Warszawy. Jego charakter i przezwisko „Łokietek“. Zniesienie Koła. Nowy skład Komitetu miejskiego. Spisek wojskowy. Czasopisma „Wielikorus“ i „Zemlia i Wola“. Młodzież rosyjska. Agitatorzy warszawscy wśród wojska. Szkoła wojskowa w Genui. Podejrzenia. Zamach na Janczewskiego. Mierosławski opuszcza szkołę. Zaproszenie generała Wysockiego. Odrzucenie ks. Marcelego Lubomirskiego. Deputacya do Turynu. Objęcie szkoły przez Wysockiego. Przeniesienie jej do Cuneo. Dyrekcyja Białych. Reprezentacya wszystkich zaborów. Broszura „Zadanie obecnej chwili“. Program Białych. Misya Kołaczkowskiego do Paryża. Fundusz żelazny. Niechęć mieszczaństwa do Dyrekcyi i jej nieczynność. Wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Aleksander hr. Krukowiecki i petraktacye z nim Czerwonych. Wiadomości z Litwy, z Wilna, Grodna, Sokółki i Białostoku. Nieudana zasadzka na urzędnika intendentury. Organizacya miasta. Dąbrowski pierwszym Naczelnikiem miasta. Usiłowanie połączenia się z Komitetem akademickim. Narady deputowanych obu Komitetów. Rozwiązanie Komitetu akademickiego. Nowy, trzeci z rządu skład Komitetu miejskiego. Pierwsze jego posiedzenie. Sprawa polska za granicą. Mowa p. Larabit, oraz lorda Russela i Palmerstona. Oznaczenie terminu powstania i jego plan. Komitet miejski trzeciego składu upada. Nowy Komitet (czwartego składu). Agaton Giller. Obrona Dąbrowskiego. Decyzya Komitetu. Porozumienie się z oficerami. Odwołanie powstania. Intrygi Dąbrowskiego

i Chmieleńskiego. Oświadczenie wydziałowych. Usunięcie się Majewskiego i Paszkiewicza. Nowy Komitet, piątego składu. Oburzenie Chmieleńskiego. Nowe wybory. Paszkiewicz jeszcze raz wybrany. Groźba Chmieleńskiego. Bronisław Szwarce. Komitet przybiera miano Centralnego narodowego. Uwagi i zakończenie.

Gdy tak, na dwóch wielkich widowniach Warszawy i Petersburga, rozgrywały się powyżej opisane sceny posepnego dramatu polskiego, sceny głośne i jawne, wspólnie odbywała się inna akcja, akcja skryta, tajemnicza, pełzająca w ciemnościach, rosnąca jednak powoli ale stale w taką siłę, że miała porwać wszystko za sobą i wszystko spalić w swym płomienistym uścisku. Chcemy tu mówić o spisku tajnym, który zorganizował się nakoniec po licznych, bezpłodnych usiłowaniach, w październiku 1861 r. w dwa ciała, w t. z. Komitet miejski ¹⁾, i zwierzchnie nad nim Koło. Sama nazwa pierwszego z tych organizmów powstańczych, który miał się stać ojcem licznych późniejszych komitetów i rządów, wskazuje, że pierwotni jego założyciele: Chmieleński, Wereszczyński i inni, mieli jedynie na celu ogarnięcie samopas rozwijającej się organizacji dziesiątnej w mieście, że o rozszerzeniu swej władzy na prowincję zgoła nie myśleli. O prowincyi zresztą nie wiele wiedziano wtedy i nie bardzo się o nią troszczono. Wśród kilkumiesięcznych usiłowań stworzenia ciała zwierzchniczego, któreby jeśli nie rządziło to przynajmniej kierowało spiskiem, nie było czasu myśleć o prowincyi, której większość tych ludzi, mieszczuchów z rodu lub wychowania, nie znała i sądziła, że cały kraj sam przez się będzie na-

¹⁾ W broszurze zatytułowanej „Przed powstaniem styczniowym“, wyszłej we Lwowie (1894 r.), a wymierzonej przeciw autorowi niniejszej pracy, niejaki p. A. Skotnicki, na str. 94 powiada, że Komitet miejski, nosił pierwotnie nazwę „Komitetu ruchu“. Ponieważ podanie to nie znajduje potwierdzenia w żadnym ze znanych nam materiałów źródłowych, uważać je więc musimy za fałszywe.

śladował Warszawę. Mówili oni wprawdzie wiele o chłopie i przekonani byli, że go potrafią darowizną gruntów porwać do powstania, ale chłopą tego znali tylko z sentymentalnych opisów w „Czytelnicy niedzielnej“ i „Kmiotku“, albo z przedstawień teatralnych. A przytem, powtarzamy, nie było czasu na obznajmianie się ze stanem, opinią i wyobrażeniami prowincyi. Wydanie na świat Komitetu miejskiego, wydanie śród ciężkich bólów porodu, przez długi czas wyłącznie pochłaniało ich uwagę, a później walki wewnętrzne, skryte przed okiem ogółu, niemniej przeto potężne i niekiedy tragiczne, nie dozwoliły im zajmować się prowincją. Trzeba było naprzód w mieście się umocnić, by potem wyrzucić poza jego rogi. Wreszcie wiadano, że na prowincyi ruch umysłów jest bardzo znaczny, że organizacya dziesiątek i setek rozszerza się ciągle, ogarnia wszystkie sfery, wszystkie miasta i miasteczka, organizacya jednolita co do swej formy, choć nie rządzona przez nikogo. Na razie to wystarczało i nikomu na myśl nie przyszło, by Komitet miejski mógł rościć pretensye do władzy nad prowincją.

Miał on zresztą wiele roboty u siebie i obok siebie, musiał ciężko walczyć o byt własny i nie mógł myśleć o akcji na zewnątrz. W Warszawie organizacya nie od razu go uznała, w większości swej nie wiedziała nawet o jego istnieniu, a ta część, która wiedziała, wskazówek jego o tyle słuchała, o ile te przypadają jej do smaku. W gruncie rzeczy nie było jeszcze powodu do wydawania rozkazów; manifestacye odbywały się same przez się, częstokroć bez wiedzy i woli Komitetu; dalszego zaś rozwijania organizacyi dziesiątnej nakazywać nie trzeba było, gdyż rosła ona jak na drożdżach. Zato Komitet musiał staczać nieustanne spory z Kołem, owem zwierzchniem ciałem, rodzajem Konwentu narodowego, przez nikogo jednak nie wybranego, do którego należał każdy, kto chciał i każdy chciał rządzić, rozkazywać i kierować. Niepodobna jest dzisiaj określić form ani części składowych tego luźnego, rozplywającego się w mgłę historycznej ciała; to

tylko pewna, że złożone z najniecierpliwszej młodzieży ¹⁾, sprawiało straszny zamęt, nieustanne burze i zmiany w składzie Komitetu miejskiego, który okazał, przyznać mu to trzeba, wiele uporów i wiele tęgości, że w takich warunkach istniał ciągle, a nawet coś robił i zrobił.

Przedewszystkiem nakreślił program i cel swego istnienia, bo jakkolwiek ten cel był dla każdego jasny i każdemu wiadomy, przecież ludzie tej epoki lubili tworzyć programata, projekta, hasła. Program więc Komitetu miejskiego, który, dodajmy, pozostał programem wszystkich jego następców, zamykał się: w przywróceniu Polski w dawnych granicach przy pomocy rewolucyi i powstania, do którego należy się przygotowywać wszystkimi siłami; z rządem zerwać wszelkie związki, nie od niego nie wymagać i nie przyjmować. W zakresie społecznym Komitet zapowiadał równouprawnienie wszystkich wyznań i wszystkich narodowości, wchodzących w skład przyszłego państwa polskiego, i wszelkich klas społecznych; uwłaszczenie włościan nakoniec, jako jeden z najpierwszych czynów przyszłego rządu polskiego. Dla osiągnięcia tego celu, tego oswobodzenia ojczyzny, Komitet uznawał wszelkie środki za dobre, a nawet w ostatecznych razach kłamstwo i terroryzm ²⁾. Przyjęcie tej jezuickiej zasady, uznanie głośne terroryzmu, jako jednego ze środków działania, Komitet zawdzięcza Chmieleńskiemu, który, zaprawiony na bombastycznych utworach Mierosławskiego, mówił ciągle o konieczności wyrznięcia szlachty i wymordowania Moskali. W tym względzie znajdował on poparcie u Koła, u różnych domorosłych Fouquier-Tinwillów, u różnych Szachowskich-Maratów, Sokulskich-Robespierrow i im podobnej młodzieży, która sądziła, że tylko tą drogą można odrodzić społeczeństwo polskie, uczynić je zdolnem do odzyskania wolności i niepodległości upragnionej.

Prasa tajna w myśl tego programu ciągle się odzy-

¹⁾ *A. Giller*, *Historya powst. narodu pols.* I, 68.

²⁾ *N. Berg*, *Zapiski* II, 245.

wała i rozwijała go w szczegółach. „Strażnica“¹⁾ wołała, że „z moskiewskim najazdem niema pojednania, bo nie może go być z krzywdzicielami prawdy i sprawiedliwości, z mordercami i zbójcami narodów. Walka więc, walka aż do zwycięstwa! W jakikolwiek sposób walka ta nadal odbywać się będzie, czy to manifestacją, czy podkopywaniem siły niegodziwych rządów, czy pracą nad wzmocnieniem narodu przez oświatę, uobywatelenie ludu i poprawę jego bytu, czy wreszcie zbrojnym wystąpieniem, unikać jej nie możemy, a wytrwać aż do końca musimy, a to wytrwanie nie słabnąć w niepowodzeniu, nie upadając w klęsce, nie zrażając się ani trudnościami, ani odstępami, których nigdy nie brak w tak trudnym jak nasze położeniu, wymagającym ludzi wielkiej odwagi, rozumu, ludzi wielkiej miłości i bez skazy. Walka więc jest naszym zadaniem, walka nieuniknioną koniecznością. Ktoby się od niej chciał wyłamywać, nie godzien imienia Polaka, nie godzien imienia syna świętej i cierpiącej ojczyzny naszej!...“ Samo zaś powstanie pismo to w tej chwili odkładało na czas nieokreślony. „...Zbrojne powstanie prędzej czy później koniecznie wybuchnąć musi“. „Zbrojne powstanie, jako ostateczna już z najazdem rozprawa, wymaga dobrego przygotowania, wielkiej siły, większej rozwagi, a największej odwagi; dlatego też, gdy nagromadzi się tak znaczna ilość materiałów palnych, że najmniejsza iskierka powszechnym je ogarnie płomieniem, powstanie kończy się zwycięstwem, to jest gdy nie naznacza się z góry dnia wystąpienia, ale gdy ono jest następstwem rewolucyjnych działań, które siłę do powstania wyrabiają, a jego potrzebę uobecniają w myśli, sercu i położeniu, jeżeli nie każdego, to przynajmniej większości mieszkańców kraju. Działajmy więc i wyrabiajmy konieczną nam siłę, ale w działaniu tem nie zapominajmy o zarzewiu wolności, którego jak najwięcej rzucać należy pomiędzy samych Rosyan. Niechaj u nich jak najwięcej wzmagą się fermentacya, niechaj coraz lepiej

¹⁾ Nr. 6 z dnia 8 kwietnia 1862 r.

pojmują potrzebę wolności i solidarnego jednoczesnego z Polską wystąpienia“. „Umiejmyż więc czekać w pogotowiu, aby one (wypadki w Europie) nie zastały nas nieprzygotowanych, ale też zarazem umiejmy powstrzymać niecierpliwość i nie wystąpić przedwcześnie, gdyż wystąpienie podobne zakończyłoby się klęską, a to tem jeszcze zgubniejszą, że moglibyśmy być omdleni, bez siły i pozostać bezczynni, gdy chmury burzliwe zaciągną nad całym horyzontem Europy, lub też gdy Rosyanie zaczną dopominać się o należne im prawa“. „Pobudka“ trzymała się tego samego programu. Rozwijając zasadę Komitetu miejskiego, by z rządem zerwać wszelkie związki, pisała¹⁾: „niczego od Moskwy nie potrzebujemy i niczego się też nie spodziewamy. Wiemy dobrze, iż na dnie każdej niby łaski, niesionej nam przez podłe zbiry lub nikczemne renegaty (sic), leży trucizna moralna, którą chcianoby skwasić w sercach naszych wszelkie szlachetne uczucie i uśpić czujność narodu. Ale mylą się nieprzyjaciele, bo naród ciągle stoi na straży swego sumienia i nie da się obalamucić pozorami żadnych carskich łask czy obietnic; lecz mając ciągle swój święty i jedyny cel przed oczami, z siłą i wiarą w siebie będzie postępował po raz obranej drodze, na której żelazna wytrwałość nasza podkopie słabnące codzien siły Moskwy, a odwaga zapewni nam zwycięstwo“.

Pod tym względem więc przynajmniej Komitet znalazł energicznych i zapalonych propagatorów swego programu, który zresztą mniej więcej wszystkie stronnictwa przyjmowały z małemi bardzo zmianami. Komitet miejski, jakśmy rzekli, pod naciskiem Kcia, w którym przeważną rolę odgrywał jeden z braci Frankowskich, Leon imieniem²⁾, nader często skład swój zmieniał, co oczywiście nigdy nie odbywało się bez oporu, sporów i burz, ale nazwiska wchodzących i wychodzących co chwila są albo nieznanne, albo nie przedstawiają żadnego dla historii inte-

¹⁾ Nr. z dnia 3 marca 1862 r.

²⁾ Giller, *Historya* II, 4.

resu, nic nie mówią. Jeden tylko Chmieleński pozostawał w nim ciągle, nadawał mu pewien charakter i wrzącym falom Koła potrafił się opierać i imponować. Komitet, niekiedy z członkami Koła, niekiedy sam, zbierał się zwykle u Leona Królikowskiego, zamieszkałego w pałacu Zamoy-skich, brata głośnego aktora, dyrektora żeglugi parowej na Wiśle, gorliwego i czynnego członka organizacyi, nie-gdyś emigranta i czerwonego patrioty¹⁾, albo też u jego brata Kazimierza. Zgromadzeniom u tego ostatniego, od-bywającym się na Pradze, w domku w głębi ogrodu, gdzie później mieścił się głośny zakład gastronomiczny „pod Rakiem“, nadawała pewien urok i wdzięk towarzyski młoda i śliczna żona Królikowskiego, oddana całą duszą i całym sercem sprawie, jakto wtedy mówiono, i burzliwych ucze-stników zebrania wstrzymywała swą obecnością od wybu-chów gwałtownych. Na tych to sesjach postanowiono, dla ostatecznego ogarnięcia organizacyi, rosnącej ciągle liczebnie, zaprowadzić w niej pewien porządek hierarchiczny, pewne władze, które już przez to samo, że utworzone przez Komitet miejski, byłyby mu do niejakiego stopnia uległe, czyniły go panem sytuacji i anarchiczną suprema-cyą Koła robiły bezsilną. W tym celu zamierzono ustano-wić urząd naczelnika miasta, z atrybucyami bardzo szerokiemi, któremu miała podlegać cała organizacya miejska. Władzę swoją miał on wykonywać za pośrednictwem t. z. wydziałowych, t. j. naczelników wydziałów, na które mia-sto podzielono²⁾. Projekt ten, jakkolwiek dość w szczegó-łach opracowany i popierany przez Chmieleńskiego, który przy jego pomocy zamierzał owładnąć zupełnie spiskiem i stanąć na jego czele, w tej chwili jednak, w pierwszych tygodniach 1862 r. nie mógł wejść w wykonanie z po-wodu, że inna, niemniej ważna dla egzystencyi Komitetu okoliczność całkiem go pochłonęła i zmusiła do nowej, bardzo upartej walki o życie.

¹⁾ *N. Berg*, *Zapiski*, II, 245.

²⁾ *Loc. cit.*

Okolicznością tą było istnienie obok Komitetu miejskiego i niezależnie od niego innego ciała, innej organizacji, która także rościła sobie prawo do kierownictwa, do owładnięcia ruchem. Mówimy tu o tak zwanym Komitecie akademickim, dziecku tych niezliczonych stowarzyszeń, jakie od kilku lat tworzyły się wśród młodzieży Akademii medycznej, szkoły sztuk pięknych i szkoły rolniczej w Marymoncie. Ulegając najrozliczniejszym zmianom, których szczegółowe dzieje pokryte są tajemnicą i mało przedstawiają prawdziwie historycznego interesu, trwał on jednak ciągle, i w tej chwili właśnie, gdy Komitet miejski okazywał pretensje do rządzenia całym ruchem, Komitet akademicki składał się z trzech członków głównych i mnóstwa drugorzędnych, którzy podobnie jak Koło miejskie, wywoływali rozmaite burze w jego łonie, i właściwie kierowali nim jak chcieli. Do owych głównych członków należał: Władysław Daniłowski, student Akademii medycznej, zapalony, gorący wielbiciel Mierosławskiego ¹⁾, utrzymujący z nim stałe stosunki tajne i zachowujący się wyłącznie wedle jego wskazówek; Zdzisław Janczewski, syn rejenta z Płocka, także student Akademii, który z czasem miał brzydką rolę odegrać w powstaniu zbrojnym, wreszcie Maksymilian Unszlicht, dusza młoda, gorąca i czysta, bodaj czy w tej trójcy nie najszlachetniejsza. Komitet ten, nie dbając wcale o inne stowarzyszenia, a zwłaszcza o Komitet miejski, przy pomocy licznej młodzieży szkolnej i akademickiej działał na swoją rękę i szerzył organizacją dziesiątą po mieście i prowincyi bardzo gorliwie. Pod wpływem znanych nam już braci Frankowskich, którzy wskutek swej niczem nieograniczonej ofiarności, wskutek swych skrajnie czerwonych tendencji, odwagi na wszystko gotowej, odgrywali w tej porze rolę bardzo wpływową, postanowiono dla zapobieżenia możliwości zdrady, dla nadania wreszcie większej spistości tej organizacji, zaprowadzić w niej przysięgę na wierność ojczyźnie i spi-

¹⁾ *M. P. Ustimowicz, Zagowory i pokuszenia, 82.*

skowi¹⁾. Odtąd każdy wchodzący do organizacyi musiał przysięgać. Stanisław Frankowski, brat Leona, dusza pełna mrocznej poezyi, rozkochana w romantyczności średnio-wiecznej, otoczył tę przysięgę dekoracją, która dziś wydaje nam się teatralną i śmieszna, ale dla ówczesnych ludzi, nieco sentymentalnych, urobionych na wzorach romantycznych, dla umysłów wreszcie prostych, miała urok niepospolity, wabiła jakąś tajemniczością, przypominała wolnomularzy, Kordyanowe schadzki w podziemiach Świętojańskiego kościoła. Frankowski, który przez stosunki rodzinne miał w pałacu Potockich na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Czystej bezpłatny lokal, urządził go na ten cel odpowiednio. Sam nie mieszkał tu wcale, nawet nigdy się nie pokazywał²⁾, dla niezwrócenia uwagi policyi. Lokal ów składał się z dwóch pokoiów na pierwszym piętrze, w oficynie od strony ulicy Czystej, w owej porze dość cichej i nie ludnej. Jedno okno wychodziło na ogród, drugie owalne, stosunkowo małe, dość wysoko umieszczone i w pewnem wgłębieniu, oddzielonem od rzeczonyj ulicy wysoką kratą żelazną, zabezpieczało od niedyskretnych podglądań³⁾. Otóż w tem cichem, jakby ukrytem mieszkaniu, odbywała się przysięga nowo wstępujących do organizacyi. Zwykle czekano, aż ich się zbierze większa liczba, od pięciu do dziesięciu i wówczas wprowadzano ich do drugiego pokoju, gdzie okiennice zamknięte nie przepuszczały wcale światła dziennego. Pokój ten był całkiem pusty; na środku tylko znajdował się podłużny stół, okryty suknem czarnem, a na nim krucyfiks i dwie obok niego zapalone świece. Cała ta dekoracya, według świadectw uczestników⁴⁾, ten pokój pusty i ciemny, to migotliwe

¹⁾ *Giller*, *Historya* I, 64.

²⁾ *N. Berg*, *loc. cit.* II, 250.

³⁾ Później pod tem oknem (istnieje ono do dziś dnia) wybito drzwi na ulicę i utworzono sklep, zajmowany przez tapicera Wrotnowskiego.

⁴⁾ Z podań ustnych.

światło dwóch świec, rzucających blaski na ukrzyżowanego Chrystusa, zgęszczających po kątach wielkie cienie, półciszsza senna panująca tutaj, uroczysty nastrój wreszcie, robiły nadzwyczaj silne wrażenie, zwłaszcza na umysły proste sfer rzemieślniczych i ludowych miejskich, które stanowiły główne jądro organizacyi miejskiej. Każdy wchodzący tutaj zdawał się być przygnieciony wielkością i majestatem tajemniczej zagadki, od której zależało odbudowanie ukochanej ojczyzny polskiej, to najśłodsze ich marzenie, ta zapowiedź zupełnej szczęśliwości ziemskiej. Jakiś młody człowiek, nieznany nowoprzybyłym, o którym jednak szepotano sobie na ucho, że nazywa się Wołowskim ¹⁾ i jest hrabią, na pół ukryty w cieniu tego mrocznego i posępnego pokoju, z twarzą bardzo uroczystą i głosem pełnym powagi, wygłaszał do zebranych mowę, dyszącą tym gorącym a zarazem sentymentalnym patryotyzmem, który nadaje tak wyłączny i jedyny w dziejach charakter tej epoce. Mówił, że zebrani od dnia dzisiejszego przyjmują na siebie służbę ojczyźnie i na pierwsze wezwanie winni się stawić tam, gdzie im każą, rzuca dom, rodzinę, żonę, ojca i matkę, a oddadzą się tylko ojczyźnie; nie wolno im pytać się i dowiadywać, kto stoi na czele związku; wszystko co usłyszą zachowają w tajemnicy, nie powiedzą ani rodzicom, ani żonie, ani dzieciom, ani znajomym, nikomu ²⁾. Po tej przemowie, której słuchano w głębokiem milczeniu, przystępowano do przysięgi. Wszyscy obecni klękali dokoła stołu i z palcami w górę podniesionymi, z wzrokiem wlepionym w krucyfiks powtarzali rotę przysięgi: „przysięgamy Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jednemu i nieszczęśliwej ojczyźnie naszej; przysięgamy na imię Kościuszki, Kilińskiego i męczenników polskich dołożyć wszelkich starań i usilności, z narażeniem życia i mienia ku podźwignięciu i odbudowaniu Polski w granicach pierwszego jej rozbioru. A jeślibyśmy przy-

¹⁾ *N. Berg*, loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

sięgę tę złamać mieli lub zdradzić, niech dusze nasze przekłete będą i imiona nasze, jako zdrajców, przechodzą od pokolenia do pokolenia¹⁾.

W ten sposób Komitet akademicki, złożony z ludzi czynniejszych i energiczniejszych niż Komitet miejski, który wyczerpał swe siły w walce z anarchicznym i burzliwym Kołem, nadawał organizacyi pewną tęgość i spójność i wiązał ją ze sobą niemi sprzysiężenia. Organizacya ta, dzięki niez mordowanej działalności Frankowskich i im podobnych, rozeszła się nadzwyczajnie i nie tylko w Warszawie, ale w całym kraju. To też akademicy głośno się chwalili, że posiadają 175.000 sprzysiężonych²⁾, co oczywiście było grubą przesadą, gdyż, jak późniejsze wypadki przekonały, liczba tychże nawet w najlepszych czasach nie przechodziła dwudziestu pięciu tysięcy³⁾. Ale takie utwierdzenie, którego nikt nie mógł sprawdzić, lecz które miało za sobą pozory autentyczności, nadawało akademikom pewne znaczenie i siłę. Wogóle brali się oni do rzeczy umiejętnie, słuchając wskazówek takiego wytrawnego mistrza spisku, jakim był Mierosławski. Dla uzyskania funduszków koniecznych na różne wydatki, na druk „Sternika“, który miał być ich organem, odezw, wycieczek na prowincyą dla rozszerzania organizacyi i t. p. nałożyli oni na sprzysiężonych podatek, wynoszący po jednemu złotemu na miesiąc. Podatek ten wnoszono albo miesięcznie, albo co dwa tygodnie (na „fercentag“⁴⁾ po gr. 15⁴⁾). Wszystko to nadawało silną spójność i znaczenie akademikom, tak że na nich zaczęto zwracać uwagę i liczyć się z nimi, a nawet wśród emigracyi postanowiono ich zużytkować odpowiednio do swych zamiarów i tendencyi.

Znajdował się wówczas wśród studentów Akademii niejaki Włodzimerz Benedykt Milowicz⁵⁾, niegdyś student

1) Loc. cit.

2) Loc. cit.

3) Zeznania Aweydy III, 143.

4) Loc. cit.

5) *Ustymowicz*, *Zagowory*, 84, zwie go błędnie Milewskim.

uniwersytetu kijowskiego, co w kołach rewolucyjnych nadawało niemałe znaczenie, dawniej członek związku młodzieży w tymże uniwersytecie, noszącego nazwę „Trojnickiego“, człowiek młody, bardzo zdolny i bardzo gorący, który pośrednio, czy bezpośrednio stał się emisaryuszem generała Wysockiego i od niego odbierał wskazówki i informacye. Ponieważ Komitet akademicki był prostem i częstokroć ślepem narzędziem w ręku Mierosławskiego, i przytem przez swą energią i czynność zdawał się być jedynem ciałem, do którego przyszłość ruchu należała, więc Wysocki, współzawodnik „generała Ludwika“, postarał się, by Milowicz koniecznie wszedł do Komitetu. Jakoż w marcu, dzięki zabiegom Milowicza i jego stronników, udało im się zmienić skład Komitetu. Wszedł więc sam Milowicz i z jego partyi dwaj jeszcze inni, a mianowicie: Stanisław Maleszewski, również niegdyś student uniwersytetu kijowskiego i Wincenty Kamiński, tak, że teraz Komitet z dwoma pozostałymi z dawnego składu, t. j. Daniłowskim i Janczewskim (Unszlicht został przyaresztowany i skazany do wojska) tworzył quintumvirat. W tym składzie Komitet prowadził dalej swe czynności z niemiejszą jak dotąd energią. Milowicz, umysł bystry, odcytany, systematyczny, powziął podobnie jak Chmieleński myśl wprowadzenia pewnej hierarchicznej organizacyi do sprzysiężenia. W tym celu ustanowiono nowe wśród niego ogniwo, to jest tak zwanych tysięcy, czyli inaczej okręgowych, którzy mieli pod sobą dziesięciu setników, czyli ogółem tysiąc spiskowych. Na tysięcy przeznaczano wyłącznie młodzież ze sfery inteligencyi, a więc przeważnie akademików¹⁾.

Przysięgę dalej prowadzono, wciągano do spisku coraz większe koła, zapominając o tem, że im więcej będzie sprzyśniętych, tem trudniejszym się stanie kierowanie nimi. Gdy wkrótce policya wykryła schadzki w mieszkaniu Frankowskiego, postanowiono odbieranie przysięgi gdzieindziej skutecznie. Na ten cel chętnie ofiarował swe mieszkanie

¹⁾ *N. Berg Zapiski II, 253.*

na Krzywem Kole, w dzielnicy staromiejskiej, niejaki Ksawery Oborski, subjekt księgarski, Sybirak ¹⁾). W trzech pokojkach, zupełnie pustych, w których, prócz ubogiego łóżka samego właściciela mieszkania i niezbędnego stołu z krucyfiksem, nic więcej nie było, w okolicy miasta ukrytej, zamieszkałej przez ludność ubogą, odbywać się zaczęła przysięga na wielką skalę. Codzień wieczorem zbierało się po kilkudziesięciu ludzi, przeważnie z klasy rzemieślniczej, co naprzód zwróciło uwagę okolicznych mieszkańców, a potem policji. Weszła więc ona pewnej nocy do mieszkania Oborskiego, wyciągnęła go z łóżka i zabrała do cytadeli. Te jednak najścia policji w niczem prawie nie szkodziły propagandzie i rozszerzeniu się spisku. Jeszcze przed aresztowaniem Oborskiego, liczba składających przysięgę tak stale i znacznie wzrastała, że wielokrotnie nie mogli się oni pomieścić w trzech szczupłych pokojkach na Krzywem Kole. Komitet więc postanowił inaczej tę rzecz urządzić i w tym celu pozwolił dziesiętnikom i setnikom przyjmować od nowo zwerbowanych przysięgę. Odbierano ją więc we Frascatti, w domku w głębi przepysznego parku, całkiem w ukryciu przed najbystrzejszym okiem policji; oraz w prywatnych mieszkaniach, jak np. u szewca Piotra Dąbrowskiego na Aleksandryi, u stolarza Mikuszewskiego na Lesznie, u stolarza Walentego Grudzińskiego także na Lesznie, u stolarza Donata Czyżewskiego i u szewca Michała Liesemana na Podwalu ²⁾). Prócz tego Komitet, dzięki energicznej swej propagandzie, z łatwością potrafił sobie zyskać niższe duchowieństwo klasztorne wśród licznych zakonów warszawskich i tym sposobem dla uniknienia wszelkiego niebezpieczeństwa i nienarażania nikogo, zwłaszcza, że aresztowanie Oborskiego pewien popłoch rzuciło, już w końcu marca najczęściej odbierano przysięgę po kościołach, co na umysły proste i wierzące większy wpływ wywierało i większe nadawało znaczenie składanej kłątwie.

¹⁾ Loc. cit. 254.

²⁾ Loc. cit.

Powoli z Warszawy przysięga przeniosła się na prowincyą, obejmowała teraz sobą bardzo szerokie kręgi, sięgała na Litwę i Ruś nawet ¹⁾.

Ta energiczna, czynna działalność akademików, była oczywiście solą w oku Komitetowi miejskiemu i wyraźnie groziła owładnięciem całego ruchu i wysadzeniem z siodła wszystkich Chmiieleńskich, Wereszczyńskich i Głowackich. Ale Komitet w ciągłej walce z anarchicznym Kołem, przeciw któremu zmuszony był nieustannie się opędyć i bronić, nie mógł się zdobyć na żaden krok stanowczy; i dla wszystkich ludzi, wtajemniczonych w stan rzeczy i umiających na nie patrzeć, widocznem było, że wcześniej czy później, ale bądź co bądź niewątpliwie musi on abdykować na rzecz akademików. Na szczęście dla niego, bo dla kraju i dla jego losów obojętnem było, kto mu grób kopie, zjawił się w tej dobie w Warszawie człowiek obdarzony od natury niezwykłą energią, stanowczością i szybkością w działaniu. On to ocalił Komitet miejski i nadał mu tak szaloną siłę pędu, że zmiatał i druzgotał wszystko przed sobą i jego biegowi w nieznaną dziedzinę przeznaczeń nikt i nie oprzeć się nie mogło. Tym człowiekiem, który tak decydujący wpływ wywarł na losy komitetu miejskiego, na losy spisku, a co najważniejsza na losy Polski, był znany nam ze swej działalności rewolucyjnej w Petersburgu, Jarosław Dąbrowski.

Był to jeszcze w tej porze bardzo młody człowiek, liczący zaledwie 25-ty rok życia (urodzony w 1837 roku w Żytomierzu ²⁾), a jednakże miał już za sobą całą przeszłość pełną przygód i twardych kolei. Oddany przez matkę Zofię z Falkenhagenów w dziesiątym roku życia do korpusu kadetów do Brześcia Litewskiego, stąd do szkoły artyleryjskiej w Petersburgu, wysłany został jako porucznik na Kaukaz, gdzie w strasznej wojnie wytępienia,

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ *Włodzimierz Rożałowski, Żywot generała Jarosława Dąbrowskiego* (Lwów 1878).

jaka tam prowadzono, urobił się na bardzo zdolnego oficera. Z ciężkiej tej szkoły życia, przez którą tyle młodzieży polskiej przechodziło, szkoły znacznej krwią, wyniósł order św. Stanisława, stopień porucznika artylerji i opinią świetnego oficera. Dzięki tej opinii, po pięcioletnim pobycie na Kaukazie, pozwolono mu wstąpić do akademii sztabu jeneralnego w Petersburgu, jednego z najlepszych bezwątpienia zakładów tego rodzaju w Europie. Tutaj to, w tej szkole, w której podówczas bardzo wielu znajdowało się Polaków, Dąbrowski zawiązał liczne stosunki z młodzieżą polską, w celu obudzenia w niej drzemiących uczuć patriotycznych. W jego mieszkaniu w domu Kułagina na ulicy Oficerskiej, wynajętem na wspólnie z kolegami: Michałem Heidenreichem, który miał w parę lat później stać się postacią historyczną pod pseudonimem Kruka, Ferdynandem Waraskim, niegdyś oficerem ułanów pułku Nowomirgorodzkiego i Hieronimem Staniewiczem¹⁾, stale co środę schodzili się uczniowie trzech akademij wojskowych: artyleryjskiej, inżynierskiej i sztabu jeneralnego, oraz studenci uniwersytetu, instytutów: technologicznego, komunikacji i z akademii leśnictwa, rozprawiali, czytali, karmili się tym podniosłym acz niezdrowym duchem patriotycznym, który przenika całą literaturę emigracyjną, i tworzyli zawiązek, przyszłego komitetu petersburskiego. Powoli ten zawiązek rozszerzając się, wciągał w siebie i młodzież rosyjską, która pragnęła zrzucić ucisk samowładzy. Marzono, że gdy kiedyś tam, w czasie dalekim jeszcze bardzo, wybuchnie powstanie w Polsce, wybuchnie ono także i w Rosji, a nadewszystko w wojsku, i tym sposobem rząd despotyczny upaść musi stanowczo; łudzono się słodkimi nadziejami, wierzono w swe siły, w moc idei wolności i swobody ludów. Zgromadzenia te zrazu, do pierwszych demonstracji warszawskich, nosiły charakter spokojnych i chłodnych de-

¹⁾ „Kółko wojskowych w Petersburgu od jesieni 1859 r. do wiosny 1862 r.“ Rękopism, skreślony przez jednego z członków tego koła, znajdujący się w zbiorach autora.

batów w kwestyach historii i literatury ojczystej¹⁾, ale powoli, palący prąd gorączki warszawskiej i tu się dawał odczuć; umysły się burzyły, serca rwały ku tej Polsce, która tam, daleko, w ojczystej Warszawie, z oparów krwi kwietniowej podnosiła się niezłamana i święta i żywa. Pomimo oddziaływania kilku spokojniejszych i lepiej znających potęgę państwową Rosyi, jak: Sierakowski, Waraski, Dąbrowski, wreszcie ogół tych zgromadzeń na ulicy Oficerskiej przechylać się począł ku działaniu rewolucyjnemu, i ostatecznie większa część członków oświadczyła się za podtrzymywaniem ruchu. O powstaniu zbrojnym wszelako nikt jeszcze nie mówił. Większość schodzących się do mieszkania Dąbrowskiego, jako ludzie wojskowi w żaden sposób pojąć nie mogli, jak można myśleć o wojnie z armią regularną, liczną, karną, wyćwiczoną i zaopatrzoną we wszystko. Jeżeli niekiedy myśleli i mówili o powstaniu, to wyobrażali je sobie tylko w jakichś szczególnie przyjaznych okolicznościach, w czasie jakiejś wielkiej wojny, którąby Rosya była zmuszona prowadzić, a przynajmniej w chwili rewolucyi w tejże Rosyi. Powstanie więc odkładali na czas nieograniczony, i jeżeli oświadczały się za poparciem ruchu warszawskiego, to tylko dla tego, że on podtrzymywał w masach uczucia patryotyczne, że powstawała jakaś organizacya, dzięki której przysła wielka wojna nie zastanie już Polski tak bezsilną i rozbitą, jak ją zastała kampania krymska. To przekonanie żywili wszyscy, począwszy od Sierakowskiego i Dąbrowskiego, a skończywszy na najmłodszym studencie technologii lub uniwersytetu.

Wszelako to koło oficerskie petersburskie, oddawna oddalone od kraju, w większości swojej tułające się przez długie lata po skałach i wąwozach Kaukazu, lub po pustyniach Orenburga, z wielu względów nie pojmowało ruchu warszawskiego i nie mogło sobie o nim wyrobić pojęcia. Niedokładne zawsze i mętne wiadomości, jakie do

¹⁾ Loc. cit.

nich dochodziły z Warszawy, musiały obudzić chęć poznania istotnego stanu rzeczy, zwłaszcza teraz, gdy postanowiono ten ruch popierać usilnie, gdyż należało wiedzieć, co i kogo się ma popierać. W tym celu, na jednym z posiedzeń w ostatnich dniach grudnia 1861 roku, które się odbyło nie u Dąbrowskiego ale u oficera z akademii artyleryjskiej, Kaplińskiego, zapadła uchwała, ażeby wysłać któregokolwiek ze stowarzyszonych do Warszawy, dla zbadania na miejscu, czem właściwie jest ten ruch polski, jaki ma charakter, do czego dąży, kto nim kieruje i jakie ma siły i nadzieje. Na koszt tej podróży każdy z obecnych złożył cztery ruble¹⁾. Misyi tej podjął się Jarosław Dąbrowski, co tem łatwiej mu przyszło, że przypadające w tej porze wakacje świąteczne na Boże Narodzenie dawały mu zupełną na parę tygodni swobodę. Zaopatrzony w list rekomendacyjny od Sierakowskiego do Karola Majewskiego, sam zresztą nie bez pewnych stosunków w Warszawie, jako krewny znakomitego pisarza i wysokiego urzędnika w Komisji oświecenia, Józefa Korzeniowskiego²⁾, puścił się w tę podróż, która na jego losy i losy kraju miała mieć przeważne i zgubne niestety! skutki.

W Warszawie zawiązał stosunki z całym stronnictwem ruchu, ze wszystkimi jego odcieniami, słuchał ich gorących mów i widząc wyraźne ich dążności powstańcze, zrazu zachowywał się bardzo chłodno³⁾, a nawet tu i owdzie mówił ze znajomością rzeczy człowieka fachowego, że nadzieje i zamiary, jakie przed nim rozwijano, nie mają żadnych szans powodzenia. Wskutek tego nie zrobił wrażenia na różnych zapaleńcach w guście Chmieleńskiego, Wereszczyńskiego lub Frankowskich, nawzajem wynosząc o nich jak najgorszą opinią i nazywając ich bez ogródki „szalonymi pałkami“. Ale to, czego nie mogły zrobić najbardziej

¹⁾ *N. Gogel*. Josafat Ogryzko, 78. Zeznanie Mikołaja Waśkowskiego.

²⁾ *A. Giller*, *Historya* II, 93.

³⁾ „Kółko wojskowych w Petersburgu“ (Rkpsm).

płomieniste mowy spiskowców warszawskich, zrobiły piękne oczy kobiety. W czasie swego pobytu zapoznał się z niejaką panną Pelagią Zgliczyńską, namiętą, czerwoną patriotką, jakimi były prawie wszystkie kobiety tej epoki. Panna była ładna, pełna wdzięku i niezwykle odrazu urok wywarła na tego młodego chłopca, który, dotąd oddany nauce i wojnie, nie miał czasu robić znajomości z kobietami i nie znał ich wcale. Rozmawiał się więc w pięknych oczach panny i pod jej wpływem, pod potokiem słów, płynących z ust kochanych, odrazu stał się najgorętszym, najczerwieńszym, najskrajniejszym patriotą, widzącym jedyny ratunek ojczyzny w natychmiastowym powstaniu zbrojnym¹⁾. Wszelkie wątpliwości, wszelkie chłodne obliczanie szans zniknęło z jego umysłu; oładnęła nim, odurzyła go jak wyziew niezdrowy, miłość do kobiety i wszystko oblała jakimś światłem, całkiem inaczej rzeczy przedstawiającem.

W takim usposobieniu duszy i serca, po dwutygodniowym pobycie w Warszawie, powrócił do Petersburga. Relacya, jaką złożył o stanie Warszawy swym mandatarzuszom, nosiła na sobie znamię tej gorączki, tych uniesień namiętnych, tej ślepoty nieprzejranej na fakta najoczywistsze, jaką tchnęła nań panna Zgliczyńska i jaką rozżarzył pałacy bruk stolicy. Sprawozdanie wygłoszone z właściwą Dąbrowskiemu siłą i energią słowa, w którem zdawał się brzmieć głuchy pomruk gotującej się do wybuchu Warszawy, wywarło rozmaite na słuchaczów wrażenie. Jedni, starsi, chłodniejsi, przekonani o wielkiej w stosunku do Polski potędze Rosyi, nie dali się porwać potokowi ułudnych nadziei, jakie poseł rozwijał przed nimi; inni, młodszy, entuzyaści i szaleńcy, nie znający kraju i Rosyi, wierzący w moc idei i w moc ludów, odrazu rozgorzeli wielkim płomieniem i wołali, by gotować się do możliwie prędkiego powstania. Zgromadzenia na ulicy Oficerskiej wskutek nieustannych sporów, jakie toczono, bardzo gorzkich i namiętnych, jak wszelkie spory polityczne, stały się

¹⁾ Loc. cit.

nadzwyczaj burzliwymi i głośnymi, przybrały charakter dawnych sejmików, w których nikt nikomu ustąpić nie chciał, i do żadnych nie doprowadziły rezultatów. Wobec tego niektórzy, pragnąc i czując potrzebę, by Koło petersburskie przybrało jakąś postawę zdecydowaną wobec wypadków warszawskich, do czego dojść nie można było przy bezładności dyskusyi, zaproponowali wybór prezesa, któryby jak w parlamentach miał władzę dyscyplinarną w zgromadzeniu. Wybór przy pomocy zwiniętych kartek papieru padł na Ferdynanda Waraskiego ¹⁾, który tyle sprawił, że obrady odbywały się ciszej i porządniej, co było koniecznem już z tego względu, że policya poczęła zwracać uwagę na zbieranie się młodzieży wojskowej i niewojskowej na ulicy Oficerskiej, ale mimo to wszystko do stałej i zdecydowanej uchwały przyjść nie mogło. Jedni domagali się, by ruch popierać wszelkimi siłami i dążyć do powstania; inni chcieli go powstrzymać, zupełnie nawet stłumić, jako wyraźnie grożący straszmem nieszczęściem i straszną klęską ojczyźnie. Wśród tych dyskusyi zawsze namiętnych, Kółko petersburskie zaezęło się powoli rozbijać; obudzone namiętności polityczne rodziły wzajemne niechęci i nienawiści; wielu studentów uniwersytetu, zachęconych odezwami Mierosławskiego, puściło się do szkoły wojskowej polskiej w Genui; wielu oficerów sztabu jeneralnego kończyło swe egzamina i wyjeżdżało tam, dokąd ich władza wojskowa przeznaczała.

Do rzędu tych ostatnich należał i Dąbrowski. Ukończywszy świetnie swe egzamina, odkomenderowany został do Warszawy, nie bez usilnych o to zabiegów ze swej strony, gdyż ciągnęły go tam, nad Wisłę, piękne oczy ukochanej i wir gotującej się burzy. W randze adjutanta sztabu jeneralnego szóstej dywizyi piechoty, konsystującej w stolicy polskiej i jej okolicach, puścił się w drogę. W Warszawie stanął w dniu 6 lutego 1862 r. i zamieszkał

¹⁾ Loc. cit.

w hotelu Saskim pod Nr. 9¹⁾, skąd później przeniósł się na Nalewki i stale się ulokował w domu Charczewskiej (Nr. 2256). Tu oczywiście przedewszystkiem rzucił się w wir rewolucyjny, w zawieranie znajomości z różnymi koryfeuszami spisku, i o ile za pierwszą swoją bytnością nie potrafił na nich wyrzucić żadnego wrażenia, teraz w jego postawie energicznej, w płomienistych słowach, w projektach jaskrawo rewolucyjnych i pełnych namiętności, spostrzegali siłę, z którą liczyć się trzeba było, a wielu widziało w Dąbrowskim przyszłego dyktatora powstania. Wkrótce jego figurka mała, szczupła, drobna, ale niezmiernie ruchliwa, przybrana w mundur adjutancki, znaną była wszystkim spiskowcom wielkemiejskim, i z właściwą Warszawiakom bystrością w odgadywaniu charakterów ludzkich i określaniu ich odpowiedniemi, przezwano go „Łokietkiem“, i ta nazwa została mu na zawsze, wielu go tylko pod nią znało, nie wiedząc, jakie właściwie miano nosi ten młody oficer, ruchliwy i czynny. Ale jeżeli przyzwisko to w sam raz malowało fizyczną stronę Dąbrowskiego, nie mniej trafnie odpowiadało ono jego charakterowi i umysłowi. Jak ów historyczny, mały ciałem, ale wielki duszą król polski, który rozbitą ojczyznę skupił i nadał jej taką tęgosc, że odtąd rosła szeroko, a wszystko to uczynił wśród mnóstwa przeciwności, jedynie niezłomną, nieugiętą wolą i siłą swego charakteru, tak samo i nowy warszawski Łokietek, o całe pięćset lat późniejszy od Piastowicza średniowiecznego, miał w sobie ogromny zasób sił i żelazną tężyznę woli. W jego drobnej ale zręcznej postaci, w jego ruchach gorączkowych i jakby nerwowych, przebijająca się natura czynna i energiczna. Jasny, prawie konopiasty blondyn, o dużych, chłodnych, stalowego koloru oczach, niewielkich wąsach, wargach grubych i wydatnych, mówił całą swą twarzą o wielkiej stanowczości, sile i bezwzględności charakteru. Takie też wrażenie na wszystkich robił i mimowoli wszyscy się

¹⁾ *N. Berg, Zapiski II, 257.*

przed nim uginali ¹⁾); przytem spostrzeżono wkrótce, że jest to człowiek, który jak sobie raz co postanowił i to postanowienie swoje uznał za dobre, to musi je wykonać, choćby mu wszyscy stawali oporem. Spotykając też taki opór tu i ówdzie, Dąbrowski lubiał chodzić pojedynkiem, działać na własną rękę, nie pytając się nikogo i nie radząc, znajdując chyba odpowiedzialność tylko przed własnym sumieniem ²⁾). Jak w wielu chorych głowach tej epoki, duszach przez niewolę zepsutych i wypaczonych, kielkowała i w Dąbrowskim nie zdrowa ambicya ogarnięcia całego ruchu i poprowadzenia go tam, gdzie w jego wyobraźni leżało zbawienie nie tyle Polski, bo Polska w tych posępnych rojeniach poczęła powoli zajmować stanowisko drugorzędne, stawać się tłem obrazu, na którego pierwszym planie miał się rysować taki dyktatorski zbawca i przechodzić na zawsze do historyi, ile ich marzeń i idei własnych. Mniejsza o to, co się stanie potem z Polską, mniejsza, że krwią spłynie cała, że ruinami zasiana będzie, że dziesiątki tysięcy najdzielniejszych sił narodowych pójdzie na śniegi sybirskie marnieć i konać powoli, mniejsza o cierpienia niezliczone, o zachwianie wszystkich podstaw bytu narodowego, byle o nim, o Dąbrowskim i jemu podobnych historia mówiła, byle on wyraziście się rysował w perspektywie dziejowej, na tle purpury krwi i pożarów czerwieni...

Nowoczesny Łokietek rozpatrzywszy się w położeniu rzeczy, widząc bezsilność Komitetu miejskiego wobec akademików, sforność działania u tych ostatnich, a chaos u pierwszego, wywoływany przewagą anarchicznego Koła, odrazu zarysował sobie plan działania, ostatecznym którego celem było schwycenie władzy nad całym ruchem. Z tą bystrością natur ambitnych i wszystko podporządkujących swemu ja, zrozumiał on, że Komitet akademicki

¹⁾ Bardzo trafny portret Dąbrowskiego z czasów komuny paryskiej można oglądać przy cytowanej broszurze Rożałowskiego.

²⁾ A. Giller, *Historya II*, 94.

nie może mieć przyszłości, że niepodobna oddawać losów i rządów kraju garści młodzieży szkolnej, że jedyna możliwość działania na wielką skalę leży w Komitecie miejskim, w skład którego wchodzi ludzie starsi, a jeżeli nie wchodzi, to wejść mogą prędzej i słuszniej niż do Komitetu akademickiego. Tu więc ostatecznie, lawirując przez jakiś czas i przypatrując się wszystkiemu ciekawie, głosząc wszędzie teorie skrajnie rewolucyjne i powstańcze, rozwinał całą energią swą niezaprzeczenie bogatej natury. Mówiąc o konieczności organizacyi silniejszej i bardziej skupionej, zwracał członkom Komitetu uwagę na to, że organizacya ta wprost jest niemożliwą, dopóki będzie istniało Koło, które każdej chwili może zmieniać członków, wprowadza anarchią do Komitetu i podkopuje grunt pod nim. Domagał się więc przedewszystkiem zniesienia Koła, jako ciała zwierzchniczego nad Komitetem ¹⁾. Potrzebę tego zniesienia czuli doskonale wszyscy członkowie tego ostatniego, czuł najprzód Chmieleński, który, pomimo swego zdecydowanego i skłonnego do terroryzmu charakteru, nie mógł sobie przez kilka miesięcy dać rady z Kołem i pomimo ambitnych marzeń, pozostawał ciągle w cieniu. Rozpoczęły się więc narady, debaty długie i gorące, i dzięki nadzwyczajnej czynności i przewadze, jaką sobie umiał wyrobić Dąbrowski, Koło zostało rozwiązane w kwietniu ²⁾, i Komitet pozostał ten sam, mając za współzawodnika tylko Komitet akademicki. Oczywiście czynny współdział Dąbrowskiego w tej sprawie miał ten skutek, że nowożytny Łokietek, w mundur oficera rosyjskiego przybrany, stał się zanadto wybitną osobistością w organizacyi, by w składzie najwyższej jej hierarchii mógł być pominięty. Wszedł więc on do Komitetu miejskiego, który tym razem, pozbywszy się młodego Wereszczyńskiego i Głowackiego,

¹⁾ *Tomasz B.* Pamiętniki do lat 1861—1863. Rękopism, skreślony przez jednego z członków organizacyi, znajdujący się w zbiorach autora.

²⁾ *A. Giller*, *Historya I*, 68.

utworzył tryumwirat, złożony z Chmieleńskiego, Dąbrowskiego i Stanisława Matuszewicza, młodego ziemianina z Podola ¹⁾, niegdyś studenta uniwersytetu Kijowskiego.

Dąbrowski, zgodnie ze swemi przekonaniem, podsyćcanem przez piękne oczy panny Zgliczyńskiej, domagał się jak najprędzszego powstania. Na licznych zebraniach Komitetu, które się odbywały w różnych miejscach dla uniknienia uwagi policyi, a najczęściej na ulicy Chłodnej, w domu „pod zegarem“, wprost kościoła Karola Boromeusza, w mieszkaniu jednego z wyższych członków organizacji, niejakiego Wojciechowskiego ²⁾, żądał on, ażeby nie bawić się w rozszerzanie sprzysiężenia, które będzie miało ten skutek, że wcześniej czy później Komitet, zamiast niem rządzić i kierować, będzie się musiał stać jego posłusznym narzędziem, taką samą bezsilną lalką, jaką był w ręku Koła, ale wprost dążyć do powstania, robić odpowiednie przygotowania, zgromadzać pieniądze, broń, zapasy. Skoro raz wybuchnie powstanie, wtedy i bez organizacji ci, którzy są dobrymi Polakami, pójdą do obozu, a innych siłą się weźmie. Organizacya więc na tak wielką skalę zarysowana jest całkiem niepotrzebną, oddala od celu, marnuje czas i siły na zabawkę w spisek bezpłodny i trawiący się sam w sobie. W Warszawie zawsze znaleźć będzie można tysiąc ludzi, gotowych na wszystko, którzy dobrze poprowadzeni wezmą cytadelę i wypędzą ze stolicy Moskali ³⁾. Chmieleński, w gruncie rzeczy tych samych przekonań, zgadzał się na te wywody, ale inni, chłodniejsi, a może rozumniej kochający ojczyznę, którzy, jakkolwiek nie należą do Komitetu, dawnym zwyczajem, ustalonym we wszystkich sprzysiężeniach warszawskich, zbiegali się na jego posiedzenia, odpowiadali: dobrze, znajdziesz tysiąc straceńców w Warszawie i zdobędziesz cytadelę, ale co potem? Jeżeli powstania nie będzie w całym kraju, to ci

¹⁾ *Ustimowicz, Zagowory, 84.*

²⁾ *Tomasz B. Pamiętniki.*

³⁾ *Relacje ustne.*

w dwa dni tę cytadelę odbiorą i ciebie wraz z tysiącem tych straceńców powieszą. Chcąc zaś, by powstanie wybuchło w całym kraju, trzeba go naprzód uorganizować, trzeba potem pieniędzy i oficerów. Łokietek-Dąbrowski odpowiadał na to, że opozycyoniści, jako ludzie cywilni, nie znają się na rzeczach wojskowych, że zatem nie powinni w tej kwestyi głosu podnosić. Oficerów wcale nie zabraknie, gdyż dostarczy ich spiszek, istniejący w wojsku i szkoła w Cuneo.

O spisku tym Dąbrowski mówił bardzo wiele i dając poznać, że posiada wszystkie jego nici w ręku, przez to samo zyskiwał ogromne znaczenie i ogromną przewagę w organizacyi warszawskiej. Rojono sobie też z tego powodu Bóg wie jakie skutki; w rzeczy zaś samej, spiszek ten naprzód w ścisłem znaczeniu tego słowa nie istniał wcale, był dopiero w załączku, a załączek ten obejmował bardzo niewielką liczbę osób, i przy najszcześniejszym zbiegu okoliczności, jakie dopomogłyby do jego rozwoju, nikt nie mógł przewidzieć, co z tego zarodka z czasem wyrósć może. Spiszek ten, jeżeli godzi się tak go nazwać, był z jednej strony dzieckiem ruchu umysłowego, jaki się objawił w Rosyi po śmierci Mikołaja I-go, z drugiej ruchu polskiego. Pod wpływem ożywczego prądu reform, wywołanych przez cesarza Aleksandra II-go, obudziła się w skostniałych umysłach rosyjskich dążność do pozbycia się samowładzy, do formy rządu parlamentarnej; liberalizm ten jednak miał skończyć się na nihilizmie niestety! którego objawy już się teraz spostrzegać dawały. W tej chwili jednak wśród młodzieży rosyjskiej, wśród oficerów różnych szkół wojskowych, ideałem był Hercen ze swym „Kołokołem“, który pomimo komor celnych w ilości 2500 egzemplarzy dostawał się do Rosyi i czytany był chciwie. W samym caracie poczęło nawet wychodzić tajne pismo rewolucyjne p. t. „Ziemia i wola“, które z powodu, że nie było to możliwem w Petersburgu, drukowano w Kijowie w Ławrze Peczerskiej, nieomal w mieszkaniu archimandryty. Zajmowała się tem młodzież uniwersytecka, w wię-

kszej części Polacy lub żydzi polscy, którym z Petersburga nadsyłano artykuły. W Moskwie znów ukazało się pismo także potajemne p. t. „Wielikorus“, które podobnie jak „Ziemia i wola“ domagało się odpowiedzialności ministrów, sądów przysięgłych, decentralizacyi, samorządu prowincjonalnego, swobody chłopu, swobody wyznania, prasy i stowarzyszeń. Odnośnie do Polski pismo to żądało bezwarunkowego jej wyzwolenia. Władza rosyjska bowiem nad Polską, pisał „Wielikorus“, opiera się wyłącznie na sile zbrojnej. „Póki zaś władza na ludem ucywilizowanym opiera się w jednej części państwa na systemie samowładztwa wojennego, dopóty rząd nie jest w stanie wyrzec się go i w innych jego (państwa) częściach“. „Interes wolności rosyjskiej wymaga wyzwolenia Polski. Nasza godność narodowa, miłość ludu i rachunek finansowy tego wymagają. Władza nasza nad Polską opiera się tylko na tem, żeśmy naruszyli wszystkie warunki, mocą których Królestwo Polskie na kongresie wiedeńskim przyłączone zostało do Rosyi. Zobowiązaliśmy się wówczas nadać Polsce konstytucyą, zupełną autonomią i wojsko narodowe. Złamaliśmy dane słowo i jesteśmy zwodzicielami w obliczu całej Europy. Dla rządzenia Polską musimy trzymać dwakroć sto tysięcy wojska więcej nad potrzebę, musimy wydawać rocznie 40 milionów rubli z własnych funduszków, oprócz tego, co nam Polska przynosi. Nasze finanse nigdy nie przyjdą do porządku, jeżeli ciągle pónosić będziemy takie straty. Setki tysięcy starców, kobiet i dzieci, niema u nas żyć z czego, dlatego, że pracujący na nich zostali wysłani na zachód dla utrzymania Polski w niewoli, tak zgubnej dla nas samych. Póty będziemy ofiarami tej klęski, póki się nie zrzekniemy Polski w zupełności“¹⁾. Zadania te, wypowiedane ze stanowiska nieco doktrynerskiego, chciwie czytane były przez młodzież rosyjską, przez młodych oficerów, którzy, zgadzając się w duszy na wywody „Wielikorusa“, w wyzwoleniu Polski widzieli wyzwolenie własnej ojczyzny

¹⁾ *Wielikorus* Nr. 2 w „Wiadomościach z kraju“, 30.

z pod tyranii i despotyzmu i czynownictwa. Dzięki wpływowi tych idei, wygnańców polskich wysyłanych do Rosyi przyjmowano tam z owacyami, obrzucano ich kwiatami, obdarowywano pieniędzmi, jadłem, napojami i ubraniem, nazywano „męczennikami wolności“. Jeżeli wierzyć można opowiadaniom współczesnych, to rzeczy doszły do tego, że z tak zwanego trzeciego wydziału żandarmskiego (trzeciogo oddzielenia), przesyłano wygnańcom wsparcia z tem oświadczeniem, że karze ich cesarz rosyjski, a obdarowywa król polski¹⁾. W gubernii Saratowskiej damy rosyjskie nosiły żałobę po pięciu ofiarach warszawskich²⁾; jednym słowem usposobienie ogólne w olbrzymim caracie było jak najlepsze dla nas, a usposobienie to popierała młodzież rosyjska i propagowała usilnie. Ale od tego rodzaju usposobienia, od schadzek i rozpraw na temat artykułów „Kółkoła“ lub „Wielikorusa“, od obrzucania kwiatami wygnańców polskich, do spisku uorganizowanego i mającego wytknięty cel działania, było jeszcze bardzo daleko. Młodzież rosyjska przyjaźnie i z sympatją patrzyła na ruch polski, przewidywała, że skończyć on się musi powstaniem zbrojnym, ale powstanie to wyobrażała sobie w czasie bardzo jeszcze oddalonym. Tu i ówdzie zawiązując stosunki z agitatorami polskimi, wyraźnie dawała poznać, że liczy wiele na to powstanie, że mu da bezwarunkowo pomoc, jakkolwiek już wtedy podnoszone były spory, co do granic dwóch krajów³⁾, ale oczywiście potrzebowała na to wszystko czasu i powolnej organizacyi własnej, która w tej chwili w mglistych bardzo przedstawiała się zarysach i projektach. Nikt jeszcze nie przewidywał, nikt wśród tej młodzieży nie przypuszczał, że powstanie to już jest

¹⁾ *Teobald*, Wspomnienia, V, 17.

²⁾ *Loc. cit.*

³⁾ Jeden z najzdolniejszych i najliberalniejszych pisarzy rosyjskich z tej epoki, Mikołaj Czernyszewski, mówił do pewnego Polaka: „nie wiercie nam panowie Polacy, bo, gdy przyjdzie sprawa granic na stół, pogryziemy się jak psy o kość, a nie oddamy wam Litwy nigdy“ (*Pułkownik Strus*: Szkice z powstania r. 1863).

u drzwi nieomal, że wychoduje się i zrodzi w ciągu kilku zaledwie miesięcy. Stąd w tej młodzieży wybuchło oburzenie za zawód, za starganie ich marzeń, a pod wpływem rozbudzonych dzikich uczuć mas, nienawiści do cudzoziemców, zaraźliwej jak każde złe uczucie, młodzież ta przemieniła się w słynnych po wsze czasy „diejatieli“, którzy spadli na Polskę jak szarańcza, jak horda Hunnów, jak bicz Boży prawdziwy i zdeptali i wyrócili ją do cna...

Takie było położenie owego osławionego spisku w Rosyi, o którym tyle mówił Łokietek-Dąbrowski. Nie lepiej się rzeczy miały w Warszawie, gdzie młodzieży cywilnej rosyjskiej nie było, gdzie była tylko młodzież wojskowa, i cały ów mniemany spisek na niej się wyłącznie opierał. Właściwie nawet Rosyan było niewiele; w większej części do tej grupy należeli oficerowie albo Polacy, albo też Rosyanie w Polsce wychowani, którzy marzyli o tem i niby to sobie za zadanie stawiali, ażeby w chwili wybuchu powstania wywołać rokosz w wojsku, przyłączyć się z niem choć w części do ruchu i tym sposobem rząd ubezwładnić. Oprócz Dąbrowskiego, który był duszą i motorem całej tej akcji, który wlewał w żyły kolegów palącą lawę swych marzeń fantastycznych, należeli tutaj z pułków, stojących w Warszawie: Andrzej Połebnia, Rusin z rodu, z gubernii Charkowskiej, kapitan i kwatermistrz pułku Kostromskiego. Był on na pół spolonizowany, łączyły go z Polską liczne nici ¹⁾. Należał dawniej Iwan Arnhold, z rodziny kurlandzkiej, podporucznik 4-go batalionu strzelców, Piotr Śliwicki także oficer tegoż batalionu, Rusin, zdaje się z rodziny polskiej pochodzący, Kapliński, Polak, i inni mniej znani. Na prowincyi należało także do tego spisku mniemanego nieco oficerów, ale przeważnie Polaków (Dobrowolski w Radomiu, Dobrogojski w Kielcach, Trąbczyński i inni). Przedewszystkiem jednak nie był to wcale spisek; schodzono się, odczytywano „Kołokoła“, odezwy i broszury

¹⁾ Brat jego, późniejszy profesor uniwersytetu Charkowskiego, uczył się w gimnazyum radomskim, gdzie się zupełnie spolonizował.

polskie i prowadzono propagandę wśród oficerów i żołnierzy, ale nie miano wcale charakteru przysiężenia. Propaganda ta zresztą była z jednej strony bardzo ostrożnie, a z drugiej nader, do pewnego stopnia, naiwnie prowadzoną. Ci i owi oficerowie zgromadzali niekiedy w koszarach swych podwładnych żołnierzy i odczytywali im ustępy z „Kołokoła“, lub z „Polarnej Zwiezdy“, czego żołnierze po większej części nie rozumieli. Podrzucano także po koszarach odezwy ruskie. Rząd miał o tem wszystkim pewne wiadomości, nawet w ostatnich dniach 1861 r. aresztowano w Warszawie niejakiego Wróblewskiego, litografa, zato, że odbił tysiąc egzemplarzy odezwy Hercena do wojska w języku rosyjskim, którą znaleziono rozrzuconą w koszarach pułku szlisselburskiego piechoty, i upominającej żołnierzy, aby nie strzelali do ludu. Wróblewski zeznał w komisji śledczej, że przyszło doń dwóch oficerów, którzy kazali mu odbić tę odezwę. Na całą więc tę akcyą rząd miał zwrócone baczne oko, i jeżeli nie chwycił się w tej chwili środków stanowczych, to dlatego zapewne, że nie wydawała mu się ona zbyt niebezpieczną¹⁾.

Wszelako nie dowodzi to wcale, żeby na ów rzekomy spisek wojskowy można było liczyć, jak to twierdził Dąbrowski, i żeby przy pomocy rokoszu żołnierskiego łatwo było wziąć cytadelę warszawską. Niemniej nadzieje na szkołę podchorążych polskich w Genui okazały się zawodnemi. Szkoła ta bowiem przechodziła ciągle szereg wstrząśnień wewnętrznych, które obok innych przyczyn, natury politycznej, o których już wspominaliśmy, nie zapowiadały

¹⁾ Pawliszczew, Siedmicy I, 70, opowiada pod d. 8 kwietnia, że spytano żołnierza, który podniósł taką odezwę, czy ją czytał: „Czytałem wasze błagorodie, odrzekł żołnierz; piszą, żebyśmy nie słuchali zwierzchności (naczalstwa)“. „No, i cóż ty na to?“. „Ha, ja myślę, że gdybyśmy nie słuchali zwierzchności, to byśmy już dawno wyrznęli (perebili) wszystkich Lachów“. Relacya ta, prawdziwa czy nie, dowodzi w każdym razie, że rząd wiedział o agitacyi wśród żołnierzy, skoro już Pawliszczew donosi o tem cesarzowi. Berg, Zapiski II, 272, powtarza także tę anegdotę.

jej długiego istnienia, a nadewszystko nie dawały gwarancji, by młodzież z niej wychodząca przedstawiała istotnie dobry materiał na oficerów w przyszłej wojnie powstańczej. Nietaktowne w najwyższym stopniu postępowanie Mierosławskiego, odnoszenie wszystkiego do siebie, wywoływanie podejrzeń i sporów, spowodowało opłakany z wielu względów wypadek, który świadczył o złym stanie wewnętrznym szkoły. Mierosławski już tem samem wprowadził ją od początku istnienia w ataki niepokoju nerwowego, że ciągle twierdził o znajdowaniu się w niej szpiegów rosyjskich, czyhających jakoby na jego drogocenne życie. Młodzież uwielbiająca swego wodza, pełna drażliwego poczucia honoru, nadzwyczajnie była wzburzona temi podejrzeniami, i dozwoliła, dla zrzucenia ich ze siebie, dowódcy swemu na odczytywanie listów, pisanych do niej, i bacznie miała nawzajem na siebie zwrócone oko. Ale taki stan nieufności wzajemnej, nieustannych oskarżeń i intryg, jak najgorzej musiał oddziaływać na samą szkołę; uczono się niewiele, ale zato toczono między sobą namiętne rozprawy, kłócono się, a co najgorsza podejrzywano. Przyszło do tego, że niejaki Janczewski, czy na skutek insynuacji samego Mierosławskiego, czy też skąd inąd, wpadł w podejrzenie, że jest owym szpiegiem, o którym dowódca ciągle mówił. Rozdrażniło to tak młodzież, iż jeden z uczniów, Kaczyński¹⁾, niegdyś student szkoły rolniczej w Marymoncie pod Warszawą, strzelił do Janczewskiego z rewolweru. Zrazu Kaczyński, sądząc, że zabił kolegę, wybiegł z gmachu szkolnego i rzucił się w morze dla odebrania sobie także życia, ale go wyratowano. Na szczęście okazało się, że Janczewski nie został zabity, gdyż wskutek słabości naboju, czy innych przyczyn, kula spłaszczyła się na zbyt twardej widocznie głowie ofiary. Wypadek ten wstrząsnął szkołą, a choć umyślnie rozpuszczono pogłoskę, że strzał padł ze swawoli, wszakże wszyscy wiedzieli, czego się trzymać. Nie-

¹⁾ Nie Kuczyński, jak go współczesne pisma, a za nimi późniejsi nazywają.

znośne, dręczące wszystkich podejrzenia przebrały już miarę; oburzenie przeciw Mierosławskiemu wzrastało; wielu profesorów, jak Langiewicz, miało z nim żywe starcia; szkoła rozpadnięciem się groziła. Jawny nakoniec opór wywołał dowódca przeciw sobie tem, że zażądał od uczących się, aby podpisali w imieniu kraju zredagowane już i gotowe upoważnienie dla niego, które rozesłał także wszędzie, gdzie tylko w zakładach naukowych zagranicznych młodzież polską bawiła, do reprezentowania narodu i wyłącznego sprawą polską kierownictwa¹⁾. Młodzi podchorążowie podpisu odmówili i formalnie wypowiedzieli swemu dowódcy w ogromnej większości posłuszeństwo. Wobec tego Mierosławski przez pismo, datowane d. 27 lutego 1862 p. t. „Do młodzieży polskiej, pragnącej wejść do szkoły wojskowej“, oświadczył, że „okolicznościami zmuszony nie może przewodniczyć dłużej, założonej przez siebie szkole podchorążych“. Jednakże, mimo tego zrzeczenia się, miał on wśród uczniów tak fanatycznych zwolenników, zwłaszcza między Litwinami, że 26-u z pomiędzy nich opuściło zaraz szkołę i udało się do Paryża, a głównie do Konstantynopola²⁾. Między nimi znajdował się także Zygmunt Chmieleński, brat znanego nam Ignacego, późniejszy dowódca w powstaniu zbrojnym. Mierosławski w powyżej cytowanym piśmie, osłaniając główny powód opuszczenia szkoły, zwał winę na reprezentanta pruskiego p. Brussier de Saint-Simon, którego jakoby nalegania, „nakłoniły go (Mierosławskiego) do opuszczenia Włoch na czas pewien, celem przyniesienia ulgi rządowi włoskiemu“.

Młodzież, pozostawiona sobie, wysłała deputacją do Paryża w d. 15 marca, zapraszając do objęcia dyrekcji nad szkołą generała Józefa Wysockiego. Ten chętnie się na to zgodził i udał się natychmiast (d. 19 marca) do Turynu, ale tu zastał okoliczności znacznie, niż mu się to

¹⁾ *A. Guttry*, Pan Ludwik Mierosławski, jego dzieła i działania, p. 8.

²⁾ *J. Wielobycki*, Szkoła wojskowa w Genui i Cuneo (rkpsm..)

pierwotnie zdawało, zmienionemi. Minister włoski Rattazzi, nie mając na razie nikogo pod ręką, zaproponował objęcie dowództwa nad szkołą księciu Marcelemu Lubomirskiemu¹⁾, którego znał ze stosunków towarzyskich, i o którym wiedział, że w roku zeszłym znaczną sumę ofiarował na jej założenie. W odezwie, jaką d. 19 marca, minister wystosował do księcia Lubomirskiego, między innymi znajdowały się takie słowa: „zalecam panu przedewszystkiem, żeby szkoła ta, wyłącznie mająca na celu naukę wojskową, pozostała poza stronnictwami emigracyi polskiej, żeby nie miała żadnego charakteru politycznego, i żeby jak najprędzej mogła być przeniesiona z Genui do innego miasta“²⁾. Książę Lubomirski, wielki pan, człowiek w gruncie rzeczy poczciwy, ale nie mogący mieć pretensyi do odgrywania politycznej w sprawie polskiej roli, znany był dobrze młodzieży z życia prywatnego. Nie zgodziła się więc na jego zwierzchnictwo, które uważała za pewien rodzaj narzucania się, za branie się do rzeczy, których ks. Lubomirski ani znał, ani rozumiał, ani sprostać im nigdy nie był w stanie. Gdy się więc dowiedziano w Genui, że Wysocki, wskutek wysłanego doń zaproszenia, przybył już do Turynu, wydelegowano więc do niego d. 23 marca trzech posłów: Kurczewskiego, Turcewicza i Rogalińskiego, z mandatem podpisanym przez 65 pozostałych w szkole i zapraszającym Wysockiego do natychmiastowego objęcia jej naczelnictwa³⁾, dodając, że „ponieważ podpisani nikogo innego, jak tylko generała Wysockiego za naczelnika szkoły uznają, deputowani przeto winni są wyrazić to wszędzie, gdzie uznają za potrzebne“. Jakoż Rattazzi nie sprzeciwiał się

1) Loc. cit.

2) List ten można czytać w pamflecie Mierosławskiego, wydanym w Paryżu p. t. „Note du général Mierosławski sur le licenciement de l'école militaire polonaise en Italie, en réponse au compte rendu inseré dans l'Opinion national du 1-er juillet 1862“ — oraz u *N. Berga*, Zapiski IV, 124.

3) Mandat ten, drukowany we współczesnych pismach zagranicznych polskich, jako mało znany i trudny do odszukania, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 7.

temu i Wysocki udał się do Genui, zaprowadził ład, komendantem jej mianował pułkownika wojsk francuskich Fijałkowskiego; Zygmuntowi Padlewskiemu, b. oficerowi wojsk rosyjskich, powierzył wykład taktyki i geografii wojennej oraz artyleryi po Maryanie Langiewiczzu, który, jakżeśmy zaznaczyli, usunął się był jeszcze za rządów Mierosławskiego. Tak urządziwszy szkołę i z najwyższej anarchii, jaka w niej panowała, zaprowadziwszy porządek wzorowy, miał zamiar wracać do Paryża, gdyż „nie przyuczony do życia kosztem publicznych funduszów, chciał pracować jak dawniej na kawałek chleba“. Tymczasem zaszła nowa okoliczność, która na szkołę przeważny wpływ mieć mogła, a zarazem była oznaką, jak dalece byt jej był niepewny i chwiejny. Już w liście do ks. Lubomirskiego, zacytowanym powyżej, minister Rattazzi zalecał, ażeby szkoła, „jak najprędzej mogła być przeniesiona z Genui do innego miasta“. Przyczyną bezpośrednią tego domagania się rządu włoskiego były odwiedziny w roku zeszłym szkoły przez Garibaldiego, entuzyastyczne przyjęcie, jakiego od niej doznał i obawa, by w wyprawie jego, jaką teraz przedsięwziął pod Mentonę, podchorążowie polscy udziału nie wzięli¹⁾. Przytem w Genui, jako mieście dużem i portowem, szkoła była zanadto na widoku wszystkich i zanadto zwracała na siebie uwagę. Burze zrywające się w niej co chwila, awantura z Janczewskim, rozgłoszona przez miejscowe dzienniki, brząkanie szabelkami po ulicach i kawiarniach, wyrobiły jej wychowañcom nieosobliwszą wśród ludności opinią. Pomysł więc przeniesienia ich gdzieindziej, nietylko ze względów politycznych, nietylko z obawy, by gremialnie nie przyłączyli się do Garibaldiego, ale ze względu na ich własne dobro był zbawiennym; wszelako z drugiej strony dowodził, że szkoła poczyna być niewygodną dla rządu włoskiego. Jakoż załatwiono się z tem szybko. W końcu marca, z rokazu władz, przeniesiono ją do Cuneo, małego miasteczka w głębi Piemontu leżącego, gdzie pomieszczoną

¹⁾ N. Berg, Zapiski II, 208.

została w obszernym gmachu po kollegium jezuickiem. Młodzież udała się tam koleją żelazną. Jej dowódcą urzędowym został generał włoski Pallavicini, a ponieważ Wysocki wyjechał do Paryża, więc faktycznym jego zastępcą i dyrektorem był Padlewski¹⁾. Tutaj w Cuneo, w cichem, górskim i niezbyt ludnem miasteczku, szkoła pędziła byt spokojniejszy, choćby tylko dlatego, że owego ducha nierządu, podejrzeń i oskarżeń, jaki stanowił właściwość Mierosławskiego, wśród niej teraz nie było; wszelako wewnątrz, między młodzieżą, nie przestawały trwać namiętne spory niby o Polskę i jej losy, spory zaprawione stronnictwymi poglądami; stąd powstały rozliczne waśnie, które z czasem miały się przenieść do kraju, do powstania zbrojnego i wiele szkód mu przyniosły²⁾.

Z tego wszystkiego wszakże widocznem było dla każdego umysłu nieuprzedzonego, że szkoła podchorążych polskich pod żadnym względem nie przyniesie i przynieść nie może tych korzyści, na jakie liczyło stronnictwo ruchu w kraju, i nie spełni tych nadziei, jakie na niej pokładano. Wogóle więc gwałtowne popychanie komitetów rewolucyjnych warszawskich przez Dąbrowskiego do wywołania powstania zbrojnego było lekkomyślnością krzyżującą i zbrodniczą. Tem więcej było to nieusprawiedliwionem, tem lekkomyślniej wyglądało, że Komitet miejski nie miał w swym ręku całej organizacyi, że nie był sam, że dzielił władzę z Komitetem akademickim, że nie miał pieniędzy, które posiadała obok niego inna, nieprzyjazna mu organizacya, zwana Dyрекcyą białych i która dość pogardliwie spoglądała z wyżyn swego wygodnego dobrobytu na głodne i chłodne krzątania się jakichś tam młokosów. Składała się ona teraz z Jurgensa, Kurtza, Kronenberga, Władysława hr. Zamojskiego i Karola Majewskiego. Po

¹⁾ *J. Wielobycki*, loc. cit.

²⁾ *A. Giller*, *Historya I*, 280. „Pamiętka dla rodzin polskich“ I, 117 powiada, że Mierosławski, dowiedziawszy się o objęciu nieurzędowego dyrektorstwa przez Padlewskiego, polecił mu donieść, że chyba po jego, Mierosławskiego, trupie dojdzie do szkoły.

części należał do niej także Józef Kołaczkowski i Karol Ruprecht, nie jako stali członkowie, ale często wzywani na posiedzenia i obarczani różnemi poruczeniami. Jakkolwiek było to ciało dość ciężkie i nieruchome, w składowych swych częściach źle dopasowane i przez to skrzypiące nieraz szkaradnie, przecież przedstawiało ono, szczerze mówiąc, jedyną, prawdziwą reprezentacją kraju, którą Komitet miejski, różni Chmielęscy, Dąbrowscy, Janczewscy i mnóstwo innych, nikomu nieznanych i przez nikogo nieuznanych, być nie mogli i nie byli. Z początku Dyrekcyja zabierała się do rzeczy dość żwawo; zamierzała skoncentrować w sobie przedstawicielstwo wszystkich trzech zaborów, całej dawnej Polski. Zawiązano więc w tym celu, w początkach 1862 r. rokowania z wybitniejszymi osobistościami w zaborze pruskim i austryackim, oraz na Litwie i Rusi, a mianowicie: w Ks. Poznańskim z Guttrym i Niegolewskim, w Galicyi ze Smolką i Zyblikiewiczem, na Litwie z Franciszkiem Dalewskim, na Rusi ze studentami uniwersytetu kijowskiego, głównie z Gustawem Wasilewskim i Włodzimierzem Antonowiczem¹⁾, którzy dali pełnomocnictwo reprezentowania w Dyrekcyi tych czterech dzielnic: Kronenbergowi, Jurgensowi i Majewskiemu. Tym więc sposobem zadość uczyniono formie i pozornie w Dyrekcyi skupiała się cała Polska, ale tylko pozornie i wyglądało to na śmieszny komedya, przypominało sejm 1831 r., w którym kilku zbiegłych szlachciców z Litwy i Rusi reprezentowało te prowincye i brało udział w uchwałach. W gruncie jednak rzeczy przedstawicielstwo to nie miało głębszego znaczenia, gdyż cała akcyja, cały impuls, siła rzutu spoczywała w jednej dzielnicy, t. j. w Królestwie, które reprezentowane było należycie i z wyborów.

Współcześnie z tą akcyją, mającą na celu skupienie

¹⁾ N. Berg, Zapiski II, 221, wymienia jeszcze trzeciego: Tomasz Burzyńskiego, co jest błędem, gdyż Burzyński siedział w tym czasie w cytadeli warszawskiej, dokąd został przysłany w grudniu 1861 r. z Kijowa.

w swym ręku wszystkiej władzy i we wszystkich zaborach, Dyrekcyja zabrała się do nakreślenia, a właściwie do opublikowania drukiem programu swego działania i wyznania swej wiary politycznej. Zadania tego podjął się członek Dyrekcyi, Karol Ruprecht, znany nam już z doby Delegacyi warszawskiej, człowiek bardzo prawy, bardzo czysty, szczerzy i gorący patriota, ale nieco marzyciel i mistyk, serce rozplakane nad dolą ojczyzny, pełne posępnej poezyi, wykwitłej w sybirskim wygnaniu. Na podstawie programu ułożonego w grudniu r. z. Ruprecht wygotował i wydrukował jego rozwinięcie w broszurze: „Zadanie obecnej chwili“ pod pseudonimem Stanisława Kazimierza Gromady¹⁾. Zarzucano później temu publicznemu wyznaniu wiary dużo mglistości w wyrażeniach, braku ścisłości i stanowczych określeń w zamiarach, niemoc czynu i chorobę gromadnego sejmikowania, tę chroniczną wadę szlachty polskiej; ale pominałszy już to, że Ruprecht nie mógł się wyrzec przy pisaniu swego usposobienia i swych poglądów, zaczerpniętych w niezdrowej mityce wygnania, to z drugiej strony Dyrekcyja nie mogła szczerze i otwarcie mówić o wszystkim i mówić publicznie, rozkrywać swe karty w grze, w której szło o naród, gorzej, bo o życie jego, niestety! Słusznie też mówiono, że w takim razie niepotrzebnie ten program drukowano, i w Dyrekcyi w rzeczy samej wielu było temu przeciwnych, ale śnać ich przegłosowano.

W czemże się jednak zawierał ten ciężko zrodzony, wykąpany w odurzającej atmosferze mistycyzmu politycznego program, przybierający wiele mówiące miano „żądań obecnej chwili?“ Jak powodem wszystkich spisków, sprysiężeń i stowarzyszeń polskich* od lat czterdziestu przeszło, a sięgając głębiej od pierwszego rozbioru, tak i celem powstania Dyrekcyi było przywrócenie Polski w granicach 1772 r., przywrócenie jej niezależności i samoistnego bytu politycznego. W wykonaniu wszelako tego ciężkiego i tru-

¹⁾ Broszura ta wyszła w Paryżu, 1862 r.

dnego zadania, dla którego pokolenia ówczesne gotowe było wszystko poświęcić z ofiarnością zaiste zdumiewającą i rzadko spotykaną w historii, Dyrekcyja zgoła odmienną od stronnictwa ruchu nakreślała drogę postępowania. Podczas kiedy to ostatnie zrywało wszelkie nici z rządem, uznawać go i nic od niego przyjmować nie chciało, Dyrekcyja przeciwnie domagała się, by wszelkie reformy chwytając otwartemi rękami, udawać z nich zadowolenie, popierać Rady powiatowe i gubernialne, które pod jej kierunkiem mogły się stać bardzo skutecznem narzędziem akcji, zajmować posady w nowych instytucjach, starać się usilnie, aby wszystkie stanowiska w administracji krajowej były w ręku Polaków, a ściśle mówiąc członków Dyrekcyi. Tym sposobem ogarnąwszy wszystkie nici administracji Królestwa, przy pomocy rządu niejako samego przygotować powstanie, które ostatecznie Polskę ma wyzwolić z niewoli moskiewskiej, a z czasem i niemieckiej. Powstanie to jednak odkładano na czas nieokreślony, na chwilę jakiegoś szczęśliwego i przyjaznego zbiegu okoliczności, na wielką wojnę, w którą Rosya uwikłana nie będzie mogła stawić silnego czoła odradzającej się Polsce.

Tak mówił program drukowany, ale na posiedzeniach Dyrekcyi, od czasu do czasu, w bliższej, serdeczniejszej pogawędce, zastanawiano się nad tem, czy możliwem jest wogóle takie odkładanie powstania wobec gorączki, owładającej ciało narodowe? czy możliwem będzie istnienie tajnego stowarzyszenia, jakim była Dyrekcyja, przez długie, może nieskończenie długie lata? czy stowarzyszenie to nie zużyje się, nie spali, nie strawi samo w sobie i jak dom zmurszały, na prędcie i skrycie zbudowany, nie runie wprzód i nie rosyje się zupełnie? Pytania były ważne i zdradzały obawę w umysłach tych ludzi, niezaprzeczenie w swej większości zacnych i rozumnych, straszną obawę wobec niepewnej, czarnej, pełnej widm i burz przyszłości. Któż mógł zapewnić, co przyniesie jutro, co dymiący i pomrukujący głucho wulkan uczuć narodowych wyrzuci z siebie nazajutrz? Kto mógł zaręczyć, czy wezbrana rzeka

tych uczuć, ich lawa gorejąca nie porwie samej Dyrekcyi i nie zanie sie ją w wir śmiertelnej, wszystko pochłaniającej Scylli i Charybdy powstania? To też niekiedy wobec tych pytań, zjawiających się przed oczami członków Dyrekcyi, niby groźny duch Komandora, niektórzy z nich, zastanawiając się nad ówczesnem położeniem Europy, snując tę niewyczerpaną nić kombinacyi politycznych, tak ulubionych zawsze szlachcie polskiej, stanowiących bodaj jedyne jej różowe marzenie wobec ponurej rzeczywistości, przychodzili do przekonania, że powstanie będzie mogło wybuchnąć koło roku 1865, i że na ten czas mniej więcej należy kraj przygotować zupełnie. W końcu mieścili żądanie, by rekruci, brani do wojska rosyjskiego, nie byli wyprowadzani poza granice kraju, ale w nim pozostawali.

Takimi były marzenia i takim był program drukowany stronnictwa Białych. Ale w programie tym nie wszystko oni wypowiedzieli, jak nie wypowiedzieli swych pragnień i nadziei. Domagając się, by rekruci brani z Królestwa do wojska rosyjskiego, pozostawali w kraju, skrycie żywili ten zamiar, że z rekrutów tych będą mieli wyborne, wyćwiczone wojskowo kadry dla przyszłych pułków powstańczych. W organizacyi swej wewnętrznej uważali się za jedyną prawowitą władzę w kraju, posiadającą moc prawodawczą i wykonawczą, za dyktaturę, której wszystko i wszyscy podlegać mają. Głową tego ciała był pan Andrzej Zamoyski, niby król konstytucyjny. Dyrekcyja decyduje wszelkie sprawy większością głosów, i decyzye swoje poddaje pod zatwierdzenie, pod sankcyą, że użyjemy wyrażenia parlamentarnego, pana Andrzeja, który współcześnie ma być pośrednikiem między Dyrekcyą czyli krajem, a rządem najeźdźczym. W razie jeżeliby pan Andrzej jakiegokolwiek uchwale Dyrekcyi odmówił swego zatwierdzenia, wówczas ta ostatnia ma prawo zwołać wszystkich wojewódzkich do Warszawy, którzy organizują się w komitet doradczy, rozbierają kwestyą sporną i decydują o niej ostatecznie i nieodwołalnie. Prócz tego, w normalnym przebiegu rzeczy, wojewódzcy obowiązani byli zjeżdżać się

do Warszawy w pewnych terminach, co sześć niedziel, i wtedy tworzyli t. z. Koło wojewódzkie, na posiedzenia którego zapraszaną zwykle była także Dyrekcyja. Koło rozstrzygało wszelkie ważniejsze sprawy, przyjmowało raporta Dyrekcyi i wojewódzkich, i robiło nad niemi uwagi, określało sposób działania na przyszłość. Koło było właściwie zwierzchnią władzą, ostatniem, najwyższem ogniwem organizacyi Białych. Dyrekcyja była tylko wykonawczynią uchwał i decyzji Koła. Wprawdzie, w wypadkach nagłych, potrzebujących działania natychmiastowego, Dyrekcyja mogła decydować sama, ale musiała na najbliższem zebraniu Koła zdać z tego sprawę. Wojewódzcy zaś, pojedynczo wzięci, obowiązani byli bezwzględnie wykonywać decyzye Dyrekcyi lub Koła. Wreszcie nadzwyczajne zebranie Koła mogło się odbyć tylko na piśmienne żądanie najmniej trzech wojewódzkich. W posiedzeniach Koła mogli brać udział także pomocnicy wojewódzkich, ale z głosem doradczym jedynie. Uchwalono nie prowadzić żadnych protokółów, nie bawić się w pisanie, nie mieć pieczęci, nie wydawać kwitów, wszystko jednym słowem załatwiać tylko ustnie¹⁾.

Ten program działania i tę organizacyą wewnętrzną Dyrekcyja zawsze, zwyczajem szlacheckim, oglądająca się na emigracyą, a zwłaszcza na książąt Czartoryskich, postanowiła, nie bez wpływu pana Andrzeja, posłać przez osobę zaufaną do Paryża, dla przedstawienia wszystkiego księciu Władysławowi Czartoryskiemu, który po zmarłym w roku zeszłym księciu Adamie był reprezentantem niejako polskości zagranicą. Szło, o ile domyśleć się można, o to zapewne, by ks. Czartoryski, ze stanowiska już swego znający bieg spraw europejskich, porobił uwagi i wogóle uznał, czy taki program działania jest odpowiedni ze względu na konjunktury polityczne i czy może być korzystny dla Polski. Do tej misyi ohotnie zaofiarował się, znany nam już, Józef Kołaczkowski, który w rzeczy samej w lutym 1862 r.

¹⁾ Zeznanie K. Majewskiego, cytowane u *Berga*, Zapiski II, 222 i 338.

wyruszył nad Sekwanę. Ale tu na nieszczęście poseł poznany został przez dawnych swych wierzycieli, którzy z mocy wyroku sądowego osadzili go w więzieniu Clichy¹⁾. Wprawdzie oprócz Kołaczkowskiego znajdowali się w Paryżu przedstawiciele zaboru pruskiego (Aleksander Guttry) i austriackiego. Oprócz zyskania księcia Czartoryskiego dla myśli bardzo wprawdzie oddalonego, ale bądź co bądź nieuniknionego powstania, mieli oni także włożoną na siebie przez Dyrekcyą misyą, ażeby za pośrednictwem wyborów wytworzyli z łona emigracyi ciało, któreby Polskę reprezentowało na zewnątrz i działało po parlamentach i dworach europejskich²⁾. Wszystko to jednak nie miało skutku; ks. Władysław, ze względu na postawę Francyi i wogóle na położenie Europy, cały ten program i całe działanie uznał za rzecz pozbawioną zdrowego sensu i wszelkiej pomocy odmówił³⁾. To dość dotkliwie uraziło członków Dyrekcyi i, uważając, że oni, jako przebywający na miejscu, lepiej znają stan kraju i jego potrzeby, niż emigracya, w czem bezwątpienia mieli słuszność, postanowili nie oglądać się na pałac Lambert i partyą dyplomatyczną wychodźstwa, nie odwoływać się do niej więcej i rzecz swoją dalej już sami prowadzić.

Jakoż prowadzili ją dalej i przedewszystkiem zakrzętnęli się około zebrania znacznych stosunkowo funduszków. Fundusze te, na wniosek Kronenberga, miały stanowić kapitał żelazny Dyrekcyi. Kronenberg, który nakreślił plan całej tej operacyi finansowej, oznaczył wysokość rzeczowego kapitału na 200 tysięcy rubli. Suma ta zebraną być miała w sposób następujący: każde województwo obowiązane było wnieść jednorazowo 25.000 rs. prócz Augustowskiego, które jako niewiele zamożnej szlachty posiadające, oraz nawiedzone nieurodzajem w tym roku, miało złożyć tylko 20.000 rs. Tym sposobem winno wpłynąć z ośmiu

¹⁾ *N. Berg* II, 306.

²⁾ *A. Guttry*, Pan Ludwik Mierosławski, 9.

³⁾ *N. Berg*, *Zapiski* II, 222.

województw 195 tysięcy rubli. Brakujące pięć tysięcy, oraz na wydatki bieżące mieli dać kapitaliści warszawscy w ogólnej sumie 25.000 rubli. Prócz tego co rok także suma dwustu tysięcy rubli winna być zbierana. Z ofiarnością, stanowiącą tak wydatną cechę tej epoki, pieniądze bardzo szybko poczęły wpływać do kasy dyrekcyjnej, będącej w rękach i pod zarządem Kronenberga, i już w pierwszych miesiącach 1862 r. Dyrekcyja posiadała milion złotych polskich, czyli 150.000 rubli, ale poza tę sumę przejść nie mogła. Zdaje się jednak, że pozostałą resztę do 200 tysięcy wnieśli kapitaliści warszawscy, a właściwie Kronenberg¹⁾.

Bądź co bądź, Dyrekcyja posiadała pieniądze i jak na owe czasy bardzo poważne pieniądze, i z dumą pogardliwą spoglądała na Czerwieńców biednych, bez szeląga przy duszy, ratujących się od śmierci głodowej piętnastogroszowymi składkami od swych adeptów. Nadawało jej to pewność i ufność w swe siły, tak że w tej porze wprost nie uważała za stosowne liczyć się z Czerwieńcami i uważała, że ci „hołysze“, jak ich niekiedy w swej szlachecko-mieszczańskiej dumie nazywała, nie będą w stanie nic zrobić, pokrzyczą i rozejdą się w poczuciu zupełnej swej niemocy. Te zdania, głośno wypowiedane i wcale nieukrywane, dochodziły do Czerwieńców i niepohamowany gniew i nienawiść ku „Targowiczanom“ i „białej zarazie“ wzbudzały. W tym względzie spotykali się oni na jednym gruncie z zamożniejszym mieszczaństwem warszawskim. Odegrawszy w ostatnich wypadkach tak poważną rolę, zdobywszy w nich niejako ostrogi obywatelskie, dzierżąc nawet przez niezapomniane nigdy czterdzieści dni postu, słodkie „polskie czasy“, władzę w swym ręku, ujrzało się teraz całkiem odsunięte od działania z jednej strony przez szlachtę, która się zorganizowała w Dyrekcyą, z drugiej przez komitety czerwone, które pomijały zupełnie wyższe słoje mieszczaństwa, a szukały partyzantów wśród ludu miejskiego i wiejskiego. Mniejsza zresztą o Czerwonych, na których bogaci

¹⁾ Loc. cit. II, 303, i podania ustne.

kupcy, przemysłowcy, lekarze, adwokaci i t. p. ze zgrozą spoglądali (w czem zresztą mieli zupełną racya), jako na burzycieli porządku społecznego, jako na szaleńców i wiodących kraj ku zatraceniu, ale tego, że szlachta całkiem ich od swej organizacyi odsunęła, nie mogli jej darować. Dawna Delegacya dąsała się wyraźnie na Białych o to, że tylko jednego Kronenberga z jej łona powołali do swej Dyrekcyi; ze źle utajonym gniewem szydzono z tego ciała, ze „szlacheckich fanaberyi“, które niczego się nie nauczyły i nic nie zapomniały, ale na tem się wszystko kończyło. Mieszczanstwo warszawskie, ugrzęzłe w swym dobrobycie i w swych ideałach filisterskich, raz już w Delegacyi dało dowód, jak było niedołącznem, małoduszcznem, niezdolnem do żadnej szerszej i głębiej pomyślanej akcyi i do żadnego czynu; ta niemoc pozostała mu na zawsze, i choć doskonale rozumieli szaleństwo Czerwonych, choć widzieli przepaść, do której garść nieznanych nikomu ludzi wiedzie ojczyznę, choć niemniej dobrze pojmowali, że Dyrekcyja biała, zdobywszy się na zebranie trochę grosza, nie będzie umiała go użyć i w szlacheckim braku spójności, tęgości a nadewszystko przedsiębiorczości, ulecz musi naciskowi „hołyszów“, jednakże nie zrobili nic, żeby temu zapobiedz, nie zdobyli się na żaden męski i energiczny krok, ale tylko umieli szydzić z „pretensyi szlacheckich“ i łamać po kątach ręce nad „szaleństwem demagogów“.

Tymczasem Dyrekcyja wprawdzie nie wiele zważała na dąsanie się „łyków“, ale usprawiedliwiała zupełnie odpowiednie tych ostatnich. Ukończywszy swą organizacyą, zgromadziwszy pieniądze, założyła, jak Bóg biblijny, rękę na rękę i odpoczywała po pracy urodzenia rachitycznego płodu. Widziała dobrze, (bo któż tego nie widział wtedy?), że Czerwoni siecią swej organizacyi obejmują kraj cały, że zapowiadają blizkie powstanie, a jednak nie zapobiegała temu i w rezultacie nic nie robiła. Jak dalece gubiła się ona w drobiazgach, zajmowała się rzeczami małego znaczenia, rozkładała akcyą na nieskończenie długie tempa, w chwili gdy ziemia drżała pod nogami, gdy głuchy ryk

lwa, wstrząsającego pętami, rozleżał się już po pustyni nieszczęść polskich, świadczy między innymi ta okoliczność, że Dyrekcyja w tej porze zajęła się bardzo czynnie wyborami radców do Komitetu, i do Dyrekcyi głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które przypadają w kwietniu. Tłomaczono się tem przed sobą i innymi, że Komitet Towarzystwa jest niejako rozsądnikiem przyszłych członków Rady stanu, że trzeba zatem raz położyć koniec wyborom dokonywanym przez wzgląd na pokrewieństwo, przyjaźń, sąsiedztwo, na dobre obiady i śniadania, a natomiast powierzyć mandat ludziom, którzy prawdziwą korzyść będą mogli przynieść krajowi. Zamiany były niezaprzeczenie piękne, ale zużywać na ten cel, stosunkowo drugorzędnego znaczenia, tajną organizacją, było to strzelać z wielkiego fortecznego działa dla zabicia wróbla. Na nieszczęście Dyrekcyja, zorganizowawszy się z wielkim wysiłkiem, zebrawszy fudusze poważne, nie wiedziała, na co ich użyć, co ze sobą robić i rada była pierwszej lepszej sposobności, by pokazać, że coś działa. Potworzono więc po województwach komitety specjalne, które miały pokierować wyborami i zrobiono w rzeczy samej to, że spadł z urzędu prezes Piotr hr. Łubiński, który zajmował to stanowisko, bodaj czy nie od lat kilkadziesiąt, spadł Szamotulski i inni. Przypominało to stare przysłowie łacińskie o górze rodzącej mysz...

Była to zresztą woda na młyn Czerwieńców, którzy w tym względzie popierani przez dąsające się mieszczaństwo warszawskie, szydzili głośno z Dyrekcyi białej, obrzucali ją insynuacjami i podejrzeniami, ale w cichości nie ukrywali tego przed sobą, że Dyrekcyja ma nad nimi wielką przewagę przez to, że posiada pieniądze. Łokietek-Dąbrowski, dążący w sposób gwałtowny do jak najprędszego powstania, widział niemożliwość wywołania go bez pieniędzy; czuł, że ten brak wszystkim jego zamiarom i nadziejom nieprzewycięzoną stawia zaporę. Dla usunięcia tej zapory, dla zyskania pieniędzy, w które Biali obfitowali i nie wiedzieli, co z nimi robić, powziął myśl przecignięcia do Komitetu

Czerwonych wybitniejszych członków organizacyi białej. Ponieważ w ostatniej akcji, co do wyboru radców do Towarzystwa kredytowego, bardzo czynną i ruchliwą rolę odgrywał Aleksander hr. Krukowiecki, ponieważ w swych odezwaniach się i czynnościach zdradzał tu i owdzie przekonania czerwone, ponieważ nakoniec nosił nazwisko, które słusznie czy niesłusznie okryte było plamą, więc sądził Łokietek rewolucyjny, że najłatwiej go będzie można zyskać na swą stronę nadzieją rehabilitacyi nazwiska, zachęcić do wzięcia udziału w ruchu. Niewątpliwie Dąbrowski pod tym względem dawał dowody przenikliwości, gdyż Krukowiecki nie był bez wpływów wśród członków Dyrekcyi, a później wzięciem udziału w powstaniu zbrojnym potwierdził to powszechne mniemanie, że pragnął oszkalowane swoje imię przywrócić do czci narodowej. Bądź co bądź Dąbrowski za pośrednictwem znanej całemu miastu z czynnego zbierania funduszków i odzieży dla wygnańców sybirskich i więźniów w cytadeli, pani Cw., zetknął się u niej z Krukowieckim wieczorem w dniu 10 kwietnia¹⁾, tym samym, w którym w kościele Świętojańskim rozegrała się opisana już przez nas demonstracya przeciw ks. Felińskiemu, na którego też pani Cw. rzuciła była kłatwę. Dąbrowski, który nie wymienił swego nazwiska, a był w mundurze oficera rosyjskiego, zamknął się w osobnym pokoju z Krukowieckim i oświadczył mu, że „stronnictwo ruchu pragnęłoby go, jako człowieka uczuć gorętszych i mającego wpływ między obywatelami, użyć w swej radzie, i ma nadzieję, że nie odmówi im tego i wejdzie do składu Komitetu“. Na to odrzekł Krukowiecki, że „nim poweźmie jakiegokolwiek postanowienie, musi przedewszystkiem poznać zamiary stronnictwa ruchu, jego środki i projekta; że z chwilą gdy je pozna i uzna za dobre, mogą z pewnością na niego liczyć, a w każdym razie, gdyby się nie zgodził na przystąpienie do ich Komitetu, mogą być pewni, że

¹⁾ Pamiętnik Aleksandra hr. Krukowieckiego i rękopism, znajdujący się w zbiorach autora.

nikomu nie wyjawi ich tajemnicy“. Wówczas Dąbrowski oświadczył, że mają zamiar w ciągu bardzo krótkiego czasu, może nawet za parę tygodni, w Wielki tydzień, tak pamiętny w dziejach polskich, wywołać wybuch zbrojny, że na naczelnika powstania chcą wezwać generała Mierosławskiego; że bez najmniejszej wątpliwości wezmą cytadelę bez jednego nawet wystrzału, gdyż w szeregach wojska rosyjskiego posiadają wielu sprzysiężonych oficerów i żołnierzy; że ze składów cytadeli posiadają broń, amunicję, ogromne słowem zapasy wojenne, ale że obecnie potrzebują pieniędzy, znacznych pieniędzy, że bez nich wszystko przepaść może, wszystko się skończyć na nieszczęście ich samych i Polski. Dlatego to odwołują się do pomocy obywateli wiejskich w imię miłości kraju, w imię najświętszych obowiązków ¹⁾.

Wszystko to wypowiadał Dąbrowski z zapalem, z zarem przenikających go uczuć, z wymową pełną ognia, słów silnych i obrazowych, z temperamentem płomienistym i nerwowym. Ale w niczem to nie wpływało na arystokratyczną powściągliwość i spokój Krukowieckiego. „Nie wiem, odrzekł chłodno, jak stoi w sprawie cytadeli sprzysiężenie, nie mogę więc sądzić o tem, ale zdaje mi się, że chociażby udało się ją zabrać, to cytadela nie jest jeszcze krajem całym; a jakkolwiek widzę wielkie w kraju krzątanie się co do przeprowadzenia na prowincyi organizacyi i przygotowania umysłów, to uważam, iż termin dwutygodniowy jest za krótki; że obywatele wiejscy, o ile ich znam, nigdy się nie zgodzą na należenie do ruchu, jeżeli mu przewodzić ma generał Mierosławski. Można bowiem nie mieć wątpliwości co do jego talentów wojskowych, ambicyi osobistej, chciwości władzy, samolubstwa, to jednak nie ulega kwestyi, że do każdej sprawy, której on się dotknął, zawsze przywiązane było nieszczęście“. Dodał w końcu, że niczego się nie podejmie, jeżeli nie będą spełnione dwa następujące warunki: naprzód, aby wybuch powstania nie

¹⁾ Loc. cit.

nastąpił wcześniej jak za pół roku i to wtedy tylko, gdy organizacja tak w mieście, jak i wśród szlachty po wsiach rozszerzy się znacznie; powtóre, aby bezwarunkowo Mirosławski był wyłączony od naczelnictwa nad ruchem zbrojnym. Warunki te nie podobały się nadzwyczajnie Dąbrowskiemu; starał się wszelkimi siłami przekonać Krukowieckiego, że nie ma racji domagać się ustępstw tak poważnych, ale ten został przy swem zdaniu. Rozstano się z widocznym obustronnem niezadowoleniem i Dąbrowski, wychodząc, obiecał tonem mówiącym, że tego nie uczyni wcale, iż uwiadomi o wszystkim swych kolegów, że ma nadzieję wyjednaną u nich zgody na postawione warunki, i za parę dni „pana hrabiego“ (wymówił to z naciskiem) o rezultacie uwiadomi. Owe parę dni minęło, Krukowiecki żadnej wiadomości, jak się spodziewać należało, nie otrzymał, i na tem w tej chwili prertraktacye się urwały¹⁾.

Ten brak pieniędzy oddziaływał wogóle zabójczo na czynności i nadzieje Czerwonych. Trafiali oni w poszukiwaniu grosza i do bankierów warszawskich, zwłaszcza do Kronenberga, ale wszędzie napotykali odmowę, nikt nie chciał dać nawet złamanego szeląga na „szalone, jak mówiono, zamysły“. Przytem teraz właśnie, w kwietniu, przyszły jak najgorsze wiadomości z Litwy, które ochłodzić musiały najzapaleńsze głowy, ale nie głowę Łokietka, pędzonego ku zgubie przez uroczę oczy kochanki. Wiadomości owe przywiózł ze sobą, jeden z czynniejszych członków Koła oficerskiego w Petersburgu, Ferdynand W*.*. Gdy Koło to, wskutek rozjechania się większej części jego członków, nieomal zupełnie się rozpadło, więc i W*.* postanowił udać się do Warszawy, gdzie był główny punkt ciężkości całej akcji i dokąd wreszcie zachęcano go z Kijowa, by jechał²⁾. Polecano mu przytem, ażeby po drodze w Wilnie i Grodnie porozumiał się z miejscowymi komitetami, jeżeli je tam znajdzie, a jeżeli nie, to z wybitniej-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Pamiętniki Ferdynanda W*.* (rękopism).

szemi osobistościami, które mu wskazano. Zatrzymał się więc naprzód w Wilnie, gdzie bawił cały tydzień u kapitana sztabu jeneralnego Ludwika Zwierzdowskiego, który miał z czasem w powstaniu zbrojnym zasłynąć pod pseudonimem Topora i tragiczną śmiercią zakończyć swój żywot burzliwy. W** w czasie tego pobytu w Wilnie, z rozmów ze Zwierzdowskim i drugim agitatorom wileńskim, Franciszkiem Dalewskim, przekonał się, że pomimo usilnych zabiegów obu tych panów i ich popleczników, Litwa nie chce powstania i żadnych przygotowań do niego nie czyni; że wprawdzie wśród oficerów wojsk konsystujących w Wilnie samem i na Litwie, tu i owdzie istnieje pewne porozumienie, ale liczba tych oficerów jest tak mała, propaganda tak słaba, że długiego jeszcze czasu trzeba, by z tego zasiewu jaki taki owoc mógł wyrósć ¹⁾. Jednem słowem zamiary Dąbrowskiego i Komitetu miejskiego wybuchnięcia w Wielki czwartek, w słynny Kilińskiego Wielki tydzień polski, są pro prostu szaleństwem.

Takież samo przekonanie wyniósł poseł ze swego pobytu w Grodnie. Przedstawiciele, jak się zdaje, jedyni Komitetu miejscowego, lekarze: Zabłocki i Ciechanowski oświadczyli, że wprawdzie organizacya dziesiątą się rozwija, ale niezmiernie powoli; że do rychłego powstania żadnych przygotowań niema, i że zatem mowy nawet o niem być nie może. Lepszą nieco otuchę znalazł W** w Sokółce, w puszczy Białowiezkiej, dokąd z porady Zwierzdowskiego, skreślił. Tam czynnym agitatorom i spiskowcem, dążącym gwałtownie, podobnie jak Dąbrowski, do powstania, był niejaki Walery Wróblewski, wyższy urzędnik leśnictwa, głośny z czasem tak w samem powstaniu, jak i w wojnie komuny paryskiej. Wszyscy podwładni Wróblewskiego w tej puszczy olbrzymiej, po większej części drobna szlachta lub chłopci mazurscy, ożywieni duchem niezależności, który po tych dziewiczych nieomal borach zdawał się unosić, starą tradycyą wreszcie, wspomnieniami

²⁾ Loc. cit.

Hajnówki, gdzie ułani polscy przed laty trzydziestu trawali kolumny moskiewskie, byli jak najgorętszymi patriotami. Nie rozróżniali oni żadnych stronnictw, nie wiedzieli, co to są Biali lub Czerwoni, nie zastanawiali się, jaki będzie rezultat, ale z ofiarnością tych cząstek polskiego ludu, które mają pojęcie o ojczyźnie, gotowi byli iść do rozpaczliwego boju za tę ojczyznę i do położenia swych ciał na przelaj wrogowi. Żywioł taki dawał materyał nieoceniony i jedyny. Doskonali strzelcy, zaopatrzeni w broń, chmurni i milczący, jak chmurną i milczącą była puszcza, w której żyli, dali się Wróblewskiemu uorganizować szybko i sprawnie i zdołali już w tej porze nagromadzić po nieprzebytych uroczyskach boru znaczne zapasy broni i amunicji¹⁾. Tu powstanie każdej chwili zerwać się mogło i znalazłoby setkę rąk dzielnych i serc niemniej walecznych. Ale Białowieża to jeszcze nie Polska cała i nie cała ojczyzna.

Wprawdzie poseł jadąc dalej zawadził i o Białystok, gdzie ultraczerwony agitator miejscowy, Bronisław Szwarce²⁾, inżynier przy budowie drogi żelaznej warszawsko-petersburskiej, zapewniał go o znacznych przygotowaniach, czynionych jakoby w okolicy do powstania, ale już sama gwałtowność tych uniesień, pewnośc tryumfu, świadczyła, że więcej w tych twierdzeniach jest przesady, dobrych może chęci, jak prawdy. Wogóle, z przejażdżki swojej spiskowiec petersburski wyniósł to przekonanie, że o powstaniu niema co myśleć w tej chwili, że przynajmniej Litwa stanowczo w niem udziału wziąć nie może. Gdy więc, przybywszy do Warszawy uwiadomił o tem oficerów spiskują-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Nazywał się Szwarce nie Szwarc, jak go cytują wszystkie relacye piśmienne i drukowane tej epoki. Szwarce nie Szwarc podpisywał się na haniebnym pamflecie, który wydał we Lwowie 1894 r. p. t. „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania 1863—64 r.“. Pamflet ten jest to rzadki specymen niepoprawnego zacietrzewienia, zdumiewającego braku logiki i rozumu, oraz karygodnej lekkomyślności. Całe szczęście, że takich głupstw nikt już dziś nie czyta.

cych i Komitet miejski, wielu ochłódło odrazu, tylko nie Dąbrowski. Ten tak spokojny w Petersburgu, tak, zdawało się, rozumny Łokietek, rwał się teraz do wybuchu jak człowiek szalony lub opętany. Zapewniał on opowiadającego mu o swej podróży W***, że Królestwo jest zupełnie gotowe do powstania, że sprzysiężonych jest więcej niż potrzeba, że są pieniądze, zapasy broni i amunicyi, że zatem niema żadnego powodu do odkładania wybuchu¹⁾. Wiemy już, że wszystko to było kłamstwem, że nic nie było i że Dąbrowski wszelkimi siłami starał się o wydobyć skądby pieniądze. O tem miał się sam W*** wkrótce przekonać.

Pewnego dnia, w końcu kwietnia lub na początku maja, bo zamysł wybuchu w Warszawie w Wielki czwartek musiał Dąbrowski porzucić, zjawił się on u W*** z gorącą prośbą, ze zwykłą sobie namiętną wymową, ze wszystkimi zakłęciami na najświętsze rzeczy, ażeby, jako mający stosunki i znajomości w intendturze wojskowej, dowiedział się, kiedy będzie powracał z Petersburga urzędnik intendtury, wiozący ze sobą dwa miliony rubli w gotówce, przeznaczone na potrzeby wojska, stojącego w Królestwie. O przyczynach tej osobliwszej ciekawości Dąbrowski nic nie mówił, ale najmniej przenikliwy człowiek mógł z łatwością odgadnąć, o co idzie. Otóż W*** obrażony tem skrywaniem przed nim zamysłu, nie chcąc być ślepem narzędziem Dąbrowskiego (jak się sam wyraża²⁾), wszelkiej pomocy w tak ciemnej i zagadkowej sprawie odmówił. W rzeczy samej szło o to, by na owego urzędnika, wiozącego ze sobą tak znaczne fundusze, uczynić w miejscu odpowiedniem zasadzkę, pieniądze zabrać i pozyskać nakoniec ów upragniony motor, który drzemiące powstanie miał wzbudzić i naród rzucić do krwawej i rozpaczliwej walki o niepodległość. Odmowa W*** i ten projekt uczyniła bezpłodnym, ale nie zraziła bynajmniej Dą-

¹⁾ Pamiętnik Ferdynanda W***.

²⁾ Loc. cit.

browskiego i jego energii nieprzełamanej. Mając wszechwładną przewagę w Komitecie miejskim, zrezygnowawszy na chwilę wobec niepokonanych trudności z wywołania natychmiastowego powstania przez zdobycie cytadeli warszawskiej, powziął myśl silniejszego i porządniejszego uorganizowania całego spisku. W tym celu wyznaczono komisyją specjalną, do której powołano setników i tysięcy, która uradziła podzielić miasto na cztery wydziały (później było ich pięć), a nad każdym z nich stał t. z. wydziałowy. Wydziały rozpadały się na okręgi z okręgowymi na czele, a te na sekcye i rewiry. Najniższa jednostka administracyjna: rewir, obejmował zwykle kilkanaście, rzadziej kilkadziesiąt domów. Organizacya ta była bardzo mądrze i bardzo wytrawnie obmyślana, zdaje się według wzorów francuskich, znacznie jednak udoskonalonych. Naczelnicy rewirów, czyli krócej rewirowi, obowiązani byli mieć w każdym domu kogoś należącego do organizacyi i wiedzieć tym sposobem wszystko, co się gdziekolwiek dzieje, kto mieszka i co robi¹⁾. Oczywiście to wykończenie administracyi nie odrazu nastąpiło, gdyż nie wszędzie i nie zawsze można było znaleźć ludzi odpowiednich; zresztą tego rodzaju rzeczy nie improwizują się, ale tworzą powoli i mozolnie. Wszelako zarys główny, szkielet budowy był gotowy i z czasem wypełnił on się ciałem i przyjął tak silnie, że gdy wszystko runęło i rozpadło się, ta organizacya najdłużej przetrwała. Jeżeli nawet wierzyć można niektórym doniesieniom, to przy reformie policyi rządowej w Warszawie za namiestnictwa Berga, brano wzory z organizacyi powstańczej.

Dla nadania jednolitości w działaniu całej tej szerokiej maszynie administracyjnej, Dąbrowski zaproponował Komitetowi, by utworzono stanowisko Naczelnika miasta, któremu podlegać miała wszystka organizacya miejska. Komitet nie przeczuwając zgoła, że takie stanowisko stać się może dla niego samego bardzo niebezpiecznym, już

¹⁾ Tomasz B. Pamiętniki, oraz podania ustne.

przez to, że Naczelnik, trzymając w swem ręku ustrój miejski, posiadał zarazem siłę rzeczywistą i mógł narzucać swą wolę nawet Komitetowi, choć ten *de jure* był jego zwierzchnikiem, chętnie się na to zgodził, przyczem popełnił drugi błąd, że w zasadzie postanowił, iżby zawsze Naczelnik miasta był członkiem Komitetu. Naczelnik wraz z czterema wydziałowymi miał stanowić Radę miejską, której z urzędu był prezesem. W Radzie tej wszelkie sprawy miały być rozstrzygane prostą większością głosów¹⁾. Zrazu Dąbrowski zaproponował Komitetowi, ażeby stanowisko Naczelnika miasta powierzyć, znanemu nam już, Ferdynandowi W***, ale Komitet zniechęcony do niego odmową w sprawie napadu na urzędnika intendenty, wiozącego miliony, lękając się przytem jego stanowczego i nieuległego charakteru, zgodzić się na to nie chciał²⁾. Wobec tego Naczelnikiem miasta został Łokietek-Dąbrowski. Stało się to w ostatnich dniach kwietnia lub na początku maja.

Takie urządzenie Warszawy nadało nagle Komitetowi miejskiemu pewną siłę i spójność, mimo to czuł on dobrze, a zwłaszcza czuł to Dąbrowski, że dopóty nie zdoła on owładnąć całym spiskiem, dopóki istnieć będzie Komitet akademicki, który tworzył własną organizacją i paraliżował tym sposobem wykonanie tak dobrze obmyślanego ustroju miejskiego i przeszkadzał jego rozwojowi. Trzeba było raz temu koniec położyć i albo akademików do siebie przyciągnąć, zagarnąć ich, albo też zmusić do rozwiązania się. W tym celu skorzystano z tej okoliczności, że Leona Królikowskiego łączyły związki pokrewieństwa z jednym z najzapaleńszych członków Komitetu akademickiego, Zdzisławem Janczewskim (siostra rodzona Janczewskiego była żoną Królikowskiego), wskutek czego ten ostatni często bywał w domu szwagra. Ten ciągle mu przekładał, że takie rozdwojenie ludzi dobrej woli i do jednego celu dążących bezwarunkowo szkodę wspólnej sprawie przynosi;

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ *Ferdynand W**** Pamiętniki.

że trzeba się koniecznie połączyć, obie organizacje złączyć w jedno i działać siłami wspólnymi; że oprócz rządu mają jeszcze wroga domowego w osobie Dyrekcyi białej, która posiadając organizacją jednolitą i pieniądze, łącznie ich, rozdwojonych, pokona; że słuszną nakoniec jest rzeczą, by Komitet akademicki, jako złożony z ludzi młodych, poddał się starszym i więcej mającym doświadczenia. Zdania te powtarzali akademikom i inni, przemawiali do nich w imię tej ojczyzny nieszczęśliwej, do wyswobodzenia której trzeba przedewszystkiem jedności w myślach i działaniu. „Niech nie powiedzą, wołał Dąbrowski, co ciągle o nas mówią, że gdzie dwóch Polaków, tam jest trzy zdania“. Czas wielki pozbyć się strasznej wady, która paraliżuje i niszczy najcięższe wysilenia narodowe.

Słowa te nie padały na grunt opoczysty; ilekroć szło o dobro ojczyzny, to wszyscy ci ludzie, niezaprzeczenie kochający ją gorąco, acz po swojemu, gotowi byli do wszelkich ofiar i wszelkich poświęceń. Zdołano wreszcie w końcu maja ¹⁾ rzeczy doprowadzić tego, że obie strony zgodziły się na wyznaczenie deputatów, którzy mieli ostatecznie sprawę całą ułożyć. Postanowiono, by deputaci zeszli się u Witolda Marczewskiego, inżyniera naczelnego drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, mieszkającego w pobliżu dworca w alei Jerozolimskiej, człowieka młodego, pełnego zapału, mającego swe stosunki w obu odłamach agitacyi i do pewnego stopnia bezstronnego, ponieważ nie należał do żadnego z dwóch Komitetów. Był to inżynier bardzo uczony, ale w swej specjalności tak zasklepiiony, że o przedmiotach politycznych i społecznych najmniejszego nie miał

¹⁾ *N. Berg*, Zapiski II, 255, powiada, że Komitet miejski w d. 20 maja wydał odezwę p. t. „Głos z Warszawy“, który miał być jego gazetą urzędową. Pisma tego nie znamy i na ślad jego nigdzie natrafić nie mogliśmy. Sądzymy, że jest to jakiś błąd czy nieporozumienie i istnienie tej gazety uważamy za wątpliwe. W Bibliografii Estreichera znajduje się wiadomość o pisemku pod tymże tytułem, ale to ukazało się w r. 1864.

pojęcia. Ze strony akademików stawili się wszyscy członkowie ich Komitetu, a więc: Milowicz, Maleszewski, Jan-czewski, Daniłowski i Kamiński; ze strony organizacyi miejskiej, oprócz Marczewskiego, jako gospodarza, przybyli: Leon Królikowski, Stanisław Matuszewicz, młody Julian Wereszczyński, zapalony Franciszek Godlewski, znany nam już z czasów demonstracyi, w dniu 10 kwietnia aresztowany w kościele św. Jana, skazany do rot aresztanckich, ulaskawiony w drodze i powrócony do kraju ¹⁾, Jarosław Dąbrowski, Ignacy Chmieleński, Edward Kokosiński, Bronisław Szwarce, który przybył z Białegostoku już na stałe do Warszawy i odrazu bardzo czynną w niej rolę odgrywać zaczął, dwaj bracia Rolscy: Józef i Edward, niemniej od innych zapaleni zwolennicy powstania natychmiastowego, Rafał Krajewski, Sybirak, stary i wytrawny spiskowiec, z czasem członek ostatniego rządu Trauguta, tragiczną swoją śmiercią na szubienicy głośny, wreszcie Marcin Borelowski, znany nam już studniarz warszawski z drukowania w roku 1861 „Posłania mieszkańców miasta Warszawy“, zajmujący w organizacyi stanowisko tysięcznika, a później wydziałowego, człowiek nadzwyczaj czynny, mający w rok potem zasłynąć w powstaniu zbrojnym jako dowódca pod pseudonimem Lelewela ²⁾. Wogóle zebrało się 18 osób, wśród których ogromną większość, bo trzynastu, stanowili członkowie Komitetu miejskiego lub organizacyi, stojącej pod jego kierownictwem. Ta garść ośmnastu młodych ludzi, bez imion, bez stanowisk, bez zasług żadnych w narodzie, nikomu nieznanych, nieupoważnionych przez nikogo, miała decydować o losach całego kraju, o jego przyszłości, bycie, o wszystkim. Zaprawdę dziwne czasy, osobliwsze pojęcia, bez przykładu w historii i możliwe tylko w Polsce, w której ciężka, krwawa walka o byt narodowy, ucisk niepraktykowany wywołały taką

¹⁾ Pamiątka dla rodzin polskich — dodatek, 18.

²⁾ *N. Berg*, *Zapiski II*, 256.

anomalią społeczną, takie lekkomyślne podejmowanie na swe barki olbrzymiej odpowiedzialności.

Pomimo znacznej swej mniejszości, akademicy, od których żądano zupełnego rozwiązania swego komitetu, ustąpić nie chcieli. Zebranie było nadzwyczaj burzliwe; wszystkie namiętności polityczne, doprowadzone przez gorączkę czasu do najwyższego napięcia, wybuchły jak wulkan płomienisty; nie szczędzono się wzajemnie, obrzucano obelgami, mianem zdrajców kraju, wyzywano się do walki, zapomniano o ojczyźnie, a myślano jedynie o tryumfie swych ambicyi osobistych, swego ja, swej prywaty, jakby powiedział dawny statysta polski¹⁾. Dzięki nakoniec umiarkowaniu Marczewskiego, a głównie Krajewskiego, zrywająca się burza uspokoiła się powoli i zażądano od akademików, jako młodszych i w mniejszej będących liczbie, aby podali swój projekt, co czynić należy, gdyż istnienie dwóch komitetów wyraźną przynosi krajowi szkodę. Wobec tego akademicy zaproponowali, jako rzecz ich zdaniem najślusniejszą i godzącą odrazu wszelkie sprzeczności, ażeby uznać oba Komitety za nieistniejące i z pomiędzy zebranych w mieszkaniu Marczewskiego przez wotowanie tajne, prostą większością głosów, wybrać nowy Komitet, złożony z pięciu osób²⁾. Ale członkowie Komitetu miejskiego, zwłaszcza Dąbrowski i Chmieleński, w żaden sposób na to zgodzić się nie chcieli. Komitet miejski, twierdzili, jest ciałem wyrosłym z łona organizacyi miejskiej, powstał z wyborów, jest mandataryuszem kilku tysięcy obywateli związanych nicią przysiężenia; on więc ustępować, ani rozwiązywać się nie może. Co innego Komitet akademicki; reprezentuje on jedną tylko szkołę, garść młodzieży, która nie może sobie rościć praw do rządzenia krajem; zresztą jako młodzi, powinni starszym ustąpić, nie bruździć i działalności ich nie paraliżować. Na to akademicy odpowiadali, że wszystko

¹⁾ Z podań ustnych od niektórych osób, będących na tej naradzie.

²⁾ *N. Berg*, loc. cit.

to może być prawdą, nawet nią jest, ale oni mają w swym ręku siłę, gdyż większą część organizacyi dziesiątej wytworzyli i urządzili jak należy, że ta organizacya jest im posłuszna, więc nie widzą żadnej racyi ustępować i nie ustąpią. Opór ten wywołał nową burzę, nowe obelgi, nowe oskarżenia, i w rezultacie narada rozeszła się, nie nie postanowiwszy, w nadzwyczajnem podnieceniu umysłów i wzajemnej do siebie nienawiści.

Wszelako wszyscy ci ludzie widzieli to doskonale, że taki stan trwać nie może i bądź co bądź trzeba się jakoś porozumieć z akademikami, którzy posiadając istotnie większą część organizacyi miejskiej w swym ręku, dla zamysłu Dąbrowskiego, wywołania powstania, mogli być przeszkodą nieprzełamaną. Jeżeli bowiem akademicy, a co zatem idzie i kierowana przez nich organizacya nie będzie chciała powstania, to z tą garścią spiskowców, którzy podwładnymi byli Komitetowi miejskiemu, z niesfornymi szczątkami Koła, nawet marzyć o tem nie można. W takim położeniu rzeczy Dąbrowski, jeszcze raz za staraniem Królikowskiego, dzięki wreszcie własnym zabiegom i usiłowaniom, zdołał zgromadzić te same co i poprzednio osoby na nową naradę w mieszkaniu Marczewskiego, w pierwszych dniach czerwca. Zebranie było teraz o wiele spokojniejsze; akademikom, umysłem młodszym, sercem bardziej gotowym do ofiar, zdołano wpoić to przekonanie, że na ołtarzu ojczyzny trzeba nieraz poświęcić najsłuszniejsze nieraz prawa; przyznano im, że się bardzo wiele przyczynili do rozszerzenia organizacyi, że mają w swym ręku siłę, ale zakłęto ich na miłość Polski, by ustąpili. Dla załagodzenia wahających się, ale rozżalonych jeszcze mocno, przyrzeczono im, że jednego z pomiędzy nich, przez nich samych wyznaczonego, przyjmą do składu Komitetu miejskiego. Wobec tego nie bez żalu, nie bez wybuchów i oskarżeń, akademicy ustąpili i Komitet swój rozwiązali. Nowy więc Komitet, już teraz do pewnego stopnia samowładny pan ruchu, złożył się z osób następujących: Witolda Marczewskiego, u którego wszystkie te spory i narady się odbywały, któ-

rego zatem z porządku rzeczy należało powołać do ciała, wieść mającego naród ku powstaniu, Ignacego Chmieleńskiego, Jarosława Dąbrowskiego i studenta akademii medycznej Władysława Daniłowskiego, którego sami akademicy wyznaczyli ¹⁾. Zwycięstwo więc było zupełne po stronie Komitetu miejskiego; nie tylko że zmusił swego niebezpiecznego współzawodnika do ustąpienia z widowni spisku, ale zaledwie jednego akademika, jakby z łaski, przyjął do swego składu. Dąbrowski, który już od dawna odgrywał w sprzysiężeniu rolę pierwszorzędną, w tym nowym Komitecie zajął także stanowisko dominujące. Został więc jego prezesem, rozstrzygającym we wszelkich kwestyach w razie równości głosów, a będąc zarazem Naczelnikiem miasta, wszystką władzę, jeżeli można ją tak nazwać, skupił w swym ręku.

I do pewnego stopnia słusznie mu się to należało, gdyż właściwie on to wszystko zrobił, on, dzięki swej energii niezmordowanej, podniósł nic nie znaczący, szamoczący się naprzód z Kołem, a potem z akademikami, Komitet na pierwszorzędne, zwierzchnie stanowisko; on zmusił akademików do ustąpienia, on stworzył naczelnictwo miasta, on organizacyi miejskiej nadał spójność i jednolitość. Dzięki tej energii i przedsiębiorczości, dzięki wieściom o spisku w wojsku, który jakoby on zawiązał ²⁾ i nim kierował, wyrobił sobie wśród młodzieży wpływ znaczny; powszechnie wierzono w jego talenta wojskowe, w jego czynność i dziel-

¹⁾ Loc. cit. II. 258, oraz *Ustimowicz, Zagowory*, 85.

²⁾ *A. Giller* II, 93, powiada, że Dąbrowski „złożył spisek pomiędzy oficerami moskiewskimi“, co jest oczywistą przesadą i fałszem. Naprzód, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, nie było wcale spisku, była tylko propaganda rewolucyjna, która w wojsku konsystującym w Warszawie, Petersburgu, Moskwie, Wilnie i Kijowie istniała od dawna i Dąbrowski jej wcale nie „zakładał“. Wytworzył ją nowy duch czasu, liberalizm zainaugurowany przez Aleksandra II, a najgłośniej „Koło koła“ Hercenowski, który młodzież rosyjska chciwie czytała. Dąbrowski w Warszawie zastał już tę propagandę i nadał jej tylko charakter gwałtowniejszy, bardziej zdecydowany, czem sprowadzał katastrofę oplakaną.

ność. Wszak nie można było pomijać człowieka, który miał w ręku tak potężne, tak doniosłe, tak zgubne dla caratu narzędzie jak spisek wojskowy, o którym sam Dąbrowski mało mówił, zbywał cywilnych półsłówkami, ale domyślać się kazał wiele. Przytem w stosunkach z kołami rewolucyjnymi zachował on pewną umiejętną, widocznie obmyślaną taktykę, która jak najlepsze dlań przyniosła owoce. Wszędzie bowiem, we wszystkich sferach i odcieniach ruchu miał stosunki i wpływy. Z umiarkowańszymi był umiarkowany w poglądach, nadziejach i celach; z najgwałtowniejszymi rewolucjonistami był gwałtowny, ultraczerwony i dyszący tylko krwią. Wiemy już, że trafił i do stronnictwa Białych; znał się i często widywał z Karolem Majewskim i Jurgensem. Jednem słowem wszędzie był obecny, wszędzie umiał się wkreślić, stać koniecznym. Nawet najumiarkowańsi, najprzenikliwsi uważali go za siłę, z którą liczyć się należy. Ludzie doświadczeni jak Krajewski, Godlewski i inni, spostrzegając, że Dąbrowski lubi działać na wzór wszystkich rewolucjonistów na własną rękę, radzili ująć go w karby, trzymać ciągle na oku. To też choć tu i owdzie niechętnie go widziano, ale się z nim rachowano jak z prawdziwą siłą i nie bez niego nie poczynano, choć on wiele rzeczy robił bez wiedzy innych. Ta mała, drobna, ruchliwa postać, zawsze w mundurze kwaterymistrzostwa rosyjskiego, ten blondynek nikły, wątły, żyjący zda się tylko nerwami, stał się teraz najwybitniejszą postacią spisku, jego dyktatorem nieomal, jego osiędziakiem i motorem.

Sam on może działał i, nie wolno nam wątpić, działał w najlepszej wierze, podniecany tą gorącą, ale nieopatrzoną miłością ojczyzny, tem usposobieniem ludzi zaślepionych jedną myślą, którym się zdaje, że oni najlepiej widzą i najtrafniej sądzą o rzeczach. Jak każdy zresztą spiskowiec przeceniał własne i spisku siły. Akcja odbywająca się w tajemnicy, w skrytości, w cieniach nocy społecznej, przybiera zwykle większe niż posiada w naturze rozmiary, podobnie jak gmachy, które w zmroku wydają nam się o wiele wyż-

sze i potężniejsze, niż są w istocie. To złudzenie optyczne oślepiło także Dąbrowskiego i jego towarzyszy. Nigdy oni nie wiedzieli dokładnie i wiedzieć zresztą nie mogli, ilu właściwie ludzi należy w kraju i w Warszawie do organizacji. Obejmując po Komitecie akademickim jego nici organizacyjne, uwierzyli do pewnego stopnia przesadzonemu twierdzeniu młodzieży, że jest 175 tysięcy sprzysiężonych. A choć cyfra ta wydawała się zbyt wielką, choć odtrącali na przesadę jakie 75 tysięcy, zawsze pozostawało co najmniej sto tysięcy obywateli, gotowych na wszystko, którzy czekają tylko hasła, by zerwać się i szarańczę moskiewską wygnać na złamanie karku. Z taką siłą, przy wiele obiecującym sprzysiężeniu wojskowem, można już coś przedsięwziąć, a nawet trzeba. Spisek, do którego należy tak wielka, tak olbrzymia ilość ludzi, który ma swe odnogi w wojsku, zawsze groźne i obosieczne, nie może długo istnieć bez wyraźnego niebezpieczeństwa, albo zdrady, albo strawienia się w samym sobie. Jeżeli zaś to drugie nastąpi, to cóż się stanie z Polską, z ofiarami jakie poniosła, z entuzjazmem narodowym, ze wszystkim?

Takie pytania i takie wywody przedstawił Dąbrowski towarzyszom na pierwszym posiedzeniu nowego Komitetu. Dla dodania mocy swym argumentom powoływał się wreszcie na sympatyę, jaką budzi sprawa polska zagranicą, na zachodzie, we Francyi, gdzie dzienniki nie przestawały o niej mówić, a w parlamentach deputowani przy każdej sposobności podnosili jej prawa. Jakże się pod tym względem łudził, jak zwodnicze żywił nadzieje! Wprawdzie najpoważniejsze dzienniki francuskie i angielskie nieustannie drukowały obszernie artykuły o Polsce, które prasa galicyjska i poznańska skwapliwie tłómaczyła, a „Dziennik powszechny“ miał powód do niesmacznej, stronnej i ze złą wiarą prowadzonej polemiki; wprawdzie w izbach francuskich i w parlamencie angielskim dość często rozprawiano o Polsce, ale wszystko to nie miało głębszego znaczenia, było platonicznym i, jak zwykle, bezowocnym uznaniem praw niezaprzeczonych narodu polskiego do życia samo-

istnego. Z tych górnych sfer miłosnych zachwyków pszczoła polska, otoczona rojem brzęczących szerszeni, nie miała wrócić zapłodnioną niestety! W lutym, w senacie francuskim pan Larabit, który „o mało nie znalazł śmierci w wodach Elstery wraz z księciem Poniatowskim“, odwołał się w kwestyi polskiej do „szlachetnych uczuć cesarza Aleksandra II“; zaznaczył, że Francya nie chce wcale wyzywać Rosyi, jednakże ze względu na przymierze, zapewniające pokój Europie, Francya „ma prawo żądać od monarchy rosyjskiego łaski i opieki dla nieszczęśliwego narodu, który bohatercko pozostaje wiernym swej religii i narodowości“. Mowę swą p. Larabit zakończył słowami: „pokładam nadzieję w charakterze i wspaniałomyślności Aleksandra II“. To było wszystko. Łudzić się więc nie można było, by rząd Napoleona III chciał w tej chwili cokolwiek zrobić dla Polski. Artykuły dziennikarskie, broszury sentymentalne, były do pewnego stopnia wyrazem opinii narodowej, ale od tego rodzaju taniej kondolencyi do akcji czynnej, do interwencyi w sprawie polskiej, było jeszcze bardzo daleko. Broszura hr. Montalemberta, która się w tej porze ukazała pod szumnym tytułem: „Naród w żalobie“¹⁾, pełna czułości i patosu sztucznego, robiąca na ludzi tej epoki z gruntu sentymentalnych wielkie wrażenie, i zdając się być wyrazem opinii narodu francuskiego, utrzymywała we wszystkich to przekonanie, że Francya, z chwilą wybuchu powstania, zmuszona będzie podać mu zbrojną pomoc. Ponieważ łatwo wierzymy temu, co chcemy żeby się spełniło, więc nie dziw, że Dąbrowski na tych nikłych i słabych oznakach sympaty budował całe rusztowanie oswobodzenia kraju z pod władzy obcego najazdu.

Niemniej wątpliwem było poparcie ze strony Anglii, o którym Dąbrowski także marzył i mówił. Dzięki niez mordowanym usiłowaniom emigracyi polskiej, od czasu do czasu, jakiś namówiony przez nią poseł lub lord, inter-

¹⁾ Wyszła w przekładzie polskim, w maleńkim formacie u J. Himmelblaua w Krakowie.

pelował rząd w parlamencie w sprawach polskich. Taką interpelacją, do której emigracya i rewolucyoniści polscy wielką wagę przywiązywali, wniósł w marcu lord Carnavon. W odpowiedzi na tę interpelację lord Russel w d. 27 marca zaznaczył, że ustępstwa, udzielone Polsce przez cesarza Aleksandra, uważać należy „jako specjalnie zawarte w warunkach zobowiązań europejskich“, że „nie tylko powinniśmy mieć wzgląd na okoliczności, które skłaniają nas do patrzenia na Polskę ze współczuciem, ale musimy mieć na uwadze rzeczywiste zamiary rządu rosyjskiego i spodziewać się po nich tego, czego spodziewać się można“. Mówiąc o stanie wojennym, zaprowadzonym w Królestwie, tak się wyraził: „sądzę, że niepodobna obcemu rządowi, ani komukolwiek bądź ściśle określić sposobów, jakie inny rząd ma przedsięwziąć dla zapewnienia sobie spokojności wewnętrznej. Czy te środki będą przedsięwzięte w Warszawie, czy w Węgrzech, czy w Stanach Zjednoczonych amerykańskich z tamtej strony Atlantyku, jak tylko nakazujący je rząd oświadcza, że są konieczne dla zapewnienia posłuszeństwa prawu i zabezpieczenia państwa i społeczeństwa, sądzę, że powinno się mieć przekonanie, iż rząd ten wie lepiej od kogokolwiek bądź, co jest koniecznem dla jego spokojności wewnętrznej. Zatem do rządów zagranicznych nie należy interwencya w tym względzie“. Na pociechę jednak polityków polskich lord Russel oznajmił w końcu, że rząd Rosyi wkrótce stanie się liberalnym, musi więc takimże być i w Polsce. „Zakończę, jak zacząłem, mówił dalej, oświadczając, że nic tak mnie, jak i zbiorowo całemu gabinetowi nie mogłoby sprawić większej przyjemności, jak panowanie w Polsce szczęścia i pokoju, lecz sądzę, że żadna bezpośrednia interwencya, a jeszcze mniej ciągle uwagi, czynione rządowi rosyjskiemu, nie odniosłyby pożądanego skutku“. Było to więc bardzo wyraźne i bardzo jasne, a „Times“ angielski akcentował to jeszcze mocniej, wołając z udaną znajomością dziejów naszych, że „gdybyśmy nawet mogli wskrzesić dni Bolesława Wstydliwego, lub innego jakiego wielkiego króla polskiego, choćby tylko pożycz-

niem jednego pułku, jednej fregaty, to nigdy nie zrobilibyśmy tego". Wprawdzie w kilka dni potem, w tymże samym parlamencie, lord Palmerston, d. 4 kwietnia mówiąc o Polsce i Rosyi, z erudycją zadziwiającą w tak wysokim dostojniku i świadczącą o jego literackiem czytaniu, przypominał swym słuchaczom bajkę o podróżniku i jego płaszczu. „Im przykrzejszy wiatr północny dał gwałtownie i zrywał odzienie podróżnika, tem bardziej ścisnął on je koło siebie i starał się utrzymać“. Polacy, ze „swą niezłamaną, niestłumioną, niewyczerpaną miłością ojczyzny“, są podobni do owego wędrowca z bajki, którego jednak ostrzedz należy przed „niebezpiecznemi złudzeniami i zgubą, grożącą mu, z powodu zbyt przyspieszonego pochodu“. Przypominał więc owemu podróżnikowi, że w innej epoce, za czasów Napoleona I-go, mylił się, licząc na to, że „promień słońca“ rozświeci mu drogę i pomoc przyniesie, że w owej epoce „przywrócenie Polski nie zgadzało się z polityką francuską“, co znaczyło, że Polacy nie powinni i teraz opierać swych nadziei na Francyi. Wreszcie premier gabinetu angielskiego najuroczyściej zapewniał, że Anglia nie ma zgola zamiaru walczenia z owym „przykrym wiatrem północnym“ ¹⁾.

Wszystkie te mowy, zbyt jasne co do swej tendencji, by jakakolwiek wątpliwość mogły budzić, były wyłącznie wygłaszane pod adresem Anglii i Francyi; Polska zaś była w nich tylko kanwą, którą po wyszyciu obrazu wypruwa się i na bok odrzuca. I tak też je rozumieli wszyscy ludzie trzeźwiejsi i chłodniejsi i nie mieli pod tym względem żadnych złudzeń. Wiedzieli oni dobrze, iż Polska w polityce europejskiej od dawna już odgrywa rolę narzędzia, które zręcznie użyte, dotkliwie rańy zadawać może, ale po ich zadaniu składa się między stare rupiecie, by przy zdarzonej okoliczności, naostrzywszy je dobrze, znowu chwycić gwoli naszego użytku. Wszyscy o tem wiedzieli, tylko nie rewolucyoniści warszawscy w rodzaju Dąbrowskiego, Chmie-

¹⁾ J. Klaczko Études de la diplomatie contemporaine, 35.

leńskiego i ich satelitów. W domaganiu się rychłego powstania opierali się w znacznej części na nieuniknionej jakoby interwencji mocarstw zachodnich. Dość, że wszystkie te przyczyny, wypowiedziane bardzo wymownie, z gorącym przekonaniem i wiarą, tak wpłynęły na członków Komitetu, których zresztą niebardzo trzeba było przekonywać, że na pierwszym swem posiedzeniu przyjęli wniosek Dąbrowskiego, ażeby powstanie naznaczyć na dzień 14 lipca 1862 roku ¹⁾. Plan tego powstania, jaki Łokietek przedstawił na owej pamiętnej sesji swym towarzyszom, obejmował wyłącznie Warszawę; stolica tylko na razie miała powstać, zawiązać jedną częścią swych sił na ulicach walkę barykadową, a drugą uderzyć na cytadelę, którą oficerowie i żołnierze, należący do mniemanego spisku, wydać jakoby obiecywali bez oporu. Podobnież zapewniał, że ma relacje z dwoma innymi twierdzami w kraju, z Modlinem i Dębli-

¹⁾ *Ustimowicz*, *Zagowory*, 85, utrzymuje, że powstanie naznaczono na d. 20 sierpnia; *Giller*, I, 68 i II, 95, oraz *N. Berg*, II, 258, oznaczają datę, przytoczoną w tekście. Poszliśmy za ich podaniem, ze względu, że Giller był dobrze w tych rzeczach poinformowany i właśnie ten, tak bliski termin powstania spowodował jego wejście do Komitetu; musiał zatem mieć wiadomości dokładne; Berg zaś miał pod ręką zeznania Majewskiego i Awejdya, które wyszły z rozkazu namiestnika Berga w przekładzie rosyjskim i odbite zostały w bardzo niewielkiej ilości egzemplarzy, przeznaczonych wyłącznie dla najwyższych dostojników ówczesnych. Autor niniejszej pracy miał w rękę te przekłady, ale przez zbyt krótki czas, tak że tylko mógł porobić z nich niektóre notatki i sprostowania, i ścisłych cytat z nich przytaczać nie jest w stanie. Wracając do owego terminu powstania, zdaje się, że Ustimowicz ma za sobą pewne podstawy. Z różnych, dość, co prawda, mętnych podań, sądzić należy, że zrazu Dąbrowski naznaczył powstanie na d. 14 lipca, później jednak dla bliskości terminu, odroczył je do d. 20 sierpnia. W pamiętniku rękopiśmiennym Tomasza B., znajdującym się w naszych zbiorach, jest taki ustęp: „dwa razy zdecydowane powstanie przez Komitet było odrzucone przez Radę miejską“ (Radą miejską nazywa autor stale wyższych członków organizacji, wydziałowych i tysięcy, skupionych koło naczelnika miasta). Według więc wszelkiego prawdopodobieństwa pierwotny termin 14 lipca, został odroczonej do d. 20 sierpnia i tym sposobem obie daty są autentyczne.

nem, które także wydane będą w ręce powstańców. Gdy się to wszystko zrobi w przeciągu bardzo krótkiego czasu, nagłego, piorunowego nacisku, kraj, po którym wieść o ruchu warszawskim się rozbiegnie, chwyci za broń, za kosy, za cepy i tłuć będzie Moskali wszędzie, gdzie się tylko da. Ci, pozbawieni dwóch twierdz i Warszawy, zewsząd atakowani i otaczani, rozproszeni na znacznych stosunkowo przestrzeniach, nie będą mogli czekać na pomoc z Rosyi, ale muszą się cofać, skupiać i tym sposobem oswabadzać całe powiaty i gubernie, prawdopodobnie cały lewy brzeg Wisły, co da możność mieszkańcom uorganizować się w kompanie, bataliony i pułki, uzbroić należycie, zaopatrzyć w zapasy i śmiało wyruszyć przeciw idącej z Rosyi nawale moskiewskiej ¹⁾.

Takim był w ogólnych zarysach plan Dąbrowskiego; w szczegóły się nie wdawał, gdyż, jak mówił, ludzie nie fachowi nie są w stanie ich zrozumieć. Na uwagę, że wszystko to jest bardzo piękne, tylko bądź co bądź, mimo obiecywanej pomocy spisku wojskowego, do walki barykadowej na ulicach Warszawy i do wzięcia cytadeli trzeba mieć broń i amunicją, Dąbrowski odpowiadał, że broni i amunicyi dostarczy w większej części ów spisek, że zresztą przez czas pozostały, blisko dwumiesięczny, należy robić przygotowania, zgromadzać strzelby myśliwskie, które w niewielkich odległościach, w jakich walka będzie toczona, w ciasnych ulicach, o wiele są lepsze i skuteczniejsze od karabinów i sztucerów, skupywać ołów, proch, lać kule, granaty ręczne i t. p. Fabryki na Solcu, fabryka Ewana na ulicy Świętojerskiej winna dostarczyć w znacznej ilości takich granatów i dostarczy z pewnością, byle się umiejętnie wziąć do tego. Na pytanie, gdzie barykady mają być wznoszone, odrzekł, że na obmyślenie tego jeszcze jest dość czasu, że wszelako główne ich jądro winno się znajdować na Starem i na Nowem mieście, skąd nawet wyruszenie pod cytadelę będzie bliższe i łatwiejsze, a uliczki

¹⁾ Z różnych źródeł, notatek i podań ustnych.

wąskie, połamane, domy wysokie i silnie zbudowane, dają możliwość, nawet małej garstce, obrony upartej i zaciętej. Zresztą niema co o tem teraz rozprawiać; on, jako wojskowy, wszystko szczegółowo obmyśli i opracuje, w tej chwili zaś organizacja winna się wyłącznie zająć przygotowaniem i czasu napróżno nie tracić.

Jakoż zabrano się do tych przygotowań, które w tej chwili z powodu zupełnego braku pieniędzy, ograniczały się tylko na tem, że uwiadomiono o wszystkim członków organizacyi i mniemanego spisku oficerskiego, i kazano się wszelkimi możliwymi sposobami zaopatrywać w broń i amunicyą. Wiadomość ta i to polecenie w szczupłym kole oficerskiem, złożonem z młodych, zapalonych ludzi, wywarła bardzo dobre i przyjazne wrażenie. Jeden z nich, znany nam już, Potebnia, mający ciągle stosunki z wydawcą „Kołokoła“, Hercenem, pisał do niego pod d. 7 czerwca z Warszawy, że „wojsko znajdujące się w Warszawie, jest na takiej stopie, że gotowe jest bić się ze swoimi, jeżeliby ci zamierzeli pójść przeciw Polakom“; że „zbliżyliśmy się na tyle do patriotów polskich, iż w każdym razie weźmiemy bezpośredni udział w bliskim powstaniu Polski. Nie wiedziałem, że propaganda tak łatwa i z takim powodzeniem daje się prowadzić¹⁾. Było to złudzenie, które krwawo mieli naprzód ci szaleńcy, a potem Polska odpokutować; ale w złudzenie to wierzyli oni jak w Ewangelią, ani na chwilę nie wątpili o jego prawdzie, i niechże im to policzone będzie w historyi za usprawiedliwienie. Lecz złudzeń takich nie miała wcale chłodniejsza i rozsądniejsza część organizacyi warszawskiej, zwłaszcza, że o owym mniemanym spisku wojskowym, o owej jakoby gotowości żołnierzy rosyjskich walczenia ze swymi w obronie Polaków, nie wiedziała, gdyż, jakeśmy powiedzieli, Dąbrowski chował te rzeczy w sekrecie i tylko głucho i niejasno o nich obiegały wieści. Nie biorąc więc wcale w rachubę spisku wojskowego, który wyglądał na jakąś bajkę mityczną

¹⁾ Historia powstania narodu polskiego I, 134.

o smoku apokaliptycznym, mającym pożreć Moskali z kretesem, ta część organizacyi liczyła tylko na siebie w chwili wybuchu, i rozpatrując się w ludziach, zasobach i środkach, uważała tak wczesne powstanie za proste szaleństwo, a członków Komitetu miejskiego, którzy termin naznaczyli, za zwykłych waryatów i ludzi w najwyższym stopniu lekkomyślnych. W miarę więc rozpowszechniania się wieści o blizkim wybuchu, szemranie się wzmagало, oburzenie rosło. Zwłaszcza na prowincyi, dokąd wysłano z tą nowiną umyślnych agentów¹⁾, gdzie większość sprzysiężonych chyliła się ku stronnictwu Białych, wiadomość o blizkiem powstaniu wywołała formalny popłoch; w Warszawie śród akademików, śród resztek dawnego komitetu akademickiego, który nie mógł darować współzawodnikowi swego rozbitcia i dąsał się pokryjomu i bacznie przypatrywał się działaniu Chmielińskiego, Dąbrowskiego i innych, oburzenie to przybrało formę gwałtownej reakcyi czynnej. Akademicy, z cechującym ich niezמעzeniem, poczęli biegać po mieście, namawiać, grozić; stronnictwo Białych, zwłaszcza młodszy członkowie Dyrekcyi, jak: Majewski i Paszkiewicz, widząc, że Komitet miejski zrobił głupstwo, i że umiejętne skorzystanie z tego głupstwa, może na zawsze pogrzebać przewagę Czerwonych, także nie zasypiali gruszek w popiele; mieszczaństwo warszawskie, zawsze mocno dbałe o swą skórę, swe sklepy i swe kamienice, na wspomnienie walki barykadowej i cytadeli, dygotało ze strachu i zgrozy. Słowem, wszystkie te czynniki złożyły się na to, że wydziałowi, tysiącniczy, setnicy, zgoła wszelkie ogniwa organizacyi głównie za staraniem kilku osób, oraz niejakiemu Władysławowi Koskowskemu²⁾, urzędnika Towarzystwa kredytowego ziemskiego, zaprotestowały przeciw naznaczeniu tak rychłego powstania, wypowiedziały posłuszeństwo Komitetowi miejskiemu i zwołały zgromadzenie dla wybrania nowego Komitetu.

¹⁾ *S. Gesket*, *Wojennyja dziejstwa w Carstwie Polskom w 1863 godu*, 5.

²⁾ *A. Giller* I, 68.

Zdaje się, że powstała wtedy myśl w Dyrekcyi Białych, ażeby ovladnąć całym ruchem, który, Bóg wie, na jakie bezdroża kraj może zaprowadzić, i w tym celu postarano się, że na tych wyborach znaleźli się: Karol Majewski i Julian Paszkiewicz. Wśród bardzo burzliwych rozpraw, w mieszkaniu Marczewskiego, nowy Komitet został złożony z ośmiu osób następujących: Jarosława Dąbrowskiego, Władysława Daniłowskiego, Władysława Koskowskiego, którego pominać nie można było ze względu, że się bardzo wiele przyczynił do obalenia poprzedniego komitetu, Agatona Gillera, Juliana Paszkiewicza, Karola Majewskiego, Adama Oksińskiego i Witolda Marczewskiego¹⁾. Przepadł zatem przy tych wyborach Chmieliński i Matuszewicz, a natomiast weszło pięć nowych osób, z których Giller miał z czasem bardzo poważną rolę w dziejach tych nieszczęśliwych czasów odegrać. Komitet zresztą w tym składzie przybrał wyraźną cechę umiarkowania, przechylił się niejako ku stronnictwu Białych, i sądzono też powszechnie, że stanowczo złączy się z Dyrekcją, zleje się z nią w jedno ciało. Stronnikami takiego kompromisu byli Majewski i Paszkiewicz, ale ci, którzy znali obu tych młodych ludzi, mieli już wtedy pewne wątpliwości, czy istotnie do tego przyjść może. Majewski wiecznie lawirujący, nigdy nie wypowiadający jasno i wyraźnie swej myśli, którą zawsze owijał, niby poczwarkę, w przedzę wielosłowności, wahający się, chory na chorobę epoki, na niemoc czynu, nie budzący w żadnym stronnictwie zaufania, dla Białych za zbyt czerwony, dla Czerwonych za biały, nie był człowiekiem, któryby taką furją mógł przeprowadzić. Paszkiewicz, szlachcic z przekonania i wyobrażeń, gardzący „mieszczańską rewolucją“ i „warszawskim powstaniem“, jak się wielokrotnie z przekąsem wyrażał, marzyciel, poeta, dusza miękka, niezdolna także do

¹⁾ *N. Berg* II, 258, wymienia tylko pięć osób, to jest pomija: Koskowskiego, Daniłowicza i Oksińskiego. Inne źródła, jak *Giller* („wybrano nowy komitet, złożony z ośmiu osób“), *Ustymowicz* i materiały piśmienne mówią wyraźnie o ośmiu osobach.

czynu energicznego, do inicjatywy, do kroku stanowczego, nie dawał żadnej nadziei, by mógł zwalczyć przeciwników złączenia się z Dyрекcyą białą. A przeciwników takich było wielu, naprzód trzech członków dawnego komitetu (Dąbrowski, Daniłowski, Marczewski), ultraczerwonych rewolucjonistów, trzęsących się z gniewu na wspomnienie „białej zarazy“, zmuszonych do zgodzenia się na rozwiązanie poprzedniego komitetu jedynie pod naciskiem całej organizacyi warszawskiej, ale w duszy niezadowolonych z tego i gotowych przy pierwszej lepszej sposobności do zrzucenia kagańca, jaki im nałożono; następnie w trzech nowych członkach, którzy, stanowiąc odcień umiarkowany ruchu, byli jednak stanowczo przeciwni poddaniu się supremacyi szlacheckiej. Najwybitniejszą osobistością między tymi ostatnimi był Agaton Giller, który teraz właśnie wstępuje na posępną scenę dziejowej niedoli polskiej i odgrywać w niej zaczyna rolę nieomal pierwszorzędną. Sybirak, stary spiskowiec, literat małych zdolności, ale pretensyi olbrzymich, pozbawiony wyższego wykształcenia, którego nie miał gdzie nabyć, z natury małej inteligencyi, był jednak nadzwyczajnie uparty, jak wszystkie mierności, wyrzucone wypadkami na stanowisko górujące, tępy i dość ograniczony. W swej postaci małej i jakby nabitej, w głowie dużej i niekształtnej, krył wielką ambycyą i pretensyą do kierowania wszystkiem i wszystkiemi. Zrażał ludzi niesłychaną zarozumiałością, uporem, słowami wygłaszanemi zawsze z trójnoga; przytem lubiał kłamać i tę wadę zachował nawet w swej pretensjonalnej historyi powstania. Na Syberyi, w ciężkiej doli wygnania, stał się mistykiem wierzącym w wielkie dziejowe przeznaczenie Polski, o której historyi i przeszłości miał nadzwyczaj mętne i zaprawione kolorytem romantycznym wyobrażenia. W życiu publicznem i prywatnem czysty i bez plamy, był demokratą z mieszczańską podkładką, z liberalnemi wyobrażeniami wieku, nie lubił szlachty, jej wyłączności i przywilei, i już przez to samo, jak i ze względu na ambitne pragnienia odgrywania pierwszej roli w krwawej tragedyi polskiej, nie mógł być zwolennikiem fuzyi z Białymi i pod-

dania Komitetu pod ich dyrektywę¹⁾. Obracał się on chętnie wśród dąsającego się mieszczaństwa warszawskiego, wśród „Polaków mojżeszowego wyznania“, wśród szczątków dawnej Delegacyi i właściwie w głębi duszy pragnął, ażeby nie młodzież nikomu nieznaną, jacyś tam akademicy, którzy uczyć się jeszcze winni, lub kanceliści i dependenci, nie szlachta, ale to mieszczaństwo, Warszawa w ścisłym kole t. z. obywateli miejskich, kierowała ruchem. Jak wielu ludzi tej epoki tak i Giller żywił to przekonanie, że jedynie mieszczaństwo, stan trzeci, kryje w sobie zaród przyszłego rozwoju ludzkości i Polski. Za jego zdaniem szedł w tym względzie Władysław Koskowski i Adam Oksiński, syn urzędnika z Płocka, brat rodzony Józefa Oksińskiego, który teraz bawił w Cuneo, a w powstaniu zbrojnym dowodzić miał oddziałem; obaj ci młodzi ludzie byli osobistościami nie znaczącymi i zdania własnego nie mieli, ale zato usposobieni byli czerwono i na Białych zgrzytali zębami. W takim stanie rzeczy o złączeniu się dwóch stronnictw mowy nawet być nie mogło.

Pierwszą czynnością nowego Komitetu było zbadanie kwestyi powstania, które, jak wiemy, zerwać się miało w dniu 14 lipca. W tym celu wezwano Dąbrowskiego, by wyjaśnił, dlaczego, na mocy jakich podstaw nazaczył tak blizki termin wybuchowi, kiedy właściwie nie jest jeszcze gotowem, kiedy prowincya słabo jest uorganizowaną, broni nie ma, amunicyi i zapasów żadnych nie ma. Na to Dąbrowski, ze zwykłą sobie wymową i siłą przekonania, znamionującą, że wierzył gorąco w to, czego bronił, odrzekł, iż historia spisków wszelkiego rodzaju uczy, iż nigdy nie można rzeczy tak przygotować, by w danej chwili, w mo-

¹⁾ Zarzut też, jaki czyni z właściwą sobie złą wiarą, Majewskiemu i Paszkiewiczowi (Hist. pow. I, 68), że „nie umieli korzystać z okoliczności swego wyboru, nastęrczającego im sposoby złączenia dwóch organizacyi: białej i czerwonej“, wyłącznie do niego samego stosowanym być winien, bo on nie chciał tego złączenia i do niego nie dopuścił.

mencie krytycznym czegoś nie brakowało i coś nie było zrobionem. Mylą się ci, którzy twierdzą, że nic nie jest przygotowanem. Warszawa jest uorganizowana z możliwą doskonałością i organizuje się ciągle, zwłaszcza, że według jego planu, naprzód stolica ma powstać, a za nią, za jej przykładem dopiero kraj cały. W rewolucyach, w nagłych wybuchach ludowych pierwszą, najważniejszą jest śmiałość i szybkość działania, które robi potężne wrażenie na masy i porywa je za sobą, unosi jak wichur. Któż mógł przypuszczać, kto nie szydził z wyładowania Garibaldiego na czele garści straceńców pod Marsalą, a przecież to wyładowanie, ta garść szaleńców, jak ich nazywano, zmieniła kartę Europy i zapisała czynami swymi piękną kartę w dziejach. *Unsinn, du siegst!* mówi poeta i mówi prawdę, z wyborną znajomością psychologii mas. Wreszcie położenie spisku w Polsce nie jest ani tak słabe, ani tak bezpodstawne, jak się niektórym zdaje wskutek nieznamości tego położenia. Przedewszystkiem przyszłe powstanie polskie znajdzie poparcie w Rosyi, w samym obozie nieprzyjacielskim. I tam bowiem przygotowuje się rewolucya, a rewolucya tak straszna, tak krwawa, jakiej świat jeszcze nie widział. Szlachta wskutek utraty swych praw i przywilei zwierzchniczych nad chłopem jest nadzwyczajnie rozdrażniona i niezadowolona z kierunku, jaki rząd przybrał; chłop jest głęboko zniechęcony, bo mniej otrzymał, niż się spodziewał i spodziewać miał prawo; oczekuje on jakiejś „złotej hramoty“ i buntuje się. Wszak tu i owdzie przyszło nawet do krwawych starć z wojskiem. Połowiczność reform wywołała wszędzie, we wszystkich warstwach rozczarowanie przykre, i rozstraja mocne dotąd wiązania caratu. Inteligencya rosyjska, która liczyła na konstytucyę, na ukrócenie „czynownictwa“, na kontrolę funduszków państwowych, widząc, że do tego nie przychodzi, że rząd, robiąc krok naprzód, zaraz się cofa i chwieje, widząc, że na obecną dynastyę w urzeczywistnieniu swych ideałów społecznych i politycznych rachować nie może, pragnie zmiany tej dynastyi i tego rządu.

Po tem odmalowaniu położenia wewnętrznego Rosyi, obrazie zdradzającym nieścisłość i fantastyczność umysłu Dąbrowskiego, przeszedł on do najważniejszej części swego planu, do wojska. Utrzymał więc, że w wojsku rosyjskiem panuje także silne niezadowolenie, którego przyczyny są rozmaite. Do ich rzędu zaliczył naprzód ciągle zmiany w umundurowaniu, co oficerów, nieposiadających w ogromnej swej większości funduszów dostatecznych, naraża na całkiem niepotrzebne koszta i pogrąża w długi lichwiarskie; że ostatnia kampania krymska upokorzyła armią, pozbawiła zaufania do siebie, do wodzów i do rządu; że wojska stojące w Królestwie są zupełnie zdemoralizowane, a twierdza tak dalece zaniedbana, że bramy w Modlinie i Demblinie wrosły w ziemię i zamknąć ich nie można. Dość będzie, mówił, wyruszyć na te twierdze kolumną szturmową, złożoną choćby z tysiąca ludzi odważnych i na wszystko gotowych, a obie te twierdze znajdą się w naszych rękach. Czyż w Warszawie nie znajdzie się tysiąca takich ludzi? On o tem nie wątpi, że z łatwością ich zbierze, a wzięcie Modlina, o którego mniemanej sile tak dużo mówią podręczniki wojskowe, wyrze piorunujące wrażenie na całą Rosyą, na całą Europę, wstrząśnie ją potężnie i zapali w caracie olbrzymi płomień, który wszystko pożre i rząd i czynownictwo i armią. Tam znajdziemy broń, działa, amunicyą, sprzęt wojenny, a nadewszystko sympatyą wszystkich ludzi liberalnych, których takie mnóstwo ostatnie czasy wytworzyły w Rosyi. Wreszcie, pomijając powyższe okoliczności, które zapowiadają powodzenie powstaniu, jest jeszcze jeden bardzo ważny wzgląd, który nakazuje przyspieszenie wybuchu. Tym względem jest uprzedzenie reakcyi nieuniknionej, jaka nastąpi z powrotem Wielopolskiego z Petersburga. Wybuch zgniecie tę reakcyą, jak ją zgniotły za Lamberta manifestacye ¹⁾.

Słowa te wypowiedziane gorąco, a choć obracające

¹⁾ *N. Berg*, loc. cit. II, 259, oraz zeznania Majewskiego i Awejdy, i relacye ustne.

się w ogólnikach, opierające się na nadziei współczesnego z powstaniem polskim ruchem w Rosyi, nie pozostały bez wrażenia na obecnych. Wszak przeważnie byli to ludzie młodzi, łatwo zapalni, nie odznaczający się ścisłością rozumowania, a wreszcie, jak każdy Polak tej doby, lękający się, czy opozycją swoją nie zaszkodzą sprawie ojczyzny, czy godzi się odwlekać wyzwolenie kraju, jeżeli istotnie rzeczy się tak mają, jak mówi Dąbrowski. Wszak o spisku wśród wojska, przez Dąbrowskiego jakoby stworzonym, o jego relacjach o oficerach tyle się nasłuchano, że choć nie miano żadnego dowodu o ich prawdziwości, nie wątpiono jednak w ich istnienie. Na pół więc przekonani, na pół gotowi do ustępstwa, tylko dla zadośćuczynienia swemu sumieniu, opinii całej organizacyi, dla usprawiedliwienia wreszcie tego, że obalili Komitet poprzedni, zażądali od Dąbrowskiego dowodów na to, co mówi, a nadewszystko, że wojsko konsystujące w Królestwie jest zdemoralizowane istotnie. Dąbrowski odrzekł, że słowa jego może potwierdzić wielu oficerów. Zażądano więc, ażeby Komitet osobiście zobaczył się i porozumiał z tymi oficerami¹⁾, i polecono Łokietkowi, by ich sprowadził tak Polaków jak i Rosyan na najbliższe posiedzenie Komitetu²⁾. Jakoż Dąbrowski

1) *Giller*, loc. cit. II, 95, twierdzi, że to na jego „wniosek uchwalono zbadać rozmiary spisku wojskowego, przekonać się o jego mocy, usposobieniu armii i o ile rachować można na jej pomoc w chwili wybuchu“. *Majewski* zaś w swych zeznaniach utrzymuje, że wniosek taki od niego wyszedł. *Berg* nie powiada wcale, z czyjej inicjatywy powstała ta myśl, wyraża się tylko ogólnikowo, że „Komisya zażądała“. Trudno dziś rozstrzygnąć, kto mówi prawdę.

2) *Giller* loc. cit. utrzymuje, że dla porozumienia się z oficerami wydelegowano jego i Koskowskiego, i że w dzień oznaczony „zebrało się dwudziestu kilku oficerów, reprezentantów Kółek spiskowych“ pod Bielanami. Nie określa on bliżej tego „pod Bielanami“ t. j. czy zebranie odbyło się w obozie, jaki tam zwykle z wiosną bywa zakładany, czy też w lasku Bielańskim. Pomijając już tę okoliczność, że zebranie to przypomina nadzwyczajnie takąż samą scenę z d. 1 maja 1821 r., gdzie Prądzyński kazał spiskowym przysięgać, że ojczyznę oswobodzą, to, oprócz *Gillera*, żadne inne źródła, nam znane, o tej schadzce „pod Bielanami“ nie mówią. *Berg* II, 261, rzecz

zadość temu uczynił i przyprowadził ich kilku¹⁾. Między nimi był Potebnia, Kapliński, Waraski, Dobrowolski; wogóle Polacy stanowić mieli większość. Giller zagaił posiedzenie mową, wystosowną do oficerów, w której wykazał ważność zebrania i prosił o rzetelne i sumienne objaśnienie stanu rzeczy. „Od tego sprawozdania, powiedział w końcu, zależy cofnięcie terminu naznaczonego na powstanie. Pamiętajcie zaś panowie, że jeżeli licząc głównie na pomoc wojska, takowej nie otrzymamy i wybuch nasz wskutek tego zostanie stłumiony, wy będziecie odpowiedzialni nietylko za krew bezużytecznie przelaną, ale także za opóźnienie niepodległości Polski i wolności Rosyi!“²⁾ Dwóch tylko oficerów, t. j. Potebnia i Kapliński²⁾, ręczyło za swe komendy, i zapewniali oni, że pierwszy z nich batalion, a drugi kompanią przyprowadzi na stronę powstania i na barykady. Wyznanie to, wobec zachowania się innych oficerów, wydało się zebrany tak wątpliwem i lekkomyślnem, że niebardzo mu uwierzono i Giller miał oświadczyć, iż uda się do ich komend dla naoczego przekonania się o dobrem usposobieniu żołnierzy. Wątpliwość ta tem bardziej okazała się usprawiedliwioną, że wszyscy inni oficerowie oświadczyli

tak opowiada, jakeśmy ją w tekście opisali; *Majewski* nic nie wie o wycieczce do Bielani i o delegacji Gillera i Koskowskiego. Pamiętnik rękopiśmienny *Ferdynanda W.* mówi o kilku posiedzeniach oficerów i Komitetu „na ulicy Brackiej“ (u kogo i w którym domu, nie powiada), ale o Bielaniach nic nie wspomina. Dodajmy, że przy obowiązującym wówczas stanie oblężenia wszelkie wycieczki za rogatki warszawskie były nadzwyczaj utrudnione; trzeba było mieć na to specjalne pozwolenie policyi. O wiele rzeczą łatwiejszą było, by oficerowie, którzy takich pozwoleń nie potrzebowali, zeszli się gdzieś w Warszawie. Zdaje się więc, że owa schadzka Bielańska jest wynalazkiem późniejszym Gillera, wynalazkiem będącym niefortunną reminiscencją schadzki Prądyńskiego i spiskowców warszawskich w r. 1821.

¹⁾ *Giller*, loc. cit. mówi „dwudziestu kilku oficerów“. Cytowany pamiętnik *Ferdynanda W.*, który jako oficer, należący do propagandy, był na tem posiedzeniu, zaprzecza temu kategorycznie, i powiada, że „przybyło kilku oficerów“.

²⁾ *Ferdynand W.*, Pamiętnik.

jednogodnie, iż plan powstania, oparty głównie na zdradzie żołnierskiej, jest nierozsądny, że propaganda pomiędzy wojskiem właściwie dopiero się rozpoczęła, że dotąd nader małe postępy zrobiła; że tylko wtedy na pomoc żołnierzy rachowaćby można, gdyby starszyzna została przed wybuchem wymordowana; że oni sami do powstania pójdą, i życie swoje za wolność chętnie położą, lecz mocy poprowadzenia swoich komend dotąd jeszcze nie mają. Żądali więc w końcu, żeby termin,znaczony na powstanie, bezwarunkowo cofnięto ¹⁾.

Teraz się dopiero pokazało, jak dalece naznaczenie terminu powstania było czynem lekkomyślnym, jak wogóle całe postępowanie Dąbrowskiego było jednym złudzeniem, jeżeli nie czemś gorszem. Spisek wojskowy, o którym tyle mówiono, który przez swą tajemniczość i nieświadomość przybierał rozmiary fantastyczne, okazał się prostą bajką, nie istniał wcale. Była tylko propaganda wśród wojska, propaganda nieśmiała, lękliwa, słaba i idąca nader tępo; i otwarte przyznanie się do tego ze strony oficerów jest czynem dobrze zrozumianego patriotyzmu i dobrem spełnieniem służby dla ojczyzny. W takim stanie rzeczy, urok, jakim był dotąd otoczony Dąbrowski w oczach wszystkich, powinien się być całkiem rozwiać; każdy człowiek rozumny, uczciwy, dbający o los kraju, mieć go za prostego szaleńca i warchoła, jakim był rzeczywiście. Niestety! ludzie owej epoki tak byli zaślepieni, fatalność jakaś takie bielmo rzuciła na ich oczy, głowy i serca, że nie przestawali widzieć w nowoczesnym Łokietku prawdziwego zbawcy ojczyzny już nie od przemocy krzyżackiej, ale od najazdu moskiewskiego. Gdy bowiem na skutek sumiennej relacji oficerów o stanie propagandy w wojsku Komitet miejski powstanie odwołał i przygotowania wolniej i lepiej czynić kazał, Dąbrowski obrażony mocno, na współkę z Chmieleńskim, który był także srodze zagniewany o to, że go z Komitetu sromotnie usunięto, poczęli wśród organizacji intrygować

¹⁾ *A. Giller*, loc. cit. II, 95.

i podburzać ją przeciw Komitetowi. Chmieński wpadł przytem w prawdziwy szal wściekłości, tak go upokorzona ambicya, prywata niezdrowa, żądza osobista wyniesienia się, gryzła. Wołał teraz głośno przy każdej sposobności, że tu niema się co „bawić z tymi zdrajcami w faramuszki“¹⁾, ale sztyletować ich i wieszać; że jeżeli spisek ma być ocalonym, a z nim Polska, to należy cały Komitet rozpędzić na cztery wiatry, a natomiast nowy ustanowić, gdyż inaczej wszystko przypadnie, reakcyja weźmie górę i jeszcze raz Polskę w przepaść niedoli pogrąży. Dąbrowski, który przez niepojęte, jakkolwiek usprawiedliwione krótkością czasu, nierozgarnięcie Komitetu, ciągle był jeszcze naczelnikiem miasta²⁾, i wskutek tego miał wielką przewagę nad całą organizacją miejską i nad wydziałowymi, widząc, że jego plany przypadły, że z kierownika całym ruchem może zejść na stanowisko drugorzędne, dotknięty do żywego, podsycił te intrygi Chmieńskiego i jego dość licznych stronników, bo w tych czasach dziwnego zamętu pojęć największy, najwyraźniejszy wartogłów miał swoich stronników. Dzięki tym zabiegom, intrydze niegodnej i wstrętnej, która byłaby śmieszną, gdyby tu nie szło o kraj cały i o jego przyszłość, w tem rzucaniu kości o golgotową szatę ojczyzny, zdołano zyskać na swą stronę większość wydziałowych, a co za tem idzie i organizacyi niższej, która, złożona przeważnie z rzemieślników, nadzwyczaj karnem posłuszeń-

1) *Ferdynand W.*, Pamiętniki.

2) *A. Giller*, II, 94, tak to pośrednio tłumaczy: „pomijać człowieka ambitnego, który jak Sapieha, Mierosławski, lubił działać na własną rękę, a który, jak się zdawało, mógł wojsko poruszyć, byłoby błędem. Dąbrowski o tem dobrze wiedział, a żądny wpływu i władzy, doszedł do niej wytrwałością, łącząc się z różnemi partjami“. „Wpływ jego na młodzież był znaczny; wierzyła w jego energię, w talenta wojskowe i w siłę“. „Był on w dobrych stosunkach z tymi członkami organizacyi, którzy na rozsądku oparciu, radzili umiarkowanie i powstrzymanie powstania, a jednocześnie w najlepszej przyjaźni z przeciwną im, a najgwałtowniejszą partją Ignacego Chmieńskiego“. Z tego wniosek, że Komitet poprostu bał się Dąbrowskiego.

stwem, zrodzonym w czystym uczuciu patriotycznym, względem swych przełożonych się odznaczała. Cóż było łatwiejszego jak obalamucić prostego rzemieślnika, lub robotnika fabrycznego, widmem ginącej ojczyzny go przerazić, tej ojczyzny, którą on kochał gorąco i gotów był wszystko, i siebie, i rodzinę dla niej poświęcić? Gdy mu więc powiedziano, że utworzył się Komitet, który chce spisek zniszczyć, „nierządym umizgiem do Moskwy“ ojczyznę zdradzić, to w tym nieuczonym, ale szczerym pracowniku trzewia się zatrzęsły, serce zadrgało, oczy płomieniem zabłysły, a ręka w pięść się ścisnęła i gotów był iść wszędzie, wszystko zrobić, mur głową przebić, by zdrajcom, zaprzańcom i sprzedawczykom „kości połamać“. Na tem to czystym i podniosłym uczuciu patriotycznym, stanowiącym jasne, świetliste tło ponurych wypadków tej epoki, tło, jakiego żadna zaiste karta naszych dziejów nie przedstawia, oparli swą rachubę niegodni intryganci, ambicje poziome i wyrodne, i pewni, że mają za sobą całą organizacją miejską, postanowili wystąpić śmiało i energicznie, i jeszcze raz pokusić się o odzyskanie władzy utraconej.

W tym celu Dąbrowski na najbliższym posiedzeniu Komitetu tonem rozkazującym, brząkając szabelką, oświadczył, że na zebraniu wszystkich wydziałowych miasta zapadła decyzja, „żeby Komitet nie ważył się nic przedsiębrać bez wiedzy i zgody naczelnika miasta“. Decyzją tę komunikuje on Komitetowi i od siebie dodaje, że ściśle trzymać się jej będzie i nie pozwoli w żadnym razie na jej naruszenie¹⁾. Słowa te wypowiedziane tonem zuchwałym, pobrząkiwanie przytem szabelką, postawa pogardliwa, wywołały prawdziwą burzę wśród zebranych. Wszyscy zerwali się z krzesel i z oczami rozplamienionymi, z groźnym wyrazem twarzy mówić i krzyczeć zaczęli, a Paszkiewicz w uniesieniu niezwykłym, z ironią, w której dźwięczała obelga dla „waszego warszawskiego powstania“, pię-

¹⁾ Zeznania Majewskiego i Awejdy; podania ustne.

ściami w stół uderzał, zdawał się nie być panem siebie. Jeden tylko Giller zachował się spokojnie i chłodno i gdy pierwsza burza minęła (którą Dąbrowski wytrzymał z niezachwianym wyrazem wyższości na swej twarzy), rzekł: że niech naczelnik miasta oświadczy wydziałowym, iż tego, co najmniej, dziwnego żądania Komitet nie spełni. Komitet jest zwierzchnią władzą i słuchać organizacyi nie może. Słowa te potwierdzili wszyscy jednogłośnie i Dąbrowski wyszedł z niczem.

Ale nie był to człowiek, któryby raz powziętych zamiarów rzekał się tak łatwo. Zatracając powoli w tej walce poczucie istotnego interesu ojczyzny, a kierując się jedynie podszeptami zdrożnymi własnej ambicyi, począł żywą agitacją wśród wydziałowych, w czem mu bardzo energicznie dopomagał Chmieleński, i w rezultacie wyjednał u nich jednomyślne oświadczenie, że „uważają się za obrażonych i wypowiadają Komitetowi posłuszeństwo“. Znaczyło to poprostu, że wydziałowi Komitet znoszą, że nie istnieje on dla nich wcale, jeżeli ich żądania pierwotnego nie spełni. Wiadomość o tej decyzyi organizacyi nadzwyczaj przykre na Komitet wywarła wrażenie; uczuł on, że ziemia mu się z pod nóg usuwa. Majewski i Paszkiewicz, którym wyraźnie poczęto napomykać, że oni przez swe wejście do Komitetu są główną przyczyną burzy wewnętrznej, oświadczyli, że „wobec takich intryg pracować i służyć ojczyźnie żaden prawy patriota nie może“, w czem mieli słusność zupełną, gdyż w walce tej nie szło już o ojczyznę, jej krwawe widmo usunęło się na plan drugi, a pierwsze miejsce zajęła prywatna i małoduszne pragnienia ambicyi chorych. Po tem oświadczeniu obaj członkowie Dyrekcji białej stanowczo wystąpili z Komitetu, zostawiając pole swobodne szaleńcom ultraczerwonym.

Tego też chciał Dąbrowski i Chmieleński. Co żywo zwołano radę walną resztek Komitetu i wszystkich wydziałowych, którzy się zebrali, jak zwykle, w mieszkaniu Marczewskiego dla wyboru nowego Komitetu, takiego, który byłby posłusznem narzędziem w ręku obu tych panów. Po-

siedzenie było bardzo burzliwe. Nagromadzone w ostatnich czasach niechęci, nienawiści polityczne i urazy osobiste, wybuchły z wielką siłą. Nie było końca wzajemnym oskarżeniom i rekryminacyom, które Chmieleński, obecny na posiedzeniu, ze swem zjadliwym szyderstwem, głuchem pomrukiwaniem dzikiego zwierzęcia, podniecał i rozpałał. Nakoniec po długich rozprawach przez głosowanie tajne wybrano do nowego, piątego już z rzędu Komitetu: Witolda Marczewskiego, Agatona Gillera, Jarosława Dąbrowskiego, Władysława Koskowskiego i Władysława Daniłowskiego¹⁾. Tym więc sposobem poprzedni Komitet, który tyle burz wywołał i tyle ważnych zmian zrobił, upadł po pięciodniowym zaledwie istnieniu²⁾, a z upadkiem jego upadła także na długo nadzieja złączenia dwóch stronnictw, przygotowujących w kraju powstanie. Że było to nieszczęściem, i że nieszczęście to zawdzięczać należy Chmieleńskiemu i Dąbrowskiemu, wątpliwości żadnej nie ulega, i na tych dwóch ludzi, trawionych ponurą ambicyą, spada w części wina przyszłej niedoli polskiej.

Chmieleński, który wywołał te wszystkie zmiany, który spowodował wystąpienie Majewskiego i Paszkiewicza, w tej nadziei, że sam na ich miejsce wejdzie, gdy nie został wybrany, gdy tym sposobem nadzieje jego zawiedzione zostały, gdy zobaczył, że nawet takie nic nie znaczące osobistości jak Koskowski, więcej niż on budzą zaufania u wyborców, oburzony był nadzwyczajnie. Zerwał się więc i spoglądając z ukosa swemi złemi, choremi oczami, zapowiedział, że taki skład Komitetu jest poprostu zdradą ojczyzny, że on nie myśli go wcale słuchać, i nie żegnając się z nikim, trzasnąwszy drzwiami, wyszedł³⁾. Scena ta dość przygnębiające wrażenie wywarła na zebranych. Znali oni dobrze Chmieleńskiego i wiedzieli, do czego jest zdolny, że ma, zwłaszcza wśród sfer rzemieślniczych, znaczne stron-

1) *A. Giller*, I, 68; *Ustimowicz*, 86; *N. Berg*, II, 264.

2) *A. Giller*, loc. cit.

3) Z podań ustnych.

nictwo, że lubi działać na własną rękę, że zatem jego niechęć, jego gniew może wywołać nowy rokosz w organizacyi i zawieść nadzieje Komitetu, jakie żywił, że znajdzie posłuch w sprzysiężeniu i samowładnie kierować będzie losami kraju. Wobec tego, na temże posiedzeniu zaraz uznano, że niepodobna pomijać Chmieleńskiego, że należy go koniecznie ułagodzić i na ten cel postanowiono zwołać nowe posiedzenie i frondującego czerwieńca na nie zaprosić¹⁾.

Jakoż w cztery dni potem, mniej więcej w końcu czerwca²⁾, gdyż dat ścisłych nikt z ówczesnych uczestników tych wypadków nie notował, zebrano się na zapowiedziane posiedzenie, jak zwykle, w mieszkaniu Marczewskiego. Chmieleński zaproszony stawił się zły i chmurny, otoczony gromadą popleczników swoich, co wyglądało na groźbę, na gotowość uczynienia nacisku na Komitet, a może skrytej chęci rozpędzenia go zupełnego. Dąbrowski mu w tym względzie dopomógł i sprowadził wszystkich wydziałowych, setników i dziesiętników, którzy wraz z Chmieleńczykami skupiwszy się w jednej połowie pokoju³⁾, spoglądali z ukosa i gniewnie na czterech członków Komitetu, gdyż piąty, Dąbrowski, ostentacyjnie trzymał się od nich zdaleka, zebranych w drugiej połowie. Ci siedzieli milczący, w postawie poważnej, z wyrazem mocnego postanowienia na twarzach, gotowi, zda się, umrzeć na swych krzesłach kurulnych, jak starożytni senatorowie rzymscy w czasie najścia barbarzyńskich Gallów. Sądzieli oni, że na posiedzenie przyjdzie Chmieleński sam jeden, a nie cała gromada jego szalonych stronników, i byli mocno z tego niezadowoleni. Niezadowolenie to tem silniej uczuć im się dało, gdy z pośrodku przeciwników wystąpił mówca, widocznie na ten cel przygotowany, którego nazwisko nie

¹⁾ *N. Berg*, II, 264.

²⁾ *Ustinowicz*, *Zagowory*, 86, powiada, że stało się to w lipcu, w czem się jednak myli. *Giller*, I, 68, mówi wyraźnie o czerwcu; to samo potwierdzają zeznania Majewskiego i Awejdy.

³⁾ Z opowiadań świadków naocznych.

jest nam znanem, i oświadczył, że: „zebrani tutaj członkowie organizacyi gotowi są wszystkimi siłami popierać nowy Komitet, uważać go za władzę najwyższą sprzysiężenia, ale pod warunkiem, że Koskowski, który niewiadomo z jakiej racyi zasiada w Komitecie, z niego ustąpi i będzie zamieniony kim innym“ ¹⁾. Oczywiście było dla wszystkich, że pod tym „kim innym“ mówca i jego mandatarysze rozumieli Chmielińskiego i nie wątpili, że Komitet nie będzie miał śmiałości opierać się ich gromadnemu naciskowi i powoła do swego składu ich bożyszczce. Zdaje się, że Komitet o gotującym się nań zamachu, bo najście to godzi się tak nazwać, był uprzedzony. W organizacyi przez cztery dni o tem tylko mówiono, a Chmieliński i Dąbrowski rozwijali zbyt żywą agitacyą. by ująć ona mogła uwagi Komitetu. Miał więc czas przygotować się i porozumieć między sobą. Owocem tego porozumienia było to, że postanowiono poświęcić Koskowskiego, ale za nic w świecie nie wybierając Chmielińskiego, ku któremu wszyscy ludzie rozumniejsi, wszyscy chłodniejsi czuli wstręt głęboki i odrazę; którego wybór wreszcie wyglądałby na uległość względem gromadnego najścia organizacyi, byłby złym bardzo prejudykatem na przyszłość, czyniłby Komitet zależnym od fantazyi pierwszego lepszego warchoła, który, zebrawszy tłum szewców i krawców, przepisywałby prawa najwyższej magistraturze sprzysiężenia, za jaką Komitet się uważał. Z drugiej strony, mówiono sobie, należy skorzystać z nastęrczającej się sposobności i jeszcze raz spróbować połączenia organizacyi czerwonej i białej, co wprawdzie przed paru tygodniami się nie udało, ale teraz może się udać, gdyż tego wymaga interes kraju. Giller głośno twierdził, że pierwszym razem przeszkodził temu Majewski; wszyscy więc nabyli przekonania, że Majewskiego należy pominąć, a na miejsce Koskowskiego wybrać Paszkiewicza, prawdziwego szlachcica wiejskiego, nie mieszczaucha, człowieka łatwo ule-

¹⁾ *N. Berg*, II, 264.

gającego wpływom i najodpowiedniejszego dla służenia za ogniwo, łączące dwie organizacje, dwa ciała spiskowe.

Skoro więc członkowie Komitetu, siedzący w odosobnieniu w mieszkaniu Marczewskiego, usłyszeli powyżej przytoczone oświadczenie Chmieleńczyków, oznajmili bardzo spokojnie zebranym przez usta Gillera ¹⁾, że nie mają nic przeciw temu, by Koskowski z Komitetu ustąpił, i że na jego miejsce gotowi są zarządzić nowe wybory. To ustępstwo zadowolniło w zupełności Chmieleńczyków, którzy przekonani, że zrobili swoje i że ich naczelnik wybrany zostanie, poczęli opuszczać gromadnie mieszkanie, tak że gdy przystępowano do nowej elekcji, nie wielu ich już pozostało. Jakież jednak było zdumienie i jakie oburzenie Chmieleńskiego, gdy przy nowych wyborach Koskowski wprawdzie przepadł, ale miejsce jego zajął członek Dyrekcji szlacheckiej, Paszkiewicz ²⁾. Zielony od gniewu, zawiedziony we wszystkich swych rachubach, podniecony tym wiele mówiącym objawem niechęci ogólnej ku sobie, powstał z krzesła i głosem trzęsącym się od gniewu rzekł: „rozstaję się z wami panowie, naprzód dlatego, że się wam nie podobam, a następnie, że nasze poglądy na sprawę różnią się ze sobą stanowczo. Ja chcę powstania, rewolucyi, chce działać jak rewolucjonista, t. j. nie robić ustępstw wrogowi, ale tępić go, gdzie tylko można. Dąbrowski napomknął wam tylko o przyszłych niebezpieczeństwach, ja zaś powiem bez żadnych obsłonek, że jeżeli Wielopolski spełni swe zamysły w Petersburgu, to jest, wyjedna jakieś tam ustępstwa dla Kongresówki, to sprawa nasza przepadła. Takim jest moje przekonanie. Utrzymujecie, że teraz powstanie zbrojne jest przedwczesnem i niemożliwem, ja zaś twierdzę przeciwnie, że ono jest zupełnie możliwem. We wszelkich rewolucjach trzeba coś ryzykować, uciekać się do środków rozpaczliwych, próbować wszystkiego. Wy chcecie czekać, więc sobie czekajcie, my zaś inaczej bę-

¹⁾ Z opowiadań ustnych.

²⁾ *N. Berg*, II, 265.

dziemy robili, a co i jak, zobaczycie. To chciałem powiedzieć i bądźcie zdrowi!“¹⁾).

Ale już teraz Komitet zadowolony, że znienawidzonego człowieka całkiem usunął od siebie, nie zważał na te groźby i czuł się zwycięzcą. Swą stałością i zręcznością odparł gremialny nacisk niższych słoików organizacji i pewnym był, że znajdzie w niej posłuch, że już teraz ugruntował się na silnych podstawach. Jedną tylko jeszcze zaszła w nim zmiana, mianowicie co do Paszkiewicza. Ten, nieobecny na sesyi, na której go wybrano, uwiadomiony o tem, zbył milczeniem całą sprawę, owszem, ciągle pogardliwie się odzywał o mieszczuchach i „powstaniu warszawskim“, dając przez to poznać, że nie wierzy w jego powodzenie bez poparcia szlachty, na sesye nie przychodził i wogóle nie uważał się wcale za członka Komitetu. W takim stanie rzeczy uznano za stosowne, nie zarządzać nowych wyborów, ale wprost powołać na miejsce Paszkiewicza, Bronisława Szwarcego, znanego nam już ze swych gorących nadziei i agitacji w Białymstoku. Porzucił on to miasto i przeniósł się do Warszawy i tu swym patryotyzmem rozczochranym, wygłaszaniem szumno-brzmiących frazesów, czerwonością przekonań, zwrócił na siebie uwagę całej organizacji. Była to natura niespokojna, wszędzie się wkręcić umiał, głosił o pewności zwycięstwa Polski, potępiał wszelki kompromis z najazdem, zapalony, gorący entuzyasta, ale głowa licha, należał do rzędu tych licznych i zarozumiałych nadzwyczajnie ludzi, a raczej młokosów, którzy nie uznawali żadnych innych przekonań prócz swoich i mimo woli, bezwiednie popychali kraj do przepaści. Nie był on zapewne gorszy od wielu innych, którzy w tych czasach nieszczęśliwych odgrywali rolę pierwszorzędną, a lepszy tak pod względem wykształcenia umysłowego, jak i charakteru moralnego od Chmieleńskiego. Dla Komitetu było to prawdziwą korzyścią, że się pozbył tego ostatniego, który odtąd, trawiąc się złością, chodzić począł pojedyn-

¹⁾ Loc. cit.

kiem, działać na własną rękę, i jak zobaczymy wkrótce, ciężkie ciosy zadawać przyszłości krajowej; natura niekarna, zuchwała i lekkomyślna nadzwyczajnie. Komitet jednak, zapewne dla zachowania w tajemnicy przed niższą organizacją burz, jakie zachodziły w jego łonie, nie przestawał aż do chwili wybuchu powstania używać podpisu Chmieleńskiego na kwitach podatkowych i tym podobnych dokumentach¹⁾, co, szczerze mówiąc, dość osobliwie wygląda.

Należało się wszakże spodziewać, że Chmieleński ręk nie założy i wicherzyć nie przestanie, zwłaszcza, że jakieśmy kilkakrotnie wspomnieli, miał nader licznych stronników wśród organizacyi miejskiej, głównie w sferach młodzieży rzemieślniczej. Jakoż są ślady, że założył nowy komitet, który przybrał miano: rewolucyjnego²⁾, jakkolwiek o osobach i składzie tego ciała nic nie wiemy, i działalność jego pokryta jest tajemnicą, którą tylko późniejsze wypadki, o ile ich źródłem był Chmieleński, nieco rozświecają. Ze swej strony Giller, który, rzec można, staje się teraz najważniejszą osobą spisku, przewidując te okoliczności, posiadając z natury, jak każda mierność, umysł systematyczny, postanowił pewien ład wprowadzić tak do samego Komitetu, jak i organizacyi, a nadewszystko, żeby zapobiedz tworzeniu się na przyszłość różnych ciał samowolnych, jak to dotąd bywało, zaproponował, ażeby Komitet przybrał miano Centralnego narodowego. Jakoż tak się stało, w czerwcu 1862 r.³⁾ Nazwa ta miała niezaprzeczenie ważne znaczenie; mówiła ona, że nowy Komitet nie jest wyrazem stronnictwa, ale narodu całego, że jest jedynym prawowitem ciałem, mającym odtąd kierować losami Polski. Wobec organizacyi, wobec mas był on dotąd władzą legalną i poza nim innej być nie mogło.

W takich to warunkach i po takich przemianach i walkach, powstało owo dziwne, jedyne zaprawdę w hi-

¹⁾ B. Szwarce. Wydawnictwo materiałów do historii powstania, 26. Pisze on, że robiono to „aby tradycyi nie przerywać“.

²⁾ N. Berg, II, 265.

³⁾ A. Giller, I, 68.

stori i na zawsze pamiętne w dziejach nieszczęść naszych, ciało, które nosiło nazwę tak znaną odtąd i tak rozgłosną: Komitetu Centralnego narodowego. Jeżeli wyłonił on się z posępnych ciemności spisku tajnego, jeżeli powstał z nieprawego związku niezaprzeczonej, choć niestety! źle pojmowanej, miłości ojczyzny z rewolucyjnymi dążnościami wieku, jeżeli urósł z pokumania się wszetecznego z rodzącym się spiskiem moskiewskim, to jednak z czasem, w ciężkiej, krwawej walce z najazdem, stał z siebie te naleciałości chwili, chrztem ofiarnego boju zmazał grzech pierworodny i żył i karmił się wyłącznie czystą ideą niepodległości ojczyzny. I to jest jego jedyną obroną, jeżeli wogóle obrońiony on być może wobec strasznych następstw, jakie wywołał.

Nim jednak przystąpimy do bolesnej, smutnej opowieści oplakanych jego dziejów, bezprzykładnych zaiste w historii wszystkich spisków świata, należy nam wprzód znowu przenieść się na północ daleką, nad mroźną Nowę, gdzie właśnie teraz, gdy Komitet Centralny wyrastał z chaotycznego zamętu sprzysiężenia, rozgrywało się wielkie zagadnienie przyszłości, rozstrzygał się los Polski. Zobaczymy, jak na niebie polskim, tak zawsze chmurnem, tak zawsze brzemieniem piorunami, na chwilę, na krótką niestety! chwilę, wyjrzało słońce jasne i widne, by zaraz potem z winy naszej własnej przesłonić się na długo nieprzejrzaną płachtą obłoków czarnych i istnych plag biblijnych.

ROZDZIAŁ XVI.

Zamach na Lüdersa.

Wyjazd Wielopolskiego i Lüdersa do Petersburga. Przyjęcie i wymówki o list papieski. Manifestacye w Warszawie. Zachowanie się policyi. Lampki przed kościołem OO. Kapucynów. Wypadki dnia 3 maja. Aresztowania. Zbrodnia w ratuszu. Arcybiskup w Łowiczu. Powrót do Warszawy i korespondencya z dyrektorem Komisji Oświecenia. Nabożeństwo na Woli. Przerwana wizyta pasterska. Powrót do Warszawy i rozmowa z Lüdersem. Misyja Safianosa. Ogłoszenie po dziennikach. Rozmowa arcybiskupa z duchowieństwem warszawskim i ks. Mikoszewski. Zaprzestanie śpiewów patryotycznych. Wypadek w Moroczynie. Powrót Białobrzeskiego i manifestacye z tego powodu. Wykrycie spisku wojskowego. Aresztowanie czterech oficerów. Zamiana depech i rozkaz ministra wojny. Wielopolski w Petersburgu. Wahanie się, komu powierzyć namiestnictwo. Nadzieje Wielopolskiego. Kandydatura Mikołaja Milutyna. Niechęć jego w jej przyjęciu. Wieści o spisku wojskowym. Pożary w Petersburgu i ich skutek. W. ks. Konstanty namiestnikiem Królestwa. Wrażenie w Warszawie. Odezwa rewolucyjna. Mowa Lüdersa w Radzie stanu. Ustawa o wychowaniu publicznem. Szkoły elementarne. Gimnazya. Politechnika w Puławach. Szkoła sztuk pięknych. Szkoła główna. Opinie w kraju o ustawie szkolnej. Prawo o oczyszczowaniu z urzędu. Ukaz o równouprawnieniu żydów. Powrót Wielopolskiego do Warszawy. Rozmowa z p. Fournier. Kazimierz Krzywicki. Nominacya Edwarda hr. Kellera na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Zdanie Czerwonych o reformach. Mowy przy instalacji Krzywickiego. Sprawa oficerska. Śledztwo. Wyrok i jego wykonanie. Odezwa do żołnierzy rosyjskich. Nabożeństwo za rozstrzelanych. Postępek Chrulewa. Zamach na Lüdersa. Andrzej Potebnia. Strzał. Zachowanie się Potebni. Artykuł „Gazety warszawskiej“. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Artykuł „Strażnicy“. Wieści o zamachu w Petersburgu. Te-

legram cesarza. List Wielopolskiego do W. ks. Konstantego. Postanowienie wyjazdu. List ks. Gorczakowa, W. ks. Konstanty, jego przeszłość i charakterystyka. Zakończenie.

Dnia 26 kwietnia, w nocy, po czterotygodniowym blisko pobycie w Warszawie, margrabia Wielopolski wyruszył z powrotem do Petersburga. Jakkolwiek w zakresie nowych praw, dla których obrony głównie przyjechał, zrobił co chciał, wszelako wyjeżdżał z niepokojem o dalsze swe i Polski losy w Petersburgu, a następnie z niezadowolaniem z tego, na co patrzył w Warszawie. Choć ubiegał się o względy wielu osób, czując doskonale, że niepopularność jego służy za najpotężniejszą broń w rękę jego nieprzyjaciół w stolicy rosyjskiej, nie mógł jednak niezauważyć i zdawał sobie wybornie z tego sprawę, że był nadzwyczaj chłodno przyjmowany, że nieprzyjaźń i niechęć powszechna w niczem się względem niego nie zmieniła. Wprawdzie teraz nie sam miał być w Petersburgu; wyjechał z nim także Enoch, mający, jak wiemy, swe duże stosunki nad Newą i umiejący ich korzystnie używać. Stanie on się też wielką pomocą Wielopolskiemu w zwalczaniu tych przeróżnych wpływów, które obyczajem orientalnemu krzyżowały się około osoby padyszacha rosyjskiego. Wyjechał także Maksymilian Vidal, urzędnik Komisji oświecenia, do którego margrabia przywykł i który był jego prawą ręką, a zarazem posiadał pewien wpływ na osobę ordynata pińczowskiego. Może nie zawsze tego wpływu z istotną korzyścią dla kraju używał, zwłaszcza w wyborze osób na różne późniejsze stanowiska, ale był człowiekiem wykształconym, wytwornym, pełnym francuskiej galanterii, jaką odziedziczył po matce Francuzce z rodu i po ojcu, wielkim panu polskim. W takim otoczeniu miał się znaleźć znowu Wielopolski na śliskich posadzkach salonów petersburskich i rozpocząć dalej tę rwącą się nieustannie przędę Penelopy, którą chciał związać rusztowanie mocno zrujnowanego gmachu ojczystego.

Przypadały właśnie święta wielkanocne według kalendarza juliańskiego, i na święta te wybrał się do Petersburga, tegoż samego dnia co i Wielopolski, namiestnik Lüders, oraz dyrektor spraw wewnętrznych Kruzenstern. Jechali oni, zwłaszcza ten ostatni, nie bez ukrytych, jak się zdaje, zamiarów szkodzenia Wielopolskiemu i robili w tym względzie, co mogli, a że im się nie udało, nie było to napewno ich winą. Z namiestnikiem wyruszyli dyrektorowie jego kancelaryi: Safianos, Grek chytry i podstępny, oraz Szwecow; co wszystko świadczyło, iż o los Polski staczane będą uparte walki. Cesarz przyjmował Lüdersa ze szczególnem odznaczeniem i udzielił mu nawet mieszkania w pałacu Zimowym¹⁾, obok siebie, i w dzień swoich imienin mianował go członkiem Rady państwa. Za przykładem cesarskim wszyscy teraz poczęli się ubiegać o względy całkiem niedawno zapomnianego Lüdersa, wszyscy ministrowie i dygnitarze biegli do pałacu Zimowego, by się pokłonić wielkorządcy warszawskiemu. W ich liczbie znalazł się także Suchozanet, ale został przyjęty chłodno...²⁾. Sam jednak Lüders nie łudził się co do znaczenia tych względów. Wiedział on doskonale, a w Petersburgu mógł się na każdym kroku niejako przekonać, że dni jego władzy w Warszawie są już policzone, i że okazywane mu łaski są tylko osłodzeniem gorzkiej pigułki, jaką wkrótce mu podadzą. Zresztą poza powierzchowną i ostentacyjnie mu okazywaną grzecznością, uprzedzającą ze strony cesarza, kryły się niewidoczne dla ogółu, ale przykre bardzo wymówki, jakie mu samowładca czynił za to, że dozwolił ks. Felińskiemu na rozpowszechnienie listu papieskiego. Otrzymał przytem polecenie, ażeby po powrocie do Warszawy zrobił arcybiskupowi w imieniu monarchy surową wymówkę (strogij wygowor) z powodu tego listu i za stosunki prywatne z kuryą rzymską³⁾. Z takim rozkazem i za-

¹⁾ *Oczewidziec*, Posledniaja polskaja smuta („Russkaja Starina“ XII, 139 z r. 1875).

²⁾ Loc. cit.

³⁾ Rękopism bezimienny.

pewne z nowemi instrukcyami powrócił Lüders, po dwutygodniowym pobycie nad Newą, d. 9 maja do Warszawy.

Tutaj, przez ten krótki stosunkowo czas, przez który rządził w kraju surowy i nieprzyjazny wszystkiemu, co polskie, generał-gubernator Kryżanowskij, zaszło kilka oplakanych wypadków, świadczących o powrotnej fali manifestacyjnej i o budzącem się znowu wzburzeniu umysłów. Piękna, pogodna i ciepła wiosna, która całym urokiem kraszy swojej oblała ogrody miejskie, przyczyniała się do tego, że na ulice wylegały tłumy wszelkiego rodzaju próżniaków, tak zawsze liczne w Warszawie, czyniące ją pod tym względem podobną do miast włoskich, tłumy, które chętnie poddawały się różnym mędom i brały udział w manifestacjach. Rozpoczęły się znowu zuchwałe napaści uliczne na kobiety, na Rosyanki i „fijołki“, obrażanie ich publiczne, niszczenie im sukien kwasem siarczanym lub inną materią palną¹⁾. Rzeczy te przybrały tak wielkie rozmiary, że nawet spokojne, plotkarskie piśmko brukowe: „Kuryer warszawski“, wystąpił z godną zaiste pochwałą naganą tego postępowania, dowodzącą niemałej odwagi cywilnej w redaktorach tego dziennika: „ludzie szukający w zaburzeniach nie dobra ojczyzny, pisał „Kuryer“, ale tylko do-

¹⁾ Przytoczymy tu kilka przykładów takich naganych i nieszlachetnych napaści na kobiety, dokonywanych zwykle przez niedorostków. W dniu 14 maja w Alejach Belwederskich, pięciu uczniów szkolnych zaczęło dwie Rosyanki, ubrane w suknie kolorowe i obrzuciło je obelgami karczemnemi. Innego dnia niejaki Wójcik, aplikant w zarządzie konsumcyjnym, złajał dwie kobiety, mające na kapeluszach wstążki kolorowe, a nawet na jedną z nich pluwał. Przyaresztowany, oddany został do wojska. (*Pawliszczew, Siedmicy I, 86*). W Łodzi dnia 28 kwietnia przy wyjściu z teatru kilka Rosyank i Niemek miało kolorowe suknie oblane jakimś płynem palącym. Listę tę możnaby do nieskończoności przeciągnąć. Niemniej ulegali napaściom gawiedzi ulicznej mężczyźni, noszący kapelusze cylindrowe. Zwykle za tak ubranym panem puszczała się gromada chłopaków, krzycząc: „cylinder! rura!“ i często kamieniami obrzucała. Władze rządowe wydały nawet wskutek tego rozporządzenie, żeby urzędnicy chodzili albo w czapkach mundurowych, albo w okrągłych kapeluszach. (*Loc. cit.*).

pięcia osobistych widoków, usiłują znowu przez środki terroryzmu zawładnąć mieszkańcami Warszawy; w tym celu wyrządzają zuchwałe obelgi kobietom, ukazującym się na ulicy nie w żałobie, puszczają w obieg plotki i kłamstwa i usiłują straszyć spokojnych obywateli. Czyliż ci ludzie nie pojęli jeszcze, że takim postępowaniem poniżają tylko godność narodową w oczach dobrze myślących ludzi całej Europy, czyliż nie przekonali się jeszcze, że ich postępowanie pociąga za sobą tylko nieco więcej ofiar, czyni nie-szczęśliwymi nieco więcej rodziny? Przyszła już zdaje się pora namysłu, czas, aby młodzież nasza zrozumiała, że zanim wystąpi na widownięć życia publicznego, dla pożytku ukochanej ojczyzny, należy jej nabyć wiadomości, należy się uczyć. Z drugiej strony czas już, aby ojcowie rodziny i obywatele Warszawy otrząsnęli się z niepojętego, ślepego i bojaźliwego posłuszeństwa dla gromadki demagogów bez brody, aby ściślej wglądali w postępowanie swoich synów i własnym przykładem nauczali ich, że miłość ojczyzny wyraża się nie prześladowaniem kobiet nie mających obrony, ale dziełami pożytecznymi dla ogółu i spokojną, uczciwą pracą w oznaczonym każdemu zakresie“. Ale słowa te, powtórzone przez wszystkie inne dzienniki, nie znalazły odgłosu w rozwichrzonych umysłach tłumów, i nie przyniosły innego skutku prócz narażenia redaktorów na obelgi i oskarżenia o zdradę kraju. Kobiety, a zwłaszcza znienawidzone „fijołki“, ciągle były obrażane po ulicach, „demagogdy bez brody“ terroryzowali miasto, a ojcowie rodzin od dawna już abdykowali ze swej władzy na rzecz żon, córek i synów. Tu i owdzie po kościołach poczęto znowu śpiewać, ucichłe od kilku miesięcy, hymny patryotyczne. Przypadające teraz t. z. nabożeństwa majowe, zawsze prowadzające do kościołów tłumy modlących się, sprzyjały temu bardzo. Tu i owdzie nieśmiało zrazu zaśpiewano „Boże, coś Polskę“, niekiedy pieśni nieukończono ¹⁾, ale

¹⁾ Telegram Kryżanowskiego z d. 1 maja („Russ. Starina“ XXXVII, 613).

bądź co bądź początek był zrobiony i należało się spodziewać, że kierownicy tajemni, działający na własną zwykłą rękę, na tem nie poprzestaną.

Z drugiej strony zachowanie się policyi, pod wpływem Kryżanowskiego, było nadzwyczaj brutalne i w wielu razach miało charakter prowokacyjny. Nabożeństwa majowe śnać nie podobały się mocno wielkorządcy warszawskiemu, i nim dowiedział się, że tego rodzaju modły corocznie się odbywają, są od dawna uświęconym przez kościół obyczajem, sądził, że są one umyślną manifestacją polityczną i energicznie przeciw nim wystąpił. Gdy więc w d. 1 maja OO. Kapucyni i nabożni ozdobili wieńcami zieleni i mnóstwem lampek różnokolorowych figurę Matki Boskiej, wznoszącą się przed kościołem, i gdy poczęto przed tą figurą wieczorem śpiewać zwykłe, niezabronione pieśni religijne, policya śpiewających rozpędziła, a lampki pogasiła i potłukła. W parę dni potem d. 3 maja, w rocznicę, tyle patriotycznych wspomnień budzącą, już od godziny 7 rano, kościół Świętokrzyski, gdzie właśnie przed sześćdziesięciu kilku laty odbyła się wspaniała uroczystość zaprzysiężenia przez króla i stany sejmujące tak głośnej w naszych dziejach i tak miłej narodowi konstytucyi, zgromadziły się znaczne tłumy młodzieży, przeważnie uczniów pobliskich gimnazjów: realnego i gubernialnego, oraz kobiet młodych, przeważnie szwaczek, które wstąpiły do kościoła przed pójściem do magazynów. Zgromadzenie było widocznie wynikiem zмовy poprzedniej, i postawa zebranych mówiła, że zamierzają urządzić manifestacją, to też policya, która bacznie doglądała kościołów, zgromadziła się dość licznie. Po mszy zaczęto śpiewać t. z. suplikacje, ale w ten sposób zmienione, że zamiast „od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie“, śpiewano „od powietrza, głodu, ognia i niewoli“, oraz „abyś braci naszych z więzów wyswobodzić raczył... abyś nam ojczyznę przywrócić raczył, błagamy Cię Panie!“ Komisarz policyi wobec tego sprowadzić kazał znaczniejszą liczbę policyantów, którzy, ustawivszy się przy drzwiach kościoła, poczęli wychodzą-

cych uczniów aresztować. Ci, posuwając się gromadnie, nie dali się brać bezkarnie, wskutek czego zawiązała się dość zwawa bójka, która, ściągając przechodniów i gawieź, groziła przybraniem wielkich rozmiarów. Poczęto na policjantów rzucać kamieniami, ale ci, dobywszy pałaszów, wsparci przytem nadbiegłym oddziałem piechoty i kozaków, zdołali rozpędzić manifestatorów, nie zraniwszy nikogo, ale poturbowawszy wielu. Aresztowano przytem około trzydziestu osób. mężczyzn, kobiet i uczniów ¹⁾. Lecz nie miało się na tem skończyć. Ponieważ policya obawiała się nowego zbiegowiska, więc zatrzymała przed kościołem oddział wojska, który gdy zobaczyli wychodzący o godzinie 10 na pauzę uczniowie wzmiankowanych gimnazyów, mieszczących się w pobliskim pałacu Kazimierowskim, stanąwszy za kratą, poczęli obrzucać żołnierzy obelgami i kamieniami. Na szczęście nie przyszło do poważniejszych rozruchów. Po południu rozpoczęła się pielgrzymka do Ogrodu Botanicznego, gdzie mieściły się fundamenta kościoła św. Opatrzności, jaki miano niegdyś wznieść na pamiątkę konstytucyi 3 maja; ale Kryżanowski uprzedzony o zamiarach manifestatorów, obstawił wejście do ogrodu posterunkami policyjnymi, które rzadko kogo do środka puszczały. Silne przytem patrole, przebiegające miasto we wszystkich kierunkach, nie do-

¹⁾ Kryżanowski w depeszy z d. 4 maja powiada, że „aresztowano pięciu młodych ludzi i dwie kobiety“, *Pawliszczew*, (Siedmicy I, 80) twierdzi, że aresztowano wogóle „sześć osób, w tem dwie damy“. Źródła polskie także nie zgadzają się co do liczby uwięzionych i podają ją najrozmaiciej, od 20 do 100 osób. My poszliśmy za rękopiśmienną kroniką tych czasów, pisaną przez naoczego świadka wypadku, znajdującą się w naszych zbiorach, która oznacza liczbę aresztowanych na 30 osób obojej płci, w rzędzie których była większość przechodniów z ulicy, nie należąca do manifestacyi. Depesza Kryżanowskiego, o której wyżej jest mowa, brzmi w przekładzie dosłownym jak następuje: „d. 4 maja (22 kwietnia). Wczoraj rano uczniowie gimnazjum i kobiety zaśpiewały hymn zakazany w kościele św. Krzyża: przy wyjściu z kościoła aresztowano pięciu młodych ludzi i dwie kobiety. Tłum chciał odbić aresztowanych, ale mu się to nie udało. Zresztą bójki żadnej nie było“.

zwolili na żadne zbiegowisko, choć wieczorem przed kościołem św. Krzyża robiono próby liczniejszego się zgromadzenia ¹⁾. Na ten dzień ów się skończył, ale nie skończyły się jego następstwa.

Kryżanowski w odezwie, ogłoszonej przez wszystkie dzienniki, opisał wypadki powyższe, wywołane głównie przez młodzież, odwołał się do pomocy ojców rodzin. „Ojcowie rodzin, pisał, bez żadnej wątpliwości, dadzą uczuciom swym dzieciom, na jak ciężką narażają się odpowiedzialność, kiedy zamiast oddawać się poważnym studjom, które mają z nich uczynić pożytecznych dla ojczyzny obywateli, poddają ucho podżeganiom, niebezpiecznym li tylko dla nich samych, ponieważ rząd ma w ręku dostateczną władzę dla utrzymania spokoju publicznego“. Niestety! władza ojców rodzin od dawna już nie istniała; nie mieli oni w domu, polskim obyczajem, powagi należytej i nie śmieli wydawać zakazu rodzinie, by nie brała udziału w manifestacjach, które już teraz, nawet ze stanowiska powstańczego sądzono, zupełnie były niepotrzebne i bezcelowe. Odtąd przez kilka dni z rzędu odbywały się po wszystkich prawie kościołach aresztowania, przeważnie młodych kobiet, które tajni kierownicy całego tego ruchu nie po polsku i nieszlachetnie wysyłali na pierwszy ogień i na pastwę brutalności policyi. Ta w rzeczy samej zachowywała się nieprzyzwoicie i występowała wszędzie z cynicznym zachwalstwem. W dniu 11 maja wpadła w czasie nabożeństwa majowego do kościoła kapucyńskiego, gdzie zebrani

¹⁾ Powyżej cytowana depeza tak się kończy: „o godzinie 10-ej uczniowie gimnazjum realnego i gubernialnego, stojąc za kratą zabudowań, łajali (branili) policyą i wojsko i rzucali kamieniami. Wieczorem zebrali się znów wielkim tłumem przed kościołem św. Krzyża i w Ogrodzie Botanicznym. Ale obecność policyi i silnych patroli powstrzymały wszelkiego rodzaju zaburzenia“. Dodajmy, że Kryżanowski, „przekonawszy się, że zaburzenia wśród uczniów gimnazjum realnego i gubernialnego mają źródło w słabym dozrze, a nawet poparciu ze strony dyrektorów, kazał ich obu uwolnić od obowiązków“ (*Pawliszczew*, loc. cit. I, 80).

pobożni śpiewali pieśń na nutę „Boże, coś Polskę“, zaczynającą się od słów: „serdeczna Matko“. Przyaresztowano kilka kobiet wychodzących z kościoła, a w nocy uwięziono zakonnika O. Tertuliana zato, że się znajdował w kościele podczas śpiewania owej pieśni¹⁾. Słowa tej pieśni, co prawda, nie zawierały w sobie nic zabronionego, ale melodia jej, ta sama, na jaką śpiewano „Boże, coś Polskę“, kazała podejrzwać wybieg ze strony kierowników tych wszystkich, niezem nieusprawiedliwionych manifestacji. W parę dni potem powtórzyły się też same sceny i w tymże kościele. Z wielkim trzaskiem i brzękiem wpadło do świątyni kilkunastu policyantów pod wodzą niejakiego Fedorowa, i wywołali popłoch wśród kobiet, które kryć się zaczęły po konfesyonałach i za ołtarze. Zakrystyan kapucyński, braciszek Krescenty, oburzony tem najściem, począł wypędzać policyantów, mówiąc: „wpadliście jak wilki do owczarni i spłoszyliście pobożnych. Znajducie się przyzwoicie w świątyni Pańskiej i nie obrażajcie Boga“²⁾. Znowu schwymano kilkanaście kobiet, a Krescentego rozkazano w nocy przyaresztować, ale zdołał on się schronić, choć przez parę dni go poszukiwano. W tymże samym dniu na Lesznie, w kościele Karmelitów, komisarz Jachimowski przytrzymał siedm kobiet, które chciał tłum odbić, stąd wywiązała się zacięta bójka między policją, kozakami i ludem. Z aresztowaniem kobietami załatwiano się w ten sposób, że stale skazywano je na wygnanie z Warszawy do różnych miast i miasteczek prowincjonalnych, skąd nie wolno im było bez specjalnego pozwolenia wyjeżdżać. Nim jednak taki wyrok wygnania zapadł, w pierwszych chwilach obchodzono się nieraz z aresztowaniem w sposób oburzający i cyniczny. Jakaś młoda, szesnastoletnią dziewczynę, schwytaną u Kapucynów, zaprowadzono do ratusza i tam pod pozorem rewizyi, rozebrano do naga w przytomności niesforne go żołdactwa. Wzruszenie biednej ofiary było tak

¹⁾ Kronika wypadków (rękopism).

²⁾ Loc. cit. *Pawliszczew*, Siedmicy 1, 82.

silne, że wątył jej organizm nie wytrzymał tej próby i mar-twe tylko ciało pozostało w ręku rozbestwionych sie-paczy ¹⁾).

Gdy się to wszystko działo, gdy te straszne sceny rozgrywały się po kościołach i więzieniach warszawskich, gdy obie strony okazywały nadzwyczajne rozdrażnienie i rozgoryczenie, arcybiskupa nie było w Warszawie. Wy-jechał on był jeszcze dnia 26 kwietnia, w towarzystwie księży: Siekluckiego i Witmana, oraz swego kapelana Ra-kowskiego z wizytą kościołów prowincjonalnych i w tym celu zatrzymał się naprzód w Łowiczu. Tutaj w chwili, gdy pociąg stanął na dworcu kolejowym, ukazał się nagle oddział żandarmów i kozaków, którzy otoczyli cały dworzec i licznie zebranego ludu nie puszczała dla powitania arcy-pasterza. Komendant, zapytany o przyczynę tego wy-stąpienia zbrojnego, odrzekł, że czyni to dla obrony arcy-biskupa przed kocią muzyką, jaką mieszkańcy zamierzają mu wyprawić. Ta niezwykła troskliwość władz wojennych o dobro ks. Felińskiego, oburzyła go mocno, zażądał, by wojsko usunięto, a gdy komendant wahał się, rzekł mu: „proszę pana dowódcy kazać odstąpić wojsku, gdyż inaczej stąd nie wyjdę“ ²⁾. Wojsko więc musiało się usunąć, a arcy-biskup, otoczony tłumem ludu, ruszył pieszo do katedry i kocięj muzyki wcale nie było, choć w ogólności przy-jmowano go tu tak ze strony duchowieństwa, jak i osób świeckich bardzo ozięble. Ale nie sądzono mu bawić tu długo. Przebywszy dwa dni w Łowiczu, puścił się w Kut-nowskie, gdy nadesłane sztafetą listy z Warszawy o roz-biciu lampek przed kościołem kapucyńskim, o wypadkach w kościele Świętokrzyskim, przyspieszyły jego powrót i sta-nął w Warszawie d. 4 maja wieczorem. W rozgoryczeniu, jakim go napoiły wszystkie te wypadki, w nerwowem rozdrażnieniu tej duszy wrażliwej i widzącej mnóstwo nad-użyć ze strony prokonsulów moskiewskich, zażądał prze-

¹⁾ Rękopism bezimienny.

²⁾ S. Prawdziński, Wspomnienie, 120.

dewszystkiem od Kryżanowskiego, ażeby wszyscy aresztowani w dniu 3 maja w kościele Świętokrzyskim zostali uwolnieni. Mówił, że odpowiedzialność za taki krok całkowicie bierze na siebie, że jeżeli żądanie jego nie będzie uwzględnionem, to zatelegrafuje bezpośrednio do cesarza ¹⁾. Świadczy to wymownie, jak dalece w pałacej atmosferze bruku warszawskiego stracił krew zimną i chłodny sąd o rzeczach; jak w tej duszy serdecznie polskiej i słabej po polsku, walczyły ze sobą dwa prądy: jeden nieopatrznej miłości ojczyzny, współczucia dla dążeń powstańczych, dla manifestatorów, których usprawiedliwiał przed sobą samym, których pragnienia odczuwał i pojmował; drugi prąd rozumu, rachunku, liczenie się z położeniem, z okolicznościami, z widoczną niemożliwością wywalczenia tą drogą, jaką szła młodzież krajowa, niepodległości tej ukochanej, tej ubóstwianej, tej nieszczęśliwej ojczyzny polskiej. I w tych to uczuciach, łamiących się w każdej lepszej duszy polskiej tej epoki, leży zapewne przyczyna tej słabości i tych ustępstw, jakie czynili ludzie dojrzały i rozumni szalejącej młodzieży i wichrzycielom wszelkiego rodzaju.

Kryżanowski w sprawie uwolnienia aresztowanych w kościele św. Krzyża ustąpił żądaniom ks. Felińskiego, ale w kwestyi rozbitych lampek przed statuą Matki Boskiej, postąpił sobie z właściwą satrapom moskiewskim bezwzględnością. Z jego rozporządzenia dyrektor Komisji wyznań i oświecenia, Hube, wystosował do arcybiskupa jeszcze pod d. 2 maja reskrypt, w którym go wzywał, „aby najsurowiej oznajmionem zostało przełożonym klasztorów i parafii, oraz podległemu im duchowieństwu, że pod odpowiedzialnością własną obowiązani są wzbraniać i nie dopuszczać iluminacyi figur, stojących przed kościołami; w razie zaś niespełnienia takiego rozkazu, ciż duchowni będą zaraz aresztowani i ulegną przykładowej według prawa karze“. Reskrypt ten, dość nieprzyzwoity w swoim tonie, podrażnił mocno arcybiskupa i w dniu 5 maja skreślił on

¹⁾ Loc. cit. 122.

odpowiedź do dyrektora Hubego bardzo ostrą i bardzo namiętną. Wytłomaczywszy naprzód „biednie poinformowanemu JW. Dyrektorowi“, że zwyczaj iluminowania figur i statuy świętych jest dawnym zwyczajem, powiada: „zarząd w kościele i w miejscach świętych powinien być zostawiony duchowieństwu i władzy duchownej; inaczej coraz większe tworzyć się będą nieporządki, które w końcu wywołać muszą to najsmutniejsze następstwo, że lud wierny, drażniony w swoich najświętszych uczuciach religijnych, niepokojony nawet w domach Bożych i miejscach świętych, rozpacz ogarnąć może i zaprzestanie uczęszczać na modlitwę, opuszczać będzie święta uroczyste, a któreto symptomata, z boleścią i prawdziwym smutkiem serca wyznać to muszę, już się zaczynają objawiać, jak się o tem przekonuję z raportów od duchowieństwa, gdyż w r. b. zaledwie połowa wiernych dopełniła spowiedzi wielkanocnej“. „Zechcesz przeto JW. Pan mieć władzę duchowną za usprawiedliwioną, że żadnych rozporządzeń do duchowieństwa, aby zabraniało tego, czego religia nie potępia, wydawać nie może“. W końcu mieści taką uwagę, niepozbawioną gryzącego strofowania, wymierzonego przeciw powszechnie nielubianemu Hubemu. „Dodaję wreszcie, że wzywanie najpierwszego kościelnego dygnitarza w kraju do ogłoszenia ludowi rozporządzeń policyi, tak wyraźnie uwłacza należnemu godności mojej poszanowaniu, iż odtąd JW. Dyrektor zechce się wymówić od przyjmowania na siebie podobnych zleceń“¹⁾.

Równocześnie z tą ostrą odpowiedzią, daną dyrektorowi Hubemu, arcybiskup wystosował list do generał-guber-

¹⁾ Oba te pisma wydrukował „Czas“ krak. (Nr. 112 z r. 1862), a samą odpowiedź ks. Felińskiego można znaleźć u *Prawdźickiego* loc. cit. 122 i nast. Pawliszczew w tygodniowym raporcie, składanym bezpośrednio cesarzowi, rzuca insynuacją, że postąpienie to arcybiskupa „świadczy, iż Feliński nie chce już być posłusznym rozporządzeniom rządowym, gdyż nie zgodził się na zakazanie oświetlania figur na ulicach, jak tego wymagają przepisy stanu wojennego“ (Siedmicy I, 83).

natora Kryżanowskiego, zdaniem naszym zupełnie niepotrzebnie, gdyż generał-gubernator bezpośrednio z nim w tej sprawie się nie komunikował. W liście tym, owocu mocnego podrażnienia, ks. Feliński oświadczał, że „rząd i policya wywołują najsmutniejsze zajścia i niczem nieusprawiedliwione prześladowania wiernego ludu w domach Bożych“, i w końcu, podobnie jak Hubego, prosił Kryżanowskiego, „aby raczył pamiętać, że arcybiskup jest pierwszym dostojnikiem kościoła, a nie sługą policji, któryby jej polecenia spełniał“¹⁾.

Po tem starciu, podrażniającem mocno stosunki wzajemne między władzą świecką i arcybiskupem, zabawił on kilka dni w Warszawie, odprawił w d. 8 maja, w dzień św. Stanisława nabożeństwo na Woli, choć Kryżanowski przez pośrednictwo oberpolicmajstra Piłsudskiego prosił, by tego nie czynił. Ale ks. Feliński już teraz w niczem nie chciał ustępować, tłumacząc się, że na Woli jest odpust i musi tam być, swojego dokonał, miał nawet kazanie, w którym między innymi powiedział: „jeżeli tego potrzeba będzie, abym dla dobra kościoła i dobra ojczyzny życie moje w ofierze położył, do takiej ofiary jam pierwszy gotów“²⁾. Nazajutrz wieczorem wrócił do Warszawy namiestnik Lüders, a arcybiskup d. 10 maja rano, nie widząc się z nim wcale, wyruszył na dalszą wizytę kościołów parafialnych i zatrzymał się naprzód w Skierniewicach, skąd tegoż samego dnia puścił się do Mszczonowa, gdzie miał poświęcić kamień węgielny do mającego się stawiać kościoła parafialnego. Nazajutrz w niedzielę, po ceremonii nader uroczystej i kazaniu, gdy ks. Feliński katechizował dzieci mieszczan mszczonowskich, nadbiegła od namiestnika sztafeta, wzywająca arcybiskupa do natychmiastowego powrotu do Warszawy³⁾, później zaś, o północy już, zjawił się dyrektor wyznań, Solnicki, w swej własnej osobie,

¹⁾ *J. Jastrzębczyk*, *Krzyżowy charakter*, 54.

²⁾ *S. Prawdzicki*, loc. cit. 125.

³⁾ *S. Prawdzicki*, loc. cit. 127.

z powtórzeniem tej samej natarczywej prośby i z dodatkiem, że namiestnik wzywa zwierzchnika kościoła polskiego, „dla wysłuchania zleceń monarchy“¹⁾). Ale w tym stanie duszy, w jakim znajdował się wówczas ks. Feliński, tego rodzaju rozkazy i domagania się władz rosyjskich, wręcz przeciwny wywierać musiały skutek. Znajdował on teraz pewną rozkosz w stawianiu upartej opozycji wszelkim ich życzeniom, więc odrzekł chłodno Solnickiemu: „proszę powiedzieć, że wrócę do Warszawy dopiero we wtorek wieczorem, nie zaś natychmiast“²⁾). Jakoż dotrzymał słowa i dnia 13 maja wieczorem przybył do stolicy, demonstracyjnie, nie spiesząc się wcale i po Mszczonowie zwiedził jeszcze parę wiejskich okolicznych kościołów.

To usposobienie oburzenia wewnętrznego na gospodarujących po Warszawie satrapów rosyjskich doszło do swej pełni, gdy dowiedział się o wypadkach zaszłych tutaj podczas jego nieobecności, o parokrotnych napaściach policyi na kościół i klasztor Kapucynów, na wtargnięcie komisarza Jachimowskiego do kościoła na Lesznie, o podobnych zresztą scenach i w innych świątyniach, o aresztowaniach wychodzących z majowego nabożeństwa kobiet, o strasznem nakoniec bezprawiu, jakiego się policya dopuściła z młodą, rozebraną wobec żołdaków do naga dziewczyną w ratuszu. Wszystko to podsyciło mocno oburzenie wrażliwej duszy arcybiskupa i należało się spodziewać, że przy widzeniu się z namiestnikiem wybuchnie i niczego w bawełnę obwijać nie będzie. Jakoż stawiając się nazajutrz po swem przybyciu na Zamku, i wysłuchawszy nawiasowo mu czynionych przez Lüdersa wyrzutów, z powodu ogłoszenia listu papieskiego, odrzekł sucho³⁾: „że stosunki jego z rządem muszą się nareszcie wyjaśnić, i jeśli władza nie uwzględni słusznych jego wymagań, on zmu-

¹⁾ Rękopism bezimienny. Nie „feldjeger więc namiestnikowski“ przyjechał do Mszczonowa, jak utrzymuje Prawdzicki.

²⁾ *Prawdzicki*, loc. cit.

³⁾ *S. Prawdzicki*, loc. cit. 128, swoim zwyczajem przytacza całą rozmowę, jaka się toczyła między arcybiskupem a Lüdersem. Oczy-

szony będzie zerwać wszelką z rządem solidarność, bez względu na to, co go osobiście spotka". Tu opowiedziawszy oburzającą scenę z dziewczyną w ratuszu, oświadczył, że jeżeli namiestnik nie usunie niezwłocznie policyi z kościołów, on sam opíše okropności, jakie się dzieją przy aresztowaniu i ogłosi to w dziennikach zagranicznych. Namiestnik, jak wiemy, głowa nie tęga, pozbawiony, z powodu nieobecności w tej chwili Kryżanowskiego, zwykłego swego doradcy, był nadzwyczajnie zdziwiony takim obrotem rzeczy. Spodziewał się bowiem, że on będzie groził arcybiskupowi, a tymczasem przeciwnie się stało. To go całkiem zbiło z tropu, gdyż na coś podobnego nie był przygotowany i nie wiedział co robić. Uciekł się więc do zwykłego środka dygnitarzy rosyjskich i odrzekł, że sam nie może tej kwestyi rozstrzygnąć, ale odwoła się do Petersburga ¹⁾.

Na tem rozmowa się skończyła i arcybiskup, wróciwszy do siebie, zabrał się natychmiast do napisania zapowiedzianego listu, a przeznaczonego do gazet zagranicznych, ale nie doszedł jeszcze do połowy, gdy zameldowano mu dyrektora kancelaryi dyplomatycznej namiestnika, p. Saffanosa. Ten zaraz na wstępie objaśnił w formie nadzwyczaj ugrzecznionej, że przybywa z polecenia namiestnika, aby ostatecznie wyrozumieć, jakie właściwie są żądania arcybiskupa, nim relacya o tem wszystkim dojdzie do Petersburga. Ks. Feliński w odpowiedzi na to pokazał posłowi list rozpoczęty i dodał, że na domagania się swoje, wypowiedziane dziś rano generałowi Lüdersowi, żąda odpowiedzi niezwłocznej; że w razie, jeżeli namiestnik zgodzi się na usunięcie policyi z kościołów, arcybiskup bierze na siebie odpowiedzialność za porządek w świątyniach, że wszelako do zneutralizowania niewłaściwych wpływów na

wiecie nie jest ona autentyczną, w wielu miejscach nawet fałszywą, więc jej nie powtarzamy. W naszym opowiadaniu trzymamy się ściśle relacyi, zawartej w tylokrotnie już przez nas cytowanym „Rękopiśmie bezimiennym“.

¹⁾ Rękopism bezimienny.

tok nabożeństwa, potrzebuje najmniej tygodnia czasu i o udzielenie mu tej zwłoki uprasza. Z takimi warunkami Safianos powrócił do Lüdersa, który natychmiast o wszystkim tem doniósł do Petersburga. Wieczorem tegoż samego dnia, przysłała odpowiedź telegraficzna cesarza, przyzwalająca na żądanie ks. Felińskiego i tę odpowiedź zakomunikowano mu niezwłocznie¹⁾.

Zdawało się więc, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, i że teraz zależeć będzie cała sprawa od umiejętnego wzięcia się do niej ks. Felińskiego. Ale rządcy rosyjscy w Polsce nigdy nie idą drogą prostej uczciwości i niezwykli są dotrzymywać słowa danego czy to pojedynczym osobistościom, czy też całemu narodowi. Tak też postąpił sobie i Lüders. W parę dni bowiem, po ostatecznem ułożeniu się z arcybiskupem, ukazało się w „Dzienniku powszechnym“, oraz we wszystkich pismach warszawskich, ogłoszenie następujące: „w tym tygodniu, w wielu kościołach, kilka osób, po większej części kobiet, nie należących do wyższych warstw społeczeństwa, śpiewało zakazane hymny. Prawie wszystkie zostały aresztowane przez policją przy wyjściu z kościoła. Należy dodać, że znaczna większość wiernych nietylko nie brała udziału w tych śpiewach, lecz nawet z pośpiechem opuszczała dom Boży, że co więcej, kilkakrotnie rozsądne głosy dały się słyszeć w celu powstrzymania skandalu. Biorąc z jednej strony na uwagę ostatnią okoliczność, a z drugiej nie chcąc odpowiedzieć odmową na zaniesioną do niego prośbę przez najprzewielebniejszego arcybiskupa warszawskiego, generał-adjutant Lüders, pełniący obowiązki namiestnika w Królestwie, raczył rozkazać, aby wieczorem dziś w sobotę i jutro w niedzielę, policja wstrzymała się od aresztowań przy wyjściu z kościoła za śpiewanie hymnów zakazanych, pozostawiając duchowieństwu wyłączne staranie wpłynąć za pomocą perswazyi na publiczność. Jeżeli pomimo tej próby, czynionej jedynie na prośbę arcybiskupa, który spodziewa się,

¹⁾ Loc. cit.

iż potrafi wstrzymać złe, bez nowych ofiar, hymny, lub strofy, lub wiersze zakazane, dadzą się znów słyszeć w jednym lub kilku kościołach, aresztowania, którym chciano zapobiedz, rozpoczną się nanowo od poniedziałku d. 19, jak poprzednio przy wyjściu z kościołów, gdzie będą takowe śpiewane, aby siłą przemódz tych, co pozostaną głuchymi na głos perswazyi“.

Ogłoszenie to, dające arcybiskupowi zaledwie dwa, a właściwie jeden dzień czasu do wpłynięcia na ludność i duchowieństwo, by zaprzestano śpiewów patryotycznych po kościołach, wbrew umowie pierwotnej, odwołującej termin nie występowania czynnego policyi do tygodnia, nadzwyczajnie zdziwiło arcybiskupa, a zarazem potwierdziło zdanie, od dawna za aksyomat w kraju uważane, że rządowi rosyjskiemu w Polsce nigdy wierzyć i w niczem zaufać nie można. Termin dwudniowy wyglądał istotnie na prosty żart, gdyż dygnitarze zamkowi wiedzieli doskonale, że przez tak krótki czas niepodobna było nawet najbardziej wpływowemu i najpopularniejszemu człowiekowi w Warszawie, a cóż dopiero ks. Felińskiemu, podejrzanemu ciągle i uważanemu przez większość ludu i duchowieństwa warszawskiego za „moskiewskiego biskupa“, wpłynąć na to, by zaprzestano śpiewów patryotycznych, tych śpiewów, które od roku przeszło brzmiały po całej Polsce, które stały się niejako drugą naturą polską. I wiedząc o tem, z tą cechującą wielkorządców rosyjskich złą wiarą, która tyle szkód obu narodom wyrządziła, umyślnie zapewne postawili tak krótki termin, żeby rzecz nie przysła do skutku, żeby różni drobni kacykowie, różni Kryżanowscy, Piłsudzcy, Fedorowie i Jachimowscy mogli dalej rozbijać i dopuszczać się najkarygodniejszych nadużyć.

Bądź co bądź, arcybiskup nie mając innego wyboru, postanowił próbować, czy mimo wszystkiego nie uda mu się rzeczy całej na przekór pragnieniom prokonsulów warszawskich przeprowadzić. W tym celu, nie tracąc ani chwili drogiego teraz czasu, zwołał do siebie duchowieństwo warszawskie, tak świeckie jak i zakonne. Zebrało się ono licznie

i ks. Feliński, przedstawivszy mu ważność chwili, pozwalającej na wyzwolenie kościoła z pod wpływu tak rządu jak i ulicy, wezwał ich, by mu dopomogli w tem ważnem zadaniu, by na majowym nabożeństwie zażądali od wierznych, w imię świętości religii i bezpieczeństwa kobiet, zrobienia ofiary ze śpiewów patryotycznych, które tylu nieszczęść były już powodem. Duchowieństwo słuchało tej przemowy w posępnem milczeniu, a zaledwie arcybiskup skończył, gdy wystąpił młody ksiądz w złotych okularach, wikaryusz przy kościele św. Aleksandra, nazwiskiem Mikoszewski, bardzo czynny współuczestnik ruchu, autor wielu pamfletów z tej epoki i słynnego „Słowa narodu polskiego do arcybiskupa Felińskiego“. Ks. Feliński wiedział o tej działalności młodego wikaryusza bardzo dobrze i z ciekawością począł słuchać jego przemowy, wypowiedzianej tonem patetycznym i pełnym sztucznego zapału: „Jakto, pasterzu! — wołał ten rewolucjonista w sukienkę duchowną przybrany — więc, gdy uciśniony i wyzuty z praw swoich naród, niema już gdzie zwrócić skarg swoich, okrom do Boga, jedyne go dziś mściciela krzywd ludzkich, ty chcesz wtłoczyć w zboląłą pierś ludu nawet ten jęk boleści, by rozpacz rozsadziła te miliony serc wierzących jeszcze i ufających w sprawiedliwość Bożą! Nie, pasterzu! szukaj gdzieindziej pomocników w sprawie, co ma zakrwawić łono wspólnej matki naszej, w naszym gronie oprawców takich nie znajdziesz!“¹⁾ Ten szereg słów dźwięcznych a pustych, pełnych sentymentalnego patryotyzmu, charakteryzującego epokę, miał na celu bezwątpienia nie obronę istotnego interesu ojczyzny, bo interes ten dla człowieka nawet najbardziej zaślepionego widniał i leżał w propozycyi arcybiskupa, ale okazanie się w oczach innych gorliwym patryotą i człowiekiem odwagi niepospolitej. Tymczasem zdarzyło się, że poprzedniego dnia był u arcybiskupa oberpolicmajster Piłsudzki w sprawie aresztowań po kościołach i między innemi opowiedział, że przed tygodniem aresztował

¹⁾ Loc. cit.

był ks. Mikoszewskiego za śpiewy u św. Aleksandra, a przetrzymawszy wikaryusza dni parę w więzieniu, zapowiedział, że jeżeli śpiewy się ponowią, to ks. Mikoszewski pójdzie na Sybir. Groźba ta tak dalece poskutkowała, że śpiewy we wzmiankowanym kościele zupełnie ustały¹⁾.

Słuszmem więc i zupełnie usprawiedliwionem było oburzenie arcybiskupa na dwulicowość człowieka, wygłaszającego dźwięczne tyrady patryotyczne i żądającego, by inni to czynili, czego on sam czynić się lękał. Czerwony ksiądz, wypowiedziawszy swą mowę, spojrział tryumfująco na grono zdziwionych raczej niż wzruszonych kolegów. Ale teraz arcybiskup wystąpił i głosem podniesionym zawołał: „Księżę Mikoszewski! więc gdy chodziło o twą własną skórę, znalazłeś dość męstwa, by wtłoczyć w zbolale piersi ludu jęk rozpaczliwej skargi i nie wahałeś się zaobronić śpiewów w swym kościele. Teraz jednak, gdy chodzi o niezależność świątyń, o cześć, a nawet życie niewinnych dziewcz naszych, sądzisz, że pasterz, co powód tych klęsk usunąć pragnie, sprzeniewierza się świętemu posłannictwu swemu i do ucisku ludu dopomaga? Nie do słów, ale do czynów się odwołuję; osądźcie bracia po czyjej stronie jest nikczemność!²⁾”. Gdy ks. Mikoszewski mocno zmieszany tem surowem napomnieniem, odkrywającym tajną pobudkę jego czynów, skrył się w tłumie, wszyscy księża pod wpływem zapewne energicznego wystąpienia arcybiskupa, przyrzekli mu najsolennie, że wszystko zrobią, co będzie w ich mocy, by lud do zaniechania śpiewów zakazanych skłonić³⁾. Taki miała przebieg ta dziwna, jedyna w swoim rodzaju scena, o której współcześnie obiegały różne, zawsze przesadzone i w złem świetle wystawiające arcybiskupa pogłoski. To jednak, co on zamierzał, było zrobione; duchowieństwo słowa dotrzymało.

Nazajutrz, w niedzielę, ks. Feliński z powodu odpu-

1) Loc. cit.

2) Loc. cit.

3) Loc. cit.

stu w Czerniakowie, przypadającego na uroczystość św. Bonifacego, udał się tam i nabożeństwo celebrował, i gdy dość późno powracał do Warszawy, był mocno zaniepokojony o wynik swych usiłowań wczorajszych. Jakże się jednak ucieszył, gdy zaledwie wysiadł z powozu, zjawił się u niego oberpolicmajster generał Piłsudzki, i z postawą raczej skonfundowaną niż zadowoloną, zwiastował dobrą nowinę, że w żadnym z kościołów warszawskich, zabronionych hymnów nie śpiewano. „Teraz my widzimy, co może duchowieństwo, kiedy szczerze działa“, zakończył swą relacją¹⁾. Taki miały koniec owe śpiewy nabożne, które przez ciąg półtorarocznego peryodu manifestacyjnego odgrywały rolę tak ważną, tak dominującą, które wstrząsały nerwami współczesnych i popychały ich w wir okropnych wypadków. Był to dla ks. Felińskiego niemały tryumf, że energicznem swem wystąpieniem zawiódł nadzieje satrapów rosyjskich, że rozbił ich niecną intrygę. Z drugiej strony fakt ten świadczył, był dowodem najoczywistszym, że duchowieństwo było jedną z najgłówniejszych przyczyn, które wywołały tę powracającą falę manifestacyjną, że gdyby ono było mniej zrewolucyonizowane, gdyby szczerze pragnęło uspokojenia kraju i korzystania z płodnych w owoce ustępstw, danych przez rząd rosyjski, burza grożąca Polsce, jeżeli nie byłaby zupełnie zażegnana, to przynajmniej odwleczoną na długo. Niestety! większość ówczesnych księży, żywiła te same zasady i dążności, jakie wielokrotnie wypowiadał osławiony ks. Mikoszewski.

Takiem było położenie Warszawy w chwili, gdy w łonie spisku naznaczono bliskie powstanie, gdy w Petersburgu rozstrzygały się losy Polski. W tym czasie właśnie nadeszła z prowincyi wiadomość o tragicznym, wstrząsającym do głębi wypadku, który głośno i krwawo mówił, jak dalece rozdrażnienie ogarnęło wszystkich i jaka przepaść niewiści leżała między rządzonymi i rządzącymi. Zdarzyło się, że naczelnik żandarmów w Lublinie, pułkownik Ma-

¹⁾ Loc. cit.

słowski, odbywając objazd komend swoich w powiecie hrubieszowskim, otrzymał denuncyacyą, że we wsi Moroczynie, majątku hr. Franciszka Starzyńskiego, przebywa jeden z najczynniejszych agentów Mierosławskiego, czy też rewolucyi międzynarodowej (bo i tacy wtedy byli), niejaki Bongard, Szwajcar czy Francuz rodem. W Moroczynie Bongard pełnił obowiązki gubernera przy synu hr. Starzyńskiego, Aleksandrze, młodym chłopcu, liczącym niespełna 20 lat, ale nadzwyczajnie egzaltowanym i rozdrażnionym wypadkami współczesnymi. Pułkownik Masłowski, otrzymawszy wiadomość o agitacyi Bongarda, udał się do Moroczyna w towarzystwie kapitana żandarmskiego Cywińskiego i podoficera Bosakiewicza, obu niestety! Polaków, w celu dokonania we dworze rewizyi, przyaresztowania Bongarda i odstawienia go do Lublina. Jakoż w d. 6 maja ¹⁾, Masłowski zjechał do Moroczyna, rewizyi dokonał i Bongarda aresztował. Gdy z aresztowanym szedł ku bryczce, stojącej w końcu wsi, ten począł go prosić, by pozwolił mu wstąpić na moment do rządcy majątku dla wypicia herbaty i ugaszenia silnego pragnienia. W chwili gdy się tam znajdowali wszyscy trzech żandarmi i Bongard, młody Starzeński wpadł nagle z rewolwerem w rękę i pierwszy strzał wymierzył do podoficera Bosakiewicza, którego położył na miejscu; drugim zranił ciężko w szyję kapitana Cywińskiego, który wkrótce z tego umarł; a nakoniec trzecim zranił Masłowskiego. Dokonawszy tego, wybiegł do sieni i sam się zabił. Masłowski miał tyle siły jeszcze, że odwiózł Bongarda do Hrubieszowa, skąd odesłano go do cytadeli warszawskiej. Straszny ten wypadek wywarł na cały kraj nadzwyczaj przynębiające wrażenie, i dowodził, jak silne namiętności polityczne owła-

¹⁾ *Pawliszczew*, *Siedmicy* I, 83, powiada, że d. 5 maja, co jest błędem, gdyż wszystkie źródła katastrofę tę mieszczą pod datą w tekście wymienioną. Relacya, jaką o tym wypadku podaje *Z. Kolumna*, „Pamiętka dla rodzin polskich“, I, 11, jest przepelniona błędami; dość powiedzieć, że przenosi datę zdarzenia na październik 1862 roku.

dnęły umysłami młodzieży i jak opłakane skutki wywołują.

Prowincya zresztą, za przykładem Warszawy, korzystała z każdej sposobności, by z rozkwitającą wiosną rozpocząć nowy szereg manifestacyi. Jednym z takich powodów był powrót z bobrujskiego wygnania ks. Białobrzeskiego. Starzec ten, pozbawiony charakteru i jak dziecko uparty, w żadnym razie nie zasłużył ze względu na słabość, jaką okazał w sądzie, by uchodzić mógł za bohatera narodowego i za wielkiego patriotę, jakim usiłowano go zrobić. Ale wszystkie polityczne wzburzenia umysłów mają to do siebie, że wieńce kładą na głowy, żadnych praw do tego nie mające. Rząd wogólności, przyznać to trzeba, bardzo łaskawie obszedł się z Białobrzeskim, zmieniawszy mu pierwotną karę śmierci na rok więzienia w twierdzy bobrujskiej, a w kilka niespełna miesięcy, bo d. 29 kwietnia, z powodu rocznicy urodzin cesarskich, całkiem go z niej uwolnił. Białobrzeski poza swą działalnością polityczną, na którą go wypadki wypchnęły, a do wysokości których żadną miarą nie dorósł, był człowiekiem dobrym, księdzem wzorowym i umiał sobie zjednywać sympatya ludzką. Przez czas swego krótkiego pobytu w Bobrujsku wyrobił sobie powszechny szacunek. Został on tam spalony od pioruna kościół katolicki i na jego reparacyą dał z własnej szkatuły kilkaset rubli, co w połączeniu z opinią „męczennika za ojczyznę“, jak to wtedy mówiono, zyskiwało mu serca wszystkich. Zresztą w demonstracyach, jakich prałat ten stał się powodem, nie tyle szło o niego samego, ile o zamianowanie się przeciw rządowi. Powrót uwolnionego księdza był jednym wielkim tryumfem. Wyruszył on z Bobrujska w połowie maja i po wszystkich stacyach pocztowych oczekiwały nań tłumy, przeważnie młodzieży i kobiet, które przyjmowały starca okrzykami i zasypywały go kwiatami. W niektórych miejscach wystąpiono z mowami i deklamacyami, w których wiele było dotkliwych obelg dla „barbarzyńskich Moskali“, dla „nowożytnych Hunnów“, dla „nowoczesnego, depczącego świątynie Alhunryka“, oraz

pochwał dla „wracającego z niewoli prałata“¹⁾. W Słucku umiano się tak wziąć do rzeczy, że choć to miasteczko zaludnione jest przeważnie przez żydów ciemnych, zacofanych, których ks. Białobrzeski, ani jego działalność polityczna nie obchodziła, iż wieczorem na jego przyjęcie uiluminowano wszystkie domy. W pobliżu Grodna tłum wyprzągł konie mimo próżb i woli prałata, i wszyscy, nawet żydzi i lutrzy, „ciągnęli naprzemian ten drogi ciężar“, jak się wyraża jedno ze źródeł współczesnych. W Zalesiu obsypano go kwiatami i ciągniono powóz aż do stacyi najbliższej²⁾. Podobneż owacye spotkały go w Białej podlaskiej. W Siedlcach, gdy po obiedzie u proboszcza wyjeżdżał, damy siedleckie wyprzęgły konie od powozu i chciały go ciągnąć, ale nie pozwolił na to i pieszo poszedł do rogatki, poprzedzany przez młode dziewczęta, które ślały przed nim drogę kwiatami. Toż samo w Międzyrzeczu; w Kałuszynie tak go zasypano wiośniwym bzem i jaśminem, że ledwie widać było księdza z poza tej wonnej góry kwiecia. Jednem słowem, był to szereg manifestacyjnych, głośnych, publicznych owacyi, istny pochód tryumfalny bohatera narodowego. Rząd, obawiając się, by manifestacye te w Warszawie nie przybrały wielkich rozmiarów, wysłał był jeszcze do Terespolu, na granicę Królestwa, żandarma z wezwaniem do Białobrzeskiego, aby wjeżdżał do stolicy tylko nocą. Jakoż posłuszny temu poleceniu przybył do Warszawy o godzinie 1-ej w nocy d. 15 maja, i zawiódł oczekiwania licznych manifestatorów ulicznych, którzy gotowali się sprawić mu największą i najwspanialszą owacyą. Ks. Białobrzeski osiadł cicho na probostwie przy kościele Panny Maryi i nie mięszał się odtąd wcale ani do polityki, ani do rozgrywającego się przed jego oczami dramatu³⁾.

¹⁾ *J. Jastrzębczyk*, *Krzyżowy charakter*, 34, i relacye piśmienne współczesne.

²⁾ Umyślnie więc *Pawliszczew* loc. cit. I, 85, fałszywą podaje cesarzowi relacyą, twierdząc, że ten tryumfalny pochód ks. Białobrzeskiego „zaczął się w granicach Królestwa Polskiego“.

³⁾ Relacye współczesne. *Pawliszczew*, *Siedmicy* I, 85.

Ale wszystkie te drobne manifestacye, te wypadki z tłem tragicznem, zesły na plan dalszy wobec wykrycia mniemanego spisku wojskowego, który powszechną w tej chwili zwrócił na siebie uwagę nie tylko rządu warszawskiego i petersburskiego, nie tylko sfer rewolucyjnych, ale kraju i Europy całej. Wykrył go generał Chrulew, znany nam już z doby rzezi kwietniowej zeszłorocznej, a wykrył według jednych przez prosty przypadek, według drugich przez denuncyacyą. Wprawdzie rząd od niejakiego czasu miał już pewne, acz bardzo niedokładne wiadomości o agitycy rewolucyjnej wśród wojska, prowadzonej przez oficerów; niektórzy nawet z tych ostatnich byli pod dozorem tajnym, ale widocznie zbyt wielkiej wagi do tego nie przywiązywano. Wiadomości zresztą były mętne, częstokroć sprzeczne ze sobą. Już w początkach kwietnia obiegała między sferami rosyjskimi w Warszawie, przytoczona przez nas anegdota o żołnierzu, który, znalazłszy podrzuconą w koszarach proklamacyą, odrzekł, że, gdyby wojsko zwierzchności swej nie słuchało, jużby dawno wymordowało „wszystkich Lachów“. Jakoż tu i owdzie po koszarach pojawiały się odezwy, pisane po rosyjsku, wzywające żołnierzy do rokосу przeciw swej władzy w razie wybuchu powstania polskiego; oficerowie dostawali pocztą numer 1 „Russkiej prawdy“¹⁾, lub innych podobnych pism tajnych. W miasteczku Szawłach na Żmudzi, w tym czasie na bramie domu hr. Zubowa, ktoś przykleił proklamacyą po rusku pisaną do „Braci Rosyan“, a podpisaną słowami: „głos patryotów rosyjskich“.

¹⁾ Pawliszczew, loc. cit. I, 81, raportuje cesarzowi pod d. 6 maja, że „pewien oficer w Piotrkowie otrzymał pocztą z Warszawy list, w którym znajdował się litografowany egzemplarz „Russkiej prawdy“ Nr. 1, z d. 15 marca, z napisem: „zacni (czestnyje) Słowianie proszą pana przyjąć to, jako zadatek ich miłości braterskiej do pana“. Podburzający ten świstek (mówi dalej Pawliszczew), wzywający Polaków w imieniu Rosyan do powstania, wydrukowany był przed pięcioma dniami w gazecie lwowskiej „Dziennik polski“ z d. 19 kwietnia Nr. 98 i w parę dni potem przedrukowany w „Nadwiślaninie“ (1 maja Nr. 49) z dodatkiem, że „Russkaja prawda“ wychodzi w miejsce „Wielikorusa“.

Proklamacya domagała się, by Polsce zwrócono Litwę i Ruś, że „jeżeli ziem tych nie oddamy dobrowolnie, to wcześniej czy później naród (polski) dobije się swych praw mu przynależnych, dojrzeje, dojdzie do sił i będzie wrogiem nieprzejednanym nie tylko obecnego despotyzmu mongolskiego, ale i naszej narodowości i z bronią w ręku wypędzi nas ze swej ojczyzny“¹⁾. O wszystkim tem oczywiście rząd wiedział, ale sądząc, że odezwy te pochodzą ze źródła wyłącznie polskiego, nie przywiązywał do nich, powtarzamy, wielkiej wagi.

Taki był stan rzeczy, gdy pewnego dnia, w początkach maja, w czasie bytności Lüdersa w Petersburgu, Chrulew dowiedział się, że czwarty batalion strzelców, konsystujący w Warszawie, żyje w wybornej harmonii ze swymi oficerami, że ci niekiedy zbierają podkomendnych w osobnej izbie i czytają im książki²⁾. Więcej nie umiano mu powiedzieć, ani wymienić owych książek, ale było to dostatecznym, by wzbudzić podejrzenia w tym starym żołdaku, urobionym w szkole mikołajewskiej. Wezwał więc do siebie dowódcę batalionu, podpułkownika Chestesko, Szweda rodem, który zeznał, że czytaniem zajmują się głównie dwaj młodzi oficerowie: porucznik Arnhold i podporucznik Śliwicki, że nader często prowadzą oni długie rozmowy ze swymi podkomendnymi, że od dawna wydało mu się to bardzo

¹⁾ *S. Rajkowski*, Polska młodzież zapadnego kraja w mieście 1861/3 g. (Russ. Wiestnik LXXX, 258 z r. 1869).

²⁾ *Berg*, Zapiski II, 270, opowiada, że Chrulew o tem wszystkim dowiedział się od szeregowca z czwartego batalionu strzelców. Szeregowiec ten pełnił u niego obowiązki służącego, a że generał miał zwyczaj wdawać się w pogawędkę z żołnierzami, więc powoli z szeregowca owego wyciągnął pierwszą wiadomość o agitacji. *Teobald*, który był członkiem komisji wojennej, prowadzącej śledztwo w tej sprawie, a zatem jak najlepiej poinformowany, utrzymuje (Wspomnienia IV, 45), że żołnierze o agitacji oficerskiej pomiędzy sobą rozmawiali w koszarach, że „rozmowę tę podsłuchali feldweblowie i donieśli o niej dowódcom kompanii, którzy natychmiast odebrali żołnierzom pisma rewolucyjne, dowiedzieli się, skąd je mają i rzecz całą przedstawili komendantowi batalionu“.

podejrzaniem i dlatego nad wymienionymi oficerami kazał rozciągnąć tajny nadzór ¹⁾, że prócz tych dwóch, podejrzewa jeszcze sztabskapitana Niepienina i podporucznika Pleszkowa, oraz podoficera Rostkowskiego i szeregowca Szczura, wszystkich z czwartego batalionu strzelców. Chrulew uwiadomił o tem niezwłocznie Kryżanowskiego, który wydał rozkaz aresztowania wszystkich wyżej wymienionych w nocy z d. 5 na 6 maja ²⁾, oraz osadzenia Arnholda i Śliwickiego, jako najbardziej podejrzanych w cytadeli, pozostałych zaś na odwachu, i zatelegraował o całej sprawie do ministra wojny ³⁾. Tegoż samego dnia otrzymał odpowiedź telegraficzną ministra, że z rozkazu cesarskiego oficerowie obwinieni mają być oddani pod sąd polowy wojenny, a wyrok ma być natychmiast wykonany, „według całej surowości prawa“ ⁴⁾. Wzięto się więc do rzeczy dość

¹⁾ *N. Berg*, loc. cit.

²⁾ Wiadomość podana przez *Z. Kolumnę*, w jego „Pamiętce dla rodzin polskich“ I, 9, jakoby w chwili aresztowania wyżej wymienionych oficerów, „żołnierze zaczęli grozić buntem, a 60 zbrojno wystąpiło w obronie aresztowanych, i tylko refleksya i czynne wdanie się podporucznika Śliwickiego wstrzymało ich od wystąpienia czynnego“, jest obok kiepskiej stylizacji najzupełniej fałszywą.

³⁾ Depesza z dnia 6 maja (24 kwietnia). Brzmi ona jak następuje: „podporuczników Arnholda i Śliwickiego z 4 batalionu strzelców przyaresztowałem w X pawilonie za podmawianie żołnierzy do buntu. Za to także porucznik Niepienin i podporucznik Pleszkow osadzeni na odwachu, oraz kilku żołnierzy. W 4 batalionie ustanawiam specjalną komisją. Jest to owoc odezw. Najj. Panu nie donoszę“. Do tej depeszy dołączona jest taka relacya o aresztowanych oficerach: „1) sztabskapitan Niepienin z gubernii Pskowskiej, wyznania prawosławnego, awansowany na oficera po ukończeniu korpusu Pawłowskiego kadetów d. 6 czerwca 1857; 2) porucznik Arnhold, z gubernii petersburskiej, wyznania prawosławnego. Mianowany po wyjściu z korpusu Pawłowskiego kadetów d. 16 czerwca 1859 r.; 3) podporucznik Śliwicki II-gi z gubernii Charkowskiej, wyznania prawosławnego. Mianowany po wyjściu z korpusu Pawłowskiego kadetów d. 16 czerwca 1859 r.; 4) podporucznik Reszkow z gubernii Czernichowskiej, wyznania prawosławnego. Mianowany oficerem po wyjściu z korpusu Pawłowskiego kadetów d. 6 czerwca 1857 r.“

⁴⁾ „Russkaja Starina“ z r. 1883, XXXVII, 644.

szybko. Zaraz po powrocie Lüdersa do Warszawy ustanowiono specjalną komisją śledczą, pod prezydencją pułkownika Miaskowskiego, dowódcy pułku Ładoskiego piechoty, oraz kapitanów: Rotkircha, znanego pod pseudonimem „Teobalda“, pamiętnikarza tej epoki i Bremsena, adjutanta Lüdersa¹⁾, który z czasem zasłynąć miał okrucieństwami swemi w powstaniu zbrojnym. Komisya zaraz z początku uznała za stosowne uwolnić podporucznika Pleszkowa, a natomiast pociągnąć do odpowiedzialności porucznika Kaplińskiego, którego widzieliśmy już na pamiętnej sesji Komitetu miejskiego, gdy szło o to, czyznaczony przez Dąbrowskiego na lipiec wybuch może liczyć na wojsko, oraz porucznika Abramowicza. Wszystko to byli bardzo młodzi ludzie; najstarszy z nich podoficer Rostkowski, Polak, liczył zaledwie 25 lat, najmłodszy Arnhold lat 20. Śledztwo, ciągnące się blisko przez miesiąc, nie wykryło, w ścisłym tego słowa znaczeniu, spisku, którego w rzeczy samej nie było, była tylko propaganda z charakterem rewolucyjnym. Młodzi oficerowie czytawali „Wielikorusa“, „Polarną zwieżdę“, „Kołokoła“ i t. p. tajne czasopisma i oczywiście wiele rozmawiali o swobodzie, o ruchu polskim, o konieczności poparcia go w danej chwili. Ponieważ Śliwickiemu oddaną była t. z. komenda fechtunkowa i tym sposobem miał specjalny pod sobą oddział, więc pod wpływem Arnholda, człowieka z bardzo stanowczym charakterem, wszedł z żołnierzami w nader ścisłe stosunki, odczytywał im artykuły wzmiankowanych pism, mówił o cesarzu, o despotyzmie, o usamowolnieniu włościan i t. p., ale, powtarzamy, na tem się wszystko kończyło. Spisku żadnego nie było; był nań załążek, embryon, z którego mógł z czasem się zrodzić ten potwór, pożerający najlepsze serca i głowy młodzieży polskiej i rosyjskiej od lat sześćdziesięciu, ale dotąd on nie istniał. Nawet propozycja Rostkowskiego, ażeby Arnhold i Śliwicki zaznajomili się z młodzieżą i akademikami warszawskimi, stojącymi na czele ówczes-

¹⁾ Teobald, Wspomnienia IV, 39.

snych demonstracji, została przez obu oficerów odrzuconą¹⁾). W tej akcji dopomagali im wzmiankowany Rostkowski i Szczur, żydek polski, którzy odczytywali kolegom dane im pisma i powtarzali ich nauki²⁾). Wykryto także, że Kapiński ma pewne stosunki z partią polską ruchu³⁾, ale śledztwo z powodu upornego milczenia tegoż nigdy nie doszło do wyjaśnienia tych stosunków. Żołnierze, wzywani na świadków, Bóg wie, co pletli i rzecz całą jeszcze bardziej zagmatwali. U Arnholda miano znaleźć niedokończony szkic listu, który zamierzał wysłać do Lüdersa, a w którym napominał namiestnika, ażeby zmienił swe postępowanie względem Polaków. Zapytany, czy to on pisał, nie zaprzeczył temu wcale i odrzekł, że list ten nie jest podpisany, co rzekłszy, wziął pióro i na dokumencie położył swe nazwisko⁴⁾). Śliwicki miał podmówić Rostkowskiego i Szczura, żeby udali się do pułków Ołonieckiego i Szlizeburskiego piechoty i podburzyli żołnierzy, aby w czasie przeglądu przez Chrulewa, nie odpowiedziały wcale na jego powitanie. Rzecz ta jednak nie udała się, gdyż wysłańcy nie zastali już pułków w koszarach, ale na placu parady⁵⁾). Wogóle Śliwicki w cytadeli, przed Komisją śledczą objawiał nadzwyczajny upadek ducha i zgnębienie. Stracił zupełnie samowiedzę, do wszystkiego, co mu zarzu-

¹⁾ Loc. cit. 42.

²⁾ Jak dalece żołnierze nie rozumieli, czego właściwie od nich oficerowie chcą, świadczy okoliczność następująca, przytoczona przez *N. Berga*, Zapiski II, 271. Między książkami, które czytano żołnierzom, znajdowała się także wydana w Rosyi i przez cenzurę zaaprobowana „Historja Henryka VIII“, oraz powieść Puszkina: „Dubrowskij“. „Żołnierze, powiada *Berg*, nie wiele z tego rozumieli i Dubrowskij, Henryk i Hercen wydawali im się osobistościami współczesnemi, a raz nawet jeden z żołnierzy zapytał się Śliwickiego: „a kto pisze odezwy, które Polacy podrzucają w wojsku?“ Śliwicki, nie wiedząc co odpowiedzieć, odrzekł: „Dubrowski“. „A kto to Dubrowski?“ „To brat przyrodni Hercena“. Tym sposobem żołnierze uważali ich za braci“.

³⁾ *N. Berg* loc. cit.

⁴⁾ *Z. Kolumna*, Pamiątka dla rodzin I, 9.

⁵⁾ *Teobald* loc. cit.

cono, przyznawał się z wyrazem apatycznego osłupienia. Komisya, nie odkrywszy ścisłych i wyraźnych związków z ruchem polskim, wszelako uznała, że uwięzieni oficerowie dopuścili się przestępstwa, mającego na celu „zdradę i bunt żołnierzy“¹⁾.

Aresztowanie oficerów i wynikła stąd sprawa, jeżeli dla nich samych w ostatecznym rezultacie była oplakana, to dla kraju naszego, dla tej wiekuiście rwącej się przędzy losów polskich, była tą kroplą, która przepełniła naczynie, mniemany spisek tym piorunem, który rozświetlił nagle chmurne ciągle niebo. Starożytny Phoebus pojawił się *post nubila* na horyzoncie polskim z wieścią przesadną o rozgąłżzionym jakoby mocno w Warszawie sprzysiężeniu wojskowem, co w Petersburgu wywarło wielkie wrażenie i nie-małą obawę. Należy więc, byśmy przypatrzyli się temu, co się tam działo podczas tych wszystkich dramatycznych za-wikłań, jakich widownią była stolica polska.

Gdy Wielopolski stanął po raz drugi nad Newą, rze-czy niewielkiej uległy zmianie. Stronnictwo mu przeciwne, zaciekla partya „samobytników“, ciągle jeszcze uparcie walczyła o swą przewagę, a niepopularność margrabiego w Warszawie służyła nieustannie za najsilniejszą broń prze-ciwko niemu. Tylokrotnie przez prasę tajną zapowiadany rychły wybuch zbrojny, proklamacye rewolucyjne, rozpoczy-nające się znowu z wiosną manifestacye, sprawiały najgorsze wrażenie i dawały pretekst stronnikom rządu Polską po wojskowemu²⁾. Przeciw temu rozpoczął jeszcze raz upartą walkę margrabia, a przybyły z nim Enoch wielką mu był w tym względzie pomocą³⁾. Skorzystano z obecności chwilo-wej w Petersburgu Lüdersa, który na radzie, złożonej z niego, ministra sekretarza stanu Tymowskiego i Wielo-polskiego, zdołał utrzymać wbrew zdaniu Komitetu spe-cyalnego poprawki warszawskie w projekcie o instrukcyi elementarnej; prawo włościańskie i żydowskie zamierzano

¹⁾ Loc. cit. 46.

²⁾ *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 319.

³⁾ Loc. cit.

oddać pod rozpatrzenie stałym Komitetom dla cesarstwa, widocznie zwlekano i dążono do popsucia i skrzywienia wszystkiego. Wobec tego Wielopolski usunął się od udziału w naradach i owiadczył, „iż nie pozostaje mu, jak tylko wrócić do życia prywatnego“¹⁾.

Poza tem, okazując nadzwyczajną urzejmość Lüdersowi, żywiono to przekonanie, że jest on niemożliwy na trudnem stanowisku namiestnika w Królestwie Polskiem. Żołnierskie jego przyzwyczajenia, surowość w postępowaniu, więzienie i wysyłanie na wygnanie setek ludzi, okazało się, że nie osiągało celu, że agitacya za jego rządów wzrosła znacznie, nabrała siły i głośno już groziła, że lada chwila porwie się do broni. Widocznem więc było, że, zachowując i dbając o pozorną i zewnętrzną spokojność, nie umiał on sięgnąć do rdzenia rzeczy izła z korzeniem wyrwać; jego postępowanie niezawsze taktowne i niezawsze zdradzające rozum, agitacya w wojsku, na które, jako wódz naczelny, główną powinien był zwracać uwagę, świadczyła o niezbyt wysokiej inteligencyi namiestnika i o niezrozumieniu przez niego położenia. Sprawa z listem papieskim do arcybiskupa Felińskiego, którego wbrew przepisom obowiązującym pochwalił za to, że mu powiedział o odebraniu takiego pisma, skandaliczne historye z baletnicami warszawskimi, dobiegające do Petersburga, ośmieszały go i utrwały przekonanie, że bezwarunkowo tego nadętego i pustego żołnierza usunąć należy ze stanowiska tak ważnego i tak doniosłe mającego w tej chwili znaczenie. Ale kogo posłać na jego miejsce? Przed myślą, podniesioną przez Wielopolskiego, ażeby władzę podzielić, zarząd wojenny oddać księciu krwi, a jemu, margrabiemu, władzę cywilną, wzdrygano się jeszcze mocno. Stronictwo „samobytników“, ciągle się domagało, by rząd w Królestwie zostawić takim, jaki jest, a na namiestnika posłać generała, któryby umiał żelazną ręką ukrocić Polaków. Przez chwilę, już za powtórnej bytności Wielopolskiego, projekt ten

¹⁾ Loc. cit.

zdawał się brać górę. Chciano powierzyć namiestnictwo generałowi Grabbe, potem hr. Murawiewowi Amurskiemu, to znów księciu Suworowowi, hrabiemu Bergowi, a nawet generałowi Michałowi Murawiewowi, który w rok potem w Wilnie zasłużył sobie na miano „Wieszatiela“, wreszcie w tych poszukiwaniach myślano przez jakiś czas o intrygancie Kotzebue, który bawił zagranicą, w pewnego rodzaju niełasce za oskarżenie Gorczakowa ¹⁾. Przy bliższem jednak rozpatrywaniu kwalifikacyi, że się tak wyrazimy, tych różnych osobistości, ogromna trudność w spełnieniu programu, jaki sobie rząd w Polsce zakreślał, powoli zmuszała do wykreślenia z listy kandydatów na namiestnictwo w Warszawie, wyżej wymienionych i wielu jeszcze innych. Wobec tego, że należało działać w kraju wzburzonym do dna i gotującym się do większej jeszcze burzy, uważano, że Grabbe ma nazwisko zbyt mało znane, że obaj Murawiewowie nie przedstawiają gwarancyi umiarkowania, koniecznego wtedy w Polsce, że Berg wyznaje zasady zbyt zacofane, zbyt arystokratyczne i zbyt mało liberalne, że nakoniec ostatni, Kotzebue, znieawidzony jest w Warszawie i w sferach rządowych uchodzi za niebezpiecznego intryganta. Najpoważniejsza kandydatura księcia Suworowa, cieszącego się w Rosyi olbrzymią popularnością, człowieka bardzo zacnego, bardzo liberalnego, była wprost niemożliwą w Polsce, gdyż do imienia tego przywiązane tam były smutne i krwawe wspomnienia rzezi praskiej...

W takim stanie rzeczy, chcąc nie chcąc, zwracano się znowu do kombinacyi Wielopolskiego, którą uznawano w cichości za najlepszą, ale której lękano się, gdyż nadawała ona Polsce zbyt silnie zaakcentowaną autonomią, której sobie nie życząco bardzo, i jeżeli robiono ustępstwa, to z niechęcią i widocznem wahaniem. Wszelako nie mogąc znaleźć kandydata na tron namiestnikowski w Polsce, uznawszy niemożliwość trzymania tam dłużej Lüdersa, musiano w ostateczności uciec się do projektu margrabiego.

¹⁾ *Schédo-Ferroti*, Etudes sur l'avenir de la Russie, 42.

W początkach maja pisał on też do swoich, z pociechą zapewne wewnętrzną, że „co do ogólnej sytuacji tutejszej, przez nieobecność moją zyskała (sytuacja?) w tem, że uznanie konieczności powołania mnie ustaliło się; wszakże nie stanowczego nie ułożono“¹⁾. Jakoż wkrótce miał się przekonać, że nie tylko nie stanowczego nie ułożono, ale powzięto myśl całkiem przeciwną jego nadziejom i interesom Polski. Cesarz, który zawsze nie dowierzał Polakom, może nie wskutek swych osobistych doświadczeń, ale przez tradycją, przez pojęcia panujące na dworze rosyjskim za jego młodości, a tę niewiarę teraz usprawiedliwiały nieustanne zaburzenia w Polsce pomimo koncesyi, jakie jej udzielono, w zasadzie zgadzał się na rozdział władzy w Warszawie, ale naczelnikiem administracji cywilnej nie chciał mieć Polaka, nie chciał więc i Wielopolskiego. Powziął on inną myśl, myśl dziwną, możliwą tylko w Rosyi, gdzie nigdy zasady nie rządzą ale kaprys, ażeby na stanowisko naczelnika rządu cywilnego w Polsce, powołać Mikołaja Milutyna. Zdaje się, że myśl tę podsunął mu Gołownin, minister oświecenia, wielki przyjaciel Milutyna i należący do stronnictwa nieprzyjaznego Polsce, do stronnictwa „samobytników“²⁾. Wypierał on się wprawdzie najuroczyściej, by miał takie projekta poddawać cesarzowi, posądzał o to Wałujewa, ministra spraw wewnętrznych; według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa była to intryga usnuta przez całe stronnictwo, by wyrzucić wszelkie kombinacje Wielopolskiego i już wtedy, na dwa lata wcześniej, oddać Polskę na łup zgrai nihilistów i demagogów najgorszego gatunku. Jest to zaiste jednym z najdziwniejszych objawów tego stosunku nie-

¹⁾ *Lisicki, A. Wielopolski, I, 319.*

²⁾ Opieramy to przypuszczenie na liście Gołownina do Milutyna (*Leroy-Beaulien: Un homme d'état russe. Revue des deux mondes* z r. 1880 p. 159), w którym to liście minister zapewnia, że „myśl tej nominacji należy do cesarza“ („l'idée de cette nomination appartient au souverain personnellement“, brzmi w oryginale, bo ci panowie, tak zagorzali zwolennicy samoistnej jakoby cywilizacji rosyjskiej, korespondowali ze sobą po francusku). Otóż to zapewnienie, całkiem niepotrzebne, mówi niejako, że było przeciwnie.

moralnego, jaki istnieje od lat stu między Polską i Rosyą, a zarazem objawem nieeuropejskich pojęć panujących w rządzie rosyjskim, że człowieka, którego usunięto od wszelkiej władzy i wszelkich wpływów dlatego, że okazywał dążności zbyt radykalne, że chciał zrobić Rosyę „muzycką“, którego nie bez słuszności podejrzewano o dążności najwywrotniejsze, że takiego człowieka właśnie uważano za odpowiedniego dla Polski. Ponieważ już wtedy widziano, że ruch znajduje zwolenników tylko wśród szlachty, księży i drobnego mieszczaństwa, więc zapewne sądzono, że najlepiej, najniewątpliwiej stłumi się ten ruch, uderzając w te trzy słoje społeczne. Miano potemu doskonałą broń w rękę, kwestyą włościańską, która odpowiednio rozwiązana, stanowczo podciąć musi nogi szlachcie. Niemniej rodziły się już wtedy zamiary osłabienia wpływu duchowieństwa, a rozdrażnienie, wywołane niepowodzeniem pertraktacyi z kuryą rzymską, usprawiedliwiała do pewnego stopnia takie zamysły. Wszystkie te względy, zdaje się, głównie wpłynęły na cesarza, że zgodził się na posłanie Milutyna do Warszawy, zwłaszcza, że Aleksander zawsze odnośnie do Polski był zwolennikiem rządu silnego, bezwzględного i gniożącego wszelkie aspiracye narodowe. Czyż mógł potemu lepsze znaleźć narzędzie jak Milutyn, radykał, demagog nienawidzący szlachty, cywilizacyi łacińskiej i głośno wyznający przekonanie, że mniemana cywilizacya rosyjska odrodzi kiedyś ludzkość?

Otóż tego samego prawie dnia, w którym Wielopolski pocieszał się, „iż uznanie konieczności powołania go do władzy ustaliło się“, rozkaz cesarski, wysłany do Rzymu, gdzie Milutyn bawił (i mimowoli przyznawał, patrząc na starą jak świat cywilizacyą zachodnią, że ona nie jest ani tak złą, ani tak strupieszalą, jak mu się to zdawało), wzywał go do natychmiastowego przybycia do Petersburga. Rozkaz nie mówił, poco mu wracać każą, ale list Gołownina, wysłany wcześniej, dostatecznie objaśniał nowego kandydata na wielkorządcę Polski, czego od niego zamierzają żądać w stolicy rosyjskiej. „Współcześnie z tym listem,

piisał Gołownin, otrzymasz rozkaz cesarski, wzywający cię do niezwłocznego powrotu do Petersburga, dla osobistego widzenia się z cesarzem, który zamierza cię mianować naczelnikiem administracyi cywilnej w Polsce, to jest prezesem Rady administracyjnej Królestwa. Stanowisko, które ci proponują, jest bezporównania trudniejszym od tych, jakie my tutaj zajmujemy; ale mam tak wysoką opinią o szczodroblewości, z jaką natura cię obdarzyła, że jestem najzupełniej przekonany, że ci się powiedzie lepiej od kogokolwiek bądź w spełnieniu zadania, prawie niemożliwego dla innych. Zrobisz się panem położenia i nie dasz mu się zwyciężyć. Postawisz w Petersburgu kwestyą w jej istotnym świetle i wskażesz drogę, którą należy postępować w Warszawie. Nie wiem, czy przyjmiesz, czy odrzucisz propozycyą cesarza, ale w każdym razie jest ona oznaką takiego zaufania, że należy ci powracać natychmiast¹⁾.

Projekt taki na szczęście Polski w tej chwili (czemuż niestety! nie nazawsze?) nadzwyczajnie nie podobał się Milutynowi, a nie podobał się wyłącznie ze względów kariery osobistej. Bo należy to także do charakterystyki wszystkich mniemanych statystów rosyjskich, że ich działalnością nie kieruje idea, zasada jakaś, ale wyłącznie myśl o karierze osobistej, co nie przeszkadzało im w owej epoce twierdzić, że ze swą siłą zdrową i niezepsutą spełnią wielką misyą odrodzenia „zgniłego zachodu“. Milutyn, uchodzący we własnej ojczyźnie za liberała i patriotę z silnym zabarwieniem „samobytnictwa“, przenosząc się do Polski, musiałby uciec się do środków gwałtu i ucisku, coby go narażiło w oczach liberalnej partyi rosyjskiej na utratę tej opinii i zamknęłoby mu wrota do dalszej kariery. Siedząc od roku zagranicą, miał sposobność wczytywania się w dzienniki europejskie i nie miał wcale ochoty, by go po tych dziennikach nazywano katem Polski. A przytem widział on, jak ta Polska w konwulsyjnych drganiach dusiła w swych objęciach każdego, kto się do niej zbliżył; wi-

¹⁾ *Leroy-Beaulien*, loc. cit. 160.

dział ginącego Górczakowa, Lamberta i wielu innych, i wcale nie pragnął należeć do rzędu takich ofiar. Odtrącał więc myśl nominacyi na wielkorządcę Polski, kraju, „który zaledwie cząstkę stanowił jego ojczyzny“, którego położenie wymaga środków surowch, całkiem obcych jego dotychczasowej działalności. Zresztą, z doskonałą znajomością właściwości rządów despotycznych, podejrzywał on w tem wszystkim, nie bez słuszności, intrygę jego nieprzyjaciół, którzy, ogłosiwszy go niedawno za rewolucyonistę, chcieli go teraz skompromitować przez postawienie go w konieczności tępienia tej rewolucyi. Ale rady nie było, jechać należało. Jechał wolno, zatrzymując się co chwila, by dać czas swym przyjaciołom do zmienienia zamiarów cesarza.

W tym względzie znalazł pomoc i w Wielopolskim, oczywiście całkiem z innych powodów, ze szlachetnego pragnienia odwrócenia ciężkiego ciosu dla ojczyzny, jakim jej groziła nominacya tego nihilistycznego demagoga. Zrazu, gdy wieść do margrabiego doszła, że Milutyn ma Polskę „urządzać“ i przerabiać „grubym jakim wystrzałem z prawodawczego działa“¹⁾; okazał pewne zwątpienie i zniechęcenie; pisał, że rzuci wszystko i „uda się do Berlina, gdzie parę tygodni zabawi dla naukowego rozpatrzenia się po długiej przerwie w tych zajęciach“. Na szczęście, w tym wypadku zbiegły się przez szczególne i pomyślne dla Polski zrządzenie interesa osobiste Milutyna i jego partyzantów z interesami tejże Polski. Przedewszystkiem brat cesarski, wielki książę Konstanty Mikołajewicz, był przeciwny tej nominacyi; pragnął on, by Milutyn został ministrem spraw wewnętrznych, a dotychczasowy minister Wałujew, jechał do Polski. Popierał ten swój projekt tym ważnym faktem, że Wałujew znał nasz kraj i mówił po polsku, co miało niemałe znaczenie²⁾. A gdy cesarz, który w sprawach polskich nie miał zaufania do Wałujewa, okazał niechęć wyraźną do tego projektu, Konstanty począł głośno mówić,

¹⁾ *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 319.

²⁾ *Leroy-Beaulien*, loc. cit.

nie bez wpływu margrabiego, że stanowisko naczelnika Rządu cywilnego w Warszawie trzeba nie Rosyaninowi, ale koniecznie Polakowi powierzyć. Wysłce Milutyna był także przeciwny brat jego, Dymitr, minister wojny, mający wielki wpływ na cesarza; wreszcie przeciwną była wielka księżna Helena Pawłowna, wdowa po Michale Pawłowiczu. Ledwie też Milutyn stanął w Petersburgu, donosiła mu, że „wszystkie jej życzenia są za tem, by uniknął niebezpiecznego stanowiska warszawskiego, przez które Rosya go straci na zawsze, a on sam nie ma żadnych szans powodzenia w kraju nieprzyjaznym, którego język, prawa, dążności trzeba znać i który długo jeszcze będzie pożerał wysłanych doń Rosyan“¹⁾. Gołownin ze swej strony donosił mu, że „wielki książę Konstanty Mikołajewicz radzi ci gorąco, abys kategorycznie odmówił przyjęcia stanowiska w Polsce, gdyż, według jego przekonania, miejsce to należy się Polakowi a nie Rosyaninowi“²⁾. Jakoż już w tej chwili, dzięki tym wpływom, cesarz i jego otoczenie znowu poczęło się wahać w kwestyi wyboru osoby odpowiedniej na naczelnika Rządu cywilnego w Polsce, z czego Milutyn, pomimo rad przeciwnych jego własnych i Polski nieprzyjaciół, nie omieszkał skorzystać ze zręcznością, jakiej nabywają wszyscy statyści rosyjscy przy dworze despotycznym i pełnym intryg wszelkiego rodzaju.

Ale najsilniej, najlepiej i najbardziej stanowczo w tym względzie poparły go wypadki, zaszły w tym czasie w Warszawie i w Petersburgu. Pierwszem z tych zdarzeń, które tak szczęśliwy wpływ na losy Polski wywarły, było wykrycie przez Chrulewa spisku wojskowego. Początkowe wieści, jakie o tem nadeszły do Petersburga, były nadzwyczajnie przesadzone i nadawały faktowi, w gruncie rzeczy mało znaczącemu, rozmiary ogromne i groźne³⁾. Karyerowicze warszawscy uważali, że tym sposobem, pod-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Loc. cit.

³⁾ *N. Berg*, II, 275.

nosząc niebezpieczeństwo położenia i tłumiąc następnie to niebezpieczeństwo, okazały w lepszym świetle swą gorliwość i zdolności, i zasłużyły sobie na większe względy i większe nagrody od wszechwładnego padyszacha. Dość, że raporta, które z początku nadsyłano, mówiły o spisku szeroko rozgałęzionym, o rokoszach, buncie, co, rzecz prosta, sprawiło niezwykłą sensacją w Petersburgu i kazało uciekać się do środków stanowczych. Zaraza przenikająca do armii, tej podstawy głównej i jedynej despotyzmu, przerażać musiała, budzić obawę, by zbyt daleko się nie rozszerzyła, nie zajęła zbyt wielkich przestrzeni i nie zachwiała fundamentami samowładzy. Zresztą spostrzegano, że nie tylko w armii duch nieprzyjazny tej samowładzy istnieje; gdzie bowiem rzucono okiem, wszędzie widziano niezadowolone, stowarzyszenia tajne, spiski, groźby i niepokój powszechny. Wykrycie spisku wojskowego w Warszawie, pożary, które z nastaniem cieplej pory letniej jedną wielką łuną pokryły Rosję i Polskę, a wreszcie zakończyły się olbrzymią katastrofą w Petersburgu, zdawały się być objawem, pierwszym krokiem jakiejś akcji tajnej, rewolucyjnej i w umyśle, dręczone już dawno niepokojem, jeszcze większy niepokój rzuciły.

Pożary te rozpoczęły się d. 2 czerwca na Wielkiej Ochcie i odrazu ogarnęły ogromną ilość domów, których spaliło się wtedy przeszło dwadzieścia pięć. Nazajutrz ogień wybuchnął na ulicy Jamskiej i zmienił w zgliszcza całą część miasta. Dnia 3 czerwca pojawił się powtórny ogień na Ochcie, a współcześnie ukazały się płomienie na innych ulicach, jako to: na wspomnianej Jamskiej, Mikołajewskiej, na zaułku Leszkutowa, na Grochowej. Pożary te, zjawiające się w różnych częściach miasta, wywołały ogromny popłoch, zwłaszcza, że uparcie trzymały się miejscowości, zamieszkałych przez ludność uboższą, i wzbudziły powszechne przekonanie, że powstają z podpalania. W kilka dni potem, w d. 9 czerwca ogarnął płomień t. z. Tołkuczy rynek, ogromny, na sposób wschodni urządzony karawanseraj,

pełen towarów i składów wszelkiego rodzaju. Niesłychany żar, wywołany pożogą tysiąca bud drewnianych i znajdujących się w nich towarów, przeniósł płomień na gmach ministerjum spraw wewnętrznych, które z kretesem się spaliło. Nawet łodzie i tratwy z drzewem, stojące na kanale, zwanym Fontanka, zgorzały. Cała jedna wielka dzielnica miejska zmieniła się w morze płomieni. Cesarz, który przebywał podówczas w Carskiem Siole, na wieść o gorejącym Petersburgu, pospieszył do niego, zjawił się przy ogniu, powitany przez zebrane tłumy okrzykiem: hura! Objechał konno cały pożar, którego był tak blisko, że nawet płaszcz się na nim zapalił. Gdy wracał na kolej, płakał rzewnymi łzami nad niedolą tylu tysięcy ludzi, co w każdym razie świadczy o jego dobrem i czułem sercu¹⁾.

Powszechna pogłoska, krążąca między ludem, utrzymywała, że istnieje uorganizowana banda, która tej zbrodni się dopuszcza. Przekonanie takie żywił sam cesarz i jego otoczenie, przekonanie usprawiedliwione tem, że ogień powstał w dzielnicach ubogich, że więc widocznie szło o rozdrażnienie ludności, że ukazywał się współcześnie w różnych miejscach. Wieści niepewne o głuchem niezadowoleniu wśród młodzieży inteligentnej, o tajnych knowaniach i spiskach, nadawały stempel prawdopodobieństwa tym przypuszczeniom. Wzięto się też energicznie do położenia tamy klęsce; utworzono w Petersburgu trzy czasowe jenerał-gubernatorstwa wojenne i nakazano wszystkich podżegaczy, lub schwytych z materiałami palnymi sądzić sądem polowym w ciągu 24-ech godzin. Środki te zapobiegły pożarom w Petersburgu, ale natomiast na prowincyi paliły się miasta za miastami. Dnia 9 czerwca spalił się Mochilew, dnia 11 Czernichów, dnia 17 Tyflis, paliły się i inne drobniejsze. Powoli i w Królestwie poczęły gorzeć miasteczka, choć tutaj, dzięki czujności mieszkańców, plaga ta nie przybrała tak groźnych jak w Rosyi rozmiarów. Nie ule-

¹⁾ Relacje współczesne.

gało wszelako wątpliwości, że większość tych ogni powstała z podpalenia¹⁾.

Na cesarza klęska ta wielkie wywarła wrażenie; płakał przecież na widok pożaru Petersburga w d. 9 czerwca. Sam ze swej szkatuły dał przeszło pięćdziesiąt tysięcy rubli na wsparcie pogorzalców²⁾, a pod wpływem wrażenia, w poszukiwaniu środków, mogących zapobiedz powszechnemu w jego państwie wzburzeniu umysłów, gotów był do ustępstw, jeżeli zdołano go przekonać, że ustępstwa te takim środkiem będą. Jakoż w tej porze, pod wpływem Gorczakowa, Wielopolskiego, skrytej wreszcie akcji samego W. ks. Konstantego, zgodził się ostatecznie na to, by mar-

¹⁾ Po miasteczkach polskich znajdowano podrzucone karteczki, zwykle wierszowane nieudolnie, w których grożono pożarem. Autor miał w ręku taką karteczkę, z Kielc pochodząca, tej treści: „jestem młodzieniec, nie dbam o duszę; spaliłem wiele miast i Kielce spalić muszę“. Ma to charakter niesmacznej swawoli. Po Warszawie kursowały także kartki, grożące miastu ogniem; spalony miał być naprzód teatr, potem inne gmachy publiczne i rządowe. (*Pawliszczew, Siedmicy I, 103*).

²⁾ Osobliwszym i zapewne jedynym w swoim rodzaju faktem jest to, że w Królestwie posypały się obfite składki na pogorzalców rosyjskich. Składki te dawała przeważnie szlachta zamożniejsza i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z własnej inicjatywy. Pierwszy przykład dali Płocczanie. Gustaw Zieliński, autor „Kirgiza“, niegdyś wygnaniec w stepach orenburskich wraz z p. Franciszkiem Kleniewskim i Aleksandrem Jackowskim złożyli w redakcyi „Gazety warszawskiej“ 3000 złp. „dla najbiedniejszych rodzin, dotkniętych pożarem w Petersburgu, Mochilewie i Czernichowie“. (*Gazeta warszawska* Nr. 140 z r. 1862). Za tym przykładem poszedł Feliks Cielecki z Gostyńskiego i dał 1000 złp. Ludwik Górski złp. 1000, dr. Korzeniowski złp. 100; Włodzimierz Golec z Włocławskiego złp. 1000; Feliks Higersberger z Gostyńskiego złp. 666 gr. 20, Jan Korzybski z Żelechowskiego złp. 500 i t. d. Odtąd posypały się drobniejsze, nawet złotówkowe datki. Ofiarność tę ze strony szlachty przypisać należy chęci zaznaczenia, że w niczem nie solidaryzuje się ze stronnictwem wywrotu i objaw ten miał na względzie Czerwieńców warszawskich, nie zaś biednych pogorzalców rosyjskich, o których sama Rosya mogła mieć pieczę dostateczną. Jakoż tam do d. 21 czerwca składki doszły do sumy 274.584 rubli i grosz polski w tych krocjach wcale nie był potrzebny.

grabia wrócił do Warszawy, jako naczelnik Rządu Cywilnego, a W. ksiązę został namiestnikiem. Kandydatura Milutyna stanowczo przypadła ¹⁾. Wprawdzie rzecz była już wprzód rozstrzygnięta w zasadzie, ale nie zaakceptowana stanowczo, i przy zwykłych u cesarza wahaniach, mogła się rozbić zupełnie. Akceptując bowiem kombinacją z wysyłką do wzburzonej Warszawy brata rodzonego, w myśli czynił sobie pewne restrykcyje i przypuszczał, że brat ten

¹⁾ Oto jak sam o tem opowiada w liście do żony z d. 28 maja (*Leroy-Beaulien* loc. cit. 163): „przedstawienie się moje cesarzowi odkładane było z dnia na dzień, z powodu przeglądów, ćwiczeń wojskowych i t. p. tak, że odbyło się dopiero dzisiaj w Carskiem Siole. Jednakże w sobotę jeszcze (d. 28 maja przypadł we środę) miałem długą rozmowę z W. księciem Konstantym Mikołajewiczem. Jemu pierwszemu mogłem wyjaśnić, dla jakich powodów uważam niemożliwym wyjazd mój do Warszawy. Łatwo mi przyszło przekonać go, że w obecnych okolicznościach niemożliwym jest zarząd Polską, gdy się niema znajomości praw krajowych, jej interesów, ludzi, zwyczajów i gdy nawet nie zna się (co jest najważniejszym) języka, bez czego niepodobna nic poznać dobrze. Moje uwagi znalazły najżywsze uznanie, czego się zresztą spodziewałem, gdyż od dnia poprzedniego wiedziałem o usposobieniu W. księcia i jego otoczenia. Moje opóźnienie w przybyciu do Petersburga przyniosło swój skutek. Projekt cesarza doszedł do uszów osób interesowanych. Wielopolski wziął się do dzieła i, wspierany przez ks. Gorczakowa i kilka osób, zachwiał pierwszym planem cesarza. Wynaleziono nową kombinacją t. j. powierzenia administracyi Królestwa Wielopolskiemu, a dla uspokojenia tych, którzy nie wierzą w jego szczerość, umieszczenia ponad nim namiestnika we własnej osobie W. ks. Konstantego. Na wielkie zdziwienie wszystkich (nie wyłączając samego cesarza), W. ksiązę nie tylko zgodził się na tę kombinację, ale okazał szczególną skwapliwość (*empressement*)... Wszystko to stało się w ciągu kilku dni, można nawet powiedzieć, kilku godzin i moja skromna osoba, niespodziewanie postawiona na pierwszym planie, wkrótce zesła na ostatni z mojem zupełnem zadowoleniem. W. ksiązę wymyślił w nagrodę dla mnie mianowanie mię od dziśdnia członkiem Rady państwa i Komitetu włościańskiego i nawet zaproponował to formalnie cesarzowi. Oto, w jakich warunkach odbyła się audyencya dzisiejsza. Cesarz przyjął mię bardzo uprzejmie, nawet przyjacielsko. Wydawał się nieco zakłopotanym i, dzięki słodczy i istotnej dobroci jego wybornego serca, nie starał się tego ukrywać. Wchodził w najdrobniejsze szczegóły, dotyczące mego wezwania i nowej kombinacyi itd.“

stanowiska tego nie przyjmie, czego, jak się zdaje, cesarz sobie życzył, i jeżeli się zgodził, to tylko dlatego, że nie miał siły opierać się naleganiom, że stronnictwo przyjazne Polsce znowu wzięło na chwilę górę, że wreszcie raz trzeba było coś postanowić. Z zadziwieniem więc ogromnem przekonał się, że W. ks. Konstanty nie tylko stanowisko naczelnika w Królestwie chętnie przyjmuje, ale nawet okazuje w przyjęciu tem zbyt widoczną skwapliwość, co zapewne nie pozostało bez skutku w podejrzliwym umyśle Aleksandra. Rzecz więc w zasadzie była przyjęta, ale z jej wykonaniem zwlekano, może licząc nieco na tę zwłokę, że przyniesie zmianę i niechętnie widzianą kombinacją wywróci. Ostatnie jednak wypadki, a nadewszystko groza gorejącej stolicy Piotrowej, zdecydowała cesarza ostatecznie. Zrobiło się to nagle, prawie w ciągu kilku godzin, co świadczy o wielkiem wstrząśnieniu duszy potężnego pana świata połowicy. Dnia 6 czerwca uwiadomił o tem Lüdersa, dcnosząc, że nominacya W. księcia, oraz margrabiego Wielopolskiego nastąpi niezwłocznie, oraz, że termin wyjazdu będzie zdecydowany w jak najkrótszym czasie¹⁾. W dwa dni potem ukazał się reskrypt cesarski z obu temi nominacyami, o czem tegoż dnia uwiadomiony został Lüders depeszą następującą: „8 czerwca (27 maja) W. książę Konstanty Mikołajewicz mianowany dziś został moim namiestnikiem w Królestwie, margrabia zaś Wielopolski naczelnikiem Rządu Cywilnego. Do czasu przybycia jego wysokości do Warszawy, masz pan wszystkie powierzone panu obowiązki spełniać jak poprzednio. Dla okazania szczególnego mego uznania zasług, jakie pan poniosłeś w czasie swego zarządu tak Królestwem jak i pierwszą armią, obdarowuję pana godnością hrabiowską. Wielki książę nie może przybyć do Warszawy, jak za sześć tygodni, Wielopolski wyjeżdża w przyszłą środę. Na projekt pański zniesienia posady generał-gubernatora wojennego warszawskiego w głównych

¹⁾ Depesza z dnia 6 czerwca (25 maja) „Russ. Starina“ loc. cit. 646.

zarysach się zgadzam. Oczekiwać będę ostatecznego przedstawienia wraz ze wskazaniem osób, którym zamierzasz pan oddać różne stanowiska¹⁾. Przy redakcyi reskryptów cesarskich w sekretaryacie Królestwa, ówczesny minister sekretarz stanu Tymowski, który osobiście nie lubił Wielopolskiego, i przez jakiś czas, gdy na dworze noszono się z myślą powierzenia tego miejsca margrabiemu, sądził, że ten ostatni przez intrygi chce go pozbawić teki ministerjalnej i odtąd gdzie mógł i jak mógł mu szkodził, uparcie obstawał za tem, żeby Wielopolski nie nosił w Warszawie tytułu naczelnika rządu, ale zarządu cywilnego. Śmieszna ta chęć mierności, jaką był niezaprzeczenie Tymowski, dokuczenia margrabiemu, nie powiodła się. Wielopolski ze zwykłą sobie dumą odparł, że „skoro jest w Królestwie rząd gubernialny, to nie widzi racyi, dlaczegoby nie miało być rządu cywilnego⁴⁾. Rząd więc cywilny się utrzymał, ale margrabia, z właściwą swemu charakterowi mściwością, już wtedy postanowił bądź co bądź starać się o usunięcie Tymowskiego²⁾, w czem wreszcie zgadzał się z dobrze zrozumianym interesem krajowym.

Wiadomość o mającym przybyć do Warszawy bracie cesarskim zrobiła wogóle silne, jakkolwiek odpowiednio do sfer, dążności politycznych i usposobień, różnorodne wrażenie. Wieści zresztą o tem już od dość dawna obiegały po mieście. W ostatnich dniach maja mówiono napewno, a co potwierdzały depesze berlińskie, że W. księżę przybędzie, zapowiadano, że do Warszawy wraz z nim przymaszeruje gwardya, jak to niegdyś za Konstantego Pawłowicza bywało i utworzony będzie dziesięcioletni korpus wojska polskiego³⁾. Wyobraźnia mas, tak długo tłumiona, tak długo przygnieciona najsmutniejszą rzeczywistością, samemi hiobowemi nowinami, znalazła teraz obszerne pole do snucia różowych marzeń i nadziei. Mówiono więc, że

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Relacye współczesne.

³⁾ Pawłiszczew, Siedmicy I, 88.

będzie przywrócona karta konstytucyjna z 1815 r., wojsko, że nastąpi przyłączenie Litwy do Królestwa i t. p. Dla ludzi starszych, którzy patrzyli na dni Królestwa konstytucyjnego, a potem na straszną noc paskiewiczowską, imię Konstantego przypominało także imię jego stryja ¹⁾, człowieka zapewne na pół dzikiego w swych instynktach, ale niezaprzeczenie dobrego i szczerze przywiązanego do Polaków i do Polski. Nie wątpili oni, że wybór z pomiędzy rojnej rzeszy różnych książąt rosyjskich i nierosyjskich człowieka, który nosił to imię, ma swoje głębsze znaczenie, że zrobiono to umyślnie, aby w Polakach obudzić nadzieję, że może dawny rząd konstytucyjny będzie przywrócony, dawne dobre czasy, których się cenić nie umiało, aż wtedy dopiero, gdy niepowrotnie minęły i stracone na zawsze zostały. Inni znowu, ludzie chłodniejsi, młodszy, nie pamiętający z naocznego widzenia tej epoki, wychowani w kleszczach ucisku późniejszego, widzieli w tem zadatek lepszej przyszłości, możliwość rozwoju kraju na podstawach narodowych. Stronnictwo Białych, jakkolwiek w głębi duszy nie rzekało się swego ideału politycznego Polski przedrozbiorowej i niepodległej, witało jednak tę nominacją z uczuciem nieukrywanej radości, gdyż bądź co bądź przynosiła ona Królestwu zupełną autonomią, a zatem dawała silną podstawę do powolnego, ale statecznego działania. Jedni tylko Czerwieńcy, zwłaszcza ich najgorętszy odłam z Chmielińskim i Dąbrowskim na czele, był w najwyższym stopniu niezadowolony z takiego obrotu rzeczy. Lękali się oni, nie bez pewnej zresztą słuszności, że kraj może się zadowolnić takim samorządem, jaki przywoził W. książę Konstanty, że tym sposobem agitacja ustanie, spisek się rozpadnie, nastąpią dni reakcyi przeciwrewolucyjnej, Polska zatyje się w spokoju i zamrze nazawsze w mieszczańskim oportunistycznym. Dla zapobieżenia temu, w pierwszych dniach czerwca rozrzucono po całym mieście drukowaną odezwę, wyszłą zapewne z pod pióra Chmielińskiego, lub którego

¹⁾ Loc. cit. 92.

z jego adherentów, wzywając Polaków w tonie pompacyjnym, by nie dali się „uwieść zwodniczym nadziejom i marzeniom“, by serca ich pozostały „na głos ułudy i fałszu obietnic moskiewskiego cara tak głuchemi, jak głuchymi są groby pomordowanych ofiar“, by „żałoba, która nas dotąd okrywa, stała się w oczach jego wyrzutem strasznej zbrodni“, by ulice, któremi W. książę Konstanty przejeżdżać będzie, były „tak puste i smutne, jak smutne są serca matek, których synowie jęczą w pustyniach Orenburga“¹⁾. Odezwa ta, przypominająca bombastycznością swoją szkolne wypracowania, była jednak czytana i robiła wrażenie, tak osobliwsze to były czasy!

Uwiedomienie urzędowe o tych olbrzymich i niespodziewanych zmianach nastąpiło przez usta Lüdersa, teraz już hrabiego, w d. 12 czerwca przy otwarciu posiedzeń Rady stanu. „Szczęśliwy jestem, mówił, że mogę panów zawiadomić o nowym, świetnym dowodzie ciągłej troskliwości cesarza i króla o pomyślność kraju“. „Zawiadamiając was panowie o łaskawych postanowieniach naszego najmilszego monarchy, uważam za zbyt uczynne wskazywać ich wysoką doniosłość w przekonaniu, że sami potraficie ocenić w całej rozciągłości ten dowód zaufania jego cesarsko-królewskiej mości, jaki udziela swym poddanym w Królestwie. Spodziewam się więc, że cały kraj odpowie oczekiwaniom cesarza i króla, przyjmując szczerzy udział w wprowadzeniu w wykonanie wysokich i łaskawych jego zamiarów, i że przybycie dostojnego brata Jego Ces. Mości będzie mogło rozpocząć nową erę pomyślności dla Królestwa“.

Wielopolski tryumfował i słusznie, gdyż tym razem zwyciężyła dobra sprawa, co w historii wogóle jest nader rzadkim wypadkiem, a w dziejach naszej ojczyzny nieszczęśliwej nieomal jedynym. „Przyznawszy zasadę, pisał d. 4 czerwca do swoich, bez targów już przychylają się do

¹⁾ Odezwę tę, dotąd, o ile wiemy, nigdzie nieprzedrukowaną, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

jej konsekwencyi; prawo włościańskie i żydowskie przeszło bez ważnej zmiany, tabela klasyfikacyjna dóbr donacyjnych, to jest najniższa, utrzymała się; dzięki wszystko W. ks. Konstantemu, z którym w najlepszym jestem porozumieniu. Z temi wszystkimi prawami wyjadę w tych dniach do Warszawy, a W. ks. Namiestnik później ma przybyć¹⁾. Jakoż posypały się teraz, niby z mitycznego rogu obfitości, ukazy, nominacye, rozporządzenia. Najpierwszym z nich i bodaj czy nie najważniejszym był ukaz o wychowaniu publicznem, oraz ogłoszenie ustawy odnośnej, ułożonej pod kierownictwem i za staraniem Wielopolskiego i uparcie przez niego bronionej w różnych komisjach tak w Warszawie, jak i Petersburgu. Ogłoszenie to nastąpiło dnia 20 maja, a w ukazie czytano, że reorganizacya szkół w Królestwie opartą została „na tych głównych zasadach, aby wychowanie miało za podstawę ukształcenie religijno-moralne i klasyczne, przy dostarczeniu możności nabycia nauk specjalnych i było dostępne dla osób wszelkiego wyznania i stanu“. Ukaz jednak nie mówi o tem, że autorem ustawy szkolnej szło głównie o to, by wychowanie publiczne miało podstawy narodowe, polskie, i ta jego strona stanowi główną zaletę i zasługę. Ci, którzy później robili z tego powodu zarzut Wielopolskiemu (Milutyn), że wprowadził do szkoły, do czystej dziedziny nauki, politykę, zapominali o tem, że oświata abstrakcyjnie pojęta, bez kolorytu narodowościowego istnieć nie może, nigdy i nigdzie nie istniała. Oświata, by mogła kwitnąć, potrzebuje mieć koniecznie podkładkę narodową i wtedy tylko wytwarza ona dobrych obywateli i rozumne czynniki działalności państwowej. Wielopolski ze swym umysłem trzeźwym i realnym doskonale to pojmował i to pojęcie swoje wprowadził do ustawy szkolnej z roku 1862, robiąc język polski wykładowym i kładąc nacisk na dzieje i literaturę ojczyzną.

W urzędzeniu wychowania publicznego margrabia

¹⁾ *Lisicki*, Aleks. Wielopolski I, 325.

wychodził z tej zasady, przez wielu dziś za błędną uważanej, ale w owych czasach uchodzącej za jedynie usprawiedliwioną, że szkoły średnie wogólności powinny dawać wykształcenie ogólne, przygotowujące do późniejszej specjalności naukowej lub praktycznej. Naukę średnią podzielił on na trzy działy, na szkoły elementarne, powiatowe i gimnazyja. W urzędzeniu szkół elementarnych zasada powyższa nie odgrywała żadnej roli i naturalnie odgrywać jej nie mogła. Tu szło wyłącznie o nauczanie czytania i pisania po polsku, katechizmu, czterech działań arytmetycznych i podanie różnych najpotrzebniejszych wiadomości. Ponieważ szkółek takich było mało, gdyż dawniejsze rządy Muchanowa wcale się nimi nie zajmowały, owszem gdzie mogły stawały im przeszkody, ponieważ nakoniec pierwotny projekt Wielopolskiego co do przymusowego wykształcenia przepadł w Petersburgu, więc dano ogromną swobodę inicjatywie prywatnej. Proboszcze, właściciele dóbr, magistraty miejskie mogły zakładać szkółki początkowe bez odwoływania się do kogokolwiekbądź, z tem jedynie zastrzeżeniem, by o każdym podobnym fakcie donoszono rządowi gubernialnemu. Przedmioty, które miały być w takich szkołkach wykładane, określone zostały przez ustawę; nauka języka polskiego była głównym przedmiotem, tylko w szkołach, zakładanych przez gminy luterskie, w zakres wykładów wchodził także język niemiecki, a w unickich cerkiewno-słowiański. Oprócz prywatnych szkółek elementarnych, które, jak wiemy, w ciągu roku 1862 nadzwyczajnie się rozmnożyły, istnieć miały podług ustawy jeszcze szkoły rządowe elementarne, rozpadające się na dwa działy, jedno i dwuklasowych. Te ostatnie otwierane być miały po większych wsiach i miasteczkach rolniczych, fabrycznych, przemysłowych lub handlowych, z wyraźnym kierunkiem praktycznym: rolniczym lub technicznym. W szkołach elementarnych żeńskich dwuklasowych położono nacisk na naukę gospodarstwa domowego, prowadzenie kuchni, uprawy ogrodów warzywnych, roboty z igłą lub drutami, przykrawanie bielizny, kaftaników, sukienek i t p.

Oprócz tych szkół, po większych miastach miały nadal istnieć szkoły rzemieślnicze niedzielne, a w Warszawie, Lublinie i Płocku szkółki handlowe niedzielne, które miały zostawać pod zarządem magistratów i rad miejskich. W Warszawie miała powstać szkoła mularsko-ciesielska z kursem tylko zimowym.

Taki w ogólnych zarysach był dział wychowania elementarnego w nowej ustawie szkolnej. Przedewszystkiem uderza w nim ta okoliczność, że autorowie ustawy starali się odjąć wychowaniu elementarnemu charakter urzędowo-administracyjny, że poddali go pod zarząd gmin i rad miejskich, a nauczycieli, idąc za wzorem Izby edukacyjnej z r. 1808, pod władzę dozorów szkolnych, złożonych z wójta na wsi lub burmistrza w mieście i dwu miejscowych obywateli, oraz proboszcza jako prezesa w tem ciele kolegialnem. Tym więc sposobem szkoły elementarne, jak to powinno być wszędzie, przeszły pod zawiadywanie nie jakiejś tam wysokiej centralnej władzy rządowej, ale samych współobywateli, a inspektor szkół początkowych, jeden na cały kraj, miał tylko czuwać, by wykłady i ogólne urządzenie w tych szkołach nie wychodziło poza przepisy. W tym względzie widać, że twórcami ustawy kierował zdrowy duch obywatelski i polski, pozbawiony tych foremek policyjno-czynowniczych, jakimi odznaczają się wszelkie urządzenia szkolne rosyjskie. I to stanowi niepospolitą wyższość ustawy polskiej od wszystkich wcześniejszych i późniejszych ustaw szkolnych rosyjskich.

Wykształcenie średnie nosiło także ten sam do pewnego stopnia charakter. Rozpadało się ono również na dwa działy, na szkoły powiatowe i gimnazya, które chciał Wielopolski pierwotnie nazwać wojewódzkimi ¹⁾, ale potem myśl tę sam porzucił, żeby nie budzić podejrzeń w zawsze podejrzliwych dygnitarzach rosyjskich. Szkoły powiatowe były pięcioklasowe i były trojaki: ogólne, pedagogiczne i specjalne. Ogólnych miało być w kraju dziesięć t. j.

¹⁾ Relacje współczesne.

w Warszawie trzy, w Pułtusk, Łowiczu, Rawie, Wieluniu, Sieradzu, Hrubieszowie i Mławie po jednej. Szkoły pedagogiczne miały na celu kształcenie nauczycieli elementarnych i miało ich być pięć: w Radzyminie, Łęczycy, Sandomierzu, Białym i Maryampolu. Szkoły specjalne zastępowały dawne szkoły realne; przeważnie kładziono w nich nacisk na nauki ścisłe i techniczne. Szkół tych miało być ośm: w Warszawie dwie, w Płocku, we Włocławku, Lublinie, Radomiu, Piotrkowie i Łodzi.

Gimnazyów siedmioklasowych miało być trzynaście, zwiększono więc ich liczbę o sześć, (dotąd było ich tylko siedm w całym Królestwie), tworzono je wszędzie, gdzie tylko można było, gdzie istniały gmachy po dawnych szkołach, zamkniętych po r. 1831. Znajdować się ich miało trzy w Warszawie, a po jednym w Piotrkowie, Kaliszu, Radomiu, Kielcach, Pińczowie, Siedlcach, Szczebrzeszynie, Płocku, Łomży, Suwałkach. W Pińczowie co prawda mniej było potrzebnem, ze względu na bliskie o pięć zaledwie mil oddalone Kielce i słuszniej daleko należało pomieścić gimnazjum w Sandomierzu lub Miechowie (gdzie nawet był piękny gmach poklasztorny po Bożogrobcach), ale tu kierowały Wielopolskim względy osobistej natury, bo Pińczów był stolicą jego margrabstwa. Do Lublina przeniesiono z Warszawy instytut szlachecki, zakład zamknięty, wymyślony przez Muchanowa wyłącznie dla synów bogatej szlachty, których wychowywano na odrębnych warunkach. Nie mogąc zupełnie znieść tej niepopularnej i nieudatnej instytucji, margrabia usunął ją z Warszawy, zmienił nazwę na liceum, otworzył do niej wstęp i nieszlacheć, uczynił zakładem na pół zamkniętym, wprowadzając i przychodnich i pod względem urządzenia porównał zupełnie z gimnazjami, prócz tej różnicy, że liceum miało ośm nie siedm klas. W klasie ósmej wykładano filozofią, estetykę, ekonomikę, wyższą matematykę, architekturę, gospodarstwo wiejskie, rysunki. Głównym przedmiotem wykładów w gimnazjach był oczywiście język polski i literatura, oraz historia polska, która jednak miała się rozpocząć od klasy VI

dopiero. Wkrótce atoli w praktyce, przy tym gorącym i płodnym duchu patryotycznym, jaki ożywiało ówczesne społeczeństwo polskie, z własnej inicjatywy nauczycieli, a z milczącą zgodą Komisji oświecenia, rozpoczęto wykłady historii polskiej od klasy V, a nawet w niektórych gimnazyjach od IV. Podobnie, tylko w kierunku odwrotnym, rzecz się miała z językiem rosyjskim, któremu ustawa naznacza pierwsze miejsce po polskim i nawet wyklądać go poleca po rosyjsku od klasy III. W praktyce, przy gorączce nienawiści, którą o władnięci byli tak nauczyciele jak i uczniowie, wykłady tego języka zaniedbano, powoli w planie lekcji poświęcono mu tylko dwie godziny tygodniowo i to godziny dodatkowe, poza innymi lekcjami, zwykle od 4-ej do 5-ej po południu. Ponieważ w późnej jesieni (w tej porze bowiem po wakacjach letnich szkoły według nowej ustawy zostały urządzone), o tej godzinie noc już zapadała, więc uczniowie musieli przynosić ze sobą świeczki, które dawały pole do tysiącznych figlów i swawoli, na czem wykład cierpiał i zwykle nic się nie uczono. Łacina, zgodnie z mającymi jeszcze w owej epoce powszechny obieg teoryjami o ogromnem znaczeniu tego języka i o jego wpływie na rozwój umysłowy, poczyniała się w gimnazyjach od klasy pierwszej, a grecki od czwartej. Nauki ścisłe, oprócz arytmetyki i geometrii, wykładano za ledwie w klasie czwartej, co było wadą całego tego wychowania. Mundurów zrazu wcale nie przepisano; dano je dopiero później, t. j. przywrócono dawne z przed 1831 r. granatowe ze srebrnymi guzikami i takimi wypustkami na kołnierzu.

Zwierzchnikowi tak szkół powiatowych jak i gimnazyów ustawa przywracała staropolski tytuł: rektora, którym zwykle był jeden z nauczycieli przez Komisją oświecenia mianowany. Nie był to więc dawny muchanowski i wogóle rosyjski dyrektor, który miał charakter urzędnika i szkołę uważał albo za koszary wojskowe, albo za rodzaj kancelaryi i który zazwyczaj o właściwej nauce nie miał najmniejszego wyobrażenia. Zniesiono także dawnych inspektorów, rodzaj dozorców policyjnych szkoły, a natomiast

ustanowiono równie staropolską godność prefekta, którym miał być także jeden z nauczycieli, a bywał najczęściej ksiądz, wykładający w szkole religią.

Co się tyczy szkół żeńskich, to nie cieszący się dobrą w kraju opinią instytut Aleksandryjski przeniesiono z Puław i połączono go z pensją rządową, istniejącą w Warszawie, noszącą nazwę Maryjskiej i utworzono instytut Aleksandro-Maryjski wychowania panien. Instytut ten oddano pod zawiadywanie Komisji oświecenia, o co, jak wiemy, usilnie zabiegał Wielopolski w Petersburgu, i pomieszczono w gmachu b. instytutu szlacheckiego po Szkole przygotowawczej, która od nowego roku szkolnego istnieć już nie miała, jako całkiem niepotrzebna.

Jako wyższy zakład specjalny ustanowiono instytut politechniczny i rolniczo-leśny, którego kraj tak dawno potrzebował, pomimo, że za Muchanowa kierunek wychowania publicznego był niby realny. Nowa ta szkoła miała się mieścić w gmachach po instytucie panien w Puławach, a właściwie w pałacu, pozostałym po Czartoryskich. Instytut miał pięć wydziałów: mechaniki, inżynierii cywilnej, chemiczno-górnicy, rolniczy i leśny. Na czele stał dyrektor i siedemnastu profesorów, wykładających różne przedmioty. Utrzymano przytem trzy niższe szkoły rolnicze: w Niegłosach pod Płockiem, w Radomsku i Burakowie pod Warszawą, pod nazwą szkół niższych oficyalistów wiejskich, inne zniesiono (pod Radomiem i Lublinem). Szkoły te oddano pod zwierzchnictwo dyrektora instytutu politechnicznego, w czem chociaż w części przywrócono dawny obyczaj polski, że szkoły niższe zależeć winny od najwyższej w kraju szkoły. Prócz tego ustawa uznawała konieczność, by szkoły te poddać wpływowi społeczeństwa przez ustanowienie tak zwanego opiekuna i jego zastępcy, którymi mieli być właściciele ziemscy z wyboru. Dano tu także swobodne pole inicjatywie prywatnej, przez pozwolenie Radom gubernialnym zakładania nowych tego typu szkół, gdzie tego uznają potrzebę.

Szkolę sztuk pięknych, istniejącą w Warszawie od

czasu kuratorstwa Muchanowa, zreformowano w ten sposób, że ją podzielono na trzy wydziały: budownictwa, malarstwa, rzeźby i rytownictwa. Pozostawać ona miała pod zwierzchnictwem dyrektora, wybranego przez Komisją oświecenia z grona profesorów, który winien był najmniej cztery godziny wykladać.

Koroną jednak całego tego systemu wychowania publicznego, jego sklepieniem, które nawet, gdy pod ciosami późniejszych, osławionych *diejatieli* rosyjskich runęło, nie przestało potężnego wpływu na naród wywierać i dodało mu tchu na długą noc ucisku, była Szkoła Główna, było wznowienie, nieistniejącego od lat trzydziestu nigdzie na ziemiach rozbiorowych, uniwersytetu polskiego. Wiemy już, że jeszcze Gorczakow nie chciał, by ta instytucya nosiła nazwę, powszechnie w świecie przyjętą, uniwersytetu; ta niechęć uparcie trwała w rządzie do ostatka. Tłomaczono się tem, z wyraźną złą wolą, że przyszła wszechnica polska „nie obejmuje w sobie wszystkich wydziałów“, że „niema w niej fakultetu teologicznego, który zastąpiony jest Akademią duchowną, od dawna zaprowadzoną; niema wydziałów: kameralnego, technicznego, rolniczo-leśnego i sztuk pięknych, które zastąpione są w części oddzielnymi zakładami, w innych miejscach lub miastach umieścić się mającymi“¹⁾. Zapomniano o tem, że większość uniwersytetów na świecie nie ma takich wydziałów. Lękano się jakoby znacznego skupienia młodzieży w jednym miejscu, miano wogóle (jak i dotąd w Rosyi mają) wstręt do uniwersytetów, a niedawne, zeszlóroczne zaburzenia studenckie w Moskwie i Petersburgu wstręt ten wzmogły jeszcze bardziej. Wielopolski musiał nawet ciężko walczyć o to, by nie rozbito wydziałów na osobne szkoły, co było myślą Muchanowa i do której chętnie w tej porze wracano. Był projekt utrzymania w dawnym stanie Akademii medycznej, założenia nowej szkoły prawa i nowej szkoły pedagogicz-

¹⁾ Powody do projektu organizacyi wychowania publicznego w Królestwie (u *Lisickiego*, Al. Wielopolski III, 394).

nej, z dwóch wydziałów złożonej: literackiego i matematycznego. Przeciwno takim zamiarom margrabia bronić się musiał argumentami, które gdzieindziej uważano za całkiem zbyteczne, i szeroko rozwodzić, że takie odosobnienie wydziałów „nie dawało możności jednego kierunku wykładów, wprowadzić mogło między uczącymi i uczącymi się szkodliwy antagonizm, odbierało narodom (sic) naukowym każdej szkoły osobnej tę wielostronność poglądów, która równie na naukę samą, jak i na sposób jej wykładu tak korzystnie wpływa. Wszystkie te korzyści, a mianowicie ostatnią, niezmiernie ważną, zapewnia Szkole Głównej połączenie wydziałów, kiedy grono uczonych, na różnym polu pracujących, zbierając się razem i w rozmaitym sposobie widzenia patrząc na to wszystko, co każdy przedmiot nowem światłem rozjaśnić zdoła, co naukę do potrzeb ogółu zastosować i upowszechnienie jej ułatwić może, do wspólnej skarbnicy plony swe znosić będzie w odbywanych naradach. Nadto połączenie to wydziałów w jedną szkołę, tej samej władzy podległą, zbliżenie ich do siebie, da studentom możność korzystania z wykładów w jednym i w drugim, dopełniania swoich studyów tem, czego jeden wydział nie ma, a do czego mu drugi otwiera wrota, co przy oddzielnych i w sobie zamkniętych instytucjach stałoby się daleko trudniejszym, zniechęcającem formalnościami, a w wielu razach i niepodobnem, zwłaszcza przy pomieszczeniu ich nie w jednym miejscu, a jeszcze bardziej nie w jednym mieście. Wogóle to zjednoczenie i ciągle ścieranie się z sobą uczniów z różnych wydziałów, chroniąc ich od widzenia najwyższej mądrości ludzkiej li tylko w studyach, którym się oddają, rozwija ich wielostronniej i na ukształcenie ich zbawiennie wpływa“. W końcu do takich Wielopolski uciekł się argumentów: „pod względem administracyjnym zarząd jedną szkołą, organicznie w częściach swych spojona, ułatwi się niezmiernie, skróci korespondencją i dla władzy zwierzchniej edukacyjnej stanie się mniej kłopotliwym i zawilem. Jaka zaś oszczędność stąd wypadnie, gdy zamiast trzech rektorów będzie jeden, zamiast trzech kancelaryi jedna

i gdy w tym stosunku inne wydatki na oddzielne gabinety, ich obsługę, na oddzielnych dla każdej szkoły urzędników, nad postępowaniem studentów czuwających i sprawy ich sądzących, ubędą, to dowodzenia nie potrzebuje. Wszystkie te względy usprawiedliwiają dostatecznie, owszem wskazują konieczność jednej tylko Szkoły Głównej, z zamianą Akademii medycznej na wydział¹⁾.

Dzięki powyższym argumentom, margrabia przeprowadził to, że projekt Muchanowa odrzucono, zgodzono się na ustanowienie czterowydziałowej wszechnicy, ale nazwy uniwersytetu dać jej nie chciano. Otrzymała więc tytuł „Szkoły Głównej“, tytuł, mówiąc nawiasem, poczciwy, staropolski i bodaj czy nie lepszy od cudzoziemskiej „universitas“, tytuł, którego używała niegdyś odwieczna wszechnica Jagiellońska²⁾. Zresztą nie szło tu o nazwę, ale o rzecz, i ta do skutku doprowadzoną została, dzięki usilnym i prawdziwie patriotycznym zabiegom margrabiego.

Szkoła Główna tym sposobem składać się miała z czterech wydziałów: lekarskiego, fizyko-matematycznego, prawnego i literackiego (nazywanego według nomenklatury rosyjskiej: filologiczno-historycznym). Pierwsze dwa mieściły się przez jakiś czas w pałacu Staszica, w gmachu b. Akademii medycznej, dwa zaś ostatnie w pałacu Kazimirowskim, zwanym także koszarami kadeckimi. Później jednak w gmachu tym pomieszczono razem wszystkie cztery fakultety. Kurs na trzech wydziałach trwał cztery lata, prócz lekarskiego, gdzie był pięcioletni. Nauki wykładali profe-

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Myli się więc *Spasowicz*, wyrażając się, że nazwa ta była „niewłaściwą“. (*Życie i polityka mar. Wielopolskiego* III, 189. W oryginale rosyjskim: „niepodchodiaszczeje“). O tyle chyba była niewłaściwą, że w Akademii krakowskiej tytuł „Szkoła główna“ stąd zapewne powstał, że ona zarządzała wszystkimi szkołami w Koronie, była zatem ich głową, była główną. Ale pominąwszy to specjalne i historyczne znaczenie tej nazwy, które się powoli przy zmianie okoliczności zatraciło, wyrażenie „Szkoła główna“ było polskiem, dawnem i wcale nie było niewłaściwem.

sorowie zwyczajni, nadzwyczajni, adyunkci i docenci, a na wydziale literackim także lektorzy. Przy tym ostatnim i matematyczno-fizycznym fakultecie ustanowione było seminarjum pedagogiczne ze stypendyem na 24 studentów. W szerokim pojęciu nauki, zdradzającym światły umysł w Wielopolskim, ustawa dopuszczała do wykładów każdego uczonego, choćby nie posiadał stopnia naukowego, byle tylko był znany ze swych prac naukowych. Na czele Szkoły stał rektor, wyznaczony na pierwsze trzy lata przez Radę administracyjną Królestwa, po upływie zaś tego czasu miał być wybierany przez profesorów; zwierzchnikami bezpośrednimi wydziałów mieli być dziekani, wybierani co dwa lata z grona profesorów. Ważniejsze wykroczenia studentckie rozpatrywał osobny sędzia Szkoły Głównej, wyznaczony przez Komisją oświecenia w porozumieniu z Komisją sprawiedliwości. Egzamina odbywały się co dwa lata; wakacje zwyczajem staropolskim oznaczono w sierpniu. Mundury granatowe z srebrnymi galonami później przepisano; opłata wynosiła po 10 rs. za każde półrocze. Samorząd Szkoła miała znaczny, ale nie nadano jej tego, co stanowiło własność charakterystyczną dawnych uniwersytetów polskich (krakowskiego i wileńskiego) t. j. prawa zawiadywania niższymi i średnimi zakładami naukowymi. Pierwotnie autorowie ustawy nosili się z tą myślą, ale trudność odpowiedniego uregulowania władzy Komisji oświecenia i Szkoły Głównej w tym względzie, obawa, by rząd rosyjski nie powziął stąd podejrzeń, tak łatwych u niego zawsze, i całego projektu edukacji nie odrzucił, powstrzymała ich od tego¹⁾. Trzeba było bardzo ostrożnie postępować, by uzyskać sankcją projektu, by zrujnowaną do gruntu edukacją publiczną odrodzić i na podstawach narodowych oprzeć.

Cokolwiekbądź, jakiegokolwiek można uczynić zarzuty tej ustawie, przyznać każdy musi, że jest ona pięknym pomnikiem rozumu i patriotyzmu tych, co ją układali. Ma ona swe wady, bo któreż dzieło ludzkie jest bez wad?;

¹⁾ Relacje współczesne.

zanadto wielki nacisk kładła na wykształcenie humanitarne, a za mały na kierunek praktyczny szkół, ale pod tym względem była ona odgłosem opinii, panujących podówczas w Europie. Pozatem stanowi ona wyborną całość, szczerze polską, bardzo rozumnie obmyślaną, i jeżeli kiedykolwiek los pozwoli Polakowi urządzać edukacją publiczną we własnej ojczyźnie, nie obejdzie on się bez dokładnego przestudowania tej ustawy, bez wzięcia z niej bardzo wielu wzorów i myśli. Dodajmy, że nie obciążała ona zbyt ciężko budżetu Królestwa, gdyż etat wszystkich zakładów naukowych i ich pomocy wynosił zaledwie 513.840 rs. Wielopolski i szereg tych skromnych pracowników, którzy skreślili tę ustawę (Korzeniowski, Stronczyński, Przyszyński i inni) dobrze nią zasłużyli się ojczyźnie. Pozostanie ona nazawsze jako dowód wielkiego rozumu, doskonałego pojmowania interesów kraju, szczerzej, gorącej miłości tego kraju i jego młodych pokoleń¹⁾.

Spółeczeństwo ówczesne polskie przyjęło nową ustawę szkolną dobrze, o tyle oczywiście dobrze, o ile mogła ona zwrócić na siebie uwagę ludzi, których umysły całkiem czem innem były zajęte, którzy śnili nie o jakichś tam reformach pod rządem rosyjskim, ale o odbudowaniu dawnej Rzeczypospolitej i o wygnaniu najazdu zupełnem. Cóż wobec tak wielkiego zadania znaczyć mogła jakaś tam nędzna reforma szkół, która wprowadzie wlała w żyły usychającej na anemię narodowości świeżą krew na lat trzydzieści, ale ograniczoną była tylko do Królestwa samego? Spokojniejsi znowu, przyznając wielką doniosłość tej reformy, czynili jej jednak zarzuty, które im się wydawały bardzo poważnymi, a które dowodziły tylko nieznamomości tych wszystkich walek, jakie staczać musiał margrabia, by ustawę samą przeprowadzić, by pokonać wiekuiłą niechęć

¹⁾ Ustawę z 1862 r. znaleźć można w „Dzienniku praw“ T. LX, we wszystkich ówczesnych gazetach, w osobnej odbitce z „Dziennika praw“ i nakoniec u *Lisickiego*, Al. Wielopolski II, 278 i następ. U tego ostatniego sprostować należy pomyłkę: ustawa podpisana była przez cesarza w Carskiem Siole nie 29, ale 20 maja.

i podejrzliwość rządu rosyjskiego. Uznawano wprawdzie niemożliwość usunięcia języka rosyjskiego ze szkół męskich, zgadzano się na to, że takie ustępstwo musiało być zrobionem, ale pytano, poco ten język wprowadzono do wykładów szkół żeńskich? ¹⁾). Wielu znów nie mogło pojąć, dlaczego Szkoła Główna, mająca wszystkie prawa i warunki uniwersytetu, nie nosi tej nazwy? Skoro już, mówiono sobie, ideałem politycznym Wielopolskiego jest odtworzenie takiego stanu, jaki istniał przed powstaniem listopadowem, to należało przywrócić najwyższej szkole w kraju miano „uniwersytetu Aleksandryjskiego“. Inni jeszcze mocno oburzali się na to, że w szkołach elementarnych, w miejscowościach, w których mieszkają Niemcy, wprowadzono do wykładów obowiązujących język niemiecki. Rozumiemy, mówiono, usprawiedliwiamy naukę języka rosyjskiego w szkołach, ale w żaden sposób pojąć nie możemy, co znaczy to ustępstwo dla Niemców w szkołach elementarnych? Wszystkie te zarzuty, łatwo wytłomaczone ze stanowiska polskiego, do pewnego stopnia nawet usprawiedliwione, formułowane zresztą wyłącznie z punktu widzenia nie naukowego ale politycznego, świadczyły tylko, jak dalece ogół nie znał historii nowej ustawy szkolnej i tych olbrzymich trudów i zabiegów, jakie czynił margrabia, by ona dojść mogła do skutku.

W kilka dni po ogłoszeniu ustawy szkolnej, podpisane zostały d. 5 czerwca przez cesarza w Carskiem Siole dwa ukazy, o oczyszczowaniu włościan z urzędu (tak się wtedy mówiło) i o równouprawnieniu żydów. Pierwsze z tych praw, opracowane w zasadach głównych przez pólsruządowy wydział doradczy przy Komisji spraw wewnętrznych, złożony przeważnie z przedstawicieli większej własności ziemskiej (Tomasz Potocki, Aleksander Ostrowski, Adam Goltz, Aleksander Jackowski, Wojciech Węgleński, Ludwik Górski, Tytus Wojciechowski, Klemens Krzyżtoporski, Aleksander i Adolf Kurtzowie, Antoni Wrotnowski, Leopold Kro-

¹⁾ Pawliszczew, Siedmicy I, 98.

nenberg i Zygmunt hr. Wielopolski), nie zadowolnić wcale demokratycznie usposobionej opinii kraju. I pod tym względem opinia ta miała słuszność. Domagała się ona, jakeśmy to już kilkakrotnie zaznaczyli, uwłaszczenia, obdarowania chłopą ziemią, gdyż widziała w tem naprzód zadośćuczynienie obarczonemu przez stare grzechy polskie sumieniowi narodowemu, a potem prawdziwy interes kraju. Historya ostatnich lat trzydziestu uczyła, że rząd rosyjski z kwestyi włościańskiej zrobił sobie broń, której mógł użyć każdej chwili ze szkodą narodu; że ta broń była podobną do mitycznego miecza Damoklesa, wiszącego nad głową Polski. Rozum więc prosty nakazywał, ażeby skorzystać z przyjaznej okoliczności i miecz ten wyrwać z rąk rosyjskich, broń tę na zawsze stępić i uczynić ją nieużyteczną. Chłop, raz uwłaszczony, kończył długo ciągnący się ponury dramat wiejski, wyzwalał Polskę od szkaradnej choroby, która ją trawiła i strawiła prawie zupełnie. Wreszcie, nawet w interesie spokojności ówczesnej, leżała konieczność uwłaszczenia. Podmywało ono bowiem grunt pod przyszłym i ciągle głośno zapowiadaniem powstaniem, odejmowało jedną z racyi istnienia spiskowi. Rewolucyoniści polscy w przyszłym powstaniu liczyli głównie na chłopą i sądzili, że darowizną gruntów zdołają tego chłopą porwać do walki o niepodległość. Z chwilą atoli, gdyby ten chłop został wcześniej uwłaszczony, odejmowało się raz na zawsze tę nadzieję rewolucyonistom, a z pewnością nie było ani tak nierozumnych, ani tak zaślepionych, którzyby wtedy ośmielili się wezwać naród do nierównego boju z najazdem. To też teraz, gdy Wielopolski przeprowadził prawo o oczynszowaniu z urzędu, a nie o uwłaszczeniu, w głębi duszy cieszyli się oni z tego, choć głośno, bo im tak wypadało, obwiniali margrabiego o wsteczne i szlacheckie dążności. Wielopolski przez nowe prawo pracował dla rewolucyonistów, kierował wodę na ich młyn.

Niepodobna jednak przypuszczać, by tak światły i tak przenikliwy umysł, jakim natura obdarzyła Wielopolskiego, tego nie rozumiał. Ale wchodziły tu w grę inne czynniki,

może czynnik własnego interesu, przekonanie, że da sobie pomimo wszystkiego radę z rewolucją, wreszcie hołdowanie bezwzględne zasadzie, że własność jest rzeczą świętą i pod żadnym pozorem naruszoną być nie może. Tej zasadzie, wyniesionej ze studyów prawa rzymskiego i francuskiego, zasadzie, która w układzie nowożytnych społeczeństw wielokrotnie okazała się bezsilną i błędną, poświęcił on istotny interes kraju. Przy każdej sposobności odzywał on się, że uwłaszczyć chłopą gruntami szlacheckimi znaczyło to samo, co „kodeks Napoleona zastępować serbskimi prawami cara Duszana“¹⁾; że „skaleczenie prawa własności, pisał w innem miejscu²⁾, w jednej żyłce organizmu społecznego rani tę własność i drażni we wszystkich innych członkach i do żywego dotknięta kurczy się ona i w mozolne, dla niej samej uciążliwe ostrożności obwija; swoboda czynności cywilnych jest skrępowana i najkorzystniejsze dla obu stron układy drętwieją“. Twierdził z uderzającą hipokryzyą, bo niepodobna przypuścić, by ziemianin, który większą część życia na wsi przepędził, tak dalece nie znał chłopą, że tenże nie odczuwa prawa własności ziemi. „Namiętność do ziemi, pisał, nie jest namiętnością do jej własności. Włóścianin nasz zapala się do tego, co osiągnąć może, do czynszu w miejsce pańszczyzny, do powiększenia dzierżawnej osady, do jej utrwalenia. Subtelne różnice dalekiego tytułu posiadania są mu obojętne, a sztucznie raz obudzony urok własności nie da się na lat dwadzieścia kilka, w kształcie mumii wonnemi obietnicami zambalsamować“³⁾. „Urok własności, z przymusowego uwłaszczenia pochodzącej, ma na odwrocie wyłączonego medalu napis: zmora zaboru“. Takimi to frazesami i adwokackimi wykrętami starał się obronić to, co obronionem być nie mogło. Teraz, będąc u władzy, zgodnie z temi swemi przekonaniem przeprowadził oczyszczanie, pozostawiając miecz

1) *Łisicki*, Al. Wielopolski I, 61.

2) *Loc. cit.* 56.

3) *Loc. cit.* I, 57.

Damoklesa w rękę zawsze nam nieprzyjaznej Rosyi i przygotowując grunt dla przyszłych eksperymentów Milutynowskich. Był to poważny błąd i historia błędu tego Wielopolskiemu nigdy nie zapomni, gdyż był on jedną z najpoważniejszych przyczyn późniejszych nieszczęść i klęsk narodowych.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegóły nowego prawa, gdyż pominąwszy jego stronę czysto specjalnej natury, to właściwie nie weszło ono w całej rozciągłości w wykonanie, albowiem w pół roku po jego ogłoszeniu wybuchło powstanie, a z niem, wskutek dekretu Rządu narodowego o uwłaszczeniu, prawo o oczynszowaniu z urzędu samo przez się upadło; po stłumieniu zaś powstania zjawił się Milutyn z szajką nihilistów rosyjskich, którzy wszystko wyrócili do góry nogami. Nowe więc prawo pozostało bezpłodnym dokumentem prawodawczym, platonicznym wyrazem wyobrażeń szlacheckich¹⁾. To tylko nadmienić wypada, że w głównych zarysach było ono korzystniejszem dla dworu, jak dla chałupy chłopskiej, że czynsz w ogólności za wysoko był obliczony, że w razie sporów apelacya do sądów przedstawiała dla chłopu uboższego i nieobznajmionego z prawem małe szanse powodzenia. Oczynszowanie miały przeprowadzić powiatowe delegacye czynszowe, powstałe z wyborów, z pośrodku członków rad powiatowych i złożone przeważnie ze szlachty, co także nie przemawia na korzyść nowego prawa. Oczynszowanie zresztą w praktyce postępowało bardzo leniwie; obie strony, jakby w oczekiwaniu jakiegoś radykalnego przewrotu, jakiejś burzy, którą czuć niejako było w powietrzu, niechętnie brały się do czynności, w której trwałość nie wierzyły. Tu i owdzie szlachta podawnemu domagała się danin i darmocho, chłopci liczne skargi zanosili do władz rosyjskich na nadużycia

¹⁾ Kto ciekawy znaleźć może ukaz z dnia 8 czerwca 1862 r. o oczynszowaniu z urzędu w „Dzienniku praw“ Tom LX, Nro. 180, p. 39 i nast.; we wszystkich ówczesnych gazetach warszawskich wreszcie u *Lisickiego*, Al. Wielopolski II, 359 i nast.

szlacheckie. Obie strony były wzajemnie przeciw sobie rozdrażnione i z gniewem, jeżeli nie z nienawiścią, na siebie spoglądały.

Ukaz o równouprawnieniu żydów, podpisany tegoż samego d. 5 czerwca w Carskiem Siole co i ukaz o oczynszowaniu, streściliśmy już poprzednio w głównych zarysach. Był on wyrazem tych mieszczańsko-liberalnych teorii, jakie wówczas na Zachodzie uchodziły za ostatni stopień postępu, a które Wielopolski, nieodrodny syn wieku, wyznawał; był nareszcie koniecznym następstwem uwielbienia, jakie margrabia okazywał dla kodeksu napoleońskiego, który nie znał praw wyjątkowych; był nakoniec wynikiem teorii, także obiegających wówczas po świecie, że każdy naród, który chce mieć przyszłość przed sobą, powinien posiadać mieszczaństwo. Ponieważ Polska mieszczaństwa nie posiadała, a powiedzmy nawiasem, wybornie się bez niego przez ciąg swego istnienia tysiącoletniego obchodziła, więc Wielopolski chciał z żydów stworzyć stan trzeci. Marzył, zdawało mu się, że naród ten czynny, ruchliwy, z dobrą niezaprzeczenie głową, przedsiębiorczy i inteligentny, zasymiluje się zupełnie, utonie w morzu polskiem i wytworzy owe mieszczaństwo upragnione, które, wedle opinii czasu, samo jedno nadawało tegość narodom i państwowom. Poza tem, z osobistego stanowiska patrząc na rzeczy, sądził, że prawem tym przyciągnie żydów do siebie i w walce z rewolucją znajdzie w nich silną podporę. Na wszystkich tych punktach niestety! omylił się ciężko. Okazało się bowiem, że naprzód ścisłego, zupełnego równouprawnienia być nie mogło i sam ukaz zawiera kilka zakazów, wyłącznie dotyczących żydów. Zabraniał im mianowicie nabywania gruntów włościańskich, w tabelach prestacyjnych z r. 1846 oznaczonych, „dopóki robocizna przymusowa z tych osad należna, na okup prawny zamienioną, albo czynszem wieczystym zastąpioną nie zostanie“; zabraniał im w dobrach przez siebie nabytych w ciągu pierwszego dziesięciolecia sprawowania urzędu wójta gminy lub zastępcy tegoż; zabraniał korzystania z prawa kollacji

i prezentowania kandydatów na posady duchowne; zabraniano im nakoniec prowadzenia ksiąg handlowych, korespondencji, zawierania umów, zobowiązań, sporządzania testamentów w żargonie żydowskim lub za pomocą alfabetu hebrajskiego. Skoro więc było tyle zakazów, zakazów koniecznych i nieuniknionych i dotyczących wyłącznie żydów, świadczyło to, jak nawet w umyśle prawodawcy wątplą okazała się idea asymilacji, jak niebezpiecznym, upartym, zasklepionym w sobie był ten żywioł, kiedy nawet w akcie równouprawnienia bronić się przeciw niemu trzeba było. Czas późniejszy okazał, że żydzi nie złączyli się z narodem, że ciągle stanowili i stanowią odrębną wśród Polaków całość, nie odczuwającą wcale ani cierpień, ani radości narodowych, obojętną zupełnie na jej losy; że nie stworzyli mieszczaństwa polskiego, jak o tem marzył margrabia, że w walce z rewolucją wcale go nie poparli, że jednym słowem akt emancypacji żydowskiej krajowi żadnej korzyści nie przyniósł. Pewna, bardzo ograniczona zresztą liczba żydów, którzy się uznali Polakami, którzy godnie i gorliwie spełniają obowiązki obywatelskie względem kraju, stanowią tak nic nie znaczący procent, że on nie zrównoważy nigdy strat, jakie masy ciemnego żydostwa przynoszą społeczeństwu, do czego im bardzo wiele dopomagało prawo przez Wielopolskiego wyjednanę. Był to drugi jego błąd, nieudolności wzniesienia się ponad wyobrażenia wieku, zarażonego pseudoliberalizmem mieszczańskim. Naród, który w tak nieszczęśliwym jak Polacy znajduje się położeniu, nie powinien oddawać nikomu do rąk ostatnich swych atutów, ani interesów swych poświęcać dla jakiejś liberalnej mrzonki. Z nieszczęściem, jakie w tej epoce spadły na Polskę, jedni żydzi tylko korzyść wynieśli i z czasem korzyść tę zwrócili przeciw nam samym.

Ukaz o równouprawnieniu żydów przyjęto w społeczeństwie polskim bardzo dobrze. Przewrót, jaki od roku zrobił się w umysłach, odnośnie do żydów, zwanych teraz „Polakami mojżeszowego wyznania“, był niejako podstawą tego prawa, którego konieczność uznawano, i które przed

urzędowym ogłoszeniem od dawna już w życie weszło samą siłą prądu, wykwitłego z łona społeczeństwa polskiego. Żydów wybierano do Rad miejskich i powiatowych, w Radzie stanu zasiadał żyd Matyas Rosen, w synagogach rabini głosili mowy patryotyczne i odsiadywali zato w cytadeli¹⁾, wkupili się niejako cierpieniem do ojczyzny. W samym społeczeństwie od czasu dni marcowych zeszłorocznych, od nigdy niezapomnianych „polskich czasów“, nadzwyczajnego podniesienia ducha ogólnego, zapanowało względem żydów uczucie braterstwa i miłości serdecznej. Starano się ich wszelkimi siłami przygarnąć, przyciągnąć do siebie, podnosić do wyżyn tej idealnej, tej wzniosłej miłości ojczyzny, która tak niezwykły, tak piękny, pomimo wszystkiego, nadaje koloryt tej epoce, jedynej w historii. Żydzi przyjmowali to wszystko, w słowach byli szczodrzy, czasem nie żalowali pieniędzy, ale byli nadzwyczaj ostrożni w czynach i działaniach swoich. Jeżeli Bogu zapalili świeczkę, to dyabłu z pewnością dwie postawili.

Z takimi to prawami i instytucjami nowymi, przybył margrabia w połowie czerwca (dnia 14) do Warszawy, w nowej swej godności naczelnika rządu cywilnego. Porzucał stolicę caratu po długim i męczącym w niej pobycie, pełen najlepszych nadziei, przekonany, że kraj wprowadził na drogę szczęśliwej przyszłości, i pewny, że będzie w War-

¹⁾ Charakterystyczne zdarzenie, dosadnie malujące nastrój chwili, przytoczyć nam tu wypada z rękopismu współczesnego. Oto, co tam czytamy: „Kiedy ustanowioną była Rada stanu i bankier Matyas Rosen został do niej powołany, wydał ucztę u siebie, na którą zaprosił wiele wybitniejszych osób z miasta. Przy uczcie wznoszono liczne toasty i mówiono wiele pięknych o braterstwie rzeczy. Rozrzewniony gospodarz zbliżył się do starego swego znajomego i przyjaciela, znanego mecenasa Wincentego Majewskiego i ze łzą w oku rzekł: „cóż ty na to Wicusiu Kochany? widzisz żyda w Radzie stanu! czyś widział co podobnego?“ Wszyscy umilkli, a Majewski z niemniejszym rozrzewnieniem odrzekł: „widziałem kochanku coś lepszego, bo żyda w cytadeli nie na licytacji. Dlatego i ty siedzisz w Radzie stanu“. Więc wszyscy się popłakali i wśród łez, pocałunków, okrzyków: Kochajmy się! zakończono tę ucztę“.

szawie przyjęty jak tryumfator, jak zwycięzca, bo zaiste! wielkie odniósł zwycięstwo, pokonał zakorzenioną głęboko w rządzie rosyjskim nieufność, niechęć i niewiarę do nas. W ostatnich chwilach usiłował wyjednać jeszcze kilka nowych, drobnych wobec tego co już otrzymał, koncesyi. Prosił więc, by przywrócono kolory narodowe, „jako zewnętrzną oznakę uznania zasady narodowości, dawno wypowiedzianej w publicznych odezwach i dokumentach“¹⁾. Chciał, by nadano barwy polskie polskiemu pułkowi gwardyi, który myślał, że będzie utworzony. Ale odmówiono mu tego, przez tę szczególną, rządowi rosyjskiemu tylko właściwą oględność czy obawę przed wszelkiemi oznakami zewnętrznymi. Zgodzono się na polskie wychowanie młodzieży, na zupełną autonomią kraju, a nie chciano się zgodzić na barwy polskie, jak gdyby te groziły całości państwa.

Na odjezdnem już samem odwiedził Wielopolskiego poseł francuski przy dworze petersburskim, pan Fournier, który stale okazywał margrabiemu przez czas jego pobytu nad Newą niezachwianą przyjaźń. Z głęboką znajomością jego serca i charakteru, zacny ten Francuz, rzucił mu na pożegnanie taką przepowiednię, która niestety! na nieszczęście Wielopolskiego, a co większa, na nieszczęście ojczyzny jego spełnić się miała zupełnie: „Jedziesz, mówił dyplomata, by spełnić wielkie dzieło i trzeba, byś z góry był zrezygnowany na to, że je tylko przygotujesz, a nie dokonasz. Sprawa przerobienia ducha narodu, sprowadzenia go z drogi zapału, namiętności i żalu, na drogę rozsądku, jest sprawą wymagającą długiego czasu. Nie jest to jednakże niemożliwem, i największymi wrogami twymi nie będą ci, którzy nie rozumieją twych idei i twych celów, ale ty sam, twa duma. Będziesz chciał złamać to, co ci opór stawia, a wtedy sam możesz być złamany, a z tobą twe serce i twe idee“. Margrabia ze łzami w oczach rzucił się w ramiona posła i zawołał: „Któż ty jesteś, co mi mó-

¹⁾ *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 327.

wisz to, czego mi nikt jeszcze nie powiedział? Istotnie, musisz mię bardzo kochać. Nie zapomnę nigdy twej uwagi, bym się strzegł dumy własnej!“¹⁾

Niestety! nie strzegł się jej wcale. Owszem teraz, w poczuciu zwycięstwa, jakie odniósł w Petersburgu, w poczuciu swej siły, urósł w dumę niepomierną i rad ją każdemu okazywał, co nadzwyczajnie odeń odtrącało ludzi. Powtarzamy, przekonany był, że wszystkie dawne uprzedzenia, wszystkie nienawiści, cała niepopularność, jakiej doznawał w kraju, zniknie teraz wobec wielkiego, patryotycznego dzieła, jakiego dokonał, i że będzie przyjęty z otwartymi rękami. Tymczasem przyjęcie było bardzo chłodne, bardzo nieufne i pełne obojętności. Zrobiło to na nim bardzo przykre wrażenie, którego do śmierci podobno nie zapomniał²⁾. Ze sobą, dla wprowadzenia w wykonanie nowych praw i utworzenia nowego rządu polskiego, wiozł kilka osobistości, które zwerbował w Petersburgu. Między innymi, na dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, na miejsce nielubianego Hubego, sprowadzał, całkiem dotąd w kraju nieznanego, Kazimierza Krzywickiego, co wielu obraziło i powszechnie się nie podobało. Urodzony na Wołyniu, po ukończeniu uniwersytetu w Dorpacie, osiadł w Petersburgu, wstąpiwszy zaraz do ministerjum spraw wewnętrznych, a potem do kancelaryi cesarskiej, nie znał kraju, nie pojmował jego gorączki, chłodny typ Polaka, dobrego niezaprzeczenie, ale wyziębionego mocno i kończącego z czasem na polityce samobójstwa. Z natury nerwowy nadzwyczajnie, wysoko wykształcony, podczas pobytu Wielopolskiego w Petersburgu zawiązał z nim bliższe stosunki i, zdaje się, poparty przez W. księcia Konstantego, któremu dawał lekcye języka polskiego, otrzymał wysokie stanowisko dyrektora Komisji oświecenia. Nie-

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 306.

²⁾ *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 447 opowiada, że margrabia, bawiając już w Dreźnie, wspominał, że „największym dlań zawodem było przyjęcie doznane w Warszawie, gdy wrócił jako naczelnik cywilnego rządu Królestwa Polskiego“.

wątpliwie był do tego uzdolniony; reorganizacją szkół przeprowadził szybko i dobrze, ale w oczach ogółu, w oczach licznej sfery urzędniczej warszawskiej, uchodził za intruza, za kreaturę margrabiego. Późniejsze skandaliczne historie domowe z żoną, która, urodziwszy mu czworo dzieci, opuściła go i poszła za znanego w Warszawie lekarza, powszechnie wiadome i powtarzane przez stugębną plotkę, nie mogły mu przysporzyć szacunku i sympatii w kraju. Nominacja jego nastąpiła przez ukaz z Carskiego Sioła d. 8 czerwca, a w Warszawie w kilka dni potem ukazała się karykatura, wyrysowana przez głośnego później malarza, Juliusza Kossaka, którą publicznie po księgarniach sprzedawano ¹⁾, przedstawiająca margrabiego konno w postaci posągu króla Jana III na moście Łazienkowskim, z rulonem papierów w ręku, traktującego nie Turków, ale Hubego i Kruzensterna.

Albowiem i Kruzenstern, przy tych ogólnych zmianach, został i musiał być usunięty z bardzo ważnego dyrektorstwa Komisji spraw wewnętrznych. Przy nadanej Królestwu autonomii, człowiek taki, wróg nieprzejednany Polaków, działający przez cały czas swego urzędowania na wyraźną szkodę kraju, w żadnym razie nie mógł pozostać. Czuł on to dobrze i jak tylko wieści o powierzeniu zarządu cywilnego Wieloposkiemu się potwierdziły, sam podał się do dymisji, na co cesarz zgodził się jeszcze dnia 6 czerwca ²⁾, a w dwa dni potem nastąpiła nominacja na to wysokie stanowisko, znanego nam już męża pięknej, złotowłosej pani Keller, hrabiego Edwarda Kellera, szambelana i gubernatora mińskiego. Nominacja ta niemałe wywołała zdziwienie w kraju, gdyż o Kellerze nic nigdy tu

¹⁾ *Oczwiedec* (Posledniaja polskaja smuta, loc. cit. 144), widział ją w oknie księgarni Gebethnera i Wolffa na Krakowskim Przedmieściu. Karykatura ta dziś jest wielką rzadkością.

²⁾ Depesza do Lüdorsa z d. 6 czerwca (27 maja): „na prośbę rady tajnego Kruzensterna o uwolnienie go od obowiązku dyrektora głównego Komisji spraw wewnętrznych, z pozostawieniem go członkiem Rady stanu, zgadzam się“.

nie słyszano i robiono zarzut Wielopolskiemu, że jakąś nieznaną osobistość sprowadził z Petersburga, by była powolnem jego narzędziem. Tymczasem Wielopolski nie temu nie był winien. Rząd rosyjski, nie bez słuszności, ze wszystkich ministerjów polskich zawsze Komisyą spraw wewnętrznych uważał za najważniejszą i od r. 1831 stale powierzał jej zarząd Rosyanom. Gdy więc przy reorganizacji obecnej rządu polskiego przyszła na stół kwestya obsadzenia wzmiankowanego dyrektorstwa po niemożliwym i zresztą usuwającym się Kruzensternie, chciano w Petersburgu, według dawnego zwyczaju, stanowisko to oddać Rosyaninowi. Margrabia oczywiście chciał Polaka, ale gdy spostrzegł, że żądanie jego przeprowadzonym być nie może, przedstawił kandydaturę Kellera, którego żona bawiła ciągle nad Newą, zabiegała o to usilnie i głośno się odzywała, że jest „polityczną aliantką“ Wielopolskiego. Keller zresztą uchodził za człowieka cichego i spokojnego, dobrego administratora, niezłe widziany był przez cesarza, w Mińsku cieszył się sympatją mieszkańców, wreszcie jako mąż swej żony, manifestującej wyraźnie swe uwielbienie dla margrabiego, dawał niejako rękojmią, że przynajmniej bruździć nie będzie¹⁾. Później miał się przekonać margrabia, że był to łapownik szkaradny, a jego żona w Warszawie uchodziła za ladacznicę, co nawet dało powód do napisania przez jakiegoś pokątnego poetę ohydneho czterowiersza o tej osobliwszej parze, obiegającego po całej Warszawie. W każdym razie Keller nie przynosił zaszczytu nowemu rządowi polskiemu, ale w tej chwili o tem jeszcze nie wiedziano, i zaiste lepszy był Keller jak Kruzenstern, lub inny tegoż pokroju człowiek.

Stronnictwo Czerwonych, a raczej jego prasa tajna, zachowywała się wobec zapowiedzianych reform, ze zwykłą sobie taktyką. Nie zaprzeczała temu, że są one ważne i dobre, ale nie wierzyła w ich urzeczywistnienie. „Straż-

¹⁾ *Lisicki*, Kwartalnik historyczny, zeszyt IV, z 1894 r.

nica“¹⁾, notując plotki uliczne, a może sama je koncypując, pisała: „jak mało rząd moskiewski te małe pseudo-reformy ceni, i jak mało stara się o nadanie im cechy prawdy, dowodzi między innymi ciągle trwający stan oblężenia i wszystkie jego okrucieństwa i bezprawia. Powiedzieli nam: „no, już teraz będą prawdą reformy!“, a po chwili w sposób zupełnego gwałtu wydeportowali z miasta kilkanaście kobiet, wygnali na stepy azyatyckie wiele młodzieży, nachwyтали na ulicy i po domach mnóstwo osób, jednym słowem zadali zaraz fałsz obietnicom swoim. Owszem. tak dalece się nie tają, że to co robią jest krótkotrwałą farszą, iż znany dobrze Kriżanowski, wyjeżdżając, rzekł: „nie długo to będzie tej folgi, bo gdyby tak było, to może jaki rewolucjonista podpisywałby pasporthy. Rząd musi iść po staremu, a ja tu znów wrócę“. Piłsudski i jego przyjaciel Niszniowski toż samo mówią i twierdzą, że jakby nam dzisiaj pozwolili nosić laski, tobyśmy wkrótce z rewolwerami chodzili... Bezmyślny Lüders swojemi odezwaniem się utwierdzał nas także w przekonaniu, że owe nastąpić mające odmiany są tylko komedią niezręczną. Niema nic pewnego i szanowanego u najazdu, który nigdy nie zmienia swych zasad i systemu, a reformy rozumie przez zmianę osób. Nowe osoby mogą tak prędko wylecieć, jak dawniej będące. Pierwszy lepszy faworyt, gdy trafi pochlebstwem do przekonania cara, występuje na widownią, głosi odmiany, a stary stan rzeczy w niczem się nie zmienia. Niema żadnej gwarancyi, bo wszystko zależy od humoru cara. Któż więc może wierzyć, mając zdrowe zmysły, drukowanym i niedrukowanym obietnicom i różnym projektom? Zle grają swoją rolę ciemniznicy nasi i nie potrafią nawet nadać pozoru rzeczywistości swym odmianom i niby reformom. Oszustwo od początku do końca i nic nad oszustwo!“.

Zdawałoby się, że ciągle powtarzająca się ta sama taktyka prasy tajnej powinna była znudzić czytelników i wzbudzić ku sobie niewiarę. Gdzietam! piśmiennictwo

¹⁾ Nr. 12 z d. 2 lipca 1862 r.

tajne miało w sobie urok nieprzeparty dla ogromnej większości narodu i w słowa różnych „Strażnic“, „Pobudek“, „Szczerbców“ i t. p. wierzone jak w Ewangelię.

Wielopolski przybył z Petersburga razem z Krzywickim i Enochem i zajął mieszkanie w pałacu Brühlowskim, którego już do końca swych rządów nie opuszczał. W dwa dni po tym przyjeździe, d. 16 czerwca, nastąpiła uroczysta instalacja Krzywickiego na dyrektora Komisji wyznań i oświecenia. Wielopolski przy tej sposobności wygłosił mowę, pełną tych ciężkich, jakby z żelaza ukutych zwrotów, zawitych nadzwyczajnie, jakie mu były właściwe. Twierdził więc, że „ziszczenie reformy wychowania zupełne, przez mierne wykonanie tego prawa od nas teraz zależy“, że wykonie to „bez czczych pozorów i przewłok prowadzone będzie“, że „tą drogą sumiennie postępując, odpowiemy wszyscy wielkości zaufania, jakie najjaśniejszy pan swemi rozporządzeniami w rządzie krajowym położył; odpowiemy także oczekiwaniom dostojnego naszego namiestnika, brata cesarskiego, którego najlepsze dla kraju naszego chęci w osobistej z nim pracy poznać nie jedną miałem sposobność“; napomknął, że „panujący“, powołując go na naczelnika rządu cywilnego, „zarazem rozkazał raczył, aby był bezpośrednim zwierzchnikiem Komisji rządowych“. Wreszcie, wspominając o nowem prawie, dotyczącem oczyszczania z urzędu, „które tak ważne we względzie cywilizacji(?) dla kraju skutki rokuje“, zaznaczył, że w naradach brał udział obecny namiestnik Królestwa, że „w naradach tych, dla mnie pamiętnych, dostojny nasz namiestnik okazał głębokie i zdrowe ocenienie prawdziwych potrzeb kraju naszego, oraz życzliwe dla nas usposobienia, które pod względem rządów jego w Królestwie w zawodzie także wychowania publicznego najpiękniejsze nadzieje rokują. Zająć się niezwłocznie wielkiem swoim powołaniem usilnie pragnie w. książę; przyjazd jego wśród nas, opóźniony dla familijnych tylko okoliczności, wkrótce nastąpi; do nas tymczasem należy pracą we wszystkich gałęziach administracji, pod przewodnictwem czcigodnego jego zastępcy

JW. hrabiego Lüdersa, przygotować dla niego drogę, aby zarówno oczekiwaniom namiestnika jako i dobrotliwym zamiarom monarchy naszego, oraz oczekiwaniom kraju odpowiedzieć“.

O wiele piękniejszą, głębszą i bardziej polityczną od tych ciężkich, niesfornie powiązanych zdań, była mowa Krzywickiego. Wyraziwszy zaszczyt, jaki go spotkał przez powołanie na przewodnika Komisji, bo „samo przez się jest już wielką chlubą być pierwszym sługą krajowej oświaty i pierwszym stróżem praw, pod których dobroczynną opieką stowarzyszenia religijne oddają cześć Stwórcy“, zwrócił się do swych przyszłych podwładnych z określeniem wielkiego zadania, jakie ich czeka. „Piękne zaiste i obszerne pole otwiera się przed nami. Lecz, aby je godnie uprawiać, nie tylko pracy, potrzeba nadto i odwagi cywilnej; tej wielkiej cnoty, której Opatrzność wymaga po każdym prawym obywatelu, a tem bardziej po każdym, komu jest danem jakikolwiek urząd publiczny piastować. Tej od was panowie oczekuję, wymagać będę; bo bez niej nie zdołalibyśmy spełnić dobroczynnej woli najj. pana, aby światło było w kraju. Szlachetne umysły nagrodzą nas uznaniem; na okrzyki nierozważnych zważać nie będziemy. A światło w kraju być powinno i... będzie“¹⁾.

W kilka dni potem (d. 21 czerwca), Wielopolski instalując Łuszczewskiego, mianowanego dyrektorem wydziału przemysłu i kunsztów w Komisji spraw wewnętrznych, wspomniał kilku słowy o nowym dyrektorze głównym tejże Komisji. „Hr. Keller, mówił, mnie osobiście i z dobrej strony znany, wielkie zasady przez najj. pana co do włościan i co do żydów w nadanych ustawach, oraz co do uproszczenia i reformy administracyi, uświęcone, zemną w zupełności podziela i jedną drogą postępować będziemy“. Wreszcie zapowiedział bliskie przybycie W. księcia Konstantego w tych słowach: „reformy, jakie przeprowadzić

¹⁾ Obie te mowy czytać można w całości w ówczesnych dziennikach warszawskich, oraz u *Lisickiego*, Al. Wielopolski II, 411 i nast.

mamy, wymagają we wszystkich odnogach służby publicznej rąk czystych; prawość i zacność urzędnika są podstawą jego powagi. Nie inne są w tej mierze myśli dostojnego namiestnika królewskiego, którego przybycie wśród nas z dnia na dzień coraz goręcej dla Polski upragnione, pracą naszą poprzedzić mamy“.

W rzeczy zaś samej W. książę, jak wiemy, nie miał przybyć tak prędko. W depeszy z d. 8 czerwca do Lüdersa, cesarz zapowiadał, że nowy namiestnik nie zjedzie do Warszawy wcześniej jak za sześć tygodni, a zatem mniej więcej w połowie lipca, gdyż w tej porze spodziewano się rozwiązania ciężarnej żony Konstantego, nie chcąc jej narażać w takim stanie na trudy dalekiej podróży. Tymczasem zaszły w Warszawie wypadki, które przyspieszyły ten przyjazd i na całą sytuacją, przedstawiającą się tak jasno i pogodnie, rzuciły ponury cień grozy. Ten cień, tę grozę sytuacji stanowiła sprawa trzech nieszczęśliwych młodzieńców: Arnholda, Śliwickiego i Rostkowskiego, osadzonych w cytadeli i oskarżonych o spisek wojskowy.

Sprawa ta ciągnęła się dość długo, a w Petersburgu nadzwyczajnie się nią interesowano i cesarz dnia 29 maja przez depeszę telegraficzną dopytywał się: „na czem skończyło się śledztwo?“ Komisya wojenna, wyznaczona do prowadzenia indagacji, zaznaczając, że jakkolwiek przestępstwo „dokonane było przez niedorostków (malczikami), wszelako ze względu na utrzymanie dyscypliny w wojsku, musi podlegać najsurowszej karze, odpowiednio do praw wojennych, obowiązujących w kraju“. Jakoż Lüders przez rozkaz do pierwszej armii z d. 17 czerwca, oddał wszystkich oskarżonych, w liczbie sześciu, pod sąd polowy, pod prezydencją generała Aleksiejewa zebrać się mający, z tem wszelako zastrzeżeniem, „żeby wyrok na nich wydany był na podstawie praw wojennych, a sam sąd ukończony w ciągu pięciu dni“¹⁾. Sąd też nie zwlekał długo i w oznaczonym terminie wydał wyrok, mocą którego porucznik Jan Arnhold,

¹⁾ *Teobald*, Wspomnienia IV, 46.

podporucznik Piotr Śliwicki 2-gi, podoficer Franciszek Rostkowski, skazani zostali na śmierć przez rozstrzelanie; porucznik Bazyle Kapliński na pozbawienie wszystkich praw stanu i zesłanie do robót ciężkich na lat sześć; porucznik Stanisław Abramowicz na więzienie w kazamatach twierdzy przez trzy miesiące, a następnie dozór policyjny przez trzy lata; nakoniec szeregowiec Leon Szczur na sześćset kijów¹⁾, a następnie do ciężkich robót na lat dwanaście. Wyrok ten bardzo surowy, bardzo krwawy da się tylko wytłumaczyć, bo nigdy usprawiedliwić, ówczesnem położeniem politycznem Polski i Rosyi, tymi wichrami rewolucyjnymi, które przebiegały po obu tych krajach i ponure widmo trwogi budziły w rządzie. Jenerał Lüders wyrok zatwierdził d. 26 czerwca, i zaraz okrutny Bremsen, który miał za rok zyskać sobie sławę z rabunków i pastwienia się dzikiego nad powstańcami, bez żadnej potrzeby uwiadomił o tem skazanych²⁾. Tegoż samego dnia, w nocy, z obawy, by w chwili wykonania wyroku żołnierze garni-

¹⁾ *N. Berg*, Zapiski II, 273, powiada, że Szczur był skazany na 4000 kijów. Nie wiemy, na czem autor oparł tę wiadomość. W ogłoszeniu urzędowem wyroku, pomieszczonem w „Kuryerze wileńskim“ i przedrukowanem w d. 15 lipca przez wszystkie dzienniki warszawskie, czytamy: „żołnierza Szczura.... ukarać szpicróżgami przez stu ludzi sześć razy“.

²⁾ *Teobald*, loc. cit. tak to opowiada: „d. 14 (26) czerwca 1862 r. członek naszej komisji śledczej, kapitan von Bremsen, uwiadomił pułkownika Miaskowskiego i mnie, że potrzebuje koniecznie widzieć się ze skazanymi. Jeszcze podczas śledztwa postanowiliśmy, że żaden z nas nie może sam jeden odwiedzać aresztowanych. Po ukończeniu sądu, prosiliśmy Lüdersa o pozwolenie, żeby Arnhold i Śliwicki siedzieli w jednej celi, czego obaj usilnie się domagali. Przypuszczając, że v. Bremsen ma coś oznajmić skazanym z rozkazu wodza głównego, pojechalśmy we trzech do cytadeli. Gdyśmy weszli do celi Arnholda i Śliwickiego, Bremsen rzekł: „panowie przygotujcie się! dowódca główny zatwierdził wasz wyrok śmierci. Dziś w nocy wywiozą was do twierdzy nowogrodzkiej (Modlina) i tam zostaniecie rozstrzelani“. Arnhold zbladł i ciężko padł na krzesło, a nerwowo Śliwicki gorzko zapłakał. „Zmiłuj się pan, rzekł, ja jestem jeszcze tak młody, ja chcę żyć! Błagam głównego dowódcę,

zону warszawskiego nie wymówili posłuszeństwa¹⁾ wywieziono wszystkich skazańców do Modlina w zamkniętych omnibusach. Za nimi powiózł konfirmacją namiestnika generał deżurny Han i wyrok sam wykonał d. 28 czerwca²⁾, w rowie twierdzy modlińskiej, przy pomocy batalionu pułku estońskiego piechoty. Oficerowie szli spokojnie i cicho na śmierć, jeden tylko podoficer Rostkowski głośno prosił batalion egzekucyjny, „by celowali dobrze, prosto w serce!“³⁾. Śliwicki, otrzymawszy dwanaście kul, żył jeszcze; dobił go wystrzałem z pistoletu feldwebel⁴⁾. Takie miał rozwiązanie ostateczne i krwawe ten ponury dramat, jeden z najpóźniejszych w tej epoce. Śmierć trzech młodzieńców była początkiem tej strasznej listy, która przez ciąg trzech przeszło lat ciągnie się jak nić purpurowa przez karty dziejowej tej doby i nadaje jej niezwykle posępny koloryt; była pierwszym aktem najtragiczniejszej zaiste tragedyi.

Więści o aresztowaniu oficerów, o odkryciu spisku

by dał nam możność zatarcia naszej winy i zostania pożytecznymi synami ojczyzny!“ Po wyjściu z celi, pułkownik Miaskowski spytał von Bremsena: „jakiem prawem pan o tem powiedziałeś skazanym? jeżeli taka jest wola dowódcy głównego, to dlaczego ja, prezes, nie o tem nie wiem?“ — „Żadnych rozkazów od hrabiego nie otrzymałem! — odrzekł z uniesieniem Bremsen — zresztą pan już nie jesteś prezesem; ale dowiedziałem się, że hrabia dziś potwierdził wyrok śmierci i dlatego uważałem za powinność uprzedzić przestępców, żeby się oswoili z myślą o śmierci“. „I umierali przez kilka dni! — wtrąciłem oburzony — umierali śmiercią powolną, gdy każda chwila wydaje się wiecznością. Jest to z pańskiej strony okrucieństwo!“ Wróciłem do celi z Miaskowskim: „uspokójcie się panowie! — rzekłem do młodych ludzi. Wiercie Bremsenowi tylko w połowie; wyrok wasz w rzeczy samej jest zatwierdzony i przewiozą was dziś do Nowogiejorgiewska; ale powiem wam pod największym sekretem, że dowódca główny rozkazał spełnić tylko nad wami obrządek kary śmierci, to jest wdziać na was koszule śmiertelne, nawet przywiązać do słupa, a potem oznajmić o ulaskawieniu“. Miaskowski gorąco uściskał mię za rękę“.

¹⁾ Loc. cit. 51.

²⁾ Nie 26 czerwca, jak twierdzi *Berg*, Zapiski II, 273.

³⁾ *Teobald*, loc. cit. 52.

⁴⁾ *Z. Kolumna*, Pamiątka dla rodzin I, 10.

wojskowego, o śledztwie, sądzie i wyroku piorunem rozbiegały się po Warszawie, tak się niemi wszyscy interesowali. W sferach rewolucyjnych, w Komitecie, który przez Dąbrowskiego porozumiewał się z oficerami, aresztowanie Kaplińskiego i Abramowicza wywołało pewien popłoch, gdyż w razie najmniejszych z ich strony zeznań mogło spowodować nowe aresztowania, sięgnąć do rdzenia organizacji rewolucyjnej. Powoli jednak, gdy śledztwo, wlokąc się dość długo, nikogo więcej nie pociągało do zeznań, gdy się dowiedziano, że właściwie spisku żadnego nie było, a główni obwinieni: Arnhold i Śliwicki, prócz agitacji między żołnierzami, o niczem innem nie wiedzą, uspokojono się i oczekiwano z natężoną ciekawością wyroku w tej sprawie. W mieście zresztą, w opinii ogółu powszechnie było przekonanie, że aresztowani oficerowie będą uwolnieni, że karać ich poprostu niema zaco ¹⁾. W kołach zaś oficerskich, które to samo co Arnhold i Śliwicki robiły, które agitowały między żołnierzami, a nawet w związki z partją polską ruchu wchodziły, z niemniejszym niepokojem oczekiwano na wyrok. Przez aresztowanie zresztą kilku oficerów, agitacja wśród wojska wcale nie ustała. Na Lesznie policya w czasie procesyi d. 26 czerwca znalazła podrzuconą odezwę, po rosyjsku pisaną, p. t. „Oficerowie rosyjscy do żołnierzy wojsk rosyjskich w Polsce“. Na małej ćwiartce bibulastego papieru, szczotką odbita, odezwa ta, odmalowawszy naprzód smutne położenie żołnierza rosyjskiego, powiada w końcu: „ojcowie i bracia wasi powstałi już przeciw cesarzowi i właścicielom ziemskim, domagając się słusznie dla siebie ziemi i swobody, wyciągają ku wam ręce, błagając o pomoc. Czyż będziecie obojętnymi widzami zguby wszystkich krewnych i bliźnich waszych? czyż mamy zasłużyć na słuszne ich przekleństwa? Nie, nie, utworzymy wolne drużyny i pójdziemy do Rosyi na pomoc naszym. Wszystko, co będzie przeszkodą ku wypełnieniu tego obowiązku świętego, wszyscy okrada-

¹⁾ N. Berg, Zapiski II, 273.

jący i uciemierzający nas muszą zginać; niech ich krew zmyje hańbę rzuconą na imię rosyjskie, przez przelanie krwi niewinnej włóścian rosyjskich i Polaków, wylanej z ich rozkazów. Polacy gotowi są do powstania, podobnie jak ojcowie wasi i bracia za swobodę swoją, za swoją ziemię. Wyciągają oni do was rękę pomocy, złączmy się z nimi i nic nie będzie w stanie nam się oprzeć. Nasze drużyny wolne, poparte przez ich przyjacielskie pułki, przejdą przez Rosyą z okrzykiem zwycięstwa i swobody. Nasze zwycięstwa dadzą swobodę i ziemię ojcom, braciom i dzieciom waszym i pozwolą wam wrócić na łono rodzin waszych. My, oficerowie wasi, gotowiśmy dać głowę za swoją i waszą wolność, za wolność narodu rosyjskiego i polskiego, poprowadzimy was przy pomocy Bożej na tę walkę świętą. Towarzysze! powiemy wam kiedy i co robić należy; czyż braknie wam odwagi pójścia za nami?¹⁾ Współcześnie z tą odezwą zaszły nowe aresztowania oficerów w 6-ym batalionie strzeleckim. Dwaj podporucznicy Fenin i Reinhardt zdołali zbiedz, trzeciego Monastyrskiego osadzono w cytadeli²⁾. Wszystko to spowodowało, że wykonanie wyroku na Arnholdzie, Śliwickim i Rostkowskim przyspieszono, że go potajemnie spełniono w Modlinie, nie dowierzając wojskom konsystującym w Warszawie, a sam wyrok i jego wykonanie dopiero w lipcu i do tego w „Kuryerze wileńskim“ ogłoszono.

Wogóle rząd miał przeświadczenie, że propaganda wśród wojska w samej Rosyi bardzo szerokie przybrała rozmiary, a pojedyncze fakta, ciągle oprócz wyżej wymienionych się pojawiające, zdawały się to przekonanie potwierdzać. W Warszawie, oficerowie szóstej brygady artylerji, stojącej obozem na Powązkach, porucznicy: Ogorodnikow, Daniłowicz i Zein, zamówili nabożeństwo żałobne za „sługi Boże: Jana i Piotra, wojowników, którzy na polu

¹⁾ Odezwę tę w oryginale pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 8.

²⁾ *Pawliszczew*, *Siedmicy* II, 102.

walki żywot swój położyli¹. Pop nabożeństwo odprawił, ale potem przyszło mu na myśl, że owym Janem był zapewne Arnhold, a Piotrem: Śliwicki, doniósł o wszystkim władzy. Ogorodnikow i jego koledzy zostali przyaresztowani i kilkoletniem więzieniem w kazamatach cytadeli i Modlina winę swą odpokutować musieli¹). W piątym batalionie strzeleckim znowu, obozującym także na Powązkach, silne oburzenie wywołał nietaktowny postępek Chrulewa. W kilka dni po rozstrzelaniu trzech nieszczęśliwych marzycieli, na jakimś przeglądzie, Chrulew, zbliżywszy się do rzezonego batalionu, zawołał do żołnierzy: „wiar! (rebiata), jeżeli między waszymi oficerami znajdują się tacy nیکczemnicy (podlecy) jak w czwartym batalionie strzeleckim, to rozkazuję wam wziąć ich na bagnety!“²). Słowa takie, podrywające dyscyplinę w wojsku, świadczące zresztą jak różnorodne, nieomal szalone prądy przebiegały po szeregach, począwszy od generałów a skończywszy na żołnierzach, wywołały powszechne wśród oficerów oburzenie. Posypały się skargi zbiorowe na Chrulewa, co w żadnym razie przyczynić się nie mogło do uspokojenia umysłów. Żal po rozstrzelanych był powszechny, fotografie ich rozkupywano tak, że nakazano je niszczyć i zabroniono surowo ich kopiowania we wszystkich zakładach fotograficznych³). W Petersburgu oficerowie akademii sztabu jeneralnego zarządzili nabożeństwo za Arnholda i Śliwickiego w jednej z cerkwi dzielnicy miasta, zwanej „częścią Petersburską“, za co, gdy się wydało, dwudziestu kilku wydalono⁴).

Wszystkie te fakta świadczyły, jak wielki, jak powszechny żal i oburzenie obudziła śmierć trzech nieszczęśliwych młodzieńców. Oburzenie to nakoniec znalazło wyraz

¹) Ogorodnikow opisał później swe więzienie w „Istoriczeskim Wiestniku“ z r. 1882 p. t. „Dziennik więźnia“ (Dniewnik zakliczenago).

²) *Teobald* loc. cit. IV, 52.

³) *Z. Kolumna*, Pamiątka I, 10.

⁴) *Ferdynand W.*, Pamiętniki (rękopism).

w niespodziewanym, przez nikogo nieoczekiwanym zamachu na życie Lüdersa, zamachu, który wstrząsnął do głębi społeczeństwem polskiem, który wywarł olbrzymie wrażenie w sferach rządzących w Petersburgu i na losy kraju nie pozostał bez wpływu. Zamachu tego dokonano w dniu 27 czerwca, w przeddzień rozstrzelania trzech ofiar w rowie twierdzy modlińskiej. W kole oficerskiem warszawskiem, gdy się dowiedziano o wyroku, skazującym na śmierć Arnholda, Śliwickiego i Rostkowskiego, gdy rozeszła się wieść, że trzech skazańców przewieziono do Modlina, obudziła się chęć zemsty. Wśród tego koła znajdował się, znany nam już, Andrzej Potebnia, sztabskapitan i kwatermistrz pułku kostromskiego piechoty, konsystującego w Warszawie. Wiemy już, że był on w stosunkach z Komitetem miejskim, że był na owej naradzie, na której Giller pytał się oficerów, czy powstanie może liczyć na współdziałanie wojska. Był to człowiek nadzwyczaj zimny, charakteru zaciętego, surowy i niezachwiany. W takiej duszy, gdy raz obudzi się oburzenie, to oburzenie to musi z natury rzeczy przybrać formę zemsty i zemsty krwawej. Jakoż Potebnia postanowił zabić Lüdersa. Z zamiarem swoim zwierzył się tylko dwom ludziom w Warszawie: Jarosławowi Dąbrowskiemu i Ferdynandowi W* *¹⁾, którzy zresztą nie starali się wcale powstrzymać go od tego kroku²⁾. Do kroku tego, jeżeli

¹⁾ Loc. cit.

²⁾ Wiadomość podana przez *Ustimowicza*, (Zagowory, 9), jakoby zamach na Lüdersa urządził Chmieliński, a dokonał go Rodowicz (za którym podaniem poszedł *Berg* II, 278), lub Borelowski, albo wreszcie Oksiński, jest pozbawiona prawdy. Oksiński był wtedy w szkole wojskowej w Cuneo. Nasza relacja jest oparta na autentycznych danych. Że historycy rosyjscy umyślnie tę rzecz zagnatali, zwałając zamach na polskie stronnictwo ruchu, dowodzi ta okoliczność, że ówczesne władze rosyjskie w Warszawie nie pozbawione były pewnych danych co do istotnego sprawcy zamachu. *Pawliszczew* (Siedmicy I, 107 i 108) w swym tygodniowym raporcie, składanym cesarzowi, podaje jeszcze jakiegoś Kowalskiego, jako podejrzewanego o ten zamach i dodaje, że „pokazało się, że dwaj oficerowie pułku szlisselburskiego piechoty: podporucznik Zakrewski

wierzyć można doniesieniom pisarzy rosyjskich, zmuszała Potebnię niejako i ta okoliczność, że jako kwatremistrz pułkowy posiadał w swem zawiadywaniu kasę pułkową,

i podchorąży (praporszczyk) Dmuchowski, aresztowani, jako znajomi Kowalskiego, nie mieli żadnego udziału w sprawie; trzeci zaś podchorąży Wyszemirski, jako właściciel pistoletu (?), siedzi w cytadeli; czwarty zaś podchorąży (?) Potebnia, który między innymi skompromitował się roztrwonieniem pieniędzy skarbowych, zdołał zbiedz“. Na innym miejscu donosi, że „Kowalski się nie przyznaje“, poczem więcej tej sprawy wcale nie porusza. Bądź co bądź, przytoczenie nazwiska Potebni jest pośrednim dowodem prawdziwości naszych poszukiwań. W interesie rządu leżało, ażeby zamach zwalić na partya polską ruchu i rzecz całą jak najprędzej zamazać. Podanie o pistolecie, z którego niby miano strzelać do Lüdersa, a której to broni właścicielem był jakiś Wyszemirski, wydaje nam się fałszywym, gdyż strzelający pistolet ze sobą zabrał. W każdym razie i ten fakt dowodzi, że rząd natrafił na ślad prawdziwy i, z obawy odkrycia przed światem dezorganizacyi swej armii, rzecz całą starannie ukrył. *Oczewidniec* w swej pracy „Posledniaja polskaja smuta“ (Russkaja Starina XII, 142 z r. 1875) niekiedy dobrze poinformowany, zwłaszcza w rzeczach wojskowych, daje niejako poznać, że zamachu dokonał oficer, przez to, że pisząc o zatwierdzeniu przez Lüdersa wyroku w d. 26 czerwca, zaraz potem dodaje: „nazajutrz d. 27 czerwca... wymierzony był strzał“ Zestawienie jest tak zrobione, że najmniejszej nie pozostawia w umyśle czytelnika wątpliwości, iż sprawcą zamachu był wojskowy. W tekście przytoczymy jeszcze inne dowody. Że pisarze rosyjscy starali się dla honoru swej armii rzecz zaciemnić i zgammać, jest to bardzo naturalnem, ale trudno pojąć, jakie powody skłoniły pana *Henryka Lisickiego* do zwalania zamachu na Polaków. Píše on o tem wyraźnie w swem dziele (Al. Wielopolski I, 336), i jako przyczynę podaje, że „zamach na generała Lüdersa miał na celu przyjazd W. księcia i zmiany systemu nie dopuścić; pomylił jednak rachuby spiskowców (tak!) dostojny książę“. Na dowód tego swego, zaiste! bardzo ryzykownego twierdzenia, pan Lisicki przytacza taką, Bóg wie, skąd zaczerpniętą anegdotę, że „na początku miesiąca generał Lüders odebrał anonim, w którym „le chef de la société du *sawtage* (sic)“, groził rozpoczęciem wojny: „*préparez vous donc sublime gourverneur á passer le Styx*“. „Mordercy (mówi dalej pan Lisicki) nie ujęto; agitacya starała się winę zamachu złożyć na zemstę wojskowych, za podpisanie wyroków śmierci“. W całym tem twierdzeniu, co krok to fałsz. Chmieleński, bo on jeden tylko obawiał się przyjazdu W. księcia Konstantego i reakcyi, jakoby stąd

podobno roztrwonił z niej około 10.000 rs. i nie mając
czem zapłacić, zdecydowany był uciekać.

Sam zamach zresztą nadzwyczaj łatwo było wykonać.
Lüders od niejakiego czasu, korzystając z przeslicznej pory

powstać mającej, nie umiał wcale po francusku, był człowiekiem
bardzo mało wykształconym i listów takich pisać nie mógł. Przy-
tem w owe czasy niełatwo było, przy zamknięciu poczty miejskiej,
przesyłać listy anonimowe do namiestnika. Jeżeli w istocie Lüders
otrzymał taki list (bo pan Lisicki nie zwykł cytować źródeł swych
wiadomości), to mógł on wyjść tylko z grona wojskowych, którzy
mieli dostęp do Zamku, a francuzczyzna nieco petersburska zdaje
się za tem przemawiać. Tak zwana przez pana Lisickiego „agitacya“,
wcale nie zwałała winy zamachu na wojskowych, gdyż sama zdum-
miona była tym zamachem i owszem przez ambicyą, przyznać trzeba,
dość osobliwszą, przyjmowała go chętnie na swe sumienie. Owe po-
dania o Rodowiczu, Borelowskim, Oksińskim, Kowalskim, wreszcie
Pintowskim (słyszeliśmy to nazwisko od jednego z członków ówczes-
nego Komitetu Centralnego) i Cieleckim, o którym mówi Pawlisz-
czew, zebrane z ust więźniów w cytadeli przez Ustimowicza, świad-
czą wyraźnie, że ówczesna organizacya przekonana była, iż zamach
wyszedł z jej łona, i że wcale nie myślała go zwać na wojsko-
wych. Gdyby wreszcie ktoś z agitacyi zamachu dokonał, to rzecz ta
mogła się ukryć przez rok, dwa, dziesięć wreszcie, ale nigdy dłużej.
Dziś niktby nie miał powodu ukrywać nazwiska sprawcy; ten i ów
wygadałby się, bo przecież niepodobna przypuszczać, by nikt, abso-
lutnie nikt, o sprawcy zamachu nie wiedział. W cytadeli Rożnow
i osławiony Tucholka umiał wyciągać zeznania, byłby i to wycią-
gnął, a jeżeli jest inaczej, to najlepszy dowód, że strzał padł nie
z ręki polskiej. Nasze twierdzenie co do Potebni opieramy na do-
kumencie piśmiennym człowieka, który odgrywał bardzo wybitną
rolę wśród ówczesnych oficerów rosyjskich, i o wielu rzeczach wie-
dział, człowieka, o którego wiarygodności nie wątpimy; opieramy
się dalej na pośrednich relacyach Pawliszczewa i Oczewidka, o czym
wyżej już mówiliśmy. Jeżeli tu o tem wszystkim piszemy, to nie
dlatego, by stawać w obronie agitacyi polskiej (jeden zamach więcej
czy mniej na jej sumieniu nic nie zaważy), ale w obronie prawdy
historycznej, o której pan Lisicki ma niekiedy bardzo osobliwe
pojęcia.

Z tych też samych powodów musimy tu zaprzeczyć jak naj-
kategoryczniej kłamliwej od początku do końca relacyi Ustimowicza.
Twierdzi on, na podstawie zeznań więźniów w cytadeli (Zagowory
10), jakoby „przed tym zamachem, Paweł Landowski b. student aka-

letniej, pił wody mineralne w Ogrodzie Saskim, dokąd codzień wczesnym rankiem się udawał. Wprawdzie miał on przepyszny ogród przy pałacyku Belwederskim, gdzie namiestnicy w lecie mieszkali i gdzie właściwiej i bezpieczniej byłoby pić owe wody, ale jako namiętny wielbiciel kobiet, wolał wybrać ogród Saski, w którym mnóstwo pięknych Warszawianek miało zwyczaj odbywania spaceru rannego i wsłuchiwania się w muzykę, grającą dla leczących się wodami i Lüders mógł tym pięknościami przypatrywać się do woli. Z tego też powodu zapewne nie lubił on, by adytanci mu towarzyszyli i by policya go okrążała¹⁾, nie chciał bowiem, by podwładni obserwowali jego

demii medyko-chirurgicznej warszawskiej, wyniesiony potem przez rząd (narodowy) na naczelnika żandarmów sztyletników rewolucyjnych i urządzający prawie wszystkie morderstwa i zamachy w Warszawie, a nakoniec dowodzący bandą konną pod nazwiskiem „Kosy“, usiłował otruć hr. Lüdersa. Myślał o tem także Chmieleński ze swymi stronnikami, ale po długich, bezowocnych usiłowaniach, urządził wzmiankowany zamach“. Co się tyczy owego otrucia „to Landowski wziął go na siebie; w tym celu chodził krok za krokiem za hr. Lüdersem, który pił wówczas wody mineralne w ogrodzie Saskim. W kursalu (wokzale) wód mineralnych, Landowski, jako człowiek dobrze wychowany i elegancko ubrany, zawsze starał się usiąść przy tym samym stole, przy którym siadał namiestnik. Mając na ręce prawej umyślnie przyrządzoną rękawiczkę z pęcherzykiem, który służył za rezerwuuar dla trucizny, wyciągał rękę, jakoby po swoją szklankę w chwili gdy namiestnik patrzył gdzieindziej i za pomocą naciskania rękawiczki, wyrzucał z pęcherzyka truciznę „brucynę“ przez rurkę do szklanki hr. Lüdersa. W końcu, gdy ani tym sposobem, ani strzałem nie mogli zabić hrabiego, który wkrótce wyjechał do wód mineralnych zagranicę, Landowski wyjechał także za nim w zamiarze otrucia go tam sposobem opisanym“. Opowiadanie to dowodzi, jakie banialuki pletli więźniowie w cytadeli, i jak dalece ograniczeni umysłowo byli sędziowie wierzący temu i wreszcie jak smutne świadectwo daje o swym rozsądku autor, powtarzający te bajki. Najzabawniejszym jest ów wyjazd Landowskiego za Lüdersem, żeby go koniecznie otruć, ale pytamy naco? Co komu w Polsce mogło zależeć na śmierci Lüdersa, od chwili gdy opuścił namiestnictwo?

¹⁾ *Oczewidzic*, Posledniaja polskaja smuta („Russ. Starina“ XIII, 143), *N. Berg*, Zapiski II, 274.

nieme zachwyty dla Polek. Owego, tak fatalnego dla namiestnika, dnia 27 czerwca, mały ogródek, znajdujący się od strony ulicy Granicznej, w którym mieści się kursal, przepełniony był publicznością. Lüders przybył o godzinie w pół do ósmej, sam jeden i z rękami w tyle założonemi, dość mrocznie usposobiony, począł przechadzać się po ogródku, gdy nagle, o godzinie 8-ej usłyszał znany sobie dobrze trzask odwodzonego kurka i zaraz potem rozległ się strzał. Kula trafiła w kark, przedostała się do ust, uszkodziła język i szczękę, wybiła dwa zęby i wyleciawszy, zraniła w ramię w pobliżu stojącą jakąś kobietę. Raniony upadł na ziemię, wołając: „nikczemnik (podlec), strzelał z tyłu!“ i zaraz ręką nacisnął ranę i w tejże chwili się podniósł¹⁾. Wśród publiczności na odgłos strzału i na widok upadku namiestnika, na którego, jak zwykle bywa, wszyscy mieli zwrócone oczy, zrobił się popłoch i zamieszanie. Wiele osób rzuciło się ku ranionemu i temu zapewne zawdzięczać należy, że Potebnia, przebrany po cywilnemu, spokojnie, z dymiącym się jeszcze pistoletem²⁾, skierował się ku kawiarni, z której było wyjście na ulicę Graniczną³⁾, przeszedł kawiarnię zwykłym krokiem i w ulicy rzeczonyj zniknął. Lüders wsparty na kapitanie Fedorence, adyutancie artyleryjskim, przeszedł przez cały ogród Saski krokiem spokojnym, naciskając wciąż ręką ranę, z której przez palce krew ciekła i strugami plamiła jego mundur. Za nim w mil-

1) *N. Berg* loc. cit. *Oczewidiec* loc. cit.

2) Nie rewolwerem, jak utrzymuje *Berg* II, 278.

3) *N. Berg*, loc. cit. Lubi on niekiedy rzucać insynuacje, na niczem nie oparte. Twierdzi, że wyjście to zwykle było zamknięte, ale dnia owego było otwarte, „z rozkazu władz tajnych“. Jest to fałszem; w owym czasie wejście to zawsze było otwarte i nikt nie wiedział o żadnych rozkazach władz tajnych. Niemniej należy tu sprostować dramatyczne opowiadanie *Oczewidca*, który twierdzi, że „gdy wszyscy rzucili się ku ranionemu, bohater siedmiogrodzki (Lüders) nie przyjął od nikogo pomocy; jak lew raniony przeszedł sam jeden ogród Saski“ i t. d. Otóż rzeczy się nie tak miały. Lüders nie szedł sam, ale w towarzystwie oficera Fedorenki, jak pisze *Berg* i jak potwierdza *Pawliszczew*, Siedmicy I, 100.

czeniu i przerażeniu cisnął się tłum ciekawych. Tak dostał się do mieszkania Chrulewa na placu Saskim (gdzie później był klub myśliwski), gdzie mu zrobiono pierwszy opatrunek i skąd w powozie udał się do siebie do Zamku. Ale ponieważ rana dokuczała mu nadzwyczajnie, więc wezwano depeszą telegraficzną doktora Langenbeka z Berlina, który przybył i w asystencji najlepszych chirurgów warszawskich zrobił operacyę, a właściwie wyjął dwa zęby, za którymi materya się zbierała, i znaczną ulgę przyniósł choremu. Zapłacono mu za to 500 dukatów. Rana zresztą nie była niebezpieczną, choć Lüders cierpiał na nią przeszło rok i dopiero ostatecznie Nelaton, słynny chirurg francuski, wyleczył go z niej w Paryżu ¹⁾.

Tymczasem Potebnia szczęśliwie wydostał się na ulicę Graniczną, przez nikogo nie zatrzymywany. Wprawdzie puścił się za nim w pogoń oficer kozacki, nazwiskiem Manockow, ale zrobił to dość późno, tak, że gdy wybiegł na ulicę Graniczną, śladu już nawet Potebni nie było ²⁾. Ten tego samego jeszcze dnia zobaczył się z Dąbrowskim i W*^{*,*}, opowiedział im szczegóły zamachu, chwalił obecnych w ogrodzie oficerów, którzy, niepodobna żeby go nie widzieli i nie poznali, a jednak udali, że nic nie spostrzegają i zakończył słowami, mówiąc o Lüdersie: „ja mu wsadziłem w łeb Arnholda i Sliwickiego!“ ³⁾. Zdaje się, że tegoż jeszcze dnia wyjechał z Warszawy i udał się do Londynu do Hercena, skąd w kilka miesięcy potem zjawił się w szeregach powstania zbrojnego i poległ na czele kosynierów pod Pieskową Skalą.

Wiść o zamachu rozbiegła się błyskawicą po Warszawie i wywarła nadzwyczajne na wszystkich wrażenie. Kto dokonał zamachu, nikt nie wiedział i wiedzieć nie

¹⁾ *N. Berg*, Zapiski II, 274.

²⁾ *Loc. cit.* 278. *Berg* powiada, że koledzy Manockowa nie mogli darować mu tej „nieroztropności“, tak, że biedak z rozpaczey poszedł do powstania i zginął w niem. Podanie to jest jednym więcej dowodem, że zamach nie wyszedł z kół rewolucyjnych polskich.

³⁾ *Ferdynand W.* Pamiętniki (rękopism).

mógł, gdyż Potebnia sam tę myśl powziął, a w interesie Dąbrowskiego i W** leżało zachowanie jak najgłębszej tajemnicy. Wszelako wszyscy sądzili i nikt nie wątpił, wskutek bardzo prostej logiki, że zamach wyszedł z łona Czerwieńców warszawskich, a przekonanie to było tak powszechnem, że nawet znalazło odgłos w prasie publicznej. „Gazeta warszawska“, donosząc nazajutrz o „niecnym“, jak go nazywa, zamachu, wystąpiła z artykułem potępiającym. „Wypadku tego, pisała gazeta, niepodobna nam pominąć milczeniem. W imię sumienia, w imię honoru narodu polskiego, w imię całej ludności Warszawy, musimy wypowiedzieć najbardziej stanowcze potępienie. Ręce uczciwe nie kalają się morderstwem; nie leży ono w naszym charakterze, ani w dziejach naszych go nie spotykamy. Oświadczenie to tem konieczniejszem się zdaje, iż nie braknie nieprzyjaciół, którzy zechcą dopatrywać solidarności pomiędzy nami a zbrodnią wczoraj spełnioną. Słowa te piszemy nie w naszym tylko imieniu, lecz w imieniu tysięcy. Byliśmy na miejscu, mówiliśmy z mnóstwem znanych i nieznanych, staraliśmy się ściągnąć zewsząd jak najwięcej objaśnień, wszędzie spotykaliśmy tylko oburzenie“¹⁾. Artykułu tego, dowodzącego jak błędne miano wiadomości co do źródła zamachu, długo potem Czerwieńcy warszawscy nie mogli zapomnieć Józefowi Kenigowi, ówczesnemu redaktorowi „Gazety warszawskiej“ i przy każdej sposobności obrzucali go obelgami i oskarżeniami²⁾.

1) „Gazeta warszawska“ Nr. 145 z r. 1862.

2) Tajne czasopismo „Ruch“, które poczęło wychodzić w lipcu 1862 r. w pierwszym swoim numerze tak się odzywa o Kenigu: „Pan Kenig, redaktor „Gazety warszawskiej“, z okazji zamachu na Lüdersa, w ohydny sposób wyraził swoje moskiewskie tendencje. Naród stanowczo potępił tego człowieka, który nie ma nic do powiedzenia przeciw mordom na nas dokonywanym, a karę, jaką otrzymują wrogowie, eksploatuje przeciw narodowi“. Zarzut niesłuszny, boć przecie wiadomem było, że cenzura nie pozwalała nic mówić „o mordach na nas dokonywanych“, ale może w takim razie nie należało także występować z potępieniem zamachu.

Silniej i wyraźniej zaakcentował swe oburzenie na zamach Wielopolski, zaraz nazajutrz, na posiedzeniu Ogólnego zebrania Rady stanu. „Przychodzi mi rozpocząć, rzekł, od wynurzenia żalości, którą wszyscy zemną podzielnicy z powodu oplakanego wczorajszego wypadku; mówię tu o zbrodni niesłychanej i bez przykładu na ziemi naszej, o zamachu na osobę zastępcy naszego monarchy“. Zaraz zaś po posiedzeniu na czele wszystkich członków Rady, udał się do Lüdersa „na znak ubolewania nad niecnym zamachem, popełnionym na jego osobie“, jak się wyraził dziennik urzędowy. W Zamku oczekiwano także deputacyi od Rady miejskiej, ale ta wcale się nie zjawiała, dając tem niejako dowód, że nie żywi oburzenia na sprawcę zamachu¹⁾. Może ojcowie miasta ulegali osobistemu usposobieniu, a może, co jest prawdopodobniejszem, lękali się opinii zrewolucjonizowanego miasta, czerwonej młodzieży i niemłodzieży. Obiegał wówczas numer²⁾ „Strażnicy“, w którym opinia ta co do spisku i zamachu na Lüdersa wypowiedziana była bez ogródki. „Wiadome jest wszystkim, pisała „Strażnica“, niecne morderstwo, dokonane w Modlinie z rozkazu Lüdersa na Arnholdzie, Śliwickim i Rostkowskim, jak niemniej dzikie i barbarzyńskie zabicie kijami Szczura. Z odwagą pierwszych chrześcijan i niezłomną wiarą w przyszłość ponieśli oni swe życie za świętą sprawę, a Rostkowski dał jeszcze świadectwo swego poświęcenia, mówiąc, że jest najmocniej przekonany, że śmierć ich męczeńska nie przejdzie bez pożytku dla wolności. Cześć wieczna ich pamięci! Prawie jednocześnie z tym morderstwem, wyniesiony na carskie namiestnictwo zbrodniarz Lüders ciężko z ręki nieznajomego został ranny, jakby dotknięty widoczną przestrogą dla tyranów, jakby ukarany cierpliwą sprawiedliwością niebios. W zdarzeniu tem wszyscy tylko palec Boży upatrywali, i nikt, zgola nikt, najmniejszego współczucia dla rannego satrapy nie okazał!“

1) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 101.

2) Nr. 13 z d. 7 lipca 1862 r.

Przez jeden z tych dziwnych, a tak częstych fenomenów, które sprawiają, że wieść interesująca ogół rozchodzi się, rzec można, z błyskawiczną szybkością po znacznych przestrzeniach, wiadomość o zamachu tegoż jeszcze dnia, w parę zaledwie godzin, dobiegła w formach niejasnych i mętnych do Petersburga. Zrobiła ona na cesarzu bardzo silne wrażenie i musiała mieć zapewne kształty mocno przesadzone, kiedy wysłał do Merchelewicza do Warszawy depeszę. mówiącą wyraźnie o wewnętrznym niepokoju. „Donies natychmiast, pisał cesarz, co się stało z hr. Lüdersem i co się dzieje w mieście i Królestwie?“¹⁾. Przypuszczać należy, że pierwotne wieści mówiły może o powstaniu, może o rokoszu w wojsku. Autentyczną wiadomość o stanie rzeczy otrzymał cesarz dopiero wieczorem tegoż dnia w czasie obiadu²⁾, i oczywiście musiał się znacznie uspokoić. Rzeczy nie były ani tak groźne, ani tak niebezpieczne, jak pierwotnie sądzono; jednakże obawa była do pewnego stopnia usprawiedliwioną ówczesnym przebiegiem wypadków i okoliczności. Już nazajutrz cesarz telegrafował do Lüdersa, że jest „nadzwyczajnie zmartwiony jego raną“, życzył mu, by prędko przyszedł do zdrowia i żeby codzień donosił o jego stanie. Pytał się wreszcie, bo widocznie tego mu jeszcze nie zaraportowano, „czy złoczyńca został schwytany i co on za jeden?“³⁾. Wogóle zamach dla Arnholda, Śliwickiego i Rostkowskiego był fatalnym, gdyż Lüders podobno nosił się z myślą ich ułaskawienia⁴⁾, a po zamachu i na skutek rozkazów z Petersburga kazał ich natychmiast rozstrzelać⁵⁾.

¹⁾ „Russkaja Starina“ XXXVII, 646 z r. 1883. Depesza w oryginale brzmi: „Gen. ad. Merchelewiczu w Warszawie. 15 Junia (27 czerwca). Doniesti niemiedlienno czto słuczilo z grafom Lider som i czto dielajetsia w gorodie i w carstwie. Aleksandr“.

²⁾ *N. Berg*, Zapiski II, 275.

³⁾ Depesza z d. 16 (28) czerwca, loc. cit.

⁴⁾ *Ferdynand W.* Pamiętniki (rękopism).

⁵⁾ Jeden więcej dowód, że zamachu dokonał oficer rosyjski, i że władze wojskowe warszawskie wiedziały o tem.

Wielopolski, lękając się nie bez słuszności, by zamach nie wywołał zbyt wielkich obaw w Petersburgu, oraz by choroba Lüdersa nie spowodowała bezkrólewia w Warszawie, a stąd powstrzymania rozwoju nadanych instytucji, wystosował do w. księcia Konstantego list z prośbą o przyspieszenie swego przybycia do stolicy polskiej ¹⁾. Na szczęście w Petersburgu nieuniknione przerażenie tym wypadkiem wywołało całkiem odmienny skutek od tego, jakiego się lękał margrabia. Tegoż samego dnia 27 czerwca, w piątek wieczorem, zapadło postanowienie, że namiestnik wyjedzie do Warszawy we wtorek, dnia 1 lipca, rano ²⁾. List Wielopolskiego skrzyżował się w drodze z telegramem w. księcia, który donosił margrabiemu o tem postanowieniu. W odpowiedzi na list margrabiego, który już nie zastał Konstantego w Petersburgu, pisał minister Gorczakow: „życzenia twoje, kochany margrabio, zostały natychmiast spełnione. Jego cesarska wysokość w. księża jest śród was, a jej ces. wysokość wielka księżna, pomimo ciąży bardzo posuniętej, pragnęła towarzyszyć swemu dostojnemu małżonkowi; rodzina cesarska rosyjska nie ma lękliwej ostrożności. Nie oskarżamy wcale narodu o zbrodnię, która splamiła Warszawę. Wobec tej zbrodni, widzę stąd, jak się podnosisz do wyżyn twej energii. *Sic itur ad astra*, mój kochany margrabio. W tym bękarcim wieku zapewniłeś sobie piękną kartę w historii; w moich latach będę musiał prawdopodobnie zostawić mym następcom przyjemność jej odczytania“ ³⁾. Współcześnie Gorczakow, donosząc o tem ambasadorom rosyjskim przy dworach zagranicznych, pisał: „przybycie do Warszawy jego cesarskiej wysokości wielkiego księcia Konstantego, który wyjechał natychmiast po wiadomości o zamachu, będzie żywym dowodem stałego postanowienia rządu wytrwania w systemie łagodności

¹⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 318.

²⁾ *Russkij Archiw* z r. 1873, str. 1346, notatka samego w. ks. Konstantego.

³⁾ *Lisicki*, Le marquis II, 319.

i niewzruszoności; świadczyć ono będzie, że odosobnione zbrodnie nie powstrzymają władzy na drodze, którą uznała za odpowiednią potrzebom kraju¹⁾.

Przybywał więc do Warszawy ten książę, brat cesarski, by odegrać w niej rolę jedną z najosobliwszych zaiste, w tych wogóle bardzo osobliwych czasach. Urodzony w 1827 roku, był więc w pełni męskiej młodości; ulubione niegdyś dziecię matki, która lękała się zawsze, by jego zdrowie, zbyt delikatne za młodu, nie padło ofiarą wygórowanej, żołnierskiej surowości wychowania. Może też wskutek tej surowości wątłe jego ciało nie rozwinęło się nigdy do tej majestatycznej siły i wysokości, jaką się odznaczają członkowie panującego domu rosyjskiego; był zawsze szczupły, wysmukły i blady, i mało zachował w swych rysach tej dumnej piękności, jaka była udziałem jego stryja, ojca i brata starszego. Uderzał tylko każdego, kto go widział, niezwykle chłodny, zawsze spokojny wyraz twarzy, nie zdradzający nigdy uczuć wewnętrznych, oraz nadzwyczaj bystry i przenikliwy wyraz oczów. Na wielkich przyjęciach dworskich, na balach i zebraniach uważano, że zawsze lubi przechadzać się samotnie tu i tam po salach, i z monoklem na oku przeglądać zebranych i stalowem, zimnem wejrzeniem swoim sięgać niejako do głębi ich duszy. W postawie niskiej i chłodnej przypominał wielkiego, wyziębionego pana, ale nie dziecię zrodzone na tronie świata połowicy. Pomimo swej wątłej organizacji, dzięki może surowemu wychowaniu domowemu, był on zahartowany mocno, cieszył się zawsze dobrem zdrowiem i namiętnie lubiał się oddawać ćwiczeniom fizycznym. Był wybornym gimnastykiem i lepszym jeszcze pływakiem. Ta namiętność do sportu fizycznego, o mało go raz życia nie pozbawiła w zatoce fińskiej, w pobliżu Kronsztadu, gdzie płynąc, stałby się pastwą fal, gdyby go żołnierz jakiś nie wyratował. Towarzysz jego i przyjaciel Orłow dlatego, że się nie na tronie urodził i że żołnierz ów

¹⁾ Loc. cit.

uznał za stosowne wprzód ratować syna cesarskiego, zgiął wówczas w rozhukanych falach wiecznie burzliwej zatoki.

Jeżeli wszakże strona jego fizyczna niczem nie zdradzała pochodzenia cesarskiego, zato pod względem inteligencji przewyższał niezaprzeczenie wszystkich swych krewnych wcześniejszych i późniejszych, nie mówiąc już nie o współczesnych mu rodzonych i nierodzonych braciach. Szczodrze obdarzony przez naturę głową bardzo otwartą i pojęciem bardzo lotnem, był na tyle szczęśliwy, że znalazł w młodości nauczycieli, którzy te dary przyrodzenia umieli w nim rozwinąć i uprawić odpowiednio. Głośny poeta rosyjski, romantyk, twórca ballad, które były nie bez wpływu i na naszą literaturę, później już nieco konwencyonalny rymopis, Żukowski, był jednym z tych nauczycieli. Może to on wpłynął na rozwinięcie w młodzieńcu, w przyszłym wielkorządcy polskim, tych marzeń, tych snów złudnych i zwodniczych, jakie go nawiedzały w starym Zamku warszawskim, w obliczu koroną nakrytych orłów Zygmuntofskich... Wytworny znawca sztuki, zwłaszcza malarstwa, chętnie w swych podróżach zwiedzał galerie obrazów i długie godziny przepędzał przed dziełami mistrzów.

Nauk ścisłych, umiejętności logicznego rozumowania, nauczył go Niemiec, Kollin nazwiskiem, akademik i dyrektor szkoły luterskiej w Petersburgu, noszącej miano św. Piotra (S. Petrischule). Ci, co znali Kollina, zaręczają, że był to nie tylko dobry matematyk, ale bystry także myśliciel, człowiek wielkiego taktu, pełen trafnego dowcipu, którym umiał najsurowsze, najostrzejsze charaktery trzymać na wodzy i ścierać ich ostre kanty. Do urobienia więc duszy Konstantego, przyczynić się miał bardzo wiele. W charakterze bowiem tego wnuka Pawłowego leżała pewna dzikość i barbarzyńska surowość, odziedziczona prawem atawizmu po owym strasznym imperatorze Pawle i na pół szalonym Konstantym Pawłowiczu. Zatarcie zupełne tej dzikości, wykorzenie tej pierwotnej, barba-

rzyńskiej surowości, zawdzięczał podobno w. księżę wyłączenie dyrektorowi szkoły luterskiej. Nakoniec w tej grupie nauczycieli, którzy urabiali duszę i serce przyszłego wicekróla polskiego, wymienić należy drugiego Niemca, Grimma, który wykladał mu historią ludów i państw, w podróżach mu towarzyszył i wielki wpływ na wykształcenie jego umysłowe wywarł. On to obudził w duszy syna imperatorskiego to zamiłowanie, jakim się zawsze odznaczał, do muzyki, którą kochał, którą słodził sobie nieraz smutne, szare godziny pobytu w Warszawie. Wogóle wychowanie to miało przeważnie charakter niemiecki, ale zarazem wysoce cywilizacyjny i gruntowny, co jest rzeczą bardzo rzadką u wszystkich synów monarszych, a zwłaszcza u synów cesarskich rosyjskich. Matematyka rozwinęła bystrość jego umysłu, historia z niemieckim, szerokim poglądem na dzieje świata wykładana, przekonała go o zmienności rzeczy ludzkich i ludzkiej wielkości, a niezwykła łatwość, jaką okazywał w nauce obcych języków, dała mu sposobność poznania u źródła wybitniejsze dzieła literatury europejskiej i ułatwiła stosunki z cudzoziemcami. Wykształcenie to zaostriżyło w nim zmysł obserwacyjny, dało mu możność bliższego poznania życia, tak własnego narodu jak i innych ludów, co uzupełnił przez liczne, nieraz bardzo dalekie podróże, którym z pewną namiętnością się oddawał, jak gdyby chciał się wydobyć z dusznej atmosfery dworu petersburskiego i odetchnąć świeżem powietrzem szerokiego świata.

Ożeniony z księżniczką niemiecką, z ubogiego domu Altenburskiego, której, zwyczajem rosyjskim, nadano imię Aleksandry Józefówny, do której ze słodkimi, łagodnym uczuciem był przywiązany, znalazł to szczęście domowe, jakiego rzadko doznają wielcy tego świata, i które, wbrew obyczajom swej rodziny monarszej, umiał uszanować przez życie czyste i mieszczańsko wierne. Rad był nawet, jakby przez kontrast z tem, co się działo na dworze petersburskim, przy każdej sposobności okazywać tę swoją surową moralność, tę cnotę małżeńską. Gdy później, po wojnie

krymskiej, w dobie platonicznej przyjaźni z Francją, znalazł się pewnego dnia na pysznym, pełnym zbytku i pięknym kobiet, balu, wydanym dla niego w Tuileryach przez cesarzową Eugenię, pani ta zapytała melancholijnego księcia rosyjskiego, która z dam dworu najbardziej mu się podobala? „Pani — odrzekł — przed tobą stoi barbarzyńca, który admiruje tylko własną swoją żonę“¹⁾. W słowach tych zapewne mieściło się dużo dumy, dużo umyślnie udawanej pogardy, pokonanego niedawno, jakoby barbarzyńskiego Rosyanina, dla zbytku i zepsucia zwycięzcy francuskiego, chęć okazania swej zdrowej jakoby natury wobec gnijącej francuskiej, ale było także wiele prawdy. O ile wierzyć można różnym relacyom, względem żony swojej zawsze był najlepszym i najprzykładniejszym mężem.

W tak byстрыm i tak wybornie ukształconym umyśle, widzącym dokoła siebie mierność i nieuctwo, obudzić się musiała drzemiąca w głębi duszy ambicya, ambicya wyższości, czującej w sobie zdolność spełnienia tych zadań, których prawo urodzenia mu odmówiło. Plotka, a może i nie plotka dworska, wielokrotnie twierdziła, że Konstanty głośno objawiał pretensye do tronu carów rosyjskich, na którym zdawało mu się, że wiele więcej mógł zdziałać niż jego koronowany brat miękki, chwiejny, a uparty. Bądź co bądź, przysły wielkorządca polski okazywał na różnych stanowiskach działalności państwowej, jakie zajmował, bardzo wiele czynności i wytrwałości, wlewał w nie ducha inicjatywy i energii. Rozbitą przez wojnę krymską marynarkę rosyjską, jako wielki jej admirał, odbudował, zreformował i na poważnej postawił stopie. W sprawie usamowolnienia włościan stale niósł pomoc swemu bratu; wszędzie był czynny i wszędzie starał się zajmować miejsce pierwszorzędne, wszędzie żywił ambitne zamiary. Zachowywał jednak w ich ukrywaniu taką ostrożność, że gdy w r. 1854 prasa rosyjska nieomal codziennie poczęła podnosić pod niebiosy jego działalność, wyjednał u ministra

¹⁾ Le dernier des Napoleons (Paris 1872) p. 106.

oświecenia publicznego (wtedy dziennikarstwo podlegało temu ministerium), że przez rozkaz z d. 28 kwietnia t. r., polecono cenzurze, „ażeby nie przepuszczała żadnego artykułu, któryby wychwalał czyny lub zamiary Jego cesarskiej wysokości wielkiego admirała“¹⁾. W sprzeciwieństwie z panującą na dworze przewagą niemczyzny, stał się gorącym czcicielem swego narodu i idei słowianofilskich, jakkolwiek, zdaje się, nigdy ich szczerze nie wyznawał. Posażano go, nie bez pewnej słuszności, że przechyła się ku „samobytnikom“, jakkolwiek był to umysł zanadto po zachodniemu urobiony, by miał być ślepym i bezwzględny wyznawcą teorii błędnych, sztucznych, na niczem nie opartych. Książę Albert, mąż królowej angielskiej, człowiek bardzo rozumny i doskonały obserwator, pisał później o w. ks. Konstantym, że „jest to człowiek zręczny, inteligentny, głęboko wykształcony, pełen zapału dla tego, co przedsięwzię“, ale zarzucał mu „charakter wyłącznie i bezwzględnie ruski“²⁾. W obejściu bardzo przystępny, zyskiwał zwykle sympatyą każdego przez swą prostotę i szczerłość, którą wielu uważało za grecką perfidyą, za udanie, zręcznie maskujące właściwą mu dumę i ambicyą. Jego podróż wraz z żoną i najstarszym synem do Palestyny i Konstantynopola, może dla przypomnienia ludom świata wschodniego o ortodoksyjnym spadkobiercy Konstantyna wielkiego, którego imię nosił, „greckiego cesarza nazwisko“, wytworzyła o nim pojęcie, że żywi tajne marzenia odbudowania dawnej monarchii carogrodzkiej. Wszyscy wiedzieli, że jest ambitny, bardzo ambitny, i że pragnie w dziejach świata odegrać rolę samoistną... Szyderstwa zjadliwe, zaprawione zawsze trafną i dotkliwą ironią, z różnych mierności, zajmujących wysokie stanowiska w rządzie, usprawiedliwiały to mniemanie i robiły mu wielu nieprzyjaciół, którzy gdzie mogli i jak mogli, podstawiali mu stołka...

¹⁾ *Schédo-Ferotti*. Etudes sur l'avenir de la Russie, 44.

²⁾ Cytowane u *Liśickiego*. Le marquis, II, 304.

Ta ambicya zapewne, ta chęć działania samoistnego na jakimkolwiek, byle możliwie niezależnem polu, kazała mu oburącz chwycić się projektu Wielopolskiego. Kto wie, może marzył, a są fakta, wprawdzie bardzo niejasne i bardzo wątpliwe, które to potwierdzają, że zdoła kiedyś zostać prawdziwym wicekrólem polskim, dynastycznym księciem tej pięknej Polski, która szarpała się u cielska rosyjskiego i cały organizm tego cielska wprawiała w stan chorobliwy. Cesarz Aleksander z wyraźną niechęcią zgodził się na ten projekt, a zgodził się nań dlatego tylko, że nie wierzył, nie przypuszczał, by brat jego przyjął stanowisko namiestnika w Polsce. Gdy jednak ten skwapliwą okazał gotowość do tego, zdziwienie i niezadowolenie było wielkie, podejrzania jeszcze większe. I te podejrzania to, to niezadowolenie, przyczyniło się bardzo wiele do tego, że trudna rola brata cesarskiego w Warszawie stała się o wiele trudniejszą i w końcu nie powiodła się wcale. . .

Z Polakami i Polską wielki książę dotąd nie miał prawie żadnych stosunków, ale te, jakie miał tu i owdzie wypadkiem, nie zdradzały w nim ani nienawiści, ani nawet niechęci do narodu naszego, tak pospolitej w Rosyi między osobami u rządu stojącymi. Owszem, ilekroć się zetknął z Polakami, okazywał im zawsze, jakby w przeczuciu roli, jaką kiedyś miał wśród nich odegrać, pewną życzliwą, acz powstrzymywaną względami wyższej polityki (jak mówią) sympatya. Bawiąc w Paryżu w r. 1859, zwiedził incognito szkołę polską w Batignolu. Przyjechał prostym, wynajętym fiakrem, ubrany po cywilnemu, i jak zwykły śmiertelnik zjawił się w kancelaryi szkolnej, gdzie właśnie wtedy znajdował się dyrektor zakładu, zacny i znany wszystkim Polakom, zwiedzającym Paryż, Malinowski. Przybyły w dobrej polszczyźnie, jakkolwiek z lekkim, przeciągającym akcentem, co zresztą w nikim z obecnych nie wzbudziło nawet najlżejszego podejrzenia, gdyż przyjeżdżało do Batignolu wielu Polaków z Litwy, z głębi Rosyi, z Odessy, mówiących z takimże akcentem śpiewnym, prosił o pozwolenie zwiedzenia szkoły. Malinowski

przyjął go, jak wszystkich przyjmował z właściwem sobie rubasznem nieco obejściem, i wezwał nauczyciela Lewandowskiego, późniejszego wojewodę podlaskiego w powstaniu zbrojnym, by „tego pana“ oprowadził po szkole. Lewandowski więc pokazał mu cały gmach, laboratorya, bibliotekę, zbiory, w których mnóstwo pamiątek polskich błyszczało orłami i pogonią litewską, i mówiło o dawnej chwale narodu. Gość przypatrywał się wszystkiemu ciekawie, przepytywał o to i owo, wreszcie przy pożegnaniu zapytał swego przewodnika, dlaczego nie korzysta z amnestyi, ogłoszonej przez cesarza Aleksandra II. i nie powraca do kraju? Na to Lewandowski odrzekł, że „ogłoszenie cesarskie nie jest właściwie amnestyą, tylko zezwoleniem na powrót; że było to i za Mikołaja, że wreszcie on osobiście wracać nie chce, bo straciłby charakter emigranta, a nie na tem nie zyskał“. Konstancy odparł, że „przy staraniach możnaby rzecz tę załatwić“, dając niejako poznać, że gotów jest w tem dopomóc, ale Lewandowski podziękował mu chłodno i na tem się wszystko skończyło. Później, w kilka dni, dowiedziano się, kto był tym gościem, stąd, że przysłał już pod swoim imieniem 30.000 fr. na potrzeby szkoły. Zarząd był nadzwyczajnie zdumiony i badając powód tych odwiedzin, dowiedział się, że w. księżę, jadąc przez miasto, spotkał idącą na spacer szkołę, której mundury i krakuski zwróciły jego uwagę, i zaraz pytał się, co to za młodzież, i zapewne wtedy powziął myśl odwiedzenia szkoły. Hojnej jego ofiary zarząd nie przyjął, motywując odmowę tem, że szkoła przez to straciłaby cechę narodową¹⁾.

Już wtedy więc mówił po polsku, co zrazu zapewne było właściwą mu chęcią poznania jak największej ilości języków obcych, do których miał wielką łatwość, później jednak umyślnie się wziął, z zamiarami głębiej sięgającymi, do wystudyowania tej mowy „śpiewnej i ogranej“, jak się

¹⁾ Z relacji współczesnych.

wyraża poeta. W Petersburgu pobierał lekcyę polszczyzny od Kazimierza Krzywickiego, któremu ten stosunek pozwolił nagle zająć w rządzie polskim wysokie stanowisko ministryalne, dyrektora Komisyi wyznań i oświecenia. Teraz, gdy zapadło postanowienie wysłania w. księcia do Warszawy, gdy opublikowany został ukaz o tem cesarza¹⁾, który, „pragnąc dać nowy i istotny dowód troskliwości swej o pomyślność poddanych swych Królestwa polskiego“, mianował „najukochańszego brata swego“, brat ten, znając intrygi dworskie, wiedząc, jak chwiejnym jest grunt, na którym wzniesione było rusztowanie autonomii polskiej, okazywał nadzwyczajny pośpiech w swym wyjeździe do Warszawy. Nie powstrzymał go od tego zamach na Lüdersa, owszem, wiedząc zapewne dobrze, iż zamach ten nie wyszedł z kół polskich, ale z kół rosyjskich wojskowych, potrafił przedstawić konieczność swego natychmiastowego wyjazdu, by powagą swej monarszej dostojności powstrzymać kielkujące objawy rokoshu wojskowego. Uwierzono temu, przynajmniej udawano tę wiarę, i ze ściśniętem od obaw i podejrzeń sercem, puszczono do Warszawy tego księcia, może w tej nadziei, że wśród huczącej już tam burzy strzaskanym będzie i on sam i jego ambicya...

Takim był człowiek, który wziął na się wielkie zadanie uspokojenia Polski, a może skorzystania z burz, szarpiących jej łonem, by utworzyć sobie tron wicekrólewski dziedziczny, rodzaj sekundogenitury przy potężnym caracie rosyjskim. Że było to zadanie zawsze trudne, prawie niepodobne do wykonania, któż może wątpić? Że było ono trudniejszym w tej chwili, niż kiedykolwiekbądź, każdy uznać musi. Wśród wybujałych namiętności politycznych polskich, wśród pragnień narodowych i ideału odzyskania bytu niepodległego w granicach przedrozbiorowych, wśród

¹⁾ Dnia 8 czerwca 1862 r.

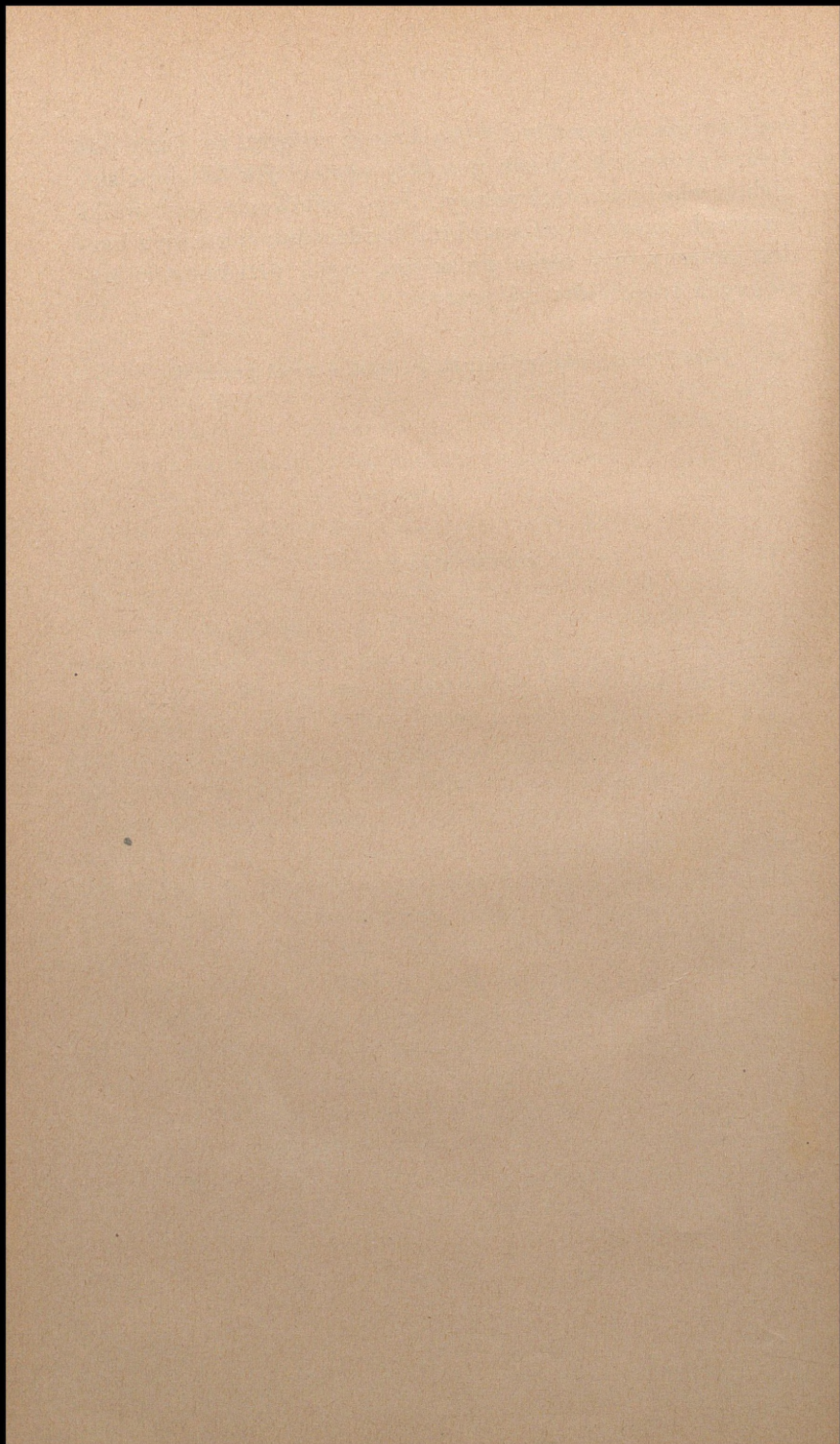
wzrosłej do niebывałych rozmiarów nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie, takie zadanie uważać należy za jedno z tych złudzeń, które sobie niekiedy stawiają dusze ambitne, serca żądne władzy, które wszystko w tym celu poświęcają i zwykle same giną, starte jak liść jesienny, jak pył polny, rozmięcione przez wichry. Ale pomijając już to, co mogła kryć w sobie pod maską obojętnego chłodu wrząca dusza wielkiego kniazia rosyjskiego, z czem przed nikim, nawet przed sobą może się nie wypowiedała szczerze i otwarcie, to już samo zadanie, głośno wypowiedane i uznawane, uspokojenia Polski, pogodzenia jej z rządem rosyjskim, było także zadaniem niełatwym, choć zapewne o wiele możliwszem do wykonania. Stan kraju wogóle był bardzo zły i Konstancy z autonomią swoją niestety! za późno przychodził. Gorączka już tak dalece owładnęła organizmem polskim, że bez upustu krwi opamiętałby on się nie zdołał. Niefortunne rządy Lüdersa, żołnierza ograniczonego i wierzącego tylko w siłę fizyczną i ucisk materialny, jaki on wywierał, liczne gwałty, jakich różni Kryżanowscy, Piłsudzcy i niezliczona ilość drobnych, z tatarską zaprawą, kacyków się dopuszczała, doprowadziły rozdrażnienie do ostatnich granic. Zadowoleni pozornym spokojem, gotowi za najmniejszym naruszeniem tego spokoju, do strasznych gwałtów, nie patrzeli co się dzieje we wnętrzu narodu, w tajnikach jego duszy. Nie widzieli tego, że spisek, jak polip morski, coraz szerzej rozpościera swe ramiona, jak pająk coraz gęstszą sieć snuje i chwyta w nią wszystkich i wszystko. Lüders był tak dalece zaślepionym, że w charakterze naczelnego wodza armii, stojącej w Królestwie, nie widział, że armia ta nurtowana jest przez agitacją rewolucyjną, że ostatnia i jedyna broń caratu może być stoczona, jak stare próchno. Dopiero wykrycie spisku wojskowego, strzał w ogrodzie Saskim otworzył mu oczy, otworzył zarazem oczy innych i przeraził ich mocno.

Stan był zły, bardzo zły, niemal rozpaczliwy. Wielki ksiązę jechał więc do Warszawy, by stan ten naprawić,

wzbierającą falę wrócić w jej brzegi, pewny, że temu podoła, że wsparty na tak potężnej postaci jak Wielopolski, „łeb urwie hydrze“ rewolucyi. Jego usiłowania, jego walki i zabiegi, tworzące zaiste obraz bardzo dramatyczny i bardzo bolesny dla serca polskiego, będą przedmiotem następnych rozdziałów tej pracy.

Wieś Domaszowice, w stuletnią rocznicę rzezi praskiej.

KONIEC TOMU IV.



DOKUMENTA.

№ 1 (do str. 10).

Odezwanie się Michała Lewińskiego na wniosek Kruzensterna, aby w szkołach ewangelickich po niemiecku wykładano nauki, na posiedzeniu Rady Stanu.

(Z rękopismu współczesnego).

W każdym narodzie kardynalną cechą narodowości jest język; język jest, że tak powiem, religją narodowości; nie tylko zatem z natury rzeczy wynika, ale świętym obowiązkiem narodu jest pod troskliwą go mieć pieczę. Przecie udający się z obcej ziemi na naszą, nie tracąc rodzinnej swej narodowości, dzieli uczucia swe pomiędzy krajem, w którym się rodził, i tym, w którym żyje; tak być powinno, gdyż inaczej stałby się wrogiem narodu, który go gościnnie przyjmuje, z którym go odtąd łączyć będą wspólne losy, wspólny interes i t. p. Ale jeśli pierwszy przesiadający się nie ma obowiązku znać języka narodowego, do którego przechodzi, co częstokroć fizycznym niepodobieństwem jest, to inaczej się ma z jego następcami. Syn jego zrodzony na ziemi naszej, wykarmiony i wychowany na niej, którego interes i stosunki coraz ściślej łączą z krajem, nieodzowny ma obowiązek znać dokładnie język narodu, w który się wcielił, do którego się przyznaje, i tak od pokolenia do pokolenia, uczucie narodowości pierwotnej rodziny coraz słabnie, a tej, w którą się włął, coraz się wzmaga, dopóki ta w zmroku czasu nie zginie, a nowa w miejsce jej nie wstąpi; najlepszym tego dowodem jest znaczna liczba obywateli miasta stołecznego Warszawy, którzy, choć z nazwiska niemieckiego, sercem są Polakami. Taki jest bieg rzeczy i taki być powinien, bo kto żyje w narodzie i z narodu, to współ-

obywatelstwem i współczuciem wypłacić mu się winien. Dla tego konieczną uznaję rzeczą, by nauki w szkołach ewangelickich wykładane były nie w niemieckim, lecz polskim języku, inaczej utrwalonoby nastrój elementów, które się jak najrychlej zlać powinny, utworzonoby naród w narodzie.

№ 2 (do str. 77).

Wiersz do arcybiskupa Felińskiego.

(Z rękopismu współczesnego).

Witamy cię Ojcze! bez kluczy, bez krzyża,
Jedne przemoc zhańbiła, a drugie złamała.
Ciężkiej próby godzina dla Ciebie się zbliża,
Oby głowa twa młoda podołać zdołała.
Myśmy we krwi ochrzczeni, we łzach wykąpani,
A ciebie posyłają przechrzcić nas tyrani.
Nie wiemy, z czym słowem ty do nas przychodzisz,
Czy rozszerzysz słowo Boże, czy carskie rozmnożysz.
W każdym razie pamiętaj, że krew była święta,
Łzy były Jordanem — Polska skruczą zdjęta
Czeka Bożej litości — boć z Jego ramienia
Masz wyrzec słowo szczęścia, albo pogńębienia.
Więc radzimy: stań śmiało na czele męczeństwa,
Biorąc św. krzyż w ręce, bądź pewny zwycięztwa,
Lecz jeżeli, broń Boże, krzyż Ci w ręku cięży,
Lepiej nie wchodź w mury miasta, nie płam imion męży:
Fijałkowskich, Białobrzeskich i wygnańców innych,
Przed carem potępionych, przed Stwórcą niewinnych.

№ 3 (do str. 96).

Odezwa z powodu otwarcia kościołów.

(Z druku współczesnego).

Polki! nie dla nas kościoły otwarte, w których czcić cara na równo z Bogiem wczoraj poseł moskiewski zalecił. My mamy innego Boga, który kieruje naszymi krokami. Trochę jeszcze cierpliwości, a przyjdzie czas, że w kościołach zabrzmie pieśń miła Bogu i narodowi.

Warszawa, d. 14 Lutego 1862 r.

№ 4 (do str. 105).

Słowo Narodu Polskiego do JX. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego Arcybiskupa Metropolity Archidiecezyi Warszawskiej.

(Z druku współczesnego).

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojcze!

Przemowa Waszej Ekscelencyi do przedstawiającego się Duchowieństwa i do ludu przy otwarciu kościołów, dając nam poznać plan, według którego działać postanowiłeś, plan właściwy wszystkim sługom carskiego nad nami ucisku, oparty nie na prawie Bożem i obowiązkach pasterskich, ale na dogadzaniu zgubnej dla narodu i wiary polityce; pobudza lud polski do uczynienia protestacyi przeciwko błędnemu pojęciu sprawy narodowej, w interesie wiary i wolności rozpoczętej.

Czy olśniony wysoką godnością, czy omamiony czczeni i bezzasadniami obietnicami, czy nie zbadawszy dobrze wielkości zadania leżącego w osobie pierwszego Księcia Polski podczas interregnum; rzucać zdajesz się na stronę przeciwną godnych i uwielbionych od narodu poprzedników twoich, i ze zgubą własną, z zwicnięciem wiary ojców naszych, ze zniweczeniem prac krwawych łzami okupionych, przez naród podjętych; nierozważnie stajesz się narzędziem oszukaństwa, dla tego tylko, że sam jesteś oszukanym.

Nie myślimy bowiem, aby łaski carskie, aby interes dynastyi, tak osobę Waszej Ekscelencyi skrępować mogły, abyś zapomniawszy swego stanowiska, z poddaniem się spekulacyjnym planom politycznym, niósł podstępne usługi.

Arcypasterzu i Ojcze! — abyśmy nie mieli nic sobie do wyrzucenia w przyszłości, żeśmy Cię nie ostrzegli, i nieznanego z dziełem narodu nie obznajomili; nie tając bynajmniej ani przed Europą, ani przed nieprzyjaciółmi naszymi tego obecnego kroku, ośmielamy się przedstawić Waszej Ekscelencyi następujące punkta wyjaśnienia, a mianowicie:

Stanowisko dzisiejsze Polski względem Europy, stosunek jej do gnębieli carskich i samego cara — znaczenie faktów dokonanych, nazwanych przez Rząd manifestacyami reakcyjnego stronnictwa — postawę Duchowieństwa pod kierunkiem ś. p. najprzewielebniejszego Arcybiskupa Metropolity Fijałkowskiego, jak również zmianę tej pozycyi przez wcielenie w czyn idei przez Waszą Ekscelencyą z Petersburga przywiezionych — i skutki niepewnego planu, jaki ze złego natchnienia przedsięwziąć zamierzyleś, zestawione ze skutkami, które nastąpić muszą przez bezpośrednie zrządzenie Opatrzności, nie opierając się na dyplomacyi i widokach świata, ale na prawach Bożych, ludzkości każdej przewodniczących.

Jako mężowi obszernej wiedzy, nie widzimy potrzeby detailnie wyszczególnić całego położenia ruchliwej i paroksyzmem drgającej Europy; dokonane i dokonywane się fakta, ważne zaiste w dziejach ludów, dowodzą dokładnie, o ile palec Boży kieruje wszelkimi dziełami, na drodze połączenia narodów ściślejszą solidarnością, z poniżeniem nadużywających władzy dzierżawców. Drżą wszystkie strony — a ten strach paniczny dotyka najbardziej tych, co nikczemnością i zniewagą się rządzą. Popychana ręką Opatrzności, w wyrokach swoich nieomyślnej, zamienia się w ruinę pogańska Turcyja, a za nią otworem stoi droga niechybnego upadku, jeżeli nie krajów Austrii i Rosyi, to przynajmniej ich rządów, kłamstwa i ucisku. Gdziekolwiek lud broń za wolność podnosi, widocznie ręka Wszechmocnego pomocą go wspiera i tryumfem chwały okrywa, a na gruzach wielkiej potęgi władców, wznosi się budowa wolności i rozwoju dobra narodowego.

Przy tylu dobrych okolicznościach, przy tylu pewnych podstawach, rokujących lepszą dla ludów przyszłość, Polska w stosunku do Włoch i Węgier, niepoślednie zajmuje miejsce. Święte jej postannictwo względem katolickiego świata, jej cywilizacya, jej istnienie 9-cio wiekowe wśród jedyne go w Europie samorządu; jej odrębne zalety podnoszące do najwyższej szlachetności, jaką ludy kiedykolwiek posiadały, jej nakoniec 70-letnia niewola i ucisk, pod którym za zrządzeniem Bożem zostawała, a który z prawdziwie ewangeliczną pokorą i poddaniem się ponosić umiała; dają słuszne prawo do domagania się swego samoistnienia, na równi z innymi ludami Europy. Zważywszy okoliczności temu domaganiu się sprzyjające, ujrzymy: że obecny stan zatrważający stojącej na wulkanie narodowych niechęci Rosyi, upadek Austrii niezawodny, i słowem nie-szczęśliwy stan naszych pognębieli, daje nam pewną rękojmię poparcia naszych żądań nietylko siłami własnymi, które w potrzebie wszystkie użyć postaramy się, ale i pomocą postronną, którą wypadki same sprowadzić muszą. Ta pomoc leży głównie w łonie samej Rosyi, przez obudzający się żywioł narodowy sprawie Polski przyjazny, i w uznaniu ludów Zachodu, które jeżeli nie dla nas, to dla własnego spokojnego rozwoju, sprawiedliwe żądania nasze, poprzeć muszą. Wie bowiem Europa jak również i car moskiewski, że, dokąd Polska pod jarzmem będzie, żadne instytucye, żadne ustępstwa jej nie uspokoją, i choć najczynniej i najgorliwiej oprawcy carscy zechcą znękać, osłabić lub przytłumić ducha polskiego i z dobrem cesarstwa utworzyć państwo słowiańskie pod batem carów, nigdy ani Europa, ze względu na interes mocarstw pierwszorzędných, ani sami Polacy na to nie przystaną. Niepokój, jęki, tułactwo nasze, przez najdłuższe czasy, trapiąc innych i samych naszych

ciemieźców, wyprowadzą na stor dyplomacyi załatwienie tej ważnej kwestyi.

Pobudzeni przez Opatrzność Polacy, złączywszy się w jednomyślną masę bez różnicy wiary i pozycyi, postanowili i przysięgli rozpocząć odbudowanie Ojczyzny, i pomimo, że carska mądrość wyczerpała wszelkie środki na przytłumienie tej jedności i rozbudzonego ducha, pomimo najwyższej przemocy i ucisku, mordów, grabieży, profanacyi wiary i świątyń, nie dotąd nie chybiono od założonego planu.

Z tego wynika, że już dzisiaj (po protestacyi w Horodle uczynionej przez reprezentantów wszystkich ziem i powiatów Rzeczypospolitej) nie mamy króla naszego i takowego w osobie cara nie uznajemy, jak i nigdy nie uznawaliśmy; że przysięgi na nas wymuszone obowiązywać nie mogą, a to przez faktyczne połamanie kłąt w i zobowiązań przez carów względem nas uczynionych; że nie skłoniamy nas do układów żadne przebiegi i kłamstwa, i chociażbyś, Najprzewielebniejszy Arcypasterzu, jawnie nam dał poznać swoje skłonności i chęci panslawistyczne i przychylność ku nowo nadać się mającym z konceptu cara i Wielopolskiego instytucjom, szerszy zakres rozwoju mającym, ominiemy cię jak błądzącego, a kosztem ofiar najświętszych sercu naszemu, do groźnej potęgi dojść musimy. Każdy zaś, w pośrodku nas stojący, a nie oddany duszą i ciałem sprawie naszej, lub onę czy to przez błąd, słabość, lub poniżenie inaczej tłumaczący, uważany będzie za przeszkodę, którą usunąć potrzeba.

Kto nie jest z nami, ten wrogiem naszym!

* * *

Niezbadane są wyroki Boże! rozum ludzki przewidzieć ani odgadnąć nie może, co tajemnicze plany rządów Bożych na ziemi w krótkim czasie zgotują. Kilka lat zaledwie temu, jak łatwowierny choć zdradzony lud nasz, pod wpływem opieki Wszechmocnego, jakby obudzony z długoletniej drzemki, począł nabierać nadziei, począł oczekiwać polepszenia swojego losu.

Ten czas nadziei narodowej przypadł w roku koronacyi cara moskiewskiego na króla Polaków, a szukający wokoło siebie lud upatrzył w łatwowierności serca swego najbliższe łaski carskie, i sądził, że ztąd Bóg dobro mu pošle — ale sprawiedliwość odwieczna nie zbłądziła nigdy, i nie dała mordercom mocy szafowania łaskami swemi. Czart nie spał, i dziełu Bożemu przeszkadzając, sprowadził przyjazd cara do Warszawy, prawie w chwili kiedy oczekiwanie łask Bożych było najgorętsze. Przybywszy do Warszawy car jegomość wyrzekł do magnatów i urzędników, którzy go podejmowali gościnn-

nie: „kocham was“, a ludek łatwowierny mając to sobie powtórzone i myśląc, że to do niego powiedzianem było, uwierzył, i chciał widzieć w tym palec łaskawej Opatrzności, która go dźwignąć z niedoli zamierzyła. Ale kiedy rozdawane przez Górczaków, Muchanów, Enochów, Płatanów, Karnickich, Lejchtów i Trepów łaski, wcale na miłość nie zakrawały, ale z dniem każdym nowe stawiały narodowi uciski; wtenczas dopiero lud błąd swój poznał, i w inną stronę obrócił swoje nadzieje. Niezbadane są wyroki Boże! bo któżby pomyślał, że polewanie pałacami lub źle wonnemi (sic) kwasami w teatrze podczas zjazdu trzech..., czyhających na życie nasze, może być zadatkiem przyszłym wypadkom, wielkie znaczenie w polityce mającym, a nad wszelki przemysł tryumfem szlachetnym uwieńczonym? Któż mógł przewidzieć, że bez żadnego kierownictwa, bez żadnego poparcia, żywioł narodu przez przelanie krwi męczeńskiej, dojdzie do zlania się i jednomyślności? Zaiście może był jeden mąż mądry tylko, który te objawy właściwie pojąć potrafił, a tym mężem świętym Najczcigodniejszy spoczywający w Bogu Arcypasterz. On pojmując „co jest z Boga“, wezwał lud do stóp krzyża, i w nim tylko pewność tryumfu moralnej wojny przeciwko gwałtom i uciskom upatrywać zachęcał. On nie powtarzał nam słów carskiego kłamstwa, nie mówił, że manifestacye stawiają przeszkodę rozwojowi bytu narodowego, z rąk carskich skrwawionych wyjść mającego; on nie upadał na duchu, i nie wątpił, że usiłowania rządów przemocy dziełu Bożemu ustąpić muszą, on nie paraliżował czynów duchowieństwa, które do obowiązków obywatelskich Ojczyźnie należnych poczuwać się coraz bardziej poczęło, on nie potrzebował listów rekomendacyjnych z Petersburga do oprawców, ani poniżył swojej godności pierwszego księcia oddawaniem wizyt gubernatorom, czy dygnitarzom carskim; bo powaga Jego Apostolska, bo godność Jego, właściwie zrozumiana, dyktowały wszystko z natchnienia Ducha św. czerpane, a dziełu Bożemu w narodzie we wszystkim sprzyjające. To też i uroczystości narodowe na ulicach, czy w kościołach obchodzone, przy udziale bez wyjątku całego narodu, podniosły się do wysokiego znaczenia, pokazały się namiestnikowi i jego pomocnikom objawem groźnym żywiołu rewolucyjnego. Nie wiedząc Górczakow co począć, wzywa wybrańców narodu (delegacją miasta i członków Towarzystwa Rolniczego) do dyplomatycznych konferencyi, popuszcza wodze żywiołom wzburzonym i przywodzi do krwi przelewów, w przekonaniu, że tym sposobem spokojność przywróconą będzie; ale omyliły go te plany, lud nastawiał piersi obnażone, kiedy doń strzelać kazano; wiedziony rozpaczą i męztwem nie ustępuje ni kroku; a w końcu męczenników swoich, odziany żalobą, niesie na wieczny spoczynek, jakby na zadatek lepszemu światu przyszłego rozstrzygnąć się mającego męczeństwa.

Wypadki i ich szczegóły z dzienników zagranicznych, zapewne Waszej Ekscellencyi podanych przez otaczające go osoby, wiadome Mu są dokładnie, dodać winniśmy, że w owym czasie namiestnik i car nie szczędzili obietnic, nie przebierali w środkach i już kłamstwem, już pochlebstwem, przysięgami, poręczeniami i układami starali się albo rozdzielić, albo w błąd wprowadzić lud cały; ale Bóg chciał i wszystko się rozchwiało. Niech będzie Imię Pańskie błogosławione! Dzieło narodu posuwało się coraz dalej i coraz to głębiej w serca zapuszczało korzenie, a oprawcy tymczasem, przekonawszy się, że nie w samej Warszawie duch oporu panuje, że go spotkać na każdym kroku można, ścigali siły wielkie do Królestwa. I wtenczas proszono, żebrano zwłoki, kazano nam uspokoić się i przygotować do przyjęcia łask carskich, ale nic nie dotrzymano; bo nadane instytucye, które następnie cofnięte zostały, nietylko że nie były spełnieniem danych obietnic, ale nawet za powód do nowego ucisku posłużyły. Po otrzymaniu pewnej zwłoki, mając już dostateczną ilość siły zbrojnej, oprawcy nasi bez żadnych powodów, nie ze złego pojęcia rozkazów, „ale wyraźnie upoważnionej przez cara samowolności, dopuszczają się gwałtów na każdym miejscu, zaprowadzają stan oblężenia, zapełniają lochy więzienne kapłanami i ludźmi, którzy miłości carskiej najprostoduszniej ufali, dopuszczają się oszczerstwa (jak na najczcigodniejszego prałata Białobrzeskiego) i oddawszy w moc służalców bez czci i honoru całe bezpieczeństwo ludu, starają się wmówić w Europę i w ciebie, najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojcze, że nie czynią niesprawiedliwości, że „car ma najlepsze chęci dla Polski“.

* * *

Dokąd łaskawa Opatrzność zachowywała nam najprzewielebniejszego naszego Przewodnika, żaden wyrok carski nie śmiał dotknąć powagi kapłanów, wzrastała przeto ufność z jednej, a chęć pracy i poświęcenia z drugiej strony; gdzie kapłan i krzyż, tam i lud korny i uległy. Zapełniały się przybytki Pańskie, wzrastała moralność i wstrzemięźliwość, upadły zbytki i próżność, poniżyły się i zrównały stany i święty pokój i chęć wzajemnej pomocy rozlały się po całym narodzie. Ale tajemnica tych skarbów Nieba była tylko w Duchowieństwie, ono to z krzyżem w rękę, a szlachetnem poświęceniem w sercu, złączone i złane z trzodą, krwawe z przemocą, staczało boje, a Bóg błogosławił ludowi swemu i wsławił imię jego po świecie. W tym nawet czasie ci, co niegdy chciwi orderów i nagród, zboczyli z drogi prawdziwej, wrócili nań pełni poprawienia przeszłości chęci. Ale kiedy Pasterza naszego w grób zimny na barkach strapiony lud zaniósł, słudzy carscy, korzystając z samowolno-

ści, zaraz, bo w dni kilka, tak dalece gorliwość swoją posunęli, że nie tylko kapłanów najgorliwszych w Sybir uwięzili, administratora przy obowiązkach swoich obstarzającego uwięzili, ale i zgwałcili świątynie Pańskie, czyniąc w nich mordy i grabieże.

Więść o przybyciu Twojem, Arcypasterzu i Ojczu, wlała w lud duchowieństwo niejaką otuchę, bo, prawdę mówiąc, nie mając obrońcy, prócz Boga, słabnąć choć bardzo nieznacznie poczęliśmy. Szukaliśmy pilnie wszelkich wieści, pytaliśmy się tych, co osobę Twoją bliżej poznać mogli; ale nie, prócz niemieckich kalumnii, lub niegodziwych i oszczerstwem nacechowanych wieści rozsiewanych przez oprawców, dowiedzieć się pewnego nie mogliśmy. Omijamy tu podstępne i niegodziwe fałsze zasiewane w lud prosty, albowiem powtarzanie onych powadze pisma niniejszego ubliżyć może, a które jednakże nie pozostały bez wpływu. Lud temu nie uwierzył, nie dla tego, aby znał Twą Arcypasterzu osobę, ale że ufa wyborowi Stolicy Apostolskiej, który padł na ciebie. Oprawcom naszym szło głównie o to: ażeby lud ku tobie zniechęcić, aby prawych i dobrze myślących, którzyby ci radą posłużyli, od osoby twojej odstręczyć, aby Duchowieństwu odjąć wszelką nadzieję na poparcie rozpoczętego oporu; słowem, aby przewrócić wszystkie plany, zniszczyć wszelkie rachuby na twą osobę.

Car i jego służba mówi prawdę, bo każesz im wierzyć Arcypasterzu? A czemuż śledztwa sprofonowanych kościołów nie uznano. czemu przy otwarciu nie pozwolono napisać, że kościoły te zostały rekuncyliowane, a tylko otworzone! Czemu nie przyszło ci na myśl zapytać się, gdzie lud, który był świadkiem zbrodni w kościołach popelnionej, czy sam nie przychodzi na świadectwo, czy go policya i kozactwo po ulicach wstrzymuje?

To Duchowieństwo nasze, które przed niedawnym czasem wspierane przez swojego Przewodnika nie powodowało się bojaźnią ani przedajnością, to Duchowieństwo, mówimy, jakąż dziś przybierze pozycyą? Czyż z nowem kierownictwem pocznie moralną z ludem wojnę, czy odstąpi od świętych obowiązków, które już na się przyjęło? Zaiste, z tych, co mowy Twej Arcypasterzu słuchali, nie był i jeden, któryby twe plany podzielał, któryby był gotów pójść za twoim głosem z pewnem przekonaniem, żeś jest prorok prawdziwy; żeś kapłan po Bogu, żeś Ojciec opuszczonego i znękanego ludu. Ręczyśmy ci imieniem Boga Wszzechmogącego, sumieniem narodu polskiego, że car i Wielopolski kłamią, aby cię kłamcą wobec narodu zrobili, — że tak jest, spytaj się historyi, która nie dostarczy i jednego faktu, potwierdzającego spełnione obietnice carskie. Postępując za natchnieniem ludzi niegodnych, potępionych od świata, zostaniesz od nich zdradzony, i oni w przyszłości, rachując na po-

wolność, pokwapią się zrobić z dygnitarza Kościoła uległego carskiego urzędnika.

Obaczmy czynności już dokonane, a do tego celu zdążające: nie wiadomo zapewne Waszej Ekscelencyi, że, kiedyś miał przybyć do Warszawy pociągiem o godzinie 5, dobroduszny lud gromadnie chciał cię powitać, chciał w niecierpliwości i znękanu z twarzy twej zaczerpnąć nową otuchę, ale niedopuszcili do tego oprawcy, i telegraf wysłany został, abyś się powstrzymał i przybył dopiero o godzinie 11, że, kiedyś już do Warszawy dojeżdżał, spotkać cię chcących z rozkazu Kryżanowskiego i Piłsudskiego rozbijano i rozganiało batami, innych tłumnie w sali zebranych na klucz zamknięto podstępem, a chłopczynę, co okrzyk radości wydał, pokaleczonogo do szpitala zaniesiono; że kiedyś jechał od kolei do pałacu, powóz twój oddział kozaków eskortował; że pod pałacem twoim, czego nigdy nie było, stawa kilku policyantów; po ulicy Miodowej wyłącznie przechodzą tłumnie zbrojne patrole; że od Piłsudskiego wyszedł onegdaj rozkaz, aby komisarze policyjni pod najsurowszą odpowiedzialnością składali raporta, kiedy i gdzie się oddalasz, kto do pałacu twego przybywa. Czyż z tego pojąć nie możesz, Arcypasterzu i Ojcze, że carscy słudzy, któremi pogardzić nie umiałeś, uważając cię za upojonego nowem stanowiskiem, chcą cię z narodem poróżnić, chcą ci pokazać, że lud cię uczcić nie potrafi, że nawet cię znieważyc ośmieliłby się, gdyby nie ich obrona; że ludowi nawzajem wpajają, żeś nie dla niego prócz niechęci i złej wiary nie powziął, i tak naprowadzają operacyę, jakby wskazać z urąganiem na ciebie chcieli, mówiąc: „patrzcie, to wasz przewodnik, obroniemy go, bo on nie jest ojcem waszym, a sługą nam uległym i potrzebnym“. Ale lud nasz nie znieważyc ciebie, bo nigdy tego nie czynił, prędzej rozpierzchnie się trzoda twoja, prędzej zostaniesz sam bez pomocy, ufności i posłuszeństwa, niżeli plamę na naród oprawcy zdołają sprowadzić.

* * *

Znalazłszy ciebie uległym i posłusznym, car i jego poplecznicy wmówili w Waszą Ekscelencyę, że lud polski nie wie sam, czego żąda, że on nie może mieć nadziei do powrotu bytowego, że to jest szalona tylko partya, która podbudza nierozważnie i psuje najlepsze zamiary carskie i że w końcu wszyscy żądają ustępstw i swobód; — że tak nie jest, w punkcie pierwszym wyluszczyliśmy. Teraz przychodzi pytanie: jakie są wszelkich operacyi carskich cele, jakie są żądania cara od Arcybiskupa warszawskiego? W przekonaniu, jak to wyżej powiedzieliśmy, że nieuspokojenie Polski spowodować musi nietylko onej utratę, lecz i obalenie dynastyi panującej

w Rosyi, car umyślił za jakąbądź cenę przywrócić pogńębienie ducha narodowego Polsce; działacze i słudzy doraźnie obrani wyczerpali już wszelkie środki; ani kłamstwo, ani morderstwa, ani chwywanie i uwożenie w głąb Sybiru żadnych dotąd nie wydały rezultatów, trzeba przeto ostatniej próbować broni i użyć takiej osoby za narzędzie, której od narodu należy się uległość, cześć i posłuszeństwo, i kosztem poniżenia najwyższej władzy, to jest zwierzchnika Kościoła, usprawiedliwić bezeceństwa przez oprawców popełnione, potępić ruchy szlachetne narodu, odjąć mu wszelką nadzieję, uspokoić; a następnie, w nowe ująwszy karby, wynarodowić zupełnie. Nie dziw przeto, że car wypiera się tego, co wczoraj świat potępił, i objawia z judaszowską słodyczą kłamliwe swe chęci, że poświęca wszystko dla swego bezpieczeństwa; ale nie idzie zatem, ażeby choć jedną obietnicę postanowił wypełnić. Czas ma swoje potrzeby, a zręczny polityk wszystkiego zarówno używa.

Otworzyłeś Arcypasterzu i Ojcze kościoły, bez uznania krzywd narodowi popełnionych, z naganą prawie dla tych, co one pozamykali; dalej podasz rękę przyjazną ciemieżcom narodu, którzy cię wołoko otaczają, a sprawa nasza na tem ucierpi i dobro Kościoła poszwankuje. Dziś, póki nie spełniłeś carskiego dzieła w zupełności, obsypują cię pochlebstwami i oszukują wszędzie; ale, kiedy jawnie przeciwko nam wystąpisz, lud pójdzie od ciebie, świątynie Pańskie będą puste, a przy boku twoim z ramieniem obrony staną Piłsudzki i Kryżanowski, i już nie z uwielbieniem, ale z litością traktować cię będą. Kiedy się ockniesz, już będzie za późno, bo lud cię słuchać nie będzie, bo on cię uważać może za swego ciemieżcę; i kiedy zawiedziony po upływie 3-miesięcznego terminu, postanowilibyś wrócić na jego łono upokorzony i umęczony jak ofiara carskiego przebiegu; nie dopuszczą tego ci, którzy nie pozwolili ogłosić rekuncyliacyi kościołów.

Mówiłeś Arcypasterzu i Ojcze: „potrzeba carowi trzech miesięcy czasu spokojnego oczekiwania“, ale czyż, mówiąc to, rozważyłeś, na co tych trzech miesięcy potrzeba? Czy na to, ażeby się car namyślił, co i jak ma uczynić dla Polski? Czy na to, ażeby uzyskać czas do budowania nowych fortec i nasposobienia oręża? Czy, aby nas połowę w Sybir przesiedlić, część zamordować, a część uwięzić? Czy, aby zająć umysł narodu i nie dać mu się przygotować z siłami do skorzystania z europejskiej wojny? Nie długi to przeciąg w porównaniu do wieczności, trzy miesiące, ale to więcej jak wieczność w sprawie narodu i wiary—nie 3-ch miesięcy, nie 3-ch godzin nawet potrzeba, aby na wysokości prymasowskiego tronu ujrzeć można było dygnitarza podobnego Piłsudzkim i Kryżanowskim.

Jeżeli car ma dobre dla Polski chęci, czemuż powierza władzę ludziom bez czci i honoru, którzy w podłym służalstwie i chci-

wości chwytają się najokropniejszych podłości; czemu nie sprzątnięto z placów wojska? a przedsięwziawszy szerokie pole prawdy, nie przystąpiono do działań z pośpiechem, ale pozostawiono skutek w obietnicy i chęci, tem więcej, kiedy Arcybiskup, przewodnik nasz obiecał im trzodę swoją do uległości doprowadzić.

Najprzewielebniejszy Arcypasterzu i Ojcze! oto przed tobą otworem stoją dwie drogi: jedna jak druga ostrym nabita cierniem, na szycie pierwszej jest św. Wiara nasza, a zlana ona jest krwią męczenników, kapłanów i wygnańców naszych; na szczycie drugiej jest kłamana łaska carska i poniżenie. Pośredniej zaś, której wyszukać pragniesz dyplomatycznemi zwrotami, wcale nie ma i nie będzie; wybierz tę, która ci prawdziwie pożyteczną i z obowiązkami pasterskiemi zgodną być się zdaje.

My zebrzemy twojej pomocy w imię Wiary naszej, w imię krwi i łez naszych, w imię twojej i naszej przyszłości i świętego posłannictwa naszego, niechciej lekceważyć głosu narodu, który jest głosem Boga.

Chociażbyś nawet Arcypasterzu i Ojcze nie wystąpił za poparciem sprawy naszej i chciał poświęcić całość dobijającą się wolności, wyswobodzenia części uwięzionej, chociażbyś, wierząc w nawrócenie cara do prawego Kościoła, jego nad nami panowanie ze względu na interes katolicyzmu chciał utrzymać; chociażbyś się nie upomniał krzywd naszych, my od swojego dzieła nie odstąpimy, za które krew już przelaliśmy, bo nam przewodnikiem krzyż Chrystusa, który przez drogę męczeństwa do zmartwychwstania doprowadzi.

Przy takim postanowieniu, przy tak jawnem wyjaśnieniu pragnień narodowych, płynących z wszystkich bez wyjątku serc, czyż można się lękać, czyż można mniej ufać w moc Bożą, niżeli w owe słowa carskie, któremi obiecuje nic Polakom nie ustąpić i ostatniego na utrzymanie niewoli żołnierza zrezykować? Tembardziej kiedy spełnione dowodzą fakta, że przed dziełem Bożem wszystko ustąpić musiało, a nawet i ten nowo rozpoczęty podstęp ustąpi!

Nie żałuj Arcypasterzu i Ojcze śmierci i ucisku naszego, przelew krwi naszej, albowiem ojcowie i matki nasze onej nie żałują, i nie żałowały; nie wspominaj o męczennikach naszych, bo oni nam są gwiazdą po drodze życia prowadzącą, oni nam są wskazówką przyszłego rozwoju i zdobycia wolności ziemskiej tymże sposobem, jakim oni wolność niebieską zdobyli.

List pasterski postanowienie twoje nam objawi, oczekujemy go z całą niecierpliwością, a radziłyśmy go widzieć pisany nie pod natchnieniem policyjnych urzędników, ale prawych i światłych kapłanów naszych.

Pomnij Arcypasterzu i Ojcze, że rosyjscy carowie przez całe

wieki ani jednej nie dotrzymali obietnicy, ani jednej nie zachowali przysięgi, bez względu na to, komu one za poręką stawili; że, zanim z protekcyi carskiej zostałeś Pasterzem-dyplomata kościoła wojującego, byłeś już obywatelem Polski, którego obowiązków żaden względ zniweczyć nie może.

W końcu pamiętaj i na to, że pasterza dla owczarni, a nie owczarnię dla pasterza Chrystus postanowił.

Mówiłeś nam o pierwszych męczennikach i o ich uległości dla władz doczesnych, ale nie rozważyłeś, że w ich męczeństwie był zadatek odrodzenia ludzkości, był tryumf krzyża nad barbarzyństwem i uciskiem świata władców, zapomniałeś, że Bóg zakazuje być zdrajcą zwierzchności własnej, ale nie przeszkadza prorokom w wołaniu nieustannem o wolność, ani Machabeuszowi w wyprowadzeniu z uci-sku ludu izraelskiego.

Niech wyziębione serce rozgrzeje się miłością ojczyzny, miłością ludu, z którego powstałeś, otrząśnij się z idei uludnych z Petersburga przywiezionych; a ręczymy sumieniem narodu: że wrócisz do tej czci i uwielbienia, co i twoi Najprzewielebniejszy Arcypasterzu poprzednicy.

Dan w stolicy Warszawie, d. 15 lutego R. P. 1862.

Pismo niniejsze w oryginale podane zostało Najprzewielebniejszemu Arcybiskupowi Metropolicie w dniu 15 lutego t. j. w przeddzień uroczystego ingressu do kościoła świętego Jana.

№ 5 (do str. 133).

List pasterski Arcybiskupa warszawskiego.

(Przedruk z dziennika „Le Monde“ z d. 19 lutego 1862 r.).

Sigismond Félix Felinski, par la grâce de Dieu et celle du Saint Siège Apostolique, archevêque de Varsovie, à tout le clergé séculier et régulier, ainsi qu'au peuple fidèle de notre archidiocèse, salut et bénédiction pastorale.

Et j'ai été au milieu de vous dans un état de faiblesse, de crainte et de tremblement. (I. Cor. C. II. V. 3).

Si l'apôtre Saint-Paul, miraculeusement appelé par le Sauveur lui-même au ministère pastoral, reconnaît cependant que c'est avec une grande crainte qu'il vint pour la première fois trouver les Corinthiens, qui pourrait s'étonner, Mes Chers Frères, que mon cœur aussi soit rempli de crainte et d'angoisse au moment de ma première rencontre avec vous? Je prends possession de ce premier siège

du royaume au milieu des circonstances de temps et de lieu les plus difficiles; j'en prends possession après un très illustre prédécesseur, dont la perte a laissé un regret sincère. Et je viens, inconnu de vous, dépourvu d'expérience, sans que l'âge même m'ait mûri pour une aussi haute dignité. Que puis-je donc vous dire pour calmer vos craintes et les tristes pressentiments dont peut-être vous êtes assaillis? Je n'ai rien à dire, M. C. F.; au contraire, humainement parlant, je devrais plus encore que vous être pénétré de terreur; car ce qui cause vos craintes, ce que vous ne voyez pas en moi les vertus et les mérites qu'exigerait une haute dignité pastorale, tandis que pour moi je me sens encore accablé par la conscience des profondes misères qui m'ont fait perdre et dissiper jusqu'aux talents que je tenais de la bonté divine.

Dès lors, comment se fait-il, puisque je connais d'une part toute mon insuffisance, et d'autre part les difficultés immenses et exceptionnelles, au milieu desquelles j'assume le fardeau de la responsabilité pastorale; comment se fait-il que je ne me sois point soustrait à cette dignité, alors que j'aurais eu tant de raisons à faire valoir pour motiver un refus?

Mes Frères, ceux d'entre vous qui ont la foi auront déjà au fond de leur coeur trouvé la réponse à cette question. J'ai accepté, car j'ai foi que lorsque c'est le Seigneur qui appelle, c'est lui aussi qui ensuite règle et conduit toutes choses. J'ai accepté, car j'ai confiance que la vertu divine n'exige de nous ni sagesse, ni puissance, ni talents, mais seulement une volonté droite et soumise, et qu'elle peut, au moyen des instruments les plus misérables, mener à bonne fin les oeuvres les plus merveilleuses. C'est par cette vertu que douze simples pêcheurs gagnèrent le monde entier à l'Evangile du Christ et fondèrent, par leurs efforts, cette sainte Eglise catholique, contre laquelle les portes de l'enfer ne prévaudront jamais. Or, l'efficacité de cette vertu divine ne change point, car Jésus-Christ est le même hier et aujourd'hui, et dans tous les siècles. Ayons donc seulement la foi des apôtres, et le Seigneur ne manquera pas d'opérer en nous des merveilles semblables aux leurs, malgré toute notre indignité. Je dirai plus: l'aveu sincère de notre propre impuissance est une condition indispensable pour que le Seigneur daigne faire de nous l'instrument de ses miséricordes, car c'est un Dieu jaloux, et il ne souffrirait pas qu'un homme, quel qu'il fût, revendiquât la gloire de ses oeuvres, et voilà pourquoi, parmi ceux qui sont appelés à prendre soin de la vigne du Seigneur, „il se trouve peu de sages selon la chair, peu de puissants et peu d'illustres; mais Dieu a choisi les moins sages selon le monde pour confondre les sages; il a choisi les faibles selon le monde pour confondre les forts; il a choisi les plus vils et les plus méprisables selon le monde, et

ce qui n'était rien, pour confondre ce qui est, afin que nul homme ne ce glorifie devant lui" (I. Chr., ch. I. v. 26. 29).

Connaissant ces voies du Seigneur, et amené par la conscience de lourdes fautes à reconnaître ma propre misère, je me borne à demander ardemment à Dieu d'augmenter en moi la vertu de la foi, assuré que si j'en avais autant qu'un grain de sénevé, je saurais faire face aux difficultés de la position actuelle avec le même succès que les Léon, les Grégoire, les Augustin, les Adalbert, les Stanislas, les Charles Borromée, les François de Sales et tant d'autres pasteurs selon le coeur de Dieu, qui ayant vécu au milieu de circonstances encore plus difficiles, ont su s'acquitter du gouvernement spirituel que la Providence leur avait confié, à la gloire et à la grande utilité de l'Eglise. Il me serait impossible de vous dire et de vous promettre à l'avance ce que je ferai et comment je le ferai au milieu de vous; celui-là même qui connaîtrait parfaitement les besoins locaux ne pourrait encore le dire sans présomption, car ce serait s'ingérer dans les secrets de la Providence. Je ne puis non plus exiger, mes très chers frères, que vous m'accordiez dès l'abord votre confiance, car celle-ci ne peut vous être imposée, elle a besoin d'être conquise. Je vous demande seulement de suspendre votre jugement et de réjeter des préventions qui n'ont aucun fondement. Attendez que mes actions me fassent connaître mieux que ne le pourraient mes paroles, vous suivrez ainsi le conseil du Sauveur disant que l'on reconnaît l'arbre à ses fruits.

Mais ne pensez pasmes, très chers frères, parceque je vous suis inconnu, que par cela même je vous sois étranger. Joseph aussi, bien qu'il n'eût pas été reconnu par ses frères, ne leur était cependant pas étranger: au contraire. Dieu l'avait envoyé en Egypte afin qu'ayant fait d'amples provisions, il fût à même de venir en aide à ses frères pendant la famine. Et de même que Joseph était attaché à la maison de Jacob par le triple lien de la foi, de la nationalité et de la parenté, je suis lié à vous par ce triple lien.

Et d'abord nous sommes unis par l'amour commun de l'Eglise, de cette sainte mère qui nous a nourri du même lait, de la doctrine divine. Sa pierre de touche de cet amour pour l'Eglise, c'est le respect, l'attachement et la soumission à N. S. P. le Pape; aussi ai-je la confiance que les Polonais demeureront fidèles dans le moment actuel, comme ils l'ont toujours été, au Saint-Siège Apostolique, et qu'ils ne se laisseront détourner par aucun sophisme de cette vertu qui est l'héritage de nos ancêtres. Quant à moi, je confesse devant Dieu et devant les hommes que la prospérité de l'Eglise et l'indépendance de la chaire de saint Pierre, qui en est inséparable, sont à mes yeux les plus graves des intérêts de ce monde. Non seulement parce que, en vertu de ma vocation et de mon ministère,

je dois, avant tout, prendre soin de l'état de l'Eglise, mais encore parceque c'est à l'Eglise de Jésus-Christ que tous les intérêts personnels, sociaux et même politiques viennent converger, comme à leur foyer commun, où ils puisent la vie et là force. Aussi plein de cette conviction, je n'hésite pas à répéter en m'adressant à l'Eglise les paroles que David adressait à Jerusalem: „Si je t'oublie, Jérusalem, que ma droite s'oublie elle même! que ma langue s'attache à mon palais si je ne me souviens pas de toi, si Jérusalem n'est pas toujours ma première joie!“ (Ps. 136. V. 6—8).

L'amour de mon pays est également un sentiment sacré, que j'ai comme vous sucé dans le sein de ma mère et que je ne renierai jamais. Je suis Polonais et je désire mourir Polonais; car c'est ce que m'imposent les lois divines et humaines. J'envisage notre langue, notre histoire nos moeurs nationales, comme l'héritage précieux de nos ancêtres, que nous avons le devoir de conserver pieusement pour nos successeurs, après avoir enrichi le trésor national au moyen de notre propre labeur. Je me glorifie donc avec vous de nos vieilles vertus polonaises, de la générosité des fils de la Pologne, de leur dévouement, de leur courage et de leur patriotisme. Je voudrais voir revivre l'antique fidélité à l'Eglise et au trône, la loyauté dans l'accomplissement des promesses, la fermeté dans l'adversité, le respect des lois et de l'autorité, la religion du serment, le courage civil ennemi de toute hypocrisie enfin le respect des convictions d'autrui alors même qu'elles sont contraires aux nôtres, pourvu qu'elles soient sincères, car sans cette condition, il n'est pas possible que la vérité s'établisse et que les principes se dégagent. Etant fermement persuadé que de même que le royaume de Dieu ne consiste par dans la parole, mais dans la vertu, de même aussi le vrai patriotisme ne consiste pas dans de bruyantes démonstrations, mais dans un travail consciencieux et persévérant pour le bien du pays; je désire de tout mon coeur que nous entrions enfin dans la voie du développement pacifique de la vie intérieure et des ressources nationales, lequel sans nuire à aucun intérêt essentiel, augmente chaque jour la prospérité du pays. J'ai la confiance que du moins la partie la plus raisonnable de la nation n'a manquera par de suivre cette voie. Cependant, si, par une aberration d'esprit aussi déplorable que pernicieuse, une génération inexpérimentée se laissait entraîner par de coupables agitateurs dans des voies anti-religieuses et anti-sociales, dans ce cas, quoiqu'il ne me fût pas possible de les y suivre, je ne lancerais pas l'anathème contre les égares, mais d'un coeur paternel bien que déchiré, j'élèverais ma voix vers Dieu pour lui dire avec Moïse: „Seigneur, ou bien pardonnez-leur cette faute, ou bien si vous ne le faites point, effacez-moi maintenant de votre livre, que vous avez écrit“. (Ex. c. XXXII, 32). Et

peut-être le Seigneur, qui pardonna aux Israélites leur idolâtrie, pardonnerait-il aussi à ma nation son idolâtrie politique, et daignerait-il la ramener dans le chemin de la foi et de la vertu.

Ce devoir de partager le sort de ma nation dans la fortune adverse, comme dans la prospérité, ce n'est pas seulement le sentiment national qui me l'impose, c'est bien plus encore le bien de parenté spirituelle qui m'unit désormais à vous d'une manière indissoluble, par la charité pastorale. Le bon pasteur est obligé de rapporter au bercaïl sur ses propres épaules la brebis égarée, et s'il ne peut l'arracher au loup ravisseur, alors il doit, ainsi que le veut l'Évangile, donner son âme pour ses brebis plutôt, que de sauver sa vie par une fuite honteuse, en les abandonnant à leur perte. Aussi, malgré ma misère et la fragilité qui m'ont fait manquer tant de fois et si gravement à des convictions intimes, j'ose cependant, me confiant à la grâce divine qui soutient les hommes de bonne volonté, prendre envers vous, mes très chers frères, l'engagement solennel que, de même qu'avant toute entreprise importante, je ne cesserai de vous avertir et de vous conjurer à temps et à contre-temps de ne rien faire contre la loi divine ou contre la loi humaine; de même, après l'évènement, je ne me refuserai jamais à en partager avec vous les conséquences, dussent-elles être les plus rudes, dans l'espoir que le Seigneur daignera peut-être accomplir dans vos coeurs, durant l'adversité, le changement que ma sollicitude pastorale n'aura pas réussi à produire par la voie de la persuasion.

Je n'ai pas besoin, je pense, d'ajouter qu'en parlant de tolérance envers les égarés, je n'entends parler que des hommes dont la volonté est droite car pour les hypocrites pervers, qui ne craignent pas de pousser à la perte l'inexpérience d'autrui, tout en ayant la conscience du mal qu'ils font, ce serait un péché de les tolérer, et à plus forte raison de prendre une part quelconque à leurs actes. „Car quel lieu peut-il y avoir entre la justice et l'iniquité? quelle union entre la lumière et les ténèbres“. (II. Cor., VI, 14). Ainsi donc, quiconque, agissant dans des vues personnelles, ou dans l'intérêt d'un parti, tend des pièges au patriotisme de la jeunesse, et abuse de son inexpérience pour la pousser en faisant appel à son amour de la patrie, au renversement de la foi et des institutions sociales, ou bien à une effusion de sang fratricide; celui là doit non seulement être mis au pilori de l'opinion, publique mais encore il faut absolument que, comme un membre gangrené et pestilentiel, il soit séparé du reste du corps demeuré sain, car il est de ceux dont l'Apôtre de la charité dit: „Ne le recevez pas dans votre maison, et ne le saluez pas même, car celui qui le salue participe à ses mauvaises actions“. (II. ép. S. Jean. V, 10).

Je sais bien, mes très chers frères, que plusieurs d'entre vous

m'adresseront le reproche de semer la zizanie et la discorde parmi des compatriotes qui aujourd'hui sont unis entre eux par le lieu d'une intime concorde. Mais je vous l'assure, tant que tous nous ne serons pas devenus lumineux, la discorde ne cessera pas de subsister dans les coeurs, alors même qu'elle prendrait à l'extérieur le masque de la concorde. Quant à moi, Mes Frères bien-aimés, ce n'est pas la sagesse humaine, mais la sagesse divine, que je suis venu vous prêcher: or, la parole de Dieu est un glaive à deux tranchants, qui partout et toujours sépare la vérité de l'erreur; car, comme le dit l'Apôtre: „La parole de Dieu est vivante et efficace et plus pénétrante qu'une épée à deux tranchants, et elle entre et atteint jusq' à la division de l'âme et de l'esprit, jusque dans les jointures et la moëlle; elle démêle les pensées et les mouvements du coeur“. (Heb. IV, 12). Et le Sauveur, après avoir averti que le devoir de porter témoignage à la vérité est une condition tellement nécessaire au salut que celui qui le renierait devant les hommes, Jésus-Christ le renierait devant son Père céleste, continue ainsi: „Ne pensez-pas que je sois venu apporter la paix sur la terre: je ne suis pas venu apporter la paix mais le glaive. Car, je suis venu séparer l'homme de son père, la fille de sa mère, et la belle fille de sa belle mère, et les ennemis de l'homme seront les propres serviteurs. Celui qui aime son père ou sa mère plus que moi n'est pas digne de moi, et celui qui aime son fils et sa fille plus que moi n'est pas digne de moi. Celui qui ne prend pas la croix n'est pas digne de moi“. (Mat. X. 34—38). Ainsi, pour que notre amour soit digne de Jésus-Christ, il faut qu'il soit en tout soumis à la sainte volonté, qu'il porte avec soumission la croix que lui impose le Seigneur et qu'il soit attentif à imiter le divin Maître en toutes choses.

Moi aussi, Mes Frères bien-aimés, je désire la réunion des esprits et des coeurs de tous ceux qui portent le nom de Polonais; mais je désire qu'ils s'unissent autour du principe divin, immuable; car c'est là la seule union qui promette de la durée; tout autre, en sacrifiant l'esprit à la forme, ne conduit qu'à des concessions pernicieuses faites à l'erreur par la vérité. Je n'ignore pas que l'appel que je fais ici provoquera plus d'une menace; car le terrorisme de l'opinion a malheureusement remplacé chez nous le courage civil de nos pères, qui savaient soutenir franchement leurs convictions aussi bien pardevant le Trône et au sein du Sénat que dans les Diètes nationales. Aujourd'hui, il en est beaucoup parmi nous dont la pensée est autre, et qui préfèrent plier leurs discours à des formules qu'ils se laissent imposer, parce qu'ils ont peur des menaces d'un petit nombre d'audacieux. Moi aussi, mes chers frères, je l'avouerai franchement je ne suis pas sans craindre les repressailles d'hommes que la passion égare; car pour eux, il ne leur est pas difficile

d'en venir des paroles aux actions; mais comme je crains infiniment plus le Seigneur, je préfère m'exposer au courroux de ceux qui, après avoir tué le corps, ne peuvent plus me faire aucun mal, que d'offenser Celui qui peut précipiter le corps et l'âme en enfer pour l'éternité. Si je touche cette corde, mes très chers frères, ce n'est pas que je nourrisse d'aussi sombres pressentiments; bien au contraire, j'aime à espérer pour vous et pour moi-même un avenir plus prospère: mais c'est parce qu'il faut se tenir prêt à tout événement lorsque, dans des temps agités, l'on veut demeurer fermement attaché à des principes au lieu de suivre des partis.

Mais c'est avec vous surtout que je désire m'entendre et m'unir dans un amour commun pour l'Eglise et la patrie, vous, mes bien-aimés collaborateurs dans la vigne du Seigneur, prêtres de Jésus Christ; car sans votre coopération, mes intentions même les meilleurs, ne seront jamais que des rêves impuissants. Nous ne saurions avoir un champ d'action plus vaste, et qui donne de plus belles espérances que celui qui est ouvert devant nous. Faire revivre la discipline et le zèle primitifs au sein du clergé séculier et des ordres religieux, relever les études dans les écoles et les séminaires, éclairer le peuple et contribuer à l'heureuse solution de la question des paysans, étendre les institutions de miséricorde et de charité et leur donner de plus vastes proportions, mûrir le caractère national par l'exercice des vertus privées et publiques, sans lesquelles aucune société ne peut exister et à plus forte raison ne saurait fleurir, telle est la grande et sublime mission qui nous est départie, et dans l'accomplissement de laquelle les autorités du pays, non seulement ne nous mettront pas d'entraves, mais où elles sont prêtes au contraire à apporter leur concours, car elles sont animées d'un noble désir du bien. Notre auguste souverain nourrit à notre égard les sentiments les plus magnanimes, dont la réalisation dépendra de notre conduite et du rétablissement de la tranquillité. J'ai le coeur pénétré de cette assurance, car moi-même je n'ai eu d'autre titre au choix dont Sa Majesté m'a distingué, que la confiance conçue par elle, que je serai toujours pour vous mes très chers frères, un bon et vigilant pasteur, selon l'esprit de l'Eglise catholique. Je vous en supplie donc, mes très chers frères, au nom du bonheur et de l'avenir du pays, arrêtez les écarts irréfléchis de ces exaltés à courte vue, qui pour satisfaire aux exigences d'une surexcitation passagère, n'hésitent pas à paralyser le développement organique des forces intérieures de la nation, lequel peut seul assurer à notre pays un avenir prospère. Lorsqu'on s'engage dans la voie de l'insurrection armée, des conspirations et des manifestations, et que le succès vient à manquer, toutes les peines que l'on s'est données sont entièrement perdues. Tout au contraire, dans le travail d'un développement inté-

rieur, la plus faible parcelle vient s'ajouter à la masse générale des ressources nationales, et elle passe comme un héritage sacré à la postérité la plus reculée.

Personne de vous, mes chers frères, ne peut ignorer que toutes les calamités dont notre pays s'est vu frappé étaient de justes châtiments pour les péchés de notre nation, péchés que la justice divine ne pourrait laisser impunis. Le vénérable P. Skarga prédisait, il y a trois siècles, le sort funeste qui devait nous frapper, en indiquant les causes qui nous conduiraient inévitablement à la perte, si la nation ne revenait à résipiscence. Il est donc nécessaire de réparer avant tout cette ruine intérieure, c'est la une condition absolue pour obtenir de Dieu qu'il cesse de nous frapper. Faire pénitence, acquérir les vertus, prier avec ferveur et humilité, avec foi et soumission à la volonté divine, voilà le vrai chemin pour reconquérir la paix et la prospérité nationales. Dans cette voie, chacun peut travailler sans distinction de condition d'âge ni de sexe; mais plus quelqu'un s'élève dans la perfection chrétienne, plus son action devient efficace. Le Seigneur ne s'est-il pas montré disposé à pardonner au péchés des habitants de Sodome en faveur des mérites de quelques justes? Pourquoi des saints sortis de nos rangs ne fléchiraient-ils point à leur tour Son courroux, aussitôt que, du sein de notre nation, leur voix s'élèveraient en grand nombre pour le prier et le bénir.

A l'oeuvre donc, mes Frères, à l'oeuvre avec calme et persévérance! Que chacun de nous apporte dans la mesure de ses forces, ne fût-ce qu'un petit caillou, pour la construction sociale, et bientôt nous verrons s'élever devant nos yeux un majestueux édifice. Imitons Esdras et Néhémias, qui ont su restaurer l'ancien temple pour la gloire et l'utilité de leur peuple, plutôt que de suivre ces malheureux habitants de Jérusalem qui, après avoir crucifié Jésus-Christ, ont vainement essayé de s'opposer à la puissance des Romains. Leur crime appelait nécessairement la vengeance divine et voilà pourquoi malgré les efforts les plus héroïques, ils furent atteints par le bras de Titus, qui les frappa, non par sa propre vertu, mais par celle du Très-Haut. Notre mot d'ordre et de ralliement sera donc désormais: „Edifier et non démolir, travailler et non s'agiter; et pourvu que nous fassions toute chose avec Dieu et en Dieu, Dieu aussi sera avec nous. Enfin, mes Frères, tout ce qui est vrai, tout ce qui est honnête, tout ce qui est juste, tout ce qui est saint, tout ce qui est aimable, tout ce qui donne une bonne réputation, tout ce qui est vertueux tout ce qui est estimable dans la conduite, que ce soit là votre méditation“. (Philip. IV, 8). Et que la paix du Seigneur, qui surpasse tout sentiment, garde vos coeurs et vos pensées, en Jésus-Christ. Ainsi soit-il.

N^o 6 (do str. 135).

Listy ks. Gorczakowa, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, do ks. Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego.

(Kopia z oryginału).

1.

St. Petersburg, le 12 Fevrier 1862*).

Monseigneur.

J'ai eu l'honneur de recevoir la lettre que Vôtre Excellence Révérendissime a bien voulu m'adresser sous la date du 9 Fevrier.

Avant tout je Vous remercie sincerement pour cette preuve de confiance. Je ne saurais mieux Vous temoigner combien je l'apprécie, qu'en y repondant avec la même franchise.

Vous avez reçu, Monseigneur, des impressions pénibles à Vôtre arrivée à Varsovie. Vôtre lettre s'en ressent. Jusqu'à un certain point je pouvais m'y attendre; car il y a trop de personnes intéressés à Vous représenter la situation du pays sous des couleurs sombres.

Je comprends que le caractère le plus ferme puisse être momentanément ébranlé, et la perspicacité la plus éclairée troublée, lorsque tous les jours les mêmes efforts se dirigent vers le même but. Mais laissez moi aussi conserver la conviction que ces impressions éphémères se dissiperont lorsque Vous ne Vous arrêterez plus à la superficie des choses et que Vous voudrez bien réunir les souvenirs que Vous avez dû emporter de St. Pétersbourg.

L'état de siège avec ses rigueurs obligées, peut être même avec quelques excès de zèle de la part des autorités locales, n'est pas fait pour rassérénir l'esprit. Il froisse trop d'intérêts, il comprime trop de passions, déjoue trop d'espérances coupables, pour que tous ceux qui en souffrent comme ceux qu'il désappointe, ne s'attachent pas à en exagérer les conséquences réelles. C'est ce que j'appelle Monseigneur, la superficie des choses. La réalité, ce qui importe pour le bien être et l'avenir du Royaume, ce sont les inspirations généreuses du coeur de l'Empereur, des intentions bienveillantes se fasse attendre, et la ferme résolution de nôtre Auguste Maître de maintenir et de développer tout ce qui sert les véritables intérêts du pays.

*) Ortografia oryginału zachowujemy bez zmiany. Daty są rozumie się według kalendarza Juliańskiego. Dzień 12 lutego odpowiada naszemu 24.

Vous avez eu le bonheur d'approcher notre Auguste Maître. Vous avez recueilli de Sa propre bouche l'expression des intentions qui L'animent, de Son respect pour la liberté de la conscience religieuse, de Sa disposition enfin à réunir dans la même affection Ses sujet du Royaume comme ceux de l'Empire.

Voilà Monseigneur, les vérités auxquelles je Vous supplie de rattacher Votre confiance dans l'avenir et de subordonner Votre appréciation du présent.

La position du pays, dites-vous, est insoutenable. Celle de l'autorité jusqu'à l'établissement de l'état de siège l'était à un degré beaucoup plus sérieux. Elle avait été tendue telle par des provocations incessantes, se prolongeant des mois entiers, par une tolérance déplorable du pouvoir local, qui avait fini par donner aux agitateurs un brevet d'impunité. Or, le sommeil de l'autorité tourne toujours finalement au détriment des administrés. En y mettant un terme, le Souverain remplit le premier de Ses devoirs. Il est possible, je le répète, que des excès de rigueur aient eu lieu et peut être se reproduisent encore. C'est le sort de la fragilité humaine à laquelle moins qu'un autre Votre Excellence Révérendissime refusera le manteau de la charité Chrétienne. Mais certes il n'est pas de la volonté de notre Auguste Maître que la situation exceptionnelle entraîne plus de sévérité que ne l'exige le maintien de l'ordre et toutes les fois que des circonstances aggravantes démontrées parviennent à la connaissance de Sa Majesté, Ses ordres prescrivent d'aviser aux remèdes.

Dans les vœux que Vous exprimez, Monseigneur, quant au Royaume, veuillez permettre qu'usant de la franchise que Vous me connaissez, je range dans une catégorie tout à fait secondaire les costumes, les couleurs et les aigles blanches. En y cosentant, le Gouvernement ne contribuerait absolument en rien au bien être réel des parties intéressées, il ne ferait qu'encourager des aspirations, dont le but final est connu, et entretenir des espérances, dont la réalisation est impossible. Je n'attache aucune valeur sérieuse à ces signes extérieurs. Aujourd'hui que les passions sont loin d'être calmées, où les partisans d'une indépendance absolue guettent chaque pas du Gouvernement, ce serait un symbole, et un symbole dont la signification ne manquerait pas d'être interprétée dans le sens des calculs les plus exagérés. Demandez au Gouvernement équité, impartialité, bienveillance; mais ne lui demandez pas de jouer une comédie, qui ne créerait que des victimes.

Je n'entrerai pas dans tous les détails qu'aborde Votre Excellence Reverendissime. Je La supplierai de les ramener à la connaissance qu'Elle a des intentions générales de notre Auguste Maître. Elles sont immuables, quant au bien de l'Eglise et au bonheur de

ses sujets Polonais, mais leur application pratique et le degré de leur développement dépendent nécessairement des dispositions manifestées en retour par le pays.

Un beau rôle Vous est réservé Monseigneur. L'éminence de Vos fonctions religieuses Vous assure un ascendant prépondérant sur Vos ouailles; la confiance de l'Empereur dont Vous avez eu un témoignage éclatant. Vous fournit le moyen d'opérer le bien sur une grande échelle. Vous resterez fidèle à cette vocation. J'aime à en conserver le ferme espoir. Vous saurez résister aux efforts de ceux qui aspirent à faire de Vous un instrument politique de leurs passions et à Vous amoindrir en abusant des fibres généreuses du cœur humain. Votre tâche est difficile, j'en conviens. Tous les regards épient chacun de Vos pas, mais il n'est pas de tâche irréalisable dans la voie du bien. Le Seigneur n'a jamais refusé la force à ceux qui se placent dans cette voie.

Je ne doute pas que l'autorité supérieure du Royaume Vous témoigne tous les égards et toute la déférence qui sont dûs à la position que Vous occupez et à Votre caractère personnel.

Nous en avons déjà la preuve dans l'accueil qui a été fait à quelques unes de vos demandes pour la remission de peines à des ecclésiastiques et ce que Mr. l'Aide de Camp Luders mande sur l'impression qu'il a reçue de ses premières relations avec Vous me semble du meilleur augure.

Nos rapports avec le St. Siège continuent à être excellents. Le St. Père se montre très reconnaissant de dispositions de notre Auguste Maître à l'égard de l'Eglise Catholique. Les sièges vacans ne tarderont pas à être remplis. Nous nous occupons du choix des dignitaires qui va être soumis confidentiellement ainsi qu'il est d'usage, à l'approbation préalable du Pape. Le retard dans la désignation du Prélat destiné d'abord à une mission temporaire près de notre Cour, mission qui plus tard serait convertie en Nonciature permanente, ne tient qu'aux soins apportés par le St. Père au choix de cet individu pour qu'il soit à la fois utile et agréable aux deux parties. Je vous prie, Monseigneur, de me considérer entièrement à Votre disposition toutes les fois que Vous me jugerez utile comme intermédiaire de Vos vœux, surtout pour ceux qui se rattachent aux intérêts qui Vous sont spécialement confiés. En disposant ainsi de moi Vous me prouvez que ma franchise ne Vous a pas déplu. Pour ma part, je m'estimerais heureux d'apporter mon obole au bien que nous désirons en commun.

Je prie Votre Excellence Reverendissime d'agréer l'hommage de mon profond respect et de mon sincère dévouement.

Gortchakow.

St. Petersbourg le 18 Fevrier 1862*).

Monseigneur.

Je m'empresse de répondre à la lettre, que Vous m'avez fait l'honneur de m'adresser sous la date du 12/24 courant.

J'ai rempli le devoir de la soumettre à Sa Majesté l'Empereur

L'estime particulière qu'inspire à notre Auguste Maître le caractère de Votre Excellence Reverendissime, engage Sa Majesté à abandonner à Votre propre jugement l'opportunité, soit de publier. le mandement, tel qu'il a été arrêté ici, soit de Vous abstenir de toute publication de cet acte. Vous Vous rappellerez Monseigneur, que ce mandement ne Vous a été ni suggéré ni imposé. Les modifications qui Vous ont été proposées et que Vous avez acceptées, ne porteraient que sur des nuances de rédaction. C'était un acte spontané, expression de Vos convictions personnelles que l'Empereur a hautement apprécié.

Mais après que ce document a été reproduit textuellement dans un journal étranger, connu pour son hostilité systématique contre la Russie, Sa Majesté ne saurait reconnaître la convenance d'une publication modifiée ou tronquée. Elle donnerait lieu à des suppositions qui ne seraient pas d'accord avec la vérité.

Le texte de l'allocution, que Vous avez prononcée, nous a été transmis par Mr. l'Aide de Camp Gⁿ Luders. L'effet moral auquel elle était destinée, ayant été produit, nous ne voyons pas l'utilité, que pourrait avoir sa publication. Si cependant Vous y attachez de l'importance, l'Empereur ne trouverait pas d'inconvénient à ce qu'elle fût reproduite, mais dans ce cas Sa Majesté jugerait plus conforme à Votre dignité qu'elle ne fût accompagnée d'aucun préambule.

Quant au mandement que Vous proposez, afin de rappeler à l'occasion du carême les obligations qu'impose cette période de jeûne et de mortifications, il dépend de Votre Excellence Révérendissime de la publier conformément au vœu que Vous exprimez Vous même, celui de Vous renfermer de préférence pour le moment dans la sphère ecclésiastique.

Le soin de maintenir la discipline parmi le Clergé et le respect des préceptes de l'Église, trop souvent violés à Varsovie ces derniers temps, offre un vaste champ à Votre conscience et à Votre intelligence. Notre Auguste Maître sait, Monseigneur, que Vous appréciez toute la grandeur de Votre tâche. Sa Majesté a la confiance que par la pureté des Vos intentions et l'élévation de Vos sentiments,

*) Według kalendarza Gregoryjańskiego d. 2 marca.

Vous Vous maintiendrez à la hauteur de cette mission, et que Vous saurez la remplir, en travaillant à éclairer, à guider l'opinion, à en réprimer les entraînements et à ramener parmi les masses le calme et l'esprit de conciliation qu'ont bannis les passions politique.

Dans cette voie Votre Excellence Révérendissime peut compter sur le concours le plus cordial du Gouvernement. Veuillez agréer, Monseigneur, l'assurance de ma haute considération

Gortchakow.

3.

St. Petersburg, le 7 Mai 1862*).

Monseigneur.

La franchise avec laquelle Votre Excellence Révérendissime m'a écrit à diverses reprises, non seulement m'autorise, mais je crois m'impose l'obligation d'une loyale réciprocité. Je pense que dans cette voie nous nous donnons un témoignage mutuel d'estime et que nous servons la cause à laquelle nous sommes appelés.

Votre memoire vous rappellera sans doute, Monseigneur, les paroles confiantes de l'Empereur, les pensées échangées entre nous deux et les dispositions dans lesquelles Vous aviez quitté Pétersbourg. Tout cet ensemble devait tourner à l'avantage de l'Eglise à laquelle Vous appartenez et Vous traçait un rôle que Vous pouviez remplir sans gêner les scrupules de Votre conscience, tout en Vous faisant une large et glorieuse part dans l'accomplissement de Vos devoirs de Pasteur.

Je n'aime pas les récriminations. Le respect que je professe pour Votre caractère religieux et pour Vos qualités personnelles me les aurait d'ailleurs interdits.

Si je me promets une légère recapitulation de faits, ce n'est point à titre de grief, croyez le bien, Monseigneur; c'est un simple appel de Vous à Vous même.

Vous aviez rédigé un Mandement selon Vos propres inspirations. Ce Mandement avait passé sous les yeux de l'Empereur et reçue la sanction de Sa Majesté.

Arrivé à Varsovie Vous Vous ravisez et Vous demandez avec instense d'être dispensé de son publication. Notre Auguste Maître défère à ce voeu. En m'exprimant la reconnaissance que Vous en éprouvez, Vons me dites que désormais Vous voulez Vous renfermer strictement dans la partie religieuse des devoirs qui Vous sont con-

*) Według kalendarza Gregoryńskiego d. 19 Maja.

fiés et rester complètement étranger à la politique. L'Empereur donne également Son adhésion à cette manifestation de Votre propre désir.

Qu'est-il donc arrivé depuis pour Vous faire changer d'opinion? Ici nous nous occupons consciencieusement à écarter les obstacles qui pourraient entraver les mouvements réguliers des serviteurs de l'Eglise Catholique Romaine, autant que cela est possible avec le maintien de nos lois fondamentales.

Au milieu des épreuves pénibles qui assaillent le trône Pontifical, dans la crise décisive que traverse l'autorité du Pape, l'Empereur donne au St. Père un témoignage de déférence et d'intérêt, dont la portée n'aura pas échappé à Rome.

Sa Majesté reste ferme dans l'intention de protéger Ses sujets Catholiques à l'égal de ceux qui partagent Sa foi; Sa Majesté veut que la liberté du culte n'ait d'autre limites que celles au delà desquelles elle ferait descendre dans l'arène des passions et porterait ainsi atteinte au caractère sacré de la religion.

Sommes-nous secondés dans cette tâche qui n'est pas sans difficultés?

De Rome on essaye de renverser directement les bases fondamentales de la législation de l'Empire, bases qui nous sont communes avec la plupart des Etats purement catholiques.

L'on remet ainsi imprudemment sur le tapis la question brûlante du pouvoir spirituel et de celui temporel et l'on se constitue l'allié des adversaires du Gouvernement Pontifical, qui s'attachent à prouver l'incompatibilité de ces deux pouvoirs pour le repos et la tranquillité intérieure des autres Gouvernements.

J'aime à croire que cette erreur ne sera pas de longue durée et que les explications cordiales mais sérieuses dont l'Empereur a chargé Son Représentant près de St. Siège éclaireront Sa Sté sur Sa véritable position et ses véritables intérêts.

Votre Excellence Révérendissime a eu sous les yeux le texte de ma lettre à Mr. Kissélew. J'ai prié Mr. le Gl. Lüders de Vous donner cette preuve de confiance de ma part.

A Varsovie un bref ou une lettre du Pape à Votre Excellence Reverendissime qui ne devait pas Lui parvenir par cette voie, a reçu par Vous une publicité devenue une aggravation du fait. Aujourd'hui Le Monde publie une lettre de Votre part qui certainement entre dans le domaine politique, dont Vous même aviez exprimé l'intention de Vous abstenir.

Franchement, Monseigneur, à quoi doit conduire cette lettre sourde, et pardonnez moi l'expression, tracassière?

Vous ne pouvez douter des intentions qui animent l'Empereur, Vous ne disconviez pas non plus, que leur mise en pratique ne

peut avoir lieu que par la volonté de notre Auguste Maître. Vous pouvez regretter quelques retards d'exécution. Je les regrette avec Vous, mais ces retards qui peuvent tenir et qui tiennent en effet à des causes secondaires et accidentelles, doivent-ils nous diviser dans le but que nous poursuivons en commun — je dis en commun, car je ne puis pas Vous en supposer d'autre que celui de servir les intérêts de la Foi que vous professez, tout en respectant les institutions de l'Empire.

Je crains Monseigneur que Vous ne Vous soyez placé sur une pente qui finalement mènerait à des résultats tout opposés. En sécondant le pouvoir Souverain dans l'exécution d'une pensée qui devrait être transparente à Vos yeux du moment où Vous auriez compris le caractère du Souverain, que Vous avez approché ce caractère qui se révèle à la première parole, j'oserai dire au premier regard — Vous servez efficacement les intérêts qui Vous sont chers. Divisé, Vous entrerez infailliblement dans une voie étroite, qui frapperait de stérilité les meilleurs intentions.

J'ose vous rappeler Monseigneur, que le poste éminent, que vous occupez est le témoignage le plus éclatant de la confiance de l'Empereur. Or la confiance dans une âme comme la Votre doit attirer la confiance.

Je ne dis pas que Vous ne soyez appelé à éclairer parfois le Gouvernement dans la voie où il est entré, mais mon intime conviction est que Votre action ne saurait être réellement utile que si Vous tenant à l'écart des passions éphémères du moment, Vous restez l'auxiliaire du Gouvernement, c. à. d. si Vous lui prêtez un concours qui d'ailleurs ne serait demandé au détriment de votre conscience.

Les sentiments que j'entretiens pour Votre Excellence Reverendissime Lui sont connus. J'ose même croire de Lui en avoir donné des preuves dans un moment décisif. J'ai puisé dans ces sentiments l'obligation de Vous parler avec un entier abandon et une franchise sans réserve. Si dans ma lettre il m'est échappé une expression trop colorée, à mon tour je Vous demande de m'absoudre. Elle ne m'aura été inspirée que par l'estime que je vous porte et par ma respectueuse affection pour votre personne.

Gortchakow.

№ 7 (do str. 233).

Mandat szkoły podchorążych w Genui.

(Kopia z druku).

Ponieważ generał Mierosławski zrzekł się dowództwa nad szkołą wojskową polską w Genui, i w jego miejsce przez wygotowany i już doręczony adres, obrany został generał Wysocki jako jedyny człowiek, który z największym pożytkiem dla kraju na tem stanowisku pozostawać może, aby przeto wybór ten doprowadzić do skutku, uczniowie szkoły na adresie niniejszym podpisani, wybrawszy z łona swego współkolegów: Kurczewskiego, Turczewicza i Rogalińskiego, upoważniają ich do udania się do Turynu, i ze względu na nagłą konieczność, zaproszenia generała Wysockiego do natychmiastowego objęcia naczelnictwa szkoły. Uczniowie szkoły nie udzielają obszerniejszej atrybucyi delegowanym, gdyż sądzą, że ci nie znajdą żadnej przeszkody w wykonaniu misyi. Szkoła bowiem zyskała już za pośrednictwem swej deputacyi sankcyę wyboru osób na sterze rządu włoskiego będących, w której niezmiennosc wierzyć ma prawo. Ponieważ podpisani nikogo innego, jak tylko generała Wysockiego za naczelnika szkoły uznają, deputowani przeto winni są wyrazić to wszędzie, gdzie uznają za potrzebne.

Genua 23 marca 1862.

(Następuje 65 podpisów).

№ 8 (do str. 308).

Odezwa oficerów rosyjskich do żołnierzy.

(Kopia z druku współczesnego).

Russkie ofiцery sołdatam russkich wojsk w Polsce.

Sołdаты! Żałkoje położenie wasze zastawłajet nas, waszich starszich bratjew, wozwysit' nakoniec gołos. Car poczti niczego nie dajet wam i dawat' nie choczet; żalowanie wasze nicztożno, wy durno odiety, a piszczu wasza jedwa dostatoczna dla togo cztoby nie umret' s gołodu; daże poslednije dostojanie wasze — diengi, katoryje wy wyruczali za niedojediennyj chlieb, bezstydno tiepier ot-niaty u was. Otorwanyje ot rodiny, ot wsiech bliskich i rodnych waszich, wy służitie w tieczenii łuczsziej czastii swojej żizni. Mnogie iz was gibnut na służbie ot iznurenia, pobojew i bolieznij, a jesli i udajetsia komu iz was wozwratitsia na rodinu, to dla togo tolko, cztoby poslie dwadcat'letniej rozłuki, nie uznat' daże rodnoj izby,

nie otyskat' daże moglił rodziczej waszych. Uwiecznia i bolieźni waszi, śliedztwo waszej tiazeloj służby, razwie woznagrażdajut cziem nibud'? Tysiczi sewastopolskich gierojew, pitajuszczichsia koje kak miłostynie, pust' posłużat primierom tego, czto ożidajet was w starosti. Soldaty, wy nieszczastny, wy wsiemi ugnietieny! Wy wozbużdajetie uczastie w nas, tiech naczałnikach waszych, kotoryje iskrenno was lubiat; no my odni niczego nie możem dla was sdiełat'. Ot was samich zawisit' tiepier uluczszenie uczasti waszej; nastal tiepier udobnyj sluczaj, a dowierie wasze k nam, budiet załogom pobiedy. Otcy i bratia waszi wozstali uże protiwaria i pomieszczikow, sprawiedliwo trebuja siebie ziemli i woli; oni protiagiwajut k wam ruki, molia was o pomoszcz. Razwie wy budietie hładnokrownymi zritielami pogibeli wsiech rodnych i blizkich waszych? razwie zachotim zasłužit' sprawiedliwyja proklatia ich? Niet! niet! My sostawim wolnyja družyny i pospieszim w Rossiju na pomoszcz naszim. Wsio czto słužit pomiehoju ispołnieniu etogo swiatogo dołga, wsie grabiaszczije i ugniatajuszczije nas dołżny pogibnut'; krow ich da smojet pozor, naniesiennyj imieni russkomu niewinnoj krowiu russkich krestian i Poliakow, prolitoju po ich prikazaniem.

Poliaki gotowy wozstat', podobno otcam i bratiam waszim za swoju woliu, za swoju zemliu. Oni protiagiwajut nam ruku pomoszczii; sojedininisia s nimi i nieczto nie budiet w siłach protiwietsia nam. Naszi wolnyja družyny, poddierżannyja ich družeskimi połkami, projdut po Rossii z klikami torżestwa i swobody. Pobiedy naszije dostawiat woliu i ziemliu otcam, bratiam i dietiam waszim i pozwołiat wam wozwratitsia k siemiejstwam waszim. My oficery waszi gotowyje słožit' golowu za swoju i waszu swobodu, za swobodu naroda Russkago i Polskago, powiediem was pri pomoszczi Bożiej na eto swiatoje i wielikoje dzieł. Towariszczi! my skażiem wam kogda i czto diełat', nieużeli niedostaniet u was mužestwa pojdti za nami?

Warszawa (18) Jjunia 1862 goda.

№ 9 (do str. 328).

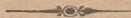
Odezwa o przyjeździe W. Ks. Konstantego.

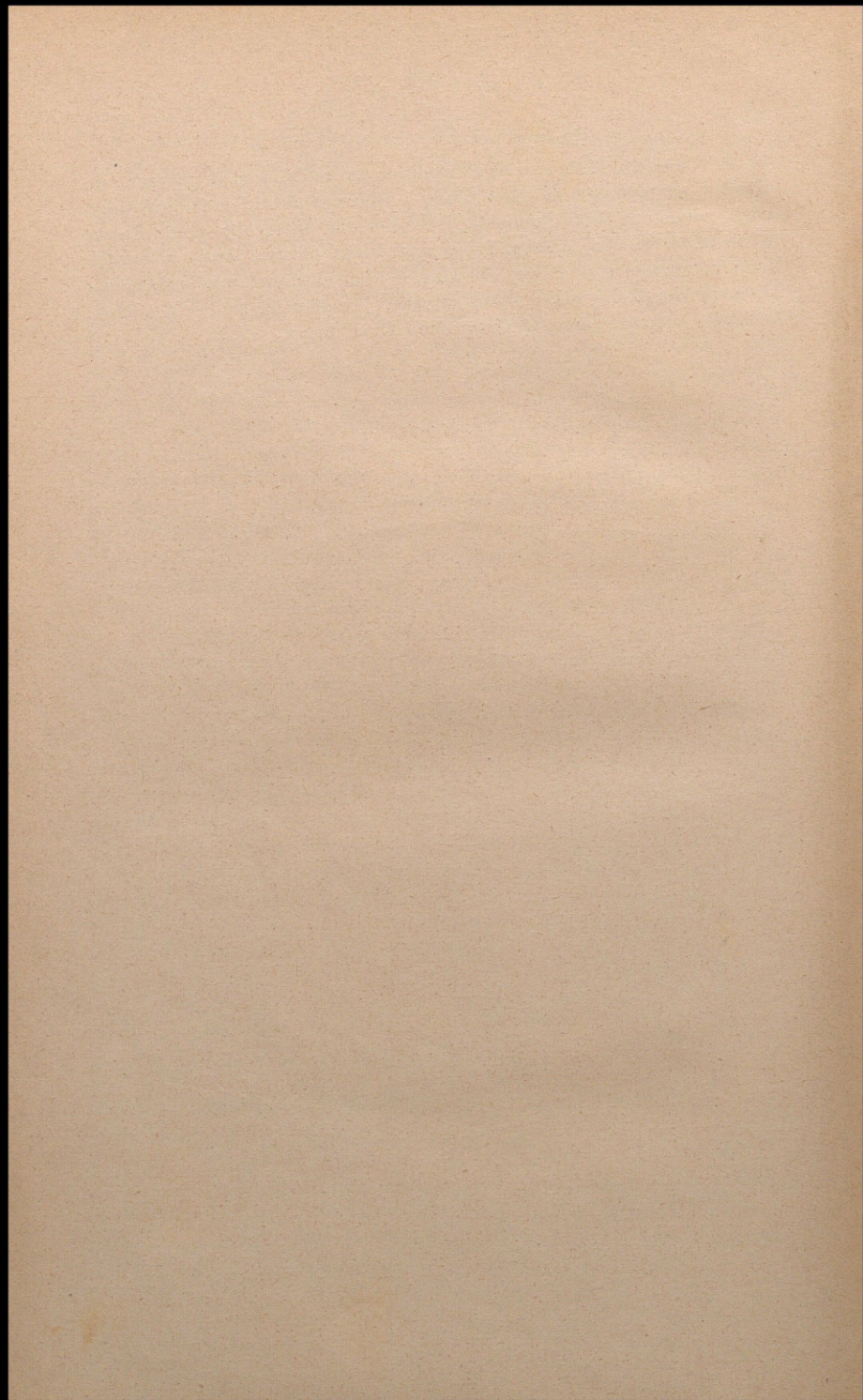
(Z druku współczesnego).

Za chwil niewiele w murach miasta Warszawy zjawi się moskiewski carewicz z rodziny mordercy, którego żołdactwo po dwakroć w roku zeszłym rozlało krew niewinną ojców naszych, matek naszych, braci i sióstr naszych.

Polacy!

Nie dajcie się uwieść zwodniczym nadziejom i marzeniom. Niechaj serca nasze na głos ułudy i fałszu obietnic moskiewskiego cara pozostaną tak głuchemi, jak głuchemi są groby pomordowanych ofiar. Niechaj żaloba, która nas dotąd okrywa, staje w oczach jego wyrzutem straszliwej zbrodni, a ulice, któremi przejeżdżać będzie, niechaj będą tak puste i smutne, jak smutne są serca matek, których synowie jęczą w pustyniach Orenburga!





SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU IV.

Rozdział XIII. Nowy arcybiskup. Wielopolski w Petersburgu. Wrażenie, jakie tam zrobił. Widzenie się z księciem Gorczakowem i audyencya u cesarza. Posiedzenia Rady stanu. Debaty nad projektem wychowania publicznego. Głos Ławińskiego. Równouprawnienie żydów. Projekt ks. Majerczaka. Śmierć Tomasza hr. Potockiego. Wielopolski i panna Błudow. Memoryał o rozdziale władzy. Sprawa ks. Białobrzeskiego. Poświadczenie ks. Czajewicza. Propozycya Wielopolskiego. Kandydaci na arcybiskupstwo warszawskie. Ks. Zygmunt Szcześnie Feliński, jego przeszłość i charakterystyka. Stosunek ze Słowackim. Wyprawa w Poznańskie. Śmierć Słowackiego. Życie w Petersburgu. Projekt Wielopolskiego o nuncyaturze. Narada cesarza z ks. Gorczakowem. Łubieński i Feliński. Pertraktacye z Rzymem. Konsystorz d. 23 Grudnia. Pośpiech w Rzymie. Dwa widzenia się Felińskiego z cesarzem i ich rozmowy. Prekonizacya. Wrażenie w Warszawie. Wieści i dzienniki. List papieski. Trzecie odwiedziny cesarza. Konsekracya Wyjazd do Warszawy. Polityka rządu warszawskiego odnośnie do Felińskiego. Jego podróż do Warszawy. Pobyt w Częstochowie. Przybycie do Warszawy. Poznanie się z duchowieństwem warszawskiem. Wizyta u Lüdersa i u p. Andrzeja Zamoyskiego. Wieść o otwarciu kościołów. Deputacya akademicka. Karykatury. Spór z Lüdersem. Kwestya ogłoszeń po dziennikach. Ceremonia otwarcia kościoła św. Jana. Mowa Felińskiego. Wrażenie tej mowy. Głosy prasy tajnej i urzędowego „Dziennika Powszechnego“. Mowa Felińskiego w Towarzystwie Dobroczynności. Paszkwil p. t. „Słowo narodu polskiego“. Ingres do katedry. Kazanie Felińskiego. Zakończenie. . . Str. 1—108.

Rozdział XIV. Sfinks polityczny. Wielopolski w Petersburgu. Przyjęcie u cesarza noworoczne. Stosunki margrabięgo z kobietami. Cesarzowa i widzenie się z nią. W. ks. Helena Pawłówna. Pani baronowa Meyendorff. Pani hrabina Keller. Zniesienie departamentu do spraw polskich w Radzie państwa. Kanclerz Nesselrode, Piotr Meyendorff i inni. Życie towarzyskie. Stronictwa rosyjskie: Zapadnicy i Samobytnicy. Nihilisci i ich propaganda rewolucyjna. Stosunki Wielopolskiego z ambasadorami. Polityka Austrii względem Polski. Hr. Bismarck. Ambasador francuzki i angielski. Memoryał Wielopolskiego z d. 15 lutego. Stan wojenny. Rozdział władzy. Duchowieństwo. Historia listu pasterskiego ks. Felińskiego. Jego korespondencja z ks. Gorczakowem. Sprawa nuncjatury. Brewe papieżkie. Wrażenie w Petersburgu i skutki tego dokumentu. Dalsze pertraktacje i ich zakończenie. Otwarcie szkół publicznych i zdanie o tem prasy tajnej. Projekt wychowania publicznego w komisjach petersburskich. Szkoły wyznaniowe i kwestya przymusu szkolnego. Wahanie się w Petersburgu i propozycje czynione Wielopolskiemu. Jego powrót do Warszawy. Położenie ogólne. Aresztowania i ulaskawienia. Sprawa Aleksandra Zamoyskiego. Paweł Felkner. Żaloba i „Fijolki“. Widowiska teatralne. Rady miejskie. Rada w Krasnymstawie. Rady powiatowe i ich działalność. Zakładanie szkółek elementarnych. Postanowienie Rady administracyjnej. Nazimow i hr. Starzeński. Zachowanie się chłopów i ich denuncjacje. Brak monety zdawkowej. Rozbrojenie powszechne kraju. Położenie rzeczy w prowincjach zabranych. Projekt o oczynszowaniu włościan z urzędu. Zwycięstwo Wielopolskiego w Radzie stanu. Postępowanie ks. Felińskiego z duchowieństwem. Ks. Zygmunt Golian. Okólnik arcybiskupa o spowiedzi. Rocznicą dnia 8 kwietnia. Wypadki dnia 10 kwietnia. Zarzuty gazet polskich zakordonowych i odpowiedź na nie ks. Felińskiego. Zakończenie Str. 108—202.

Rozdział XV. Łokietek. Komitet miejski i jego program. Zapowiedź powstania zbrojnego. Zebrania komitetu. Projekt organizacyi spisku. Komitet akademicki i jego działalność. Przysięga i składki. Reorganizacya Komitetu akademickiego. Jarosław Dąbrowski. Kółko wojskowe petersburskie. Wysyłka Dąbrowskiego do Warszawy. Panna Pelagia Zgliczyńska. Narady w Kole petersburskiem. Powtórny wyjazd Dąbrowskiego do Warszawy. Jego charakter i przezwisko „Łokietek“. Zniesienie Koła. Nowy skład Komitetu miejskiego. Spisek wojskowy. Czasopisma „Wielikorus“ i „Zemlia i Wola“. Młodzież rosyjska. Agitatorzy warszawscy wśród wojska. Szkoła wojskowa

w Genui. Podejrzenia. Zamach na Janczewskiego. Mierostawski opuszcza szkołę. Zaproszenie generała Wysockiego. Odrzucenie ks. Marcelego Lubomirskiego. Deputacja do Turynu. Objęcie szkoły przez Wysockiego. Przeniesienie jej do Cuneo. Dyrekcyja Białych. Reprezentacyja wszystkich zaborów. Broszura „Zadanie obecnej chwili“. Program Białych. Misya Kołaczkowskiego do Paryża. Fundusz żelazny. Niechęć mieszczaństwa do Dyrekcyi i jej nieczynność. Wybory do Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Aleksander hr. Krukowiecki i petraktycy z nim Czerwonych. Wiadomości z Litwy, z Wilna, Grodna, Sokółki i Białostoku. Nieudana zasadzka na urzędnika intendentury. Organizacyja miasta. Dąbrowski pierwszym Naczelnikiem miasta. Usiłowanie połączenia się z Komitetem akademickim. Narady deputowanych obu Komitetów. Rozwiązanie Komitetu akademickiego. Nowy, trzeci z rzędu skład Komitetu miejskiego. Pierwsze jego posiedzenie. Sprawa polska za granicą. Mowa p. Larabit, oraz lorda Russela i Palmerstona. Oznaczenie terminu powstania i jego plan. Komitet miejski trzeciego składu upada. Nowy Komitet (czwartego składu). Agaton Giller. Obrona Dąbrowskiego. Decyzya Komitetu. Porozumienie się z oficerami. Odwołanie powstania. Intrygi Dąbrowskiego i Chmieleńskiego. Oświadczenie wydziałowych. Usunięcie się Majewskiego i Paszkiewicza. Nowy Komitet, piątego składu. Oburzenie Chmieleńskiego. Nowe wybory. Paszkiewicz jeszcze raz wybrany. Groźba Chmieleńskiego. Bronisław Szwarce. Komitet przybiera miano Centralnego narodowego. Uwagi i zakończenie Str. 203—284.

Rozdział XVI. Zamach na Lüdersa. Wyjazd Wielopolskiego i Lüdersa do Petersburga. Przyjęcie i wymówki o list papieski. Manifestacye w Warszawie. Zachowanie się policyi. Lampki przed kościołem OO. Kapucynów. Wypadki dnia 3 maja. Aresztowania. Zbrodnia w ratuszu. Arcybiskup w Łowiczu. Powrót do Warszawy i korespondencyja z dyrektorem Komisji Oświecenia. Nabożeństwo na Woli. Przerwana wizyta pasterska. Powrót do Warszawy i rozmowa z Lüdersem. Misya Safianosa. Ogłoszenie po dziennikach. Rozmowa arcybiskupa z duchowieństwem warszawskiem i ks. Mikoszewski. Zaprzestanie śpiewów patriotycznych. Wypadek w Moroczynie. Powrót Białobrzeskiego i manifestacye z tego powodu. Wykrycie spisku wojskowego. Aresztowanie czterech oficerów. Zamiana depesz i rozkaz ministra wojny. Wielopolski w Petersburgu. Wahanie się, komu powierzyć namiestnictwo. Nadzieje Wielopolskiego. Kandydatura Mikołaja Milutyna. Niechęć jego w jej przyjęciu. Wieści o spisku wojskowym. Pożary w Petersburgu i ich sku-

tek. W. ks. Konstanty namiestnikiem Królestwa. Wrażenie w Warszawie. Odezwa rewolucyjna. Mowa Lüdersa w Radzie stanu. Ustawa o wychowaniu publicznem. Szkoły elementarne. Gimnazyja. Politechnika w Puławach. Szkoła sztuk pięknych. Szkoła główna. Opinie w kraju o ustawie szkolnej. Prawo o oczynszowaniu z urzędu. Ukaz o równouprawnieniu żydów. Powrót Wielopolskiego do Warszawy. Rozmowa z p. Fournier. Kazimierz Krzywicki. Nominacya Edwarda hr. Kellera na dyrektora Komisji spraw wewnętrznych. Zdanie Czerwonych o reformach. Mowy przy instalacji Krzywickiego. Sprawa oficerska. Śledztwo. Wyrok i jego wykonanie. Odezwa do żołnierzy rosyjskich. Nabożeństwo za rozstrzelanych. Postępek Chrulewa. Zamach na Lüdersa. Andrzej Potebnia. Straż. Zachowanie się Potebni. Artykuł „Gazety warszawskiej“. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Artykuł „Strażnicy“. Wieści o zamachu w Petersburgu. Telegram cesarza. List Wielopolskiego do W. ks. Konstantego. Postanowienie wyjazdu. List ks. Gorczakowa. W. ks. Konstanty, jego przeszłość i charakterystyka. Zakończenie Str. 285—380.

- Dokumenta. № 1) Odezwanie się Michała Lewińskiego na wniosek Kruzensterna, aby w szkołach ewangelickich po niemiecku wykładano nauki Str. 381.
№ 2) Wiersz do arcybiskupa Felińskiego Str. 382.
№ 3) Odezwa z powodu otwarcia kościołów Str. 382.
№ 4) Słowo narodu polskiego do JE. X. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego Str. 383—392.
№ 5) List pasterski Arcyb. Felińskiego Str. 392—399.
№ 6) Listy ks. Gorczakowa do Arcybiskupa warszawskiego Felińskiego Str. 400—406.
№ 7) Mandat szkoły podchorążych w Genui Str. 407.
№ 8) Odezwa oficerów rosyjskich do żołnierzy Str. 407—408.
№ 9) Odezwa o przyjeździe W. ks. Konstantego Str. 408—409.



Ważniejsze omyłki druku.

- Na str. 11 wiersz 6 od góry zamiast: *rodnych* czytaj: *rodowych*.
" 13 " 20 " " " *przeciw* " *o*.
" 22 " 18 " " " *narodne* " *narodowe*.
" 51 w przypisku " *pomniejsze* " *pewniejsze*.
" 79 wiersz 15 od góry " *dniowej* " *dziwnej*.
" 84 " 2 " " po wyrazie *Rouges* dodać należy *ces*.
" 93 w przypisku, wiersz 2 zam. *miejskiego* czytaj: *niejakiego*.
" 132 " " 4 " *skonczatielno* " *okonczatielno*.
" 157 " " 5 " *sonieta* " *sowieta*.
" 213 wiersz 15 od góry zamiast: *utwierdzenie* " *twierdzenie*.
" 224 " 8 od dołu " *ten* " *teraz*.
" 225 " 5 " " " *nie należą* " *nie należąc*.
" 229 " 12 " " " *Połebnia* " *Potebnia*.
" " " " " *duwniej* " *dalej*.
" 237 wiersz 7 o od dołu " *żądań* " *zadań*.
" 245 w przypisku wiersz 1 po *Krukowieckiego* zamiast *i* położyć znak przecinka.
" 249 w przypisku wiersz 4 zamiast: *podpisywał* czytaj: *podpisał*.
" 262 wiersz 2 od dołu zamiast: *naszego* czytaj: *nowego*.
" 264 " 8 " " " *Ewana* " *Ewansa*.
" 267 " 5 " " " *furyż* " *fuzyż*.
" 272 " 9 " " " *sumieniu* " *sumieniowi*.
-



S. 4

44017/2